

Elizabeth Moon

Bez Wyrzeczenia

Surrender None

Przekład Jerzy Marcinkowski

S&C

Exlibris

Ku pamięci Trávisa Bohannona,  
wiejskiego chłopca z Florence w Teksasie, który stracił życie, ratując  
rodzinę z pożaru.

Bohaterowie są nie tylko w książkach.

## Podziękowania

Zbyt wiele osób służyło mi poradami technicznymi i specjalistyczną wiedzą, by wymienić wszystkich, a pominięcie kogokolwiek byłoby nieuczciwe. Niemniej, specjalne podziękowania należą się Ellen McLean z McLean Beefmasters, których było nauczyło mnie więcej od zajęć na college'u w Dairying; Joelowi Gravesowi za pokazanie mi, jak kosić bez obciążenia sobie stóp oraz Markowi Ungerowi za naukę i zademonstrowanie możliwości walki różnymi rodzajami broni. Błędy są moje; oni zrobili wszystko, żeby mnie poprawić.

# Część I

## Prolog

Reguła Aare jednego jest znaczenia:

Bez wyrzeczenia.

– Niechaj spłynie na niego światłość Esei – wymamrotał kapłan, a położna dodała: – I słodki spokój Alyanyi – kładąc mokre, różowe niemowlę na brzuchu matki. Przysłany pospiesznie z pańskiego dworu kapłan umoczył palec we krwi i przytknął go do chustki, w którą następnie zawinął mokry, ciemny loczek nowonarodzonego, ucięty srebrnymi nożyczkami. W obliczu takiego dowodu, żadna głupia, wiejska dziewczucha nie ukryje dziecka przed prawowitym Ojcem. Idiotka może tego próbować – niektóre czyniły tak z obawy przed magią pana – choć każda wystarczająco rozgarnięta, by nie gotować gulaszu w czajniku, powinna zdawać sobie sprawę, iż panowie nie zamierzali krzywdzić tak narodzonych dzieci. Wręcz przeciwnie. Ostatni raz pociągnąwszy nosem, kapłan nakreślił w powietrzu znak, który rozjaśniał pomieszczenie jeszcze przez długie minuty po jego wyjściu, po czym oddalił się, zanosząc raport o szczęśliwych narodzinach. Żaden potworek; ludzkie dziecko, zdrowe i o prawidłowej ilości członków. Być może odziedziczy magiczną moc... być może.

Pozostawiona w izbie położna obrzuciła złowrogim spojrzeniem wiszącą w powietrzu smugę światła i nakreśliła własny znak, ciskając w nią garścią ziół. Blask trwał, nieznacznie tylko blednąc. Świeżo upieczona matka chrząknęła i położna wróciła do pracy, ignorując światło, którego nie potrzebowała. Jej dłonie leczyły. Dar ten zawdzięczała brakowi rozwagi

praprababki w czasach, gdy coś takiego oznaczało szybkie małżeństwo z będącym pod ręką chłopem pańszczyźnianym. Nie wierzyła, że cokolwiek się zmieniło, a wizyta kapłana Esei przekonała ją tylko, że wielcy panowie pozbawieni byli przyzwoitości.

Na pańskim dworze przyszłość niemowlęcia określono bardzo szybko. Jego własna matka mogła go niańczyć, lecz traktowano go jak panicza, dopóki nie ujawnią się jego umiejętności lub ich brak.

Chłopiec okazywał żywą inteligencję i ciekawość świata; uczył się łatwo i zanim minęło sześć zimowych biesiad, potrafił już ładnie przepisywać skrypty Starego Aare. Mówił bez wieśniaczego akcentu, nie brakowało mu ogłady ani gracji. Nie posiadał także krztyny mocy i kiedy pan stracił resztę nadziei, że coś się zmieni, w jednej ze swych wiosek wyszukał mu przybraną rodzinę i odesłał go.

Mogło być gorzej. Pan dobrze go zaopatrzył: rodzinie zaczęło się powodzić i młodzieniec nie miał kłopotów ze znalezieniem sobie żony. Zapowiedziano mu, że odziedziczy obejście i w swoim czasie miał już własną farmę. Dzięki darom ojca wystartował znacznie powyżej przeciętnej, i wkrótce został sędzią na rynku pobliskiego miasteczka. Nie utrzymałby się z tego, niemniej, dochody uzupełniały produkcję farmy. Wiedział, że był całkiem nieźle sytuowany i ze wzruszeniem ramion porzucił dawne nadzieje na adoptowanie przez pańską rodzinę. A jednak nie potrafił zapomnieć o swym pochodzeniu, ani obietnicy magii.

\* \* \*

W roku jego narodzin, daleko stąd, żył już chłopiec, który pozbawi jego

pochođenje wartości.

## Rozdział 1

– Jesteś już wystarczająco duży, by przestać czepiać się moich spódnic – oznajmiła matka chłopca. – I wystarczająco śmiały, by robić to, co chcesz.

– Mówiąc to, przeczesła palcami niesforną czuprynę chłopca i starła mu z policzka smugę sadzy. – Zaniesiesz migiem ten koszyk do pańskiego zarządcy. Jesteś dużym chłopcem, czy dzidziusiem?

– Jestem duży – odrzekł, marszcząc brwi. – Nie boję się. – Matka przejechała fartuchem po jego koszuli i klepnęła go w pupę.

– No to ruszaj. Pamiętaj, Gird, masz zaraz wracać do domu. Żadnych zabaw z innymi chłopcami i dziewczętami. Praca czeka, synku.

– Wiem. – Ze stęknieniem podniósł sięgający mu niemal do biodra kosz i odchylił się w bok, by zrównoważyć ciężar; wypełniony był po brzegi najlepszymi śliwkami z ich drzewa. Mógłby jedną spróbować... słodki sok spływający w głąb przełyku...

– I nie jedz ich, Gird. Nawet jednej. Tata wygarbowałby ci skórę za coś takiego.

– Nie zjem. – Ruszył drogą, zgięty pod ciężarem, lecz zdecydowany nie odstawiać kosza i nie odpoczywać, dopóki nie straci domu z pola widzenia. Chciał pójść sam. W zeszłym roku prosił o to, kiedy był jeszcze stanowczo za mały. A w tym roku, kiedy mu zapowiedziała, on...

zmarszczył brwi tak mocno, że poczuł, jak się stykają. Bał się. Mimo wszystko. – Nie boję się – mruknął pod nosem. – Wcale nie. Jestem duży, większy od innych.

Na drodze widział innych pieszych, z koszami zawieszonymi na ramieniu lub zarzuconymi na plecy. Podręczny koszyk – z każdego poletka jeżyn; kosz na ramię – z każdego drzewa przez pierwsze trzy lata rodzenia



owoców; kosz noszony na biodrze – z każdego drzewa owocowego po trzech latach oraz kosz na plecy – z każdej jabłoni. W zeszłym roku w każdej ręce niósł mały koszyk: dwa podręczne koszyki dawały jeden kosz na ramię – zeszłoroczną daninę. To był czwarty rok rodzenia śliwy i byli winni swojemu panu kosz na biodro.

„Co zostawia kosz na ramię dla nas” – pomyślał gorzko. Rok był suchy; większość owoców spadła, zanim dojrzała. Słyszał, jak rozmawiali o tym rodzice. Mogli poprosić zarządcę o zmianę trybutu, ale mogło to wywołać inne kłopoty.

– Nie chcę łatki człowieka, który wyklóca się o wysokość daniny – oznajmił ojciec, pochylając się nad stołem. – Nie. Lepiej drogo zapłacić jednego roku i mieć dobrą opinię u pana. Nie będziemy głodować.

Gird słuchał w milczeniu. Dwa lata temu cierpieli głód; wciąż pamiętał ból brzucha i darowane mu przez brata kąski. Wszystko byłoby lepsze od tamtego. Teraz, kiedy tak maszerował poboczem, zaburczało mu w brzuchu; zapach śliwek wydawał się wędrować od nosa prosto do trzewi. Przymrużył oczy przed blaskiem słońca, starając się o tym nie myśleć. Pył pod stopami był gorący na wierzchu, lecz nogi zapadały się w chłód – czyżby było mokro? Dlaczego mokre i zimne dawało takie samo wrażenie? Dojrzał kałużę, pozostawioną przez deszcz sprzed tygodnia i ruszył w jej stronę, zanim przypomniał sobie przestrogi matki. Żadnych kałuż, mówiła, nie pójdiesz do dworu z ubłoconymi nogami.

Za ojcowskim domem trakt zakręcał wokół zagajnika rachitycznych dębów i kierował się prosto do właściwej wioski. Gird przełożył koszyk na drugą stronę i poszedł dalej. Przed nim, tuż za olbrzymią, kamienną stodołą, gdzie cała wieś przechowywała ziarno i siano, majaczył narożnik

murów pana. Droga pełna była ludzi oczekujących na wejście przez bramę: dzieci młodszych od niego z ręcznymi koszykami, jego rówieśników z koszami na ramię oraz starszych, z koszami na biodro. Stał w kolejce, przesuwał się w miarę, jak ci, którzy opłacili już daninę, wychodzili na zewnątrz, robiąc miejsce innym.

Kiedy znalazł się w środku, nad głowami wyższych od siebie dojrzał jedynie róg daszku nad stołem zarządcy. Starł się właśnie zobaczyć coś więcej, zerkając pomiędzy stojącymi przed nim ludźmi, kiedy poczuł mocne szturchnięcie w głowę. Rozejrzył się.

– Ładne śliwki – powiedział Rauf, syn świniopasa Orega. – Lepsze od naszych. – Rauf był o dłoń wyższy od Girda i bardzo złośliwy. Gird kiwnął głową, nic nie mówiąc. Tak było bezpieczniej w przypadku Raufa.

– Myślę, że wyglądałyby lepiej w moim koszyku. Co, Sig? – Rauf szturchnął pod żebra swojego przyjaciela Sikana i obaj wyszczerzyli zęby do Girda. – Masz więcej, niż potrzebujesz, chłopczyku; ten kosz jest zbyt ciężki dla ciebie. – Rauf wziął sobie z wierzchu garść śliwek; Sikan zrobił to samo.

– Przestańcie! – Gird zapomniał, że na pańskim dziedzińcu nie wolno było podnosić głosu. – To moje śliwki!

– Może kiedyś, bo teraz ja je znalazłem. – Rauf mocno pchnął Girda. Chłopiec zatoczył się, wysypując śliwki z koszyka. – Znalazłem je na ziemi, a co na ziemi, to wszystkich, zgadza się?

Gird próbował zbierać toczące się owoce. Sikan kopnął go lekko w ramię, a Rauf wywrócił koszyk. Gird usłyszał śmiech innych chłopców i krzyk strofującej ich kobiety. Poczł gorąco na karku; zaszumiało mu w uszach. Zanim pomyślał, złapał koszyk i dzielił nim Raufa w twarz. Sikan

skoczył na niego; Gird odtoczył się, dziko kopiąc. W mgnieniu oka w rogu dziedzińca rozgorzała bójka, pokrywając bruk rozgniecionymi śliwkami. Zarządca krzyknął i strażnicy pana wkroczyli zdecydowanie, posługując się rękoma, krótkimi pałkami i płazami mieczów. Dwóch z nich unieruchomiło Girda. Rauf leżał bezwładnie na ziemi, a reszta chłopców zbiła się w przerażoną grupkę za linią zbrojnych mężczyzn.

– Hańba – rzucił ktoś nad głową chłopca. Gird podniósł wzrok i ujrzał wąską twarz zarządcy o błękitnych oczach. – Kto zaczął?

Nikt nie odpowiedział. Gird poczuł, jak ręce zaciskają się mocno na jego ramionach, potrząsając nim.

– Chłopcze – rozległ się basowy głos jednego z trzymających go strażników. – Mów, co wiesz o tej sprawie. Kto zaczął?

– On ukradł moje śliwki. – Nie miał pojęcia, że cokolwiek powie, zanim tego nie uczynił. W kamiennym milczeniu, w obliczu leżącego nieruchomo Raufa i dziedzińca pokrytego rozdeptanymi owocami jego głos zabrzmiał raczej cienko. Zarządca spojrzał mu w oczy.

– Jak masz na imię, chłopcze? Jak nazywa się twój ojciec?

– Gird, sir. Syn Dorthana.

– Dorthana, co? Twój ojciec nie jest warchołem; po jego synach oczekiwałbym czegoś więcej.

– Sir, on ukradł moje śliwki!

– Wasz trybut... tak. Co to było w tym roku?

– Kosz na biodro, sir. Pełen pysznych śliwek, wielkich i ciemnych, a on...

– Kto?

Gird kiwnął głową w stronę Raufa.

– Rauf, sir. On i jego przyjaciel, Sikan.

- Widział to ktoś jeszcze? – Zarządca przeniósł wzrok na tłumek chłopców. Większość patrzyła w ziemię, lecz Teris, rok starszy od Girda syn ich najbliższych sąsiadów, pokiwał głową.
- Z całym szacunkiem, sir, to Rauf zaczął. Powiedział, że to bardzo ładne śliwki i będą lepiej wyglądać w jego koszyku. Potem wziął sobie trochę, a Gird powiedział nie, a on odepchnął go na bok...
- Rauf zadał pierwszy cios?
- Tak jest, sir.
- Ktoś jeszcze? – Odpowiedziały mu niechętnie przytaknięcia. Na oczach Girda wokół Sikana powstała wolna przestrzeń. Chłopak zaczerwienił się i przesunął do przodu, gdy padł na niego twardy wzrok zarządcy.
- Nie było tak źle, sir – oznajmił, próbując uśmiechnąć się pokiereszowanymi wargami. – Tylko dokuczaliśmy chłopakowi, nic więcej.
- Dokuczaliście? Na dziedzińcu pana?
- Cóż...
- Uderzyłeś tego chłopca? – Zarządca wskazał na Girda.
- No cóż, sir, być może lekko go... trochę, no... popchnąłem, ale to nic wielkiego, żadna tam bijatyka. Ale wie pan, to jeden z takich, co to lubią wszczynać awantury...
- Zarządca zmarszczył brwi.
- Nie po raz pierwszy ty i Rauf przysparzacie problemów. – Skinął mężczyznom za Girdem. Puścili go. Chłopiec roztarł sobie lewy łokieć. – A co do ciebie, Girdzie, synu Dorthana: bójka na dziedzińcu pana jest zawsze zła – zawsze. Rozumiesz?
- Tak, sir. – Nie było nic innego do powiedzenia.

– Twoja wina polega na tym, że powiedziałaś, iż to twoje śliwki zostały ukradzione. To były śliwki twojego pana; należały do niego. Gdyby to Rauf je dał, pan nadal by je otrzymał. A tak... – zarządca machnął ręką na bałagan. Bardzo mało owoców przetrwało walkę w stanie nienaruszonym.

– Lecz twoja rodzina cieszy się dobrą opinią, młody Girdzie i nie wydaje mi się, abyś chciał przysparzać komuś kłopotów. Wobec czego twoja rodzina nie zostanie ukarana... za to ty, razem z pozostałymi zostaniesz tutaj i posprzątasz tak, żeby sierżant Mager był zadowolony.

– Tak jest, sir. – Czyli spóźni się do domu i dostanie lanie od ojca.

– Jeśli zaś chodzi o ciebie, Sikanie i Raufie... – Rauf zaczął się poruszać i otworzył oczy, choć nie był w stanie skupić wzroku. – Ponieważ to wy wywołaliście awanturę, co więcej, wybraliście sobie na ofiarę młodszego chłopca, po sprzątaniu spędzicie noc w dybach. – Zarządca odwrócił się i z powrotem zajął miejsce pod daszkiem nad stołem, przy którym skrybowie zaznaczali daniny na długich zwojach pergaminu.

Reszta dnia była dla Girda bardzo pouczająca. Wystarczająco często szorował kamienną podłogę w domu i czyścił klepisko obory z łajna.

Okazało się jednak, że sierżant Mager dbał o czystość kamieni podwórca bardziej, niż jego matka o miski, z których jedli. Razem z innymi chłopcami zebrali kawałki porozgniatanych owoców do koszów – nawet ich nie próbując. Potem nosili wodę w kubłach tak dużych, że Gird nie uniósłby żadnego z nich samodzielnie i szorowali bruk wodą i szczotkami na długich kijach. Potem splukiwali dziedziniec i szorowali jeszcze raz. I kiedy Gird był już pewny, że kamienie dziedzińca nie były czystsze od momentu ich ułożenia, sierżant znalazł kawałek skórki śliwki i musieli zaczynać od początku. Niemniej, starał się najlepiej, jak mógł: Zanim

sierzant puścił ich do domów, dawno minęło południe, a palce Girda pościerane były do krwi od szorowania. Oficer przywołał go spod bramy, by zamienić z nim słowo.

– Twój tata ma dobrą opinię – oznajmił, kładąc ciężką dłoń na ramieniu Girda. – A i z ciebie dobry chłopak, choć nieco porywczy. I odważny jesteś – rzuciłeś się sam na większych od siebie. Myślałeś kiedyś o zostaniu żołnierzem?

Girdowi podskoczyło serce.

– To znaczy... takim, jak pan?

Sierzant roześmiał się.

– Nie od razu, rzecz jasna. Zacząłbyś jak inni, od rekruta. Lecz jesteś duży, jak na swój wiek, i silny. Ciężko pracujesz. Pomyśl o tym... miecz, może włócznia... pewnego dnia mógłbyś nawet zostać sierżantem.

– Jechał pan kiedyś konno? – To było jego marzenie: dosiąść kiedyś szybkiego rumaka, jak czynili to panowie i pogalopować z wiatrem w zawody.

– Czasami. – Sierzant uśmiechnął się. – Zarządca mógłby polecić cię do przeszkolenia. Chłopak taki jak ty potrzebuje dyscypliny i miejsca, gdzie mógłby zużyć nadmiar energii. Poza tym, jedna gęba w domu mniej do wykarmienia. – Poklepał Girda po ramieniu i wypchnął go za bramę. – Jutro lub pojutrze zamienimy słowo z twoim ojcem. I nie wpakuj się więcej w kłopoty, co?

\* \* \*

– Święta Kwiatowa Panienko! – Jego matka była już w połowie drogi;

musiała wypatrywać go z domu. – Gird, co ty chciałeś...

– Przepraszam. – Wbił wzrok w pył pomiędzy palcami stóp, świadomy każdego rozdarcia ubrania. Jego najlepszy strój – zupełnie nowa koszula – wyglądał teraz jak łachmany. – Nie ja zacząłem, mamó, naprawdę. Rauf ukradł kilka śliwek i pomyślałem, że zostaniemy ukarani...

– Effa mówi, że to Rauf uderzył pierwszy.

– Tak, mamó. – Usłyszał westchnienie i podniósł wzrok. – Ja naprawdę nie...

– Gird... – Położyła mu rękę na głowie. – Przynajmniej jesteś z powrotem i obyło się bez kary. Effa mówi, że zarządca nie wyglądał na rozzłoszczonego, przynajmniej nie tak, jak sądziła.

– Nie wydaje mi się, żeby był zły. – Wtem z ust wyrwały się mu ważniejsze wieści. – Zgadnij, co powiedział sierżant – może wezmą mnie na szkolenie na żołnierza! Mógłbym dostać miecz... – Był tak podniecony, że nie zauważył, jak cofnęła się z przerażeniem na twarzy. – Powiedział, że czasami nawet jeżdżą konno. Powiedział, że jestem wystarczająco duży i silny, i... – Nareszcie dotarło do niego jej milczenie; popatrzył na matkę.

– Mamó?

– Nie! – Złapała go za ramię i pociągnęła do domu.

Awantura trwała cały wieczór. Pierwszą reakcją ojca na historię ze śliwkami było sięgnięcie po pas.

– Nie biorę udziału w bójkach – oświadczył. – Nie wychowałem moich synów na rozrabiaków.

Arin jak zwykle stanął w jego obronie.

– Tato, wiesz, że ten Rauf to łobuz. Zarządca też to wie: kazał zakuć jego i Sikana w dyby.

– A pomyśleliście o tym, że będę miał przeciwko sobie ich ojców? Oreg nigdy nie uwierzy w winę syna, nawet gdyby Rauf wszystko potwierdził. Gdyby Gird mu nie oddał, Oreg wiedziałby, że jest mi coś winny, może nawet kawałek bekonu. A ojciec Sikana... nie chcę z nim zwady. Jego żona ma jedyny warsztat do barwienia tkanin w tej wiosce. Poza tym, to było bardzo niedobre. Nie możemy walczyć ze sobą nawzajem; i bez tego żyje się wystarczająco ciężko. Dowiedzą się, że ukarałem Girda; będę musiał pójść do nich i przeprosić.

No i dostał lanie na świeże siniaki, zamiast kolacji i obiadu. Gird spodziewał się tego. Po mrugnięciu okiem Arina spodziewał się dostać od niego jakiś kasek, który uda się bratu przemyścić bez narażania się na przyłapanie. Niestety, propozycja sierżanta nie spodobała się ojcu tak samo, jak matce.

– Nigdy nie jest dobrze zwrócić na siebie uwagę w ten sposób. Poza tym, wierzymy w Panią – czy podniósłbyś miecz przeciwko swoim, Girdzie? Zakłócił spokój wioski krwią i żelazem? – Zanim jednak postanowił, czy bezpiecznie będzie udzielić odpowiedzi, którą obmyślił, czekając na powrót ojca z pola, ten wzruszył ramionami. – Ale cóż ja mógłbym powiedzieć, gdyby przyszedł do mnie zarządca? Mają prawo zabrać ciebie niezależnie od tego, co o tym myślę. Mogę mieć jedynie nadzieję, że zarządca zapomni o tobie.

Nie zapomniał. Następny dzień Gird spędził, mocując się z najmniejszą kosą w posiadaniu rodziny – mimo to wciąż za dużą dla niego – i kosząc ojcowską część łąki. Wiedział, że posłano go tutaj, żeby trzymać z dala od chłopców z wioski. Wiedział, że matka upiekła dwa słodkie ciasta dla rodzin Raufa i Sikana, które ojciec zabrał wczesnym rankiem. Było



upalnie i parno, jak to w samym środku lata, a zimna owsianka nie zapełniła brzucha pustego po wczorajszej głodówce. Lecz na polu niedaleko pracował ojciec i zauważyłby, gdyby Gird się objął.

Kosił zaciekle, wycinając nierówne kawały w miejscu, gdzie jego brat pozostawiłby czyste pokosy. Musiał istnieć jakiś sposób. Przerwał, by przeciągnąć po wielkim, zakrzywionym nożu kawałkiem kamienia, który dał mu ojciec i wsłuchał się w zmiany dźwięku wydawanego przez różne odcinki żelaza. Rzucił okiem na zaorany stok i ujrzał ojca, rozprawiającego z innym mieszkańcem wioski. Gird oparł się na kosidle – nóż znalazł się wysoko nad głową chłopca – i wydłubał sobie rzep spomiędzy palców u stopy.

Kiedy spojrzał ponownie, ojciec wspinał się właśnie po zboczu. Gird nie odważył się zejść ze słońca i odpocząć, odchyłał tylko głowę, by owionął ją lekki wietrzyk. W wysokiej trawie przed nim coś zaszeleściło. Szczur? Ptak? Podrapał się stopą po łydce drugiej nogi, spojrzał na stok i westchnął. Pewnego dnia dorośnie i jeśli nie zostanie żołnierzem, będzie rolnikiem zdolnym do wymachiwania większą kosą od tej. Jak ojciec, którego szerokie zamachy prowadziły kosiarzy każdego roku. Jak jego brat, Arin, który właśnie wyrósł z tej kosy. Zamruczał i opuścił długie ostrze. Z pewnością znajdzie sposób, aby lepiej pracować.

Nim nastał wieczór całe dłonie miał w pęcherzach, ale pokosy zaczynały wychodzić mu równo. Lekko zmienił chwyt, nauczył się angażować biodro w zamach i robić kroki odpowiednio długie, by zrównoważyć zataczane przez nóż łuki. Następny dzień spędził na tym samym płachetku łąki. Teraz, kiedy już załapał, jak to robić, żywił lekką nadzieję, że zarządca nie przyjdzie. Zostanie rolnikiem, jak ojciec, będzie przewodził

kosiarzom, orał własnymi wołami, hodował jeszcze smaczniejsze owoce... Zarządca przyszedł następnego dnia wieczorem, kiedy ojciec właśnie zszedł z pola, a Gird czuł, że rodzinna niełaska mijała. Na czas rozmowy z zarządcą dzieci odesłano na podwórko. Gird chciał zakraść się do obórki i podsłuchać, lecz Arin zastąpił mu drogę. Musiał poczekać na wezwanie ojca.

W blasku świeczki twarz ojca wyglądała na starszą i bardziej znużoną. Matka siedziała sztywno za krosnem, mocno zaciskając usta. Zarządca uśmiechnął się do niego.

– Girdzie, sierżant zasugerował, że byłbyś zdatny do przeszkolenia na żołnierza: jesteś silny i odważny, potrzeba ci jednak dyscypliny. Twój ojciec pozwoli ci dokonać samodzielnego wyboru. Jeżeli się zgodzisz, w tym roku jeden dzień na dziesięć spędzisz z żołnierzami, a od najbliższego śródzimia do następnego: dwa dni na dziesięć. Powiem szczerze: na początku to żadna żołnierka – będziesz pracował w koszarach tak, jak pracujesz tutaj. Lecz twój ojciec otrzyma zapłatę za twoją pracę i to o miedziaka więcej, niż za pracę w polu. A za rok zostaniesz rekrutem i nauczysz się wojennego rzemiosła, a twój ojciec otrzyma zarówno miedź, jak i zmniejszenie daniny. To pomoże twojej rodzinie w trudnych czasach, lecz twój ojciec mówi, że zrobisz tak, jak postanowisz.

Widok rodziców, siedzących nieruchomo i wyraźnie wystraszonych, był przerażający. Poczul, że nigdy ich nie rozumiał. W drzwiach tłoczyli się Arin i pozostali; słyszał ich hałaśliwe oddechy. Czy żołnierka mogła być taka zła, jak uważali? Przez całe swoje życie widywał paradujących po wioskowej drodze strażników i podziwiał ich błyszczące kłamy, podzwaniający ekwipunek. Był za mały, żeby obawiać się pałek... pamiętał

silne dłonie, targające mu czuprynę, kiedy tłoczył się wokół nich z innymi chłopakami i uśmiech samego sierżanta. Poza tym, żołnierze walczyli ze zbrojcami, polowali na wilki i foloki. Pamiętał, jak zeszłej zimy stał w śniegu i wiwatował, kiedy nieśli zabitego foloka, przywiązanego do tyczek. Jeden z nich został ranny – krew zaplamiła pomarańczową tunikę – lecz przecież świat był okrutny i można było odnieść rany na wiele sposobów.

Miał ochotę stanąć na jednej nodze i przemyśleć to, lecz zarządca stał przed nim i wpatrywał się w niego oczami tak przenikliwymi, że zdawały się spozierać prosto w serce chłopca. Wcześniej nigdy nie rozmawiał z żadnym panem. Czy zarządca był panem? Prawie.

– Nie oczekuję żadnych wiążących przysięg – rzucił lekko zniecierpliwiony zarządca. Gird znał taki ton: używał go ojciec, pytając, kto zostawił otwartą furtkę na podwórze. Oznaczał konieczność szybkiej odpowiedzi albo kłopoty. – Jeśli nie spodoba ci się, będziesz mógł odejść przed rozpoczęciem prawdziwego szkolenia...

Gird zwiesił głowę, lecz po chwili spojrzał na zarządcę. Kątem oka widział napiętą twarz ojca, lecz zignorował to.

– Panie... zarządco... bardzo bym chciał. Jeżeli tato pozwoli.

– Już to zrobił. – Zarządca uśmiechnął się. – Dorthanie, twój syn, Gird, zostaje przyjęty na służbę do hrabiego Kelaive. A oto pirik... – Pieniądze, przypomniał sobie Gird. Nie była to cena, jakby chłopiec był owcą, tylko pewna kwota, oznaczająca zawarcie porozumienia. Cena była czymś innym.

O świcie następnego dnia Gird udał się drogą przez wieś do koszar hrabiowskiej straży. Przed dom nie wyszedł żaden z przyjaciół, by na

niego popatrzeć, lecz wiedział, że zrobiłby na nich wrażenie. Wartownik przy bramie wpuścił go i skierował przez dziedziniec prosto do koszar. Strażnicy właśnie wstawali, a sierżant był bardziej gniewny, niż zapamiętał go Gird.

– Najpierw idź do kuchni i pomóż przy śniadaniu; potem będziesz zmywał aż do porannej musztry. Wtedy się zobaczymy. Ruszaj.

Owsianka bardzo przypominała ich własną, tyle że gotowano ją w większych garnkach i podawano w okazalszych miskach. Gird odniósł brudne naczynia i wyszorował je pod krytycznym okiem kucharza, a następnie zabrał się za kociołki. Potem siekał cebulę, nie zważając na piekące i załzawione oczy, a potem kroił lebiodę, aż ścierpły mu ręce. Następnie nosił wodę w wiadrach. Przez cały czas kucharz strofował go gorzej od najstarszej siostry, mieszając i ugniatając ciasto na kluski do gulaszu. Sierżant przyszedł, kiedy Gird mył długie stoły.

– No dobrze, chłopcze. Popatrzmy, co my tutaj mamy. Chodź ze mną. – Wyprowadził Girda bocznymi drzwiami na zewnątrz, na niewielki, okolony murem dziedziniec, przypominający trochę podwórko, tyle że bez obór. W rogu znajdowała się kuchenna studnia, a pod ścianą spoczywały rzędem wyszorowane przez Girda garnki.

W oczach chłopca sierżant sprawiał równie imponujące wrażenie, co zwykle: wyższy i szerszy w barach od ojca, muskularny i promieniujący autorytetem, domagającym się absolutnego posłuszeństwa. Patrząc na niego, chłopiec wyobrażał sobie, że sam osiągnie takie rozmiary i siłę, będzie nosił równie czysty i nie pocerowany strój, zajmując w wiosce i służbie pana pozycję bezpieczniejszą od każdego wieśniaka.

– Pracowity jesteś i silny – zaczął sierżant – lecz musisz być jeszcze

silniejszy i nauczyć się dyscypliny. Zaczniemy od tego: nie odzywasz się nie pytany, a każdą odpowiedź kończysz zwrotem „sir”. Jasne?

Gird pokiwał głową.

– Tak jest... sir?

– W porządku. Jesteś tutaj, żeby się uczyć, a nie gadać. Od świtu do zmroku, przez jeden dzień na dziesięć... Potrafisz liczyć?

– Nie bardzo, sir.

– „Nie bardzo” oznacza, że nie. Nie potrafisz policzyć owiec albo krów?

Gird zmarszczył brwi.

– Jeżeli stoją przede mną... ale nie dni – nie widzę ich.

– Nauczysz się. A teraz posłuchaj, Girdzie: musisz przychodzić tutaj czysty i gotowy do pracy. Jeżeli nie możesz myć się w domu, przychodź wcześniej i myj się tutaj. W moich koszarach nie ma miejsca dla obdartusów. To twoja jedyna koszula?

– Nie, sir, ale reszta jest gorsza.

– W takim razie dostaniesz nową, lecz tylko do pracy tutaj. Masz buty?

Gird pokręcił głową i w porę przypomniał sobie, żeby powiedzieć: „Nie, sir.” Buty? Dla zwykłego chłopaka? Nigdy nie miał butów i nie dostanie ich, dopóki nie ożeni się, chyba że ojcu zacznie się powodzić i to przez kilka lat z rzędu.

– Będziesz ich potrzebował, ale później. Możesz nosić je tutaj, lecz nie w domu. Jadłeś dzisiaj śniadanie? – Oczywiście, że nie jadł, z wyjątkiem piętki chleba; owsiankę przygotowywano, kiedy szedł już do koszar. Sierżant tylko mruknął. – Żołnierz musi jeść. Powiem kucharzowi i będziesz jadł tutaj podczas każdego dnia pracy. A teraz o innych chłopcach. Nie chcę żadnych bójek, młody Girdzie, w żadnym wypadku.

Jeśli będą ci dokuczać za chęć zostania żołnierzem, nauczysz się puszczać to mimo uszu. Żadnych pogrózek z twojej strony, ani wygwizdywania Raufa i Satika, czy jak on się tam zwał. Jeżeli nauczysz się panować nad sobą, dojdiesz tam, gdzie nie będą mogli cię dosięgnąć. Porywczy żołnierze sprawiają więcej kłopotów, niż są warci. Otrzymałeś szansę dla siebie i rodziny – wykorzystaj ją.

Wyglądało na to, że przydałaby się odpowiedź.

– Tak jest, sir – odrzekł Gird.

Reszta dnia minęła na wypełnianiu kolejnych obowiązków, nie mających według Girda zbyt wiele wspólnego z żołnierką, choć zobaczył wewnątrz koszar z rzędami drewnianych prycz i cienkimi materacami ze słomą, bronią rozwieszoną schludnie na ścianach i wychodkami (w środku!). Zastanawiał się, jak były czyszczone. Musiały być, gdyż pachniały lepiej, niż wygódka u nich w domu. Pozamiatał podłogę, mimo iż wyglądała na wystarczająco czystą, naniósł więcej wiader z wodą do kuchni, zjadł miskę gulaszu większą, niż jego ojciec kiedykolwiek widział, zmywał, dopóki nie pomarszczyły się mu dłonie, znowu przyniósł wodę (miał wrażenie, że jego stopy wydeptały ścieżkę od studni do drzwi kuchennych), pokroił lebiodę, otrzymał na kolację olbrzymią pajdę chleba z mięsem, a na koniec pozwolono mu stać w ciszy w rogu i przyglądać się musztrze przed wieczorną zmianą warty.

Pobiegł do domu ciemną drogą, którą jego stopy tak dobrze znały, kipiąc podnieceniem. Mięso! Nie wiedział, czy powinien im opowiedzieć, ponieważ nie zobaczą mięsa do żniw... ale było takie smaczne, a gulasz i chleb wypełniły mu najmniejszy zakamarek brzucha. Beknął, wyczuł mięso w oddechu i roześmiał się.

Czekali na niego z miską kleiku i kawałkiem chleba. Czuł jednocześnie zawstydzenie i dumę, mogąc im oddać swoją porcję.

– Czyli dobrze cię nakarmili? – Matka nie patrzyła na niego, ostrożnie rozlewając kleik do reszty misek.

– Tak. Śniadanie też dostanę, tylko muszę być wcześniej.

– Podoba ci się wojaczka? – zapytała ostro.

– Na razie nie ma żadnej wojaczki – odparł, patrząc, jak pozostali jedli. –

Dzisiaj pomagałem kucharzowi w siekaniu cebuli i noszeniu wody...

Naniosłem jej wystarczająco na dwa dni.

– Mnie przyniesiesz wodę jutro – oświadczyła matka. Ojciec milczał, jedząc i obserwując Girda.

\* \* \*

Okres od lata do Śródzimia minął szybko. Raz na dziesięć dni wstawał przed świtem, z pierwszym paniem koguta i biegł drogą do bramy, gdzie wartownicy znali już jego imię i witali go. Do zaparowanej kuchni, większej od jego domu, gdzie kucharz – przychylniejszy niż pierwszego dnia – dawał mu wielką michę owsianki, zanim podał śniadanie innym. W miarę, jak zbliżała się jesień i dni robiły się coraz krótsze, kuchnia zamieniała się w schronienie pełne zapachów pieczonego chleba i mięsa, aromatycznych gulaszów i ciast owocowych. Niekończąca się uczta – choć żołnierze uważali jedzenie za monotonne (był zdumiony, słysząc ich narzekania) – napełniała mu brzuch od rana do wieczora. Z pełnym żołądkiem łatwiej było pracować. Noszenie wody, zmiatanie, zmywanie, krojenie warzyw, rąbanie drew do wielkich palenisk. Poznał imiona

wszystkich strażników; wiedział, gdzie trzymano różne rzeczy. Dwóch z nich było rekrutami: jeden z jego wioski, a drugi zza pól na wschodzie. Obaj wysocy i nazwałby ich mężczyznami, gdyby nie zobaczył ich razem z żołnierzami. Obserwując musztrę, uczył się komend.

Pozostałe dziewięć dni miało mu tak, jak dotychczas – na pracy dla rodziny. Dorósł do kosy, albo nauczył się nią posługiwać i po raz pierwszy pozwolono mu pracować w polu. Arin zabrał go pod las, gdzie wioskowe świnie spędzały lato na ryciu i tarzaniu się w błocie, żeby pomógł mu zagnać je do zagród. Zjedli prosty obiad nad skalistą rozpadliną wyżej, niż inni kiedykolwiek się wspięli, w miejscu pokazanym mu przez brata w pierwszym roku, kiedy pomagał mu zaganiać świnie. Spędził kilka dni, szukając z przyjaciółmi orzechów w lesie, żartując i bawiąc się, jak inni. Wszyscy chcieli wiedzieć, czego się uczył. Kiedy wyjaśnił, że na razie polegało to na takiej samej pracy, dziwili się, dlaczego się zgodził.

– Potem będzie żołnierka – odrzekł Gird, opierając się o pagórek i spod zmrużonych powiek obserwując jedno z ulubionych drzew orzechowych.

– A na razie daje to mojej rodzinie jedzenie i miedziaki – chyba nieźle?

– Dobre jedzenie? – zapytał Amis. Był szczupły i kościsty, jak wszyscy tego roku.

Gird pokiwał głową.

– I mnóstwo. Dużo zostaje...

– Możesz zabrać do domu?

– Nie. – To było największe rozczarowanie i pierwszy wstyd. Dzielenie się jedzeniem było częścią jego życia: wszyscy dzielili się posiłkami i przegryzkami. Lecz kiedy spróbował zabrać do domu pół bochenka chleba, który i tak wyrzucono na śmieci, został surowo ukarany. – Sierżant



mówi, że to kradzież. Dają mi wystarczająco dużo, powiedział, więcej, niż jestem wart. Możliwe, choć bardzo się staram. Ale nie mogę zabrać do domu nawet piętki od chleba lub suszonej śliwki. – Pręgi nie bolały tak, jak świadomość, że nie mógł się podzielić; nie powiedział ojcu, za co został ukarany.

Terris wykonał zaciśniętą pięścią gest odpędzający zło.

– Mają złe serca. Uważaj, Girdzie, żeby nie nastawili cię przeciwko nam.

– Nigdy – odparł głośno Gird, choć wyczuwał pewną przepaść pomiędzy sobą, a przyjaciółmi. – Będę mógł dzielić się moim własnym, kiedy na to zarobię – wtedy zobaczycie. Otwarte serce, otwarte ramiona:

błogosławieństwo Pani.

– Błogosławieństwo Pani – powtórzyli chórem. Gird dopilnował, żeby włożyć do wspólnego worka garść orzechów więcej, niż inni. Całość pójdzie do zarządcy jako zapłata za prawo zbierania orzechów w tych lasach.

W trakcie zimowej biesiady ponownie stanął przed zarządcą, tym razem we dworze i zgodził się na służbę w następnym roku. Ojciec został w domu, wzruszeniem ramion kwitując troskę Girda o jego kaszel. Pomyślał, że przez dwa dni na dziesięć nie będą musieli go żywić, no i były jeszcze miedziaki. Dumą napawała go myśl, że otrzymywana zapłata pomoże przy opłaceniu dzierżawy.

Dwa dni na dziesięć oznaczały służbę co pięć dni. W krótkie, zimowe dni sierżant kazał mu uczyć się liter i rachowania. Gird nienawidził tego.

Siedzenie ze zziębniętymi stopami i zgrabiętymi dłońmi nad tablicą pełną tajemniczych znaków było o wiele trudniejsze od noszenia wody ze studni, nawet jeśli oznaczało to konieczność uprzedniego rozbicia warstwy lodu.

W domu całkiem nieźle szło mu obliczanie nacięć na patykach, używanych przez rolników do liczenia stad i monet. Tutaj jednak brakowało użytecznych podpowiedzi... po słowach nie można było poznać, kto je napisał. Bez wskazówki, że te liczby należały do Odera – a każdy wiedział, że Oder miał tylko dziesięć owiec – trzeba było odczytać wszystkie słowa i cyfry, by ustalić, co oznaczały.

Część żołnierzy wyśmiewała jego wysiłki.

– Twardogłowy – rzucił jeden z nich, łysiejący rudzielec, którego Gird do tej pory raczej lubił. – Może wiedza będzie ci lepiej wchodzić, jak zrobimy dla niej dziurę?

– Wtedy prędzej wypadnie przez nią jego mały rozum – powiedział inny. – Myśli rękoma i nogami, jak większość wieśniaków.

Gird próbował skupić się na znaczkach, które w chybotliwym świetle świecy zdawały się skakać i podrygiwać. Czy symbol oznaczający trójkę powinien być napisany w tę, czy w tamtą stronę? Poruszał palcami, starając się zapamiętać. Miecz sierżanta znajdował się po tej samej stronie, co ta ręka... Zmieszany potrząsnął głową.

– Masz – powiedział rudy, podając mu dwa kamyki. – Weź je do ręki – nie, do tamtej – i trzymaj. Teraz nazwij ją lewą ręką, dobrze? Ręka z kamieniami. Część znaków należy do ręki z kamieniami, a część do pustej ręki – tyle chyba zapamiętasz, co?

Może i tak, ale był wściekły. Zacisnął zęby, walcząc z pokusą. Wtrącił się sierżant.

– Zostaw go, Sлагin. Z tymi kamykami to dobry pomysł, ale daj mu już spokój. Niektórzy chłopcy potrzebują więcej czasu, to wszystko. No dobrze, Gird, kucharz potrzebuje wody.

Do wiosny jedzenie do syta przez dwa dni na dziesięć odniosło widoczny skutek. Zawsze był lepiej zbudowany od większości rodzeństwa.

– Po moim bracie – mówił ojciec, mając na myśli wuja, który umarł przed narodzinami Girda. Teraz na szerszych barkach pojawiło się więcej mięśni. Urósł o dwa palce; koszula zrobiła się przyciasna. Tego lata bez trudu niósł kosz ze śliwkami.

Przez cały rok pracował przez dwa dni na dziesięć, a jego rodzina przyzwyczaiła się do myśli, że niemal na pewno zostanie żołnierzem. Ojciec nadal uczył go pracy na roli, lecz z mniejszą gorliwością. Matka oddała jego starą koszulę i uszyła nową, nie prosząc go już o zostanie w domu. Bracia przyznawali między sobą, że życie stało się nieco lżejsze, odkąd jadał gdzie indziej, a co kwartał dostawali trochę miedzi. Rauf spróbował raz sprowokować go do bójki, nazywając tchórzem, lecz Gird się wycofał. Kilka miesięcy później przeszedł na drugą stronę drogi, żeby go ominąć. A przyjaciele wyglądali na zadowolonych, kiedy spotykał się z nimi w wolnych chwilach, których nikt nie miał zbyt wiele.

Tak oto, w Śródzimie złożył zarządcy przysięgę i rozpoczął szkolenie rekruta. Sypiał w koszarach i uczył się wojennego rzemiosła.

## Rozdział 2

– Wasza przysięga złożona zarządcy to jedno – oznajmił sierżant Mager. – Ale to mnie musicie zadowolić.

Gird stał niepewnie w nowym, pomarańczowym mundurze w towarzystwie trójki rekrutów z innych wsi, a sierżant przechadzał się przed nimi w tę i z powrotem. Reszta żołnierzy siedziała w środku, radując się zimową biesiadą. Tkwili na tak dobrze mu znanym tylnym dziedzińcu, a lodowaty wicher chłostał im skórę.

– Jeżeli podołacie szkoleniu – ciągnął sierżant – złożycie przysięgę naszemu panu lub jego strażnikowi. Udacie się tam, dokąd was pośle i będziecie toczyć jego bitwy do końca waszego żołnierskiego żywota. Część z was – nie spojrzał na Girda – rozpoczęła szkolenie jako chłopcy. Nie powinniście jednak sądzić, że dużo już wiecie. Wszyscy zaczynacie równi sobie.

„Równi” oznaczało najniższy poziom. Starsi rekruci, których na oczach Girda szturchali i zastraszali dojrzałsi mężczyźni, teraz szturchali i zastraszali nowych. Gird nie był już pomocnikiem kucharza, nadal jednak nosił wiadra wody, szorował podłogi, a dodatkowo musiał utrzymywać w czystości swój mundur i naprawiać go w razie potrzeby. Stanowiące część umundurowania buty chroniły jego stopy przed śniegiem, lecz niemiłosiernie obcierały, dopóki nie nauczył się owijać ich w nasączoną oliwą wełnę. Dotąd nigdy nie musiał robić z łóżkiem nic, prócz walki z braćmi o przykrycie; teraz miał obowiązek wygładzać materac i zwijać koc równie ciasno, jak pozostali. A z braku pomocnika cała czwórka nowych rekrutów zobowiązana była do zmywania.

Mimo to nikt nie narzekał. Podobnie jak Gird, wszyscy byli synami

rolników, z wyjątkiem jednego, którego ojciec był wolnym najemcą. Warto było znosić wszelkie zniewagi dla brzucha pełnego przez całą zimę i ciepłego miejsca do spania. Stopniowo przyzwyczaili się do wystarczającej ilości jedzenia, własnej pryczy z ciepłym kocem, całych ubrań i butów.

Gird miał nadzieję, że szybko przejdą do ćwiczeń z bronią, lecz sierżant miał inne priorytety. Jak oznajmił, patrząc twardo na Girda, najpierw wszyscy nauczą się liter na tyle dobrze, by móc wypełnić proste rozkazy. Nauczą się rachować, żeby móc pomagać zarządcy lub jego przedstawicielom podczas zbierania podatków. Ci, którzy przybyli z pobliskiego miasteczka, potrafili już trochę czytać i używali tablic z kamykami do liczenia. Nie wspomniał o codziennych sesjach z literami, wciąż będących istną torturą dla Girda.

– Nigdy nie zostaniesz sierżantem, jeśli tego nie opanujesz, Girdzie – ostrzegał go oficer. Gird zaczynał dochodzić do wniosku, że wcale mu nie zależało, skoro bycie sierżantem pociągało za sobą czytanie, pisanie i liczenie. Widział równie dokładnie, jak własną dłoń na stole, ile nóg miały dwie owce, ale na myśl o zapisaniu tego zimny pot spływał mu po twarzy. Był w tym najslabszy, za to najsilniejszy fizycznie. Sierżant upierał się, że wcale tak nie musiało być, że wielu siłaczy szybko uczyło się czytać. Gird przyglądał się uważnie innym, zastanawiając się, co mieli w głowach.

Walczył. Znał wszystkie litery i cyfry, potrafił odczytać najprostsze słowa i nagryzmolić własne imię. Lecz mimo wysiłków, nie było mu łatwo.

Oprócz tego, musieli uczyć się o domenie pana: prawidłowego zwracania się do hrabiego, zarządcy i różnych oficerów, którzy przeprowadzali inspekcje. Nazw wszystkich wsi i ich przywódców oraz imion sierżantów

we wszystkich miejscach stacjonowania straży. Po wstąpieniu na pańską służbę mogli zostać wysłani do dowolnej części jego włości. Większość ludzi służyła z dala od domów, przynajmniej dopóki nie wyrobili sobie pewnej pozycji w służbie. Gird nigdy nie rozważał na poważnie takiej możliwości, że opuści dom i doń nie powróci. Pójście na wojnę to jedno, ale zostawienie wioski – jedyne miejsce, jakie znał – żeby prowadzić życie gdzieś indziej, było czymś nowym i niepokojącym. Zmarszczył brwi, lecz nic nie powiedział. Przynajmniej było to lepsze od czytania i pisania. Lista umiejętności ciągnęła się i ciągnęła. Musieli znać prawidłowe nazwy każdego sprzętu w koszarach, od narzędzi używanych przy paleniskach po wiszący na ścianach oręż. Istniała nie tylko nazwa każdej broni, lecz również każdej jej części i każdego manewru, jaki można było z nią wykonać.

Kiedy wreszcie zaczęli coś, w czym Gird rozpoznał szkolenie wojskowe, okazało się, że nie różniło się ono zbyt wiele od chłopięcych zabaw. Zapasy – przez całe życie mocował się z innymi chłopakami. Był w tym dobry. Kiedy sierżant zapytał go, czy wydaje się mu, że wie, jak się walczy, odpowiedział szybko, że tak i wystąpił naprzód. Ktoś zachichotał, ale Gird nie zwrócił na to uwagi. Śmiali się ze wszystkiego, co robili rekruci, niezależnie od tego, czy robili to dobrze, czy źle. Zmierzył wzrokiem łysiejącego rudzielca, z którym miał się uczyć i zgiął ramię, wchodząc w zwarcie, jak zawsze robili chłopcy. Nagle pochwyciło go coś, jakby konar drzewa i poczuł, że leci w powietrzu, by po chwili wyrznąć mocno w zimną, kamienną podłogę.

– To nie zabawa – oświadczył spokojnie jego partner. – Spróbuj jeszcze raz. – Pięć upadków później, kiedy Girdowi brakowało już tchu, był cały

poobijany i stanowczo mniej buńczuczny, a rudy mężczyzna nawet się nie spocił, sierżant przerwał walkę.

– Teraz wiesz, czego nie wiesz. Przekonany?

– Tak jest, sir.

– Pamiętajcie: jeśli będziemy musieli porozbijać wam głowy, by wpuścić do środka trochę rozumu, uczynimy to. – Sierżant mówił poważnie, lecz Gird uśmiechnął się. To miało sens. Ojciec powtarzał mu to samo, a chłopiec przekonał się, że ma głowę twardszą od innych.

Oprócz zapasów mieli musztrę. Gird odkrył, że ją lubi, choć miał kłopoty z paroma manewrami; niejednym razem obrócił się w złą stronę i został podeptany, i szturchnięty po przyłapaniu przez sierżanta. Za to kiedy wszystko wychodziło, kiedy wszyscy ćwiczący zlewali się w jedno ciało, a buty wybijały na kamieniach wspólny rytm, czuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. To była prawdziwa żołnierka, coś, co mieszkańcy wioski mogli obserwować i rozpoznać, coś, czym można było się popisać. O ile sierżant pozwoli im kiedyś przekroczyć bramę, na co nie zgadzał się od dziesiątków dni.

Pewnego zimowego dnia zjawili się owczarze z prośbą o pomoc w zapolowaniu na watahę wilków. Zarządca zgodził się i sierżant dosiadający mocnego kasztanka wyprowadził ich w mroźny, ponury dzień, bez słońca i śniegu. Pierwszy raz Gird maszerował w mundurze drogą przez wieś, a jego młodsza siostra wyglądała zza bezlistnego żywopłotu i odważyła się nieśmiało mu pomachać. Nie mógł jej odpowiedzieć – sierżant na pewno nie spuszczał z niego oka, choć jechał z przodu. Niemniej, wiedział, że patrzyła i podziwiała starszego brata tak, jak pewnego dnia podziwiać go będą wszyscy. Wyobrażał sobie zachwycone

spojrzenia wieśniaków, których stada ocalił przed wilkami lub folokami, albo ochronił ich przed bandytami.

Podobało się mu polowanie na wilki, choć wraz z resztą niedoświadczonych rekrutów spędził trzy pełne dni na przemierzaniu zimnych, wilgotnych lasów i jeszcze zimniej szych pastwisk w poszukiwaniu wilczych tropów. Niedługo potem zrozumiał, że sierżant nie spodziewał się, żeby jakieś znaleźli – od tego był stary, pomarszczony tropiciel z psami – ale trzymało ich to z dala od kłopotów i prawdziwego polowania. Powrócili w chwale udanych łowów, za szczęśliwcami, którzy ubili dwa wilki i nieśli je przez wioskę (Gird i dwaj inni rekruci dźwigali je przez większą część drogi powrotnej, podczas gdy myśliwi opowiadali sobie z detalami, jak każda włócznia wbijała się w cel).

Z nadejściem wiosny coraz więcej czasu spędzali na zewnątrz na czynnościach, uznawanych przez Girda za żołnierkę. Musztra i długie marsze po polach i pastwiskach. Strzelanie z łuków i to nie prostych i słabych, z jakich wieśniacy polowali na ptactwo w lasach, tylko zakrzywionych, do naciągnięcia których potrzebował wszystkich sił. Uczyli się posługiwania pałkami i maczugami, fechtując w parach, a później ze starszymi rekrutami. Gird uzbierał pokaźną kolekcję otarć i siniaków, samemu zadając podobną ilość.

Z upływem roku dni wydłużały się. Tak samo jak rolnicy, żołnierze musieli brać udział w pracach przy trakcie – wówczas Gird zamieniał broń na szpadel. Zawahał się przed wbiciem go w zamulony rów: czy przypominało to orkę? Czy nie powinien dokonać wiosennego rytuału złożenia ofiary przed zanurzeniem żelaza w glebę Alyanyi? Wymamrotał pospieszne przeprosiny, zauważając wbity w siebie nieprzychylny wzrok



sierżanta. Będzie musiało wystarczyć. Nie zamierzał okazać braku szacunku i w swoim czasie przyniósł polne kwiaty do koszarowej studni. Choć sierżant wyrzucił je bez słowa komentarza, Pani z pewnością zrozumie.

Powinien był wiedzieć, że jego mamrotanie zostanie zauważone. Właśnie odrzucał na bok drugi szpadel mokrej gliny i liści, kiedy obok niego pojawił się sierżant.

– Co powiedziałaś, Girdzie?

– Ja tylko poprosiłem Panią o pokój, sir, przed wbiciem w ziemię żelaza. Sierżant westchnął donośnie i rozejrzał się na obie strony, upewniając się, że pozostali ciężko pracowali.

– Girdzie, jako chłopski syn oddawałeś cześć Pani, a bez wątplenia także duszkowi każdej studni, duchowi wiosny i opiekunom. Nie mam wątpliwości, kto przywiązał ten pęk chwastów do studni.

Gird otworzył usta, by powiedzieć, że to nie były żadne chwasty, tylko prawdziwe kwiaty, zerwane o poranku, jak się należało, ale powstrzymał się.

– Teraz jednak jesteś żołnierzem, a przynajmniej możliwe, że wkrótce nim zostaniesz. Potrzebujesz boga wojowników, Girdzie, a nie wieśniaczej opiekunki plonów. Bogowie wiedzą, że na równi z innymi raduje mnie szczodrość Pani i chwałę ją w trakcie zbiorów. Przestrzeganie rytuałów jest prawem rolników. Ale nie twoim. Czy zatrzymasz się, by poprosić o błogosławieństwo Pani za każdym razem, gdy będziesz dobywał stali, nawet w wirze bitwy? W ten sposób bardzo skrócisz sobie życie.

– Ale, sir...

– Nie możesz być jednocześnie rolnikiem i żołnierzem, Girdzie. Nie w

głębi twego serca. Czy twój lud nie nauczył cię niczego o bogach żołnierzy? – Gird potrząsnął głową, wciąż kopiąc. Sierżant znowu westchnął. – No cóż, to się ucz. Tir przyjmie od ciebie przysięgę żelaza, tak samo, jak ode mnie i nie będzie oczekiwać od ciebie niczego, prócz odwagi w bitwie i oddania towarzyszom. Panowie mówią, że znajduje się on poniżej ich boga, Esei... – Spojrzał Girdowi w twarz, by upewnić się, że zrozumiał. Gird przytaknął w milczeniu; jego ojciec miał wiele do powiedzenia o Esei – cudzoziemskim bogu, jak go nazywał, w odróżnieniu od ich Pani, czy Rumaka Wiatru. – Lecz dla nas to bez znaczenia – ciągnął sierżant. – Mnie wystarczy za boga, mój chłopcze, a i tobie powinien. Pomyśl o tym. I więcej żadnych kwiatów przy mojej studni, jasne?

– Tak jest, sir. – Nie sądził, że żołnierze byli aż tak odmienni. Wszyscy znali kapryśność merinów, studziennych duszków... poziom wody podnosił się i opadał, niezależnie od deszczów, a jej smak ulegał zmianie. Czy tamta studnia przy koszarach funkcjonowałaby tak długo bez właściwej opieki? Był pewny, że po złożonej przez niego ofierze woda zrobiła się słodsza. Ale nie wolno mu było sprzeczać się z własnym sierżantem.

Po pracy przy drodze i naprawie mostu po wiosennych opadach rekruci otrzymali pierwszą szansę zetknięcia się z mieszkańcami wioski. Gird spędzał większość czasu na pomaganiu ojcu i braciom w ich pracy, znajdował jednak godzinę czy dwie na spotkania ze starymi przyjaciółmi. Początkowo jego rosnąca siła i umiejętności robiły na nich wielkie wrażenie, lecz nie trwało to długo.

– To nieuczciwe – uznał Teris, kiedy Gird po raz trzecia łatwością powalił go na ziemię. – Wykorzystujesz żołnierskie sztuczki przeciwko przyjaciołom i to jest nie w porządku. – Odwrócił się od niego. Pozostali

również.

– Ale ja... – zaczął Gird, patrząc na ich plecy. Wiedział, co tamten miał na myśli. Jeśli odwróć się od niego, nie będzie miał we wsi nikogo, prócz rodziny. A ostatnimi czasy rodzina denerwowała go narzekaniem na jego postawę. Sierżant zakazał mu pamiętać o rytuałach Pani, oni zaś nalegali, by wszystkich dokładnie przestrzegał. Nie mógł stracić przyjaciół, nie teraz. – Ja... ja was nauczę – zaproponował. – Wówczas będzie sprawiedliwie.

– Naprawdę? – Teris odwrócił się z powrotem do niego.

– Oczywiście. – Gird odetchnął głęboko. Sierżant mógł sobie uważać, że on nic nie umiał – przynajmniej ciągle to powtarzał – tutaj jednak umiał więcej od innych. – Możemy udawać, że jesteśmy oddziałem straży... że mamy sierżanta i kapitana...

– Pewnie będziesz chciał być tym kapitanem – rzucił Kev.

– Jeżeli będzie nas uczył – wzruszył ramionami Teris – to może być kapitanem. Na razie.

– Będziemy potrzebować płaskiego pola – powiedział Gird. Pomyślał, że nauczy ich maszerowania. Może, jeśli będzie ich uczył, sam nie zapomni komend. Gdzieś z tyłu głowy kołatało się mu wspomnienie przysięgi, że nie będzie uczył sztuki wojennej „chłopów i prostaków”. Ale maszerowanie nie było żadną sztuką walki. Wszyscy tego próbowali w dzieciństwie, po prostu nie wiedzieli, jak to robić dobrze. Zapasy też nie zaliczały się do sztuk wojennych – nikt nie wygrywał bitew dzięki zapasom. Zaś łucznictwo... wszyscy chłopcy bawili się łukami. Niemniej, zadbał o to, by płaska łączka, na którą się zdecydowali, nie była widoczna z posterunków straży.

Po kilku tygodniach drużyna Girda poruszała się wokół pastwiska ze sporą sprawnością. Krok po kroku, tak jak nauczył się tego od sierżanta, przekazywał swą wiedzę przyjaciołom.

– Małe grupy nazywają się oddziałami – powiedział pewnego dnia. – Jest nas wystarczająco wielu, by utworzyć trzy takie grupy; to zupełnie, jak udawać armię. Każdy oddział ma dowódcę i maszeruje razem; z tym można już coś zrobić. – Zbudowali fort z darni i ćwiczyli natarcia.

Zwłaszcza Teris wykazał się smykałką do tego; zapamiętywał wszystko, co mówił Gird i to już za pierwszym razem.

Dzieląc się wiedzą z przyjaciółmi, Gird poczuł, że jego życie żołnierza dobrze się rozpoczęło. Przez pierwsze lato jako rekrut cały swój wolny czas spędzał z nimi i nie widział powodów, dla których ich stara przyjaźń miałaby się kiedykolwiek zakończyć. Żałował, że nie mógł pokazać ich sierżantowi. Gdyby mógł ich szkolić, uczyłby się samemu, prawda?

Lecz z biegiem czasu przyjaciele Girda pracowali coraz ciężiej i nie mieli wolnych chwil na chłopięce zabawy. Najpierw jeden, potem drugi przestał uczestniczyć w musztrze; wkrótce odmówili pozostali. Woleli leżeć w trawie i rozmawiać o sprawach, o których Gird nie miał pojęcia: czyj brat adorował czyją siostrę, która rodzina mogła mieć w tym roku kłopot ze spłaceniem daniny za pole i innych tego typu wioskowych plotkach. Kiedy próbował przekonać ich do maszerowania lub zapasów, obdarzali go spojrzeniami, które jego sierżant określał jako uparte i głupie. Poddał się, żałując, że nie mógł żyć w dwóch miejscach jednocześnie.

Po żniwach sam miał mniej czasu, a przez zimę rzadko zaglądał do wsi. Rekruci rozpoczęli naukę władania mieczem i nawet Gird zdawał sobie sprawę, że nie wytłumaczyłby się z uczenia przyjaciół używania ostrej

broni, nawet gdyby takową mieli. Ale nikt jej nie miał – najostrzejsze z praw zakazywało każdemu, prócz żołnierzy, posiadania oręża i nawet wolni kowale bali się kary za złamanie tej reguły. Poza tym, sierżant wciąż nalegał, żeby uczył się czytania i pisania. Żaden z jego przyjaciół tego nie potrafił, ani o to nie dbał. Ojciec przyznał, że czytanie to pożyteczna umiejętność, choć wcale nie był pewny, czy rolnikowi wypadało ją znać. Gird już otwierał usta, żeby powiedzieć, że nie był rolnikiem, lecz zaraz je zamknął. W tym sęk i wszyscy świetnie o tym wiedzieli.

Pomiędzy nimi narastały bariery. Nie mógł powtórzyć innym, co sierżant mówił o Alyanyi, ani wyjawić, co czuł. Nawet związane ze zbiorami rytuały wydawały się mu trochę głupie: splatanie źdźbeł słomy, powiązany w supły sznur wokół ostatniego snopka, wszystko w co wierzyli wieśniacy, a było to tak odległe od jego przyszłości żołnierza. Czuł się winny, przysłuchując się żartom strażników – to byli jego ludzie, rodzina i krewni. Żałował, że rolnicy nie byli w stanie zaimponować żołnierzom, że nie byli bardziej wojowniczy, aby mógł czuć dumę z ich postawy.

Pozostawała jeszcze kwestia żołnierskiej dyscypliny. Gird potrafił znieść kilka razy za popełniony błąd, czy chłostę za powrót po pijanemu z zabawy po żniwach i wyśpiewywanie „Zbierania orzechów po lesie”. Bicie przez innych nie było gorsze od grzmocenia go przez Raufa i starszych chłopców, kiedy był mały. W wielu rodzinach było równie ciężko: ojciec nie jeden raz garbował mu skórę pasem, a najstarszy brat bijał go regularnie, dopóki nie ożenił się i nie wyprowadził.

Nie lubił jednak czynienia tego innym. Za nieumiejętne obchodzenie się z mieczem, Keri, chłopak z dalszej wioski, otrzymał od sierżanta karę, w której mieli uczestniczyć wszyscy. Gird powiedział sobie, że ktoś, kto nie

był w stanie wytrzymać kilku uderzeń, nie poradziłby sobie w bitwie, wołał jednak nie myśleć, które sińce na twarzy chłopca pozostawiła jego pięść. Miał opinię silnego lecz pozbawionego agresji i nieco zbyt delikatnego. Sierżant pokręcił głową, widząc, jak odrzuciło go ukaranie Keriego.

– A ja myślałem, że będziesz kłótniwy i chętny do bójki. Cóż, tak jest nawet lepiej, jak długo nie będziesz miał nic przeciwko zabijaniu wrogów. Pamiętaj jednak chłopcze, że wojaczka nie jest dla ludzi o miękkich sercach i słabych żołądkach. – Był pewny, że nie będzie miał problemów podczas bitwy; brzydziło go tylko atakowanie bezbronnego. Kolejna rzecz, którą nie mógł podzielić się z przyjaciółmi z dzieciństwa; wiedział, że nie zrozumieliby go.

Po zimowej biesiadzie, pod koniec zimy natknął się w koszarach na inny problem. Trzej żołnierze z Finyathy, przysłani tutaj z posiadłości hrabiego, czcili Liarta. Gird nie słyszał o Liarcie aż do tej drugiej zimy, kiedy pewnej nocy wracając z wychodka, ujrzał całą trójkę, kucającą przed paleniskiem i trzymającą coś piszczącego. Kiedy go usłyszeli, jeden z nich zerwał się na równe nogi.

– Wynocha stąd! – zawołał. – Albo pożałujesz, na łańcuch Liarta! – Niepewny, co zrobić, udał się do sierżanta i zobaczył, jak tamtemu ściąga się twarz.

– Liart, tak? Łańcuch Liarta? Ja im dam łańcuch Liarta! – Po czym wybiegł z krzykiem. Poszedł prosto do zarządcy i powrócił wstrząśnięty. – Bóg wojny jest bogiem wojny – oznajmił im w mizernym blasku zimowego poranka. – Nasz pan nie ma nic przeciwko wybraniu sobie Liarta za boga.

Gird próbował pytać, lecz zrugano go za ciekawość. Dopiero później jeden z żołnierzy, Kadir, wszystko mu wyjaśnił.

– Wyznawcy Liarta kupują sobie jego przychylność krwią, a mówi się, że najbardziej ceni sobie ofiarę, która nie przychodzi lekko... rozumiesz? –

Gird nie rozumiał, ale uznał, że nie chce wiedzieć. – Łańcuch Liarta... to kolczasty łańcuch, podobny trochę do kolczastego batoga, którym w Finyathcie karze się morderców. Używają go niektórzy panowie.

Słyszałem, że kiedyś to byli złodzieje i rozbójnicy. Rzecz w tym, Girdzie, że lepiej nie mieć kłopotów z wyznawcami Liarta; jeśli zwrócą na Ciebie uwagę, z przyjemnością będą Cię męczyć. Na Twoim miejscu zacząłbym uważać.

Kilka dni później, podczas inspekcji znaleziono na jego pryczy krótki kawałek kolczastego łańcucha. Sierżant spojrzał mu w oczy. Gird przyjął karę bez słowa skargi, choć obaj wiedzieli, że to nie on go tam położył. Sam przyjął wiarę w Tira, jak poprzedniego lata zasugerował mu sierżant, choć nie złożył jeszcze przysięgi żelaza. Ta wymagała obecności Mistrza Miecza. Sierżant powiedział, że będą mieli okazję to uczynić po złożeniu przysięgi panu, kiedy zakończy się szkolenie. Sierżant przekazał mu wszystko, co powinien wiedzieć i nie przypominało to wioskowych nauk. Tak więc, kiedy wraz z nadejściem wiosny dni zaczęły się wydłużać, nagromadziło się wiele spraw, którymi nie mógł podzielić się ze starymi przyjaciółmi. Mieliby pytania, na które nie byłby w stanie odpowiedzieć – w najlepszym razie. A mogło być jeszcze gorzej. On sam zaś, dorównujący już wzrostem każdemu strażnikowi, zostanie zaprzysiężony na żołnierza w Letni Zmierzch, kiedy pan powróci do domu z Finyathy.

Później będzie wspominał tę wiosnę jako jeden z najszcześniejszych

okresów swego życia, wręcz ociekający miodem. Był młody, silny i przystojny; kiedy szedł traktem w odwiedziny do rodziny, a mosiężna odznaka służby pana lśniła i połyskiwała w słońcu, dzieci śmiały się do niego, machały rączkami i biegły za nim, wołając:

– Girdzie! Mocny Girdzie... poniesiesz mnie trochę?

Dziewczęta w jego wieku zerkały na niego, a każde takie spojrzenie było jak pieszczota. Chłopcy za duzi, by za nim łązić, bacznie go obserwowali, a kiedy przystanął, by z kimś porozmawiać, natychmiast podchodzili bliżej.

– Trudno jest być żołnierzem, Girdzie? – pytali. Czasami opowiadał im o życiu w koszarach i widział, jak wytrzeszczali oczy.

Raz czy drugi otrzymał urlop, żeby udać się na potańcówkę w owczarni, gdzie bawili się młodzi mężczyźni i dziewczęta. Był jeszcze za młody – mógł tylko patrzeć – ale podobała się mu muzyka i ostrożne spojrzenia, jakimi go obrzucano. Starzy przyjaciele nadal z nim żartowali, lecz nie odważyli się mocować, ani siłować na rękę. Nie dbał o to; nie chciał wyrządzić im krzywdy, a wiedział, że mógłby.

Nawet w domu było miło. W oczach ojca wciąż widział troskę, lecz starsi bracia nie ukrywali dumy z brata-strażnika. Jego rówieśnicy pozostawali „chłopcami” – zbyt młodzi na ożenek czy odziedziczenie gospodarstwa – a większość z nich była młodszymi synami. Wołano na nich: „chłopcy Sima” lub „chłopcy Artina”. Lecz on: Gird, syn Dorthana, był znany we wsi pod własnym imieniem, do którego nawet weterani dodawali przydomek i wychodziło: „Mocny Gird”. A podczas rzadkich dni, kiedy mógł pomagać ojcu i braciom w obejściu, udowadniał, że zasłużył na to miano: potrafił przenieść więcej drewna, albo wykopać dłuższy rów.



Posługiwał się największą kosą i kosił tak samo równo, jak ojciec.

– Nie mogę powiedzieć, że zepsuli cię do pracy – oświadczył pewnego wieczoru ojciec, kiedy Gird cieszył się ostatnimi chwilami przy palenisku, zanim wróci do koszar. – Od małego byłeś pracowity. Jesteś silny, ale nie przewróciło ci to w głowie. Jednak wciąż żałuję... – Nie dokończył. Gird wiedział, co ojciec chciał powiedzieć, lecz nigdy tego nie rozumiał. Nigdy nie zapomni o rodzinie, ludziach, których nosił w sercu. A będąc tak silnym, raczej nie zginie w bitwie w dalekich stronach... wróci do nich. Czy oni tego nie pojmowali?

– Nic mi nie będzie, tato – zapewnił ojca, klepiąc go po ramieniu. – Będę dobry i pewnego dnia... – Lecz nie potrafił jeszcze wyrazić swego najskrytszego marzenia, nie wtedy. Majaczyło ono na skraju jego umysłu, na wpół widoczne w mgławicy życzeń zbyt nieokreślonych, by je wyrazić. Dokona czegoś wspaniałego, co sprawi, że sierżant i cała wieś będą z niego dumni. Co. będzie wymagać wielkiej odwagi, ale nie wyrządzi krzywdy nikomu, no chyba że złym ludziom albo potworom.

– Idź w pokoju, Girdzie, jak długo możesz – odrzekł ojciec. – Modlę się do Pani, aby wybaczyła ci służbę żelazu.

Zawsze tak mówił, co nieodmiennie irytowało Girda. Alyanya, Kwiatowa Pani, Pani Pokoju, którą co roku musieli prosić o pozwolenie, by dotknąć ziemi pługiem lub szpadlem – Gird wyobrażał ją sobie jako piękniejsze wcielenie wioskowych ślicznotek. Może Rahel o spływających na plecy lśniących, czarnych włosach, albo Estil, której doskonałe piersi kołysały się oszalamiająco przy każdym ruchu kosy podczas sianokosów.

Dziewczęta o miękkiej, pachnącej kwiatami skórze i wiosennych ciałach, przechadzające się po trakcie i nie mające nic przeciwko jego „służbie

żelazu". Dostrzegał ich spojrzenia i ukradkowe uśmiechy, podczas gdy jego rówieśnicy ze wsi nie zasłużyli sobie nawet na zatrzepotanie rzęsami. A sama Pani, jakakolwiek by nie była, z pewnością rozumiała potrzebę istnienia żołnierzy – na pewno podziwiała szerokie bary, siłę i odwagę mężczyzny ze lśniącym ostrzem w dłoni. Sierżant opowiedział mu starą legendę o Alyanyi i Tirze, w której Pani miała swego Wojownika i była bardzo zadowolona z jego służby. W domu nigdy nie słyszał tej opowieści, lecz w ujęciu sierżanta miała ona wiele sensu. Żelazo pługa i szpadla było tylko inną formą żelaza miecza czy włóczni, a zgoda Pani na jedno była równie łaskawa, jak na drugie. „Jasne żniwa – śpiewała opowieść sierżanta – zrodzone z tego weseliska, dziecię tego małżeństwa... ” I dziewczyna i Pani znają i chcą silnego ramienia – myślał sobie – oraz błyszczącej stali. Lecz nie spierał się z ojcem, jak uczynił to rok wcześniej. Jego ojciec był urodzonym rolnikiem i umrze jako rolnik – oby jak najpóźniej! – dorzucił pobożnie – a Gird nie powinien oczekiwać od rolnika, że zrozumie sprawy żołnierza.

Wracał wczesnowiosenną nocą, a gwiazdy przeglądały się w kałużach wzdłuż drogi. Nie wyobrażał sobie, by można było czuć większe szczęście. Był Girdem, synem tutejszego rolnika, który czynił dobro i znalazł sobie miejsce na dworze pana siłą ramienia i odwagą w sercu.

\* \* \*

Hrabia powrócił z królewskiego dworu. Wszyscy strażnicy czekali wyprężeni na dziedzińcu; Gird z pozostałymi rekrutami stał w drugim rzędzie. Dzięki wysokiemu wzrostowi dobrze widział kawalkadę. Pół

szwadronu strażników, wyglądających na starszych i twardszych od tych, z którymi się dotąd stykał i dosiadających krępych koni nomadów, za którymi podążało dwóch młodszych od Girda chłopców na wysmukłych wierzchowcach lekkiej budowy ciała. Dalej tańczący rumak bojowy w bogatej uprzęży, wyszywanej i ozdobionej różnobarwnymi piórami. A na rumaku ich pan – senior Girda, hrabia Seriaast Vanier Dobrest Kelaive – młodzieniec o kwaśnym obliczu, w pomarańczowych jedwabiach, czarnych rękawicach, wysokich, czarnych butach i aksamitnym, czarnym kołpaku z pomarańczowym piórem. Gird pomyślał, że wyglądał jak tykwa, która zepsuła się w spiżarni – wielka, pomarańczowa, zaatakowana grzybem tykwa.

Natychmiast zdusił w sobie tę myśl. To był jego pan, któremu przysięgał wierność i którego wiernym wasalem pozostanie do końca życia. Opuścił wzrok na konia, siodło, wysokie, błyszczące buty. Ujrzał ostrogi – widoczny symbol przynależności pana do rycerskiego stanu – składające się z długich, 'wypolerowanych bodźców, zakończonych delikatnymi, wysadzanymi klejnotami gwiazdami. Zarządca wystąpił naprzód; giermkowie zeskoczyli z koni i oddali wodze stajennym. Jeden z nich złapał za pańską uzdę, drugi przytrzymał strzemię, kiedy hrabia zsiadał. Gird chłonął każdy szczegół. Jak dotąd, miał okazję dosiadać jedynie chodzącego w kieracie muła. Lecz przyglądając się rumakowi, nie uronił nawet jednego słowa z pełnego elegancji powitania wygłoszonego przez zarządcę, jak również krótkiej odpowiedzi.

Wiedział, jak wszyscy, że młody hrabia uczył się na królewskim dworze w Finyathcie, a w tym roku, w trakcie Letniego Zmierzchu przejmie swoją domenę, kończąc rządy namiestnika. Wszystkich, lub niemal wszystkich,

bardzo to cieszyło; opowiadano sobie o surowości zarządcy. Młody pan, mówili, ich własny pan, który osiadzie nareszcie na swoich włościach, z pewnością okaże się bardziej hojny. Zarządca będzie musiał wykonywać jego polecenia, a nie wydawać własne rozkazy.

Teraz jednak, na widok młodego hrabiego, Gird przeżył chwilę zwątpienia. Pomimo wszelkich skarg na surowość zarządcy, przez większość lat nikt nie chodził głodny. Sierżant opowiadał mu o innych majątkach, na które zbójcy i wojny sprowadziły głód. Tutaj, pomimo danin, ciężko pracującej rodzinie dobrze się powodziło. Jego brat dorobił się własnego domu, a Arin wkrótce się ożeni. Czy pod rządami młodego hrabiego sytuacja jeszcze się poprawi?

Mimo wszystko Letni Zmierzch, który nastąpi już za parę dni, będzie wielkim dniem dla nich obu. Tuż po północy nastąpi inwestytura hrabiego. Nie potrafił wyobrazić sobie tych poważnych rytuałów, towarzyszących przejmowaniu dominium przez jednego z panów. Sierżant jasno dał im do zrozumienia, że to nie ich sprawa. Możliwe, że sam nigdy ich nie widział. Pamiętał krążące we wsi plotki, że obejmując urząd, panowie zyskiwali swe potężne moce. Sam jednak nigdy nie widział żadnego pana, ani nikogo o mocach większych, niżli zdolność zarządcy wykrywania prawdy. Nie był w stanie choćby wyobrazić sobie, jakimi mocami mógł władać młody hrabia. Porzucił te rozważania na rzecz własnej przyszłości. Jego awans z rekruta na szeregowca straży, jaki nastąpi następnego popołudnia, będzie częścią uroczystości i pierwszą okazją do wykazania się przez młodego pana mądrością i zdolnością do sprawowania dobrych rządów. Gird naszykował już nowy mundur, naoliwił i wypolerował każdy kawałek skóry, wyczyścił każdy metalowy element.

Przeniósł wzrok na resztę dworu. Za rumakiem hrabiego kroczyły dalsze, w równie bogatych czaprakach, należące do młodej szlachty w jedwabiach i futrach, pocącej się we wczesnoletnim upale. Młode damy, otoczone pokojówkami i opiekunkami, dosiadały z gracją koni podkutych podkowami pomalowanymi na złoto i srebrno. Zaczęły zsiadać z furkotem wstążek i szerokich rękawów, rozszczebiotane niczym stado ptaków na polu. Młody pan minął zgiętego w ukłonie zarządcę, wprowadzając świtę do dworu, a Gird poczuł dreszcz podniecenia. Prawdziwy świat, wielki świat królewskiego dworu, zewnętrzny świat, którego nigdy nie widział, przybył do niego, do jego własnej wioski, a on stanie się jego częścią.

### Rozdział 3

Za masywną bryłą pańskiego dworu znajdowały się okolone murem ogrody. Na wschodzie sad ze schludnie przyciętymi śliwami i gruszami oraz opartymi o wschodnią ścianę rzadkimi brzoskwiniami. Na zachodzie zaś długie rabaty warzyw: kopce kapusty, przypominające rzędy kul, nastroszone, niebieskawo-zielone łodygi cebul i porów, rozrastająca się na wszystkie strony gęstwina lebiody. Każdy ogród otaczały dziesięciostopowe, kamienne mury, chroniące go przed złodziejaskami i zabłąkanym bydłem. Lecz nie przed odważnym chłopcem, na którym przez resztę życia będzie ciążyło odium złodzieja śliwek lub gruszek z pańskiego ogrodu.

Meris, syn Arica, obecnie uczeń garbarza, rok temu wziął sobie niedojrzałą śliwkę. W tym roku postanowił zerwać i rozdać cały worek i to dojrzałych. Doskonale wiedział (jego wujek był najlepszym przycinaczem drzew owocowych i pielęgnował je dla pana), że najlepszą śliwą w pańskim sadzie było stare drzewo w samym jego środku, ostatnie ocalałe z całego rzędu szczepów z królewskiego ogrodu w Finyathcie. Jej owoce dojrzewały wcześniej, tuż przed Letnim Zmierzchem – średnich rozmiarów, czerwonawe i jajowate, o srebrnych kwiatach i żółtym miąższu.

Wydawało się mu, że przybycie młodego hrabiego będzie doskonałym momentem na taki wypad. Pan i jego świta będą zajęci, a niemal wszyscy będą z zapartym tchem podziwiać wjazd na" frontowym dziedzińcu. W związku z czym, jak tylko pierwsze rogi zagrały na polu, zwiastując zbliżanie się kawalkady, Meris porzucił zeskrobywanie włosia z namoczonej skóry, nad którą pracował i poprosił mistrza o wypuszczenie

go wcześniej.

– Och, tak, a jeśli nie, będziesz taki podekscytowany, że pewnie zrobisz dziurę. Bardzo dobrze... odłóż skórę do zalewy i zmykaj. Ale dokończysz ją przed kolacją, Merisie, choćbyś miał jeść o północy.

Perspektywa napełnienia brzucha pańskimi śliwkami sprawiała, że wizja późnej kolacji była ostatnią rzeczą, jaką przejmowałby się Meris.

Podziękował z uśmiechem i wybiegł z garbarni. Wszystko, czego potrzebował, ukrył w kępie, krzaków na wschód od hrabiowskiego muru: splecioną z surowej skóry linę z zaciskającą się pętlą. Inni chłopcy korzystali z pożyczonych drabin; słyszał też o pomocniku kowala, używającym przywiązanego do liny haka, on sam odkrył jednak, że niemal zawsze pętla znajdzie konar, na który będzie można się wspiąć. Dzięki niewielkiej pomocy liny i zręczności bosych stóp na szorstkiej powierzchni kamiennej ściany, zawsze udawało się mu przeleźć na drugą stronę. A postronek z niewyprawionej skóry, pozbawiony haka lub innego urządzenia, nigdy nie budził podejrzeń strażników. Raz go znaleźli i Meris przyglądał się z krzaków, jak zostawili go, wzruszając ramionami.

Pasterska pętla, uznali, zgubiona przez gapiowatego pomocnika. Niech chłopaka spotka kara ze strony opiekuna i splecie nową.

Czaił się teraz w tej samej kępie krzaków, obserwując strumień ludzi schodzących ze wschodnich pól. Po pewnym czasie nikt już go nie mijał. Zza narożnika dobiegły odgłosy zamieszania we wsi. Niech rośnie, pomyślał. Niech przyjedzie pan. Odczekał jeszcze chwilę, po czym rozejrzał się dokoła. Nikogo, choćby stadka w oddali. Wykonał szeroki, wypraktykowany zamach i przerzucił pętlę ponad murem. Usłyszał szelest liści i pociągnął. Pętla zacisnęła się. Szarpnął. Trzymała.

Odsunął się nieco od muru, a następnie wskoczył w górę i znalazł uchwyt dla palców, a potem następny. Kiedy nie mógł wymacać kolejnych, posiłkował się liną, lecz przeważnie wystarczała zręczność i umiejętność wspinaczki. Położył się płasko na szczycie muru i ostrożnie zlustrował wzrokiem okna na tyłach dworu. Raz został dostrzeżony przez służącego i niemal schwytyany. Lecz tym razem, zgodnie z oczekiwaniami, nic nie ruszało się za szybami. Wszyscy musieli gapić się na dziedziniec i wjazd młodego pana. Wciągnął linę i zwinął ją na szczycie muru. Od środka mógł wspinać się nań po jednej z rosnących nieopodal gruszy; potrzebował liny tylko do dostania się do środka. Tym razem jednak zamierzał wykorzystać ją do spuszczenia worka z ukradzionymi owocami. Sprawdził go, rozejrzał się ostrożnie dokoła i szybko zszedł po pniu gruszy na miękką trawę pod drzewami.

Z dziedzińca dobiegły fanfary trąbek; uśmiechnął się. Absolutnie zgodnie z planem: całkowita cisza w ogrodach i wszyscy z przodu, wgapieni w hrabiego. Głupio. Zamierzał pójść tam na wystarczająco długo, żeby wszyscy go zobaczyli, więc czym się przejmować? Meris rozejrzał się, wciąż zachowując ostrożność. Ani śladu człowieka. Jedna z bram pomiędzy sadem a warzywnikiem stała otworem; widział połyskujące główki kapusty i szczypior cebul.

Ruszył naprzód. Żadna z gruszy nie miała dojrzałych owoców, choć wszystkie ugięły się pod ciężarem zielonych gruszek. Jedna ze złotych śliw dojrzała; na trawie leżał pojedynczy owoc. Meris podniósł go i ugryzł. Nagrzana od słońca i słodka; sok spłynął w głąb przełyku. Wypluł skórkę na trawę i wrzucił kilka złocistych śliwek do worka. Z innego drzewa zabrał parę czerwonych i wkrótce znalazł się pod staruszką,



„królewskim drzewem”, jak nazywał ją wujek.

Oblepiały ją dojrzałe owoce; widocznie zarządca postanowił zostawić je, by sprawić przyjemność młodemu panu. Meris doskonale wiedział, że zwykle owoce zbierano każdego dnia, by uchronić je przed ptakami i osami. Tutaj jednak gałęzie uginały się pod ciężarem śliwek, a jeszcze więcej zaściełało trawę dookoła. Wszędzie brzęczały osy; powietrze przesycone było śliwkowym aromatem. Meris podszedł bliżej i zaczął zbierać owoce, uważając na owady.

Niemal napełnił worek, kiedy usłyszał otwierające się drzwi na drugim końcu ogrodu. Obejrzał się przez ramię. Ceremonia powitalna z pewnością powinna potrwać dłużej! Niczego nie widział między drzewami, usłyszał jednak zbliżające się głosy. Chcąc wrócić, musiałby przeciąć centralną ścieżkę, gdzie zobaczyłby go pilny ogrodnik, który pewnie właśnie wrócił do pracy. Jednak po tej stronie, tylko kilka kroków od niego, znajdowały się otwarte drzwi do warzywnika. Był pewny, że prześcignąłby każdego ogrodnika, lecz mógł zostać rozpoznany. Gdyby zdołał się ukryć, choć na chwilę...

Cichutko przemknął przez furtkę do warzywnika, nadal nie widząc właścicieli zbliżających się głosów i znalazł się na nieznanym sobie terenie. Po lewej, aż do ściany stajni, ciągnęły się grządki kapusty i cebuli. Przed nim wyrastały wysokie tyczki do pasa obrośnięte fasolą. Za kilka tygodni urosną do odpowiedniej wysokości, teraz jednak musiał wczołgać się pomiędzy paliki. Kiepska kryjówka i odległa od muru. Po prawej stronie rosła niska lebioda i warzywa o pierzastych liściach, jakich nigdy przedtem nie widział. Mur, który pokonał, dostając "się tutaj, porastały pnącza o pomarańczowych liściach, przycięte około stopy poniżej górnej

krawędzi. W całym olbrzymim ogrodzie nie widział żywej duszy, ale również żadnych kryjówek na wypadek, gdyby ktoś się pojawił.

Przywarł do muru przy otwartej furtce i nasłuchiwał. Chrapliwe głosy sugerowały strażników. Może pan wysłał ich, żeby wszystko sprawdzili, choć Meris uważał, że powinien był zaufać tutejszemu sierżantowi. Głosy minęły go, po czym wróciły. Towarzyszyło im ciche brzęczenie metalu o metal. Na pewno strażnicy. Ośmielił się wyjrzeć i zobaczył szerokie plecy w pomarańczowej tunice w czarne pasy. Nie znał ich. A więc strażnicy, którzy przyjechali z młodym hrabią. Przeszli. Wsłuchiwał się w ich ciężkie kroki oddalające się główną ścieżką.

Uśmiechnął się do siebie. Nie opuszczało go szczęście. Wiedziony szalonym impulsem doskoczył do grządek i wyrwał z ziemi dwie cebule, po czym wepchnął je do worka. I pora. Rolnikom nie wolno było uprawiać porów – kuzynów cebuli sprowadzonych z dalekiego południa, jak zawsze słyszeli. Czasami w dni targowe sprzedawano je po bardzo wysokich cenach. A teraz będzie miał własnego pora, całego dla siebie. Mógłby go nawet zasadzić pod lasem i wyhodować więcej. Wstał.

– Hej, ty tam! – W czasie, gdy zajmował się porem, przez wrota stajni wszedł do warzywnika jeden z ogrodników. Meris nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń; pomknął prosto do furtki do sadu. Za jego plecami do krzyku ogrodnika dołączali inni. Zatrzasnął furtkę za sobą i założył skobel; to ich spowolni. Pobiegnął między drzewami, a worek ze skradzionymi owocami objął mu biodro.

Nie zauważył spacerującej główną ścieżką grupy ludzi, dopóki nie wpadł na nich, przewracając na ziemię jednego z mężczyzn. Usłyszał piskliwe okrzyki i głębsze wrzaski wściekłości, i pognął dalej, odtrącając na bok

łapiącego go za ramię. Miał wrażenie, że sad rozrósł się wzdłuż i wszerz. Gałęzie drzew chłostały go po twarzy. Za plecami słyszał tupot ciężkich stóp strażników. Dotarł do muru i wspiął się na gruszę ze zręcznością kota uciekającego przed wilkiem. Zamarł na chwilę na czubku drzewa.

Strażnicy byli za ciężcy, żeby wspiąć się za nim, pomyślał. Oczywiście, przyniosą drabiny... Dostrzegł pomarańczowy błysk pod drzewami; ktoś krzyknął. Nie zastanawiając się wiele, wyjął z worka cebulę i cisnął w kształt poniżej. Kolejny krzyk; odwrócił się, żeby skoczyć w gąszcz u podnóża muru. Będzie musiał zaryzykować zgniecenie owoców. Nie miał czasu na ostrożne opuszczenie ich; po prawdzie, powinien je porzucić, jeśli nie chciał zostać złapany.

\* \* \*

Sierżant trzymał ich na dziedzińcu, mimo iż hrabia zniknął we dworze. Mógł wyjść z powrotem na zewnątrz; poza tym, przy bramie wciąż kręcili się wieśniacy. Gdy usłyszeli hałas i budzący echa wrzask z budynku, sierżant natychmiast posłał tam oddział. Niemal zaraz po tym, jak zniknęli za drzwiami, wypadli na zewnątrz i pognali do bramy. Gird i rekruci domyślali się, że coś się stało, ale nie wiedzieli co; sierżant uciszył ich przekleństwami, kiedy zapytali, a w końcu odesłał do koszar. Tam przestępowali z nogi na nogę, nerwowi jak źrebięta w zagrodzie. Nie odważyli się usiąść na pryczach przygotowanych do inspekcji; nie odważyli się robić niczego w obawie, że postąpiłoby źle.

Niedługo później wezwano ich z powrotem. Gird jeszcze nigdy nie widział tak ponurego sierżanta; nikt nie odważył się odezwać. Pospiesznie ustawił

ich w szyku i raz jeszcze wymaszerowali na dziedziniec. Tym razem nakazano im utworzyć linię dzielącą plac na dwie części. Po jednej stronie stali: hrabia, zarządca i strażnicy. Po drugiej – wieśniacy, tłoczący się za Girdem i pozostałymi rekrutami. A pomiędzy nimi, z koszulą zdartą z połowy pleców, tkwił Meris, syn Arica.

Gird w osłupieniu przyglądał się tej scenie. Znał Merisa od dziecka; młodszy chłopiec słynął z psot, lecz Gird sądził, że na praktyce u garbarza był bezpieczny. Cóż mógł zrobić, by wzbudzić taką wściekłość?

Trzymany przez dwóch strażników chłopiec kulał i przechylał się lekko na bok. Gird zauważył otaczający oko siniak. Z głębi dziedzińca ruszył w ich stronę młody hrabia, uderzając jedną czarną rękawicą o drugą. Zarządca położył mu dłoń na ramieniu, lecz cofnął się, gdy jego pan strząsnął ją, piorunując go wzrokiem.

– Jak ma na imię? – zapytał hrabia. Przez chwilę nie było odpowiedzi.

Gird uznał, że nikt nie był pewny, kto powinien odpowiedzieć, ani jak zwracać się do hrabiego. Wreszcie przemówił zarządca.

– To Meris, syn Arica – oznajmił. – Uczeń garbarza.

Młody hrabia obejrzał się na zarządcę i pokiwał głową.

– Meris, syn Arica... a czy Arie jest tutaj?

– Nie, mój panie. Arie jest pasterzem; twoje stada znajdują się teraz na pastwiskach za lasem; dogląda ich.

– A garbarz, jego mistrz; gdzie on jest?

Doszło do poruszenia wśród rolników i garbarz wystąpił naprzód.

– Tutaj, panie.

– Panie hrabio, prostaku. – Pan zmierzył go spojrzeniem od góry do dołu.

– Wyśmienity z ciebie mistrz... nauczyłeś swojego ucznia kraść?

– Panie? – Na obliczu garbarza nie zagościłoby większe zdumienie, nawet gdyby okazało się, że ufarbowano go na niebiesko, pomyślał Gird. Młody hrabia wyśmiał go z pogardą.

– Twierdzisz zatem, iż nie wiedziałeś, gdzie był? Nie wiedziałeś, że kradł owoce z mojego ogrodu? Po sposobie, w jakim wbiegł na tamtą gruszę mniemam, iż czynił to często. Znasz prawo: mistrz odpowiada za występki swego ucznia...

– Kradzież owoców? – Gird nie znał garbarza zbyt dobrze, mężczyzna sprowadził się do wioski trzy lata temu, kiedy stary Simmis umarł, pozostawiając garbarnię. Teraz jednak wydawał się szczery, choć niezbyt bystry.

– Ale błagał mnie, żebym puścił go zobaczyć przyjazd waszej miłości...

– Podczas gdy ty, jak zakładam, byłeś zbyt zajęty, by podziwiać przybycie twego pana, albo właściwie doglądać poczynania swego ucznia?

Garbarz przenosił wzrok z hrabiego na zarządcę i z powrotem, nie widząc znikąd pomocy.

– Ale... ale, panie... ja nie wiedziałem. Myślałem, że on...

– Powinieneś być wiedzieć; był twoim uczniem. Ciesz się, że nie każę cię rozebrać i zakuć w dyby. Zarządca pobierze od ciebie karę później. –

Hrabia uśmiechnął się i odwrócił do chłopca. – Jeśli zaś chodzi o tego młodego złodzieja, o tego łotra, który nie tylko ukradł moje owoce, lecz także bezczelnie na mnie napadł – to nie wdrapiasz się więcej na żaden mur, ani nie ukradniesz już żadnych owoców. Co więcej, ośmielę się stwierdzić, że do końca życia zapamiętasz, z jakim szacunkiem winienez odnosić się do swego pana. – Zarządca poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz młody hrabia uciszył go spojrzeniem. – To twoje

zaniedbania, Cullenie, przekonały to bydło, że może sobie pozwolić na takie postępowanie. Powinieneś być wyćwiczyć ich lepiej.

Na dziedzińcu zapadła cisza. Dopiero po długiej chwili ozwał się cichy pomruk, niczym ledwie słyszalny szelest liści pod pierwszymi podmuchami wichru. Gird poczuł falę mdłości, zdając sobie wraz z innymi sprawę, że młody pan planował dla chłopca karę znacznie gorszą, niż kiedykolwiek wymierzył zarządca. Nie był w stanie uwierzyć, że Meris napadł na pana – on nigdy nikogo nie zaatakował. Wszystkich psikusów dopuszczał się sam.

I kiedy tak prześlizgiwał się wzrokiem po obecnych, nie patrząc nikomu w oczy tak samo, jak inni unikali patrzenia w oczy jemu, zauważył broszę spinającą płaszcz młodego hrabiego. Krąg, podobny do Oka Esei, Pana Słońca, tyle że z wystającymi rogami... niczym pierścień z kolczastego łańcucha, jaki wyznawcy Liarta podrzucili na jego pryczę. A tylko tamta trójka ze wszystkich żołnierzy wyglądała na nieporuszoną niegodziwością hrabiego... wręcz cieszyli się na to, co zamierzał ich pan.

Jak się okazało, pan zamierzał osiągnąć za jednym zamachem trzy cele: zastraszyć wieśniaków, zaimponować przyjaciołom z królewskiego dworu i pozostawić w Merisie tylko tyle życia, by męczył się długo przed zgonem. Na długo przed końcem Gird i wielu innych wymiotowali na bruk dziedzińca, osuwając się z łkaniem na kolana i bezskutecznie próbując nie widzieć i nie słyszeć. Nawet garść sierżanta na jego kołnierzu i pospieszne: „Wstawaj, chłopcze, zanim cię...” nie było w stanie go uspokoić. Poderwał się, oswobodził z uchwytu oficera i pognął przez pustą przestrzeń prosto w tłum, przebijając się do bramy niczym uciekający z zagrody spanikowany wół.

Poruszył się tak nieoczekiwanie i bez namysłu, że nikt go nie złapał. Za jego plecami zarażeni paniką rolnicy także uciekli z krzykiem od sceny tortur, angażując żołnierzy, z czego Gird nawet nie zdawał sobie sprawy. Biegł traktem tak szybko, jakby mógł przegonić wspomnienia, mijając dom ojca, rozległe pole i łąki. Wpadł w krzaki nad strumieniem i przedarł się przez nie na oślep, po czym pokonał usiane luźnymi kamieniami dno potoku i wspiął się na drugi brzeg. Biegł przez las, przez wrzośce i pnącza, potykając się o wężlaste korzenie starych drzew i nie raz wykładając się jak długi. Nawet nie zauważył, kiedy podarł mundur, kiedy kolce przeorały mu twarz i ramiona, pokaleczyły nogi. Wciąż głębiej i głębiej w las... poza zagrody, w których hodowali półdzikie świnię, poza niski szalas, zamieszkały w lecie przez świniopasa. Spłoszył wieprze, które z chrząkaniem ustępowały mu z drogi, trując poszycie. Natknął się na odnogę strumienia i podążył w górę jej biegu, instynktownie udając się tam, gdzie nie potrafił zaprowadzić go umysł. Nogi zgubiły wreszcie rytm i wpadł w skalistą rozpadlinę, którą Arin pokazał mu tak dawno temu. Przez jakiś czas nie wiedział nic i nie czuł niczego. Mijały godziny. Instynkt rolnika przebudził go o zmierzchu, gdy wieczorny wiatr przyniósł do lasu zapach siana, łaskocząc go w nos. Bolały go wszystkie kończyny, zadrapania swędziały i płonęły, a w ustach miał paskudny posmak. Dopóki nie dźwignął się na kolana, nie pamiętał, gdzie był, ani jak się tutaj znalazł... lecz zaraz targnął nim spazm strachu i wstydu, zginając go wpół i wypełniając usta goryczą. Przełknął ślinę i zwymiotował. Meris, chłopiec, którego znał – który nie jeden raz biegł za nim – już nigdy nie będzie chodzić prosto ani używać narzędzi, a on nosił mundur tych, którzy mu to zrobili.

W głowie dźwięczał mu głos matki. To właśnie miała na myśli, mówiąc o służbie żelazu i porzuceniu Pani Pokoju. Tego właśnie obawiał się jego ojciec: że użyje siły do krzywdzenia ziomków. Po policzkach Girda popłynęły parzące łzy. Jeszcze kilka dni temu był taki szczęśliwy, taki dumny... taki pewny, że obawy jego własnej rodziny były tylko głupimi strachami staromodnych wieśniaków, „zwykłych rolników”, jak często nazywał ich sierżant.

\* \* \*

Przed świtem do rozpadliny przyszedł Arin, przemykając cicho między drzewami.

– Gird? – zawołał niegłośnie. – Girdi... jesteś tutaj?

Gird zwinął się w jeszcze ciaśniejszą kulę, wciskając się głębiej w szczelinę, lecz Arin zapuścił się w głąb kryjówki i przykucnął przy nim.

– Śmierdzisz – oznajmił przyjacielsko, jak brat bratu. – Psy nie miałyby kłopotów.

– Psy? – Gird nie pomyślał o nich, teraz jednak przypomniał sobie o psach gończych z długimi ogonami, które pobiegły z tropicielem za wilkami.

– Przyniosłem ci koszulę – powiedział Arin. – I trochę chleba. Umyj się.

Rzeczowość tonu starszego brata, którego przywykł słuchać, pozwoliła mu otrząsnąć się i stanąć na nogi. Bez patrzenia wziął od Arina koszulę i wyszedł z rozpadliny, zanim zdjął ubranie. W chłodzie poranka poczuł smród swojego potu wywołanego strachem, wymiocin i krwi, tak różny od słodkiego potu trudu. Arin pachniał cebulami i ziemią. Gird żałował, że sam nie był cebulą, tkwiącą bezpiecznie pod ziemią. Lecz zimna woda i



wiecheć zerwanych nad potokiem ziół szybko usunęły przykry zapach. Nie dotyczyło to jednak umysłu: wciąż słyszał wrzask Merisa, nadal czuł trzask łamanych kości, zupełnie jakby to było jego własne ciało.

– Pospiesz się – rzucił stojący za nim Arin. – Muszę z tobą porozmawiać.

Gird przepłukał usta lodowatą wodą i napił się łyk, potem drugi. Naciągnął przyniesioną przez Arina koszulę; ledwo opięła jego szerokie ramiona, a nadgarstki wystawały z przykrótkich rękawów, lecz przynajmniej miał jakieś okrycie. Arin podał mu chleb. Gird nie sądził, żeby był głodny, ale pożarł go łapczywie trzema kęsami. Mógłby zjeść cały bochenek.

Zrobiło się wystarczająco jasno, by mógł ujrzeć ściągniętą twarz brata i malującą się na niej minę. Arin pokręcił głową.

– Girdi, jesteś jak ten byczek, który zerwał się z uwięzi i wpadł w bagno trzy lata temu... pamiętasz? Myślał, że był dorosły i taki duży, ale jak tylko znalazł się z dala od zagrody i wpadł w kłopoty, ryczał o pomoc, niczym świeżo narodzone cielę. – Gird milczał; czuł napływające do oczu łzy i zaciskające się gardło. – Girdi, musisz wrócić. – Słyszając to, otworzył oczy i zapomniał o gardle.

– Nie mogę! – zawołał, ciężko dysząc. – Arin, nie mogę... nie widziałeś...

– Widziałem. – Głos Arina stwardniał. – Wszyscy widzieliśmy; już hrabia się o to postarał. Lecz albo to, albo wyjęcie spod prawa, Girdi, a ty nie pożyczysz długo jako bandyta – hrabia będzie cię ścigał, a na naszą rodzinę spadną kary.

Kolejne brzemię winy.

– Czyli... czyli muszę umrzeć?

– Nie. – Arin podniósł patyk i wetknął go w porośniętą mchem ziemię przy potoku. – Przynajmniej... mam nadzieję, że nie. Twój sierżant powiedział,

że jeśli ktoś wie, gdzie jesteś, a ty powrócisz, to wydaje się mu, że zdoła ocalić twe życie. A my nie stracimy gospodarstwa. Zarządca... zarządca nie pochwała czynu hrabiego. Sam widziałeś. Ale musisz wrócić z własnej woli, Gird. Jeśli oni cię złapią...

– Nie mogę być żołnierzem – oświadczył Gird. – Nie mogę robić tego.... co zrobili oni...

– Mam taką nadzieję. Zresztą, oni już cię nie chcą.

Zabolało, pomimo nędznego stanu, w jakim był. Wiedział, że był obiecującym rekrutem, z wyjątkiem problemów z nauką czytania.

Wiedział, że sierżant wiązał z nim pewne nadzieje. A teraz stracił to wszystko na zawsze. Zaburczało mu w brzuchu, przypominając, że stracił również mnóstwo darmowego jedzenia.

– Przydasz się nam – dodał Arin. – Jak zawsze.

Kręciło mu się w głowie ze strachu, smutku i wstydu. Wyobrażał sobie słowa sierżanta, szyderstwa żołnierzy, pośmiewisko. Z pewnością zostanie ukarany za okrycie ich hańbą i złamanie przysięgi. Czy będzie kaleką, jak Meris? Już lepiej umrzeć... a jednak wcale nie chciał umierać. Bał się samej myśli o szubienicy czy katowskim mieczu, a przecież była to lekka śmierć. Wzrok Arina złagodniał.

– Biedny chłopiec. Wciąż jesteś dzieckiem, pomimo tych długich ramion i nóg, i przechwałek z poprzedniej wiosny.

– Przykro mi. – Nie był w stanie wykrztusić z siebie, za co było mu przykro; w głowie i gardle urosła mu bolesna klucha" żalu.

– Wiem. – Arin westchnął. – Lecz mnie nie jest przykro myśleć o twojej pracy z nami, Girdzie, kiedy to się już skończy. Chodź już: umyj twarz i wracamy.

Po drodze czuł beztroskę; szybko rozchodził zeszywniałe nogi. Niosąc pod pachą zwinięty, ubrudzony ziemią mundur, podążał za Arinem ścieżkami, które z trudem sobie przypominał.

– Musimy się spieszyć – rzucił przez ramię Arin. – Z samego rana ponowię poszukiwania, a wolałbym doprowadzić cię do wsi, zanim spuszczą psy.

– Co... co się stało po tym, jak...

– Jak uciekłeś? Omal nie doszło do zamieszek; wszyscy wrzeszczeli i miotali się dokoła. Przywrócenie porządku zajęło dłuższą chwilę i hrabia nie miał głowy o tobie myśleć. Potem przyszedł do nas twój sierżant i rozmawiał z ojcem. Powiedział, że zdezerterowałeś i będą cię ścigać, chyba że wrócisz sam, lecz nawet, jeśli to zrobisz, będzie z tobą krucho. Wyrok hrabiego na Merisa podobał się mu nie bardziej, niż komukolwiek z nas, ale... musiał być posłuszny. Wziął wieczorem paru ludzi i zaczęli cię nawoływać. Byłem pewny, że im odpowiesz.

– Nie pomyślałem – przyznał Gird. – Po prostu nie potrafiłem tego znieść...

– Mmm. Po zmroku przyszedł zarządca. – Arin ostrożnie przekroczył splątane korzenie i ruszył dalej. – Powiedział, że zdaniem hrabiego powinniśmy stracić gospodarstwo. Oprowadzał po swoim dziedzictwie przyjaciół z dworu, tych wszystkich szlacheckich lordów i damy, a wtedy Meris rzucił w niego cebulą...

– Co zrobił?!

– Właśnie tak. Pewnie nie wiesz, co się naprawdę stało. Meris kradł owoce, myśląc, że wszyscy we dworze będą na dziedzińcu, ale hrabia chciał pokazać damom ogród i trochę się pospieszył. Kiedy dostrzeżono

Merisa, ten wpadł prosto na hrabiego i przewrócił go na oczach przyjaciół, a potem rzucił w niego cebulą ze szczytu muru. Pewnie myślał, że to strażnik. Biedny chłopak.

Gird milczał, zastanawiając się, jaki człowiek mógł okaleczyć chłopca za taką głupią pomyłkę.

– Oczywiście, postąpił źle i teraz wszyscy mamy kłopoty, poczynając od zarządcy, ale... – Arin posłał mu uśmiech przez ramię. – Przynajmniej nie brałeś w tym udziału... a jeśli chcą nazywać to tchórzostwem, to cóż, moim zdaniem odważni mężczyźni mają lepsze rzeczy do roboty, niż bić lekkomyślnego chłopaka tak, żeby zrobić z niego kalekę.

– Nie chcę umrzeć – rzucił nagle Gird w zielone milczenie lasu.

– Nikt nie chce – odrzekł Arin – z wyjątkiem schorowanych starców i staruszek. Myślałeś, że żołnierz nigdy nie ujrzy śmierci?

– Nie, ale... ale nie sądziłem, że to będzie tak wyglądało. O ile tak właśnie jest. – Nie oczekiwał odpowiedzi i nie otrzymał jej. Wczesne słońce przedzierało się przez listowie, na podobieństwo złocistych strzał między drzewami. Las pachniał wilgotną ziemią, ziołami, dojrzewającymi jeżynami, a tu i ówdzie dzikiem, lisem lub królikiem. Bał się, lecz nie potrafił zignorować bogactwa otaczającego go świata, sprężystości dywanu liści pod stopami. Pomimo przygnębienia wciąż wciągał nosem powietrze i wydychał je.

Podeszli niezauważeni do przydrożnych zarośli. Gird zawahał się przed wyjściem za bratem na otwartą przestrzeń, lecz Arin szedł dalej, nie oglądając się. Ufał mu. Nie widział nikogo, z wyjątkiem pasterza w oddali. Trakt do wioski był pusty. Ujrzał pierwsze domy, studnię ojca, rozległe pola po prawej. Przy studni stało kilka kobiet; ktoś (nie widział, kto) krył

się za żywopłotem przed jego domem.

– Lepiej, żebyś dalej poszedł sam, Girdzie – przemówił Arin. – Dasz radę? Pokrył się cały zimnym potem. Sam? Lecz wiedział, że Arin miał rację. Sierżant i zarządca dowiedzieliby się, że brat poszedł po niego – cała wieś już o tym wiedziała – jeśli jednak resztę drogi pokona sam, może nikt nic nie powie. Mniejsza szansa, że Arina spotka dodatkowa kara.

\* \* \*

Żołnierze przechodzili właśnie przez bramę, kiedy znalazł się w zasięgu ich wzroku; sierżant musiał bardzo starać się opóźnić wymarsz. Zatrzymali się i sierżant skinął ręką. Gird podszedł bliżej. Nogi mu drżały i miał kłopoty ze złapaniem tchu. Gdy znalazł się wystarczająco blisko, nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł zaszutować, ściskając pod pachą brudny mundur i mając na grzbiecie chłopską koszulę. Oblicze sierżanta było zamknięte, nieprzeniknione.

– Cóż, Girdzie – powiedział.

– Sir – zaczął żałośnie Gird, wbijając wzrok w zniszczone i zabrudzone buty. Zmusił się do spojrzenia sierżantowi w oczy. – Ja... ja się pomyliłem, sir. – Jeden z żołnierzy zarechotał; sierżant uciął śmiech ruchem dłoni w rękawicy.

– Złamałeś przysięgę – oznajmił. W głosie pobrzmiwało znużenie i złość, jak u człowieka, który doszedł do kresu swych sił i cierpliwości. – Na oczach samego hrabiego... – Urwał. – Niesiesz swój mundur? Dobrze. Daj go. – Gird podał zawiniątko, a sierżant odebrał je ze ściągniętymi nozdrzami. – Zdejmij buty, chłopcze. – Gird gapił się przez chwilę na

niego, po czym pospiesznie wykonał polecenie. Oczywiście: buty stanowiły część umundurowania; powinien był o tym pomyśleć. Dla bladych i miękkich po ponad roku codziennego używania butów stóp kurz traktu okazał się zimny i ziarnisty. Sierżant kiwnął głową Keriemu, jednemu z rekrutów, który podszedł i zabrał buty oraz mundur. – Spalimy je – oznajmił oficer. – Nie chcemy tutaj niczego, co jest przesiąknięte potem tchórza. – Gird poczerwieniał. Sierżant pokiwał głową. – Tak jest. Myliłeś się – ja także – myśląc, że mógłbyś zostać żołnierzem. Powinienem był wiedzieć, kiedy wzdragales się wtedy... – Umilkł na widok zarządcy, który pojawił się w bramie z wójtem wioski. Namiestnik obrzucił Girda tym samym taksującym spojrzeniem. – A więc wrócił? Czy wy go znaleźliście? – Wrócił, sir. Przyniósł ze sobą mundur; zdobył skądś koszulę. Zarządca zmierzył Girda spojrzeniem od góry do dołu. – Kiepska sprawa, chłopcze, łamać przysięgę. Trudno z tym żyć. Takie rzeczy odbijają się na rodzinie. Hrabia ukarałby cię dla przykładu, gdyby nie raport sierżanta: że jesteś silny i posłuszny, i bardziej przydasz się w polu, niż jako karma dla kruków na szubienicy. Obyś dobrze pracował, chłopcze i nie sprawiał więcej kłopotów. Jeszcze jedna skarga na ciebie i twoja rodzina straci gospodarstwo. – Odwrócił się do wójta, nie zwracając na Girda więcej uwagi. – Słyszałeś – powiedział sierżant. – Na co czekasz? Bierz się do roboty, chłopcze i dziękuj swojej Pani Pokoju, że wciąż masz ręce i nogi, dzięki czemu możesz pracować. Osobiście z przyjemnością bym cię oćwiczył.

## Rozdział 4

Po pewnym czasie Gird uznał, że chłosta bolałaby mniej. Tego słonecznego poranka powrócił do domu ojca, od nowa ucząc stopy chodzenia bez butów. Skóra mrowiła go na myśl, że wszyscy wiedzieli, iż popadł w niełaskę. Sam ściągnął na siebie niełaskę – przypomniał sobie stanowczo. Tego pierwszego razu na trakcie nikt nic nie mówił, choć dostrzegał ukradkowe spojrzenia. Dotarł do domu bez przeszkód, gdzie czekał już na niego Arin.

– Wysprzątasz oborę – oznajmił mu, podając starą, drewnianą szufłę. – Uważał, że lepiej będzie, jeśli znikniesz z oczu.

Gird zerknął na siedzącą przy krośnie matkę. Jej mina mówiła:

„wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie” tak wyraźnie, jakby powiedziała to na głos. Najmłodsza siostra, Hara, miała najwyraźniej zapowiedziane, żeby siedziała cicho. Ciekawe, czy to ona wyglądała wcześniej przez żywopłot. Prawdopodobnie. Wziął szufłę i poszedł do pracy.

W drugim końcu podwórka Arin naprawiał uprząż. Przez furtkę widać było grupkę mężczyzn na polu. Środek poranka – przerwali pracę, żeby napić się i pogwarzyć. Miarowo wymachiwał szufłą, napełniając wiadro brudną słomą i mierzwą, które następnie wynosił za bramę i wyrzucał na stertę. Nie był pewny, czemu Arin przesiadywał tak blisko. Czyżby obawiali się, że znowu ucieknie? Poza tym, brat nie zapytał go, co wydarzyło się przy bramie do posiadłości. Gird był wrażliwy, jak po pierwszym wiosennym opalaniu. Każde spojrzenie Arina paliło go żywym płomieniem.

W południe Hara przeszła przez oborę z owiniętym w sukno posiłkiem dla ojca; obdarzyła Girda chłodnym skinieniem głowy, które dopiekło mu do żywego. Arin przerwał robienie otworów i łączenie pasków, i przeciągnął się z uśmiechem. Gird nie był już pewny, co to oznaczało.

– No chodź, ponuraku. Nie jest to może strawa, do jakiej przywykłeś, lecz nadal nazywamy to jedzeniem. – Arin nie potrzebował mycia, lecz Gird był uwalany gnojem po kolana i łokcie. Pamiętał o dziękczynnym wylaniu odrobiny czystej wody, po czym wyszorował się dokładnie, jakby nadal musiał zadowolić sierżanta przed udaniem się po miskę kukurydzianej kaszy. Porcja raczej nie uśmierzyła głodu, lecz jedno spojrzenie na twarz matki zacisnęło mu gardło tak, że nie byłby w stanie przełknąć więcej.

Późnym popołudniem dokończył czyszczenie obory i kiedy pasterz wrócił ze stadem do wioski i Arin odebrał od niego trzy jałówki, mógł wprowadzić je do boksów wyłożonych świeżą słomą. Umył się szybko i zabrał za dojenie. Zawsze lubił krowy, nawet tę czerwoną z wygiętymi rogami, która biła go po twarzy długim, brudnym ogonem i robiła co mogła, żeby wdepnąć w skopek. Ojciec pojawił się, kiedy doił drugą, lecz nic nie powiedział, wchodząc do środka. Gird wtulił głowę w ciepłą sierść, pozwalając dłoniom przypomnieć sobie rytm ściskania i pociągania, dzięki któremu mleko płynęło łatwo i szybko. Mleko ładnie pachniało, bez śladu woni dzikiego czosnku ani cebuli. Pochylił się bliżej i pozwolił sobie na ciepły, pyszny łyk.

– Widziałem – odezwał się Arin zza zadu trzeciej krowy. – Powinieneś być mądrzejszy. – Stare skarcenie, jeszcze z dzieciństwa, choć teraz brzmiało jakoś inaczej.

– Przepraszam – mruknął Gird, żałując świadomości smaku mleka, jego



bogactwa. Sprzedawali mleko wioskowemu serowarowi; dorośli nie pili mleka. Miał wrażenie, że mógłby wypić cały skopek. Wypełnił ostatnią ćwiartkę i zaniósł skopek do kuchni. Usłyszał głosy z głównej izby: ojca i zarządcy. Co tym razem? – zastanawiał się. Lecz kucająca przy palenisku matka machnięciem łyżki przegnała go na podwórko.

Kręcił się tam, robiąc wszystko, co tylko mógł wymyślić, zanim wezwał go ojciec. Wyglądało to podobnie do wieczoru, kiedy zarządca zaproponował mu szkolenie: ojciec i matka siedzący sztywno po jednej, a namiestnik po drugiej stronie ich jedyne go stołu. Arin wszedł za nim. Przegoniona do kuchni Hara trzymała się tak blisko drzwi, jak tylko mogła, by nie zauważyli jej starsi.

– Powinieneś wiedzieć – zaczął bez zbędnych wstępów zarządca – ile twoja lekkomyślność będzie kosztować twego ojca. Musi zgłosić się do dworu po południu, po inwestyturze hrabiego. Rozmawiałem z panem, powołując się na wszystko: twoją młodość, opinię o twoim ojcu i braciach. Lecz prawda jest taka, że hrabia jest rozgniewany i ma ku temu powody. A twój ojciec zostanie ukarany jako głowa rodziny. Przyszedłem, żeby mu powiedzieć, iż powinien być gotowy do wniesienia opłaty, bowiem może oszczędzić mu to nocy w dybach.

Gird spojrzał ojcu w oczy. Jego ojciec w dybach? Za jego ucieczkę?

– Będziesz mu towarzyszył, chłopcze, gdyż może tak się zdarzyć, że hrabia będzie chciał coś ci powiedzieć. Jest twym panem i może zrobić, co zechce. Pamiętaj, kim jesteś i spróbuj... – nacisk podkreślał pogardę – ... nie sprawiać więcej problemów.

Po wyjściu zarządcy ojciec poklepał Girda po ramieniu.

– Wszystko w porządku, Girdzie. Jesteś z nami, żywy i... i wszystko jest w

porządku. – Gird wiedział, że wcale tak nie było. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że może wyrządzić komuś krzywdę, wcale tego nie chcąc. Poczł się młody i bezradny, bardzo daleki od chłopięcej pewności siebie, jaką demonstrował jeszcze kilka dni temu.

– Jaka... ile wynosi kara? – zapytał.

Ojciec odchrząknął.

– Cóż. Chcą zwrotu wszystkich wydatków, jakie ponieśli na twoje szkolenie. Zarządca twierdzi, że ma wszystko zapisane. Jedzenie, ubranie, miedziaki, które mi posyłał, nawet miejsce w koszarach. A także kara za złamanie przysięgi... – Gird nigdy naprawdę nie opanował liczb, wiedział jednak, że nosił ubrania o wiele droższe, niżby kiedykolwiek mogła mu zafundować jego rodzina. Jadał też więcej i znacznie lepiej. Ojciec odwrócił się do Arina. – Będę musiał poprosić cię...

Arin skinął głową.

– Oczywiście. Wystarczy?

Ojciec potarł twarz dłońmi.

– Zobaczymy. Girdzie, wcześniej byłeś na to za młody, teraz jednak zobaczysz, gdzie chowamy monety.

Wiedział, że ukrywali pieniądze pod którymś z kamieni paleniska; wszyscy tak robili. Nie wiedział jednak pod którym i zanim ojciec nie uniósł go, nigdy by nie podejrzewał, że to właśnie tamten. W środku znajdował się skórzany worek, zawierający niewielkie, ojcowskie zapasy miedzi i srebra. Ojciec dwukrotnie przeliczył monety.

– Zaoszczędziłem większość twojej pensji na opłatę ślubną dla Arina i posag Hary. Mamy garść miedzi i drugą garść. Lecz kara w wysokości podwójnej opłaty za pole to sztuka srebra i garść miedzi razy dwa... – Mówiąc,

wykładał kolejne monety, trzymając każdą z nich delikatnie, niczym parzącą pokrzywę. Gird wstrzymał oddech na myśl o godzinach pracy, koszach owoców i ziarna, które reprezentowała każda z nich. – I mundury... – Ostatnie miedziaki dołączyły do rzędu i ojciec zmarszczył brwi, kręcąc głową. – Nie wystarczy. Mogli przynajmniej zostawić ci buty, skoro i tak musimy za nie zapłacić.

– Ile? – zapytała matka.

– Osiem dłoni miedzi, jeżeli hrabia zgodzi się na to, co mówił zarządca. W co wątpię. Pewnie skończy się na owcy, albo beli materiału.

– Mam jedną belę – oznajmiła matka. – Na...

– Nieważne, na co była – przerwał jej szorstko ojciec. – Teraz będzie na uratowanie Girdowi życia.

– Wiem o tym – odrzekła matka. Gird patrzył, jak otworzyła szafę i wyjęła z niej buchtę tkaniny. Ojciec dotknął ją lekko i pokiwał głową.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy – powiedział.

\* \* \*

Pan ferował wyroki na dziedzińcu, pod daszkiem w pomarańczowo-żółte pasy. Nie było z nim żadnego ze szlachetnie urodzonych przyjaciół; po ciągnącej się do północy inwestyturze wszyscy jeszcze spali.

Pomimo złożonej zarządcy przez ojca obietnicy, że pojawią się we dworze, rano przyszedł po nich żołnierz, by odstawić ich do bramy posiadłości.

Umyślnie ignorował Girda; inni nie, zwłaszcza dzieciarnia, gapiąca się i nawołująca, zapędzana z powrotem do domów przez matki. Girda bolały stopy, nienawykłe jeszcze do chodzenia bosy, co gorsza rozdarła się mu

koszula. Matka załatała ją poprzedniej nocy. Był boleśnie świadomy tej łąty, bosych stóp, różnicy pomiędzy Girdem, synem Dorthana, wiejskim chłopakiem, a Girdem rekrutem.

Ten kontrast stał się jeszcze większy, kiedy inni rekruci składali hrabiemu przysięgę wierności i przypinali do mundurów odznaki szeregowców.

Żaden nie spojrzał mu w oczy, nawet Keri. Po kolei występowali naprzód, klękali, przysięgali i wracali do szeregu. Girdowi łamało się serce. Przez chwilę chciał rzucić się hrabiemu do stóp i błagać o przywrócenie do służby. Potem jednak błędzący wzrok trafił na dyby, na których nadal ciemniały plamy krwi Merisa.

Przed ich sprawą rozsądzano inną. Gird wiedział, że zaplanował to zarządca jako zwyczaj ową rozprawę, którą powinien poprowadzić nowy władca; przełożył ją z wiosennych sądów. Teraz popędzał świadków, by szybciej przedstawiali swe opowieści o brakującym kamieniu granicznym i podejrzanym uszczupleniu pola jednego z nich przez drugiego.

Wyraźnie nawet powód i pozwany nie uważali ich sprawę za tak istotną, jak przedtem, zwłaszcza w porównaniu z Girdem i jego ojcem. Hrabia nie zgodził się z wyrokiem zarządcy, a przegrany nawet nie skrzywił się, płacąc dwie dłonie miedzi zwycięzcy oraz jedną swemu panu.

Nastąpiła ich kolej. Zarządca wywołał Dorthana; zgodnie z tym, co mu powiedziano, Gird szedł dwa kroki za nim. Ku jemu zdumieniu zjawił się również sierżant.

Oblicze hrabiego wykrzywiał grymas niezadowolenia, nie do końca pokrywający skrywaną radość. Zarządca zaczął od wyjaśnienia okoliczności przyjęcia Girda na służbę.

– Duży, silny chłopak, znany ze swej pracowitości. Wydawał się dosyć

odważny, jak na chłopca... – Obejrzał się na sierżanta.

– Robotny, tak. Posłuszny, silny... niezbyt bystry, mój panie, znam jednak wielu dobrych żołnierzy, którzy nie potrafią połowy tego, co on. Nigdy nie sprawiał kłopotów w koszarach.

– I nigdy nie ujawnił swej... słabości? – zapytał hrabia jedwabistym głosem, bez śladu poprzedniej furii.

Sierżant zmarszczył brwi.

– Cóż, mój panie, w pewien sposób tak. Mówił, że nie lubi krzywdzić innych i nigdy nie porzucił wieśniaczych przesądów. Kwiatki dla studziennych duszków i takie tam.

– Narzekał na złe traktowanie?

– Nie, mój panie. W żadnym razie. Jak mówiłem, chętny do pracy, nie mogę narzekać. Ale za miękki. Składałem to na karb młodości i pobyt poza domem, ale myliłem się.

– W rzeczy samej. – Hrabia wpatrywał się w Girda tak długo, aż ten poczuł, że cały się czerwieni. – Wielki gamoń. Niezbyt urodziwy i brak w nim jakości. Wiecie, jedni rodzą się bydłem, a inni wilkami. Możesz zmienić wilka w owczarka, lecz nic nie uchroni woła od jarzma. Wygląda na przygłupa. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle braliście go pod uwagę. Jeśli chcecie zostać na mej służbie, lepiej, żebyście nie popełnili takiego błędu powtórnie.

– Tak, mój panie – odpowiedzieli chórem sierżant i zarządca.

– Cóż – mruknął hrabia – żeby ujarzmić młode woły, nakłada się im kamieni do wozu. Jakie są twoje zalecenia, zarządco? – Namiestnik odpowiedział przyciszonym głosem. Gird dosłyszał warunki, jakie wcześniej przekazał mu ojciec. Hrabia skinął głową. – Dobrze, ale to za

mało. Niech jeden z moich Finyathan wychłoscze chłopaka; a jeśli ojciec chce go odzyskać w całości, niechaj zapłaci za niego podarunek śmierci. Albo wykastrujemy byczka, nie dopuszczając do narodzin kolejnych tchórzów. – Spojrzał Girdowi w oczy i uśmiechnął się. – Podoba ci się mój wyrok, chłopcze?

Stojący obok niego ojciec zeszywniał, wstrząśnięty i wystraszony; Gird uklonił się tak dobrze, jak tylko potrafił. Podarek śmierci za syna wynosił krowę i jej tegorocznego cielaka. Utrata trzeciej części ich stada, albo jego przyszłych synów i córek. Wiedział, że ojciec zapłaci, ale jaką cenę! Zarządca szepnął coś hrabiemu na ucho, lecz ten potrząsnął głową.

– Niech ojciec zapłaci teraz. Jak będzie, chłopie? – Ojciec Girda wystąpił naprzód i położył na stole mieszek z monetami i belę materiału. Zarządca wziął sakiewkę i szybko przeliczył zawartość.

– Krowa? – zapytał, nie podnosząc wzroku. Ojciec Girda pokiwał głową i zarządca szybko to odnotował. – Idź po krowę – zażądał szorstko.

– Sir, jest z całym stadem...

– Przeprowadzisz tę krowę, czy nie? – Oblicze zarządcy pobladło. –

Wszystko mi jedno, czy doczekasz wnuków po tym chłopaku.

Ojciec Girda uklonił się.

– Pójdę po nią. Mogę? – rzucił trzęsącym się głosem i wycofał się. Hrabia wybuchnął śmiechem.

– Nic dziwnego, że chłopak jest tchórzem po takim ojcu. Przynajmniej jest posłuszny. – Pan machnął ręką i jeden ze strażników z Finyathy oddalił się, by po chwili wrócić z oprawionym w skórę pejczem. – Nie wątpię, sierżancie, że skoro popełniłeś błąd, wybierając go, to teraz z przyjemnością skorzystasz z okazji, by zostawić na jego ciele swój znak?

Gird nie wiedział, czy tamten chciał, czy nie, ale nie miał wyboru. Przynajmniej to było jasne. On również nie. Bez wahania podszedł do dybów, mając nadzieję, że zdoła powstrzymać się od krzyków. Bardziej bolało go poniżenie, niż chłosta, lecz kiedy sierżant po wymierzeniu czterech czy pięciu razów oddał pejcz Finyathaninowi, okazało się, że tamten lubuje się w takich zadaniach. Hrabia przyglądał się, oparty na łokciu, rozmawiając z zarządcą, lecz ani na moment nie odrywając wzroku od twarzy Girda. Zanim ojciec wrócił z krową, Gird pokryty był siniakami i otarciami nie tylko od pejcza. Zamknął oczy, zanim opuchły, nie chcąc patrzeć na byłych towarzyszy, jak przyłączają się do egzekucji. Ocknął się z twarzą w kałuży wody, którą na niego wylano. Usłyszał uszczypliwy głos hrabiego:

– Zabierzcie stąd tego prostaka i módlcie się, żebym o wszystkim zapomniał. – Ojciec pomógł mu podnieść się. Za bramą czekał Arin, by pomóc mu dotrzeć do domu.

Dzwoniło mu w głowie. Nie poradziłby sobie bez pomocy. Matka i Hara obmyły go z krwi, mamrocząc nad zniszczoną koszulą. Resztę dnia i noc przeleżał owinięty kocem, popijając gorzki wywar, jaki matka podawała mu od czasu do czasu łyżką. On sam ucieszyłby się, gdyby dostał gorączki od ran i umarł, zaznajac spokoju, gdyż stare marzenia dokuczały mu niby zmory, szydząc z jego dumy. Rzucał się i jęczał, dopóki Arin nie obudził go i nie objął.

– W porządku, Girdi, już dobrze. – Ale nie było dobrze. Leżał zlany potem, pełen obrzydzenia do samego siebie i trzęsący się ze strachu, którego nie potrafił określić. Skoro sprawy tak szybko przybrały zły obrót, to co było bezpieczne? Pocieszenia Arina nie miały znaczenia. Pamiętał

wyraz twarzy hrabiego, rozkosz czerpaną z okrucieństwa. Mógł zginąć. Jego życie zależało od kaprysu pana.

Następnego ranka zmusił zeszywniałe, obolałe ciało do zwleczenia się z łóżka. Nie miał pewności, czy był w stanie pracować, wiedział jednak, że musi. Matka nie zdążyła jeszcze odtworzyć koszuli z poszarpanych łachmanów, w jakie zamieniła się po wymierzeniu mu kary, upierała się więc, żeby został w domu. Ojciec i Arin wyrazili zgodę. Wobec czego pracował w domu. Powrót do dzieciństwa – pomyślał, czyszcząc kamienne palenisko, zmywając talerze i garnki, przynosząc wodę ze studni. W środku było gorąco i duszno, jak to w połowie lata. Pot szczypał w otarcia i skaleczenia; ignorował ból. Wzruszeniem ramion skwitował matczyną próbę przyłożenia okładów do najgłębszych ran. Zgromiła go spojrzeniem. – Możesz sobie chcieć dostać gorączki, żeby wykręcić się od pracy, chłopcze, ale nie mamy na to czasu. Stój spokojnie i bez ruchu, kiedy będę to czyścić. – Zarumienił się, lecz znieruchomiał. Co innego mógł zrobić? Własnoręcznie pozbawił się szansy na status dorosłego. Palce miała delikatniejsze od głosu. Gdy nałożyła mu gęstą maść na grzbiet, dotarła do niego ostra woń ziół. – Zły jest świat, chłopcze, na którym dzieją się takie rzeczy. Widzisz teraz, do czego dochodzi, gdy chcesz naprawiać go żelazem. Pamiętaj: nieważne, jak bardzo złe coś się wydaje, żołnierstwo zawsze czyni to gorszym. Najtrudniej zaś jest tym, którzy mają najmniej. Pamiętaj, co mówi ojciec i zejdź hrabiemu z widoku. Zwrócenie na siebie uwagi przynosi kłopoty, nieważne, czy początkowo wydaje się dobre. Pamiętaj, jakie drzewo wybiera leśnik.

Słyszał to wielokrotnie. Nie należało to do rytuałów Pani, stanowiło jednak ulubione porzekadło we wsi: wyróżnianie się wroży kłopoty. Źle



być pierwszym żniwiarzem i źle być ostatnim; źle być najbogatszym i najbiedniejszym. Wysokie drzewo przyciąga wzrok leśnika, a najtłustszy wół najpewniej trafi na stół. Nigdy tego nie lubił, ponieważ nie mógłby się skryć pośród innych, nawet gdyby chciał. Zastanawiał się, co niby miało zrobić wysokie drzewo? Lecz dla całej wsi jego problemy tylko potwierdzały prawdziwość przysłowia, które spodziewał się jeszcze wielokrotnie usłyszeć.

Był młody, silny i zdrowy; wyleczył się szybko i wkrótce ciężko pracował u boku ojca. Nie potrafił jednak pozbyć się świadomości kłopotów, jakich przysporzył rodzinie. Jak na rolników, byli dobrze sytuowani: trzy krowy, osiem owiec, odłożony materiał, miedź i srebro, na które tak długo pracowali. Ojciec cieszył się dobrą opinią u zarządcy i nie miał wrogów we wsi.

A teraz Arin nie mógł ożenić się, dopóki nie uzbierają na opłatę ślubną, a wcześniej jeszcze musieli zapłacić za użytkowanie pola i domu, jak również uiścić daninę ze zbiorów. Pomagał w pracy, lecz musiał jeść, a nie dodał im ziemi, z której mogli zebrać więcej plonów lub paść więcej bydła.

Ojciec nie wspominał o tym. Nie musiał – Gird doskonale wiedział, co to oznaczało, ile będzie kosztować ich pracy i głodu, zanim odzyskają choć trochę bezpieczeństwa. Stopy stwardniały mu szybciej, niż głowa.

Pracując w polu, słyszał komentarze wypowiedane tak, by dotarły do jego uszu. W obecności ojca mężczyźni milczeli, nie pozostawiając jednak wątpliwości, co myśleli. Młody gamoń, któremu zamarzyła się żołnierka, a potem przez własną słabość okrył ich wszystkich wstydem. Wiedział, że część z nich mdliło tak samo, jak jego, lecz nawet jeśli pamiętali, to nie

mówili o tym przy nim. Wygodniej było zwalić całą winę na niego. I choć rozumiał, że zawsze tak się działo – sam kiedyś postępował podobnie – to mimo wszystko bolało. Dawni przyjaciele stronili od niego; nie wiedział, czy na polecenie ojców, czy gardząc nim, choć wkrótce przestał o to dbać. Był pogrążony w żalości, niczym byczek z opowieści Arina, co utknął w bagnie.

Podczas tego pierwszego miesiąca kłopotów, od wydarzenia do żniw, tylko w jednym dopisało im szczęście. Młody hrabia ze swiątą wyjechał do innej swojej posiadłości, a zarządca niby przypadkiem zapomniał wpisać Girda na listę prac polowych. W dniach odrabiania pańszczyzny mógł zajmować się rodzinnym ogrodem i poletkiem, podczas gdy ojciec i Arin pracowali na rozległym polu hrabiego. Wynajmował się też do pracy innym, częściej za samą strawę, niż pieniądze. Przeważnie były to prace nie wymagające żadnych umiejętności, polegające na dźwiganiu i noszeniu. Gird przynosił wodę kamieniarzom, sprowadzonym do podwyższenia murów wokół pańskiego sadu i taszczył kosze gliny i tłuczni. Była to ciężka praca, nawet dla kogoś o jego sile i wkrótce odczuł różnicę, powodowaną przez jakość posiłków. Wracał do domu tak wyczerpany, że z trudem jadł i zaraz potem padał na łóżko.

Podczas żniw nie mógł uniknąć kontaktu z innymi mężczyznami i chłopcami. Był to czas, gdy liczyło się nie tylko zbieranie plonów. Cała wieś pracowała razem i razem się bawiła, a wydarzenia z roku zamieniały się w pieśni i historie, opowiadane wciąż na nowo podczas długich, zimowych wieczorów. Nie było winą Girda, że jego hańba tak dobrze wpisywała się w rytm starej piosenki „Zemsta złodzieja” i nie trzeba było wielkiej biegłości, by zmienić dosłownie kilka słów. Nie miał pojęcia, kto

zaśpiewał ją pierwszy, lecz wkrótce dźwięczne rymy ściagały go na wszystkich drózkach. „Krzyknął i uciekł, prędko jak mógł – kpili malcy – Hej, Gird, prześcigniesz lisa? A świnię?”

Jego dawni przyjaciele też mieli mu to i owo do powiedzenia. Zaczęło się od wzruszenia ramionami, mrugania do siebie, odwrócenia się do niego plecami. Teris rzucił nawet:

– Skoro już zamierzałeś narobić takiego zamieszania, mogłeś chociaż uratować Merisa.

Było to absolutnie niesprawiedliwe. Nie mógł ocalić Merisa; nikt nie mógł. Oni też nie. Lecz to jego obwiniali za Merisa, za podjęcie próby i nie sprostanie jej. Niektórzy – między innymi Amis – nic nie mówili, tylko go obserwowali. Czekali, aż zacznie się bronić, żeby wdać się w kłótnię? Lecz on nie miał nic do powiedzenia. Był zbyt znużony, żeby się spierać, zbyt głodny i markotny.

Dziewczęta w ogóle na niego nie patrzyły i był pewny, że śmiały się z niego między sobą. Uważał, żeby nie przyglądać się im otwarcie, chociaż osiągnął już taki wiek, że na zwykły widok dziewczyny, pochylającej się nad studnią, by zaczerpnąć wody, krew krążyła mu szybciej w żyłach.

Trochę łatwiej było mu nie zwracać na nie uwagi, kiedy nie przebywał w towarzystwie chłopaków. Wkrótce zarzucił próby podejmowania rozmów z innymi i trzymał się własnej rodziny.

Poniesione przez nich straty sprawiły, że zima była ciężka. Nie mogli pozwolić sobie na zarżnięcie zwierzęcia, aby mieć mięso na zimę; będą potrzebowali każdego jagnięcia i cielaka, żeby spłacić wiosenną daninę. Skąpe zarobki Girda poszły na jesienne podatki, wraz z dwiema owcami. Co oznaczało wiosną mniej wełny do uprzedzenia przez matkę i mniej

ubrań na wymianę lub sprzedaż. Mieli przynajmniej w bród paszy, ponieważ zebrali ją, zanim stracili dodatkowe zwierzęta. Gird przemierzał lasy, znosząc chrust i worki orzechów. Unikał grup zbieraczy oraz ostatnich, jesiennych tańców w owczarni.

Później wspominał tę zimę jako najzimniejszą, najgłodniejszą i najgorszą w jego życiu, choć wiedział, że nie była to prawda. W rzeczywistości wcale nie głodowali – mieli wystarczająco dużo fasoli i ziarna, jak również trochę sera. Oprócz rytualnego dnia zimnego paleniska w samym środku zimy, przez cały ten okres cieszyli się ogniem. Matce udało się zszyć dla niego koszulę z podartych kawałków, miał również wystarczająco dużo szmat do obwinięcia stóp. To nagłe przejście od więcej, niż potrzeba, do ledwo wystarczającego sprawiało, że wszystko wyglądało tak ponuro. Pewnego długiego, mroźnego dnia tuż po Śródzimiu zmarł Meris. Gird próbował go odwiedzić, lecz jego rodzina, cierpiąca pod ciężarem wysokich kar i obrażeń syna, nie chciała żadnych kontaktów z innym pechowcem. Meris miał kilku przyjaciół, którzy wyładowali frustrację na Girdzie, kiedy przyłapali go samego na trakcie, wrzucili w śnieg i pobili. Mógł walczyć, wyładowując własny żal i gniew, lecz jeden z nich założył mu wiadro na głowę. Strażnicy usłyszeli hałas i interweniowali. Kiedy Gird zdarł kubek z głowy, sierżant stał nad nim, z namysłem ssąc wargę. Nic nie mówił, tylko patrzył, jak Gird dźwiga się na jedno kolano, potem drugie, by wreszcie pokuśtykać traktem do domu.

To była ostatnia bezpośrednia napaść, która przekonała jednak Girda, że wszyscy byli przeciwko niemu. Następnym razem, kiedy zdobył dorywczą pracę i garść miedzi, zabrał zarobek do śmierdzącej przybudówki za domem Kirifa, gdzie paru mężczyzn garbiło się nad kuflami kwaśnego ale.

Wiedział, że postępował źle. Nie dbał o to. Za miedź dostał więcej ale, niż jego głowa mogła znieść i ojciec znalazł go chrapiącego pod ścianą.

Dopiero to rozwiązało ojcowski język.

– Nie dosyć, że tchórz, to jeszcze opój! Nie pracowałem tak ciężko, żeby uratować pijanego niezdare, chłopcze. To był ostami raz, kiedy przedłożyłeś własne przyjemności nad nasze potrzeby. – Wtedy nie wyglądało to na przyjemność; łupało go w głowie, a żołądek wykręcało tak, jakby już nigdy w życiu nie miał wziąć nic do ust. Ale ojciec jeszcze nie skończył. Usłyszał całą listę swych grzechów, od ucieczki z domu, by dołączyć do szukającego świni Arina, poprzez idiotyzm, jakim było zaciąganie się do straży po samolubstwo i ponuractwo ostatnich miesięcy. Nie opowiedział ojcu o napaści przyjaciół Merisa na niego, nie powtórzył też słów Terisa. Uznał, że nie przyniosłoby to niczego dobrego.

Poczuł się niemal tak winny, jak chciał tego ojciec. Nie było co ukrywać – to była jego wina i nawet jeśli pewne konsekwencje okazały się niesprawiedliwe, to cóż, tak właśnie urządzony był świat. Znał tylko jednego boga, który przejmował się sprawiedliwością, a Najwyższy znajdował się bardzo daleko od wieśniaków i żołnierzy. Z zawziętością powrócił do pracy, zdecydowany spłacić co najmniej tyle swojego długu, by Arin mógł ożenić się w ciągu roku. Nie odwiedził wyszynku z ale aż do Śródlecia, a i wtedy poszedł tam z koszykiem grzybów, a nie pieniędzmi, które mogła spożytkować rodzina. Pozwolił sobie tylko na jeden kufel, który oddzielił go przyjemną mgiełką od reszty rolników.

Wkrótce wesele Arina rozproszyło jego smutki, gdyż ulubiony brat włączył Girda w świętowanie, pomimo wszystkiego, co ten zrobił.

– Poza tym – oznajmił – ciężko pracowałeś na moją opłatę. Mogłeś zrobić

mniej; przecież to nie była twoja wina. Wiem, że mogę na tobie polegać. Na czas wesela ustały wszelkie spory. Oreg podarował nawet świnie na ucztę. Gird był już wystarczająco dorosły, by zostać na podwórzu z mężczyznami i oglądać tańczącego brata, a potem dołączyć do pijących, gdy nowożeńcy udali się do łóżka, a kobiety sprzątały po uczcie. Nie przypominało to przybudówki Kirifa; centralne miejsce zajmowała beczułka mocnego, ciemnego ale z sąsiedniej wsi, a silne głosy wyśpiewywały wszystkie stare, skoczne piosenki, z którymi dorastał, od „Zbierania orzechów w lesie” po „Drugą żonę Rudego Sima”. Wypił wystarczająco dużo ale, by zapomnieć o kierowanych do niego uwagach i dołączył swój donośny głos do innych, przeciwko czemu nikt nie zaprotestował.

Lecz nie trwało to długo. Arin z żoną zajęli łóżko, które wcześniej dzielił z Girdem, przez co ten ostatni spędził zimę na podłodze przy palenisku. Bratowa szybko zaszła w ciążę i wczesnymi rankami dostawała mdłości, wypełniając dom smrodem wymiocin. Wciągnięty na listę prac polowych Gird miał własne obowiązki, z których musiał się wywiązywać, gdy nadchodziły dni odrabiania pańszczyzny i nie mógł już dłużej zastępować brata w pracach dla rodziny. Gdy Arinowi urodziło się dziecko, pojawiła się kolejna gęba do wykarmienia, a oni nie uzbierali jeszcze na opłatę za pole. Ten rok był chudszy od poprzedniego.

Wkrótce Gird nabrał przeświadczenia, że nigdy do niczego nie dojdzie. Żona Arina straciła dziecko, lecz wkrótce zaszła w drugą ciążę. Pomimo, iż wszyscy ciężko pracowali, z trudem starczało im na jedzenie dla wszystkich. Nie było mowy o zaoszczędzeniu na krowę czy owce, które kosztował ich Gird. Kolejne lata wypełniała walka o przetrwanie. Gird nie

mógł przeoczyć siwizny we włosach ojca, ani kaszlu, który każdej zimy zaczynał się wcześniej i trwał dłużej.

## Rozdział 5

– Nie rozumiem, czemu to cię obchodzi – Gird zgarbił się obronnie nad kuflem. W takim nastroju Amis mógłby mu go zabrać, jak tylko odwróciłby się, chcąc dyskutować. Nie miał nic więcej na wymianę, a ten z trudem ulży jego smutkom.

– Zamieniasz się w pijaka – rzucił zbyt szybko Amis. – Minęło ile – trzy lata? – a ty nie robisz nic, tylko pracujesz i pijesz...

– I jem – uzupełnił Gird. – Nie zapominaj o tym... w domu słyszę to przez cały czas.

– I jesz. Nigdy z nami nie wychodzisz...

Gird wzruszył ramionami i pociągnął łyk. Smakowało jeszcze paskudniej, niż zwykle, lecz pieczenie w przełyku obiecywało późniejszą ulgę.

– Ty może chciałbyś mojego towarzystwa; inni nie.

– To już przeszłość, Girdzie. Nie jesteś żołnierzem i co z tego? Nie bardzo podobało się nam, kiedy nim byłeś...

– To prawda. Nie podoba się wam nic, co robię: ani jak walczę, ani jak nie walczę, ani jak uciekam, ani jak nie uciekam, ani jak piję, ani jak nie piję. Czy wyrzeczenie się ale przysporzy mi przyjaciół, Amisie? Nie sądzę.

– Wiesz, o co mi chodzi. Picie podczas uroczystości – tak, razem ze wszystkimi, kiedy śpiewamy i tańczymy z dziewczętami... lecz nie w ten sposób. Chodź z nami wieczorem.

Gird dopił resztę kufla, na który sobie pozwolił, próbując myśleć pomimo mgły, gwałtownie gęstniejącej mu w głowie. Przejść polami do owczarni, posłuchać wędrownego harfiarza, potańczyć z... musiałyby być dziewczyny z innej wsi, gdyż żadna tutejsza nie zgodziłaby się na taniec z



nim. A przed świtem powrót do pracy – z bolącymi stopami i grzbietem, kiedy będzie marzył wyłącznie o łóżku. Lecz w domu wzrok ojca będzie pytał milcząco: co zabrałeś, żeby kupić sobie ale? Co jeszcze weźmiesz? To było moje – odpowiedział na nie zadane pytanie. Znalazłem grzyby, zbierałem je, kiedy ty odpoczywałeś, to moje prawo...

– Dobrze – burknął. Amis uśmiechnął się do niego i pomógł utrzymać równowagę, gdy Gird wstawał. Nie rozglądał się, by zbadać reakcję mężczyzn pijących u Kirifa; uznał, że doskonale wiedział, co by zobaczył. Po drodze dołączyli do nich Koris i Jens. Znał ich od zawsze. Mrowiła go skóra; był pewny, że nie czuli zbyt wielkiej radości na jego widok. Lecz nic nie powiedzieli. Rozmowa dotyczyła życia wsi: zalotów Jensa do Torin i niechęci ze strony jej ojca, zakładu pomiędzy Korisem a jego starszym bratem o płęć nienarodzonego cielęcia, kłopotów Terisa z teściową i spustoszeń wśród drzew owocowych, dokonanych przez wiosenne burze. Przemknęło mu przez głowę, że bardzo przypominało to plotkowanie matki z ciotką i jego siostrami, które doprowadzało go do szaleństwa za każdym razem, gdy musiał zostać w domu i wysłuchiwać ich. Jedyna różnica polegała na tym, że Jens i Koris gadali o dziewczynach, a Effa i Hara o chłopakach. Kto lubił, kto odtrącał, kto kochał w tajemnicy – kto byłby uczciwy, a kto łgał jak z nut – czyjej pracy można było ufać, a kto wkładał zgniłe śliwki na dno koszyka.

Milczał; nie miał nic do powiedzenia. W chłodzie nocy ale stopniowo wietrzało mu z głowy. Szli przez pastwiska na wschód od wioski, jak określali to panowie. Torf układał się pod stopami w nierówny dywan. Nad głowami zabłyśły wiosenne gwiazdy. Minęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni przebywał na dworze po zmroku i patrzył w niebo oczyma nie

zamglonymi alkoholem. Jakieś rozkwitające nocą kwiaty – wiedział, że powinien znać ich nazwę, lecz wypadła mu z głowy – rozsiewały w powietrzu niespotykany zapach, a każdy wciągany do płuc haust powietrza zdawał się być ważny, jakby niósł ze sobą sekretną wiadomość.

Ujrzeni owczarnię ze wzgórza, mającą w blasku ogniska rozpalonego w zewnętrznej zagrodzie. Kiedy schodzili po zboczu, na powitanie wybiegła im pieśń harfiarza. Szybki rytm sprawił, że przyspieszyli kroku. Gdy ucichła, rozległy się powitania, przekomarzania i docinki. Gird zwolnił kroku. Dostrzegł, jak Jens skręcił w stronę ciemniejszego kąta, gdzie stała Torin, która musiała przyjść wcześniej z przyjaciółkami. Koris obejrzał się na niego i Gird wkroczył w blask ogniska, niezbyt pewny, co powinien zrobić. Nie był w takim miejscu, odkąd dorósł na tyle, by traktować to poważnie. Chłopcy w wieku, w którym wtedy był, opierali się o niski, kamienny murek lub kucali na jego szczycie, trącąc się łokciami i żartując ze starszych.

Przynajmniej trzy razy do roku – od wczesnej wiosny po późną jesień – młodzi, wolni mężczyźni i kobiety z pięciu okolicznych wsi spotykali się we wspólnej owczarni. Gird nie miał pojęcia, jak ustalano daty; wieść rozchodziła się wśród młodzieńców – jutrzejszy wieczór, dzisiaj – i ci, którzy chcieli, mogli iść. Zimnej, jesiennej nocy, kiedy poszedł do owczarni po raz pierwszy, bawiło się tylko trzech młodych mężczyzn i dwie kobiety, a na fujarce z trzciny przygrywał im obdarty chłopak. Zwykle przybywało więcej osób, a do tańca grał jakiś obcy. Odkąd jednak odszedł ze straży, nie poszedł ani razu.

Poderwał głowę, słysząc swoje imię, wypowiedziane przez kogoś po drugiej stronie ogniska. Nie widział, kto to był, nawet gdy przymrużył

oczy. No tak. Oni również słyszeli jego historię. Wbił wzrok w węgle pod  
płonącymi drwami, tę na poły magiczną stertę wielobarwnych światełek i  
tajemniczych kształtów, zdających się walczyć, by coś powiedzieć.

Rozległ się długi syk, zakończony gwałtownym trzaskiem. Podskoczył.

– Ciekawe, co powiedział tym razem. – W głosie dziewczyny  
rozbrzmiewał humor i ciepło. Gird nie podniósł na nią wzroku.

– To samo, co wszystkie ognie – odrzekł.

– Tutaj jest dom, tutaj jest bezpiecznie – zgadywała. Po czym dodała  
zniechęta: – Tutaj kryje się groźba, tutaj czai się śmierć.

Gird odwrócił się. Miała szeroką twarz, znamionującą siłę, nie piękno, a o  
kolorze jej włosów mógł w tym niepewnym świetle powiedzieć jedynie  
tyle, że były ciemniejsze, niż jego. Duże, silne dłonie przytrzymywały  
końce szala. Nie przypominała innych dziewcząt. Z wyjątkiem oczu,  
pomyślał, obserwując w nich doskonałe odbicie płomieni. Z wyjątkiem  
umysłu, który wypowiedział takie słowa.

– Jesteś Gird – oznajmiła. – Ten, który opuścił straż.

– Tak. – Żałował, że na nią spojrział.

– Sprawiają ci kłopoty?

Obrzucił ją zaskoczonym wzrokiem.

– Teraz? – Milczała, a on zastanawiał się, czy odważy się na szczerość.

Cisza przedłużała się. Nikt do nich nie podchodził. Nie czuł  
zainteresowania ze strony innych, tylko jej cichą ciekawość. – Z początku  
najgorzej było z moją rodziną – ojcem, braćmi... – Opowiedział jej  
wszystko: o karach, jakie musieli zapłacić, dodatkowej pracy przy trakcie.  
W milczeniu kiwała głową, kiedy przerywał. Ostrożnie, z wahaniem,  
opowiedział więcej. Sami strażnicy sprawiali mu najmniej trudności – do

tej pory zdumiewało go, że po tamtym wybuchu sierżant postępował sprawiedliwie, choć z rezerwą, a reszta żołnierzy zachowywała neutralność. – Dla nich jestem tylko kolejnym synem wieśniaka. Nie zaczepiają mnie; traktują tak samo, jak innych. Nigdy mi nie dokuczali... – Zwiesił głowę, przypominając sobie tych, którzy tak czynili, a on nie mógł odpowiedzieć na ich drwiny.

– To zupełnie jak gwałt – stwierdziła. Wstrząśnięty, wbił w nią spojrzenie, gotowy do sporu, lecz ona wciąż mówiła. – Obarczają winą niewinnych, ofiarę – zawsze tak robią. Kiedy przyjaciele młodego hrabiego wybrali się w nasze strony na polowanie, jeden z nich złapał moją kuzynkę i wziął ją na środku ulicy dla samego podniecającego doświadczenia. Ale wszyscy mieli pretensje do niej. Moja ciotka powiedziała: „Och, gdybyś nie wałęsała się przy drodze”, a chłopak, który ją kochał – a przynajmniej tak twierdził – potrafił jedynie czynić jej wyrzuty. Wszystko było jej winą, a co ona miała na to poradzić? Oskarżają cię, że nie zapobiegłeś temu, czemu oni sami nawet nie usiłowali przeciwdziałać.

– Ale ja nie zostałem...

– Nie twoje ciało – rzuciła tonem, który oznaczał, że powinien był zrozumieć. – Nieważne. Skoro cię nie zabili, wciąż żyjesz, jak powiedziała moja kuzynka i rok później wyszła za mąż gdzie indziej, po tym, jak umarło jej dziecko. Przeżyła, tak samo jak przeżyjesz ty. Wszyscy tak żyjemy.

– To nie w porządku – oznajmił Gird głosem, który pamiętał sprzed lat. Uniosła brwi.

– Czy jesteśmy bogami, by wiedzieć, co jest dobre, a co złe i poza prawem? Nienawidzę takiego życia, lecz nikt nie uczynił mnie panią.

Odpowiedziałby, a przynajmniej spróbował, lecz znowu zabrzmiała muzyka. Z bliska harfa podkreślała ciche słowa i wszyscy podchwycili pieśń. Gird nie znał jej, ale dziewczyna tak.

Piękne są kwiaty, co kwitną na łące

Piękne są kwiaty, co kwitną na wzgórzach

Każdej wiosny kwitną wciąż bardziej pachnące

By zwiędnąć zimą w srogich, śnieżnych burzach...

Miała chropowaty głos, melodyjny, choć niezbyt silny, który czepiał się melodii jak brzoskwinia gałęzi. Gird czuł jej śpiew w całym ciele, niczym ciepły, lekko puszysty dotyk. Chciał zaśpiewać wraz z nią, a przynajmniej zanucić melodię, lecz za bardzo ścisnęło go w gardle. Potem zaczęła się druga, jeszcze smutniejsza piosenka. Tę znali wszyscy. Zaśpiewał bez fałszu, wyciągając tony. Jej głos dołączył, głęboki i łagodny. Pod koniec zdał sobie sprawę, że pozostali zamilkli, zasłuchani i głos mu się załamał, psując zakończenie. Po drugiej stronie ogniska ktoś wybuchnął śmiechem i Gird wzdrygnął się jak uderzony, lecz na jego ramieniu spoczęła dłoń dziewczyny.

– Nie zwracaj uwagi – oznajmiła, wykorzystując kaskadę szybkich dźwięków – tym razem gigi. Ktoś znalazł patyki, by wystukiwać rytm. Nie patrząc na dziewczynę, Gird wycofał się w kąt pomiędzy murem a zagrodą. Nie zaskoczyło go, że podążyła za nim. Stała tak blisko, że poczuł się niezręcznie; mógłby ją objąć ramieniem.

– Znasz moje imię – burknął, nie chcąc pytać z obawy, że odmówi odpowiedzi.

– Jestem Mali, z wioski przy rozstajach... nazywają ją Ognistym Dębem. – Przymomnił sobie tę nazwę z nauk w straży, a wraz z nią umiejscowienie, liczbę rodzin i inne szczegóły, które poznał. Zaskoczyło go to; nie sądził, że tyle zapamiętał. Spojrzał na nią.

– Wiedziałaś o mnie...

Wzruszyła ramionami. Szal ześlizgnął się jej z ciemnych włosów. Na policzku miała jakieś znamię, bliznę. W tym świetle trudno było orzec, dostrzegał jedynie jaśniejszą linię.

– Jak większość; takie historie szybko się rozchodzą. Amis opowiadał mi o tobie i twojej przeszłości przed strażą. Chciałam cię zobaczyć, dowiedzieć się, co z ciebie zrobili.

– Nieudacznika – odparł Gird i podskoczył, gdy zdzieliła go w ramię. Mocno; będzie miał siniaka.

– Tylko ty sam możesz zrobić z siebie nieudacznika. Jesteś dużym, silnym chłopakiem o głowie z twardego kamienia...

Czuł się rozbudzony, jakby zanurzono go w studni.

– Kim jesteś, jakąś wróżbiarką?

Na jej obliczu tańczyły cienie i odblask płomieni; nie potrafił odczytać jej miny.

– Ja? Córka rolnika, tak jak ty gospodarskim synem. O mnie też mówią, że jestem uparta i niebezpiecznie wchodzić mi w drogę. Jeśli mnie poślubisz, będziesz miał silną matkę dla swych dzieci i lojalną przyjaciółkę...

– Poślubić... nie mogę się ożenić... jestem...

– Dojrzałym mężczyzną – powiedziała. Gird poczuł, że palą go uszy. Miał ochotę złapać ją i potrząsnąć, albo rozpląnąć się w rzadkim powietrzu.

Wiedział, że był dojrzały; jego ciało reagowało na nią równie mocno, jak

uszy. Czy tak właśnie zabawiały się dziewczęta w jego wieku? Z pewnością była śmielsza od innych.

– Przepraszam – mruknęła cicho. Poczuli, jak się wycofuje; narzuciła szal na włosy. Przeszyło go to, niczym ostrze. Nie zniósłby jej odejścia.

– Zaczekaj! – rzucił ochryple. – Ja... ty... nigdy nie słyszałem kogoś...

– Nieważne. – Owinęła się ściśle szalem i objęła ciasno ramionami. – Wystarczająco często mówiono mi, że jestem zbyt śmiała i dzika. Ale usłyszałam o tobie, jak się zmieniłeś, odsuwając się od przyjaciół.

Pomyślałam, że może ja, obca, zdołam ci pomóc...

– Pomogłaś. – Gird potarł własne ramiona, po raz pierwszy od – kiedy? roku? – wyczuwając teksturę tkaniny i skóry. Czuł ożywienie i pobudzenie, nie tylko w taki sposób, który dowodzi dojrzałości mężczyzn. Mrowiła go skóra. – Ja... obudziłem się – dodał. Zastanawiał się, czy zrozumiała. Zapiekły go oczy i zacisnęło się gardło.

Patrzyła na niego. W migotliwym blasku trudno mu było dostrzec jej ciemne oczy, czuł jednak intensywność tego spojrzenia.

– Obudziłeś się?

– To... och, nie mogę tutaj mówić! Chodź! – Bez zastanowienia złapał ją za rękę i pociągnął do wyjścia z zagrody. W pierwszej chwili zeszywniała, zaraz jednak poszła za nim chętnie, niemal nie potrzebując przewodnika. Ledwo zauważył, jak stojąca przy bramie postać odwróciła głowę, by za nimi popatrzeć i już znaleźli się za murkiem, na otwartym polu, z gwiazdami nad głowami.

Zatrzymał się dopiero, gdy potknął się o kamień i przewrócił, pociągając ją za sobą. Uświadomił sobie, że płakał. W uszach mu szumiało, a zapach i smak łez tłumili niesione wiatrem wonie. Wyrwała się mu, kiedy upadał, a

teraz przykucnęła przy nim; ledwie widoczny kształt na wyciągnięcie ramion od niego. W końcu odzyskał oddech i usiadł. Nie poruszyła się, ani nie zbliżając, ani nie oddalając się od niego.

– Przepraszam – powiedział. – Ja nie... nigdy przedtem tego nie robiłem...

– Mam nadzieję. – W jej głosie brzmiało cierpkie rozbawienie, lecz nie wrogość.

– Musiałem się wyrwać... nie mogłem rozmawiać tam, wśród tych wszystkich...

– Tylko paru z nich nadal z ciebie kpi, Girdzie.

– Nie oto chodzi. Tylko... och, bogowie, przebudziłem się! Nawet nie wiedziałem, że spałem. Nie miałem pojęcia, że tak zobojeźniałem, a teraz...

– Czy to boli, jak noga, na której zbyt długo siedziałeś?

Długo wciągał powietrze, próbując uspokoić oddech.

– Dokładnie mówiąc, nie boli... chociaż kłuje. Raczej tak, jakbym był chory i leżał zamknięty w domu tak długo, że zapomniałem o kolorach na zewnątrz, a potem ktoś wyniósł mnie na dwór, w sam środek wiosny. –

Obrócił się do niej, żałując, że nie widział jej miny. – Mówiłaś poważnie o tym ślubie?

Ku jego zdumieniu wybuchnęła śmiechem tak radosnym, że nie potrafił się mu oprzeć. Nie miał pojęcia, czemu było to takie śmieszne, niemniej, przyłączył się do niej. Wreszcie, po ostatnim parsknięciu, uspokoiła się i przeprosiła.

– Wiem, że nie powinnam śmiać się z ciebie, lecz szybko działasz, jak na kogoś, kto właśnie ocknął się po długotrwałej chorobie. Tak właśnie zalecałeś się do dziewcząt, kiedy byłeś strażnikiem?

– Wtedy byłem na to za młody. – Nawet w blasku gwiazd dojrzał, że



pozwoiliła szalowi z powrotem opaść, odsłaniając ciemne włosy. Ciało upierało się, że teraz nie był już zbyt młody; starał się zachować spokój. – Mmm... usiądziesz przy mnie?

Przysunęła się, rozpostarła spódnice i usiadła, niemal dotykając go biodrem.

– Tak sobie myślałam, skoro jesteś najbliższą mi osobą tej ciemnej nocy. Nie zauważył wcześniej jej zapachu; teraz woń podążyła z nosa prosto do serca. Czy wszystkie kobiety tak pachniały? Wyzwał się w myślach od głupców za zmarnowanie tylu lat, podczas których mógł nauczyć się adorowania takiej dziewczyny. Zacisnął dłonie w pięści, powstrzymując się przed sięgnięciem po nią.

– Ale na pewno... – Głos mu się załamał i musiał zacząć od nowa. – Na pewno kogoś masz... kogoś z twojej wioski?

Jej cichy śmiech rozgrzał mu serce.

– Niestety nie, Girdzie. Tego wieczoru przekonałeś się, że jestem bezpośrednią dziewczyną o szybkim języku. Nie będę uważała na to, co mówię, dla zadowolenia jakiegokolwiek mężczyzny, choć przysięgam na Alyanyę, że nie ma w tym złośliwości. I choć jestem duża, silna i dobrze gotuję, to kiepska ze mnie prządka. Moja przędza jest pełna supełków, a tkaniny kiepskie, jak wykonane ręką dziecka. Talentem mojej rodziny zawsze było tkactwo, choć ciotka nauczyła mnie gotować. Mówiła, że mam do tego dar.

– Moja matka i siostry są wystarczająco dobrymi tkaczkami – odrzekł Gird. – Z radością powitają talent gotowania, a jeszcze bardziej znajomości ziół, niż pieczenia ciast. – Nie mógł uwierzyć, że tak szybko doszli do rozmów o talentach. Czyż nie była to ostatnia czynność przed

formalnymi zaręczynami? Nie pamiętał; nie myślał o niczym, prócz samej dziewczyny – Mali, przypominał sobie z mocą – jej zapachu i dotyku.

– Znam się na tym – oznajmiła, opierając się o niego. Otoczył ją ramieniem, a ona wtuliła się w niego. Tam, gdzie go dotykała, jej ciało płonęło, przepalając ubrania. Trawiło go pożądanie. Spokojna rozmowa przychodziła mu z trudem. Łapał głębokie hausty zimnego, czystego, nocnego powietrza.

– Twój ojciec? – Gird spodziewał się, że nie wyrazi zgody, biorąc pod uwagę jego reputację. Ona jednak potrząsnęła głową.

– Przewodzi nam babka, która jest też starszą wioski – nie podoba się to magom, ale wyrazili zgodę. Ucieszy się, jeżeli ktoś mnie zechce, a ty jesteś synem rolnika. A co z twoją matką?

– Będzie szczęśliwa. – Nachylił się, wdychając zapach jej włosów. Czy on naprawdę rozmawiał o ślubie z kimś, kogo poznał tego wieczoru i widział tylko w świetle płomieni? Może była wiedźmą, albo – co gorsza – czarodziejką udającą wieśniaczkę pod przebraniem zaklęć?

– Muszę ci o tym powiedzieć – oświadczyła Mali, siadając prosto.

Spojrzał na nią. Przytykała dłoń do znamienia. – Prócz tego, że głośna, nie jestem piękną. Przez tę bliznę wielu nazywa mnie brzydką.

– Co się stało? – Wykorzystał szansę, żeby odetchnąć i przypomnieć sobie o zwyczajach swego ludu.

Mali wydała z siebie dziwny dźwięk; coś pomiędzy niknięciem a parsknięciem.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć, iż stało się to, kiedy broniłam moją kuzynkę przed magami – miało to miejsce tego samego dnia – lecz prawda jest taka, że to wina mojej własnej niezdarności. Niosłam bratu kosę na

pole i potknęłam się. Kiedy wróciłam biegiem do domu, na drodze leżała moja kuzynka. Nic dziwnego, że nikt nie miał dla mnie czasu.

Pomyślałam, że oszczędzę kłopotu babce i sama zaszyję sobie ranę, lecz zapomniałam dodać herinu do maści i została blizna. Moja wina. –

Położyła mu ciepłą dłoń na rękę. – Lecz zrozumiem, jeśli zmienisz zdanie... to znaczy, inaczej byłoby nie w porządku. Spadłam na ciebie jak sieć na ptaka. Musisz dokonać samodzielnego wyboru, mieć szansę na podjęcie własnej decyzji. Obejrzyj mnie w świetle dnia, a wtedy, jeśli nadal będziesz chciał...

Milczał, przytłoczony rywalizującymi ze sobą myślami. Zmierzył ją spojrzeniem.

– Czy aby nie uważasz, iż nie przytrafi ci się nikt lepszy od tchórza z hrabiowskiej wsi? Jestem twoją ostatnią szansą – to właśnie próbujesz powiedzieć?

Wyprostowała się gwałtownie. Myślał, że go uderzy; wciąż bolało go miejsce po poprzednim razie.

– Ty głupku! Jeśli mnie nie chcesz, zwyczajnie to powiedz. Nie zwałaj winy na mnie.

– Ja nie...

– Właśnie, że tak. – Oddychała szybko, gniewnie. Czekał. W końcu podjęła: – Byłam ciekawa. Słyszałam... to, co ci powiedziałam. Jeśli o mnie chodzi, to choć lubię pokołysać się jak każdy, prędzej zostanę starą panną, niż wyjdę za kogoś z rozpacz. A potem spotkałam ciebie... Amis mówił, jaki jesteś delikatny, ale słowem nie wspomniał, jak śpiewasz. – Głos jej zamarł. – I nie jesteś tchórzem, nieważne, co sam o tym sądzisz.

– Nie uważasz, że mężczyzna zna siebie najlepiej?

Znowu wybuchła śmiechem.

– Niby jak? Czy woda wie, że jest mokra, a kamień – że jest twardy? Z czym mogą się porównać? Znam siebie, lecz moja babka od razu wiedziała, że nadaję się do zielarstwa, a nie tkania czy wyszywania. Tak samo z tobą: czy twoja matka lub ojciec uważali, że zostaniesz dobrym żołnierzem?

Kolejne zaskoczenie.

– Ja... nie wiem. Przypuszczam, że raczej nie, choć bali się, że mógłbym stać się...

– Okrutny? – Dostrzegł, jak kręciła głową w blasku gwiazd. – Nie, to nie tak. Robisz to, co musisz, lecz zadawanie bólu nie sprawia ci przyjemności. – Uspokoilo go to; wątpliwości pierzchły. Dziwna dziewczyna, inna od wszystkich, jakie znał (choć ileż to dziewcząt dotąd poznał?), ale nie było w niej przebiegłości. Skoro powiedziała, że go lubi, tak właśnie było. Odchrząknął.

– Chciałbym... – Pani łaski pełna, nie wiedział nawet, jak zapytać. Lecz Mali z powrotem przysunęła się do niego; jej ramię naparło na jego, a pachnące włosy opadły mu na twarz.

– Powinieneś zaczekać do wschodu słońca – powiedziała. – Możliwe, że zmienisz zdanie.

Gird roześmiał się.

– Wschód słońca – odparł – jest za daleko. A może chcesz wrócić i poszukać świadków, żeby było bardziej formalnie?

– Nie chcę żadnych świadków – oznajmiła niskim głosem, przechodzącym w pomruk. – Nie tego. – Złożyła szal i położyła się, szeroko rozkładając ramiona. – Przysięgam na Panią, że z tej nocy jestem zadowolona.

Do wschodu słońca oboje byli zadowoleni. Gird sądził, że wiedział, jak to jest pomiędzy mężczyzną a kobietą; wszak to żaden sekret i każde dziecko nieraz to widywało, dorastając. Lecz ciało Mali, słodko pachnące i ciepłe na chłodnej trawie porastającej zbocze wzgórza, dalece przewyższało wszystkie jego wyobrażenia. Nie mógł nacieszyć się dotykiem jej gładkiej skóry, tych wszystkich krągłych zakamarków, do których docierał nosem, językiem i palcami. Sądząc po jej zachowaniu, podobało się jej tak samo, jak jemu. Wreszcie zasnęli i obudził ich dopiero głośny, nierówny śpiew wracających do domu przyjaciół Girda. Mali zachichotała.

– Dają ci znać, że pora już iść, ale nie chcą przeszkadzać. Wiesz, Girdzie, oni nadal są twymi przyjaciółmi. Pewnego dnia musisz im wybaczyć. W tamtej chwili wybaczyłyby wszystko każdemu, tak przynajmniej się czuła. Na dalekim horyzoncie pojawiła się blada linia. Z jękiem naciągnął na siebie ubranie.

– Nie chcę iść.

Mali już stała i strzepywała szal.

– Wiesz, dokąd pójść, gdybyś nadal chciał.

– Wiesz, że chcę cię poślubić.

– Nie wiem. Wiem, że cieszyło cię moje ciało, tak jak mnie cieszyło twoje, lecz małżeństwo to coś więcej. Ale lubię cię, Girdzie. Mówię to teraz, po tym, jak usłyszałam twój śpiew, śmiech i płacz, a to więcej, niż niejedna dziewczyna może powiedzieć o swym oblubieńcu przed ślubem. Przyjrzyj się mojej twarzy za dnia i wtedy zdecyduj. – Odwróciła się, by ruszyć w stronę domu. Gird złapał ją za ramię.

– Dlaczego nie teraz?

– A co z twoją dzisiejszą pracą? Z twoją rodziną? Wracaj do domu, chło...

Girdzie. Wróć do domu i zastanów się, czy chcesz wielką, niezdarną i hałaśliwą żonę o pobliznionej twarzy. Jeśli tak, wróć i obejrzyj mnie sobie za dnia. A potem mnie poproś...

– Proszę cię teraz!

– Nie. Teraz nie odpowiem. Za dnia. – Wyrwała się i odeszła. Gird patrzył za nią, po czym podążył za oddalającymi się głosami przyjaciół.

Dogonił ich tuż przed wsią. Było już wystarczająco jasno, by widział ich twarze. Poczul, jak się czerwieni. Amis szturchnął Jensa łokciem.

– Widzisz: miałem rację. Po prostu potrzebował zaczerpnąć świeżego powietrza...

– Zapewniam, że znalazł więcej, niżli tylko świeże powietrze. Popatrz na jego twarz. Gdybym ja tak wyszedł z Torin...

– Nie wyszedłbyś. Dowiesz się, jak to jest, dopiero w małżeńskim łóżu, Jens.

– Wiem, jak. – Jens pchnął Korisa, a ten mu oddał. – Tylko ten jej ojciec...

– Chodź, Girdzie – zawołał Amis, otaczając go ramieniem. – Opowiedz nam: wyciągasz dziewczynę w samym środku tańców... Rzuciłeś ją na ziemię, czy jak?

Słyszał w ich głosach niepewność, jak zareaguje: złością, żalem czy jeszcze inaczej. Czul się, jakby śpiewał. Zamiast tego wybuchnął śmiechem.

– Oto coś nowego – mruknął Amis. – Nawet mi się podoba: roześmiany Gird.

– Uspokój się – rzucił, wyślizgując się spod ramienia i unikając szturchających go palców. – Przyznaję: miałeś rację. Potrzebne mi były te tańce...

– Nie tańczyłeś! – zauważył Jens.

Gird wzruszył ramionami. Czuł narastającą, kolejną falę śmiechu.

– Bawiłem się wystarczająco dobrze – oznajmił.

– Tylko patrzeć, jak zdrzemnie się pod żywopłotem. – Koris wyszczerzył zęby w pozbawionym złośliwości uśmiechu. – Do wieczora trochę się zmęczysz, co?

Gird odpowiedział uśmiechem. Czuł się tak, jakby złe lata nigdy się nie wydarzyły. Czuł się tak, jakby mógł pracować przez dwa dni bez odpoczynku. Zacerpnął długi haust świeżego, słodkiego, porannego powietrza i zamilkł. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś będzie szczęśliwy, a jednak teraz był.

Przeszedł przez podwórko, czując zastałą, kwaśną woń domu. Wszystko pięknie: zakochał się w dziewczynie, poślubi ją... ale gdzie będą spać?

Będzie musiał zrobić łóżko. Będzie musiał zarobić na opłatę małżeńską dla hrabiego i zapłatę dla jej rodziny za wnoszony przez nią talent. Będzie musiał...

– Wyglądasz na beztroskiego – zauważył siedzący obok czerwonawej krowy Arin. Strumień mleka wpadał z sykiem do wiadra. W ciągu trudnych lat głos Arina wyostrzył się, teraz jednak słyhać w nim było troskę, nie gniew.

– Owczarnia – wyjaśnił Gird. Wziął drugi stołek i skopek.

– Ty? Myślałem, że poszedłeś do Kirifa.

Gird przemył krowie wymiona wodą z wiadra i pochylił się na stołku.

Nakrapiana krowa poruszyła uszami, gdy sięgnął po dójki, a on wtulił się w jej bok i zagadał uspokajająco.

– Spokojnie, słodziutka... najpierw byłem u Kirifa, a potem przyszedł

Amis i zabrał mnie do owczarni...

– To dobrze – uznał Arin. – Spotkałeś kogoś?

Równie dobrze mógł się przyznać; zanim wyjdą na pole, wiadomość obiegnie już całą wieś.

– W owczarni zawsze można kogoś spotkać – zaczął, lecz nie potrafił utrzymać niedbałego tonu. – Kogoś – powtórzył. – Arinie, jest taka dziewczyna w Ognistym Dębie...

– Gdzie?

– Ognisty Dąb. Na wschód stąd. No wiesz, siostra żony Terisa wyszła za mąż w Ognistym Dębie. Jej talentem jest gotowanie i ziołarstwo...

– Siostry żony Terisa? – zdziwił się Arin.

– Nie. To talent Mali. Dziewczyny, którą poznałem.

Brwi Arina powędrowały w górę.

– Rozmawialiście o talentach? Pierwszej nocy?

– Nie tylko rozmawialiśmy – oznajmił Gird, przechodząc do drugiej pary dójek.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... nie zaręczyłeś się?! Girdzie, wiesz, że musisz zapytać...

Gird uśmiechnął się do boku krowy i siknął strumieniem mleka w Arina, który podszedł i stanął u jej barku.

– Nie zaręczyłem się, ale nie tylko rozmawialiśmy. Na łaskę Pani, Arin, przecież wiesz, o czym mówię. I poproszę o nią, zobaczysz.

– Ale czy jesteś pewny? To pierwszy raz, kiedy poszedłeś spotkać się z dziewczynami, odkąd... – urwał i poczerwieniał. Gird roześmiał się.

– Odkąd opuściłem straż, chciałeś powiedzieć i masz rację. Myślisz więc, że to tak, jak z pierwszą chwilą po odzyskaniu wzroku przez ślepcę?



Powiniennem zaczekać i przyjrzeć się lepiej? Ona też tak powiedziała, lecz mówię ci, Arinie, że ona będzie moją żoną. Polubisz ją.

– Mam nadzieję – powiedział z powagą Arin. – Lepiej powiedz tacie.

– Po dojeniu. – Skończył z nakrapianą i odniósł oba wiadra do kuchni.

Matka obrzuciła go spojrzeniem i zapytała:

– Kto?

Gird zerknął na nią.

– Tak rzuca się w oczy?

– Dla kobiety i matki? Myślisz, że byłam ślepa, chłopcze? Nie, nie jesteś już chłopcem, tylko mężczyzną. Znalazłeś kobietę, przespałeś się z nią, a teraz chcesz pojąć ją za żonę.

– To prawda. Co o tym myślisz?

Obrzuciła go długim, oceniającym spojrzeniem.

– Najwyższa pora. Jeśli jesteś gotowy. Wystarczająco długo rozpaczałeś...

– Wiem – odrzekł, ubiegając nadciągające kazanie. Pokręciła głową, niemniej, nie kontynuowała znanego mu wykładu.

– No dobrze... nie wiem, skąd wziąć na opłaty, ale możesz na nie zarobić.

Jaki ma talent?

– Zielarstwo i gotowanie. – Wstrzymał oddech; matka zawsze mówiła o znalezieniu żony, której talent uzupełniałby jej umiejętności: tkaczki lub krawcowej, a może farbiarki.

– Dobrze. Żaden chłopiec – mężczyzna – nie przyjmuje rad od własnej matki, niemniej, zastanów się, Girdzie: czy jest kłótniwa? Ten dom jest za mały na sprzeczki. – Mówiła cicho; w sąsiedniej izbie przebywała żona Arina, o której matka powiadała, że wniosła talent do narzekania.

– Kłótniwa... nie. – Powiedziała, że ma szybki język, lecz nic w jej głosie

nie sprawiło, że cierpła mu skóra.

– Lepiej powiedz ojcu. – Obdarzyła go krótkim uśmiechem. – Jeśli przywróci ci śmiech, Girdzie, nie będzie miała ze mną kłopotów. To była długa susza.

Przygarbiony nad śniadaniem ojciec wyjaśniał, kiedy Gird mu powiedział. Żona Arina nie odezwała się, tylko szybko wyprowadziła swoje najstarsze dziecko na podwórko. Ojciec nachylił się do niego.

– Ładna?

– Ona... – Nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Widział ją w blasku gwiazd, czuł jej zapach, ciepło, siłę i radość. – Jest silna – dokończył. Ojciec zaśmiał się.

– Znów mówisz jak chłopak, którym kiedyś byłeś. Założę się, że siła nie wywołałaby tego błysku w twoim oku. W tej dziewczynie jest coś więcej, niż mięśnie. Kiedy pójdziesz do jej ojca?

– Wkrótce. Ja... nie jestem pewny.

Ojciec zagwizdał refren „Zbierania orzechów w lesie” i roześmiał się ponownie.

– Młodziaki. Na bogów, chłopcze, pamiętam twoją matkę... – Gird był wstrząśnięty. Przez całe jego życie matka była matką – pracowitą kobietą o twardych dłoniach, zawsze w długim fartuchu, nalewającą owsiankę lub przedającą. Ojciec mówił dalej: – Chmura świetlistych włosów wokół twarzy, a pachniała jak... jak... chyba wszystkie młode dziewczyny tak pachną. Nie oprze się temu żaden młodzieniec, Girdzie. Zawsze tak jest: baran ciągnie do owcy, byk do krowy, a potem do końca życia dźwigamy jarzmo... Ale takie chwile sprawiają, że warto było.

– Hę? – Nie nadażał; słowa ojca przywołały wspomnienie zapachu Mali

tak intensywnie, jakby stanęła koło niego, jakby położyła się... Z trudem skupił myśli.

Ojciec walnął ręką w stół.

– Zobaczyć silnych synów gotowych do żeniaczki – to jest warte trudu, Girdzie. Ujrzyć ciebie z jasnym wzrokiem, myślącego o czymś innym, niż przeszłość.

Gird wzruszył ramionami. Jego wczorajsze, pozbawione nadziei ja odeszło, jakby nigdy nie istniało.

– Oto moc Pani – oznajmił ojciec. – Potrafi przywrócić wiosnę na każdym polu. – Nie wprawiało to już Girda w zakłopotanie; całym sercem powrócił do wiary rodziny.

\* \* \*

Wizyta w Ognistym Dębie zaczęła się pomyślnie. Matka Mali widziała wyroby matki Girda na jarmarku w zeszłym roku.

– Zna wzór jodełkowy – oznajmiła kobieta. Dorównywała Mali wzrostem, lecz była szczupła, a ciemne włosy przetykały pasma siwizny. – Jeśli nie zna wzoru jęczmiennego, z radością się wymienię. – Gird wiedział, że matka od wielu lat pragnęła poznać wzór jęczmienny, samemu nie potrafiąc go wypracować. Podarowała wzór jodełkowy ciotce żony Arina; z pewnością wymieni go z matką jego żony. Skinął głową – bez zobowiązań, samo potwierdzenie możliwości.

Mali ugniatała chleb umączonymi do łokci rękoma. Blizna, o której mu wspominała, była dobrze widoczna, bardziej szeroka, niż głęboka. Nie przejął się nią j wiedział, że tak będzie. Trudno było przebywać tak blisko

niej i nie objąć jej. Mrugnęła do niego – czuła to samo. Wróciła wzrokiem do ciasta i podjęła ugniatanie. Przypomniawszy sobie jej pięść na ramieniu, jej siłę. Była silna wewnątrz i na zewnątrz; kolana mu zmiękły na wspomnienie dotyku jej ciała na osrebrzonej światłem gwiazd trawie.

– Mali nie należy do najcichszych dziewcząt – oznajmił jej ojciec. Nie był równie ciemnowłosy, jak Mali i jej matka; miał brązowe, przerzedzone włosy i siwiejącą brodę. – Ma szybki język.

– Gird wie o tym – wtrąciła Mali, podrzucając ciasto i ciskając je z powrotem na stolnicę.

– Najlepszy przykład – mruknął jej ojciec. Gird uśmiechnął się do niego.

– Lepszy język szybki, niż złośliwy – stwierdził, zmieniając nieco stare powiedzenie. '

– Zgoda, pod warunkiem jednak, że nie jest zbyt szybki do garnka. Jest dobrą kucharką; jej talent jest cenny. – Tak rozpoczęła się faza targów. Talent dziewczyny był najcenniejszą własnością rodziny. Składał się z tajników i umiejętności, odziedziczonych po pokoleniach kobiet i przekazywanych tylko wybranym. Cenny talent wzbogacał zyskujący go dom i zubażał gospodarstwo, które opuszczał. Opłata za małżeństwo dla pana była taka sama dla wszystkich o jednakowej pozycji, lecz on musiał jeszcze zapłacić rodzinie Mali za jej talent.

Przynajmniej oznaczało to, że jej rodzina zaakceptowała go, a ona sama wyraziła zgodę. Pomimo wszystkiego, czego dokonali panowie, zwykłym ludziom do głowy by nie przyszło, że dziewczęta musiały iść tam, dokąd kierowały ich rodziny. Według prastarych rytuałów małżeństwo było jak przenikające się płomienie na palenisku – jeśli którejś ze stron nie udało się rozniecić ognia, małżeństwo nie mogło dojść do skutku.

Targi prowadził Arin, gdyż Gird nie był ani gospodarzem, ani dziedzicem. Młodzi uciekli do maleńkiego ogrodu, gdzie wpatrywali się w siebie na oczach całej wsi. Zdumiewająca liczba ludzi musiała akurat wtedy przechodzić drogą. Gird nie znał nikogo, lecz zauważył tych samych chłopców, prowadzących kozy w jedną i drugą stronę, czy dziewczynę w czerwonej sukience z koszykiem – najpierw pełnym, potem pustym, wreszcie znowu pełnym. W końcu Mali wybuchnęła śmiechem.

– To prawda – oni zwyczajnie sprawdzają, jak długo tutaj wystoiemy.

Spodziewają się, że któreś z nas podkuli ogon i weźmie nogi za pas.

– Blizna nie ma znaczenia – powiedział, zanim pomyślał. Spąsowiała i szrama zbieleła. – Przepraszam – rzucił.

– Nie, przyzwyczaiłam się. Myślałam, że i tak przyjdiesz i nie zmienisz postanowienia. Czerwienię się, ponieważ to moja wina.

– Wina?

Spojrzała ponad jego ramieniem.

– Słyszałam o tobie. Poszłam tam, żeby spotkać ciebie, nikogo innego. A kiedy cię poznałam, zapragnęłam ciebie... a potem...

– A potem ja zapragnęłam ciebie. I co?

– To, że wciąż cię pragnę, ale... nie wypomnij mi tego po latach.

– Nie. – Przysunął się do niej, nie zważając na kobiety, idące z wiadrami do studni. – Nie, to przeznaczenie. Może taka była wola Pani, albo innego dobrego bóstwa. – Otoczył ją ramieniem w pasie, a ona przytuliła się do niego. Chciał nosić ją po podwórku, lecz z domu wyszedł Arin. Wyglądał na zadowolonego.

– No, Girdzie, czeka nas sporo roboty, żeby zarobić na twoje opłaty.

Wiedział, że poczerwieniał; czuł pieczenie policzków.

– Ach, tak... Mali...

– Nie ociągaj się – powiedziała. Znowu przytuliła się do niego, pocałowała i wyszeptała do ucha: – Możliwe, że Pani już nam pobłogosławiła.

## Rozdział 6

Jedyna niezręczność miała miejsce, kiedy musiał zaprowadzić Mali do zarządcy hrabiego, by przepisał ją na inną listę. Na szczęście samego hrabiego nie było we dworze, niemniej, jego namiestnik mógł postanowić skorzystać z prawa.

– A więc żenisz się, młody Girdzie?

– Tak, panie zarządcu. – Młodzieniec nie podnosił wzroku.

– Najwyższa pora... obijałeś się wystarczająco długo. – Zarządca przemawiał chłodnym głosem. Gird obserwował palce trzymające pióro nad skrajem pergaminu. – Popatrz na mnie, chłopcze.

Oblicze namiestnika było starsze, poszarzałe, poza tym jednak nie zmieniło się. Gird z trudem spojrział w lodowato-błękitne oczy.

– Przyniosłeś opłatę małżeńską? – Gird podał pieniądze; ciężkie, miedziane monety wylewały się z rąk szybciej, niż do nich trafiały. – A to jest ta dziewczyna... – zarządca obejrzał Mali od góry do dołu i powrócił wzrokiem do Girda. – Wybrałeś siłę, co? Założę się, że robotna... choć niezbyt ładna... – Gird poczuł, jak płoną mu uszy; Mali spłasowała. Blizna zabłysła bielą od brwi do szczęki. – Szerokie biodra, dobre do rodzenia. Jacyś magowie wśród twych przodków, dziewczyno?

– Nie, panie zarządcu – odparła chrapliwie, na pograniczu warknięcia.

– Pewnie, że nie. Przypuszczam również, iż nie urodziłabyś żadnego.

Szkoda na ciebie hrabiowskiego czasu, chyba że dla rozrywki. –

Namiestnik opuścił wzrok na pergamin. – Mali z Ognistego Dębu, córka Kekrina, syna Amisa, poślubiona Girdowi z tej wsi, synowi Dorthana, syna Kerisa. Opłata wniesiona, pozwolenie na zamieszkanie z Dorthanem

udzielone. To wszystko. .

Pochylili głowy i wyszli prędko, poczerwieniali i zagniewani, lecz zbyt rozsądni, by to okazać. Najpierw do domu ojca Girda, gdzie Mali musiała rozpalić pierwszy ogień na palenisku. Czekwały tam wszystkie staruchy ze wsi, by wykrzyczeć wyczytane z płomienia znaki. Gird wstrzymał oddech. Ułożyła trzaski w Gwiazdę, na której wzniosła trójnóg z dębiny, przyniesionej z paleniska jej rodziny, po czym skrzesła iskry. Za pierwszym razem byłoby za szybko. Za drugim – dobry znak, ale nie najlepszy z możliwych. Po trzecim uderzeniu krzemieni o siebie na czubek dębowych gałązek spadła iskierka, rozniecając płomyk. Teraz działała szybko, zgodnie z rytuałem dokładając do ognia resztę składników: tę gałązkę na tamtą, to zioło, kłaczek wełny z owcy jej ojca, pestkę jabłka z ich jabłoni. Staruchy zamamrotały, przekazując sobie znaki dłońmi; Gird zmartwił się, lecz matka uśmiechnęła się radośnie. W takim razie wszystko musiało być dobrze.

Wraz z resztą mężczyzn wyszli kuchennymi drzwiami do obory, a stamtąd na wąskie, zatłoczone podwórko, gdzie kobiety postawiły na stołach weselny poczęstunek. Teraz nastąpi odmowa: przyjdą rodzice Mali i będą starali się nakłonić ją do powrotu do domu. Najpierw odmówi im przy otwartych drzwiach, potem – gdy nie będą ustępować – zamknie je i zarygluje. Po rytualnym powitaniu swojej teściowej i ukłuciu się w palec dla wytoczenia dwóch kropli krwi – jednej dla ognia, a drugiej dla paleniska – jej rodzice zapukają ponownie. Teraz, jako członkini tego domu, Mali powita ich jako gości honorowych.

Przez cały ten czas Gird znosił żarty przyjaciół, ojca i braci. Słyszał je przez całe życie i bawiły go, odkąd dorósł, teraz jednak, czekając, aż Mali



zostanie jego żoną, a przestanie być córką swych rodziców, uznał je za mało śmieszne. Co te groteskowe bajędy miały wspólnego z jego Mali? Zamachnął się na brata, kiedy Arin próbował założyć mu tradycyjny fartuch.

– Musisz, Girdzie. Jesteś teraz jej mężem; nie chcesz mieć dzieci?

Gird przyjrzał się fartuchowi ze skóry pociemniałej przez pokolenia celebrantów. To było śmieszne. Byki nie potrzebowały niczego takiego, czemu więc bogowie wymagali tego od ludzi? Pamiętał dobiegające z kątów chichoty, kiedy Arin tańczył w fartuchu. Jak potem mógł zbliżyć się do żony we własnej skórze? Przyjaciele podeszli czujnie bliżej, w razie potrzeby gotowi pomóc Arinowi. Westchnął i opuścił ramiona.

– W porządku. Chociaż nadal sądzę... – Zamilkł. Ich dłonie pracowały nad rzemykami i zapięciami. – Ciekawe, jak stary jest ten obyczaj...

Po wyjściu na dwór Mali zagryzła wargi, powstrzymując śmiech.

Przynajmniej miał nadzieję, że to był śmiech. Czuł się wystarczająco głupio, truchtając w kółko niczym młody byczek, po raz pierwszy dopuszczany do jałówek i niemal równie wielki. Miała na sobie koszulę dziewicy z mięciutkiej irchy, haftowanej w kwiaty i ciasno związanej z tyłu, gdzie nie mogła dosięgnąć rękoma – tradycja równie stara jak fartuch. Mężczyźni zaczęli wybijać rytm stopami, a ich głębokie głosy odbijały się echem od murów podwórka. Gird zatupał głośno. Wbrew sobie poczerwieniał – zaczął działać na niego pradawny rytm.

Kroki tylko częściowo dyktowała tradycja – każdy nowożeniec dodawał coś od siebie. Podrygujący element fartucha był śmieszny, owszem – lecz nie był zwyczajnie śmieszny. Gird przebiegł całą długość podwórka, okręcił się, dał krok naprzód, cofnął się... i zbliżył do Mali. Jej oczy

iskrzyły się śmiechem; zerknęła w dół, udała wstrząs, spojrzała w niebo i odchyliła się wstecz, w ostatniej chwili łapiąc Girda za ramię. Widzowie zawyli. Gwałtownie cofnęła dłoń, niczym dziewczica przyłapana na czymś nieprzyzwoitym i odwróciła się. Gird okrążył ją i ponownie stanął naprzeciwko, założył ręce za plecy i poruszył biodrami. Przez chwilę uśmiechała się z zachwytem, po czym zakryła twarz dłońmi, otarła się koszulą o fartuch i odskoczyła, niby spłoszona łania.

Najwyraźniej taniec nie wprawiał Mali w zakłopotanie – odgrywała żartobliwe scenki ze swobodą mężczyzn. Podniosło to Girda na duchu. Rozśmieszają rodziny, a ich prywatny żart będzie polegał na tym, że rumieńce na twarzach wywoła wysiłek, a nie okrzyki i docinki zebranych. Wirowali wokół gości i stołów, odgrywając role, które tylko częściowo rozumieli. Kiedy oboje spłynęli potem, Gird skinął jej lekko głową i następny płas zaprowadził ich do obory, gdzie jeden z boksów wymoszczono na tę okazję świeżą słomą.

Musiła rozwiązać mu fartuch, a on rozplatać sznurki dziewiczej koszuli, by mogła przebrać się w luźniejszy strój dojrzałej kobiety, będący weselnym prezentem od niego. Jej palce drażniaco muskały jego nogi i biodra; jeśli się nie pośpieszy, fartuch będzie rzucał się w oczy mniej, niż reakcja jego ciała. Poplątał rzemyki koszuli.

– Musieli tak ciasno zawiązać?

– To moja siostra – odrzekła pozbawiona tchu Mali. – Chyba chciała, żebym zemdląca. Uważaj: nie pourywjaj rzemyków. – Gdyby to zrobił, musieliby oddać jej rodzinie owcę. Chrząknął i ostrożnie podjął rozplątywanie. Wreszcie poddał się ostatni supeł i Mali odetchnęła pełną pierś. – Ach. Znacznie lepiej. – Ostrożnie wysunęła ramiona z rękawów i

obróciła się do niego.

Gird podał jej koszulę, wykonaną przez matkę i siostry.

– Lepiej to załóż, jeśli nie chcesz spędzić tutaj reszty wieczoru.

Mali zachichotała, lustrując go wzrokiem od góry do dołu.

– Masz chęć? – Poruszyła ramionami, przywdziewając koszulę, a Gird poczuł, jak przyspiesza mu puls. – Lepiej wywieśmy to na zewnątrz, bo przyjdą nam pomóc.

– Ja to zrobię – zaofiarował się. Fartuch i koszula winny zostać zwrócone rodzinom, a pierwszym krokiem ku temu było zawieszenie ich na właściwych kołkach na zewnątrz obory. Gdy wyszedł na podwórko, powitał go ryk. Dwóch przyjaciół czyhało, by złapać go i przytrzymać na zewnątrz, ale był szybszy i zdołał wskoczyć z powrotem do środka, do boksu z Mali.

Na zewnątrz ktoś zaintonował pieśń, do której dołączyły kobiety. Mali nuciła melodią, siedząc i kołysząc się lekko w przód i w tył. Gird gapił się na nią. Pragnął jej nawet bardziej, niż wtedy na wzgórzu, lecz po drugiej stronie ściany czekała na to cała wieś. Odkrył, że podniecanie się cudzą nocą poślubną to jedno, a uczynienie tego na oczach wszystkich to coś zupełnie innego. No, może niezupełnie na oczach, lecz widzowie nie pozostawali obojętni.

Mali odwróciła się i zabrała za przetrząsanie słomy. Gird przyglądał się temu z zakłopotaniem. W tym boksie niczego nie było; rano osobiście go uprzątnął i wyłożył czystą słomą. Mali stęknęła i wydobyła zakorkowany dzban oraz zawiniątko.

– Jesteś – czarownicą. – Gird wyciągnął zatyczkę z podanego mu przez Mali dzbana. Powąchał. – Co to jest?

– Specjał mojej ciotki. Nie jestem czarownicą, za to ty nie znasz wszystkich zwyczajów. Chłopiec przygotowuje boks, ale panna młoda przekupuje teściową, żeby mogła to ukryć.

Gird łyknął ostrożnie. Palący trunek spłynął w dół przetyku; zamrugał.

– Na błogosławieństwo Pani... mielibyśmy przez to...

– Kłopoty, gdyby panowie się dowiedzieli. – Mali wzięła łyk i szeroko otworzyła oczy. – Ojej. Nic dziwnego, że nie pozwoliła mi spróbować wcześniej. – Odwinęła materiał, odkrywając pół bochenka chleba i trochę sera. Jedli cicho do końca piosenki i początek następnej. A potem albo mikstura ciotki Mali, albo ona sama – ciepła i korzennie pachnąca – sprawiła, że zapomniał o zakłopotaniu. Przewrócił ją na czystą słomę, a ona objęła go. Było równie wspaniale, jak za pierwszym razem, mimo iż podnosząc wzrok, napotkał wianuszek otaczających i twarzy.

– Pospaliście się – wyjaśnił Amis, szczerząc zęby w uśmiechu. – Pomimo śpiewu dosłyszeliśmy wasze chrapanie.

Gird wyjrzał ponad nimi na zewnątrz. Zmierzchało się. Mali opuściła koszulę na kolana i zabrała się za zaplatanie włosów. Kiedy spojrzał na nią, puściła do niego oko i zmarszczyła nos.

– No cóż – mruknął. – Zjedliście wszystko, czy zostawiliście coś dla nas?

Musieli przewodzić tańcom podczas Tkania, kiedy to odwiedzili każdy dom we wsi i tanecznym korowodem obeszlili wszystkie trzy studnie.

Wreszcie skończyło się: zjedzono wszystkie potrawy, odśpiewano wszystkie pieśni, zatańczono wszystkie tańce, a po kilku godzinach snu (tym razem tylko snu) wrócili do pracy, teraz już jako poślubiona sobie para.

Pomimo aprobaty ze strony matki, Girda martwił szybki język Mali w

domu, gdzie musiała dzielić ciasną kuchnię z dwiema innymi kobietami i dziećmi. Matka zaczęła podupadać na zdrowiu i czasami robiła się gderliwa, zaś żona Arina nigdy nie potrafiła zadowolić jej swoimi wyrobami tkackimi. Lecz Mali nawet nie dotykała krosien, przejmując w zamian całą pracę w kuchni. Pozostałe kobiety mogły zapomnieć o szorowaniu, zmywaniu garnków czy zagniataniu ciasta. Gird nie miał pojęcia, jak wielką różnicę czynił talent gotowania. Wszystkie kobiety gotowały, jak również wielu mężczyzn; jedzenie to jedzenie. Teraz przekonał się, że posiłki różniły się od siebie tak samo, jak tkaniny. Chleb Mali był lżejszy, gulasze bardziej aromatyczne, a owsianka gładka, bez grudek, ani zbyt cienka. Zbierała zioła w lesie i wieszała je, żeby wysuszyć; nadały domowi innego, ostrzejszego zapachu. Wiedziała nawet, jak uwarzyć ser.

Uwolniona od pracy w kuchni matka Girda mogła skupić się na tkaniu, zostawiając żonie Arina gręplowanie i przedzenie. Wymieniali ser Mali na dodatkową wełnę; matka wysłała na jarmark do sąsiedniej wsi trzy bele, które przyniosły im cenną miedź w ilości niemal równej opłacie za małżeństwo. Zawsze lubiła tkać. Teraz wytwarzała belę za belą, wymieniając je na motki przędzy barwionej na złoto, karmin i ciemną zieleń. Dzięki temu mogła produkować droższe, wzorzyste tkaniny, dodatkowo wzbogacając je o jęczmienny wzór, poznany dzięki matce Mali.

Wioskowa serowarka była już stara i ludzie zaczęli przynosić mleko do Mali. Ta kupiła od serowarki cebrzyk za zioła, dzięki czemu mogła produkować więcej sera. Na każde pięć gomółek jedną zostawiała dla siebie. Przyznawała, że jej ser nie dorównywał innym – nie zamierzała

sprzedawać go na targu – lecz we wsi zapewniał im dodatkowy dochód, potrzebny do wykarmienia nadliczbowych gąb.

Pierwsze dziecko Girda urodziło się tuż po Śródzimiu. Jeszcze latem Mali nazbierała potrzebnych jej ziół, a wiejskie staruchy jak zwykle zleciały się, by pomóc przy rodzeniu. Gird nie zdawał sobie sprawy, jak znacznie wzrosła jego pozycja, najpierw jako męża, a teraz ojca. Wszyscy dorośli mężczyźni zwracali się do niego po imieniu. Podczas przerw na odpoczynek czekali na niego z rozpoczęciem pogwarek. Teris, który ożenił się ponad rok temu, traktował go jak równego sobie starego przyjaciela.

Przez pierwszych kilka dni Gird boczył się na niego, pamiętając wcześniejsze oskarżenia. Pewnego ponurego dnia, kiedy oboje byli w oborze, Mali wydobyła z niego tę starą urazę i doradziła przebaczenie.

– Nie zmienisz przeszłości, kochanie. Skoro na powrót stał się dobrym przyjacielem, to czemu nie?

Gird odkrył, że po wydobyciu na światło dzienne dawna uraza wyglądała zupełnie inaczej.

– Wszystko upraszczasz – narzekał.

– To nie jest proste, tylko skończone. Dawno temu popełnił błąd... A ty nigdy nie pomyliłeś się?

– Wiesz, że tak, ale...

– No właśnie. Obwinił cię niesprawiedliwie. Jeżeli teraz odrzucisz jego przyjaźń, będziesz niesprawiedliwie obwinić jego.

– Czy ty się kiedykolwiek złościł? – Spojrzał na nią. Trzymała dziecko przy piersi; czuł zapach mleka i niemowlęcia, tłumiące jej woń.

Mali zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– Rozzłoszczona... tak. Kiedy coś się wydarza, ale nigdy potem. Gdybym

była tutaj i widziała, jak ktoś cię krzywdzi, byłabym zła. W przeciwnym razie... – to jak łyżka dziegciu w beczce miodu. Jeśli będziemy chować w sobie urazy, całe życie stanie się gorzkie. Krzyczę, ciskam rzeczami i wyrzucam to z siebie od razu, żeby nie zgorzkniał następny dzień.

– Jeśli jednak coś jest nie w porządku...

Mali przysunęła dziecko do drugiej piersi. Nim naciągnęła koszulę, by się okryć, Gird zauważył, jak ssanie niemowlęcia zmieniło kształt jej sutka.

– Chodzi o Terisa, czy o coś innego?

Roześmiał się; nie był pewny, dlaczego.

– Powiedziałaś coś tamtej pierwszej nocy. I jeszcze te rozmowy z członkami rady wsi. Wiele zmieniło się, odkąd mój ojciec był młody, a jeszcze więcej od młodości jego ojca. Wcale nie na lepsze.

– Podatki? – Podatki znowu wzrosły; dzierzawa pola szła w górę przez trzeci rok z rzędu.

– Nie tylko to. – Gird przetoczył się na plecy, próbując zebrać myśli. – Samo prawo uległo zmianie. Stary Keris opowiadał nam wczoraj, jak to było kiedyś. Na przykład żadnej straży u nas i znacznie mniej gdzie indziej. Żadnych więzień. Żadnych dybów ani chłosty.

– Starcy zawsze uważają swoją młodość za złoty okres – zauważyła Mali, pukając dziecko w plecki.

– Mówił, że na własne oczy widział magię panów. – Patrzył na nią w oczekiwaniu na reakcję i doczekał się; Mali otworzyła szeroko oczy, wstrząśnięta tym, jak otwarcie o tym opowiadał. – Mówił, że używali jej cały czas, pomagając podczas suszy i burz.

– Jak to wyglądało? – Jej głos był ledwo głośniejszy od szeptu.

– Widział, jak przyzywali deszcze. Czyste niebo zachmurzało się; zbierali

chmury jak postrzygacz runo i zaczynało padać. – Gird odchrząknął i rozejrzał się dokoła. Nikt ich nie słyszał. – Mówił też, że na widok dawnych panów człowiekowi robiło się ciepło na sercu, nie tak, jak z naszym hrabią. Wszyscy chcieli ich zadowolić.

– Gadki starców – mruknęła bez przekonania Mali.

W tym roku wiosenne deszcze zaczęły się o czasie i obfite plony wynagrodziły ich ciężką pracę. Na jesieni żona Arina powiła kolejne dziecko; w Śródzimie Mali powiadomiła go, że znowu była w ciąży. Dom już pękał w szwach...

\* \* \*

Ciemnobrązowa krowa zaryczała głośno, jakby sterczała na środku izby. Zupełnie, jakby płakała. Nie, nie, nie... eee... eee. Gird przetarł piekące oczy; miał ochotę wyjęczeć sprzeciw. Nie. Nie był jeszcze gotowy wstać i pomóc krowie; wolałby zostać w łóżku i spać. Ale krowa nie poddawała się; z uporem opuszczonego bydłęcia wydała z siebie kolejną, długą skargę. Większość krów przed porodem próbowała uciec ukradkiem do lasu, ta jednak wolała towarzystwo... bardzo nie w porę. Gird przewrócił się na plecy, sycząc z bólu ramion po całodziennym oraniu, a potem powoli usiadł. Słyszał chrapliwy oddech ojca. Jedno z dzieci chrapało – pewnie Rahel. Krowa znowu zaryczała i tym razem odpowiedziały jej dwie towarzyszki. Gird zdusił przekleństwo i wyprostował się, macając po podłodze w poszukiwaniu butów.

Na zewnątrz, jutrzienka przedświtu tylko zaciemniała podwórko. Gird zabrał z paleniska dębową trzaskę o gorejącym na pomarańczowo końcu,



który pod wpływem ruchu niemal zapłonął ogniem. Za pazuchę schował ogarek – zapali go, jeżeli będzie potrzebował światła. Nie było sensu marnować świeczki, gdyby rozwiązanie miało nastąpić w blasku dnia. Zeszłej nocy brązowa krowa została poza oborą, jak zawsze, kiedy spodziewała się cielaka. Jeśli będzie miał szczęście, znajdzie ją w gąszczu nad potokiem. Nieckowata łąka za podwórzem przybrała w słabym świetle srebrno-szarą barwę. Obfita, wiosenna rosa przemoczyła mu buty, zanim dotarł do zarośli, prowadzony bardziej krowimi rykami, niż wzrokiem, choć z minuty na minutę robiło się coraz jaśniej.

Niestety, w gęstych krzakach mało co widział i parę razy potknął się o korzeń lub kamień. „Głupia krowa – pomyślał tak samo, jak za każdym razem od trzech lat. – Sterczy w mroku i chłodzie, i chowa się po krzakach, chociaż wie, że potrzebuje mojej pomocy. ” Tam jest – wielka, ciemna plama wśród jaśniejszych, poruszających się cieni. Leżała już na ziemi, stękając i dysząc, z zadartym ogonem. Wyciągnął świeczkę, znalazł płaski kamień, na którym ją postawił i używając wiechcia suchej trawy rozdmuchał żar szczapki w płomień. Ogień odbijał się w wielkich, krowich ślepiach, czyniąc trzy płomienie w miejsce jednego. Przez chwilę zastanawiał się, czy krowa widziała odbicie światła w jego oczach? Czy dlatego sprawiała wrażenie wystraszonej? Zapalił świeczkę, podniósł ją i podszedł bliżej, przemawiając kojąco do niespokojnego zwierzęcia. Miej jałówkę – poprosił bezgłośnie. – Tym razem miej jałówkę. Przeszedł ją skurcz; ciało pod ogonem napęczniało. W środku błysnęła perłowa plama... racica. Bardzo dobrze, chyba że druga noga podwinęła się do tyłu. Nie widział dobrze. Kolejny skurcz i teraz zobaczył: obie racice i nos. Jak na razie, zwykły poród, z czarnym, błyszczącym nosem na zewnątrz.

Zrobiło się wystarczająco jasno, by dostrzec kształty, które powinien widzieć. Zgasił świeczkę o mokrą trawę i schował z powrotem w zanadrze. Było mu zimno w stopy. Krowa zaryczała ciszej, lecz z wysiłkiem. Gird pogłaskał ją po boku i zanucił porodową piosenkę. – Dobra krówka, miła krówka, cicha krówka... Urodź cielaczka, nakarm cielaczka, niech cielaczek rośnie... dobra krówka, ładna krówka, miła krówka... zaczyna żyć, zaczyna rosnać...

Kolejny skurcz i jeszcze jeden, tym razem dłuższy, wypychający na zewnątrz barki. Cielę gwałtownie wyszło do połowy i na moment znieruchomiało z zadnimi nogami wciąż w matce. Po chwili pojawiła się reszta ciała. Krowa wydała z siebie dźwięk, który Gird słyszał tylko w tych chwilach zaraz po porodzie – niemal mruczenie. Cielę zastrzygło uchem. Krowa podźwignęła się energicznie z ziemi, zrywając pępowinę. Potrząsnęła łbem na Girda, który śpiewał, dopóki szaleństwo nie opuściło jej ślepi. Potem obwąchała cielaka, wylizała je do czysta, pomrukując i dodając mu odwagi. Brązowa była dobrą matką. Cielę potrząsnęło łbem, poruszyło uszami i tupnęło maleńkimi, przednimi raciczkami w ziemię, jakby starając się pojąć, jak miało stać. Krowa nie przestawała go lizać, wciąż mrużąc. Cielak wysunął przed siebie jedną przednią nogę, a potem drugą. Usiadł, lecz zaraz przewrócił się. Spróbował jeszcze kilka razy, nieustannie strzygąc uszami. W tym roku dopisało im szczęście: to była jałówka i będą mogli ją zatrzymać.

Nie potrafił potem powiedzieć, co skłoniło go do oderwania wzroku od cielątka i spojrzenia pomiędzy powykręcanyymi gałęziami rosnących nad potokiem śliw i leszczyn. Po łące przechadzało się stworzenie pełne gracji i światła. Było wysokie i gibkie, a jego niewypowiedziane piękno

chwyciło go gardło. Co to było?

Istota odwróciła się, jakby wyczuwając jego wzrok i spojrzała prosto na niego. Usłyszał głos, przypominający dzwoneczki, lecz z lekką dysharmonią.

– I co sobie teraz myślisz, samotny człowieku, przed świtem tego nieszczęsnego dla ciebie dnia?

Gird nie wiedział, co odpowiedzieć. Dopiero teraz przypomniał sobie, że to wiosenne Zrównanie, dzień i noc równej długości, kiedy to stwory nocy rządziły do świtu, a istoty dnia nie powinny czuć się bezpiecznie, wędrując w półmroku.

– Krowa ryczała – powiedział w końcu. Spowita w czarny płaszcz istota zbliżyła się, ledwie muskając ziemię.

– Krowa ryczała. Bydło do bydła, jak określiliby cię twoi panowie. My uważamy was za coś gorszego od bydła.

Widział teraz wyraźnie nieludzką twarz, której piękno przemawiało do człowieczych serc i oczu. Błądą na tle czarnego płaszcza i o dużych, roziskrzonych oczach. Czy to był drzewopan? Słyszał o nich, lecz nie znał nikogo, kto by ich widział.

– Nie, nie jestem żadnym z tych śniących na jawie, błąkających się śpiewaków – przemówiła postać. Gird zadrżał. Nic nie powiedział; stwór musiał wyjąć mu tę myśl prosto z głowy. – Jestem tym, kim oni byli i powinni zostać, gdyby mieli odrobinę dumy lub rozumu. Twój gatunek, o ile w ogóle o nas wie, nazywa nas kuaknomami.

Nigdy nie słyszał tego słowa. „Kuak” było starym słowem oznaczającym drzewo, a „nomami” nazywano wietrzne duchy, nienawidzące porządku i służące chaosowi. Czyli kuaknorn to...

– Dawni władcy – oznajmiła istota, stając na skraju gęstwiny. – Bardzo starzy, ludzki niewolniku. Pierworodni starszych ras, władcy mocy i mroku...

– Upadli drzewopanie – wypalił Gird, złożony to sobie wreszcie w całość. Jak mówiły legendy: władcy drzew, którzy pokłócili się z Adyanem Stwórcą i zwrócili przeciwko pobratymcom, w wielkiej bitwie niszcząc lasy, porastające ówczesne ziemie.

– Nie upadli, człowieczku – poprawił go kuaknorn z uśmiechem, który zmroził mu serce. – Nie upadli, lecz... przemienieni. A tej nocy – aż do świtu – ci, którzy okazali się na tyle szaleni, by wałęsać się poza domem, stanowią przynależną nam zdobycz. Jak ty, człowieczku...

Gird odskoczył, gdy kuaknorn sięgnął ku niemu. Krowa zamruczała ostrzegawczo, jak wszystkie świeżo upieczone matki i zastukała rogami o pręty leszczyny. W oczy ukłuł go ostry jak strzała promień czerwonego, słonecznego światła; przesłonił je dłonią. Kuaknorn cofnął się, mamrocząc we własnym języku. Po czym zwrócił się do niego\

– Dzięki temu rozbłyskowi słońca jesteś bezpieczny, człowieku i za to cię przeklinam. Niechaj twe lędźwie uschną, zwierzęta padną od zarazy, a ramię osłabnie, kiedy będziesz w największej potrzebie.

Gird zamrugał. Istota zniknęła.

Przez długi czas siedział wystraszony, dopóki nie usłyszał przejmującego głosu wołającej go Rahel. Czy taka klątwa była niebezpieczna? Umrze, utraci swoją męskość, bydło, siłę? Krowa dalej pielęgnowała cielątko, które zaczęło już okazywać żywotność zdrowej jałówki.

\* \* \*

Do następnej zimy nie spotkało go nic, co mogłoby świadczyć, że klątwa działała. Pocieszał się, że rzucono ją w blasku dnia, co powinno pozbawić słowa mroku mocy. Jeszcze gorliwiej, niż zwykle, brał udział w rytuałach na cześć Alyanyi i nawet dobrowolnie przekazał panom ofiarę dla Esei. Wszak był on bogiem światła i można było oczekiwać od niego ochrony przeciwko siłom ciemności. Jako, iż rok okazał się pomyślny (dwie pozostałe krowy również urodziły jałówki), uznał, że szczęście mu sprzyjało.

Lecz zima należała do wilków i była najgorsza od dzieciństwa Girda. Zaczęło się jeszcze przed Śródziemem. Co noc słyszeli wilcze wycie, nie ucierpiało jednak jeszcze żadne stado. Wójt wioski udał się do zarządcy z prośbą, by strażnicy wzięli udział w polowaniu na watahę, ten wszelako odmówił. Część mężczyzn ruszyła do bardziej oddalonych owczarni, by pomóc pasterzom. Nie zważając na sprzeciw matki, poszedł z nimi Arin, wywijając długą pałką i szczerząc się wesoło do Girda.

Gird wyrzucił gnój na stertę, kiedy usłyszał krzyki. Wdrapał się na mur wokół podwórza. Przez śnieg brnęła z trudem grupa mężczyzn. Nieśli coś... nie, kogoś... Zeskoczył na dół i pobiegł przez wioskę, nie tracąc czasu na rozmowy. Ojciec stał już przy drodze. Razem poszli w stronę grupy... i dopiero teraz dojrzał, że nieśli Arina, którego krew plamiła ubranie i zostawiała szkarłatny ślad na śniegu.

Wnieśli go do domu i położyli na stole. Na widok ran Arina serce Girda zaczęło mocniej bić. Matka odepchnęła go na bok.

– Idź po wodę – poleciła. Po czym, do żony Arina: – Zabierz stąd te dzieci... do kuchni...

Gird poszedł do studni; dookoła stali milczący mężczyźni, kuląc się na mrozie. Opuścił wiadro w lodowatą, ciemną wodę i wyciągnął. Kiedy odwracał się, by zanieść je do domu, Amis zastąpił mu drogę.

– Czy on... ?

Gird pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Kef poszedł po zarządcę – poinformował go Amis. Gird skinął głową i wszedł do środka z wodą. Po świeżym powietrzu na zewnątrz poczuł zapach krwi, jakby mieli dzień uboju, Podał wiadro Mali i stanął obok ojca.

Ramiona i nogi Arina pokrywały długie, broczące krwią rany, a jedno przedramię było strasznie pogryzione.

– Próbował zadławić jednego z nich – wyjaśnił Cob, jeden z niosących go mężczyzn. Matka nie odezwała się; razem z żoną Girda oczyszczała rany i przemywała wywarem Mali, a potem opatrywała czystym materiałem, trzymanym przez kobiety na takie okazje. Na tle ciemnego drewna stołu Arin był biały jak śnieg na dworze. Nie poruszał się, ani nic nie mówił. – Krwawił przez całą drogę powrotną – dodał w przygnębiającej ciszy Cob. Matka Girda spiorunowała go wzrokiem.

– Mogliście od razu go opatrzyć – rzuciła.

Cob rozłożył ręce.

– Nie mieliśmy nic, prócz naszych brudnych ubrań. Nie chciałbym, żeby nabawił się gorączki od ran.

Matka Girda otworzyła usta i zamknęła je ze słyszalnym trzaskiem. Gird mógł sobie wyobrazić, co chciała mu powiedzieć. Lecz Cob zrobił, co było w jego mocy i nie był jej synem.

Drzwi otworzyły się; ktoś zakaszłał. Gird odwrócił się. Przyszedł zarządca. Wszyscy milczeli. Namiestnik podszedł bliżej. W półmroku jego oblicze było surowe jak zwykle, lecz Girdowi wydało się, że wzrok mu złagodniał, gdy zobaczył rany Arina.

– Wilki czy foloki? – zapytał.

– Wilki, panie – odrzekł Cob. – Kręciły się przy owczarni i Arin pobiegł je przegnać...

– Sam? – upewnił się zarządca.

– Nie, panie. Lecz biegł pierwszy, a jeden z wilków zaczął uciekać. Arin ruszył za nim i wtedy rzuciła się na niego cała wataha. Odpędziliśmy je pochodniami.

Zarządca zbliżył się. Matka Girda wyciągnęła rękę, jakby chciała go powstrzymać, zaraz jednak ją cofnęła. Namiestnik położył dłonie na ramionach Arina.

– Uleczysz go, panie? – zapytała zdławionym szeptem.

Zarządca spojrział na nią z zaskoczeniem, a potem pokręcił głową.

– Nie, tego nie potrafię... nie mam takiej mocy. – Przyjrzał się z bliska ranom Arina. – Wątpię, czy przeżyje... wygląda na to, że utracił zbyt dużo krwi...

– Nie! – Matka Girda złapała go za rękaw. Żal ścisnął Girdowi serce. – To nie w porządku – on sam przeciwko stadu wilków. , .

Zarządca uwolnił się.

– Przykro mi. Wielka szkoda... skreślę go z listy robót – jeżeli przeżyje, nie będzie nadawał się do pracy przynajmniej do lata. Jeśli umrze, odstąpię od połowy opłaty pogrzebowej; przynajmniej na tyle zasługuje.

– Nawet na więcej – wymamrotał ktoś za plecami Girda. Zarządca

rozejrzał się, lecz szept był zbyt cichy, by można było rozpoznać, kto to. Nawet Gird nie wiedział.

– Przyślę też owcę – oznajmił zarządca. – Będzie potrzebował rosołu na mięsie, żeby wy dobrzeć.

– Dziękuję, panie – przemówił ojciec Girda. Matka skinęła głową.

Namiestnik rozejrzał się po izbie, jakby szukając pretekstu, by powiedzieć coś więcej. Wzrok rozjaśnił się mu na widok Girda. – Przynajmniej masz drugiego syna i to silnego. A ten tutaj – Arin, tak? – doczekał się już dzieci, prawda?

Girda ogarnęła wściekłość. Wiedział, że panowie uważali ich za bydło, lecz zarządca rzadko dawał to tak jasno do zrozumienia. Arin spłodził dzieci, dzieci Arina żyły, więc sam Arin – roześmiany, niezłomny, uczciwy brat, który niejednokrotnie uratował mu życie – nie liczył się dla zarządcy, a tym bardziej dla hrabiego, będącego jego zwierzchnikiem. On sam zaś był jedynie kolejnym buhajem; kiedy umrze, zarządca równie niefrasobliwie wzdusi ramionami. Nim zdążył poskromić gniew, namiestnik wyszedł, a razem z nim pozostali, nie należący do rodziny mężczyźni. Przybył najstarszy brat Girda – właściciel domu i własnego gospodarstwa. Razem stanęli przy stole.

Arin otworzył oczy i przez chwilę wpatrywał się nieobecny wzrokiem w powałę. Potem zaczął błądzić oczyma po izbie, aż natrafił na matkę.

– Chwała Pani – wymamrotał. – Jestem w domu?

– W domu – potwierdziła. – Wkrótce postawimy cię na nogi...

– Nie tak prędko. – Miał tak słaby głos, że Gird z ledwością go słyszał. – Gdybym umarł...

– Nie umrzesz! – Wróciła jego żona i złapała go za rękę.



– Gdybym... zaopiekujesz się dziećmi? – Spojrzał na Girda, nie na ojca, czy starszego brata, więc to Gird odpowiedział, natychmiast czując ciężar odpowiedzialności na barkach:

– Jak własnymi.

– Dobrze. Wilki... ja... przestraszyłem się... – Oczy mu się przymknęły, a głowa poleciała na bok.

Drugi raz przemówił dopiero późnym wieczorem. Do tej pory otrzymali oprawioną owcę i Mali ugotowała gęsty rosół z ziołami. Usłyszeli też, że stary tropiciel i strażnicy wybrali się na polowanie na wilki. „Za późno” – pomyślał gorzko Gird. Lecz trzymał język za zębami. Arin poprosił o wodę. Nie był w stanie unieść głowy, żeby pić. Gird podłożył mu ramię pod głowę i podniósł ją. Przez koszulę czuł rozpalone ciało. Czy był to dobry znak, że Arin znowu był ciepły, czy może zły – objaw gorączki od ran? Nie wiedział. Wyczuwał drżenie mięśni u pijącego Arina; kiedy skończył, matka otarła mu usta, a Gird, najdelikatniej jak umiał, ułożył go z powrotem na łóżku i naciągnął koc. Oczy Arina były jasne, choć nieco zamglone.

– Issa? – Żona przysunęła się i ujęła zdrową dłoń. – Spróbuję, ale... boję się, że wilki dobrały się do mnie.

– Nie... – wyszeptała.

– Tak. Zostaniesz tutaj. Gird zaopiekuje się tobą.

– Arinie... – zaczął ojciec. Syn przerwał mu, wyrzucając z siebie urywane frazy.

– Ujrzałem... miejsce... ogród Pani. Kwiaty wśród śniegów. Gird.

Braciszku... pamiętaj, co powiedziałem.

– Tak, Arinie – obiecał Gird. Nie miał pojęcia, o czym z rozlicznych

rzeczy, o których mówił mu starszy brat, przypomniał sobie właśnie teraz, lecz nie zapomniał żadnej z nich.

– Jesteś bardziej żołnierzem, niż myślisz. Nie zapominaj jednak o Pani, Girdzie.

– Nie zapomnę. – Wzrok mu się zamglił i uświadomił sobie, że płacze. Dziwnie było patrzeć na Arina z góry. Brat poszukał wzrokiem ojca.

– Mówiłeś mi... żebym nie szedł... – wymamrotał. Ojciec wzruszył ramionami. Gird spojrzał na niego ostro. Nie mógł czegoś powiedzieć?

Lecz padający od paleniska blask zaślnił na łzach, spływających po ojcowskich policzkach. Choć płacz nie był niczym niezwykłym wśród rolników, zaskoczył Girda. Ojciec rzadko płakał; teraz jego ramionami wstrząsało nieme łkanie. – Nie płacz – powiedział wyraźnie Arin. –

Wybrałem, albo to Pani wybrała mój czas... – Umilkł i zamknął oczy. Gird obserwował, czy koc nadal unosi się przy oddychaniu.

Podczas godzin nocnego czuwania w pełgającym blasku ognia, gdy wszyscy zwolna zamilkli i ciszę przerywało jedynie chrapanie najstarszego dziecka Arina oraz cienkie zawodzenie najmłodszego Girda, kiedy obudził się głodny, poczuł na barkach ciężar dorosłości. Przenosił wzrok z twarzy na twarz i ze znużenia na obliczu ojca wyczytał, że teraz to on był – musiał być – głową rodziny, w rzeczywistości, nawet jeśli nie formalnie. Tutaj, w tej izbie – wszystko, co osiągnął jego ojciec, on musiał chronić i wspierać.

Po nakarmieniu dziecka Mali usiadła koło niego i położyła mu rękę na dłoni. Spojrzał jej w oczy i ujrzał w nich absolutną pewność, że zrobi, co będzie musiał i że będą z nim bezpieczni. Co nie było prawdą. Czuł jednocześnie zimne zagrożenie zewnętrzne – zimą, głodem, wilkami, mrozem, nawet rujnującymi podatkami panów oraz kojące poczucie

bezpieczeństwa w środku. Jakże on, samotny śmiertelnik, mógł stawić im czoła? Zimny pot zrosił mu skronie; poczuł dreszcz, jak gdyby ktoś wylał mu na grzbiet kubek lodowatej wody. Mali ścisnęła mu rękę. Poczuł jej ciepło i siłę. A więc nie był sam – mógł liczyć na dodatkową parę ramion i mocny grzbiet. Wystarczy? Będzie musiało. Wyczuwał w niej zrozumienie dla jego uczuć i tę niemożliwą radość, pokonującą śmiechem jego rozpacz. Jego obawy nie przerażały jej, a słabość nie odbierała ducha.

Kiedy o świcie Gird i ojciec zabrali się do codziennej pracy, Arin wciąż żył. Gird przyjrzał się ojcu, zauważając coś, czego nie dostrzegał wcześniej: jak bardzo osłabł w ciągu kilku ostatnich lat. Potężna sylwetka przygarbiła się, szerokie, budzące w nim niegdyś strach dłonie zeszywniały, a stawy opuchły. Grzywa jasnych włosów pobieliała. Zastanawiał się, czy zaczęło się to jeszcze przed jego ślubem, kiedy pogrążony był w rozpacz. Teraz nie miało to znaczenia. Nie wiedzieć kiedy jego ojciec zamienił się w starca.

Pracując, rozmyślał nad tym przez cały dzień. Sim nie wróci – jakaś stara sprzeczka, do której doszło, kiedy był jeszcze chłopcem sprawiła, że postanowił odejść i rozpocząć samodzielne życie. Teraz, kiedy miał własne gospodarstwo, byłby głupcem, zrzekając się go. A jeśli Arin umrze – miał gorącą nadzieję, że tak się nie stanie, wiedział jednak, że sama nadzieja nie ocali brata. Jeśli Arin umrze – kiedy Arin umrze, gdyż nawet jeśli przeżyje teraz, może zemrzeć przed Girdem – zostawi mu wszystko na głowie: żonę Issę, dzieci, Mali, ich własne dzieci obecne i przyszłe, rodziców. W ponurym świetle zimowego dnia Gird musiał przyznać, że rodzice nie pożyją już długo.

Arin żył jeszcze dwa dni. Nie powiedział nic więcej, choć kiedy wzrosła

mu gorączka, mamrotał bez przerwy, rzucając się na łożku. Nie był w stanie wypić przygotowanego przez Mali rosołu; Gird płonął ze wstydu, jedząc go, ale nie mogli pozwolić sobie na marnowanie żywności. Owcę i tak zabito. Jedli w milczeniu, nie patrząc sobie w oczy i próbując nie słyszeć jęków Arina.

Niedługo po śmierci Arina, tuż po pierwszych odwilżach, ojciec Girda przewrócił się z nienacka na ziemię i wił w drgawkach. Umarł nad ranem. Znow zawitał do nich zarządca, by oszacować dom i własność hrabiego. Gird musiał wnieść opłatę pogrzebową, po części w monetach, po części w inwentarzu – swoje dwie cenne jałówki – po czym namiestnik potwierdził, że zajął miejsce ojca jako „na wpół wolny najemca tego gospodarstwa” z prawem przekazania następcy ubrań i paru osobistych narzędzi. Reszta – ziemia, dom, bydło oraz większe narzędzia, typu jarzmo, pług czy kosa – należała do pana, który „zezwał” mu na ich użytkowanie.

## Rozdział 7

Uwielbiał dotyk kosi, gładkiego drewna w dłoniach, długiego, eleganckiego wygięcia, zakończonego błyszczącym nożem. Stał przed nie zżętym łanem, a znajdujące się za jego plecami słońce sprawiło, że rzucił na zboże długi cień. Pogrążył się w pierwszej modlitwie na żniwa.

– Alyanyo, łaskawa Pani, dawczyni plonów... – Z drugiej strony pola dobiegał głos najstarszego ze żniwiarzy.

– Pani nasion i sadzonek, Pani kwiatów i ziarna... – To była najstarsza kobieta w wiosce, unosząca wysoko wianek ze stokrotek.

– Gdy nasiona kiełkują i wyrastają zielone liście, gdy zakwitają kwiaty, a ziarna pęcznieją... – To natomiast była Zbożowa Panna, która nosić będzie ten wianek podczas żniw.

– Ofiarujemy krew, a Ty nagradzasz nas plonem... – odpowiedzieli ze wszystkich stron żniwiarze. Gird wraz z innymi naciął ostrzem kosi nasadę dłoni i utoczył na ziemię kropelkę krwi. Resztę rozsmarował na nożu, by przekazać swą siłę ścinanemu zbożu. Wójt Garig zadał w barani róg i żniwa rozpoczęły się.

Gird wykonał kosą półkolisty zamach. Pszenica kładła się przed nim, jak pod podmuchem wichru. Krok naprzód, zamach, cięcie... i kolejny pokos. Opanował go ten pradawny rytm, o tak wczesnej porze nie wymagający jeszcze niemal żadnego wysiłku. Krok, zamach, cięcie, powrót. Krok, zamach, cięcie, powrót. Z jednej strony stojące zboże, przed nim malejący łan, nad którym pracował, a po lewej stronie jasne kłosa na krótkiej, zielonej trawie. Dojrzała pszenica pachniała niemal tak intensywnie, jak piekący się chleb. Pod kłosami znajdował się tajemniczy świat maleńkich

ścieżynek, odsłaniający się przed nim w miarę postępów pracy.

Podniósł wzrok i spojrzął przed siebie, przekonując się, że pokonał już niemal połowę drogi. Najstarszy żniwiarz, Pakeł, pracował raptem dwa miejsca od niego, lecz w jego wieku nikt nie oczekiwał szybkości. Mimo to poruszał się płynnie, jak zawsze i Gird wiedział, że będzie tak pracował do samej śmierci. Ruszył dalej. Krok, zamach, cięcie, powrót. Coś mignęło w zbożu przed nim i uśmiechnął się. Czyżby maleńkie myszki polne zdały sobie sprawę, że nadszedł ich dzień? Wziął kolejny zamach i następny.

Mysi ogon ledwo umknął przed kosą, znikając głębiej w pszenicy.

Gird dotarł do końca łąnu na długo przed Pakelem. Zatrzymał się, by naostrzyć nóż przytroczoną do pasa ostrzałką. Za nim trzech mężczyzn trudził się nad połówką pola, którą rozpoczął, a trzech innych podążało za Pakelem. Było zwyczajem, aby żąć zboże połowami; wszyscy żniwarze szli w jedną stronę, by „położyć pole”, jak się mówiło. Gird obszedł ściętą pszenicę i napił się wody z dzbana, trzymanego przez jedną z kobiet. Nie czuł jeszcze pragnienia, lecz rozsądnie było napić się po każdym łąnie.

Potem rozpoczął kolejny łąn za ostatnim mężczyzną z jego połówki.

Nacięcie na dłoni szczypało jak zwykle. Słońce wzniosło się wyżej i zapach dojrzałego ziarna przybrał na intensywności. Lekki wietrzyk poruszył kłosami, przynosząc woń nadrzecznych łąk. Krok, zamach, cięcie, powrót. To była najlepsza pora dnia żniw, kiedy był już po

pierwszym łąnie, a jego ciało rozgrzało się i rozluźniło. Kosa pracowała sama; ciało stanowiło jedynie oś zamachów, nie zaprzatając umysłu.

Cieszyła go równość pokosów i pozostawianego za plecami ścierniska, będąca świadectwem jego umiejętności. Widział najdrobniejsze źdźbło chwastów między pszenicą: gwiaździste, błękitne illiny i delikatne,

czerwone sirisy, niczym kropelki krwi. Bezchmurne niebo nad głową było dobrodziejstwem dla żniwiarzy. Skądś dobiegał trzask kosieli, wysoki i słodki. Czuł kłujące go w stopy ściernisko i muskanie rękawów koszuli, przesuwających się w rytm poruszeń ramion.

Oto właściwe wykorzystanie jego siły. I żadne inne. Miał wrażenie, jakby mógł bez zmęczenia wymachiwać kosą w nieskończoność. Zostawiał za sobą łąn za łąnem, zagon za zagonem. Upał, który jeszcze kilka lat temu zmęczyłby go przed południem, teraz zdawał się dodawać mu sił. Jak dziś pamiętał swoje pierwsze koszenie. To była kosa Arina, a jego pierwsze pokosy na łące były poszarpane, jakby wyrywał trawę garściami. A teraz Arin nie żył od trzech lat, a on przewodził żniwiarzom jako najsilniejszy mężczyzna we wsi, utrzymujący dzieci swoje i brata. Nie pozwolił sobie na wspomnienie zmarłego od gorączki potomstwa: swoich dwóch najstarszych synów i jednego Arina. Możliwe, że zadziałała klątwa kuaknoma albo zwykły pech, ale to już za nim.

Zatrzymał się na końcu łąnu, by zaspokoić pragnienie. Roztarł dłonie. Czuł nacisk na podstawy kciuków od ciągłego ściskania uchwytów. Prawy przesunął się. Splunął na kosidło i lekko przejechał dłońmi po drewnie. Tam. Puknął w klin pod mocowaniem i zamachnął się kosą dla wypróbowania... tak.

W głębi pola dostrzegł najstarszego syna Arina, noszącego wodę dla żniwiarzy. Jeszcze jeden – dwa zagony i nadejdzie pora na południową przerwę. Nie był zmęczony, za to głodny; żołądek przypominał mu, ile czasu minęło od piętki chleba przed świtem. Czuł woń jedzenia nawet pomimo zapachu pszenicy. Kosząc na wielkim polu, powinni korzystać z pańskiej łaski, lecz z każdym rokiem była ona coraz mniejsza. Przed

śmiercią Arina mogli liczyć na mięso z chlebem oraz beczki ale. Z dzieciństwa pamiętał żniwiarskie posiłki, składające się z pieczonych mięs, chleba, sera i słodkich ciast, ciężkich od miodu i bakalii. W zeszłym roku dostali chleb z rosołem; mężczyźni sarkali, lecz co mogli zrobić? Zarządca nie ubije owcy ani krowy przez wzgląd na same pomruki. On sam nie utyskiwał; nie mógł, mając na utrzymaniu dwie rodziny. Reputacja wichrzyciela nie przynosiła niczego dobrego. Podczas gdy inni narzekali, on zjadł swój rosół i chleb i jeszcze dostał dokładkę. Spojrzał krytycznie przed siebie. W takim tempie mogliby skończyć wielkie pole w dwa dni i zacząć żniwa na własnych zagonach. Czy utrzyma się pogoda? Wiosnę mieli suchą i wszyscy modlili się o deszcz, teraz jednak opady w niczym by im nie pomogły.

W południe zarządca wydał im okrągłe, ciemne bochenki i miski cienkiej zupy. W tym roku nikt nie pomrukiwał. Gird jadł miarowo, w milczeniu. Im bardziej skorzysta z łaski hrabiego, tym lepiej dla jego rodziny. Za noszenie wody chłopak Arina mógł w tym roku jeść ze żniwiarzami. Podszedł do Girda i usiadł koło niego. Był tak cichy i nieśmiały, jak Arin otwarty i wesoły. Gird zastanawiał się, czy to widok umierającego ojca tak go odmienił, ale i przedtem był spokojnym dzieckiem.

– Mali przyjdzie do wiązania – oznajmił chłopiec – miał na imię Fori, lecz rzadko używano tego imienia. Dla całej wsi był „chłopcem Arina”. Gird zmarszczył brwi.

– Nie powinna; niedługo nadejdzie jej czas.

– Mama jest chora – powiedział Fori i zwiesił głowę. Gird westchnął. Issa nienawidziła prac polowych i choć nie dorównywała matce w tkactwie, cały czas spędzała przy krosnach. Zostawiając resztę roboty Mali –



pomyślał. Niemniej, nie mógł zaprzeczyć, że była chora. Chorzy nie mieli prawa wyjść w pole – wymioty podczas pierwszego dnia żniw przynosiły najgorszego pecha. A Fori nie ponosił odpowiedzialności za to, co robiła lub czego, nie robiła Issa. Niemniej, bał się o Mali. Była wielka i silna, lecz po każdym dziecku ubywało jej sił. Ostatnimi czasy nie wyglądała najlepiej.

– Pilnuj, by miała wystarczająco dużo wody – nakazał Foriemu. Chłopak kiwnął głową. Nie dokończył zupy, tylko siedział, obracając miskę w dłoniach.

– Jedz! Zjedz, ile tylko zmieścisz, chłopcze. – Fori posłusznie dopił resztę zupy.

– Nie jest tak dobra, jak Mali – powiedział z pełnymi chleba ustami.

– Owszem, za to Mali nie musiała jej gotować. Nie pochodzi z naszych zapasów. Kiedy pracujesz dla pana, korzystasz z pańskiej łaski – taki jest zwyczaj.

Poszedł za własną radą i wrócił po więcej. Zarządca przynajmniej nie wyliczał im jedzenia – nikt nie zmarszczył brwi, kiedy wziął kolejną połówkę bochna i ponownie napełnił miskę.

Gdy najadł się do syta, położył się na plecach w cieniu ognistego dębu w rogu pola i odpoczywał, dopóki nie zagrał róg. Po południu zawsze ciężiej się pracowało: pole zdawało się puchnąć od upału, a zagony wydłużały się. Gird szybko powrócił do rytmu pracy. Koncentrował się na szczegółach, zamiast bujać w obłokach, jak miało to miejsce rankiem. Z każdą godziną krótki początkowo cień jego sylwetki coraz bardziej się wydłużał. Wciąż był przed innymi, co i rusz wyprzedzając pracujących na innych zagonach. Nikt nie miał nic przeciwko temu; byli z niego dumni,

podobnie jak on sam. „Gird Silne Ramię” – rzucali za nim z uśmiechem. Na skraju pola kobiety i starsze dziewczęta wiązały zboże w snopki. Żadna z córek jego bądź Arina nie była jeszcze wystarczająco duża: podczas żniw mogły pracować wyłącznie kobiety, które już krwawiły. Wypatrzył spiczasty kapelusz Mali. Przez wiele lat przodowała wśród kobiet tak, jak on wśród mężczyzn. W tym roku zostawała w tyle, spowolniona przez nadchodzące dziecko, które utrudniało jej pochylenie się.

Do zmroku skosili ponad połowę wielkiego pola. Czuł zbierającą się wilgoć. Mężczyźni dołączyli do kobiet, wiążąc ostatnie snopki.

Wieczorem znowu najedzą się pańskiego mięsa z chlebem – o ile będzie mięso, pomyślał Gird. Powinno być. Odszukał Mali i zaprowadził ją do kolejki. Poruszała się ciężko. Pod świeżą opalenizną widać było bladość skóry.

Mięso było, choć ludzie zarządcy wydzielali po jednym plasterze do całego bochenka chleba. Posiłek uzupełniały garneczki z fasolą i serem oraz drewniany kubek ale.

– Nie ma ciasta? – zapytał ktoś. Ludzie zarządcy w milczeniu wydawali kolejne porcje.

– Słyszałam, jak zarządca mówił kucharzowi, że nie będzie potrzeby ubijać następnej owcy – wielkie pole zostanie skoszone na tyle wcześnie, że jutro nie będzie wieczornego posiłku – oznajmiła cicho Mali.

– Co? – Gird zagapił się na nią. – To jest... nie skończymy do południa, a jeśli będziemy pracować po południu, to musi nas nakarmić.

Mali wzruszyła ramionami z ustami pełnymi mięsa. Gird oderwał kawałek chleba i zaczął go żuć, intensywnie myśląc. Zwyczaj nakazywał karmienie ich po każdej części dnia, spędzonej na pracy dla pana. Kiedy kończyli

trochę wcześniej, mieli czas na odpoczynek przed posiłkiem, czasami nawet na odrobinę śpiewu. Zabrał się za gulasz z fasoli – brakowało mu smaku potraw Mali – zastanawiając się, co można było zrobić.

Okazało się, że nie tylko Mali dosłyszała słowa zarządcy. Mężczyźni zebrali się ukradkiem na drodze, niedaleko domu Girda.

– To niesprawiedliwe – orzekł Teris. – Pracujemy szybciej, a oni karzą nas za to...

– No to możemy pracować wolniej, o ile Gird zdoła się powstrzymać – zaproponował wujek Amisa.

Gird poczuł, że się zaczerwienił.

– To nie moja wina – zaprotestował.

– Nikt tego nie mówi. Skoro jednak szybka praca pozbawia nas uczty, to może wolna praca nam ją przywróci.

– Jasne, tylko że on powiedział już kucharzom – zauważył Amis. – Może się okazać, że jeśli będzie musiał nas nakarmić, porcje będą małe. A na pewno bez mięsa. I wścieknie się na nas. Warto?

– Gdzie jest Garig? – zapytał Pakuł. – Co on uważa?

– Garig siedzi u zarządcy w kieszeni – rzucił ktoś zbyt cicho, by można było stwierdzić, kto to był.

– Nie możemy uczynić niczego bez niego – powiedział Gird. – To niesprawiedliwe – zgadzam się i zrobię z tym, co się da, ale potrzebujemy Gariga. Tak czy owak tylko on może przemawiać w naszym imieniu.

\* \* \*

– Powiem, co będę mógł – westchnął Garig. Gird nabrał pewności, że

wrócił z niczym. – Zarządca... zarządca coś mi powiedział.

– Co?

– Co złego się wydarzyło. Jest takie miejsce – daleko stąd, nie wiem dokładnie gdzie – skąd przybyli panowie wtedy, kiedy się pojawili. Tam, za górami, handlują ze sobą. Teraz już go nie ma.

– Nie ma? Jak może nie być jakiegoś miejsca?

– Złupione, przypuszczam, jak spalone przez nomadów miasteczko.

Nieważne; panowie brali stamtąd złoto i klejnoty, a teraz już nie mogą.

– A co to ma wspólnego z nami? – zapytał Teris. – Musimy jeść tak samo, jak zawsze i zawsze tak było, że jak pracowaliśmy na polu pana, to musiał nas karmić.

– Hrabia wyciskanego – wyjaśnił Garig. – A on wyciska nas – taka jest prawda. Musi posyłać więcej...

– Nie damy rady. – Stwierdzeniu odpowiedziały pomruki aprobaty.

– Równie dobrze możemy przyłączyć się do Kamiennego Kręgu... – burknął ktoś cicho.

– Żadne takie! – zagrzmiął Garig. – Nie będzie tutaj takich gadek. Chcecie ściągnąć na nas strażę? To banici, nie lepsi od zwykłych zbójów.

Gird zgodził się, ale po cichu. W ciągu ostatnich dwóch lat niejednokrotnie słyszał o Kamiennym Kręgu. Wszystko, co o nich wiedział, pochodziło z takich właśnie, przelotnych spotkań. Zarządca ostrzegł Gariga, że jeśli ktoś zostanie przyłapany na pomocy członkowi Kamiennego Kręgu, czeka go wygnanie albo śmierć na miejscu. Według niego była to banda samowolnych, leniwych wieśniaków, którzy próbowali więcej zarobić, zastraszając gospodarstwa – paląc siano i zboże, uprowadzając bydło z pastwisk i tak dalej. Inne zasłyszane przez Girda opowieści mówiły o

młodych mężczyznach, którzy nie widzieli szans na ożenek lub znalezienie miejsca pod własne obejście... których rodziny nie mogły wyżywić, niezależnie od tego, jak ciężko pracowali. Starał się nie myśleć ani o tym, ani o zniknięciu czterech czy pięciu młodszych synów z ich wsi w ciągu ostatnich trzech lat. Krążyły historie o leżącym gdzieś olbrzymim kręgu z kamieni, większych niż jakikolwiek śmiertelnik zdołałby poruszyć, w którym padał deszcz ziarna i owoców tak obfity, że z naddatkiem wystarczało dla wszystkich, którzy tam trafili. Kamienie zaś strzegły każdego, kto znalazł drogę do środka. Stąd właśnie wzięła się nazwa tajemnego stowarzyszenia, obiecującego pokój i obfitość w dniach, kiedy „wszyscy ludzie będą jak kamienie w kręgu i nikt nie będzie musiał uciekać, ani ukrywać się”.

– Porozmawiam z zarządcą – powiedział Garig, bardziej z gniewem niż zrozumieniem. – Spróbuję... ale niczego nie obiecuję. A jeśli jutro nie będziecie pilnie pracować, wszystkich nas czekają kłopoty.

Mężczyźni postali jeszcze przez chwilę na drodze, cicho pomrukując, a Garig poszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Gird cieszył się, mogąc tak stać w ciepłych ciemnościach. W jego własnym domu śmierdziało chorobą Issy, a dzieciaki wyklócały się o skąpą strawę. Próbował przekonać siebie, że powodziło się im lepiej, niż niektórym, lecz była to licha pociecha.

Następnego dnia Gird pracował najwolniej, jak umiał. Garig powiedział, że zarządcą zgodził się na wydanie im kolacji, jeżeli będą pracować po południu. Mali nie mogła przyjść, lecz Issa dawała z siebie wszystko, zbierając opadłe kłosa do kosza. Martwił się o żonę. Od utraty jednego z bliźniąt naprawdę nie wyglądała dobrze. To dziecko mogło być jej

ostatnim... będzie, choćby musiał osobiście wmusić w nią ziola.

Uśmiechnął się na tę myśl. Mali mogła być słabsza, lecz nie mniej uparta. Skończyli pracę na wielkim polu przed zmrokiem, lecz Gird wkrótce zauważył, że wszyscy szli na wieczerzę w ciszy, bez zwykłych śmiechów czy śpiewu. Było mięso... nie w nadmiarze – trochę – za to mnóstwo chleba i sera. Dopilnował, żeby Fori i Issa najedli się, sam też napchał się po dziurki w nosie. Jutro zacznie kosić ich własny zagon, a ziarno umożliwi im przeżycie i spłacenie dzierżawy.

\* \* \*

Była ciemna, pochmurna noc. Liście szeleściły w podmuchach wiatru.

– Co? – zapytał cicho Gird.

– Chcemy z tobą pogadać. – Rozpoznał Terisa i westchnął.

– Nie macie nic lepszego do roboty, niż...

– Ciii. Nie tutaj. Chodź z nami.

– Z jakimi „nami”?

– Mówiłem ci, że będzie sprawiał kłopoty. – Tym razem głos Tama.

– Nie sprawiaam kłopotów. Chcę tylko wiedzieć, co...

– Chodź. – Teris złapał go za ramię i potrząsnął. – Pogadamy, ale w bezpieczniejszym miejscu.

Gird pozwolił Terisowi poprowadzić się drogą pomiędzy dwoma domami, należącymi – był tego pewny – do Gariga i Tama, a potem wzdłuż muru i bulgoczącego strumienia. Nocne powietrze pachniało wilgocią i zielenią – nie czuł tego za dnia.

– Jest tutaj ktoś, kto chce z tobą porozmawiać – oznajmił Teris. Gird

poczuł, jak serce zaczęło mu walić. Nieznajomy w ciemnościach?

Natychmiast przypomniał sobie, że matka Terisa cieszyła się reputacją wiedźmy, potrafiącej przekląć tego, kto wszedł jej w drogę. – Chodź – zawołał Teris w mrok. – Zapytaj go.

Usłyszał chrząknięcie jakiejś niewidocznej osoby.

– Teris mówi, że znasz się na żołnierce.

– Nie.

– Tak – syknął Teris. – Owszem, znasz się.

– Potrzebujemy... szukamy kogoś, kto nas nauczy.

– Kto? – zapytał Gird. Pomyślał, że już wiedział. Zamiast odpowiedzi usłyszał trzask uderzających o siebie kamieni, a potem poczuł jeden z nich w dłoni.

– Wiesz – odparł głos. – Jedyne nadzieje rolników... Jedyne rzecz, która nie spłonie w nadchodzącej pożodze...

– Ale nie jesteście żołnierzami – powiedział. – Nie potraficie...

– Musimy dowiedzieć się, jak. Jest nas już niemal wystarczająco wielu... gdybyśmy tylko wiedzieli, jak walczyć i mieli broń...

– Nie uda się wam. – Szeptął nawet tutaj, gdzie nikt nie podsłuchiwał. – Rzucicie się na nich hurmą, jak... po prostu po was przejadą...

– Musimy spróbować. – Oczy przywykły mu do ciemności; zdołał dojrzeć twarz Tama i blask jego oczu. Słabsze oko odpłynęło na chwilę w bok, zaraz jednak odzyskało ostrość widzenia. – Nie możemy być żołnierzami; brakuje nam przeszkolenia...

– Wy! – prychnął Gird. Tam nie był w stanie cisnąć prosto kamieniem, a co dopiero walczyć. – Pozabijają was, a rodziny i wszystkich nas spotkają ciężkie kary. Myśl, człowieku! Musielibyście umieć maszerować,

wspólnie posługiwać się bronią...

– Możesz nas tego nauczyć – oznajmił obcy – przygarbiony cień na tle połyskującej wody. – Teris powiedział, że uczyłeś ich maszerować. Nie powstrzymał cię zakaz. A potem...

Od wielu lat nikt nie wypominał mu tchórzostwa. Myślał, że zaakceptowali go, kiedy dorósł i ożenił się, kiedy wpadł w ten sam kierat, co oni. Co wyjawili obcemu, którego głos zmienił się, gdy powtórzył:

– A potem...?

– Nie mogę – wyrzucił z siebie chrapliwie. – Ja... nic już nie pamiętam.

– Pamiętasz wystarczająco dużo, by wiedzieć, że niezorganizowany tłum nie ma najmniejszych szans. Nie mogłeś wszystkiego zapomnieć. Ja nie zapomniałem – Teris jak zwykle musiał zakończyć przechwałkami.

– Ja...

– Wciąż się boisz, prawda? Po tylu latach...

– Był moim przyjacielem! – zawołał głośniejszym głosem, niż zamierzał. – Nie mogłem należeć do ludzi, którzy mu to zrobili. To dlatego uciekłem, a jeśli chcecie nazywać to tchórzostwem, to proszę bardzo. – Przedtem nigdy nie tłumaczył tego przyjacielom. Teraz słowa wylały się z niego. – Skoro uważasz, że bałem się krwi i bólu, to jak sądzisz, czemu wróciłem? Jeśli tak dobrze wszystko pamiętasz, Terisie, to musisz również pamiętać chłostę, jaką otrzymałem. Widziałaś moje pręgi.

– Cóż... tak. Ale oni mówili...

– Oni nazwali to tchórzostwem, a mój ojciec kazał mi pogodzić się z tym. Było nam wystarczająco ciężko bez sprawiania dalszych kłopotów. Tak naprawdę to właśnie jest ich głównym problemem: uważają za tchórzostwo niechęć do sprawiania komuś bólu.



– Ale nie przyłączyłeś się do... – Znowu szczęk kamieni o siebie.

– Nie. Miałem rodzinę, o której musiałem myśleć i to nie tylko własną, lecz także brata. Już raz przysporzyłem im wszystkim wystarczających problemów. Moja matka umarła przez wydany nam przez młodego pana zakaz zbierania ziół we wspólnym lesie. A Kamienny Krąg na początku tworzyli młodzi chłopcy, bezzenni i w większości sieroty – nie mieli rodzin, które ucierpią, kiedy ich złapią.

– Więc... ?

Gird westchnął. Ponure wizje koszmarów przybliżyły się, mieszając z rzeczywistością.

– Więc kto nakarmi moją żonę i dzieci, kiedy ja odejdę uczyć Kamienny Krąg maszerowania? Kto zaorze pole i będzie doglądał inwentarza? A jeśli już do tego dojdzie i armia rolników wyjdzie w pole, kto ich nakarmi? Ktoś musi orać i siać, ktoś musi prząść i tkać, albo ta armia pomrze z głodu i w łachmanach, zbyt słaba, by walczyć z włóczyniami.

– Czy dlatego orzesz i siejesz? Dla tej armii, czy wyłącznie dla rodziny?

Gird obcesowo splunął obcemu pod stopy.

– Sieję dla pana, jak my wszyscy i żyjemy z resztek po podatkach... do licha, zadajesz pytania, jak zarządca, gdy szuka winnego stłuczenia garnka! Znasz moje imię, lecz ukrywasz własne; czemu miałbym cię słuchać?

Głowa obcego poruszyła się, jakby nasłuchując, po czym obdarzyła Girda długim, neutralnym spojrzeniem.

– Wiesz, że jest coraz gorzej. Wiesz, że nie mamy szansy stawienia oporu bez twojej wiedzy. A ty sobie siedzisz, nadęty jak ropucha, broniąc złej sprawy – czemu nie miałbym wbić ci ciernia w bok? Myślisz, że nie mam

rodziny, że inni nie mają? Chłopcy, którzy wiele lat temu dołączyli do Kamiennego Kręgu, są teraz ojcami, tak samo jak ty. Ci, którzy nie zardzewieli na kołkach. Myślisz, że twoje dzieci podziękują ci za porzucenie ich w obliczu wroga?

– Nie podziękują mi również za wtrącenie ich do więzienia.

– Zabierz je ze sobą.

– Nie.

– Przynajmniej powiedz nam coś, co mogłoby nam pomóc.

– Ja... – Gird rozejrzał się dokoła; w pobliżu kucały cztery – pięć postaci.

Rozpoznał Tama i Terisa, pozostałych nie. Czy był z nimi Amis? Nie

wiedział. – Nie wydaje mi się, żeby to zadziałało, nawet gdybym was

nauczył... nawet, gdyby uczyli was prawdziwi żołnierze. Najlepsze, co

możemy zrobić, to spokojnie pracować; wasze działania tylko rozzłoszczą panów i doprowadzą do podniesienia podatków...

Obcy warknął i wstał. Gird również się podniósł i przez długą chwilę stali twarzą w twarz. Potem obcy roześmiał się cicho.

– To nadchodzi, Girdzie, czy tego chcesz, czy nie... Sam zobaczysz i mam nadzieję, że zrozumiesz to, zanim ucierpisz bardziej, niżli człowiek jest w stanie znieść. Straciłem rodzinę; nikomu tego nie życzę. Nazywam się Diamod, gdybyś chciał mnie odszukać.

Gird odwrócił się, zastanawiając, czy go puszczą. Nikt go nie tknął. Macał drogę wzdłuż muru Tama, a potem pozwolił stopom ponieść się znaną drogą do domu. Teris. Tam. Trzech – czterech innych, którzy nie odezwali się, przez co nie mógł ich rozpoznać. Czy uważali, że powie Gangowi albo zarządcy? Zaboląła go ta myśl. Ręce go świerzbiły, żeby w coś uderzyć, w cokolwiek. Pomógłby im, gdyby nie miał rodziny, o której musiał myśleć.

Potrafił wyobrazić sobie, że ćwiczy ich tak samo, jak uczył Terisa, Amisa i pozostałych. Lecz nie mógł ryzykować losem Mali, Issy i dzieci.

Wrócił do łóżka, nikogo nie budząc i zasnął kamiennym snem. Męczyły go koszmary. Widział ich obszarpanych, wyczerpanych pracą, wystraszonych, głodnych, biegnących w nierównych szeregach na konnych z pałkami, kosami, sierpami i maczugami. Za jeźdźcami czekała armia pana – wyszkoleni żołnierze w porządnym zbrojach, z ostrymi mieczami i pikami. Ale nie mieli nic do roboty, gdyż konnica poradziła sobie z wieśniakami. W końcu... Obudził się gwałtownie ze zduszonym krzykiem na ustach. Leżąc obok Mali obróciła się i cichutko jęknęła, po czym zachrapała.

W gęstym mroku domu wydawało mu się, że widział minione lata na podobieństwo malowanej wstęgi, jakie panowie czasami przytracali do koni. Ciężka praca i głód – owszem, ale zaznał tego jeszcze jako dziecko. A jednak jego dzieci były chudsze od niego, pomimo jego ciężkiej pracy. Nie zgromadził zapasu miedzi i srebra, jaki jego ojciec trzymał pod paleniskiem na czarną godzinę. Gdyby coś przytrafiło się dzieciom jego lub Arina, nie mógłby zrobić tego, co dokonał ojciec.

Rankiem wciąż nad tym rozmyślał, przerzucając mierzwę. Co mógł zrobić? Nie wyobrażał sobie wymykania się nocami z wioski, by trenować członków Kamiennego Kręgu, ani powrotów o świcie i całodzienną pracę, nie wyobrażał sobie jednak także zabierania rodziny w niepewną przyszłość. Rozważał to wciąż na nowo, kiedy usłyszał krzyki na drodze i tętent końskich kopyt.

Wrócił przez kuchnię i ujrzał Mali, Issę i dzieci, wybiegających właśnie przez frontowe drzwi.

– Z powrotem! – huknął. Przepuścili go. Ujrzał na drodze ludzi, skupionych w pobliżu środka wsi. Amis wychodził właśnie przez furtkę i Gird ruszył ku swojej. Słyszał głośnie narzekania, wykrzykiwane przez sierżanta rozkazy, płacz dzieci. To z pewnością sprawka tego człowieka z Kamiennego Kręgu, Diamoda – pomyślał Gird, lecz nigdzie nie mógł go dostrzec. Czy ktoś go widział? Zameldował o nim? Uświadomił sobie nagle, że jego przyjaciele mogli uznać, że on to zrobił, jeżeli strażnicy faktycznie przybyli po niego.

Wyglądało na to, że żołnierze starali się przeszukać każdy dom i zagrodę. Hałaśliwy tłum otaczał ich, nie stawiając oporu, a mimo to przeszkadzając. Strażnicy, częściowo konno, częściowo spieszni, przesuwali się ku końcowi wsi, gdzie mieszkał Gird. Zaczął rozpoznawać twarze, zarówno strażników, jak i wieśniaków. Stara kobieta, matka Terisa, wyklócała się z żołnierzem, wieszając się mu na ramieniu i szarpiąc go. Wyrwał się jej i starucha zatoczyła się do tyłu. Złapała ją córka. Na drogę tuż przed konnymi wybiegło dziecko. Amis rzucił się za nim. Jadący na czele jeździec wrzasnął coś do niego; skupiony na dziecku Amis potrząsnął głową i skoczył naprzód.

Choć stał za innymi w bramie własnego gospodarstwa, Gird dokładnie widział, co się stało. Prawica żołnierza opadła i Amis obrócił się, zasłaniając ramieniem przed oczekiwanym ciosem. Maczuga trafiła go prosto w twarz, zamieniając ją w papkę z krwi i zmiażdżonych kości. Jeden ząb wyleciał w powietrze, obracając się w jaskrawym blasku słońca, zanim upadł za plecami gapiów. Gird poczuł, że coś zakłuło go w dłoń. Opuścił wzrok i przekonał się, że rączka łopaty pękła, niczym suchy patyk. Otworzył pięść i pozwolił kawałkom upaść na ziemię.

Przed oczami Girda wszystko zaczęło poruszać się w zwolnionym tempie, jak we śnie. Jeden po drugim, ci z tyłu tłumu, odwracali się i rzucali do ucieczki z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami. Zanim jeszcze Amis upadł na ziemię, utworzyli przejście dla żołnierzy, cofając się, lecz bojąc się odwrócić... a rumaki jeźdźców o długich szyjach, poznaczonych potem i pianą w miejscach, gdzie ocierały je wodze, stawiały podkute żelazem kopyta tak wolno, że wydawało się, iż nie powinny trafić żadnego przerażonego uciekiniera. Zwinięty w kłębek Amis leżał w środku rosnącej kałuży krwi, wsiąkającej w pył drogi. Obie dłonie przyciskał do zmasakrowanej twarzy. Jeden z koni, potrącony przez innego, opuścił kopyto na sam środek pleców leżącego, z taką precyzją, że Gird musiał uznać to za zamierzone. Usłyszał okropny trzask, huk kopyt, wrzaski... Ruch wrócił do zwykłego tempa. Spanikowany tłum uciekał wzdłuż drogi; biegnący na czele rozpościerali szeroko ramiona. Za nimi galopowały konie, a żołnierze wrzeszczeli, rozdzielając razy na prawo i lewo. Gird cofnął się pomiędzy śliwy, tylko tyle zdążył uczynić, zanim go minęli. Rumaki tratowały i roztrącały powolnych i niezdarnych w pościgu za najszybszymi. Kątem oka dostrzegł Diamoda – powód całego zamieszania – wymykającego się cichcem tylnym wyjściem z obory Amisa i uciekającego na przełaj przez pola.

Gird po raz kolejny przełknął gulę złości i strachu. Teraz to Amis leżał na ziemi, martwy lub umierający, wcześniej Arin – pogryziony przez wilki, a przed nimi Meris.

Amis oddychał z trudem, chrapliwie. Gird przyłożył mu dłoń do szyi. Puls był słaby, nieregularny. Czy Amis w ogóle był przytomny? Powinien coś powiedzieć. Co mógł powiedzieć?

– Amis? Słyszysz mnie? – Głupie, ale zawsze coś. Ręka Amisa drgnęła; Gird zakrył ją swoją.

– Musisz coś zrobić! – Wysoki głos należał do Eso, zawsze gotowej kazać komuś innemu coś robić. – Zabierz go w jakieś bezpieczne miejsce... obmyj mu twarz...

– Zamilcz – warknął grubszy głos. Ojciec Amisa. Ukląkł obok Girda. Oblicze miał szare, podobne do siwej brody. Ręce mu drżały, gdy wyciągnął je do syna. – Czy on... ?

– Umiera... widziałem, jak maczuga trafiła go w twarz, a koń stratował... – Gird wskazał na zmasakrowane plecy Amisa.

– Jeśli wróca, jeszcze bardziej go poturbują. – Ojciec Amisa ścisnął bezwładną dłoń leżącego. – Gird... przynieś jakąś deskę albo ławę. Gird skinął głową i wycofał się na kolanach. Zadrżał, poczuł mdłości i z trudem dotarł do skraju drogi, zanim zwymiotował śniadaniem i żółcią. Potem poszedł do frontowej izby, gdzie biała jak mleko Mali stała z pięścią w ustach i bez słowa oderwał nogi od jednej z ławek. Wychodząc, zawadził długą deską o framugę. Niemal utracił panowanie nad sobą. Amis. Miły, wesoły, rozważny Amis, który zabrał go do owczarni, gdzie spotkał Mali... który od dziesięciu lat gospodarował na sąsiednim zagonie... który nigdy nie zrobił nic złego, a teraz znalazł się w miejscu, gdzie opadła maczuga...

Ojciec Amisa i Gird przenieśli go na deskę. Długie, szczupłe ciało zachowywało się tak, jakby było pozbawionym kości workiem kukurydzy. Przy każdym rzęzącym oddechu bańki krwi pokrywały mu twarz. To, co kiedyś było twarzą. Gird przypomniał sobie wesołe, brązowe oczy, nos skrzywiony od kopnięcia krowy, szerokie usta.

Żona Amisa zemdląca. Mali usiadła przy bezwładnym ciele, pocieszając młodsze dzieci, a Gird i ojciec przenieśli Amisa na podwórko. Tam starli z niego krew i obrócili go. Gird przekręcił mu głowę i znowu zwymiotował. Nie mogli nic zrobić. Oddech Amisa wypełnił podwórze cierpieniem. Przyszedł jeden z braci Amisa i stanął przy nich, patrząc. Wreszcie dołączyła do nich żona Amisa, zagryzając chustę i tuląc do siebie najmłodsze dziecko. Mali stanęła przy Girdzie, kładąc mu rękę na ramieniu.

Amis nie ocknął się, a kiedy wreszcie przestał oddychać, Gird długo nie mógł odejść. Dopiero zgiełk, towarzyszący powrotowi straży, gniewne głosy i szczęk broni na drodze wyrwały go z paraliżu, który unieruchomił mu członki. Stał wyciszony w środku zamieszania, jakie nastąpiło, zdając zarządcy relację spokojnym, basowym głosem. Amis nigdy nie sprawiał kłopotów. Rzucił się przed konie strażników za dzieckiem, które nieświadomie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zarządca skinął głową, wzruszył ramionami, umorzył część opłaty pogrzebowej i zezwolił żonie Amisa zamieszkać z teściem. Do ich obejścia sprowadziła się obca rodzina z innej wsi. /'. '

A Gird pozostawił na skraju lasu worek ziarna, kładąc na wierzchu dwa kamienie. Następnego dnia worek zniknął.

## Część II



## Rozdział 8

Pierwszy krzyk wyrwał go z zamyślenia; spojrzął ponad zaoranym zagonem, lecz początkowo niczego nie dojrzał. Może ktoś wylał wrzątek z czajnika. Podrapał się stopą po drugiej nodze i cmoknął na woły. Napały na jarzmo. Wtem kolejny wrzask, który rozpoznałby wszędzie. Raheli! Upuścił rączki pługa i pobiegł przez pole. Spomiędzy domów wybiegły konie, wyłamując tylną bramę jego zagrody. Pańskie konie w jaskrawym oranżu, zieleni i żółci, które dzień wcześniej widział wjeżdżające przez bramy posiadłości. Kolejny krzyk i jeszcze jeden, cieńszy – dziewczynki? Nie zdając sobie sprawy, wydał z siebie okrzyk bólu i wściekłości.

Odpowiedział mu inny oracz z głębi pola.

– Zatrzymaj się! – zawołał jeden z jeźdźców, machając czymś na niego. Gird zignorował go, pędząc ku własnej bramie. Usłyszał donośny, męski głos i więcej okrzyków od strony drogi. Ten sam jeździec zakrzyknął: – Hej! Straże!

Konni podjechali bliżej niego na tańczących z podniecenia rumakach. Za nimi dostrzegł piechurów w jasnych, pomarańczowych mundurach Kelaive'a. Słońce błyszczało na hełmach, sprzączkach jeźdźca i uprzęży, na ściernisku po ostatnim tegorocznym zbożu. Gird zaczerpnął tchu i zwolnił, chcąc zorientować się, jak mógłby się przemknąć. Jeden z konnych znalazł się tuż przy nim. Dosiadał rosnącego, karego rumaka, parskającego i niespokojnie drobiącego.

– Cofnij się, chłopie!. – zawołał jeździec. Gird podniósł wzrok na wąską, bladą twarz. – Nic ci do tego. Wracaj do pracy! – W głosie słyhać było strach na równi z arogancją. Miał broń? Gird spróbował okrążyć konia, ten jednak obrócił się, ponownie go blokując. – Cofnij się! – krzyknął głośnie

mężczyzna. Gird zerknął w bok. Strażnicy czekali z pałkami w gotowości. Kolejny wrzask; tym razem śmiertelny okrzyk mężczyzny zakończony charkotem. Gird cofnął się i zadygotał – to musiał być Parin, tylko on został w środku. Ścisnęło go w żołądku; wzrok mu się zamglił. Z odrętwienia wyrwał go ból – jeździec zdzielił go nahajką przez plecy. Obrócił się, ogarnięty wściekłością do tego stopnia, że zapomniał o strachu, lecz dopadło go czterech strażników. Nie mógł nic zrobić – powalili go twarzą na ziemię, prosto w świeżo wyorane bruzdy. Zakrztusił się pyłem. Dwóch usiadło mu na plecach. Wrzaski trwały... a potem ucichły. Kiedy pozwolili mu wstać, reszta oraczy trudziła się na polu, a jeźdźcy zniknęli. Sierżant przestrzegł go z ponurą miną. Wiedział, co znajdzie w środku, jeszcze zanim tam wszedł. Połamana brama, owca, którą przyprowadził tutaj na leczenie, martwa, a jej wnętrzności rozwleczone po podwórzu, ich jedyna świnia wyparowała, drzwi do domu wyważone, krosno zniszczone – było już wystarczająco źle. Lecz w domu leżał Parin o twarzy pokrytej zakrzepłą krwią i połamany kośćmi oraz Raheli – naga, z lekko zaokrąglonym brzuchem, po którym tak wiele obiecywała sobie z mężem. Ukląkł przy niej, przepełniony żalem tak, że z trudem łapał powietrze. Nie mógł uwierzyć, że poczuł na dłoni ciepło jej oddechu. Żyła? Po ciosie, który rozszczepił bok jej twarzy i skąpał we krwi? Po pobiciu i gwałcie? Przyjrzał się ciału, którego nie widział, odkąd stała się kobietą. Nawet w takim momencie zauważył – i znienawidził się za to – blade piękno jej skóry, pełne, młode piersi, wdzięczną krzywiznę pleców i ud, teraz spryskanych krwią. Jej oddech znowu owionął mu dłoń i powoli, z trudem wciągnął powietrze. Żyła. Musiał coś zrobić...

Ponownie rozejrzał się po izbie i ujrzał wszechobecne zniszczenie, a potem zerknął przez drzwi na zewnątrz. Coś tam się poruszyło. Nie mógł zostawić Raheli samej, ale musiał – trzeba było przynieść wodę, szmaty, cokolwiek. Wstał zbyt gwałtownie i zakręciło się mu w głowie. Zataczając się, dotarł do drzwi i tam przykucnął, zwracając na stratowane podwórze wszystko, co zjadł.

Potem podniósł wzrok i zobaczył resztę.

Musiała być przy studni, gdzie zaczynał się krwawy ślad i leżał roztrzaskany dzban na wodę. Pomiedzy studnią a drzwiami leżała nieruchomo Girnis; jej wątłe ciało skręcone, jakby ciśnięto nią o ścianę. A Pidi, gdzie był Pidi? Gird znalazł go za studnią z pięściami w ustach, powstrzymującego płacz. Miał granatowego siniaka z boku głowy i pręgę na plecach.

Trząśnięty z furii i żalości; ledwo zdołał opuścić wiadro do studni. Ciężar pełnego kubła otrzeźwił go, zmuszając do zaparcia się. Wyciągnął wiadro i dał trochę Pidiemu, który wypił w milczeniu.

– Zostań tutaj – nakazał chłopcu; ten skinął głową. Gird podszedł do Girnis. Żyła, straciła tylko przytomność. Lewe ramię opuchło, wygięte pod dziwnym kątem. Złamane. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu czegoś do usztywnienia go i kątem oka dojrzał nad murem głowę w chuście. Zniknęła, a on nie wołał. Znalazł odłupany kawałek drzwi i oderwał od tuniki pas materiału. Girnis nie poruszyła się, kiedy opatrywał jej złamane ramię. Może powinien wnieść ją do środka? Nie. Girnis równie dobrze może poleżeć tutaj, dopóki się nie ocknie, pomyślał, choć zdawał sobie sprawę, że nie rozumuje zbyt jasno. Ale potrzebowała go Raheli. Zabrał wiadro do środka, ciężko oddychając ustami. Dom

śmierdział krwią, mózgiem i rzeźnią. Zwierzęta zwykł zabijać bardziej czysto – nie mógł przestać o tym myśleć.

Jeżeli przeżyje, Raheli zostanie na twarzy szrama od włosów po szczękę. Nie był pewny, czy jej się to uda. Ostrze przeszło przez usta, blisko oka – nie potrafił powiedzieć, czy nie strzaskało kości szczęki albo policzka. Po Mali to Raheli otrzymała talent zielarstwa, nie on. Głowę kobiety otaczała kałuża krwi; przy każdym płytkim oddechu lekko gulgotała. Miała krew w ustach – co będzie, jak się zachłyśnie?! Rozejrzał się w panice dokoła i tym razem znalazł rozrzuconą pościel, gazę, materiał dla krwawiących kobiet. Najszybciej jak zdołał, przytknął najczystsze kawałki tkaniny do jej ran, skupiając się na najpaskudniejszych. Długie, płytke cięcie przez żebra przestało krwawić samo; głębsza rana, gdzie dźgające ostrze napotkało kość biodrową, krwawiło bezustannie, barwiąc opatrunek czerwienią. Jej twarz... to było beznadziejne, pomyślał z początku, gdy krew przesiąkała przez jeden kawałek materiału po drugim.

– Girdzie? – Podskoczył, zaklął i obejrzał się na światło, wlewające się do środka przez wyłamane drzwi. W bijącym od wejścia blasku nie rozpoznał twarzy kobiety. – Czy... czy Raheli żyje?

– Ledwo. – Głos mu się załamał; miał ochotę wybuchnąć płaczem. Trudno mu było samemu z tym wszystkim, lecz jeszcze trudniej w czyimś towarzystwie.

– Pozwól mi rzucić okiem. – Podeszła do niego. Okazało się, że to ciotka Tama, stara Virdi. Z sykiem wypuściła powietrze. – Aach... na pokój Pani, źle z nią...

– Wiem o tym. – Nigdy nie lubił Virdi, lecz jego matka mawiała, że jej dłonie leczą. Nie miał do niej żalu, że nie uratowała Mali – dar

uzdrawiających rąk to za mało na gorączkę od zarazy.

– To pan to uczynił? – Wydało mu się, że usłyszał w jej głosie drwinę i najeżył się. Zaraz zapyta, jak mógł do tego dopuścić. Lecz kiedy spojrzał na nią, w jej wzroku wyczytał współczucie, nie oskarżenie.

– Tak. Ja... orałem. Oni... – Zaciął się; nie mógł dalej mówić.

Pokiwała głową.

– Widziałam z pola – strażnicy przewrócili cię; było ich zbyt wielu.

Klątwa Pani niechaj spadnie na Mikrai Pidala Kevre Kelaive'a – niechaj nigdy nie zazna spokoju.

Nigdy wcześniej nie słyszał kobiety rzucającej klątwę, lecz nie miał wątpliwości, że Virdi właśnie to uczyniła. Tak prosto? Zadygotał; przeszył go chłód. Jej dłoń dotknęła jego czoła, sucha i chłodna jak wąż.

– Omal nie rozwalili ci głowy... – Nie zauważył, że został uderzony, lecz z miejsca, w którym go dotknęła, promieniował silny ból... a po chwili zniknął, ona zaś energicznie wycierała ręce o palenisko. Obdarzyła go krótkim uśmiechem. – Skała do skały; palenisko jest wystarczająco silne. – Pokazała mu i dostrzegł niewielkie pęknięcie, którego nie pamiętał.

Jej dłonie na głowie Raheli zdawały się być pozbawione ciężaru; uniosły się, musnęły ją lekko, niczym ćma płatki nocnego kwiatu i cofnęły się.

Westchnęła, po czym uniosła materiał, którym zakrył zmasakrowaną twarz i znowu syknęła.

– Przynieś więcej wody... i... – rzuciła szybko okiem na wystygłe palenisko – ... idź do Tama i przynieś żaru.

– A jeśli umrze, kiedy ja... ? – Nie dokończył, bo mu przerwała.

– Nie, jeśli się pospieszysz. – Przeląła resztę wody do całego garnka, a on zabrał wiadro i wyszedł. Pidi wciąż kulił się przy studni, teraz jednak

płakał, aż dygotały mu ramiona. Gird nabrał wody. Jakimś cudem czerpak ocalał, zaplątany w żywopłocie. Przykucnął przy chłopcu.

– Chodź, chłopcze... niech spojrzę... – Pidi podniósł wzrok, nadal zalewając się łzami.

– Ja... nie mogłem... – Skrzywił się, gdy Gird dotknął guza na jego głowie.

– Nie mogłeś ich powstrzymać. Ja też nie.

– Ale... ale oni... skrzywdzili Raheli... a Parin próbował walczyć...

– Posłuchaj, Pidi. Potrzebuję ognia. Możesz tutaj zostać?

– Raheli? I... i Giris! Jej też zrobili krzywdę! – Chłopiec złapał Girda obiema rękoma, grożąc przewróceniem wiadra. Gird ostrożnie odstawił je na bok i przytulił najmłodsze dziecko, pozwalając mu się wypłakać. Sam miał na to ochotę. Oddałby wszystko za silne ramię, które mógłby zrosić łzami, lecz wszyscy, których znał, odeszli. Poklepał chłopca po plecach, starannie omijając pręgę. Wystarczy, by pocieszyć kogoś, kogo dało się pocieszyć. – Przepraszam... – wyrzucał z siebie chłopak w przerwach między łkaniem. – Tak bardzo przepraszam...

– To nie twoja wina. – Gird starał się mówić równym, uspokajającym tonem, zupełnie jakby Pidi był owcą zaplątaną w jeżynach lub krową, która wpakowała łeb w zbyt ciasny otwór. Wreszcie płacz ustał. Gird uwolnił się z rąk chłopca i odsunął na tyle, by móc spojrzeć mu w twarz. – No, daj się wytrzeć... – Pidi kiwnął głową i zacisnął usta, a Gird otarł mu policzki. – Muszę iść po rozpałkę do domu Tama. Zostaniesz tutaj? – Chłopiec przytaknął z poważną miną. – Zaraz wracam – obiecał mu Gird. Pidi milczał.

Po drodze do domu Tama nie spotkał nikogo, choć zdawał sobie sprawę z poruszenia we wsi i ludzi, którzy gapili się na niego lub pospiesznie

schodzili mu z oczu. Wszystkie drzwi były pozamykane. Zapukał do Tama. Pobladła żona Tama otworzyła natychmiast. Pobielala jeszcze mocniej na widok krwi na jego koszuli.

– Virdi przysłała mnie po węgle – oznajmił tak spokojnie, jak tylko mógł. Dzieci Tama zbiły się w gromadkę przy palenisku; patrzyły na niego w milczeniu. – Nasz ogień wygasł. – Żona Tama pokiwała głową. Bez słowa podeszła do paleniska i wyjęła zeń płonąca szczapę, znacznie większą, niżli nakazywał obyczaj. Podała mu ją ze sztywnym, lekkim ukłonem, a on ostrożnie przyjął dar.

W blasku słońca płomienie były blade, niemal niewidoczne. Poczul tylko żar płomieni, gdy wiatr wionął mu nimi w twarz. Dzięki temu zorientował się, jak szybko szedł. Za szybko. Pidi czekał na podwórku, siedząc przy Giris. Skinął chłopcu głową i zebrał kilka połamanych desek z drzwi. Virdi oczyściła twarz Raheli z krwi, z wyjątkiem samej rany. Dłonią przytrzymała policzek dziewczyny. Gird obszedł ją ostrożnie i ułożył na palenisku jedyny znany mu wzór, używany przez mężczyzn pod gołym niebem. Żagiew z domu Tama natychmiast roznieciła ogień, przywracając palenisku ciepło. Wyszedł po wodę i nazbierał więcej drewna. Przyszło mu do głowy, czy palenie drzwiami nie przynosi pecha, ale zaraz wzruszył ramionami. Czy mogło być gorzej? Postawił wiadro przy Raheli i starannie ułożył drwa na palenisku.

– Został wam jakiś rondel? – napytała zniecka Virdi. Gird rozejrzał się po panującym w izbie chaosie i poszedł sprawdzić w pokoiku z tyłu. Znalazł tam metalowy garnek, używany przez Mali do parzenia ziół, powgniatany, lecz nadal cały. Zaniósł go Virdi. Skinęła głową. – Dobrze. Zagrzej w nim wody – postaw go przy ogniu, lecz nie na nim. A potem

umyj ręce. Będę potrzebowała twojej pomocy.

Zanim przyszedł zarządca, zdążyli opatrzyć rany Raheli i ubrać ją w czystą sukienkę. Przez cały ten czas w sercu Girda narastał gniew, nad którym panował od tak dawna, że zdążył o nim na poły zapomnieć. Teraz nagromadził się tak szybko, jak burzowa chmura latem, wypełniając go czarną wściekłością. Tak bardzo się starał, tyle już wycierpiał. Wbrew wszystkiemu wychował trójkę własnych dzieci i dwoje Arina – za rok doczekałby pierwszego wnuka – a panowie nie potrafili zostawić w spokoju nawet jednego, ciężko pracującego wieśniaka.

A jednak, kiedy pojawił się zarządca – lekko przygarbiony starzec, mimo to nadal zdolny do pracy – Gird nie powiedział nic. Usłyszał to, czego oczekiwał: jako głowa rodziny będzie musiał zapłacić karę za to, że jego zięć napadł na syna hrabiego i jego przyjaciół oraz za podjętą przez niego próbę dostania się do domu, żeby ich bronić. Spodziewał się utraty domu, natychmiastowej eksmisji, opłat, utraty „tak zwanej własności osobistej” i pokrycia kosztów zniszczenia pańskiej własności.

– Hrabia pamięta cię – oznajmił powoli zarządca, przenosząc wzrok od połamanego krosna do wyważonych drzwi. – Powiedział, że z przyjemnością przyjmie ciebie i twoje dzieci na służbę. Oznaczałoby to, że w rzeczywistości stalibyście się jego własnością. – Zamilkł, po czym ściszył głos tak, że Gird z ledwością go słyszał: – Na twoim miejscu uciekłbym, Girdzie. Zostaniesz wyjęty spod prawa, lecz póki co umkniesz mu. W przeciwnym razie... doskonale rozumiesz, jakim jest człowiekiem. Będzie czerpał rozkosz z twego strachu, a w tej posiadłości dzieją się rzeczy gorsze, niż kiedykolwiek widziałeś. Zrobiłem, co mogłem.

– Słuchasz mu – odważył się powiedzieć Gird, po czym ugryzł się w język i



zmilczał resztę.

– Służę mu – dawno temu złożyłem przysięgę jego ojcu. Niestety, umarł młodo... ale to bez znaczenia. Teraz łamię tę przysięgę, żeby cię ostrzec i obiecać, że tej nocy pościg nie wyruszy. Powiedz, że wysprzątasz i naprawisz, co się da, do jutrzejszego południa, kiedy zostaniesz wydalony. Przekażę mu to.

To było całe współczucie, na jakie mógł liczyć. Wiele lat później zrozumiał, jak bardzo zarządca ryzykował i jakie męki cierpiałby, gdyby ktoś odkrył, co uczynił.

## Rozdział 9

Kiedy rozmyślał nad odejściem, nigdy nie przewidywał czegoś takiego. Wyobrażał sobie odesłanie dokądś (dokąd?) dzieci i przyłączenie się do niewielkiej bandy rebeliantów, których kiedyś poznał – lecz nie taką przerażającą podróż. Był pewny, że zostawiali w lesie ślad, którym mogłoby podążać za nimi dziecko. Każdy domyśli się, że pójdzie właśnie tędy – ale czy była jakaś inna droga? Nie mógł przemaszerować przed posiadłością hrabiego z Raheli na plecach.

Martwiło go, że zostawił w domu taki bałagan. Nie ponosił za to winy, lecz dokuczwały mu jego pracowitość i dbałość. Powinien był...

Przed nimi z ostrym trzaskiem uderzyły o siebie dwa kamienie. Gird zatrzymał się, dysząc ciężko. Za plecami słyszał takie samo sapanie Foriego, trzymającego drugi koniec noszy. Raheli okazała się cięższa, niż przypuszczał. Stojący obok Pidi podniósł na niego wzrok i Gird kiwnął głową. Chłopiec zaszczekał trzymanymi w dłoniach kamieniami, naśladując tamten dźwięk. Kolejne, tym razem trzy trzaski. Pidi odpowiedział potrójną trójką tak, jak nauczył go Gird. Sygnał oznaczał kłopoty. Niebezpieczeństwo, problem, potrzebę pomocy.

Raheli poruszyła się na noszach i cicho zajęczała. Gird obejrzał się przez ramię. Krew przesiąkła przez kępkę mchu, którą położył jej na twarzy, barwiąc ją na ciemny kolor. Usłyszał trzaśnięcie gałązki i spojrzał przed siebie. Było ich trzech; schodzili po zboczu. Jednym z nich był Diamod. Żałował, że nie ktoś inny.

– Gird... o co chodzi?

– Nie słyszałeś?

– Tylko sygnał kłopotów, wezwanie. Twoje? – Spojrzał ponad nim na dzieci.

– Tak. Moja córka jest ciężko ranna; zabili jej męża. Mnie wyjęli spod prawa za to, co sami zrobili i próbę dostania się do niej...

– Przykro mi. – Zabrzmiało prawdziwie. Gird był pewny, że tamten pozwoliłby sobie na rozbawienie lub zjadliwość. – Czyli... jesteście teraz uciekinierami?

– Tak. Nie wiem, czy Rahi przeżyje...

– Później. Teraz musimy was stąd zabrać. – Diamod skinął na pozostałych dwóch mężczyzn, którzy przejęli uchwyty od Girda i Foriego.

– Są gładkie! – zawołał jeden z nich, najwyraźniej zaskoczony.

Gird odchrząknął i splunął.

– Drażniłem z kosy i łopaty – wyjaśnił. – I tak zostałem banitą; czemu nie miałem zabrać czegoś użytecznego.

Diamod uśmiechnął się do niego, zaraz jednak spoważniał, patrząc po reszcie.

– Oni wszyscy idą z nami?

– Fori to syn mojego brata. Jego żona umarła w połogu rok temu.

Pozostała dwójka jest moja i nie ma dla nich miejsca we wsi.

Ruszyli szybciej, dzięki sile dwóch wypoczętych mężczyzn, niosących Raheli. Gird wytężył słuch, w każdej chwili spodziewając się wyłowić uchem ujadanie psów i chrzęst końskich podków na liściach. Lecz słyszał tylko ich własne kroki i ciężkie oddechy.

Podążając za wodą, opuścili las i minęli rozpadlinę, którą tyle lat temu pokazał mu Arin, później wielokrotnie wykorzystywaną przez gości z Kamiennego Kręgu. Weszli w wąski, skalisty wąwóz, po czym ostrożnie

okrzyżyli zachodni stok wzgórza, trzymając się niskich zarośli. Gird raz czy dwa spojrzął w górę, na nieznane mu ziemie, lecz częściej oglądał się za siebie. Kiedy nadejdzie pościg i jak zaciekły się okaże?

Około południa, kiedy promienie słońca spiekły krzaki, wydobywając z nich ostry zapach, dotarli do kolejnego strumienia, wijącego się daleko na południe. Porastające brzegi drzewa dawały gęstsza osłonę. Diament został z tyłu, wypatrując pościgu, a reszta zatrzymała się na krótki odpoczynek.

Gird zaczerpnął wody z potoku i obmył Raheli twarz.

Przebudziła się. Zaciskała mocno wargi, wzrok miała pusty. Nie chciał do niej przemawiać – co mógłby powiedzieć? – ale to ona go zagadnęła.

– Gdzie... jesteśmy?

– Na południe od wioski, za wzgórzem. Musieliśmy odejść, Rahi.

– Parin... zabili go...

– Tak.

Jej dłoń powędrowała na brzuch, jakby chciała wyczuć niemowlę.

– Ja... nie chcę stracić dziecka...

– Virdi powiedziała, że nie stracisz, chyba że dostaniesz gorączki. Dała mi zioła dla ciebie. – Sięgnął do zawiniątka z materiałem i bandażami po paczuszkę z ziołami. Rahi pokręciła głową.

– Już mam gorączkę... czuję to. Jeśli je stracę... – Głos jej zamarł, a wzrok utkwiała w niedostępnej dla Girda dali. Potem spojrzała prosto na niego. – A maluchy?

– Pidi ma guza, ale nic mu nie jest. Trzeba by czegoś więcej, żeby zrobić mu krzywdę. Giri ma złamaną rękę. Proszę... musisz się napić... – Gird uniósł ją najdelikatniej, jak potrafił, mimo to cofnęła się i zajęczała. Przez tkaninę, którą owinęła ją Virdi, czuł płonąca w niej gorączkę. Napiła się

trochę wody i potrząsnęła głową. Położył ją z powrotem. Ze wszystkich dzieci tylko ona przypominała Mali – miała takie same włosy i była równie bystra. Nie mógł jej stracić. Lecz gorączka szydziła z niego. Oczywiście, że mógł ją stracić, tak samo, jak rodziców, brata, jego żonę i dzieci. Mógł stracić ją szybko lub powoli, w zależności od tego, czy gorączka nasili się, czy odejdzie lub czy dopadnie ich pościg.

Rozejrzył się po pozostałych. Giri z ramieniem ciasno przywiązany do boku była blada i wyglądała na chorą, nigdy nie była tak silna, jak Rahi. Pidi z wielkim guzem na głowie siedział, nie spuszczał z Girda czujnego wzroku. Fori, podobny do Arina, lecz o szczupłej budowie ciała Issy, siedział ze spuszczoną głową, ciężko dysząc.

– Fori? – Gird otoczył go ramieniem, a młodzieniec podskoczył. Kiedy podniósł głowę, na jego policzkach widać było ślady łez.

– Powinienem był ich powstrzymać – powiedział, tłumiąc łkanie. – Ja... powinienem tam być.

– Ja też... ale nie było nas. A gdybyśmy byli, zginęlibyśmy tak samo, jak Parin.

– Ale ona jest...

– Twoją kuzynką, a moją córką.

Urwał na widok zasapanego Diamoda. Wyglądał, jakby pokonał biegiem długi odcinek drogi.

– Widziałem strażników na zboczu pierwszego wzgórza. Szli powoli. Nie tą samą trasą, co my – wydaje mi się, że nas nie wytropili. Ale nie możemy tutaj zostać. Musimy się schować i iść dalej.

Tym razem Gird i Fori złapali za nosze, a mężczyźni wzięli ich tobołki. Jeden z nich poprowadził na południe, wzdłuż brzegu strumienia, który

robił się coraz szerszy i głębszy. Potem skręcili na wschód, ku słońcu, podążając w górę dopływu. Diament trzymał się z tyłu, doganiając ich pod wieczór, kiedy zatrzymali się pod kępą dębów, gdzie spod skał wypływał spieniony strumyk.

– Nie poszli za nami – oznajmił, zanim ktokolwiek zdążył zapytać. – Zostawili jednego na wzgórzu – widziałem tam odblask – ale ani śladu prawdziwego pościgu. Musimy pozostawać niewidoczni z tamtego wzgórza i nie wolno nam rozpalić ogniska, możemy jednak pomyśleć, dokąd zabrać... twoją córkę.

Gird miał nadzieję, że jego twarz nie zdradzała wszystkiego, co czuł.

– Dostała gorączki – powiedział, zwieszając głowę. Raheli milczała przez całe popołudnie, ale wyglądała na otumanioną. Dwa razy zmusił ją do wypicia paru łyków wody, lecz nic więcej.

– Potrzebuje schronienia i uzdrowiciela. Macie jakąś rodzinę w innej wiosce?

Gird pokręcił głową.

– Tylko rodzinę mojej żony – mojej zmarłej żony – w Ognistym Dębie. Ale nie wiem, jak stąd tam dotrzeć, a poza tym, nie wiadomo, czy ją wezmą.

Jeden z mężczyzn obejrzał się na niego.

– Ognisty Dąb? Moja siostra wyszła tam za męża. Nie mają zbyt wiele towarów na handel, ale to zaci ludzie.

– Do Ognistego Dębu trafimy bez problemu, ale to całe dni ostrożnej podróży. Znajdujemy się dzień drogi od owczarni, gdzie odbywają się tańce.

Gird pokiwał głową.

– Wiem.

– Dla zdrowych mężczyzn to dzień drogi, lecz niosąc ją i prowadząc resztę potrzebujemy dwóch dni. Tak myślę. A stamtąd do Ognistego Dębu jest...

– Jeszcze jeden dzień drogi. Ale ta owczarnia to jedyne schronienie.

\* \* \*

Podobnie jak jego, rodzice Mali zmarli kilka lat temu, lecz jej brat wciąż żył. Przykucnął przy noszach Raheli i położył jej dłoń na czole.

– Dziecko Mali?

– Tak. – Gird czuł niepokój, przebywając w miejscu, skąd nie miał widoku na otoczenie.

– Słyszeliśmy, że mieliście po drodze kłopoty. Wymieniano twoje imię. – Gird był pewny, że do tego dojdzie, skoro przechodzili tędy strażnicy. – Mówili, że zginął mężczyzna... ?

– Mąż Rahi, Parin. Był w środku; próbował z nimi walczyć.

– Hm. A ty?

Poczuł wstyd.

– Orałem... Kiedy usłyszałem jej krzyk, próbowałem... lecz strażnicy dopadli mnie...

Brat Mali potrząsnął głową.

– Żaden z nas im nie dotrzyma. Nie twoja wina. Cóż. Uważam, że możemy ją przyjąć i pielęgnować w chorobie... a młodsza dziewczynka?

– Ma złamaną rękę.

– Ją również zapraszamy. Panowie rzadko tutaj zagląдают, a jedna kobieta... i dziewczynka... ale rzecz w tym...

– Nie możecie pozwolić zostać nam. Wiem o tym. – Gird ciężko westchnął. – Obaj wiemy, że wyjęto mnie spod prawa. Byłbym dla was kłopotem. Jeśli jednak zajmiecie się nimi...

– Zajmiemy.

– To już sobie pójdę, zanim narobię kłopotów.

– Powiesz nam, dokąd?

– Nie. Nie zataisz tego, czego nie wiesz. Jeśli Rahi przeżyje, będę do was zaglądał co jakiś czas.

Brat Mali pokiwał głową.

– Mogę dać wam trochę jedzenia.

– Zostaw je dla Raheli – obarczam cię dwiema gębami do wyżywienia, a może i trzema, jeżeli nie straci dziecka...

– Nie szkodzi. Radzi jesteśmy pomóc córkom Mali. Niechaj łaska Pani będzie z tobą.

Gird omal nie odpowiedział przekleństwem – jakiejże to łaski doczekał się od Pani przez te wszystkie lata? – Lecz powstrzymał się. Mężczyzna nie miał nic złego na myśli, a może i Pani również nie. Wymknęli się z Forim z zagrody, chyłkiem przemykając pod murami, aż znaleźli się między żywopłotami, oddzielającymi ich od pól Ognistego Dębu. Szli drogą porośniętą trawą – był pewny, że to ścieżka oraczy – do gęstego zagajnika, przypominającego mu lasy z jego dzieciństwa. Tutejszego nie przerzedził żaden pan; dęby i orzechowce dawały gęsty cień.

Czekał na nich Diamod z Pidim; reszta zniknęła. Gird i Fori brudnymi palcami zjedli kleistą pastę z namoczonych ziaren. Po raz pierwszy Gird poczuł się jak prawdziwy banita. Żadnego ogniska, schronienia, stołu ani łyżki – tylko nóż u pasa i narzędzia rolnicze, które ze sobą zabrał.



– Co teraz? – zapytał Diamod. – Co zamierzasz robić?

Gird spojrział na niego z ukosa.

– A co mi zostało, oprócz przeżycia i walki?

– Mówiłeś, że rozmyślałeś nad nauczaniem nas tego, co wiesz o żołnierce.

Gird wytarł lepkie palce w liście i skrzywił się, nie widząc rezultatu.

– Owszem, miałem kilka pomysłów. Lecz wasi ludzie – czy wszyscy byli rolnikami?

– Większość. Ja byłem drwalem. Jest z nami były kowal, któremu obcięto ramię za wykuwanie kling.

– Ale większość nawykła do rolniczych narzędzi, typu kosy, sierpy i szpadle?

– Owszem... ale czemu pytasz?

Gird przykucnął nad strugą, by obmyć ręce. Strząsnął z nich resztki wody i oparł się o drzewo. Goś uwierało go w plecy; przesunął się.

– Nie możecie walczyć z żołnierzami jako nieuzbrojony tłum – to już wiemy. Zbyt wielu do tego potrzeba – i zbyt wielu ginie. Musztra wam pomoże, jak również opracowanie planu, a nie atakowanie w gromadzie. Ale cała sprawa w broni. Nigdy nie zdobędziemy wystarczającej ilości mieczy, zwłaszcza kiedy tak dokładnie pilnują kowali. Zastanawiałem się nad przerobieniem na broń kos i sierpów, ale to również wymagałoby współpracy kowali, a potem szkolenia w używaniu ich. Sam ledwo co zacząłem naukę szermierki; nie jestem w tym dobry. – Urwał, by odchrząknąć. Diamod krzywił się, a teraz wzruszył ramionami.

– Więc? Nadal twierdzisz, że nie ma sposobu, żeby wieśniacy mogli się obronić?

– Nie. Twierdzę, że musimy korzystać z tego, co mamy. Z narzędzi

znanych ludziom, które mamy, bądź potrafimy sami wytworzyć. Musimy nauczyć się, jak nimi walczyć.

Diamod wyglądał na nie przekonanego.

– Uważasz, że byli rolnicy z łopatami mogą stawić czoła żołnierzom uzbrojonym w piki i miecze?

– Jeśli nie, to już po nas. Nie wiem, czy oni... my... możemy. Ale musimy spróbować.

– A ty nas nauczysz.

– Mam nadzieję. Jest coś jeszcze...

– Co?

– Luźny pomysł. Opowiem o nim później.

Diamod poprowadził Girda, Foriego i Pidiego przez las, rozciągający się pomiędzy Ognistym Dębem a kolejną wsią na wschodzie. Gird starał się zapamiętywać drogę, wkrótce jednak spostrzegł, że wszystkie drzewa, ścieżki i strumyki mieszają się mu w głowie. Noc spędzili w lesie, spożywszy kolejny zimny posiłek z namoczonych ziaren. Przez większość następnego dnia podążali wzdłuż strumienia i dotarli do polany, gdzie potok spływał z rykiem ze skalnego urwiska. U stóp wodospadu znajdowało się nieporządne obozowisko grupki mężczyzn.

Pośrodku obozu, wokół ogniska ułożono kamienny krąg – symbol ich nazwy – w rzeczywistości wykorzystywany do siedzenia. Szczupły, czarnowłosy mężczyzna, który okazał się tutejszym przywódcą, nie podniósł się z głazu na powitanie Diamoda i Girda.

– Więc to jest Gird z wioski Kelaive'a, co? – Mężczyzna wyglądał na znużonego i wygłodzonego, jak wszyscy dookoła. Diamod chciał coś powiedzieć, lecz tamten uciszył go machnięciem ręki. – Chcę wysłuchać

Girda.

Ten przyglądał się mu z niezdecydowaniem. Deprymowała go tak wielka liczba nieznanymi twarzami – wszystkich, z wyjątkiem Foriego i Pidiego.

Nie potrafił odczytać ich min, nie wiedział, skąd pochodzili, ani co zrobią.

– Opuszczasz przedtem swoją wieś? – zapytał delikatnie przywódca.

– Tylko raz, na jarmark oraz do Ognistego Dębu na oświadczyńny – odrzekł

Gird. Nawet głos tego mężczyzny dziwnie brzmiał Girdowi w uszach;

niektóre słowa miały obcą, nosową wymowę.

– W takim razie czujesz się jak zabłąkana owca między dzikimi kuzynami.

Znam to uczucie. Ognisty Dąb to twoja okolica – niedaleko i niemal

krewni. Diamod opowiedział nam o tobie: przez ostatnie lata przysyłałeś

nam zboże po tym, jak zabito twego przyjaciela...

– Amisa – dopowiedział Gird. Podanie imienia wydawało się mu ważne.

– A teraz uciekłeś, żeby do nas dołączyć. Dlaczego?

Gird opowiedział całą historię krótkimi, urywanymi zdaniami. Nikt mu nie

przerywał. Kiedy skończył, dyszał ciężko, a słuchacze wbili wzrok w

ziemię. Tylko czarnowłosa spojrzął mu w oczy.

– Banita – oto twój wybór. Po tym, jak powiedziałaś Diamodowi, że o tym nie myślisz...

– Wtedy mogłem prowadzić gospodarstwo – zauważył Gird. – Teraz...

– Tutaj nie da się orać – mężczyzna uczynił ręką krąg, obejmując gestem

otaczający ich las. – Jakież więc umiejętności nam przynosisz?

Gird pocił się; miał ochotę pobiec na oślep w las. Czego ten człowiek

chciał? Zamierzali udzielić mu schronienia, czy nie?

– Pomyślałem, że mógłbym zrobić to, o co poprzednio prosił mnie

Diamod: nauczyć was tego, co wiem o żołnierce.

Za jego plecami ktoś zachichotał. Ciemnowłosy uśmiechnął się.

– A co ty wiesz o żołnierce po życiu spędzonym na roli? Przyniosłeś nam miecze i nauczysz nas walczyć nimi? A może ta kosa, którą nosisz na plecach, zamieni się w pikę pod wpływem rzuconego przez ciebie zaklęcia? Diamod powiedział mi, że znalazł strażnika-renegata, który może nauczyć nas wojaczki, ale co to da bez broni?

Ton, jakim zadawano mu pytania, rozwścieczył Girda tak, że zapomniał o strachu.

– Bez umiejętności walki nie moglibyście używać broni, nawet gdybyście ją mieli. Po przeszkoleniu... możecie użyć jako broni wszystkiego, co wpadnie wam w ręce.

– Załóżmy, że poprowadzisz nas do bitwy z kijami, hę? – zapytał jeden z mężczyzn. Pozostali roześmiali się. – Dużo to da: patyk przeciwko mieczowi.

– Może dać – odparł Gird – jeśli będziesz miał wystarczająco dużo rozumu, by walczyć nim jak kijem, a nie próbować fechtunku. – Tym razem śmiech był cichszy; z wielu twarzy wyczytał zaciekawienie, ale i szyderstwo.

– Oczywiście – wtrącił czarnowłosy – na razie mamy tylko twoje słowo, że w ogóle potrafisz walczyć.

– To prawda. – Gird odprężył się. Wiedział, czym to się skończy. Chcieli przekonać się, kogo takiego sprowadził Diamod. Niemniej, to będzie ucziwa walka. – Chcecie zobaczyć jak walczę?

– Tak myślę. – Przywódca banitów potoczył wzrokiem po pozostałych. – Tak – tego właśnie chcemy. Pokaż nam coś.

– Najpierw niech zjedzą, Ivis – odezwał się inny mężczyzna. – Cały dzień

wędrowali.

– Żadnego prawa gościny – skrzywił się czarnowłosy. – Dopóki Gird nie udowodni, co sobą reprezentuje, nie udzielam prawa gościny.

– Żadnego prawa gościny – powtórzył Gird. Zaskoczyło go, że banici do tego stopnia przestrzegali powszechnych obyczajów. Posiłek składał się z namoczonych ziaren i zimnej papki z rozgotowanej fasoli. Rozglądając się po obozie, Gird dostrzegł tylko jedno palenisko i żadnego pieca.

Czarnowłosy przywódca odprężył się na tyle, by wyjaśnić.

– Panowie czasami polują w tych lasach, a ich gajowi korzystają z tej polany. Rozpalanie ogniska tutaj jest bezpieczniejsze, niż gdziekolwiek indziej w lesie – ludzie przywykli do widoku dymu z tego miejsca. Kiedyś zbudowaliśmy piec, ale rozwalili go, jak tylko znaleźli.

– Dokąd idziecie, kiedy przychodzą gajowi? – zapytał Gird.

– Tego dowiesz się po walce. Jeżeli przekonasz nas, że powinieneś zostać.

Gird posilił się nieco, wstał i przeciągnął. Pozostali dalej jedli, z wyjątkiem muskularnego mężczyzny, niewiele niższego od niego. Gird zerknął na czarnowłosego; tamten uśmiechnął się.

– Będziesz walczył z Cobem; to nasz najlepszy zapaśnik. Jako chłopak zwykł wygrywać w ten sposób korzenny chleb na jarmarkach. Pokaż nam, jak walczą żołnierze, tylko bez zabijania – jeśli okażesz się dobry, nie chcielibyśmy stracić ani ciebie, ani Coba.

– W porządku. – Gird widywał zawodników typu Coba, silnych i szybkich. Lecz sierżant nauczył swych rekrutów licznych sposobów walki wręcz, omawiając, który z nich jest najlepszy w starciu z jakim typem przeciwnika. Gird przyjrzał się, jak Cob przykucnął, po czym ruszył na niego płynnym, posuwistym krokiem i uśmiechnął się do siebie.

Choć doskonale wiedział, co zrobić, dawno nie korzystał z tej wiedzy. Złapał Coba za prawe ramię i wystawił nogę, lecz lekko się spóźnił i Cob wykręcił się tuż przed rzutem. Gird uniknął próby złapania go przez przeciwnika, ale stracił równowagę i zatoczył się. Cob rzucił się na niego i przewrócił na bok, po czym szybko zarzucił na niego nogę. Gird pamiętał ten chwyt: trzeba było przetoczyć się i szybko szarpnąć tutaj.

Nieoczekiwanie znalazł się na przeciwniku. Muskły leżącego pod nim mężczyzny były twarde i naprężone. Nie poddawał się. Nie czekając na jego reakcję, Gird gwałtownie odtoczył się wstecz, uwalniając go. Cob poderwał się i zaatakował. Tym razem Gird był gotowy. Złapał go za nadgarstek, okręcił się i przerzucił Coba przez ramię.

Mężczyzna legł na ziemi, mrugając w oszołomieniu. Gird usłyszał coś za plecami i odwrócił się w samą porę, by poradzić sobie z kolejnym atakiem.

Czarnowłosa przywódca zawołał:

– Triga, nie!

Gwałtowna szarża Trigi nie wymagała zbyt wielkich umiejętności. Gird wykorzystał pęd napastnika i cisnął nim w powietrze. Triga wylądował twardo na ziemi i przejechał kawałek, zanim się zatrzymał.

Leżący na ziemi Cob zagwizdał.

– Mógłbyś sporo zarobić na tym rzucie, Girdzie. Nauczysz mnie?

Gird spojrzał na ciemnowłosego.

– I jak?

– Cóż. Potrafisz walczyć – niewielu jest w stanie powalić Coba.

Przepraszam za Trigę, ale cieszę się, że nie miałeś z nim kłopotów.

Możemy wykorzystać te umiejętności.

– A inni?

Zapytany zmarszczył lekko brwi.

– Nie jestem jedynym przywódcą. Kamienny Krąg składa się z wielu kręgów i każdemu ktoś przewodzi. Musisz przekonać nas wszystkich, że jest to coś, czego potrzebujemy i możemy wykorzystać. Wciąż nie rozumiem, jak kije i szpadle pozwolą nam stawić opór żołnierzom z ostrą stalą.

Gird już chciał powiedzieć, że sam nie był tego pewny, zdał sobie jednak sprawę, że ci ludzie nie chcieli tego usłyszeć. Te wbite w niego spojrzenia wymagały pewności siebie i właściwej odpowiedzi. Jedyna odpowiedź, której był pewny, to musztra.

– Musicie zacząć od musztry – oznajmił. Wiedział, że usłyszeli w jego głosie pewność. – Musicie nauczyć się współdziałać, wspólnie poruszać. Pokażę wam.

– Teraz? – zapytał ktoś, zupełnie jakby nedorzecznością było zaczynać coś o tak późnej porze dnia.

– Wcześniej nie można było – odparł Gird, cytując stare porzekadło. Kilku mężczyzn roześmiało się, tym razem przyjaźnie.

– Zaczynaj ode mnie – zaoferował czarnowłosy mężczyzna. – Jestem Ivis. – Wstał, a reszta poszła jego śladem. Cob, wesoły pomimo powalenia, podniósł się z ziemi i wyciągnął rękę do Trigi.

Gird wziął głęboki wdech, próbując przypomnieć sobie minę sierżanta.

– Po pierwsze, stańcie tutaj w rzędzie. – Palcem stopy wyrysował linię na ziemi. – Ty też, Fori. Chodź. Pidi, ty nie wchodź nam w drogę. Dwie dłonie ludzi tutaj, a dwie za nimi, w odległości ramienia. – Dawało to dwa rzędy po dziesięciu mężczyzn.

Kiedy pierwsza dziesiątka ustawiła się mniej więcej zgodnie z linią, którą

narysował, przyjrzał się im dokładnie. Stali niedbale i nierówno, przygarbieni, z wysuniętymi do przodu głowami i ugiętymi kolanami. Triga drapał się po łokciu. Z tyłu było jeszcze gorzej: wzięli odległość ramienia dosłownie i niżsi stali bliżej pierwszego rzędu niż wyżsi. Będzie trudniej, niż się spodziewał. Jego przyjaciele z dzieciństwa przynajmniej rwali się do zabawy w żołnierzy.

– Stójcie prosto – polecił. – Jak żołnierze, których widzieliście. Głowy do góry... – Jeden z mężczyzn zatoczył się, zbyt wysoko zadzierając głowę. Ktoś zachichotał. Ivis warknął na nich i uspokoili się. Girdowi nie podobały się ich miny – nie brali tego na poważnie. Tylko Fori, Cob i Ivis sprawiali wrażenie, że się starali. – Wy trzej – rzucił, wskazując na nich. – Stańcie razem pośrodku. Reszta – popatrzcie na nich, jak stoją. Tego mi właśnie trzeba. Stopy razem, palce lekko z przodu. Ręce wzdłuż boków. Wy tam, z tyłu, ustawcie się równo... – Powoli utworzyli coś bardziej przypominającego wojskowy szyk. Ciekawe, czy na początku sam tak wyglądał, zadumał się Gird. Może to wszystko, na co było ich teraz stać. – Teraz musicie nauczyć się maszerować. – Obrzucił ich ciężkim spojrzeniem, sprawdzając, czy ktoś ośmielił się roześmiać. Nikt się nie odważył, ale na paru twarzach dostrzegł drwiące uśmiešky. Jego stary sierżant miałby coś do powiedzenia na ten temat, ale nigdy nie miał do czynienia z banitami. – Wszyscy musicie zacząć z tej samej nogi... – Jak w tańcu? – zapytał Cob. Gird znieruchomiał, zaskoczony. Nigdy nie myślał o musztrze jako o tańcach, lecz wszystkie one wymagały od mężczyzn, by zaczynali tą samą nogą, w przeciwnym bowiem razie potykałoby się o siebie nawzajem. Przypomniał sobie, jak tyle razy rozpoczynał taniec żniwiarzy. Złą nogą.



– Jak w tańcu – odparł w końcu – ale z drugiej nogi. Tej, od której zaczynamy taniec żniwiarzy. – Na pewno wszyscy tańczyli go tak samo. – Pomyślcie o tańcu, a potem zacznijcie z drugiej nogi. – Powoli, nierówno, noga za nogą ruszyli przed siebie. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch. Ci spojrzeli w dół, spostrzegli pomyłkę i zmienili nogę. – I teraz znowu jeden krok do przodu. – Dwuszereg zbliżył się do niego, nierówno i bez dwóch kroków tej samej długości. Gird poczuł przyływ współczucia dla swojego sierżanta. Czy to było takie trudne? – Wyrównać linie – polecił.

Musztrował ich, dopóki nie ochrypl. Do tego czasu zdążyli nauczyć się rozchodzenia i zbiórki w niemal równym dwuszeregu oraz rozpoczynania marszu z tej samej nogi. Kiedy jednak szli przed siebie, nierówne kroki szybko łamały linię. Był pewny, że potrafili równo tańczyć, trzymając się za ramiona, ale nie mogliby w ten sposób walczyć. Powiedział im to, jak również parę innych rzeczy, przypominając sobie używane przez sierżanta słowa.

Byli gotowi położyć się i zjeść skąpy posiłek, lecz Gird pamiętał więcej, niż tylko przekleństwa dowódcy.

– Musimy nauczyć się utrzymywania czystości – powiedział.

– Czystości! – Triga często się krzywił; teraz otwarcie drwił. – Nie jesteśmy panami w pałacu. Jak możemy być czysti... i czemu niby powinniśmy?

– Żołnierze utrzymują czystość, a ich broń lśni. Pierwsze dni w straży spędziłem na szorowaniu podłóg, zmywaniu i noszeniu wiader z wodą. Po pierwsze, to pomaga pozostać zdrowym – wszyscy doskonale o tym wiecie – i chroni przed gorączką. Po drugie, jesteście pewni, że wasz ekwipunek będzie działał. Broń o brudnej klindze nie jest dobra. Po

trzenie, śmierdzą wystarczająco paskudnie, żeby zdradzić leśnikom, że ukrywa się tutaj jakiś biedak; po musztrze nie pachniecie lepiej. Chcecie, żeby wytropiły nas psy? Jest wystarczająco ciepło – wszyscy powinniśmy wziąć kąpiel.

Wzdychając, Ivis i Cob podźwignęli się z ziemi, a pozostali poszli za ich przykładem. Gird poprowadził ich do wodospadu. Jak już dobrze namokli, mężczyźni poweselali i zaczęli żartować, ochlapując się nawzajem wodą. Pidi znalazł pęk mydłokorzenia i pociął go na kawałki. Wkrótce strumieniem spłynęły płachty piany.

Po zmyciu z siebie brudu i potu ostatnich dni, Gird uprał ubranie.

Zauważył, że plamy od krwi Parina i Rahi wysychając przybrały żółtawo-brązowy kolor. Reszta mężczyzn przyglądała się mu z zaciekawieniem; paru przyniosło własne rzeczy i wrzuciło je do wody. Gird uśmiechnął się, widząc, jak rozwieszali je do wyschnięcia na krzakach, tak samo jak on.

Diamod przyniósł mu garść liści.

– Proszę – natrzyj się nimi. Odstrasza muchy. W przeciwnym razie zjedzą cię żywcem, zanim wyschnie ci ubranie.

– Powinienem uprać je od razu – teraz już się zmierzcha. Na szczęście mam zapasową koszulę.

– Większość z nich nie.

Lecz nawet w brudnych ubraniach mniej cuchnęli i zachowywali się pewniej. Gird, ubrany w samą, łaskoczącą go w kolana koszulę, zasugerował kolejną zmianę w ich zwyczajach.

– Czemu nie upiec placka na jednym z tych kamieni? Może nie będzie to chleb, ale przynajmniej coś ciepłego i wypieczonego...

– Gdybyśmy mieli miód, upieklibyśmy sobie nawet miodowe ciasteczka,

ale mamy tylko ziarno – burknął Triga. Gird zaczął go naprawdę nie lubić.  
– W lesie zawsze można znaleźć pszczoły – zauważył lakonicznie. – Oraz  
żądła, jeśli już o tym mowa.

– Żaden z nas nie umie przygotować ciasta, Girdzie – przyznał Ivis. – Nie  
mamy młyna, ani mąki. Potrafimy tylko rozgniatać ziarno i zamaczać je...  
Naucz nas, jeśli umiesz więcej.

Gird pomyślał o pozostawionych żarnach, ale nie mógłby równocześnie  
nieść kamieni i Rahi. Przyjrzał się głazom, których używali do siedzenia i  
znalazł jeden z lekkim wklęsnięciem. Potem udał się nad potok w  
poszukiwaniu odpowiednich kamieni. Reszta obserwowała go, jakby był  
egzotycznym zwierzęciem, jakimś dziwowiskiem. Ale domowe żarna  
składały się z tego samego: wklęsłego leżaka i obracającego się nad nim  
bieguna. Niektórzy używali płaskiego leżaka; wtedy biegun był szerszy.  
Potrzebował twardego, ziarnistego kamienia. Wybrał kilka i przejechał  
palcem po ich powierzchni. Tak.

Kiedy wrócił, Ivis czekał już z workiem ziarna. Gird zastanawiał się, czy  
to aby nie on uprawiał to zboże, ale może ktoś inny je podarował.

Nieważne. Zacerpnął garstkę i wysypał ziarno na głaz, po czym roztarł  
kamieniem. Ani leżak, ani biegun nie miały właściwego kształtu i na w pół  
zmielone ziarno próbowało uciec przed naciskiem i spaść na ziemię.

Pracował niespiesznie, ignorując otaczających go mężczyzn i palcem  
wpychając mączkę z powrotem pod kamień. Uważał, żeby nie oblizywać  
palców, jak zrobiłby to w domu. Byli tak chudzi, że musieli ściśle  
przestrzegać głodowych praw: całą żywność rozdzielano równo.

Po zmieleniu pierwszej garści na średniej grubości mąkę, zmiotł ją do  
przyniesionej przez Ivisa drewnianej miski. Nie wystarczyłoby na chleb

dla wszystkich, niemniej, miał okazję sprawdzić pamięć. Cob podał mu grudę łożu, on sam zaś sięgnął po szczyptę soli z woreczka, który przyniósł ze sobą. Mąka, woda, tłuszcz, sól – brakowało paru składników, z którymi lubił placki, lecz i tak lepsze to od samej mąki z wodą. Rozmieszał składniki w drewnianej misce. Zapłonął ogień. Pidi obmiótł najbardziej płaskie z kamieni przy palenisku. Łój uparcie pozostawał zwartą grudą i Gird przypomniał sobie, że powinien go rozgrzać. Nadział tłuszcz na zieloną gałązkę i przytrzymał nad płomieniami, łapiąc krople do miseczki. W końcu roztopił się, a on szybko zmieszał go z ciastem. Dotknął kamienia i przypomniał sobie, że powinien posmarować go tłuszczem. Patyk był wciąż tłusty od łożu; przeciągnął wzdłuż niego palcami i rozsmarował tłuszcz na kamieniu. Kamień był gorący, ale czy wystarczająco? Wylał rzadkie ciasto. Ścięło się niemal natychmiast, skwiercząc na skraju. Wystarczająco. Zamachami ramion kierował rozgrzane powietrze nad placek, by upiec górną część. Mali umiała podrzucić placek i obrócić go, lecz kiedy on raz tego spróbował, ciasto wylądowało w ogniu.

Od zapachu ślina napłynęła mu do ust, a w brzuchu zaburczało. Podniósł głowę i na otaczających go twarzach dostrzegł głodny wyraz.. Górna część była już sztywna i pociemniała. Miał nadzieję, że wystarczająco nasmarował kamień. Wsunął gałązkę i podważył placek. Następnie wziął go w palce i podał Ivisowi. Przywódca połamał go na kawałki – po jednym dla każdego – i poczęstunek zniknął. O ile jednak umiejętnościami walki wzbudził szacunek, ten pokaz naprawdę ich zainteresował.

– Myślałem, że byłeś rolnikiem, a nie kucharzem – zauważył Ivis.

– Przez ostatnie lata moja żona często chorowała. – Gird wskazał na

miskę. – Czy mogę oddać resztę synowi?

Ivis pokiwał głową.

– Oczywiście. To uczciwe – on nie dostał placka. – Pidi uśmiechnął się i do czysta wylizał miskę. – Powiedz nam jednak: czego potrzebujemy?

Gird zastanawiał się przez chwilę.

– Żaren – możemy używać tych, ale nie zabierzemy ich, jeżeli przyjdą tutaj gajowi. Możemy jednak schować żarna w innym miejscu, o ile takowe macie.

– Tam, skąd pochodzę, wszyscy musieliśmy korzystać z pańskiego młyna – powiedział I vis.

Gird wzruszył ramionami.

– My również mieliśmy taki obowiązek, niemniej, większość z nas trzymała żarna w domu. Zawsze tak było. Pański młyn znajdował się dzień drogi od nas – nie mieliśmy czasu na taką wyprawę. A jak już tam poszedłeś, musiałeś czekać, dopóki nie zmielą zboża innych, a potem mogłeś dostać mąkę nie z tego, co zaniósłeś. Tak czy owak, musimy zdobyć żarna. Problem w czasie. Nie będziemy jeść chleba codziennie. Poza tym, potrzebujemy łoju i odrobiny miodu. Sól... przyniosłem trochę własnej, ale będziemy potrzebować więcej...

– W dole strumienia jest lizawka – oznajmił Cob. – Pokażę ci.

– A gdybyśmy chcieli upiec prawdziwy chleb, musimy zdobyć zaczyn.

Miewacie mleko?

– Wydaje ci się, że mieszkamy w miasteczku targowym, gdzie można kupić, co tylko się chce? – zapytał Triga.

Sądząc po tonie odpowiedzi, inni byli równie znużeni utyskiwaniem Trigi, co Gird. Ten ostatni odczekał, aż reszta ucichnie, po czym odpowiedział:

– Nie, ale wydaje mi się, że nie jesteś taki głupi, jak się zachowujesz. – Cob wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zgodnie z przewidywaniem Triga skrzywił się. Gird odwrócił się do Ivisa. – Jak długo tutaj żyjesz?

– Ja? Dłóż lat – pięć długich zim. Artha jest tutaj dłużej, lecz większość nie zostaje na tak długo. Przenoszą się, albo giną.

– Nieźle wyglądasz, jak na samą fasolę i ziarno.

– Latem mamy więcej. Zbieramy zioła, trochę polujemy, a raz w roku okradamy ule – nikt nie chce robić tego częściej przez te użądlenia, których ofiarą padamy. Czasami dostajemy mleko, kiedy odważamy się zapuścić w pobliże gospodarstw. Nie wszyscy, oczywiście. Mleko, ser, wymieniamy miód i zioła na ubrania...

W rzeczy samej, z ubraniami było najtrudniej. Gird nie dziwił się temu, pamiętając długie godziny, spędzane przez matkę przy warsztacie tkackim i cenę każdej beli materiału. Dzielenie się żywnością to jedno, ale oddawanie komuś wyrobów, powstałych dzięki osobistym umiejętnościom to coś zupełnie innego. Banici nauczyli się obrabiać skóry upolowanych zwierząt – „wkładamy je do pniaka zbutwiałego dębu i zalewamy wodą” – lecz wyprawienie dobrej skóry wymagało czegoś więcej. Wiele skór butwiało lub sztywniało tak, że nie nadawały się do noszenia.

Słuchając Ivisa i Coba i rozważając wszystkie potrzeby ich grupy, przypomniał sobie słowa sierżanta o doniosłości zaopatrzenia. Żołnierze nie uprawiali zbóż, nie hodowali bydła, ani nie budowali sobie koszar – musieli przecież mieć czas na ćwiczenie umiejętności bojowych. Ale ci ludzie musieli robić to sami. Czy podolają temu, ucząc się jednocześnie wojaczki?

## Rozdział 10

Następnego ranka Gird przekonał się, że pozostali oczekiwali od niego przewodnictwa nie tylko w kwestii wojskowego przeszkolenia.

– Ćwiczmy musztrę przed czy po śniadaniu? – zapytał Ivis.

– Po – zdecydował Gird, chcąc dać sobie trochę czasu. Ubrania wciąż były wilgotne; wywrócił je na drugą stronę w nadziei, że wysuszy je poranne słońce. Potem przyjrzał się drzewom i uświadomił sobie, że minie wiele czasu, nim słoneczne promienie dotrą na polanę. Na śniadanie znowu była papka z namoczonych ziaren. Gird miał już jej dosyć. Uznał, że zepsuły go żona i córka z talentem gotowania i zielarstwa. Podczas jedzenia Pidi oparł się o niego i Gird objął go ramieniem. Żałował, że nie mógł zostawić chłopaka u brata Mali – był naprawdę za młody na to wszystko. Fori siedział z drugiej strony Girda, uważając, żeby się nie garbić, lecz ewidentnie niespokojny w otoczeniu tylu obcych.

– Masz jakiś plan poza szkoleniem nas? – zapytał Cob. Gird zerknął na Ivisa, który sprawiał wrażenie zainteresowanego, lecz bez wrogości.

– Kiedy Diamod po raz pierwszy przybył do mojej wsi – odrzekł Gird – chciał nauczyć się walczyć. Chciał, żebym nauczył tego was wszystkich. Zdawało mi się, że wspominał wówczas, iż to wy macie jakiś plan – niezależnie od tego, kim są wasi przywódcy.

– Próbowaliśmy różnych rzeczy – powiedział Ivis. – My oraz inne grupy – wiem, że oni także. Jedni zdobyli magazyn straży i spalili go, ale przyszło więcej strażników. Wzięli więźniów i wymordowali ich. Inni napadli na paru kupców, ale to... nie chcemy być bandytami. Nie po to tutaj jesteśmy.

– A po co?

Diamod włączył się do dyskusji.

– Mamy być przyjaciółmi rolników... uwolnić ich jakoś od panów...

– Nigdy do tego nie dojdzie! – Triga tupnął nogą dla podkreślenia swych słów. – Zawsze będą panowie i chłopci. Jeśli jednak dzięki nam zrozumieją, że muszą być sprawiedliwi...

– To właśnie nigdy nie nastąpi! – Cob tupnął obiema nogami. –

Sprawiedliwi panowie – faktycznie! Nawet nie wiedzieliby, jak to zrobić, ani po co? Nie, jak długo panowie będą nad nami, zrobią wszystko, żeby nas pognębić i wycisnąć, co się da. Czy farmer zostawia owcy połowę runa, albo hoduje krowę, której nie doi?

– Dobry rolnik dba o swój inwentarz – mruknął inny. Gird rozpoznał stary argument, wygodny dla wszystkich. Znał również wszystkie za i przeciw, gdyż słyszał je we własnej wsi. Odchrząknął; ku jego zdumieniu wszyscy natychmiast zamilkli i spojrzeli na niego.

– Nie macie planu – powiedział, jakby głośno myśląc. – Jeden chce uczyć panów, jak powinni rządzić, a inny chce położyć kres ich panowaniu. Przypuszczam, że część z was najchętniej odeszłaby, by żyć w spokoju gdzieś daleko stąd.

– Zgadza się... – odpowiedziało mu kilka głosów.

– Kiedyś uważałem – ciągnął Gird – że najlepiej jest ciężko pracować i żyć w zgodzie z pańskimi prawami. Jeżeli człowiek będzie wystarczająco ciężko i uczciwie pracował, wszystko dobrze się skończy. Tego nauczył mnie ojciec – i za każdym razem, gdy postępowałem inaczej, wszyscy przez to cierpieliśmy. Postanowiłem posłuchać jego rady i ufać, że miał rację. Ale myliłem się. – Przerwał i rozejrzał się dokoła. Pidi drżał lekko pod jego ramieniem; Fori miał zaciętą minę. Reszta patrzyła na niego bez



ruchu. – Opowiedziałem wam trochę... o mojej córce i jej mężu... ale nie o wszystkim, co mnie tutaj sprowadziło. Wszystko zaczęło się dużo wcześniej i przez lata zbudowałem mur z kamieni, które przelykałem – kamieni gniewu i żalu. Mur pozwalał mi zachować spokój i poczucie bezpieczeństwa... ale to nie zadziałało. – Przeczesał palcami rzedniejące włosy i podrapał się po brodzie. – Nie wiem, czy są jakieś sprawiedliwe prawa, ale prawa, które nakładają na nas panowie, nie są sprawiedliwe i żaden człowiek nie może pod nimi bezpiecznie żyć. Nie wiem, czy wszyscy panowie są tacy sami, ale część z nich – na przykład Kelaive – jest nie tylko chciwa, lecz także okrutna. Lubią krzywdzić ludzi i patrzeć, jak cierpią. Tacy ludzie nie potrafią rządzić mądrze, ani sprawiedliwie. – Wziął głęboki wdech, uściśnął Pidiego i delikatnie odsunął go od siebie. Nie mógł powiedzieć tego, co zamierzał, ściskając najmłodsze dziecko. – Zburzyłem ten mur – oznajmił. – Tymi kamieniami... tymi kamieniami będę ciskał w naszych wrogów. Kamieniami, które przyniosłem do tego kręgu... ponieważ sama Pani nie ześle nam pokoju, jeżeli nie przegnamy obcych panów, którzy nami rządzą.

– Ale nie poradzimy sobie – oponował Triga. – Jest nas za mało...

– Tu i teraz – tak: jest nas za mało. Lecz rolników jest więcej niż panów i służących jest więcej niż panów. Przyłącza się do was niewielu – tak, jak i ja nie chciałem – ponieważ oni również uważają, że jest was za mało. Nie chcą większych kłopotów, niż mają. Ale przyjdą, jeżeli osiągniemy jakiś sukces. Jestem tego pewny.

– Tak! – Cob znowu tupnął. – Tak, masz rację. Gird ma rację – obwieścił innym. Większość z uśmiechem kiwała głowami; najwyraźniej zadowolilo ich to, co usłyszeli. A Gird, ponownie przytulając Pidiego, zastanawiał się,

czy uda się mu przeprowadzić to, co według nich właśnie im obiecał.

Poważne planowanie rozpoczęło się po krótkim przypomnieniu wczorajszej musztry. Uznał, że polana była naprawdę za mała i zbyt zaśmiecona do prawdziwych ćwiczeń. Jego dwuszereg z dwóch dziesiątek nie mógł zrobić pięciu kroków, żeby ktoś nie wpadł, albo nie musiał obchodzić jakiejś kłody czy kamienia. A korzystając z hałasu, jaki robili przy maszerowaniu, oddział konnicy mógłby spaść na nich, zanim ktokolwiek by ich zauważył.

– Czy ktoś wypatruje gajowych? – zapytał Ivisa.

– Zwykle jeden idzie w dół strumienia, a drugi w górę – Ivis podrapał się po brodzie i rozejrzał z namysłem. – Używamy uderzeń kamieni jako sygnałów. Ale dzisiaj wszyscy chcieli posłuchać, co masz do powiedzenia.

– Innymi słowy, pomyślał Gird, nie wystawili warty wtedy, kiedy zagrożenie było największe. Trzeba to zmienić.

– A w nocy?

– Nie, nikt nie oddała się nocą. Leśnicy nie podróżują nocą.

– Ale... – Zastanawiał się, jak daleko się posunąć. Czy Ivis będzie zły? Trzeba było to powiedzieć. – Nocą możecie zobaczyć blask ich ogniska, wyczuć zapach dymu albo kolacji – zostalibyście ostrzeżeni.

– Tak przypuszczam. – Ivis nie sprawiał wrażenia chętnego do wałęsania się nocą po lesie. Gird doskonale go rozumiał. Za to Diamod chyba lubił podkraść się nocą do wsi – może on by zechciał. Zerknął na niego, a ten uśmiechnął się szeroko. Wciąż nie rozumiał Diamoda i zastanawiał się, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Pozostali zdawali się czuć to samo, co on – co czułby, gdyby opuścił dom w innych okolicznościach, przypomniał sobie. Byli tutaj, ponieważ musieli być. Ale wyglądało na to,

że Diament dobrze się bawił.

– Ktoś powinien pójść na zwiad i upewnić się, że nie nadchodzą gajowi – oznajmił Ivisowi. Ten skinął głową, ale nic nie uczynił. – Kogo wyślesz? – naciskał Gird.

– Ja? Ale przecież ty...

– Chcesz, żebym przejął dowodzenie? To właśnie próbujesz powiedzieć? Przez dłuższą chwilę Ivis siedział w milczeniu z poważną miną. Potem spojrzał Girdowi w oczy.

– Nie dokonałem zbyt wiele – powiedział. – Po prostu... po prostu starałem się utrzymać ich razem... rozmawiałem z rolnikami o żywności... ale nie czuję się dowódcą. Nigdy tak nie uważałem. Słuchali mnie od śmierci Ruala, lecz nigdy tego nie chciałem. Przyzwyczaili się do mnie, ale ty będziesz lepszy.

– O czymś takim nie powinniśmy decydować sami – uznał Gird. – Powinni mieć coś do powiedzenia, jeżeli ma być sprawiedliwie, a dowodzenie skuteczne.

– Triga będzie się sprzeciwiał – zauważył Ivis. Gird wzruszył ramionami.

– A niech się sprzeciwia. Nie zrobi nic więcej; nie spodobało mu się lądowanie na ziemi. – Rozejrzał się po banitach, odpoczywających na polanie w pozach wskazujących na to, że bardzo chcieli podsłuchać prywatną rozmowę, udając jednocześnie, że wcale nie słuchali. –

Rozmawialiśmy z Ivisem – zaczął, nie podnosząc głosu. Podeszli bliżej. – Zapytał mnie, czy chcę zostać dowódcą.

– Ty! Nawet cię nie znamy – rzucił Triga. Przewidywalny, pomyślał Gird. Był taki przewidywalny.

– Cisza; posprzeczamy się później – uciął ostro i Triga natychmiast umilkł.

Reszta słuchała z uwagą, nie wiedział tylko, czy zgodzą się, czy też nie. –

Ivisie: czy powiesz im to, co mnie?

Ivis przełknął ślinę i powtórzył im większość tego, co jemu.

– Myślę, że będzie dobrym przywódcą – zakończył. – Jest silny i ma plan.

I zna się nie tylko na wojaczce. Pójdę za nim.

– I ja – przyłączył się szybko Cob, obdarzając Girda szerokim uśmiechem.

– Chcę nauczyć się tak walczyć.

– Tak – powiedzieli inni. – Chcemy mieć Girda.

Triga milczał uparcie, dopóki wszyscy nie wyrazili zdania. Patrzyli na niego, a on poczerwieniał.

– No dalej, Triga – zawołał Cob. – Dobrze wiesz, że tego chcesz... gdyby nie ten twój upór.

– A co, jeśli to szpieg? – zapytał Triga. – Skąd mamy wiedzieć, że to nie strażnik w przebraniu?

– Nie jestem taki głupi! – Diamod spiorunował go wzrokiem. – Byłem w jego wiosce i poznałem jego przyjaciół. Dużo mi opowiedzieli... –

Obrzucił Girda przeciągłym, taksującym spojrzeniem. – Sporo o jego przeszłości. Wszyscy nie mogli kłamać. Jest wieśniakiem i synem wieśniaka, a jeżeli sądzisz inaczej, to możesz omówić to ze mną. Na noże.

– Wystarczy – uciął Gird. – Jeżeli mamy prowadzić wojnę, nie możemy przelewać naszej krwi w tak nieistotnych sprzeczkach. Triga, uważasz, że Diamod kłamie?

– Nie. – To było bardzo nadąsane „nie”.

– Uważasz, że ja kłamię? Nie mogę mieć w armii nikogo, kto uważa mnie za kłamcę. – Czuł się śmiesznie, przemawiając o armii, kiedy dysponował dwudziestką obszarpanych i wygłodzonych mężczyzn oraz jednym

chłopcem, zauważył jednak, jak wszyscy wyprostowali się bezwiednie. Skoro słowo „tchórz” sprawiało, że ludzie cofali się i garbili, może „armia” było słowem, które wyprostuje im karki i przyda trochę dumy. Wyraz twarzy Trigi zmienił się, gdy uświadomił sobie, że może zostać wykluczony z grupy. Strach walczył z gniewem; strach wygrał.

– Nie, nie uważam, że kłamiesz – powiedział mniej ponuro, za to z pewnym zaniepokojeniem.

– Reszta uznała mnie za przywódcę – a ty? – Nie spuszczał wzroku z Trigi; wyczuwał toczącą się w nim walkę.

– Ja też. Tak przypuszczam... Na jakiś czas. Potem zobaczymy. – Cob i Diamod wyglądali na złych, ale Gird potrząsnął głową.

– Uczciwie. Nie ufasz mi całkowicie, ale chcesz dać szansę. –

Zaskoczonemu Tridze opadła szczeka; szykował się na kłótnię. Gird potoczył wzrokiem po pozostałych. – Powiedziałem Ivisowi, że nie przejmę dowództwa wyłącznie na podstawie jego słowa. Wszyscy dokonaliście wyboru, do którego mieliście prawo... i dziękuję Tridze za obdarzenie mnie zaufaniem. Żaden z nas nie może zrobić więcej.

Na twarzach siedzących malowały się różne odczucia: od zagubienia po satysfakcję. Triga milczał, sprawiając wrażenie, jakby zmagał się z nową ideą.

– Musimy wysłać obserwatorów, by dali nam znać, gdyby ktoś się zbliżał. Ivis mówił, że zwykle wystawialiście dwóch wartowników; ja wolałbym wysłać czterech – dwóch z was oraz mojego syna Pidiego i bratanka Foriego. Muszą poznać las.

– Teraz moja kolej – odezwał się Ivis. – I Kelina... – Kelin był szczupłym brunetem z jednym ramieniem wyżej od drugiego. Nie kuśtykał, ale krok

miął nierówny. Gird pokiwał głową.

– Pidi zna wiele użytecznych ziół – powiedział. – Nauczyła go moja córka. Kelin uśmiechnął się.

– To niech idzie ze mną: ja znam tylko firletkę i parzelnicę. Tej ostatniej czasami nie zauważam tak długo, aż już wszędzie mnie swędzi.

– Trzy podwójne uderzenia – zapowiedział Ivis, kiedy odchodzili. – To sygnał niebezpieczeństwa. Przekazujecie go dalej, a potem wynosicie się stąd. Cob zna drogę.

Po ich odejściu Gird zbadał polanę. Skoro musieli pozostawić ją w nienaruszonym stanie, żeby leśnicy nie zorientowali się, że ktoś tutaj był, nie mógł poprzesuwać kłód i gładów do siedzenia tak, żeby otrzymać więcej przestrzeni do ćwiczeń. Naprawdę potrzebowali miejsca na obóz, którego gajowi nie używali. To może zamienić się w pułapkę, szczególnie, kiedy jego ludzie zaczną skutecznie nękać panów. Czego więc potrzebował w nowym obozie? Rozmyślał nad tym, krążąc po polanie, mierząc odległości i nasłuchując trzasków kamieni.

Woda. Porządny odpływ i miejsce na kloaki, które każe im wykopać – dobiegający zza trzech cedrów obrzydliwy smród był aż nadto oczywisty. Płaski teren do musztry, ale otoczony drzewami dla osłony. Przydałaby się jaskinia – schronienie przed niepogodą i miejsce na zapasy prowiantu i ekwipunek. A skoro już o tym mowa, to czemuż nie kuźnia z wykwalifikowanym kowalem? Przypomniawszy sobie, że Diamod wspomniawszy, iż jeden z mężczyzn był kowalem, jednorękiem... tam stał. Miał dziwne, kowalskie imię: Ketik.

– Ketiku...

– Tak? – Miał chrapliwy głos i stał lekko przechylony na jedną stronę,

jakby brakowało mu ciężaru ramienia. Kikut był brzydki – purpurowy i pobliźniony. Nie nosił koszuli, tylko skórzaną kamizelę bez rękawów.

– Gdybyśmy znaleźli inne miejsce na obóz, czego potrzebowalibyśmy do wybudowania kuźni?

Ketik wbił w niego spojrzenie jasnoblękitnych oczu.

– Kuźnia? Nie widzisz tego ramienia? Nie jestem już kowalem.

– A nie mógłbyś wziąć sobie ucznia, gdybyśmy mieli wszystko, co trzeba? Nauczyć kogoś?

Ketik prychnął, na poły rozbawiony, na poły zły.

– Nauczysz kogoś wymachiwać kosą, opowiadając mu o tym? Nie musiałbyś mu pokazać? Myślisz, że kowalstwo jest prostsze?

– Wcale nie jest proste – odparł cicho Gird. – To wielka tajemnica. Nasza wieś w ogóle nie miała kowala. Dzieliliśmy go z Płyciznami. Ale będziemy potrzebowali kowala...

– Nie wszyscy kowale wykuwają broń – dodał Ketik.

– Wiem. To, o czym myślę, nie wymaga płatnerza. Ale musielibyśmy mieć własną kuźnię.

– Dobre palenisko – rzucił gwałtownie Ketik. – Paliwo – najlepsze są ogniste dęby. Kogoś do wypalania węgla drzewnego, ponieważ od czasu do czasu trzeba będzie wytapiać rudę. Skóra na miechy i to nie te gnijące, sztywne płachty, które ci idioci moczą w starych pniakach drzew.

Prawdziwa skóra, odpowiednio wygarbowana. Narzędzia, co oznacza żelazo: rudę albo żelazo w grudach od wytapiacza. Oba są nielegalne. Kowadło. Miejsce z dostępem do wody oraz sposób na zamaskowanie słupa dymu. Zadowolony?

– I tak będziemy musieli się przenieść – powiedział Gird. – Równie dobrze

możemy poszukać tego, czego nam potrzeba.

– Potrzeba nam boskiego błogosławieństwa i garści cudów – orzekł Ketik. Sprawiał wrażenie mniej zirytowanego, jak gdyby ambicja Girda trochę go uspokoiła.

– Masz rację – odrzekł Gird. – Jednak mimo tego, że potrzebujemy błogosławieństwa Alyanyi dla żniw, nadal musimy orać, siać, pielnić i kosić.

Ketik zaśmiał się głośno.

– Cóż, może jednak okażesz się przywódcą, jakiego nam trzeba. Nigdy nie słyszałem o jednorękim kowalu uczącym kowalstwa, ale nie słyszałem również o rolniku uczącym żołnierki.

Podczas rozmowy podszedł do nich Triga.

– Zeszłej jesieni mówiłem im, że powinniśmy poszukać nowego obozowiska – oznajmił.

Gird pokiwał głową, ignorując urażony ton.

– Znalazłeś jakieś miejsce, które według ciebie byłoby dobre?

– Ja? – Triga wyglądał na zdziwionego. – Nie posłuchaliby mnie.

– Jeśli znasz takie miejsce...

– Znam jedno, ale może okazać się, że nie tego szukasz.

– Jak daleko stąd?

– Pół dnia marszu, może nieco dłużej. – Wskazał na drugą stronę potoku. – Na wschód. Jest podmokłe; gajowi nigdy tam nie chodzą.

Gird otworzył usta, by powiedzieć, że mokradła to ostatnia rzecz, jakiej potrzebują, ale zaraz je zamknął. Skoro Triga postanowił okazać się pomocny, czemu go zniechęcać?

Myślę, że będziemy potrzebować więcej, niż jednego miejsca, niemniej, to



brzmi dobrze. Gdyby nas ścigano...

Pomyślałem, że bylibyśmy tam jak za fosą – dodał Triga.

O ile będziemy dysponować mostem... niewidocznym dla innych.

Girdzie, jeśli chodzi o ziarno – czy chcesz, żebyśmy zmielili dzisiaj więcej? – To był Herf; podsycił ogień, kiedy Gird się obudził. Triga zrobił ponurą minę i otworzył usta, ale Gird pokręcił głową.

Trigo, jutro albo pojutrze z przyjemnością rzucę okiem na to bagno. Teraz jednak najważniejsze jest ziarno.

Mógłbym pójść poszukać przejścia przez mokradła – zaproponował Triga.

Dobry pomysł. – Gird nigdy nie widział bagna i nie miał pojęcia, jak mogło wyglądać. Było płaskie? Pochyłe? Miało jakieś suche wzniesienia? – Gdybyś znalazł tam jakieś suche miejsce – dodał powoli – niczym zamek otoczony fosą... ?

Poszukam. – Jak na niego, Triga zrobił wręcz radosną minę i począpał wzdłuż strumienia. W pewnej chwili nawet odwrócił się i pomachał do niego. Gird potrząsnął głową i wrócił do Herfa.

Ile mamy ziarna?

Kiedy Herf pokazał mu skąpe zapasy żywności i sposób, w jaki były przechowywane, Gird z trudem mógł uwierzyć, że banda banitów dawno nie umarła z głodu. Worki z ziarnem i fasolą leżały na wilgotnych kamieniach pod daszkiem z młodych cedrów, związanych czubkami. Gird szturchnął spód worka i wyczuł wielką mówiącą twardość zgniłego ziarna, zbitego w jednolitą masę. Fasola zaczęła nawet puszczać kielki. Herf próbował przechowywać cebulę i lebiodę w brzdach w ziemi, lecz większość wypuściła liście.

Wiem – bronił się pod spojrzeniem Girda. – Lebioda jest trująca, jak tylko

zakiełkuje. Ale bez odpowiednich narzędzi nie mogłem zakopać jej głębiej. Grunt jest kamienisty.

Cóż. – Gird przykucnął przy bruździe i odgarnął liście z kiełkującej lebiody. – Mój ojciec opowiadał o czasach jego pradziadka, jeszcze przed przyjściem panów, kiedy to nasz lud hodował różne rośliny w lasach.

W lasach!

Oczywiście, na polach też – na przykład zboża. Ale lebioda, cebula i inne, których już nie uprawiamy, mogły rosnąć nad strumieniami i w lasach.

Tych i tak nie możemy zjeść, więc może zasadźmy je, a jesienią zbierzemy plon.

Możemy zjeść cebule...

Owszem, część. Czemu jednak nie zasadzić reszty? Rozsiać ją po lesie – nikt nie domyśli się, że to uprawy, a my będziemy wiedzieć, gdzie je znaleźć...

Herf zmarszczył brwi, intensywnie myśląc.

W takim razie moglibyśmy również uprawiać nowalijki, prawda? Kapustę, sorli...

Może nawet cukrowy korzeń. – Gird poruszył ściółkę. – To świetna gleba dla części upraw. Zioła, zielenina – możemy uprawiać je wzdłuż potoku.

Wiesz, jak trudno podlewać takie rośliny latem – moglibyśmy zasiać je tam, gdzie nie będą potrzebowały pomocy.

Tak, ale ziarno i fasola... nie możemy jeść samej lebiody i warzyw.

Zgadza się... teraz dostajecie ziarno od rolników, tak?

Albo rabujemy kupcom, ale rzadko.

Zabierając ziarno rolnikom, skazujemy ich na głód, więc nie wolno nam dopuścić, żeby gniło...

Robiłem, co tylko mogłem! – Herf nadął się jak ropucha.

Nie twierdzę, że nie. Jeśli jednak znajdziemy nowe miejsce na obóz, może uda się nam zrobić to lepiej. Poza tym... widziałeś kiedyś wielkie garnce, jakich używają panowie?

Garnce?

Tak jest. Brązowe i błyszczące w środku i na zewnątrz. Podobne do naszych garnków na miód, tylko większe. Są strasznie ciężkie i trudne do przenoszenia, ale ziarno, a nawet mąka pozostają w nich suche.

A skąd takie weźmiemy? Nie mamy garncarza.

Kolejny cud do wymodlenia, pomyślał Gird. Potrzebowali garnków – przynajmniej małych. Wyobraził sobie przyszłe obozowisko z dwoma paleniskami, choć wizja była nieco przymglona. Nigdy nie widział warsztatu garncarza. Wiedział, że mieli specjalną nazwę na miejsce, gdzie wypalali swoje garnki, ale nie miał pojęcia, jak wyglądało. Za to wyraźnie widział kuchnię w koszarach straży w posiadłości Kelaive'a z wielkimi garncami pełnymi fasoli i mąki, olbrzymimi kotłami do gotowania, błyszczącymi wiadrami, warząchwiami i widelcami na długich rączkach, wieszakami z nożami. Jeżeli miał dysponować armią, musiał mieć również kuchnię zdolną do jej wykarmienia oraz spiżarnię... Rozbolała go głowa. Potrząsnął nią. Obecnie miał półtora worka nadgniętego ziarna, niecały worek fasoli, kilka kielkujących cebul i lebiodę zdatną do spożycia za mniej więcej pół roku. Ognisko, dwie – trzy drewniane miski i noże przy pasach banitów. Westchnął ciężko i podniósł się.

W porządku. Zmielimy część ziarna i wieczorem upieczemy placki. Ale będziemy potrzebować więcej ziarna, a wiem, że w wioskach też go brakuje. Część z was poluje, prawda? Jak często przynoszą zwierzynę?

Niezbyt często. Mamy tylko dwa nienajlepsze łuki i strzały...

Równie kiepskie, jak się domyślam. Ktoś umie posługiwać się procą, albo zastawiać wnyki?

Herf pokręcił głową. Gird dodał te umiejętności do układanej w głowie listy i nakazał sobie nie wzdychać. Nie przyniesie to niczego dobrego. Żałował, że odesłał Foriego – umiał zastawiać pułapki, a raz upolował z procy wiewiórkę. Jakby się nad tym zastanowić, proca mogła również służyć jako broń.

– No dobrze – podniósł głos. – Podejdźcie tutaj, wszyscy. Jest kilka rzeczy do zrobienia. – Zaciekawieni mężczyźni zbliżyli się. – Jeżeli mamy stworzyć armię – ciągnął – musimy zorganizować się na wzór żołnierzy. Jedzenie, narzędzia, ubrania – wszystko. Zaczynamy od tego, co mamy. Pierwszym zadaniem będzie oddzielenie zgniłego ziarna i fasoli od dobrego i ochrona tego ostatniego przed wilgocią. Potem zasadzimy kielkującą lebiodę wzdłuż znanych nam ścieżek, żeby zebrać ją następnej jesieni. Wiecie, będzie okazalsza i będzie jej dwa – trzy razy więcej. Kto z was używał żaren? – Zwykle zajmowały się tym kobiety, ale mężczyźni czasami pomagali. Uniosły się dwie ręce. Gird skinął głową ich właścicielom. – Herf wyda wam ziarno. Widzieliście, jak robiłem to wczoraj. Wieczorem upieczemy placki dla wszystkich. Chyba, że pokażą się gajowi.

Do południa wyschły wszystkie ubrania uprane poprzedniego dnia. Gird z radością wciągnął spodnie; nie czuł się sobą z gołymi nogami. Dwóch młynarzy-ochotników wyprodukowało prawie pełną misę mąki, a Herf wykorzystał czystą koszulę Girda do przechowania resztki dobrego ziarna, podczas gdy sam wskrobał zepsute zboże i przewrócił worek na drugą

stronę. Dno zaczęło butwieć. Bez żadnej sugestii ze strony Girda Herf postanowił wyciąć gnijącą część i zaszyć dotychczasowy otwór, żeby osłabiony materiał pozostał na górze worka. Jako, iż sprawiał wrażenie biegłego w posługiwaniu się długim kolcem i szpagatem, Gird zostawił go w spokoju. Dwaj mężczyźni udali się w górę i dół strumienia z kielkującą lebiodą i zasadzili ją. Gird przypomniał im, że skoro zamierzali zmienić miejsce obozowania, nie było sensu sadzić roślin w pobliżu dotychczasowego obozu.

Fori pojawił się nieoczekiwanie w połowie dnia z parą wiewiórek upolowanych za pomocą procy, kiedy demonstrował Ivisowi jej możliwości. Zdążył już je oprawić i wypatroszyć, a skórki rozwiesić na kołach z zielonych gałązek. Zachwycony Gird obdarzył go uśmiechem. Niestety, dwie wiewiórki nie wykarmią dwudziestki głodnych mężczyzn, a nie mieli garnka, żeby ugotować zupę.

Herf miał na to odpowiedź: pokazał Girdowi, jak za pomocą gorących kamieni wrzuconych do drewnianej misy można zagotować w niej wodę bez wypalenia dziury w dnie. Zdążył już umieścić dobre ziarno w jednym worku, a suchą fasolę oddzielić od zawilgoconej i wypuszczającej kielki. Gird zastanawiał się, czy udałoby się im uprawiać w lesie również fasolę, lecz ta lubiła słońce. Niechętnie zakopał cuchnącą resztę zepsutych ziaren zboża i fasoli. Następnie pokroił cebulę, by ugotować ją z mięsem wiewiórek i jedną wysuszoną i pomarszczoną lebiodą. Herf dodał fasoli, którą namoczył od rana.

Wartownicy powrócili o zmierzchu, zwabieni zapachem pieczonych placków i gulaszu z wiewiórek i fasoli. Oprócz Diamoda Gird zdążył znaleźć jeszcze dwóch ochotników do trzymania nocnej straży. Ci zjedli

wcześniej i kiedy Ivis i Kelin powrócili z Pidim, udali się na posterunki. Po południu Gird ćwiczył z resztą musztrę, po której uparł się, żeby się umyli. Z przyjemnością zauważył, że Ivis i Kelin obmyli w potoku ręce i twarze, zanim podeszli do ogniska.

Mieli tylko trzy miski i dwie łyżki, które krążyły z jedzeniem od jednego do drugiego. Niemniej, w porównaniu z poprzednim wieczorem, czuli się jak na odświętnej biesiadzie. Nawet Triga nie narzekał. Ivis przysiadł się do Girda.

Dokonałem właściwego wyboru.

Nie zawsze tak będzie – przestrzegł Gird, myśląc o wszystkim, co miał jeszcze do zrobienia. – Mieliśmy szczęście, że Fori upolował te wiewiórki. Ale panuje inny duch – odrzekł Ivis, ocierając usta wystrzępionym rękawem i uśmiechając się tak, że zęby rozbłysły w bijącym od ogniska blasku. – Wiesz, co trzeba zrobić.

Po drugiej stronie ogniska Fori pławił się w pochwałach starszych mężczyzn, a Pidi pokazywał Herfowi zioła, które przyniósł w koszuli. Czuli się tutaj jak w domu; Gird zastanawiał się, czy to młodość pozwalała im lepiej się adaptować. Nie był pewny własnych odczuć. Na myśl o Rahi wciąż czuł oślepiający ból; za każdym razem obracał się ku Ognistemu Dębowi, chcąc pobiec do niej przez lasy i pola. Do tej pory mogła już nie żyć, albo wciąż walczyła z gorączką. Nie wiedział.

Zaczynał poznawać otaczających go mężczyzn; gdyby dorastali w tej samej wiosce, kilku z nich zostałoby jego przyjaciółmi. Swoją pogodną przyjacielskością Cob przypominał mu Amisa. Ivis bardziej pasował do Terisa – odpowiedzialność uczyniła go zadzierzystym, lecz uwolniony od niej stał się przyjazny i łagodny. Gird przypominał sobie, że w większości

byli rolnikami – ludźmi, jakich znał od lat – i w swoim czasie staną się mu równie znajomi, jak mieszkańcy rodzinnej wsi, na razie jednak nie potrafił jeszcze zaprzyjaźnić się z nimi.

Przed pójściem spać zadał sobie trud porozmawiania z każdym z nich, by utrwalić sobie w pamięci ich twarze i imiona. Następnie zakopał się w stercie liści, z Pidim wtulonym w bok. Zасыpanie na świeżym powietrzu nadal przychodziło mu z trudem, gdyż wiedział, że nie miał już domu, do którego mógłby wrócić, ale zmęczenie i napięcie ostatnich dni wkrótce go pokonały.

Następny ranek przyniósł komplikacje. Zamiast chłodnego, wiosennego słońca ujrzeli pochmurne niebo, a siąpiący kapuśniaczek szybko przemoczył im ubrania. Na całej polanie śmierdziało z byle jak wykopanych kloak. Gird był pewny, że czuć je było w najbliższej wiosce, gdziekolwiek by ona nie była. Opatulił worki ze zbożem i fasolą własnym skórzanym płaszczem przeciwdeszczowym. Wartownicy wrócili do obozu wygłodniali. Herf walczył z ogniskiem. Dym snuł się nisko przy ziemi, wywołując u wszystkich kaszel. Po wczorajszej wyżerce zwykle, namoczone ziarno smakowało jeszcze gorzej. Girda rozboleły stawy; marzył o kubku czegoś gorącego. Słyszał ciche pomrukiwania i narzekania, a głos Trigi wznosił się w samo użalaniu.

To nie przyniesie nic dobrego. Gird wmaszerował na środek polany, jakby wciąż świeciło słońce, a on dokładnie wiedział, co trzeba zrobić.

Mężczyźni spojrzeli na niego z kwaśnymi minami.

Trigo, co wczoraj znalazłeś? – Triga, któremu przerwano narzekania w połowie, wyglądał niemal komicznie. Potem wstał.

Odszukałem mokradła, o których ci wczoraj mówiłem... – Ktoś jęknął i

Triga obrzucił go groźnym spojrzeniem.

Nie szkodzi – powiedział Gird. – Mów dalej. A wy wszyscy – słuchać.

Obszedłem je dookoła... to dlatego wróciłem tak późno. Wpadają tam trzy małe strumyki, a wypływają dwa. Nie wiem jeszcze, jak wygląda środek – wczoraj zabrakło czasu...

Dobrze. Tam właśnie dzisiaj pójdziemy.

Wszyscy? – zapytał Herf. – Pada deszcz.

Tutaj też – zauważył Gird. – Tak samo zmokniecie tutaj, siedząc i narzekając, jak idąc i robiąc coś użytecznego. Może znajdziemy jaskinię i pójdziemy spać w suchym miejscu.

Nie wyglądali, jakby mu uwierzyli, ale jeden po drugim wstawali. Istna armia żółtodziobów. Uśmiechnął się do nich.

Ale najpierw – oznajmił – musimy coś zrobić z tym. – Wskazał na kloaki. – Śmierdzi tak, że wszyscy w okolicy dowiedzą się, iż było tutaj mnóstwo ludzi, poza tym, pochorujemy się od tego.

Nie mamy narzędzi – rzucił ktoś. Kef – tak miał na imię. Gird uśmiechnął się.

Przyniosłem szpadel – pamiętasz? Zacznę kopać, ale będziemy się zmieniać, ponieważ zrobimy coś więcej.

Przedwczoraj znalazł lepsze miejsce. Wziął szpadel i poszedł je sprawdzić.

Dawna powódź zalała polanę poniżej wodospadu, pozostawiając łąchę miękkiego gruntu, niemal piasku. Rozpoczął kopanie rowu, a potem przekazał szpadel Kefowi.

Tak głęboko i prosto w tamtą stronę – poleciał mu. Tak naprawdę, potrzebowaliby jeszcze wiadra, ale nie mieli go. Musieli użyć

drewnianych mis na popiół. Patrzyli, jak zagarnia do nich popiół i kawałki



wypalonego drewna. – Wy też – powiedział, wskazując na resztę misek. – Będziemy potrzebować mnóstwa popiołu.

Ale wydawało mi się, że popiół działa tylko w dołach – zauważył Ivis. Najlepiej w dołach. Ale rów jest jak mała kloaka. Popiół na wierzch, a potem ziemia po skorzystaniu.

Za każdym razem?

Za każdym, albo nie zadziała. Strażnicy trzymają w ubikacji garnek z popiołem; zrobiłem to samo u mnie w domu i potem śmierdziało mniej, niż u innych. – na otaczających go twarzach dostrzegł przeczulone miny. – Najgorsze będzie – dodał ostrożnie – zakopanie tego, co mamy tam. – Z przyjemnością przyjął brak pytań o to, czy naprawdę musieli to robić.

Z jednym szpadlem i miskami do przenoszenia popiołu zabrało to więcej czasu, niż się spodziewał, w końcu jednak zdołali zakryć najgorsze i wykopać fragment świeżego rowu do użycia rankiem. Gird osobiście go wykończył i zaznaczył kraniec z grubsza obciosanym palikiem. .

– Teram myjemy się – zarządził – i idziemy rzucić okiem na mokradła Trigi. Ma rację: jeśli uda się nam znaleźć bezpieczne przejście, nieznane leśnikom i straży, to miejsce może okazać się bardzo użyteczne.

## Rozdział 11

Pierwszy szedł Triga, za nim Gird, potem reszta. Gird poprosił Ivisa, by wziął na siebie rolę tylnej straży, trzymając się w zasięgu wzroku pozostałych. Po przebyciu połowy mili zaczął zastanawiać się, jak ta grupa przetrwała tak długo nie wykryta. Rozmawiali swobodnie, uderzali kijami w mijane drzewa i skały, nawet nie starali się iść cicho. W końcu zatrzymał ich.

– Robimy więcej hałasu, niż tawerna pełna pijaków. Jeśli w lesie jest jakiś gajowy, musiał nas już usłyszeć.

Ivis poczerwieniał.

Cóż, Girdzie, nie chcemy podchodzić do nich ukradkiem, jak...

Leśnicy? Chcesz powiedzieć, że oni wiedzą...

To w pewien sposób... no cóż... musieliby wiedzieć, prawda? Przy ich znajomości lasów. Ale nie muszą zauważać tego, czego nie widzą. Wiesz, mój brat jest jednym z nich i...

I przez jednego brata ufasz im wszystkim? A co ze strażnikami?

Och, książęca straż to zupełnie inna sprawa... absolutnie inna. Ale oni nie zapuszczają się w lasy, chyba że podczas książęcego polowania. A i wówczas strzegą jego, zamiast węszyć między drzewami.

Książę? Waszym panem nie jest Kelaive?

Bogowie, nie! Słyszałem o nim, jeszcze zanim się pojawiłeś. Nasz książę jest panem Kelaive'a, tak samo, jak nad nim jest król.

A więc tutejsi gajowi wiedzą, że w ich lasach mieszka banda banitów i oczekują od was robienia takiego hałasu, żeby mogli was usłyszeć i ominąć. A co będzie, kiedy zmienią zdanie? Książę z pewnością

wyzaczył nagrody za wasze głowy.

Mój brat nie wzięby pieniędzy za mnie – odrzekł szczerze Ivis. – A jeśli złapie innych, ja będę w samym środku grupy.

A jeśli zostanie przeniesiony albo zabity lub któryś z leśników okaże się chciwy? – Ivis nie odpowiedział; sądząc po wyrazie twarzy, zastanawiał się już nad tym, ale starał się zapomnieć. Gird rozejrzał się po pozostałych.

– Posłuchajcie mnie: armia nie może opierać się na oczekiwaniu, że wróg zejdzie jej z drogi. Nie możemy tak walczyć. Możliwe, że brat Ivisa ma wystarczający wpływ na resztę gajowych, ale nie będzie siedział w tych lasach wiecznie. Pewnego dnia odejdziemy stąd, a wy musicie nauczyć się cichego poruszania. Poza tym, powinniśmy być czujni – musimy znaleźć leśników, zanim oni znajdą nas i nigdy nie pozwolić im usłyszeć, że jesteście blisko. Rozumiecie? – Pokiwali głowami, niektórzy z ociąganiem. – Po pierwsze: żadnego gadania podczas marszu. Żadnego walenia kijami w kamienie i gałęzie. Idźcie jeden za drugim w takiej odległości, że gdyby któryś się potknął, nie przewróci innych. Triga – będziesz szedł z przodu w zasięgu mojego wzroku, ale na tyle daleko, żeby nas nie słyszeć – będziesz nasłuchiwał innych. Jeśli będziesz szedł za szybko, dwukrotnie zastukam kamieniami; jeżeli zastukam trzy razy, zatrzymasz się. Gdybyś usłyszał leśników, zastukaj dwa razy po dwa uderzenia. Ivisie – jeżeli usłyszysz coś z tyłu, też wykonaj dwa podwójne stuknięcia. Reszta: w razie usłyszenia dwóch podwójnych uderzeń zatrzymujecie się w miejscu i nie robicie hałasu. Jasne?

Kolejne przytakiwania. Gird miał nadzieję, że tego dnia nie było w lesie żadnych gajowych, dzięki czemu zdążą nabyć praktyki, zanim okaże się potrzebna. Machnięciem ręki posłał Trigę naprzód, . odczekał, aż ten

niemal zniknął mu z oczu na wąziutkiej ścieżce, po czym ruszył sam. Hałas za jego plecami znacznie się zmniejszył, choć co jakiś czas słyszał potknięcia. Triga prowadził ich całkiem szybko, więc Gird miał czas na utrzymywanie go w zasięgu wzroku, przy jednoczesnym unikaniu najgłośniejszych hałasujących. Lecz reszta ucichła jeszcze bardziej, nasłuchiwali i uczyli się, jak robić możliwie mało zamieszania.

Choć na poły oczekiwane, podwójne stuknięcie kamieni przestraszyło go. Pozostali zamarli; Gird zrobił ostatni krok i pod stopą trzasnęła mu gałązka. Skrzywił się i spojrzał za siebie. Idący zanim Cob uśmiechnął się, pokręcił głową i zrobił palcami zawstydzający gest. Gird wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Spojrzał do przodu i przekonał się, że Triga zatrzymał się w zasięgu jego wzroku. Gird słyszał jedynie dudnienie krwi w uszach i szmer pobliskiego strumyka.

Trzaski nadeszły z tyłu. Dostrzegł milczące poruszenie w linii ludzi, jakby jeden nachylał się do drugiego i przekazywał mu coś na ucho. Gird ostrożnie zrobił krok wstecz do Coby, uważnie przesuając stopy po mokrych liściach i mchu. Cob odchylił się do tyłu, by wysłuchać wiadomości, po czym zbliżył się do Girda.

– Ivis powiedział, że byliśmy znacznie ciszej, ale powinniśmy przeciwwić zatrzymywanie się. Może to zrobić jeszcze raz.

Gird żałował, że sam o tym nie pomyślał, a jednocześnie miał ochotę stłuc Ivisa na kwaśne jabłko. Serce wciąż mu waliło na myśl o schwytaniu ich przez leśników. Niemniej, skinął głową.

– Powiedz mu, żeby nie robił tego zbyt często – wymamrotał. – Przed nami daleka droga.

Cob pokiwał głową i podał dalej. Gird odczekał, aż wiadomość dotrze do

Ivisa, po czym machnął Tridze i ruszył naprzód. O mały włos nadepnąłby na ten sam patyk, zdołał jednak wydłużyć krok i ominąć go.

Na pierwszy rzut oka mokradła Trigi wyglądały jak błoto na ścieżce, a potem stwierdzili, że były to kałuże brunatnej wody błyszczące spod liści jakiejś niskopiennej rośliny o maleńkich, różowych kwiatuśkach. Przed nimi otwierała się wolna przestrzeń, upstrzona wystającymi z wody kępami trawy.

– Skoro mamy je obejść, musimy tutaj skręcić – powiedział cicho Triga do Girda. Reszta podeszła do nich i przykucnęła w milczeniu na splechawkach suchego gruntu.

Wszedłeś tam kiedyś?

Raz, kiedy byłem chłopcem. Gdzieś tam rosną śliwy; czuję zapach ich kwiatów.

Gird wciągnął powietrze. W jego wsi czas kwitnienia śliw dopiero co minął, lecz dzikie drzewa kwitły zarówno wcześniej, jak i później. Nic nie poczuł.

Znalazłeś je?

W końcu tak – jak już przemokłem do ud. A po powrocie ojciec spuścił mi lanie za zostawienie kóz. Gdzieś tam jest suchy ostrów ze śliwami.

Założę się, że na samym środku – włączył się Cob. – Oczywiście, już jesteśmy mokrzy.

Kiedyś była tutaj ścieżka – dodał Triga. – Idźcie za mną i stawiajcie kroki dokładnie tam, gdzie ja. – Co rzekłszy, znowu ruszył przed siebie.

Pozostali poszli za nim gęsiego.

Szlak Trigi prowadził po obrzeżu bagien, a kiedy zbliżyli się wystarczająco, Gird mógł ocenić, jakie były rozległe. Pomimo mżawki i

mgły dojrzał po przeciwległej stronie las, niczym głęboki, mroczny cień. Na samych bagnach znajdowały się wysepki zwieńczone gęstwiną niskich, splątanych drzewek. Wkrótce Triga wyszedł spod drzew i stanął na jednej z kęp. Zadygotała, lecz utrzymała go, a on zrobił dwa kroki i przeskoczył na następną. Gird przyglądał się temu nieufnie. Jak głęboka była ta ciemna woda? I co kryło się pod powierzchnią?

Pojedynczo – zarządził i sięgnął nogą ku ciemnemu śladowi, pozostawionemu przez Trigę. Nie spodobał się mu sposób, w jaki stopa zapadła się w trawie, toteż szybko wykonał następny krok. Błoto wessało stopę i wypuściło ją z cichym pyknięciem. Przekroczył przerwę pomiędzy kępami. Znajdował się teraz na otwartej przestrzeni, gdzie mógł zobaczyć go każdy, kto, na przykład, ukrywałby się na skraju lasu. Zaswędziało go kark. Jeden ze śladów Trigi nappełnił się wodą na wysokość palca. Kiedy Gird postawił tam stopę, zanurzyła się po kostkę.

– Nie podoba mi się to – mruknął ktoś z tyłu; inni zaraz go uciszyli. Ich stopy mlaskały na mokrym gruncie. Gird zaklął cicho, gdy woda wlała się mu do buta.

Dopiero sześciu z nich weszło w głąb bagna, kiedy pierwsza kępa ustąpiła i Herf wpadł po pas w zimne i lepkie błocko. Krzyknął; trzy szare ptaki, których Gird wcześniej nie zauważył, wzbiły się w powietrze z łopotem skrzydeł i donośnym skrzeczeniem. Triga obejrzał się z uśmiechem za siebie. Gird rzucił ciche: „Zaczekaj!”

Bez odzywania się nie mogli ustalić, co się stało. Gird spocił się, ale zniósł hałas najlepiej, jak potrafił, aż wreszcie ustalili, że owszem, Herf stanął dokładnie na zanurzającą się właśnie kępę i owszem, wszystkie ślady wypełniały się wodą oraz nie, nikt więcej nie mógł tamtędy przejść. Herf

w ponurym milczeniu leżał rozciągnięty na kępie z jedną nogą w grzęzawisku.

– No dobrze – uciał w końcu Gird. – Najpierw musimy wyciągnąć Herfa z powrotem na stały grunt. Potem ci, którzy zostali w lesie, niech zaczną okrążyć bagna w poszukiwaniu innej drogi. Tylko nie utknijcie.

– Nie stawajcie na mchu – dodał Triga. – Wygląda na solidny, ale nie utrzyma was.

– Nie możemy wrócić tą samą drogą – ciągnął Gird. – Triga będzie musiał znaleźć przejście. Poza tym, wiemy już, że ścigająca nas grupa również ugrzęźnie w bagnie...

– Choć ślady są łatwe do wypatrzenia – zauważył Cob.

– Słusznie. Jeśli mamy korzystać z tego miejsca, potrzebujemy drogi, z której będziemy mogli wszyscy korzystać i nikt jej nie zauważy.

Wyciągnięcie Herfa okazało się niełatwym zadaniem, angażującym aż pięciu mężczyzn, którzy przemokli i ubłócili się bardziej, niżby chcieli. Jeszcze dwóch wpadło w bagno, choć nie tak głęboko.

W międzyczasie Gird i pozostali kucający na kępach zauważyli, że woda dotarła już do ich kostek.

– Musimy iść dalej – stwierdził niepotrzebnie Triga, ruszając w stronę jednej z porośniętych krzakami wysepek. Zanim wszyscy do niej dotarli i skryli się pod gęstą plataniną gałęzi i świeżego listowia, byli zdyszani i po kolana wysmarowani błotem.

– Nie wiedziałem, że przy większej liczbie ludzi będzie trudniej – przyznał Triga. Gird uznał to za przeprosiny i skinął głową. Przynajmniej na części drzewek rosły śliwki, małeńkie owoce pęczniejące dopiero na końcach łodyżek. Zimna woda skapywała mu za kołnierz i spływała lodowatym

strumyczkiem po plecach. Miał nadzieję, że jego płaszcz wystarczająco chronił ziarno i fasolę przed zamoknięciem. Skoro miał cierpieć chłód i wilgoć, lepiej aby czynił to w szczytnym celu.

– Raczej już chodźmy – zaproponował. – A jeśli istnieje sposób, by każdy z nas mógł samodzielnie wybierać sobie bezpieczną drogę, lepiej byłoby nie iść więcej po twoich śladach.

– To ten gatunek trawy – pokazał im Triga. – Nie tamta, z cieńszymi źdźbłami, która porasta kępy mchu. Przelecielibyście na wylot. Ta natomiast jest całkiem solidna, o ile będziecie poruszać się szybko. Starajcie się przewidywać trasę na kilka kęp naprzód, żebyście nie musieli się zatrzymywać, chyba że w miejscach, gdzie rosną drzewa. Tam jest bezpiecznie. Tak sędzę.

– Spójrzcie tam. – Cob pokazał palcem delikatny, purpurowy kwiatusek na cienkiej łodyżce. – Nigdy takiego nie widziałem.

– Rosną na mokradłach – powiedział Triga. – Niedługo całe bagna będą różowe od najróżniejszych kwiatów – tego samego gatunku, ale większych. Purpurowe rosną tylko na wysepkach.

Gird spojrzał na niego. Coraz mniej wyglądało mu to na wiedzę nabytą podczas jednego, potajemnego wypadu w dzieciństwie. Triga poczerwieniał.

– Nikt nie mógł mnie tutaj znaleźć – wyjaśnił. – Przed porzuceniem domu często tutaj przychodziłem.

– A potem nie?

– Pozostali mówili, że nie chcą oglądać bagien.

– Cóż, teraz wszyscy je widzimy. Co jeszcze o nich wiesz?

Triga poprowadził ich na przełaj przez malutką wysepkę, ku trzęsawisku



po jej drugiej stronie.

– W tych wodach nie ma zbyt wiele ryb. Za to mnóstwo żab i małych, oślizgłych zwierzątek, podobnych do jaszczurek. Ptaki – nigdzie nie widzieliście takich gatunków. Jedne z nich pływają po wodzie i nurkują. Większość brodzi i zjada żaby i muchy. Kwiaty. Na pewnej wysepce rosną dzikie jabłonie, na innej – najlepsze jeżyny, jakie kiedykolwiek jadłem. Dzikie, pływające zwierzęta, długie i zwinne. Czasami zdarzają się króliki – kiedyś zaskoczyłem je, jak skubały trawę na wysepce. Na skraju mokradeł pojawiają się jelenie; raz widziałem je nawet przy jabłoniach. Skaczą bardzo szybko i ostrożnie.

Rozpoczęli przeprawę na kolejną wysepkę, tym razem sami wybierali drogę, szarpiąc się i zataczając. Ale nikt nie wpadł w bagno i wszyscy dotarli bezpiecznie i sucho, gdyby nie deszcz. Na wyspie rosło mniej drzew, za to sporo gwiazdzistych, niebieskich kwiatków oraz wysokich purpurowych.

– Zimą bagno zamarza z wierzchu – zaczął Triga, jakby odpowiadając na zadane przez kogoś pytanie – nadal jednak nie wolno ufać mchom.

Bezpiecznie jest tylko wtedy, gdy lód staje się na tyle gruby, by po nim chodzić. Przeważnie dzieje się tak dopiero po Śródzimiu. Lecz roztopy przychodzą wcześniej – nie wiem, dlaczego – i nie raz przebiłem nogą lód. Tym razem nie zatrzymywali się, przemierzając wysepkę i docierając z powrotem do mokradeł. Gird zachwiał się i z trudem uchronił przed wpadnięciem w błoto.

– Wydaje mi się, że lepsze będzie z tego gospodarstwo, niż zamek – oświadczył.

– Gospodarstwo? – Triga obejrzał się na niego, potknął i z trudem

odzyskał równowagę.

– Śliwki, jabłka, jeżyny – wszystko strzeżone przez bagna. Założę się, że w środku lata muchy są znacznie bardziej dokuczliwe.

– O tak. Jeszcze nie pojawiły się najgorsze z nich – gzy.

– Na obrzeżach mokradeł można by uprawiać cebulę, a na wysepkach lebiodę.

– Niektóre z tych traw mają jadalne nasiona – powiedział Triga. – Ojciec mojej matki pokazał mi część z nich. Mają prawie tyle samo ziaren, co pszenica. Po to właśnie przyplývają tutaj ptaki.

Gird już miał zapytać, jak ptaki znajdują tutaj miejsce do pływania, kiedy natknęli się na obszar otwartej wody. Przy tak ciemnym niebie i siąpiącym dżdzu nie można było określić jej głębokości.

– Co teraz?

– Poszliśmy za daleko. Chodźmy tam, wzdłuż strumienia.

Gird nie widział w wodzie najmniejszego poruszenia; przypominała roztopioną cynę, o którą bębnił deszcz. Chrząknął i skręcił za Trigą w prawo, próbując wybrać drogę. W końcu lustro wody zwęziło się i mógł przeskoczyć na kępę, która ugięła się pod jego ciężarem. Złapał się za najwyższe źdźbła i uchronił przed upadkiem. Za jego plecami coś wpadło do wody z głośnym pluskiem. Oblał go pot.

– Żaba – wyjaśnił Triga. – Wielka – byłby z niej dobry obiad.

– Jesz żaby?

– A co w tym złego? Są smaczne.

Gird wzdrygnął się; próbował to zamaskować. Był pewny, że oto znalazł wyjaśnienie zachowania Trigi. Każdy, kto jadał żaby, musiał być kłótlivy i trudny w obejściu.

– Są... zimne. Oślizgłe. – Świetnie pamiętał żabkę, którą jako dziecko wyłowił ze studni: jej śliskość, zapach, niemożliwie wielkie, złociste oczy. Ojciec pokazał mu raz kijankę w strumieniu. Szturchnął ją z ciekawością palcem. Była obrzydliwa w dotyku.

Triga wzruszył ramionami i zrobił obrażoną minę.

– Lepsze to, niż chodzić głodnym. Jedzenie to jedzenie. – Obrzucił Girda wyzywającym spojrzeniem. – Węże też jadłem. – Girdowi przewróciło się w żołądku. Co można powiedzieć komuś, kto jada węże i żaby?

– Jesz ryby, prawda? – zapytał Triga, z przejęciem drażąc temat.

– Raz jadłem. – Gird pamiętał jeden czy dwa kęsy ryby, którą jadł podczas swej jedynej wyprawy na jarmark. Kupili rybę i próbowali upiec ją nad ogniskiem. Nie za bardzo pamiętał smak, za to zapach jak najbardziej. Nie była tak pożywna, jak baranina. Uśmiechnął się na widok miny Trigi. – Ryby w naszym potoku miały długość palca... Mali chłopcy łapali je, ale nikt ich nie jadł.

Sądząc po wyrazach twarzy pozostałych mężczyzn, rewelacje Trigi o węzach i żabach im również doskonale wyjaśniały jego zachowanie. Jakby uświadamiając to sobie, przyspieszył kroku, z rozbryzgami wody lądując na upatrzonych kępach. Gird szedł za nim ostrożnie, własnym tempem.

Węże też. Tutaj mogły być węże i to gorsze od węży w paski, które prześlizgiwały się między łodygami zbóż lub nakrapianych, na jakie można było natknąć się nad strumieniem. Chciał zapytać Trige, jak wielkie były te węże na bagnach, ale nie miał ochoty przyznawać się do niewiedzy. Czy umiały pływać?

Słodka woń wyrwała go z rozmyślań o węzach i zdał sobie sprawę, że dotarli do wyspy, gdzie niskie, powykręcane drzewka okryte były

bladoróżowym kwieciem. Jabłonie. Gird upajał się cudownym zapachem, tak różnym od kwaśnego odoru bagna lub gorzkawej woni purpurowych kwiatów. Z ulgą wspiał się na zaokrąglony pagórek. Triga rzucił się na mokrą trawę i natychmiast odzyskał dobry humor. Uśmiechnął się do Girda i pozostałych, gdy wpełzli pod nisko zwieszające się gałęzie, by do niego dołączyć.

– Zawsze była moją ulubioną – oznajmił. – Ze względu na dzikie jabłka. Gird przykucnął przy nim.

– Nie rozumiem, jak powstają wyspy. Dlaczego bagno nie jest wszędzie jednakowe?

Triga wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Każda wyspa ma własne drzewa i kwiaty – to niemal jak ogród... jakby ktoś je tak zasadził. Niestety, nie mam pojęcia kto, ani dlaczego.

– Czy któraś z wysp jest na tyle duża, by można było założyć na niej obóz?

– Nie... prawdopodobnie nie. Tak myślałem, ale teraz widzę, że na takiej wysepce z trudem mieści się nasza szóstka. Na największej rosną orzechowce – nie tak wysokie, jak większość – zapewniające dobrą osłonę. Obawiam się jednak, że dwudziestce ludzi byłoby tam ciasno. Zwłaszcza, jeśli zamierzasz być taki wybredny w kwestii kloak. Tutaj zwykle kucałem nad wodą.

Deszcz ustał, lecz z gałęzi jabłoni nadal skapywały na nich zimne krople. Gird wyrzął spomiędzy drzew i dostrzegł jaśniejszy blask, dobywający się z wody i mokrej trawy. To mu coś przypomniało. Siedział cicho, pozwalając napłynąć wspomnieniom... kucał w innym gąszczu, o innej

porze... to był świt... i przyszedł cień, istota powołująca się na pokrewieństwo ze starszymi pieśniarzami, a zarazem podkreślająca swą odmienność. To był kuaknom. Gird omiół spojrzeniem osrebrzone mokradła, zupełnie jakby na chwilę pokazało się słońce. Dalej, za nierówną matą mchu i traw, znajdowała się wyspa porośnięta drzewami niczym miniaturowym lasem. Na jej brzegu lśniły jaskrawe kwiaty.

– Wiem, kto to zasadził – oświadczył. Pojął to pod wpływem piękna tej chwili, błyszczących, jasnych barw, podkreślonych srebrzystym blaskiem.

– Kto? – zapytał Triga.

– Pieśniarze. Starsi. – Zadrzał, mówiąc to. Czy wypowiedzenie tej nazwy przynosiło pecha? Czy sprowadzi tu jakieś złe życzące im stworzenia?

– Znasz ich? – upewnił się Triga, siadając prosto.

– Nie... nie, ale słyszałem opowieści. I spotkałem jednego z ich... jednego z upadłych, kuaknoma.

– Bogowie chrońcie nas przed zarazą! – Triga dwukrotnie poruszył palcami, odpędzając tę nazwę. – Nie mów o nich!

– Ale to ci drudzy. Wiem, że to oni. Sam mówiłeś, że to ogrody, że każda wysepka ma własne kwiaty i drzewa owocowe. Nie podoba mi się to, Triga, ale jest bardzo piękne.

– Nawet żaby?

– Nawet żaby.

Słońce ponownie zniknęło za niskimi chmurami i zanim dotarli na drugi kraniec mokradeł, zaczęło padać. Cob garścią mchu obtarł znoszone buty z błota.

– Nigdy nie sądziłem, że tak ucieszę się na widok grząskiej, leśnej ścieżki

– oznajmił. – Co gorsza, musimy z powrotem obejść bagno, żeby wrócić

do domu.

Gird rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i Cob umilkł. Wszyscy stali w ciszy, wsłuchując się w odgłosy deszczu: muzykę pluskania kropeł o powierzchnię bagna, cichy szelest, towarzyszący spływaniu wody z liści, głośniejsze odgłosy większych kropeł, spadających na leśne poszycie. Gird zastanawiał się, gdzie podziewała się reszta jego żołnierzy.

Gdzieś w słotnej oddali zaszczekały o siebie kamienie. Jedno uderzenie.

Co to było? Gird rozejrzał się dokoła, lecz zobaczył jedynie mokre liście i pnie drzew. Serce zaczęło mu mocniej bić. Mruganiem strząsnął krople deszczu z rzęs, żałując, że nie pozwolił temu cholernemu ziarnu zgnić, a samemu zatrzymać skórzaną pelerynę. Przynajmniej woda nie spływałaby mu po włosach za kołnierz. Nie dbał o ręce i nogi – był przyzwyczajony do wilgoci, ale nie do mokrej głowy. Po minach pozostałych sądząc, nikt tego nie lubił. Kapelusze, pomyślał. Musimy jakoś zrobić sobie kapelusze. Każdego lata kobiety wyplatały z trawy kapelusze, których trwałość ograniczała się do jednego roku; wyrzucali je po żniwach.

– Czy byliśmy wystarczająco cicho?

Gird podskoczył i ledwo zdołał pohamować ryk, który za wszelką cenę chciał wydrzeć się mu z gardła. Ivis szczyrzył do niego zęby w uśmiechu, podobnie jak reszta mężczyzn, którzy udali się w wędrówkę dookoła bagien. Oczy przesłoniła mu mgła wściekłości, serce biło jak oszalałe. Czuł, że zaraz wybuchnie. Przyglądali się mu czujnie, z przebiegłymi minami wieśniaków, którzy właśnie przechytrzyli obcego. Na głowie wylądowały mu kolejne zimne krople. Nagle rozśmieszyło go to.

Naprawdę go przechytrzyli, równie uczciwie, jak przy każdej sztuczce, której był świadkiem.

– Wy... – warknął, walcząc ze śmiechem. – Tak, niech was licho, byliście dostatecznie cicho. – Usłyszał radosne parsknięcie, po chwili kolejne. – A teraz zobaczymy, jak cicho zdołacie wrócić do domu, co?

Nie zachowywali zbyt ciszy, ponieważ szybko zapadał wiosenny, deszczowy zmierzch i musieli się pospieszyć. Kiedy dotarli na polanę, Gird był zadowolony, że kazał Pidiemu zostać i pilnować ogniska; wszyscy stłoczyli się wokół żarzących się węgli. Chłopiec ugotował fasolę i lekko doprawił zebranych przez siebie ziołami.

Poranek nazajutrz był mglisty i wilgotny, ale nie padało. Gird obudził się zeszywniały i obolały; dokuczało mu gardło. Dookoła wszyscy spali; Pidi z gracją elastycznego dziecka. Gird podźwignął się, cicho przeklinając i przykucnął przy ognisku. Wyciągnął dłoń nad popiołem – wciąż ciepłym. Ale co z suchym opałem? Rozejrzył się w półmroku. Ktoś – przypuszczał, że Pidi – zbudował z kamieni prymitywną osłonę, gdzie umieścił patyki. Może okażą się bardziej suche od reszty. Jednym z nich ostrożnie rozgarnął popiół, odsłaniając czerwone węgielki. Po chwili koniec patyka zajął się ogniem. Wystarczająco suche. Ziewnął, aż zatrzeszczały mu szczęki i zaniósł się kaszlem, gdy zimne powietrze wdarło się do obolałego gardła. Spanie w mokrym ubraniu – nie robił tego od lat. Nigdy szczególnie nie bawiło go coś takiego.

Będąc sam w szarówce wczesnego poranka, pozwolił sobie na kwaśną zadumę. Zapomnieć o gorącym naparze. Potrzebował kufła krzepkiego ale. Dwóch kufli. Może udałoby się im zrobić beczki i uwarzyć trochę? Nie, w pierwszej kolejności potrzebowali suchego miejsca do spania. Zimna kropla spadła mu prosto na łysiejący czubek głowy. Nie, najpierw kapelusze. Dorzucił patyków do ognia. Część z nich syczała i dymiła,

mimo to okazały się wystarczająco suche, by podsycić płomienie. Na polanie ktoś jęknął, potem zakaszłał.

– Na litość Pani, wszystko mnie boli – usłyszał kogoś. Od razu poczuł się lepiej. Skoro nie był jedynym, znaczyło to, że nie był za stary na to wszystko. Kolejny jęk i kaszel.

– Oddałbym wszystko za kufel piwa – wyznał ktoś inny.

– Napar – dorzucił kolejny.

– Cokolwiek, byle nie fasola albo moczone ziarno – jęknął następny. Gird poczuł się znacznie lepiej. Kiedy był rekrutem, żołnierze narzekali w koszarach. Marudzili, kiedy padało, a oni musieli pracować na zewnątrz; burczeli, gdy było gorąco i pot wypływał im spod hełmów. Narzekanie było normalne. On był normalny. I doskonale wiedział, jak sierżant radził sobie z marudzeniem.

– Czas wstawać – rzucił rażno.

Pełna zaskoczenia cisza, a potem cichy szept:

– Bogowie, on już wstał. Rozpalił ognisko. – usłyszał poruszenie i obejrzał się, by ujrzeć, jak mężczyźni wstawali lub przewracali się na bok, bądź wspierali na łokciu. Uśmiechnął się do nich.

– Nie można toczyć wojny, leżąc w łóżku – oznajmił. Na jednych twarzach pojawiło się absolutne niedowierzanie, na innych pełna rozbawienia rezygnacja. Pidi, który nie miał za sobą wyprawy do bagien i z powrotem, odczo podszedł do ogniska.

– Znalazłem większość korzeni i kory na napar. – Pokazał Girdowi niewielki stosik, którego ten nie rozpoznałby. – W okolicy nie ma kiry, a kazałeś mi nie oddalać się...

– Dobrze – pochwalił go Gird. – Wiesz, ile których potrzeba? – On z



pewnością nie wiedział. Pidi pokiwał głową.

– Ale to trochę potrwa. Chcesz, żebym zaczął?

– Tak. Potrzebujemy tego.

Pidi zabrał się za przygotowywanie naparu, a Gird z kilkoma mężczyznami poszedł do świeżo wykopanych rowów kloacznych.

Pomyślał, że w obozie już lepiej pachniało. Mężczyźni też wyglądali lepiej, pomimo zeszywnienia i zrzędzenia. Ta wędrówka w deszczu coś im dała.

– Musimy ustanowić drużyny robocze – oznajmił bez zbędnych wstępów, gdy zgromadzili się przy ognisku. – Każda grupa po jednej ręce... –

Podzielili się na pięcioosobowe zespoły. Pierwotnie Gird chciał osobiście utworzyć grupy, potem jednak uznał, że lepiej będzie, jak podobierają się sami – przynajmniej na razie. Ostrugał nożem kawałki kory w znajome, farmerskie patyki. – Jedno nacięcie to jedzenie, dwa – narzędzia, trzy – porządki w obozie. Dwie grupy zajmą się zdobywaniem pożywienia, pozostałe dwie resztą. Po śniadaniu ćwiczymy musztrę, a potem grupy udają się do swoich zadań...

– Po co nam jedzenie? – zapytał Triga. – Przecież powinniśmy je dostawać? – Nikt nie roześmiał się. Gird pokręcił głową.

– Ci, którzy wylosują jedzenie, wyruszą na poszukiwania: będą polować, zbierać zioła, a później doglądać naszych upraw. Ivis, jak otrzymywaliście pożywienie przekazywane przez rolników? Ktoś was powiadamiał, czy pytaliście sami?

– Co jakiś czas ktoś przychodził do lasu i zostawiał kijek z piórami na konkretnym drzewie – tak było w przypadku Białego Drzewa, najbliższej wioski. Ognisty Dąb zwykle sam dostarczał jedzenie i zostawiał je w lesie.

Diamod podróżował na tyle często, że dowiadywał się o tym i albo przynosił je sam, albo wysyłał nas po nie. Czasami zaś, kiedy było już naprawdę źle, zakradaliśmy się do wsi i prosiliśmy.

– Co jest niebezpieczne dla nich i dla nas. Poza tym, przypuszczam, że zbyt intensywne polowania ściągnęłyby na nas leśników, prawda?

– Tak. Nie przejmują się królikami, ani zającami, ale księżę uwielbia polować na jelenie.

– Cóż, musimy coś z tym zrobić. Fori jest dobry w posługiwaniu się procą i potrafi zastawiać wnyki – wszyscy możecie nauczyć się tego od niego.

Powinniśmy mieć lepszy sposób powiadamiania rolników, że czegoś potrzebujemy. Mając trochę więcej narzędzi, będziemy mogli zbierać więcej plonów i mniej od nich zależeć. – Gird podał patyk z jednym nacięciem grupie Ivisa. – Znasz tutejszych gospodarzy; masz tutaj krewnych. Dowiedz się, co mogą nam przysłać i kiedy. Co sprawia im największe kłopoty. Kiedy mieli problemy i jak sobie z nimi radzili. Jeżeli nie mogą podzielić się z nami żywnością, ustal, czy nie mogliby przekazać nam worków, skrzyń, wiader – wszystkiego, co pomogłoby nam w przechowywaniu i zdobywaniu jedzenia. Nawet drobne rzeczy – mały worek jest lepszy od żadnego.

– Drugie pojedyncze nacięcie. – Gird wręczył je grupie Foriego. – Oddalcie się trochę od obozu i szukajcie wszystkiego, co nadaje się do jedzenia. Ptasich jaj, piskląt, królików, wiewiórek – większość zwierząt ma teraz młode; szukajcie ich kryjówek.

– Żab? – Triga nie należał do tej grupy, ale i tak zabrał głos.

– Kiedy wyciągniesz zdobywanie jedzenia, możesz nałapać nam żab, Trigo – odparł Gird.

– I zjesz je?

Gird przełknął ślinę.

– Postaram się. Teraz jednak jesteś w grupie narzędziowej. Wszyscy wiecie, że potrzebujemy mnóstwa rzeczy, których nie mamy. Jeszcze jednego szpadla, siekiery, dłuta. Przydałby się kij pasterski do ściągania pnączy z jadalnymi gronami oraz laska poganiacza do strącania orzechów jesienią. Potrzebujemy garnków do gotowania, misek do jedzenia, koszy lub worków dla zbieraczy, łyżek, wiader, liny – wszystko to pomoże nam dokonać więcej. Ktokolwiek wyciągnie patyk z dwoma nacięciami, będzie przez cały dzień pracował nad zdobyciem któregoś z potrzebnych nam przedmiotów.

– Mogę zrobić kosze – oświadczył Triga. Wszyscy spojrzeli na niego; zwykle to kobiety wyrabiały kosze. Zaczerwienił się. – Często wyplatałem trawy na bagnach – wyjaśnił. – Najpierw z nudów, a potem, żeby przekonać się, co potrafię zrobić.

– Potrafiłbyś zrobić kosz z czegoś rosnącego w okolicy? – zapytał Gird. Nie miał ochoty zbyt prędko powtarzać wyprawy na bagna.

Triga rozejrzał się dokoła z niezdecydowaniem.

– Może... spróbuję... ale może nie wyjść za pierwszym razem.

– Nic nie szkodzi. Jeśli znajdziesz sposób, nie będzie to czas stracony. Czy któryś z was umiałby coś wystrugać? – Jeden z mężczyzn podniósł rękę. – Świetnie. Może zabierzesz się za struganie łyżek i misek, o ile znajdziesz odpowiednie kawałki drewna. Pozostali spróbujcie – wszystko jest lepsze, niż nic.

– Co z wartownikami, których wysyłaliśmy, żeby nasłuchiwali leśników?

– zapytał Ivis.

– Z ostatniej grupy, tej od obowiązków obozowych. Dwaj idą, a pozostała trójka będzie miała mnóstwo do zrobienia. Zbieranie chrustu na opał, pilnowanie ognia i kilka innych rzeczy, które wymyśliłem. Najpierw jednak... wczoraj w ogóle nie ćwiczyliśmy, więc ustawcie się szeregami. Tym razem stanęli w szyku sprawnie i niemal równo. Wszyscy zaczęli z tej samej nogi i prawie w jednym rytmie pokonali odległość od ogniska do strumienia, nie łamiąc przy tym szeregów. Nierównych, ale jednak szeregów. Gird pokazał im, jak wykonywać zwrot w lewo i prawo, a potem kazał maszerować w szyku dwójkowym wokół obozu. Musieli obchodzić drzewa i szybko zgubili krok, ale pary zdołały utrzymać się razem. Do tego czasu Gird rozgrzał się i przegnał sztywność z kości. Odesłał obie grupy prowiantowe i wybrał dwóch wartowników z drużyny obozowej. Jednego z pozostałej trójki posłał na poszukiwanie suchego drewna, drugiego usadził przy ognisku, ostatniego zaś przywołał do siebie. Miał pomysł, żeby wpleść pewną długość plecionki, jakiej używał do bramy do zagrody oraz płotu pomiędzy swoim ogrodem, a sąsiada. Plecionka ustawiona pod pewnym kątem do pnia dawałaby ochronę przed deszczem. Wyjaśnił swój pomysł Arthcie, bardzo wysokiemu i łysiejącemu mężczyźnie. Artha miał mętne, błękitne oczy i był kompletnie pozbawiony inicjatywy.

– Ale ja ni... te plecionki my robili z patykami w ziemi, tak. Wsadź kije w mokre błoto, mój dziadzia prawil, a potem przekładaj pńacza, tam i z powrotem, tam i z powrotem...

– Ale kije wcale nie muszą być w ziemi – upierał się Gird. Przekonał się o tym, odkąd naprawił bramę, nawet nie opierając jej o ziemię. Artha stał ze zwieszonymi ramionami i opuszczoną szczęką. Gird pojał, że tutaj

potrzeba stanowczości, jak z dzieckiem. – Artha, przynieś mi kilka patyków, mniej więcej takich... – Rozpostarł ramiona, by pokazać długość. – Dobra, ale ni cholery nie wim, jak to zrobisz, no chyba że najpierw wetkniesz je w ziemię...

– Nieważne, po prostu przynieś mi je. – Artha odszedł, a Gird przetrząsnął brzegi strumienia, aż wreszcie znalazł wierzbę. Naciął witek i zabrał je do obozu.

W połowie dnia rozejrzał się po kipiącym pracą obozowisku i uśmiechnął do siebie. Wokół słyszał zadowolone głosy, ktoś pogwizdywał nawet „Zbieranie orzechów w lesie”. Jego sierżant i ojciec mieli rację: nieróbstwo było radością głupców, to praca uszczęśliwiała. Triga wyplótł kosz z jednym uchem z witek przyniesionych przez Girda, a potem rozłożył go, by zrobić to „dobrze”, jak powiedział. Teraz znajdował się w połowie dzieła. Nie przypominało to żadnego z koszy, jakie Gird widywał w życiu, ale znać było, że będzie miało odpowiedni rozmiar. Lubiący strugać mężczyzna imieniem Kerin wyprodukował trzy łyżki. Zauważył, że potrzebowałyby czegoś do wygładzenia ich, wobec czego inny mężczyzna zaczął eksperymentować z kamieniami z kolekcji Girda. Ten ostatni do spółki z Arthą wykonał odcinek plecionki szerokiej na rozłożenie ramion i dwa razy takiej długości. Gird przyjrzał się jej pod światło – nie zatrzyma deszczu bardziej od koszyka, pomyślał. Ale może podtrzymać coś innego. Liście? Jelenią skórę?

Późnym popołudniem wróciły grupy aprowizacyjne. Najpierw przybyli myśliwi i zbieracze z najróżnorodniejszymi zdobyczami. Ptasie jaja z różnych rodzajów gniazd – małe, okrągłe i beżowe, szpiczaste i błękitne nakrapiane oraz beżowe w brązowe wzorki. Znaleźli króliczą norkę i choć

ślepe młode okazały się jeszcze bardzo małe, to przynajmniej było ich osiem. Fori strącił z drzewa wiewiórkę, odkryli też zamieszkaną przez nie dziuplę, co omal nie skończyło się nieszczęściem, kiedy wspinający się po pniu młodzieniec napotkał rozwścieczoną matkę. Zszedł szybciej, niż wlaził na górę, ścierając sobie skórę z przedramion.

– Ale przynajmniej wciąż mam nos – cieszył się.

Za radą jednego z mężczyzn wykopali korzenie pewnej trawy o grubych źdźbłach, porastającej brzegi strumienia w dole jego biegu. Ktoś przydźwigał uczynione z własnej koszuli zawiniątko pełne opadłych jesienią orzechów – część zgniła lub zdążyła już wypuścić kielki, ale reszta pozostała cała i słodka.

Grupa Ivisa przyniosła mniej jedzenia, za to parę innych skarbów.

– Gars twierdzi, że nigdy nie używał kamiennych narzędzi dziadka – nawet jego dziadek tego nie robił – ale spójrz... – Opróżnił swój mocno zużyty, skórzany worek. Gird z zaciekawieniem przyjrzał się dziwnie ukształtowanym kawałkom kamienia. Pamiętał, że widział u kogoś pęk podobnych narzędzi... a stary Hokka używał sierpa o małych, kamiennych ostrzach. Sam jednak nigdy nie korzystał z kamiennych narzędzi. – Są ostre – dodał Ivis, jakby odpowiadając na pytanie. – Gars uważa, że część z nich miała ręczki – drewniane trzonki – ale nie wiem, jak je przytwierdzano. Za to można nimi ciąć. – Niektóre faktycznie wyglądały na ostrza – cienkie, kamienne odłamki, przypominające gliniane skorupy. Inne sprawiały wrażenie z grubsza ociosanych brył o ostrych brzegach, niczym obuchy siekierek albo dłuta. Kerin trącił jeden z nich.

– Mógłbym ich używać... łatwiej wydrążyć miskę czymś takim, niż nożem... – Gird kiwnął głową; to rozwiązywało mu problem.

– Świetnie – wypróbuj je. Może zdołasz nauczyć używania ich kogoś innego... – Odwrócił się, by podziękować Ivisowi, lecz ten wciąż się uśmiechał.

– To nie wszystko. Popatrz tutaj... – Opatulone w mokrą tkaninę spoczywały rozsady popularnych warzyw: kapusty, sałaty... Rolnikom spodobał się pomysł, żeby banici sami uprawiali dla siebie żywność i dali mu tyle, ile był w stanie zabrać bez pozgnięcia daru. Inny członek grupy niósł mały, okrągły ser, a jego towarzysz sporą porcję łożu. Pomyśleli także o rzeczach, o których Gird nie mówił: pszczelim wosku, mydle, szpagacie.

– Ale najlepsze... – Ivis skinął głową ostatniemu podwładnemu, który wyciągnął spod koszuli okazałe zawiniątko. Było to zwinięte w kłębek ubranie w tak intensywnie niebieskim kolorze, jakiego Gird nigdy jeszcze nie widział.

– Co to jest? – zapytał.

Ivis wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiesz, że panowie zabraniają nam nosić niebieskie ubrania...

– Tak. Nigdy żadnego nie widziałem.

– Te są stare, z czasów mojego dziadka. Mawiał, że niebieskie były drogie

– potrzebny był do nich specjalny kamień z dalekiej północy – niemniej,

przed przybyciem panów kolor ten należał do najbardziej ulubionych.

Kolor szczęścia. Tak czy owak, mój brat mówi, że skoro na poważnie zamierzamy obalić panów, byłoby najlepiej, żebyśmy nosili niebieskie koszule.

Gird ostrożnie rozpakował tobolek. W środku znalazł dwie niebieskie koszule ozdobione wokół szyi bogatym, skomplikowanym haftem, wyobrażającym wielobarwne kwiaty i ziarna. Stara wełna była bardzo

mocna.

– Gdzie to trzymał? Najmniejszej dziurki po molach...

– Nie wiem. Mój brat jest najstarszy; wiedział o nich, a ja nie. Ale pamiętam opowieści dziadka. Jak myślisz?

– Myślę, że przyniosą nam szczęście – odrzekł Gird, pieczołowicie je składając.



## Rozdział 12

Pewnego pięknego, wietrznego dnia wczesnym latem Gird prowadził swych żołnierzy przez lasy na wschód. Było ich teraz dwudziestu czterech, a każdy miał przy sobie własną łyżkę i miskę oraz nóż u pasa. Wszyscy nosili plecione kapelusze, natłuszczone dla ochrony przed deszczem oraz kostury równe długością wzrostowi. Za pazuchą nieśli po trzy płaskie i twarde bochenki chleba. I maszerowali przez las cicho, z Diamodem na szpicy i Trigą zamykającym pochód jako straż tylna.

Szli na spotkanie z inną grupą Kamiennego Kręgu, oddaloną od nich o dwa dni drogi. Jak zwykle, to Diamod nawiązał kontakt. Obóz leśników pozostawili czysty i pusty; kilka dni wcześniej przenieśli cały sprzęt w inne miejsce, odkryte przez Girda. Ten miał ochotę pogwizdywać, lecz nie uczynił tego. Wszyscy dobrze sobie radzili, wliczając w to nowych. Zaskoczyło go przybycie trzech ochotników z jego wsi: przyjaciela Foriego, Orty – syna Terisa oraz Sigi, samotnego mężczyzny około dziesięć lat młodszego od Girda.

Przekazali mu najświeższe wiadomości: jak to zarządca przyszedł do domu Girda i zastał w nim gołe ściany. Przypisał to zuchwalstwu Girda, ale uczynili to mieszkańcy wioski, chowając wszystkie garnki, narzędzia i tkaniny. Girda zapiekły oczy, kiedy ujrzał, co przynieśli chłopcy: sąsiedzi postanowili wziąć na siebie ryzyko uratowania jego rzeczy, a potem posłali z nimi swych własnych synów. Niemożliwe do zastąpienia skarby: dwa młotki, trzy dłuta, szydło, siekiera, metalowa część szpadla, ośnik, strug, czajnik, warząchew, krowie skóry do rozpinania na ramie łóżka, bela materiału, na której wciąż widać było rdzawe plamy...

– Nie mogliśmy zabrać wszystkiego – wyjaśnił Orta. – Ale jest tego więcej, gdybyś wrócił, albo przysłał kogoś innego.

Myśląc o tym, wciąż piekły go oczy. Mruganiem przegnał łzy, nakazując sobie skupić się na wyprawie.

Ważnym jej elementem było wypatrywanie po drodze pożywienia. Odkąd pojawił się wśród nich, nauczyli się wykorzystywać wszystko, co nadawało się do jedzenia. Gird skosztował nawet żaby Trigi; był pewny, że ruszała się mu w przełyku, lecz musiał przyznać, że smakowała normalnie. Mniej więcej. Część banitów odmówiła, inni poszli jednak za jego przykładem. Nadal nie przepadał za żabami na obiad, lepsze to jednak od głodu. Teraz przepatrywał obie strony ścieżki w poszukiwaniu jadalnych jagód i owoców, ziół i grzybów. Fori, wciąż będący najlepszym procarzem w drużynie, obserwował drzewa w poszukiwaniu wiewiórek.

Gird żałował, że nie mógł zostawić z kimś Pidiego. Chłopak był za młody na to wszystko, powtarzał sobie, choć z drugiej strony, mógł być jeszcze młodszy. Siniec pod okiem zbladł, zostawiając jedynie cień, lecz rozdokazywany, beztroski chłopczyk odszedł na zawsze. Wyglądał na szczęśliwego – czasami śmiał się i biegał wśród drzew, niczym młody koziołek – lecz nigdy już nie będzie beztroski. Po pewnym czasie przeszłoby, ale... Gird potrząsnął głową, odpędzając tę myśl. Dla Pidiego nie było bezpiecznego schronienia. Dom nie okazał się bezpieczny. To przywołało wspomnienie Rahi. Przeszyła go czarna rozpacz. Straciła dziecko wskutek gorączki, a kiedy słyszał o niej po raz ostami, nadal była zbyt słaba, by wstać.

Wicher zaświszczał im nad głowami, chłoszcząc listowie i wpuszczając pod gałęzie rozbłysk słońca. Rumak Wiatru szuka na wiosnę Klaczy... –

pomyślał w rytmie pieśni. Późno, jak na wyprawy Rumaka Wiatru, ale cóż innego mogłoby to być? Uznał to za dobry znak i pozwolił wiatrowi porwać czarne myśli. Nigdy nie opłacało się dyskutować z bogami, z żadnym z nich.

Wieczorem uparł się, że tymczasowy obóz powinien zostać rozbity z taką samą dbałością, co stałe obozowisko. Nikt się nie sprzeczał. Fori przyciął drzewko na trzonek szpadla, dokładnie go przywiązał i zabrał się za kopanie rowu kloaczego. Nie mieli ogniska, ale ugotowaną poprzedniego wieczora fasolę zjedli z misek łyżkami. Nawet tak prosta strawa smakowała lepiej spożywana w ten sposób, a nie wygrzebywana palcami. Zanim zdążył coś powiedzieć, grupa obozowa pozbierała naczynia i sztucce i pozmywała je w płynącym nieopodal strumyku. Potem wszyscy rozebrali się i umyli.

Pełnia jego dokonań uwidoczniła się podczas spotkania z inną grupą Kamiennego Kręgu następnego popołudnia. Wyszli z lasu i zapuścili się między porośnięte drzewami wzgórza, wzdłuż krętego strumienia. Obca grupa wystawiła strażnika, który wyszedł im naprzeciw – co spotkało się z uznaniem Girda – lecz ich obóz czuć było na długo, zanim go ujrzeli. Zauważył, że jego ludzie także marszczyli nosy. Nie miał zamiaru wprowadzać ich w szyku, ale sami zrównali krok, formując kolumnę. Wkroczyli do kotlinki, ograniczonej z jednej strony skalistym urwiskiem, z drugiej zaś wysokim jak dom gąszczem, zajmowanej przez rozciągniętych przy ognisku zaniedbanych mężczyzn. Ktoś rozwiesił sznurek pomiędzy drzewami, na którym łopotało pranie, lecz Gird nie był w stanie dopatrzeć się choćby jednego całego ubrania. Jego żołnierze wbiegli na polanę truchtem i zatrzymali się jak na komendę, której

zapomniał wydać. Tamci gapili się na nich, wytrzeszczając oczy, niczym wyglądające przez bramę bydło. Sprawiający wrażenie przywódcy rudowłosa mężczyzna o złuszczającym się z nosa naskórku wpatrywał się w nich z takim samym osłupieniem, jak jego podwładni. Potem wstał z kłody.

– Nie wierzę. Diamodzie, mówiłeś, że to rolnicy?

Diamod uśmiechnął się krzywo.

– Mówiłem, że to byli rolnicy, którzy nauczyli się żołnierki. Miałem rację?

– Ty... ty musisz być Girdem. – Mężczyzna podszedł bliżej, z zainteresowaniem przyglądając się Girdowi.

– Zgadza się, jestem Gird.

– I byłeś żołnierzem?

– Wiele lat temu byłem rekrutem. Potem rolnikiem. Teraz... tym, kogo widzisz.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po kolumnie i przełknął ślinę.

– Trudno uwierzyć w to, co widzę. Jak długo ich szkoliliś?

Gird zmrużył oczy, myśląc.

– Od zasiewów. Kończyłem orać, kiedy to się stało.

– Nie powiedziałem im wszystkiego – wtrącił Diamod.

– I tak szybko osiągnąłeś tak wiele. Nauczysz nas?

– Możliwe. Ale to nie tylko maszerowanie.

– Oczywiście: szermierka. Czy może używacie włóczni?

Gird roześmiał się.

– Nie używamy mieczy ani włóczni – skąd niby mielibyśmy je wziąć?

Mężczyźnie zrzędła mina.

– Ale... czym walczyacie? Chyba nie patykami.

Nie zamierzał zrobić takiego wejścia, ani pokazu umiejętności swych ludzi, niemniej, nadarzała się szansa, której nie mógłby przegapić.

– Aruk! – zawołał. Za jego plecami "uniosły się dwadzieścia cztery kostury, trzymane nieruchomo przed sobą przez każdego z mężczyzn. Gird dał krok naprzód, tworząc niezbędną przestrzeń i dodał: – Formuj szyk. To było niebezpieczne, gdyż manewr ten wykonywali prawidłowo zaledwie od kilku dni. Za pomocą odmierzonych kroków i zwrotów musieli przekształcić kolumnę marszową w formację paradną. Każda para dawała krok naprzód i rozchodziła się na boki. Sprytniej byłoby kazać kolumnie wykonać zwrot w prawo lub w lewo, udając, że to ten sam manewr, jednak jeśli im się uda, wywrą znacznie większe wrażenie. Nie rozglądał się na boki – chciał zobaczyć, jak zareagują tamci. Z równego tupotu za plecami i ciężkich oddechów wnioskował, że wszystko szło dobrze. Sądząc po minach stojących przed nim obcych, wyglądało to w pełni profesjonalnie.

Obrócił się sprawnie i przyjrzał żołnierzom. Wszyscy stali we właściwych miejscach z kosturami trzymanymi pionowo przed sobą. Teraz będzie najciekawsze. Energicznie wydawał komendy, a pałki obracały się – w prawo, w lewo, poziomo, pionowo – w jednym rytmie, tworząc skomplikowany wzór. Dzisiaj nikt się nie pomylił; był z nich dumny.

– Ale... – zaczął rudzielec. Gird obrócił się do niego.

– Umiesz walczyć mieczem?

– Niezbyt dobrze, ale...

– Te kostury są dłuższe od mieczy. Nie możesz nimi fechtować z mieczami, ale możesz dźgać – tak samo, jak szturchasz bydło w zagrodzie. Myślisz, że trudniej przewrócić żołnierza, niż poruszyć krowę, jeżeli

prawidłowo zadasz cios?

– Cóż... nie. Ale myślałem...

– Jeśli chcesz uczyć się ode mnie... A właściwie, to jak masz na imię?

– Felis.

– Felisie, jeżeli chcesz uczyć się ode mnie, to pierwszym zadaniem będzie posprzątanie tego śmierdzącego obozu! – Nie zamierzał być tak obcesowy, ale powiew wiatru dopiero co napełnił mu płuca smrodem.

– Ale co to ma wspólnego z...

– Tak czy nie?

– No cóż, tak, ale...

Gird potoczył wzrokiem po zgromadzonych w obozie mężczyznach, z których większość wyprostowała się czujnie, wietrząc zwadę. Dwaj nie – opierali się o skałę, a trzeci kuczał przy nich.

– Co im jest? – zapytał.

Felis zerknął w tamtą stronę i wzruszył ramionami.

– Sim ma gorączkę, a Pirin biegunkę...

– A ty się pytasz, czemu smród jest ważny! Nie mieliście ubikacji tam, skąd pochodzicie? Czy babcie niczego was nie nauczyły?

Felis spąsował.

– Nie mamy prawie żadnych narzędzi, a tutaj, z dala od miasteczek, nie jest łatwo...

Gird prychnął. Był w świetnym nastroju, czując, jak słuszny gniew uderza mu do głowy, niczym krzepkie ale.

– Myśleliście, że wojaczka będzie łatwa? Myśleliście, że prowadzenie wojny będzie łatwe? – Jego sierżant często powtarzał te słowa. Miały dobry rytm. Felis zmierzył go wzrokiem, lecz nic nie powiedział. Gird

kontynuował: – Zapytajcie któregoś z nich – Ivisa albo Diamoda – czy my mieliśmy więcej, kiedy zaczynaliśmy. Zapytajcie ich, czy nasz obóz czuć z daleka.

Część mężczyzn wstała i zbliżała się do nich powoli. Gird nie wiedział, czy przybywali z odsieczą swemu przywódcy, czy prowadziła ich czysta ciekawość. Felis rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu wsparcia.

– Nie da rady – tutejsza ziemia nie nadaje się do kopania kloak.

Wystarczająco trudno zdobywać nam żywność i...

Włączył się wysoki mężczyzna.

– A co ty byś zrobił, przybyszu, gdybyś objął tutaj komendę? A może to tylko puste słowa?

Gird ostentacyjnie uniósł brwi.

– Chcecie, żebyśmy wam pokazali? Czy wolicie dalej tak żyć?

– Pokaż nam! – Felis splunął. – Dalej, przekonajmy się, czego dokonasz.

– Twoi ludzie muszą nam pomóc – oznajmił Gird. Felis wzruszył ramionami.

– Ja im. tego nie nakazę. Spróbuj sam.

– Czy oddajecie mi dowództwo? – Zapadła absolutna cisza; wszyscy wstrzymali oddechy. Felis zbladł i zacisnął szczęki. Potem rozłożył ręce.

– Na jeden dzień. To może być interesujące. Oczywiście, nie mamy czym was poczęstować na kolację. – Gird był pewny, że kłamał, ale uśmiechnął się.

– Przynieśliśmy własny prowiant; starczy go również na powrót – oświadczył. Po czym obrócił się do swoich ludzi i kazał im się rozejść – ... Do grup zadaniowych. – Następnie podniósł głos, by usłyszeli go wszyscy w obozie: – Macie dwa paskudne problemy. Pierwszy to nieczystości, od

których chorujecie. Potrzebujecie dobrego, głębokiego rowu daleko od strumienia.

– Ziemia tutaj jest kamienista – powiedział wysoki mężczyzna. – Nie możemy kopać w niej palcami.

– Fori. – Gird wyciągnął rękę i Fori podał mu ostrze szpadla. – Oto szpadel, o ile zaopatrzyacie go w trzonek. Ktoś może przyciąć tyczkę i...

– Ja to zrobię – zaofiarował się drągal. Obrócił się na pięcie i odszedł. Gird patrzył za nim przez chwilę, po czym kontynuował:

– Macie coś do noszenia? – zapytał grupę. Po chwili ciszy ktoś wskazał na wiszący nad ogniskiem czajnik i drewnianą miskę. Gird uśmiechnął się do nich. – To więcej, niż mieliśmy – oznajmił. – Brakowało nam czajnika.

Ale nie brudzimy naczyń. Trigo, potrzebuję parę koszy. Czy któryś z was wie, jak sieje wyplata?

– Mężczyzna wyplatający kosze? – zapytał ktoś, cicho gwizdząc. Gird wyciągnął rękę, powstrzymując Trige (ramię Trigi już tam było – przewidywalny jak zawsze).

– Nie śmieście się; Triga jest dobrym żołnierzem i wie, że zapasy pomagają wygrywać wojny. Uczcie się od niego. Potrzebujemy koszy, żeby przenieść te śmierdzące nieczystości do dziury, którą... – kiwnął głową w stronę wysokiego mężczyzny, który przyciął drąg i właśnie z nim wracał – ... w tym celu wykopiecie.

– Nie zamierzam ruszać tego świństwa! – parsknął ktoś z drugiej strony ogniska. Gird usłyszał szmer aprobaty oraz pełne rozbawienia chichoty jego ludzi.

– Ruszcie to świństwo, albo ruszcie się stąd – odparł Gird. – To was zabija i doskonale o tym wiecie.



– To nie wszystko – dobiegł z za jego pleców głos Ivisa. – Będzie nakazywał wam kąpiel, a kiedy któryś się zatnie, dopilnuje, żebyście przemyli ranę mydlanym korzeniem. Poza tym, nikt nie ma ochoty jeść w tym fetorze. Po prostu pozbądźcie się go.

Gird uśmiechnął się do swoich ludzi i podszedł do ogniska. Z czajnika unosiła się para, ale przez panujący smród nie mógł wyczuć, co było w środku.

– Co tam jest? – zapytał doglądającego ognia mężczyznę.

– Papka z ziarna. Jemy ją od miesięcy, chyba, że ktoś złapie we wnyki królika, albo znajdzie kępę jagód.

– Żadnego chleba?

Mężczyzna spojrzał na niego spod przymkniętych powiek.

– Jesteś gospodynią? Nigdy nie nauczyłem się wypieku chleba. Poza tym, wymaga to sprzętów, których tutaj nie mamy – Zdobędziecie je. – Gird poklepał rozmówcę po ramieniu i zostawił go oglądającego się za nim i rozgarniającego popiół, zamiast drew.

Teraz chorzy. Zdawał sobie sprawę, ile miał szczęścia, że spośród jego żołnierzy nikt jeszcze nie zachorował. Choć starał się pielęgnować matkę i Mali, o sztuce uzdrawiania wiedział bardzo mało. Oczywiście, czystość – wszyscy wiedzieli, że odór i brud przyciągały duchy gorączki. Najadały się i mnożyły w tym, co przyprawiało zdrowych ludzi o choroby. Niemal niemożliwym było utrzymywanie takiej czystości, żeby wszystkie odstraszyć (matka upierała się, że nawet plamka starego mleka mogła nakarmić wystarczająco wiele duchów, żeby zepsuły cały następny udój), niemniej, im czystiej, tym lepiej.

Im bliżej chorych podchodził, tym smród był coraz silniejszy. Jeden z nich

miął rumieńce gorączki na policzkach i z trudem oddychał. Zamknął oczy i nie zwracał uwagi na Girda. Drugi, blady i spocony, wymiotował; opiekujący się nim mężczyzna wycierał mu twarz. Gird poczuł szarpnięcie za rękaw i obejrzał się. Pidi był niemal równie blady, jak tamten.

– Po drodze zebrałem trochę gojącego ziela – może pomóc na gorączkę. Ale nie mam nawet krzty flaneli.

– Wrzątek – polecił Gird. – Poszukaj innego garnka i nabierz wody kawałek w górę strumienia. – Pidi odszedł, a Gird zmusił się do przykucnięcia koło chorych. Opiekun przeszył go wzrokiem.

– Nic dla nich nie zrobisz. Ten zemrze do rana; pomagaj mu głowę. – Gird wyciągnął rękę do gorączkującego mężczyzny, którego czoło przypominało rozpalony kamień. – A ten wyjdzie z tego za dzień czy dwa, niech tylko przestanie rzygać. Oddał już wszystko dołem, ale nie mogę zabrać go do wychodka, chyba że jakiś wykopiecie.

– Znasz flanelę? – zapytał Gird. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie jestem staruchą z talentem zielarki. A ty co, chłop czy baba? Gird złapał go za nadgarstek i ścisnął tak, że zazgrzytały kości. Tamten zbladł..

– Chłop, o ile to siła czyni mężczyzną. Ale ucieszyłbym się z kobiecego talentu uzdrawiania, gdyby miało to uratować komuś życie.

Sprowadzaliście uzdrowicielkę?

– Tak. Felis przyprowadził jedną ze wsi dłoń dni temu, kiedy był tutaj jeno Jamis. Ale ona była jak ty, strasznie wrażliwa na zapachy. Powiedziała, że zanim coś zrobi, będziemy musieli tutaj posprzątać. No to Felis powiedział jej to, co tobie i poszła sobie, zatykając nos.

Gird puścił rękę mężczyzny i podniósł mokrą od wymiocin szmatę.

– To mu nie pomoże, co najwyżej pobudzi do dalszych wymiotów. –  
Cisnął szmatę precz i odwrócił się z powrotem do chorego, który wbijał w  
niego spojrzenie oszalałego, zaszczutego zwierzęcia. – Spróbuję ci pomóc,  
jeżeli znajdziemy flanelę i zdołamy przenieść cię w czyste miejsce... –  
Zmusił się do ujęcia brudnych dłoni mężczyzny i zdołał nie wzdrygnąć się,  
gdy tamten je zacisnął.

– Proszę, panie... proszę...

– Spróbuję. – Gird przeniósł wzrok na ponurego opiekuna. – Możesz iść  
się umyć; zajmą się nim moi ludzie.

– Z przyjemnością. – Rozwścieczony mężczyzna odszedł, rozcierając  
zmiądzony nadgarstek.

Gird rozejrzał się dokoła. Herf z grupy obozowej podniósł śmierdzącą  
szmatę patykiem i niósł ją do strumienia. Spośród krzaków dobiegały  
donośne odgłosy wbijania szpadla w glebę. Podszedł Ivis.

– Chcesz ich przenieść? Mogę posłać kogoś po żerdzie...

– Owszem. Będę również potrzebował wiadra czystej wody, o ile jakieś  
znajdziesz. Czy ktoś oprócz Pidiego wie, jak wygląda flanela?

– Zapytam. Te szmaty na sznurku nie są całkiem czyste, ale z pewnością  
czystsze od tego... – Ivis pokazał na przemoczone gałgany pod dwójką  
chorych.

– Będziemy ich potrzebować, ale nie tutaj. Nie ma sensu ich brudzić. –

Gird po kolei rozwarł palce chorego i wstał. Pidi schodził ze zbocza z  
pełnym wiadrem – czy musiał iść aż tak wysoko, by znaleźć czystą wodę?

Wokół Trigi zebrała się grupka mężczyzn; pewnie pokazywał im, jak  
wyplatać kosze. Artha – kto mu to powiedział? zastanawiał się Gird –  
ostrożnie zgarniał do jakiegoś worka popiół z chłodnego obrzeża

paleniska. Kucharz wyglądał na wściekłego, ale nie przeszkadzał mu. Gird poszedł nad strumień i wzdrygnął się. Wyglądał, jakby wylegiwały się w nim świnie, a pachniał jeszcze gorzej. Na brzegach walały się pozostałości po długim obozowaniu. Roily się nad nimi muchy, wzbijając się chmurami, kiedy podchodził. Część nieczystości wpadła do wody i rozmiękła tak, że trudno było je wyłowić. Strumień był zanieczyszczony od tak dawna, że kamienie obrosły jasnozielonymi wodorostami, których żywy kolor stanowił dobitny dowód na stałe dostawy brudu. Najlepiej byłoby przenieść cały obóz, ale nie mógł zrobić tego sam.

– Fuj. – Diamod stanął za jego plecami. – Jest gorzej, niż pamiętam. Ale może to ty odmieniłeś mój nos.

– Cholerny wstyd – warknął Gird. Znow ogarnął go gniew, lecz tym razem był to gniew powolny i długotrwały, który będzie płonął w nim przez wiele dni. – Wystarczająco ciężko myśleć o wojnie z panami, ich żołnierzami i bronią. Nie możemy dodatkowo walczyć ze sobą. W żadnej wsi nie wygląda tak źle. Ci ludzie przybyli tutaj z lepszych miejsc. Powinni wiedzieć.

– My też, ale nie robiliśmy tego, dopóki nam nie kazalesz. Bądź sprawiedliwy, Girdzie i powiedz: czy kiedy byłeś chłopcem, robiłeś więcej, niż wymagał od ciebie ojciec? Albo twój sierżant?

– Dorosłem – burknął Gird, odpędzając wspomnienia młodszej rozpacz. Czy matka naprawdę musiała grozić mu biciem, żeby pomył skopki na mleko? Czy ojciec często spuszczał mu lanie za zostawienie brudnych narzędzi? Westchnął ciężko. – To prawda, byłem taki sam. Ale teraz są dorosłymi mężczyznami i powinni być mądrzejsi.

– Naucz ich tak, jak nauczyłeś nas.

– Szkoda, że nie mogę przenieść obozu. Natychmiast. W tej chwili.

Diamod uśmiechnął się.

– Może jutro. Patrząc na to, co robisz, może ci się udać.

Gird popatrzył markotnie na brud u swych stóp.

– Nie przeniesiemy tego wszystkiego dzisiaj. Chyba resztę trzeba będzie przysypać popiołem. – Obejrzał się i zawołał Arthę. – Może nie wystarczy, ale postaraj się posypać to wszystko popiołem. W górze i w dole strumienia. Tylko w nic nie wdepnij.

– Dobrze, Girdzie.

Udał się zobaczyć, jak idzie z rowami kloacznymi, mijając po drodze Trigę, który trzymał jeden ze swych „szybkich” koszy – płaski i przypominający łyżkę.

– Girdzie, byłoby szybciej, gdybyśmy mieli motykę, którą moglibyśmy przekładać to wszystko prosto do kosza. – Rozwiązanie stwarzające kolejny problem, pomyślał Gird, lecz jeden z tutejszych spojrział na nich z zaskoczeniem i powiedział:

– Mamy motykę, tyle że drewnianą...

– Wystarczy – orzekł Gird. – Triga, nie sędzę, aby udało się przenieść to wszystko dzisiaj, niemniej, zobacz, co da się z tym zrobić. – Mężczyzna pokiwał głową wyjątkowo nie robiąc ponurej miny. To z pewnością jedzenie żab sprawiało, że człowiek robił się drażliwy na punkcie pewnych spraw, okazując się jednocześnie tak rozsądnym, kiedy przychodziło do rozwiązywania problemów, uznał w myślach Gird.

Miarowy stukot szpadla zawiódł go do wykopu. Wysoki mężczyzna, który przyciął drąg na trzonek do szpadla, rył glebę zakrzywioną tyczką spulchniając ją dla kopacza. Czterech innych – dwóch Girda i dwóch

tutejszych – wybierało z ziemi kamienie. Rów był wystarczająco głęboki i prosty, ale nigdy nie wytrzyma nagromadzenia się, jakie miało miejsce na brzegach strumienia. Wystarczy za to do obecnych i przyszłych potrzeb.

– Fori... – Jego syn właśnie kopał; podniósł wzrok. – Potrzebujemy dołu na stare nieczystości. Wykopmy go głębiej w lesie, z dala od tego miejsca.

– Fori pokiwał głową i zarzucił sobie szpadel na ramię. Reszta patrzyła to na niego, to na Girda. – Artha przyniesie popiół; kazałem mu użyć tyle, ile ma, lecz zawsze można przynieść więcej.

– Czy Triga ma już kosze? – zapytał Fori.

– Tak, jak również motykę do ich napełniania. – Gird spojrział w niebo; niedługo zacznie się zmierzchać. – Nie skończymy dzisiaj, ale przynajmniej możemy zacząć.

Drągał oparł się na tyczce i przyjrzał Girdowi.

– Przypominasz mi tatę. On też zawsze zaczynał pracę od razu.

Gird uśmiechnął się.

– Po prostu przypomniał mi się mój ojciec. – Odwrócił się pewny, że Fori poradzi sobie z grupką mężczyzn. Do tej pory Pidi powinien już zagrzać wodę... Zapomniał, że posłał Ivisa na poszukiwanie kogoś, kto wiedziałby, jak wygląda flanela. A gdzie podziewały się grupy prowiantowe?

Po powrocie na polanę odnotował umiarkowaną aktywność. Pidi pochylał się nad kubłem parującej wody, gwarząc z tutejszym kucharzem, który miał teraz znacznie weselszą minę. Felis zdejmował pranie ze sznura. Ivis, Cob i Herf kucali przy chorych. Koło ogniska pojawiła się sterta chrustu; porozrzucane sprzęty zebrano w schludne stosy. Wyglądało to znacznie lepiej, a on mógł przemierzyć kotlinkę bez potykania się o kawałki drewna, albo czyjś przegniły but. Jego ludzie i tutejsi poruszali się tak,

jakby mieli coś do zrobienia i faktycznie to robili. Kucharz pomachał do niego i Gird ruszył do ogniska.

– Chłopak mówi, że jest twój – zgadza się?

– Tak. – Gird zmierzwił Pidiemu włosy. – Najmłodszy.

– Masz odwagę, żeby ciągnąć ze sobą chłopaka na wojnę.

Gird obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

– Nie miałem wyboru. Wyrzucili mnie z gospodarstwa, ponieważ mąż mojej żony próbował ją bronić... a ja uderzyłem jednego z nich... jak również Pidi, jeśli już o tym mowa, mimo iż jest jeszcze chłopcem.

– Och. Twoja córka... umarła?

Gird poczuł w głowie znajome pulsowanie; Pidi położył mu dłoń na ramieniu i dopiero teraz zauważył, że zwinął rękę w pięść.

– Nie. Żyje – tak przynajmniej słyszałem – ale straciła dziecko. I wciąż może umrzeć. Nie wiem.

Mężczyzna przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

– Przepraszam. – Po chwili, podczas której Gird starał się uspokoić, dodał:

– Chłopak przyniósł mi zioła do przyprawienia posiłku. I dzikie cebule.

Większość chłopców nie zna się na tym.

– Jego matka i siostra miały talent zielarstwa. Pidi szybko się uczy.

– Nie jest jeszcze gotowe, tato, ale może pomóc. – Pidi wskazał na parujący kubek, w którym Gird dopiero teraz dojrzał parzące się liście.

Wciągnął parę o ostrym zapachu.

– Przynajmniej ładnie pachnie. – Nalał trochę do miski i zaniósł chorym.

Będzie musiał pamiętać, żeby nie jeść z niej, zanim jej nie umyje. Ale Ivis znalazł drewniany kubek, z którego korzystał gorączkujący mężczyzna.

Gird ostrożnie przelał doń gorący płyn. Ivis i Cob rozebrali go i obmyli

czystą wodą. Gird nie miał pojęcia, co to była za gorączka; od mężczyzny biła kwaśna woń choroby, ale nie rozpoznawał jej.

– Obudzi się?

Ivis wzruszył ramionami.

– Otworzył oczy, kiedy po raz pierwszy dotknęliśmy go wilgotną szmatką, ale nic nie powiedział.

Gird przytrzymał parujący kubek pod nosem chorego. Mężczyźnie zadrgały nozdrza.

– Unieśmy go i przekonajmy się, czy jest w stanie pić.

Cob zrobił zaniepokojoną minę.

– Uzdrowicielka w naszej wsi zawsze powtarzała, że nie należy zmuszać do picia takich, co się nie obudzili.

– Tylko łyk. – Gird był pewny, że mężczyzna umierał, czuł jednak, że musi spróbować. Ivis uniósł go, a Gird przyłożył mu kubek do warg. Kiedy jednak spróbował nalać mu trochę do ust, napar wyciekł na zewnątrz. Gird westchnął. – Cóż. Spróbujemy ponownie, jeśli się obudzi.

– Myślisz, że się obudzi?

– Nie. Ale nie jestem uzdrowicielem; mogę się mylić.

Obrócili się do drugiego chorego. Gird pomógł Herfowi umyć go czystą wodą i ubrać w najczystszy strój, jaki znaleźli. Brzydził się dotyku lepkiej skóry tamtego – przypominała mu Issę, która tak często chorowała. Dali mu napić się wody; nie zwrócił jej, co natchnęło Girda nadzieją. Rozejrzał się po obozowisku i zobaczył Trige, dźwigającego do spółki z nieznanym mu mężczyzną kosze z nieczystościami do zarośli. Artha wrócił do ogniska, zgarniając kolejną porcję popiołu.

– Myślisz, że przyjmą poczęstunek? – zapytał Cob. Gird myślał o tym



samym. Zwyczajnie nie wiedział.

– Jeśli to zrobią, przed północą zaciągną się do naszej armii – orzekł z uśmiechem Ivis. – Wciąż uważam, Girdzie, że to tamten pierwszy placek zapewnił ci miejsce w obozie.

Gird odpowiedział uśmiechem.

– Byliście na to za twardzi. Osobiście stawiałem na wiewiórki Foriego.

Niemniej, znacie zwyczaj: jeżeli zjedzą naszą żywność, a my nie skosztujemy ich, przyjmują na siebie zobowiązanie, a my ochronę. A powiedzieli przecież, że nie podzielą się.

– Felis tak powiedział. Może żałować, że próbował być za sprytny.

– Możemy ich poczęstować. – Gird wstał i wrócił do ogniska. Bardzo fortunnie właśnie wróciła jedna z drużyn prowiantowych, radośnie dźwigając tuszę młodego świniaka.

– Jeżeli w tej sytuacji nie podzielą się jedzeniem – szepnął Herf – to są tak pomyleni, że nie chcemy ich u nas.

– Skąd go wzięli? – wymamrotał Gird. – Nie obrabowali czyjś chlewa, prawda? – Kiedy poruszenie uspokoiło się, dowiedział się, iż natrafili na stadko dzików, uczujące na grzybach i starych żołądźkach pod dębami. Jeden padł, szczęśliwie trafiony przez szkolonego przez Foriego procarza.

– Uznałem, że wystarczy dla nas, więc kiedy reszta uciekła, a ten padł oszołomiony, przydusiliśmy go do ziemi i poderżnęliśmy gardło.

– A reszta nie wróciła. Mieliśmy szczęście. – Gird przyjrzał się spryskanym krwią, brudnym, ale zadowolonym z siebie myśliwym, a potem potoczył wzrokiem po tutejszych, głodnych jak wilki.

– Upolowaliśmy go, ale zamieszkiwał wasze lasy – obwieścił donośnie, by wszyscy usłyszeli. – Podzielimy się nim z wami.

Tubylcy obejrzeni się na Felisa, który rozłożył ręce.

– W porządku, ale jedyne, co mamy, to papka z ziarna.

Gird odetchnął z ulgą. Obie strony powinny podzielić się jedzeniem; to tworzyło wzajemne zobowiązania.

– Z radością podzielimy się z wami tym, co mamy i przyjmujemy to, co macie wy. – Miał ochotę nalegać, żeby wszyscy – jego ludzie i tutejsi – umyli się przed posiłkiem, lecz przy tak zanieczyszczonym strumieniu było to niemożliwe. Zwołał swój oddział, kiedy kucharz i Diamod przygotowywali rożen do upieczenia prosiaka i przypilnował mycia rąk. Nikt nie wyrażał sprzeciwu; wręcz wydawali się dumni, mogąc zademonstrować lepsze zwyczaje od tubylców. Co doprowadziło do gwałtownego szorowania rąk przez tych ostatnich, a to z kolei wielce ucieszyło Girda.

Wkrótce woń pieczonej świni stłumiła smród obozu. Kucharz zebrał wytapiający się z prosięcia sos i dodał go do papki, doprawionej solą z sakiewki Girda. Zanim dzik był gotowy, Gird zdążył nieźle zgłodnieć. Dzięki pieczonemu prosiakowi, papce i chlebom, które ze sobą przynieśli, jedzenia było w bród, a rozmowy przy ognisku toczyły się w przyjacielskiej atmosferze. W pewnej chwili jeden z tutejszych wstał i ruszył w stronę strumienia.

– Skorzystaj z nowego rowu – odezwał się Gird. Mężczyzna zatrzymał się.

– Ale jest ciemno. Nie znajdę go.

– Cob, pomóż mu.

Mężczyzna otworzył usta w proteście i zaraz je zamknął. Cob wstał z żagwią z ogniska.

– Tędy – powiedział.

– Ale my zawsze... – zaczął mężczyzna, patrząc na Felisa.

– Posłuchaj ich – powiedział Felis. – Podzielili się z nami dzikiem; mogą nam mówić, gdzie mamy się wypróżnić.

Gird obudził się przed świtem. Odór przedostał się do jego snów, w których uciekał mrocznymi tunelami przed czymś o jadowitych kłach i smrodliwym oddechu. Jego ludzie leżeli pozwijani w kłębki pod dębami, gdzie najmniej śmierdziało. Tubyłcy powyciągali się przy ognisku. Gird poszedł do rowu, a potem wrócił do ogniska i rozgarnął popiół. Zanosilo się na pogodny dzień, ale rosa zmoczyła kamienie. Nie odważy się usiąść na nich, dopóki nie wyschną. Zajrzał do chorych i odkrył, że ten z gorączką zmarł w nocy. Drugi spał, bez trudu oddychając. Dorzucił drew do ognia, wziął wiadro i ruszył w górę strumienia. Wracając, spotkał Foriego z drugim wiadrem.

– Tak właśnie myślałem – rzucił młodszy mężczyzna. – Wiedziałem, że będziesz chciał więcej świeżej wody.

– Pięćdziesiąt kroków stąd do potoku wpada czysty strumyk. Poszedłem wzdłuż niego i znalazłem jeziorko... chyba jest tam źródło.

– To samo powiedział Pidi, kiedy go zapytałem. Felis pyta o ciebie.

– Tak? – Gird wrócił do obozu, ostrożnie stawiając stopy, by nie wychlapać wody z wiadra. Felis mógł obudzić się z jednym z dwóch planów, a Gird miał nadzieję, iż tutejszy przywódca okaże się rozsądny. Chociaż wątpił w to – trudno było nazwać rozumnym kogoś, kto tkwił we własnym brudzie. Poza tym, żaden mężczyzna nie rozstawał się łatwo z władzą.

Jednak Felis wybrał trzecią drogę, o której nie pomyślał Gird.

– Rozmawiałem ze wszystkimi – oznajmił, gdy tylko Gird pojawił się na

polanie. – Chcą pójść za tobą. Uważają, że wiesz, jak dowodzić armią. – Gird postawił wiadro przy ognisku i zamrugnął oczami. Nie spodziewał się, że Felis porozmawia z pozostałymi na osobności.

– A ty? – zapytał.

Felis zaczerwienił się; rudowłosym przychodziło to z łatwością.

– Żałuję, że nie dokonałem tego, co ty – wyznał. – Żałuję, że nie pomyślałem o tym wszystkim. Sam skupiłem się wyłącznie na walce – próbowałem nauczyć się szermierki...

Gird spojrzał mu w oczy.

– Chcesz pójść moją drogą, czy własną?

– Zostanę, jeśli mi pozwolisz.

– Zwiodłeś mnie – przyznał Gird. – Myślałem, że rozgniewasz się i odejdiesz.

– Czuję gniew – odparł Felis. – Ale postępowałeś uczciwie i nie chciałem mnie rozzłościć. Prawda?

– Nie. Przynajmniej... – przypomniał sobie wczorajszą wściekłość – ... przynajmniej na początku. To wyglądało na takie marnotrawstwo.

Podwładni Felisa obserwowali czujnie ich konwersację z oddali. Odprężyli się, kiedy Gird i Felis uścisnęli sobie dłonie.

Dzień spędzili na sprzątnięciu obozu, a nowi rekruci uczyli się systemu Girda. Kolacja nie była już taką ucztą, ponieważ tego dnia myśliwym nie poszczęściło się. Za to w obozie przestało tak śmierdzieć, a Pidi zaparzył choremu dwa kubki flanelli. Ten przynajmniej nie umarł i przez cały dzień nie wymiotował.

– Co teraz? – zapytał Felis, gdy tak siedzieli przy dogasającym ognisku. – Zamierzasz szkolić nas przez kilka dni, a potem przejąć kolejną

grupe?

Gird ziewnął i przeciągnął się. Był bardzo zmęczony.

– Nie – odrzekł. – Nie, mam inny plan. Kamienny Krąg musi nauczyć się żołnierki, ale nigdy nie zgromadzimy wystarczająco dużo banitów, by prowadzić wojnę. Musimy znaleźć sposób na przeszkolenie każdego. W domu. Podczas prac polowych, lepienia garnków i innych robót.

– Jak? – zapytał siedzący obok niego Cob.

– Jutro – odparł Gird. – Wyjaśnię wam wszystko jutro.

## Rozdział 13

Gird odkrył, że nowi szybko podchwycili pomysł cichego podróżowania ze zwiadowcami z tyłu i z przodu kolumny. Poprowadził ich wzdłuż strumienia, nad którym obozowali. Wyglądało na to, że chory wydobrzeje; nieśli go w siatce zawieszanej na drągu. Każdy niósł część ekwipunku, gdyż Gird nie zamierzał wrócić do obozowiska, dopóki nie oczyści się ono z upływem czasu.

– Przypuszczam, że będziesz kazał nam kopać kloaki przy każdym postoju? – zapytał Felis.

– Tak. – Gird gotowy był zgromić go spojrzeniem, lecz Felis tylko pokręcił głową i uśmiechnął się. Zatrzymali się w południe na odpoczynek w cieniu wzgórza, gdzie zarośla sięgały im zaledwie czubków głów. Powietrze nad zboczami drgało w skwarze lata, wydobywając z krzewów ostry zapach.

– Zdradzisz nam wreszcie swój plan?

Gird rozejrzał się po pozostałych. Wszyscy słuchali; ciekawiło go, jak zareagują. Czy nadarzy się lepszy moment? Nie sądził. Zamiast jednak bezpośrednio odpowiedzieć Felisowi, zapytał:

– Z iloma ludźmi zaczynałeś?

Felis zmarszczył z namysłem brwi.

– Nie ja to zacząłem... ale gdy przyszedłem, były trzy dłonie ludzi. Potem zmarł Irin, a potem dołączyło dwóch nowych, potem sześciu, ale jeden z nich wkrótce zginął; zranili go. Trzy – cztery dłonie – ilość ludzi wahała się.

– A ile jest grup i jakie są duże według ciebie?

Felis zaczął rysować na ziemi coś w rodzaju mapy, by lepiej sobie przypomnieć.

– Słyszałem o jednej na zachodzie – za twoją wsią... Diamod poszedł tam kiedyś i powiedział, że mieli mniej, niż dwie dłonie ludzi. Na północny zachód kolejna, ale słyszałem, że wszyscy zostali pojmani i straceni. Dwie dłonie, może trzy. Ktoś mówił mi o dużej grupie na południowym wschodzie – pięć – sześć dłoni ludzi, może więcej. Słyszałem, że mają pola i są w stanie samodzielnie się wyżywić. Gird pokiwał głową.

– Tak myślałem. Może być więcej grup, ale na tyle nielicznych, by rolnicy zdołali je wykarmić. Nie możemy utrzymywać się sami. Czyli dzień – dwa dni podróży między grupami, z których każda wykorzystuje dwie-trzy wioski. A wsie są zbyt ubogie. Cztery dłonie to duża grupa; pięć to zbyt wiele dla większości z nich. A bez odpowiedniej dbałości o otrzymywane pożywienie część się marnuje. Kilka lat temu Diamod powiedział mi, że Kamienny Krąg ma wystarczającą siłę, by prowadzić wojnę, ale dziesięciu żołnierzy tutaj, piętnastu tam, a dwudziestu jeszcze gdzie indziej nie stworzy armii. Muszą być razem. Zorganizowani. Wspólnie ćwiczący manewry.

– Ale nie rozumiem...

– Potrzebujemy Kamiennego Kręgu: miejsca, do którego mogą udać się wyjęci spod prawa lub pozbawieni gospodarstwa mężczyźni. Lecz jeszcze bardziej potrzebujemy armii. Armii, która będzie potrafiła wyżywić się podczas szkolenia, mieć gdzie mieszkać, w co się ubrać...

– To niemożliwe!

– Nie, nie zgadzam się. – Gird wędrował wzrokiem po twarzach. –

Wszyscy byliśmy gospodarzami, rzemieślnikami – utrzymywaliśmy się

sami, budowali domy – a wieczorami siadywaliśmy na podwórkach i rozmawialiśmy.

– Tak, a ty sam nie chciałeś mieć nic wspólnego z wojaczką, dopóki miałeś swoje gospodarstwo – zauważył śmiało Diamod.

– To prawda, ponieważ chciałeś, żebym wymykał się z wioski i uczył was musztry... Opuszczał dom i pracę, ryzykując podwójnym wykryciem, żeby szkolić obcych. Teraz twierdzą, że nie miałem racji. Lecz to, co powiedziałem wam wtedy, pozostaje w mocy. Przypuśćmy, że powiedzielibyście: „Pozwól, abyśmy nauczyli cię walczyć i bronić się tutaj, w twojej własnej wiosce, ciebie i twych najlepszych przyjaciół, żebyście ramię w ramię bronili swoich przed panami. " Nie uważacie, że moja odpowiedź mogłaby wówczas brzmieć inaczej?

Długa cisza. Diamod otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Felis wyrwał źdźbło trawy, przeżuł je i wypluł. Reszta milczała, choć na ich obliczach malowały się najróżniejsze myśli i emocje. W końcu przemówił Triga.

– Chcesz powiedzieć, że mamy iść do wiosek i uczyć rolników tego, czego ty nauczyłeś nas?

– To się nie uda – odezwał się zniechęcony Herf. – Nie może – panowie zauważą to, ich strażnicy również. Chłopi ćwiczą musztrę pod ich nosami? Do wieczora roznieśliby nas na włóczniach.

– Nie w każdej wsi stacjonują strażnicy – zauważył Ivis. – Gdyby wystawili wartowników, mających baczenie, czy nikt nie idzie...

– Co więcej – dodał Gird – pomyślcie, jak zbudowane są nasze wsie. Niemal każdy dom ma własne...

– Podwórce! – zawołał Fori i oczy mu pojaśniały. – Otoczone murem – nikt nie zobaczy, chyba że przez tylną bramę...



– Zgadza się – przytaknął Gird. – Podwórza. Wystarczająco duże, by kilku mężczyzn mogło na nich ćwiczyć musztrę i walkę kijami. Nikt nie zauważy wchodzących na podwórko ludzi, ani dobiegających stamtąd hałasów. Mężczyźni piją ale, dowcipkują... – Wtem poczuł w gardle łagodny smak płynu spływającego przełykiem, rozgrzewającego kości i sprawiającego, że starych opowieści słuchało się jak nowych.

Felis wydał wargi.

– Nie wszyscy w wiosce odważą się na to... Co z tymi, którzy odmówią? Co będzie, jeśli to zgłoszą?

– Zaczniemy pomału, od jednego, dwóch – mówił dalej Gird. Niech ludzie sami zdecydują, kogo jeszcze poprosić. W mojej wsi nikt nie doniósłby zarządcy, choć część nie wzięłaby udziału. Niech siedzą w domach. A gdyby nawet przyszli strażnicy, to co zobaczą? Grupkę ludzi, jak co wieczór gadających ze sobą i śpiewających.

Po ich twarzach widział, jak pomysł zapuszcza korzenie i rośnie.

Obserwował rozprzestrzenianie się idei w grupie. Uda się – wiedział to.

Pomysł przyszedł mu kiedyś do głowy z taką siłą, że aż obudził się z głębokiego snu. Planował go wypróbować, ale przeszkodziła mu napaść na Rahi.

– A więc tak: ty szkolisz nas, a my ćwiczymy z nimi. My sami zdołamy dotrzeć do pięciu-sześciu dłoni wioski, a gdyby w każdej wsi udało się wyszkolić cztery dłonie ludzi...

– Ale czy spróbujemy wprowadzić się do nich? Ktoś z pewnością zauważy...

Gird przytaknął.

– Wiem. Nie jestem pewny, co będzie najlepsze, za to wiem, że szkolenie

rolników w ich domach jest tego częścią. – Przeciągnął się z ulgą, że zdawali się podzielać jego punkt widzenia. – Teraz jednak każdy z was musi wiedzieć tyle samo, co ja i umieć przekazać to innym. A jeśli umiecie coś, czego nie umiem ja, powinniście mnie nauczyć.

– Nie umiesz wszystkiego? – zapytał przebiegle Felis.

– Nie. Nie umiem wyplatać koszy ani piec żab – Triga mnie tego nauczył.

– Triga rozpromienił się i uniósł pięść. – Wszyscy posiadamy tę samą wiedzę – przynajmniej wszyscy rolnicy. Lecz każdy z nas posiada specjalne umiejętności, coś dodatkowego, czym może podzielić się z innymi.

\* \* \*

Do Śródlęcia obie grupy potrafiły biegle władać kijami. Obozowali osobno, gdyż nadal nie byli w stanie wyżywić się razem. Jedno obozowisko znajdowało się po wschodniej stronie lasu, a drugie w pobliżu bagna Trigi (lecz nie w samym). Niemniej, przepływ informacji, umiejętności i zapasów był stały. Przez trzy dni ćwiczyli osobno, by czwartego trenować manewry większą grupą na trawiastym zboczu pod lasem.

W obu obozach było czysto i schludnie, jak w warsztacie dobrego rzemieślnika – i był to warsztat, jak często tłumaczył Gird. Kiedy pewnego dnia będą mieć armię rolników, trenujących na swych podwórkach, zostaną zmuszeni do obozowania na polach, a obozy te będą musiały mieć latryny, kuchnie, lazarety dla rannych i miejsce na zapasy. Tutaj, w małych grupach, mogli uczyć się, jak to działa, by potem pokazywać innym.

W miarę wydłużania się letnich dni zbierające żywność grupy przynosiły jej coraz więcej. Gird uparł się, żeby część zapasów zachowywać na czarną godzinę. Suszyli owoce na plecionkach z trawy, zbierali i młócili dziko rosnące zboża, kopcowali jadalne bulwy, szlifowali biegłość w strzelaniu z procy i rzucaniu kamieniami. Z łucznictwem było gorzej. Z czterech łuków, jakimi dysponowały obie grupy, jeden połamał się bardzo szybko, poza tym, nikt nie umiał wytwarzać porządnych strzał. Mimo to, najlepszym z nich od czasu do czasu udawało się ustrzelić ptaka lub królika. Każdy obóz dysponował własnymi żarnami i kiedy mieli zboże do zmielenia, piekli chleb. Gird rozważał warzenie ale, lecz naprawdę nie mogli pozwolić sobie na takie marnotrawstwo ziarna. Może po żniwach, pomyślał – najbliższa zima będzie wystarczająca zimna i paskudna, nie mogli więc zupełnie zrezygnować z ale.

Gird wymieniał ludzi między grupami zadaniowymi, obserwując, kto okazywał jakie umiejętności. Parający się snycerką, pewni przychylności publiki, pracowali nawet wtedy, gdy nie mieli takiego obowiązku, cyzelując łyżki i miski, warząchwie i uchwyty do garneków. Część mężczyzn nauczyła się używać kamiennych narzędzi, a jeden zaczął w wolnych chwilach obciosywać krzemień, by uzyskać nowe ostrza. Nikt już nie drwił z tych, którzy potrafili wyplatać użyteczne kosze lub schludnie naszywać łąty.

Podczas Letniej Biesiady z braku ale pili świeżo wyciśnięty sok z dzikich winogron i siedzieli pod gwiazdami, śpiewając tradycyjne, stare pieśni. Podobnie jak w przypadku Biesiady Zimowej nie wolno było rozpalać ognia, lecz noc nie była zimna i ciemna. Następnego ranka, leżąc wśród wysokich traw na świeżym powietrzu przedświtu, gdy słodkie zapachy

ziemi były dwakroć intensywniejsze, Gird żałował, że nie było z nimi kobiet. Pozostali także kręcili się niespokojnie, rozpamiętując tradycyjne zakończenie tych wszystkich starodawnych pieśni, kiedy to krótkie, nocne godziny spędzali na poszukiwaniu zwodniczych kwiatów, które według legend miały zakwitać tej jednej nocy, a potem świętując. Gird przypomniał sobie pierwszą noc Śródlecia spędzoną z Mali. Powiał lekki wietrzyk, niosąc jeszcze więcej zapachów. Przetoczył się na łokieć. Mali nie żyła, a on nie wrócił, ale nie mógł przestać o niej myśleć.

Oczywiście, nic to nie dawało. Zmusił się do wstania i obchodu obozu, w którym pozostali udawali, że śpią. Dwóch czy trzech, którzy naprawdę usnęli, ryzykowali niebezpieczne sny w noc Śródlecia. Chrapali, mamrotali do siebie i rzucali się niespokojnie. Nie budził ich, odchodząc dalej w ciszę nocy. Na trawie leżała rześista rosa, mieniąc się srebrem w blasku księżyca i powolnie nasilającym się świetle świtu, nadbiegającym falami barw ze wschodu.

Dwa dni później wracał ze wschodniego obozu, gdy tuż przed obozem spotkał go na drodze Diamod.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmił. Gird zatrzymał się. Sam ustanowił zasadę, że nie rozmawiali na szlaku, nawet podczas takich przygodnych spotkań. Jednak z miny Diamoda wywnioskował, że to coś ważnego.

– O co chodzi?

– Twoja córka, Raheli...

Girdowi zamarło serce i pociemniało w oczach.

– Nie żyje. – Pomimo dwóch otrzymanych raportów nadal się martwił, pewny, iż mogła umrzeć od otrzymanych obrażeń lub z żalości. Pracował jak najciężej, uciekając od rozmyślenia o tym, lecz jej twarz wciąż go

nawiedzała.

– Nie... ona wybiera się tutaj.

Ulga szła o lepsze z szokiem; poczuł, jak ziemia usuwa się mu spod stóp.

– Wybiera się? Masz na myśli – tutaj? Nie zatrzymali jej?

– Uczyniliby to z radością, ale ona nie chciała zostać. Przyszła tutaj i upiera się, że dołączy do nas.

– Nie! – Okrzyk był wystarczająco głośny, by wypłoszyć ptaki z leśnego listowia nad głowami i aby usłyszał go każdy leśnik. Gird ściszył głos. – To niemożliwe. Nie może...

– Przyjdź i sam jej to powiedz. Szła za mną od Ognistego Dębu... nawet o tym nie wiedziałem, dopóki nie doszedłem do lasu, a potem nie mogłem – uznałem, że nie powinienem – odsyłać jej z powrotem. Ani, że mnie posłucha.

Rahi żywa i na tyle sprawna, żeby móc tyle przejść – to więcej, niż mógł mieć nadzieję. Chciał ją zobaczyć, przytulić, upewnić, że znowu była zdrowa i silna. Przypomniawszy sobie krew na jej twarzy, ciele. Kiedy spojrzał na Diamoda, ten zdawał się rozumieć jego myśli, gdyż powoli pokiwał głową.

– Owszem, ma paskudną bliznę, ale wydaje się tym nie przejmować. Nie nosi chusty. I coś jeszcze – ubiera się jak mężczyzna.

Gird pokręcił głową i wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

Najbardziej uparta z jego dzieci – jak miałby ją przekonać, żeby odeszła?

Nie byłoby to łatwe, skoro zaszła tak daleko, a gdyby mu odmówiła, mógłby mieć kłopoty ze swoimi ludźmi.

– Co powiedziała ludziom? – zapytał Diamoda.

– Powiedziała, że jest twoją córką i musi cię zobaczyć. Mnie powiedziała,

że zamierza zostać, lecz kiedy odchodziłem, nie rozmawiała więcej z innymi.

– Dzięki Alyanyi i za to – mruknął Gird. Wzdrygnął się, skrzyżował palce, by odpędzić kłopoty, jakiegokolwiek by one nie były (a sam mógł parę wymyślić) i ruszył do obozu.

Mężczyźni w obozowisku byli bardzo zajęci, pieczołowicie unikając wysokiej, dobrze zbudowanej postaci w męskich spodniach i koszuli, siedzącej na kłodzie plecami do nich. Gird zatrzymał się, patrząc na nią. Z tej odległości i w tym odzieniu wyglądała jak chłopak z krótko obciętą potarganą ciemną czupryną (ścięła włosy!) i dużymi dłońmi, którymi strugała kij. Co robiła? Kiedy nauczyła się strugać?... a może umiała, tylko on o tym nie wiedział.

Podszedł do niej. Rzucane mu przez mężczyzn spojrzenia ostrzegły ją i obróciła się, po czym podniosła. Stała prosto, jak w dzieciństwie, kiedy spodziewała się kary – ze wszystkich dzieci przeciwstawiała się mu najczęściej. Ujrzał, jak bardzo otrzymany cios zrujnował jej urodę, zostawiając bliznę brzydszą niż u jej matki i wykrzywiając kącik ust. Złamana szczeka zrosła się nierówno. W oczach nie zostało nic, co błyszczało, kiedy była dzieckiem, dziewczyną i młodą żoną. Równie dobrze mogły być z kamienia. Nie było w nich cienia miękkości.

Nie mógł tego znieść. Nie mógł pogodzić się z tym, że jego ulubiona córka (przyznawał to przed samym sobą) tak na niego patrzyła.

– Rahi... – zaczął. Wyciągnął do niej ramiona i objął ją, pomimo tego, jak zeszywniała pod dotykiem jego dłoni. Odepchnęła go i stanęła bez ruchu. To było jeszcze gorsze. Wypatrywał w jej twarzy śladu dziewczynki, którą kiedyś była. – Przykro mi – dodał. – Nie sądziłem...

– Przyszłam tutaj, żeby zostać – oświadczyła, jakby recytując wyuczony na pamięć rytuał. – Przyszłam, żeby walczyć. Jestem silna. Nie mam... nie mam rodziny.

– Rahi! – Był przerażony. Ale ona mówiła dalej.

– Nie mam dziecka, męża, nie mam nic, prócz siły mego ciała i umiejętności mych dłoni. Przydam się i mogę walczyć.

Reszta mężczyzn zniknęła między drzewami. Gird nie miał do nich pretensji, wręcz przeciwnie: był im wdzięczny za okazany takt. Był również pewny, że słuchali pilnie zza osłony gałęzi.

– Nie wyjdę ponownie za mąż – ciągnęła Rahi. – Za bardzo... rzucam się w oczy. Wyobraź sobie stanięcie przed obliczem namiestnika albo zarządcy. A uzdrowicielki mówią, że ta gorączka, oprócz zabicia mojego... dziecka... mogła uczynić mnie jałową. Chcę coś zrobić... – Złamała strugany patyk i odrzuciła kawałki precz. – Coś, żeby z tym skończyć, żeby żadna młoda żona nie zobaczyła nigdy więcej, jak umiera jej mąż, a potem jeszcze usłyszała, że to była jego wina... – Podniosła na Girda wypełnione łzami oczy. – Muszę to zrobić, Girdzie, tutaj, albo gdzie indziej.

Nie nazwała go tatą, ani bardziej formalnie ojcem – zwracała się do niego tak, jak jego podwładni. Kolejny ból, jeszcze bliżej samego środka serca, gdzie drzemały pradawne więzi ojca z dzieckiem. Mruganiem przegnał łzy i otarł ręką te, które zdążyły spłynąć po policzkach. Brodę miał bardziej mokną, niżby oczekiwał.

Starał się zachować spokój.

– Rahi, kochanie, nie możemy mieć kobiet w obozie. Ani do walki... ani z innych przyczyn. To nie jest bezpieczne.

– Czy byłam bezpieczna, opiekując się własnym ogniskiem domowym? – zapytała gorzko. – Czy którakolwiek z kobiet jest bezpieczna? Czy będziemy bezpieczniejsze, kiedy najsilniejsi mężczyźni odejdą do lasów, żeby bawić się w żołnierzy? – Gird uchwycił się słabego punktu.

– To się zmieni; wymyśliłem sposób, dzięki któremu mężczyźni będą mogli ćwiczyć w domach. – Wyjaśnił jej szybko, zanim zdążyła się sprzeciwić, a gdy skończył, pokiwała głową. – Sama więc rozumiesz... – zakończył.

– Rozumiem – przerwała. – Rozumiem, że mężczyźni przejdą szkolenie, a potem zabierzesz ich na bitwę, pozostawiając kobiety bez ochrony.

– Nie to miałem na myśli!

– Ale tak właśnie będzie. Dobrze o tym wiesz. Pamiętasz, jak wiele lat temu powiedziałeś mi, że jestem równie dobra, jak każdy z twych synów? Po śmierci Calisa? Wiem, że wiele dziewcząt nie jest równie silnych... ale nie wszyscy mężczyźni dorównują siłą tobie, a jednak trzymasz tutaj Pidiego – małego Pidiego, którego mogę zarzucić sobie na ramię... I ty uważasz, że ja nie mogę tutaj zostać...

– Wiesz, że nie chodzi wyłącznie o siłę. – Gird aż się spocił; czuł spływające po żebrach strumyczki, a ręce miał śliskie od wilgoci. – Co z... no wiesz... z tymi wszystkimi kobiecymi sprawami...

Rahi wpatrywała się w niego przez chwilę; a potem parsknęła śmiechem.

– Och, tato... och, na łaskę Pani, nadal boli, kiedy się śmieję, ale... Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz!

– Nie wiem o czym? – Nie wyobrażał sobie, co tak śmiesznego widziała w problemach, jakie kobiety mogły sprawiać w obozie.

Machnęła lekko ręką, jakby starając się powstrzymać śmiech, lecz tylko



dostała czkawki.

– Matka nigdy ci nie mówiła? Przez te wszystkie lata myślałeś... – pokręciła głową, ponownie wybuchając śmiechem. Łzy pociekły jej ciurkiem z oczu. Wreszcie opanowała się. Zarumieniona od śmiechu znowu wyglądała jak jego córka, jak jej matka – przywróciła mu całe ciepło i radość, jakie Mali wniosła w jego życie. Gird patrzył na nią, rozdarty między gniewem a zachwytem. Wzięła głęboki wdech, podpierając się ręką pod bok i wyjaśniła: – Tato, kobiety mają swoje sposoby – zioła, wywary... wiesz, nie jesteśmy krowami, tylko ludźmi i rozumiemy nasze ciała. W złych czasach – a przyznaję, że wojna to doprawdy zły czas – dbamy o to i nie sprawiamy kłopotów. Nie mogę ci tego wyjawić – to nasza wiedza.

– Ale Issa...

– Och, Issa! – Rahi potrząsnęła krótko przyciętymi włosami. – Na pewne kobiety to nie działa, albo nie zadają sobie trudu... takie kobiety i tak nie nauczyłyby się wojaczki. – Zachichotała cicho, łagodnie. – Myślałam, że już nigdy nie usłyszę swego śmiechu, a tutaj proszę, ledwo cię zobaczyłam, a już okryłam się wstydem...

– Śmiech to żaden wstyd – odparł Gird. Chciał znowu wyciągnąć do niej ramiona, przytulić ją i zmierzwić jej czuprynę, jak czynił to, kiedy była dzieckiem. Teraz jednak była kobietą, która zbyt wiele wycierpiała, by nadal traktować ją jak dziewczynkę. – Nawet po smutku... to przychodzi, kiedy nikt tego nie oczekuje.

Rahi przytaknęła.

– Mama zwykła mawiać, że to sposób Pani na uczynienie życia znośnym. Śmiech przez łzy, twierdziła, to znak obecności Pani. – Poklepała go po

ramieniu dłonią niemal równie dużą, jak jego. – Cóż, rozpaczałam, śmiałam się i znowu nazwałam cię tatą, co nie powinno mieć miejsca, skoro mam zostać twoim żołnierzem. Ale zostaję.

I od tej decyzji nie mógł jej odwieść ani tej nocy, ani następnego dnia. Ciągnęli spór w pozornej prywatności obozu, gdzie niby nikt ich nie słuchał. W przerwach między starciami Rahi prezentowała swoje kompetencje, bez trudu wpasowując się we wspólny wysiłek i pracę. Gird zaczął dostrzegać skrywane uśmiešky i rzucane spod oka spojrzenia to na niego, to na nią. Skóra na karku piekła go ustawicznie od cudzego wzroku, a uszy paliły tak, jakby zanadto opalił je na słońcu. Rahi nie uczestniczyła w musztrze, lecz bardzo widocznie obserwowała ją i uczyła się komend. Po popołudniowych ćwiczeniach z kijami Ivis został, gdy pozostali rozeszli się do swych grup.

– Twoja córka... – zaczął, nie podnosząc wzroku.

– Tak? – rzucił Gird. Najwyraźniej będzie musiał porozmawiać o tej sprawie przed jej rozwiązaniem, co nie przyniesie niczego dobrego.

– Powiedziałaś nam.

– Tak. – Zdażył już o tym zapomnieć. Spojrzał na Ivisa, który patrzył ponad jego ramieniem. Powstrzymał się przed obejrzeniem się za siebie.

Czyżby Ivis patrzył na Rahi?

– Jest bardzo podobna do ciebie – oświadczył Ivis.

– Jest... jaka?!

– Podobna do ciebie. Zdecydowana. Silna... na różne sposoby. Gird chrząknął. Widział, dokąd zmierzała ta rozmowa i wcale mu się to nie podobało. Czy Rahi rozmawiała z nimi za jego plecami?

– Nic nie mówiła, ale to i owo niechcący usłyszeliśmy.

Gird zmrużył oczy, wpatrując się w jasne niebo między liśćmi i zadał sobie pytanie, dlaczego Mali nie urodziła mu samych chłopców. Życie byłoby o wiele prostsze.

– Chce zostać; doskonale o tym wiecie. Ale nie może. Jest uparta po matce. – I po mnie, dopowiedział w myślach. – Po obojgu rodziców – przyznał na głos. – Ale to niemożliwe.

Ivis grzebał paluchem w ziemi, kreśląc nim linie.

– Jest inna niż większość kobiet.

Gird prychnął.

– Jest taka, jak wszystkie kobiety. Chce czegoś i oczekuje, że to otrzyma. Jednak w jej przypadku to jest o wiele silniejsze. Jej starsi bracia zmarli na zarazę. Może to przez to, choć Mali – moja żona – również była bardzo stanowczą kobietą. – Zupełnie jakby wciąż żyła, w uszach zadźwięczało mu ostrzeżenie, którym poczęstowała go tamtej pierwszej nocy w zagrodzie. Nie będę uważała na to, co mówię, dla zadowolenia jakiegokolwiek mężczyzny, oznajmiła wtedy i dotrzymała obietnicy. Innych również. I tego samego nauczyła Rahi, o ile nauka mogła mieć coś wspólnego z czymś, co miało się we krwi. Czuł, jak burzyła się jego własna krew. Gdyby tylko Rahi była mężczyzną... ale wtedy mogłaby nie żyć, zostałaby za to jego (jej?) żona. Gird potrząsnął głową. To było zbyt skomplikowane, a jego obecna sytuacja była wystarczająco trudna. Jak ludzie mieliby szanować przywódcę, którego nie słuchała własna córka?

– Uważamy, że zasłużyła na to – jeśli podoła i okaże się wystarczająco silna...

– Wystarczająco silna! Oczywiście, że jest wystarczająco silna; nie w tym rzecz.

Ivis odchrząknął donośnie.

– Girdzie – właśnie, że w tym rzecz. Przynajmniej dla nas. Martwiłeś się o niektórych z nas, czy okażą się wystarczająco silni, by poprowadzić do walki lub dostatecznie odważni, gdy dojdzie do prawdziwej bitwy. Ona... jest twoją córką i wiemy, co się wydarzyło. Powinna tutaj zostać.

Gird przyglądał się mi.

– Tak uważasz? Ale, jeśli jej pozwolę... co z innymi?

Ivis znowu odchrząknął.

– Jedyne, co usłyszałem, to kiedy mówiła Pidiemu, że kobiety także mogą ćwiczyć w domach. Na podwórkach.

Na podwórkach, których jeszcze nie mam – pomyślał ze wściekłością Gird. Na podwórkach, które są bezpieczne – o ile faktycznie są – tylko dlatego, że mężczyźni zawsze spotykają się na podwórkach. Znowu przypomniawszy mu Mali i dzień ich ślubu, kiedy bez śladu zakłopotania stawiała czoła śmiesznym obrzędom. Czyżby kobiety w rzeczywistości kpiły sobie z mężczyzn tymi wszystkimi piskami i zawstydzeniem? Czy naprawdę byłyby w stanie – nie wątpił w Rahi, która mogłaby nawet dosiąść dzikiego rumaka, gdyby nadarzyła się ku temu okazja – nauczyć się walczyć, władać bronią, zabijać u boku mężczyzn?

Ivis przyglądał się mu czujnie.

– Powiedziała, że nie powinienem z tobą rozmawiać – oznajmił.

Gird spiorunował go wzrokiem.

– Wydawało mi się, że twierdziłeś, iż nie rozmawiałeś z nią!

– Bo nie rozmawiałem. A nawet gdyby, to ona nie rozmawiałaby ze mną. Powiedziała, że to sprawa pomiędzy nią a tobą, a ja powinienem trzymać się od tego z daleka.

– Rozkazywała ci, co? – Z jakichś względów rozbawiło go to. Rozumiał niechęć Rahi do cudzej interwencji i niezłomną determinację, żeby samodzielnie go przekonać.

Ivis uśmiechnął się, zauważając zmianę nastroju Girda.

– Jak widzisz, nie posłuchałem.

– Ilu zgadza się z tobą?

Ivis odprężył się jeszcze bardziej.

– Nie rozmawiałem ze wszystkimi, lecz każdy z moich rozmówców zadeklarował, że zgodziłby się na jej pozostanie w obozie.

Gird wymamrotał jedno ze starych przekleństw strażników, którego nie używał od lat. Ivis najwyraźniej nie znał go i nie rozumiał.

– W takim razie zmykaj stąd. Chcę z nią porozmawiać. – Ivis zniknął, jakby porwany przez magię. Gird rozejrzał się w poszukiwaniu Rahi. Tani była, mieląc ziarno spokojnie, niczym przykładowa żona przy domowym palenisku. Nagle odniósł wrażenie, że w piersiach otwiera się mu dziura, przez którą serce wypada na zewnątrz. Czy to możliwe, że zaraz robi to, co zamierzał? Przełknął ślinę i zawołał ją. Podniosła głowę, uśmiechnęła się i podeszła. Zauważył, że nawet w takiej chwili schludnie zsypała mąkę do miski i przykryła ją drugim naczyniem, żeby nie uległa zabrudzeniu. Tym razem zlustrował ją wzrokiem, jakby była prawdziwym rekrutem. Niższa od niego o grubość palca i szeroka w ramionach po Mali. Wychudzona z gorączki, lecz o silnych rękach. Przecinająca twarz szrama zanadto rzucała się w oczy, by posłać ją do wioski lub miasteczka, zachowała jednak nienaruszony wzrok i sprawność kończyn. Niektórzy jego mężczyźni byli gorzej wyposażeni. Stała spokojnie, nie próbując wszczynać sporu, ale też nie zamierzając odstąpić od swego zdania.

Determinacja była od niej jak żar z pieca.

– Nie sądzę, abyś zrozumiała, jakie to dla mnie trudne – zaczął bez zbędnych wstępów. – Widziałem cię leżącą u mych stóp w kałuży krwi. Nie wydaje mi się, abym zniósł taki widok ponownie.

Zbladła.

– Nie rozumiesz, jakie to trudne dla mnie – odparła. – To była moja krew. Straciłam męża i dziecko, a nie potrafiłam nawet odpowiedzieć jednym porządnym ciosem, żeby temu zapobiec. Wiem, że dłużej tego nie znoję – nie chcę być już taka bezradna. Nigdy. Albo mnie nauczysz, albo... sama nie wiem, ale jakoś się nauczę.

– I zginiesz, a ja nawet nie będę wiedział, gdzie – westchnął Gird. Znów czuł wzbierające łzy. – I będzie to moja wina, tak samo, jak moją winą było, że nie obroniłem cię przedtem. Stawiasz mnie przed ciężkim wyborem, Rahi. – Otworzyła usta, ale potrząsnął głową. – Zaraz powiesz to, co mawiała twoja matka: że żyjemy w świecie trudnych wyborów. Zgadza się. W tej kwestii przyznaję wam rację. Jeśli jednak to cię zabije, Rahi, to dołóż wszelkich starań, abyś nie zginęła dlatego, że nie opanowałaś tego, czego zamierzam cię nauczyć.

Jeśli triumfowała, nie dała tego po sobie poznać. Jedyne kącik oka zadrżał z zaskoczenia lub radości.

– Miałaś rację – ciągnął – zwracając się do mnie „Gird”, kiedy tutaj przyszałaś. Jeżeli zostaniesz wojowniczką, to nie dlatego, że jesteś moją córką.

Skinęła z powagą głową.

– Tak, Girdzie.

– A jeśli... jeżeli będziesz potrzebować... – Teraz w jej oczach rozblęskły

iskierki prawdziwego rozbawienia. Gird zgromił ją spojrzeniem. – Do licha!

– Girdzie, jeżeli z pewnych przyczyn nie uda mi się zostać wojowniczką, powiem ci o tym natychmiast i odejdę. Lecz jest to mało prawdopodobne, nawet bez mojej znajomości ziół. Tak powiedziała uzdrowicielka.

Ramiona rwały się, żeby ją objąć, ukoić, przywrócić obietnice dzieciństwa, jakie powinny mieć wszystkie dzieci. Ale było na to za późno. Sprawiała wrażenie zadowolonej z tego, co pozostawiło jej życie, on zaś nie miał już wyboru. Jej przyszłość nie była bardziej wątpliwa od jego, a jedyną kwestią pozostawało, pomyślał cierpko, kiedy wbiją ich na pale, nie czy.

Kiedy jednak powróciła do mielenia, a z rzucanych sobie w obozie spojrzeń wywnioskował, że wszyscy zrozumieli i zaaprobowali jego decyzję (nie wierzył, że większość z nich naprawdę zgadzała się z nim), mógł z lżejszym sercem wrócić do planowania. Gdyby zdołał rozpocząć szkolenia we wsiach, mieć pełne podwórka ćwiczących mężczyzn – umysł wpisał w tę wizję także kobiety, lecz szybko wycofał się z tego – po pewnym czasie zdołają przewyższyć liczebnością panów i ich strażników. Czy zjawi się jakiś strażnik? Pochodzili spośród chłopów. Czy uczyni im różnicę, gdy ujrzą wśród walczących swych przyjaciół i rodziny?

Wyobraził sobie szereg bitew, w których stojący w ordynku wieśniacy dotrzymują pola zbrojnym, odpierając ich kijami i szpadlami. Oczywiście, nie wiedział, czy kostury sprawdzą się tak, jak sobie wyobrażał.

Westchnął. Pora rozpocząć następny etap szkolenia. Wymyślił przygotowanie wypchanych słomą kukieł, przymocowanych do kłód i udających jeźdźców. Pomogłoby mu, gdyby kiedykolwiek jeździł konno i

wiedział, jak mocno jeździec potrafi utrzymać się na wierzchowcu.

Widział zrzucanych z grzbietów – pamiętał, jak sam próbował ujeżdżać cielaka – ale różniło się to od konnego, siedzącego pewnie w siodle.

Niemniej, powinno się udać. Gdyby nauczyli się wysadzać jeźdźców z siodła; mogliby przygotowywać zasadzki na konne patrole. Co ważniejsze, gdyby potrafili strącać jeźdźców z koni – nawet słomiane kukły przywiązane do kłód – łatwiej byłoby im przekonać rolników, że warto poświęcić czas na opanowanie walki kijem i musztrę.

W upalne, letnie dni, kiedy trawa rosła wysoko, a długie popołudnia były wolne, wykonanie kukieł powinno pójść bardzo szybko. Cob zasugerował obciążenie ich kamieniami. Triga wymyślił coś jeszcze lepszego: żeby posadzić na kłodzie żywego człowieka i ściągać go z niej powoli, aby zobaczyć, jak będzie spadał, a potem przygotować kukły w taki sposób, żeby zachowywały się podobnie. Eksperymentowali przez kilka dni, po kolei starając się utrzymać na kłodzie, kiedy reszta przyjaciół szarpała ich i ciągnęła z różnych stron. Kiedy przyszła kolej na Girda, zaczął zastanawiać się, czy będzie to przypominać jazdę na prawdziwym koniu i czy faktycznie zdołają się czegoś nauczyć. Z łatwością objął kłodę długimi nogami, lecz utrzymanie równowagi pomimo szarpnięć okazało się trudne. Po drugim upadku obserwował Ivisa, zajmującego jego miejsce.

– Nie potrzebujemy kukieł – oznajmił. – Wystarczy opatulić końce kijów pakułami i pamiętać, że to przyjaciel. On zaś powie nam, które manewry są najtrudniejsze do odparcia.

Jeździec – Ivis, potem kolejni – wyposażony był w trzciniowy „miecz”, którym wywijał energicznie, udając opór. Z początku powoli, potem w coraz szybszym tempie uczyli się, gdzie trafić konnego, by pozbawić go



równowagi. Zabawa stała się tak popularna, że Gird musiał przypominać im, iż były również inne metody walki – i typy nieprzyjaciół – do opanowania, bowiem w przeciwnym razie całe dni spędzaliby na wzajemnym zrzucaniu się z kłody.

Rahi wtopiła się w szeregi żołnierzy. Podczas pierwszych kilku dni Gird był bardzo świadomy jej obecności. Potem udał się do drugiego obozu, a kiedy wrócił, wyglądało, jakby zawsze tutaj była – jako żołnierz, nie jego córka. Nie unikała go, ale też nie spędzała wolnego czasu z Pidim albo z nim, a od Foriego wręcz stroniła. Brała udział w musztrze, nie popełniając więcej błędów, niż inne żółtodzioby. Zgodnie z jego oczekiwaniami, uczyła się szybko. Gird czekał, aż coś pójdzie źle, ale się nie doczekał. Zbliżały się żniwa. Potem w teren wyruszą poborcy podatkowi. Gird chciał przedstawić gospodarzom swój pomysł z podwórkami, zanim to nastąpi. Potrzebował do tego doświadczonych, dojrzałych mężczyzn, którym rolnicy zaufają jako podobnym do siebie. Musieli znać się na musztrze (choć nie oczekiwał od nich, że zdołają nauczyć ich zbyt wiele w krótkim czasie, jaki pozostał do żniw), żeby zrobić na nich wrażenie. I – co najważniejsze – musieli być dyskretni. Oczywiście, sam też pójdzie. Ivis został jego zaufanym porucznikiem, Cob tak samo. Diamod znany był w pięciu – sześciu wioskach jako organizator Kamiennych Kręgów. Felis, którego również brał pod uwagę, złamał sobie nadgarstek, spadając z kłody i wróci do formy dopiero po żniwach.

Po długich debatach Gird wybrał cztery wsie, żeby sprawdzić swój pomysł: Ognisty Dąb, Bronę (gdzie mieszkali gospodarze wspierający Felisa), Białe Drzewo, gdzie mieszkał brat Ivisa oraz Płycizny. Cob i mężczyzna z grupy Felisa udali się do Brony, Ivis do swojego brata, Gird

do Ognistego Dębu, a Diament do Płycizn. Mieli tam spędzić nie więcej niż dwie noce i porozmawiać z co najwyżej pięcioma osobami każdy.

## Rozdział 14

Powrót do Ognistego Dębu późnym popołudniem letniego dnia w roli aktywnego organizatora rebelii był czymś zgoła odmiennym od opuszczania go jako uciekinier z cieniem pomysłu na rewolucję w głowie. Dołączyli do strumienia rolników powracających z pól: żniwiarzy, którzy przed żniwami obchodzili zagony i upewniali się, czy kamienie graniczne nie zostały poprzesuwane oraz pasterzy, zaganiających wolno idące krowy do domu na dojenie. Nozdrza Girda rozdęły się – z przyjemnością powitał zapach krów. Nigdy nie rozumiał ludzi, którzy twierdzili, że krowy śmierdzą. Świnie śmierdzą, psy śmierdzą, czasami ludzie – lecz krowy wydzielały bogatą, przyjemną woń zadbanych zwierząt, żywiących się świeżą trawą i ziołami. Ich odchody nigdy go nie brzydziły. Ktoś – nie pamiętał już, kto – powiedział mu kiedyś, że człowiek powinien hodować tylko takie zwierzęta, których zapach uważa za przyjemny.

Gospodarze i pasterze z Ognistego Dębu doskonale wiedzieli, że są obcy, znali jednak Diamoda i słyszeli o Girdzie. Szli wolno brązową, pylistą drogą, nie odzywając się do nikogo. Dookoła toczyły się leniwe, tradycyjne pogwarki o przewidywanych zbiorach, podatkach, leku na ścierpnięcie kostek, czemu towarzyszył żart odnośnie przyczyn takiej dolegliwości, oceny krów, pogody i nadzwyczajnej ilości królików tego lata – ten dowcip skierowano do Girda, który świetnie go zrozumiał i wiedział, że lepiej będzie nie odpowiadać.

– Skaczą dosłownie wszędzie – powtórzył ktoś, sprawdzając, czy jednak nie podejmie wyzwania. – Są tak powszechne, że pomyślałbyś, że to ludzie.

Pojawiły się znajome domy, plecione płoty rozdzielające niewielkie ogródki i górujące nad nimi mury podwórek. Było jednocześnie obco i swojsko – tak podobnie do jego rodzinnej wsi, a jednak nie była to jego wieś... która również nie była. już jego. Gird wciągnął powietrze: chleb, ser, warzywa, ale... Ślinka napłynęła mu do ust. Wszędzie wałęsały się dzieci, zbyt chude, lecz jeszcze nie zagłodzone. Zauważyły obcych, lecz starsi przestrzegali je szybkimi gestami przed paplaniem o tym.

Minąłby dom brata Mali, gdyby Diamod nie szturchnął go w bok. W świetle dnia i od frontu wyglądał inaczej. Pamiętał ciężki, gorączkowy oddech Rahi na podwórku na tyłach domu i szare światło świtu, gdy otwierał tylną bramę. Teraz ujrzał niski płot okalający zapuszczony ogródek i wydeptaną ścieżkę do drzwi frontowych. A w drzwiach chudą dziewczynę o żółtych włosach, podtrzymującą zgięte ramię, jakby ją bolało. Zbladła i zniknęła w środku. Gird obejrzał się i zobaczył mrugnięcie Diamoda, po czym wszedł na podwórko.

Podszedł do drzwi, zdjął buty i zawołał:

– Giris?

Żona brata Mali, której twarzy prawie nie pamiętał z tamtej nocy, zapytała:

– To ty, Gird? Bogowie, co ty właściwie... wchodź, nie stój tam! – Gird podniósł buty i pochylił się, przechodząc przez niskie drzwi. W mrocznym wnętrzu byłoby chłodno, gdyby nie pałący się na palenisku ogień. W pełgającym świetle dojrzał Giris, przywartą do ściany pomiędzy krosnami a kołem garncarskim.

– Czy... Czy Rahi... ?

– Żyje, ma się dobrze i jest uparta jak zwykle. – Gird obejrzał się na żonę, która stanowczo zaciskała usta. W co się wpakował? Nie wypytywał Rahi,

co się tutaj działo, a może powinien.

– Myślałam... – zaczęła kobieta, po czym zamknęła usta, załamała ręce i dokończyła: – Myślałam, że zostawiasz Giris z nami. Że będzie nasza.

– Zgadza się – przytaknął zaskoczony Giris. – Tak mówiłem. I jestem za to wdzięczny.

Obrzuciła go twardym spojrzeniem, po czym odprężyła się lekko.

– Nie przyszedłeś po nią?

– Oczywiście, że nie! Czemu sądziłaś...?

– Raheli odeszła. Kiedy nie wróciła, uznaliśmy, że została z tobą, albo zginęła... choć nie słyszeliśmy, żeby ktoś został zabity. A potem pomyśleliśmy, że skoro chciałeś jej, możesz chcieć też Giris, ale ona...

– Nie jest Rahi. – Była dzieckiem choroby Mali, tą z bliźniaczek, która przeżyła, lecz nigdy nie miała tyle sił i wigoru, co jedynaczka. – Nie zabrałbym jej ze sobą. Giris, niechże cię obejrzą.

Giris podeszła do niego nieśmiało, choć bez niepokoju. Ramię zrosło się jej trochę krzywo, choć nie wyglądało tak źle, kiedy je prostowała. Ale stojąc, trzymała je ugięte, jakby wciąż nosiła je na temblaku, poza tym, było chudsze od drugiego.

– Wciąż cię boli? – zapytał. Pokiwała głową.

– Matka Fera – zerknęła na kobietę – mówi, że powinnam częściej nim poruszać, ale stawy mnie bolą, kiedy to robię.

– Daj mi sprawdzić. – Giris ujął ramię, świadomy jego szczupłości i lekkiego drżenia – nerwy? ból? – jakim zareagowała na jego dotyk. Powoli zgiął je i wyprostował, zatrzymując się, kiedy napotkał opór i usłyszał, jak wciąga powietrze. Wyczuwał jedynie zeszywnienie, ale nie był uzdrowicielem. – Jestem pewny, że twoja ciocia próbowała już gorąca i

okładów z ziół – oznajmił. – Ja też uważam, że dobrze będzie więcej nim poruszać. Czasami coś boli podczas leczenia. Myślę, że mogłabyś nią ćwiczyć przynajmniej kilka razy dziennie. – Z powagą pokiwała głową. Była cicha; zawsze była taka, najcichsza ze wszystkich jego dzieci, co nie znaczyło, że powcina. Po prostu cicha, w domu pełnym hałaśliwych dzieciaków.

Kobieta podeszła bliżej; sprawiała wrażenie spokojniejszej.

– Mieliśmy dla niej ofertę – powiedziała. – Twierdzi, że ma dwa talenty. Gird przytaknął.

– Tak. Po Mali odziedziczyła talent zielarstwa, a od Issy – żony mego brata – otrzymała talent haftu. Issa była również tkaczką, lecz zmarła, zanim Girdis zdążyła się nauczyć.

– Ja jestem tkaczką – oznajmiła kobieta. – Mogę ją nauczyć, o ile wyprostuje się jej ramię. Ale... czy pozwolisz nam zaaranżować jej małżeństwo?

– Oczywiście. Mówiłem wam: jeżeli w swej dobroci przygarniecie ją, zostanie waszą córką i wy będziecie mieli prawo zgodzić się lub odrzucić ofertę.

Usłyszał stukot butów na podwórku i stężał, lecz kobieta zawołała przez drzwi:

– Przyszedł Gird. Wszystko w porządku.

Po tej niezręczności nie spodziewał się, że brat Mali okaże tyle entuzjazmu wobec pomysłu szkoleń na podwórkach.

– Podwórza – oczywiście – rzucił. – Masz rację, Girdzie. Nie wiem, czemu nie pomyśleliśmy o tym sami. Chyba nie mieliśmy nauczyciela, to wszystko. Znam – niech pomyślę – dwie dłonie mężczyzn, którzy

natychmiast mogą rozpocząć szkolenie. Co z bronią?

– Najpierw musztra, potem broń – oświadczył Gird. Siedzieli z Barinem na chłodnych kamieniach na podwórku, popijając ale. Czuł już lekkie oszołomienie, wysysające zmęczenie z kości.

– Co z kobietami? – zapytał Barin.

– Mmm?

– Masz ze sobą Rani. Wszak jestem bratem Mali. Doskonale pamiętam jej charakter i ulgę, jaką poczuła rodzina, kiedy się oświadczyłeś. Czy weźmiesz kobiety jej pokroju?

Gird wzruszył ramionami.

– Ja tak, ale nie mogę zmusić do tego innej grupy. A ty?

– Nie podobałoby się, gdybym zobaczył moją żonę... Z drugiej strony, mogą ją usiec bez powodu, jak Rahi. Większość z nich i tak nie zechce, ale kilka... czemu nie?

Następnego wieczoru zagrodę Barina odwiedziło pięciu mężczyzn, prawdopodobnie po to, by dokończyć otwartą beczkę ale przed rozpoczęciem żniw – niedopita przyniosłaby pecha. Wymieniali się wioskowymi plotkami, dopóki gwiazdy nie zajaśniały na niebie. Wówczas przemówił Gird. Nie byli tak otwarci, jak Barin, lecz zgodzili się, że to dobry pomysł. Im dłużej go omawiali, tym bardziej przypadał im do gustu – tyle, że jedynie dwóch z nich uznało, że kobiety również powinny mieć prawo przyłączenia się do nich.

– Za dużo gadają – wyjaśnił jeden z nich. – Niech no tylko się wywiedzą, a cała wieś będzie wiedzieć i to przed nastaniem świtu.

Barin wybuchnął śmiechem.

– A kto zeszłej zimy zdradził sekret kochanki Kinvita?

Pozostali zawtórowali mu śmiechem.

– To nie była moja wina! – bronił się narzekający na kobiety mężczyzna. Gird zachichotał. Zawsze było tak samo – najwięksi plotkarze narzekali na gadulstwo innych. Ich opowieści zawsze były prawdziwe, a jeśli okazywały się odbiegać od prawdy, to nie z ich winy. Wreszcie mężczyzna dał spokój i zaśmiał się sam z siebie. – No dobrze – przyznał. – Byłem pijany i wymknęło mi się, co Kinvit i Lia wyprawiali od żniw. Postarałem się lepiej od najbardziej wścibskiej staruchy. – Nadal jednak sprzeciwiał się udziałowi kobiet w szkoleniu w wiosce. Gird nie naciskał na niego, pozwalając mówić Barinowi. Wszyscy wiedzieli już o Raheli i założyliby, że Gird miał własne powody, aby popierać obecność kobiet w armii. Co zresztą było prawdą.

W końcu mężczyźni postanowili zorganizować zebranie na podwórku i stopniowo werbować kolejnych rekrutów. Gird obiecał przysłać kogoś – „to niekoniecznie muszę być ja”, zaznaczył – żeby ich wyszkolił.

– Traktujcie go jak sierżanta – zakończył, lecz nawet w nikłym blasku gwiazd dostrzegł niechęć, jaką wzbudziło to miano, kojarzone z tyranią panów. – To jak chcecie ich nazywać?

Dyskutowali długo, rzucając kolejne propozycje i spierając się, dopóki jeden z nich nie zauważył:

– Zachowujemy się jak stado bydła, kręcące się w zagrodzie i czekające na komendę pasterza, który zagoni je na pastwisko.

– Komendant! – zawołał Barin, waląc się pięścią po udzie. – To jest dobre. Komendant. A my będziemy nazywać siebie...

– Włóścianami – oznajmił Gird. – Ta nazwa obejmuje wszystkich: rolników i rzemieślników. Wszystkich, oprócz panów. A z rozmowy nikt



nie wywnioskuję, o co chodzi.

– Podoba mi się – orzekł Barin. – Dzisiejszego wieczoru na podwórku spotkają się włościanie i komendant. Jak długo potrzebujemy tylko tych dwóch stopni...

– Ale mamy jeszcze jeden! – Girda znowu olśniło. – Komendant – to jeden z nas, który przybędzie, aby was szkolić. Lecz we wsi również potrzebujecie przywódcy: włościanina-komendanta. Pod wszystkimi innymi względami – włościanina.

– A pewnego dnia... – zaczął Barin. Nie musiał kończyć. Wszyscy dopili ostatnie ale i zatupali nogami na zgodę. Gird już to widział: napływ ludzi do Kamiennego Kręgu po naukę. Potem powrót do domów, by uczyć innych na podwórkach... a potem wyjście w pole, na bitwę, do której nieuchronnie musiało dojść. A potem powrót do pokojowego życia. Proces naturalny jak oddychanie lub następujące po sobie pory roku. Z doświadczenia wiedział, że ale czyniło sprawy prostszymi, niż wyglądały rano, jednak to akurat powinno się udać.

\* \* \*

Prawdziwa praca rozpoczęła się po powrocie do obozu, kiedy zasiadł do narady z pozostałymi emisariuszami. Wszystkie wsie okazały zainteresowanie, co nie było zaskoczeniem, skoro rozmawiali z ludźmi znanymi ze swej sympatii dla Kamiennego Kręgu. Jeszcze dwóch zauważyło, że rolnicy stronią od wojskowych stopni, typu sierżanta czy kapitana, nie zaproponowali jednak zamiennych określeń. Kiwaniem głowami powitali przedstawione przez Girda pojęcia komendanta i

włóścianina.

– Nadadzą się – orzekł Ivis. – Nie będą mieli nic przeciwko nim – nie kojarzą się ze strażnikami. A co najlepsze: możemy używać ich przy innych – choćby przy sierżancie strażników – i nie zorientują się, o co chodzi. – Gird przytaknął.

– Oni również tak pomyśleli.

– Czy wszyscy zostaniemy komendantami? – zapytał Cob. – Chodzi mi o to, że mogłoby to utrudnić nasze ćwiczenia tutaj.

– Jeszcze żaden z nas nie jest komendantem – powiedział Gird. – Część z nas może okazać się lepsza od pozostałych w uczeniu innych. Poza tym, wciąż jeszcze wiele nie wiemy. – W myślach zastanawiał się nad upływającym rokiem. Kiedy spadnie pierwszy śnieg? Kiedy zacznie się zima? Tej zimy powinni przeszkolić cztery podwórza, może więcej. – Po żniwach – podjął – musimy sprowadzić tutaj po jednym mężczyźnie z każdej wioski, żeby z nami ćwiczył i zobaczył, jak działają większe grupy. Po zapłaceniu podatków nie zwraca się uwagi na podróżujących do krewnych. W międzyczasie czekają nas własne żniwa: słyszałem, że znowu podniesiono dzierżawę, a nie możemy objadać naszych sprzymierzeńców.

W ciągu następnych kilku dni ćwiczyli krótko, większość czasu poświęcając na gromadzenie i składowanie żywności. Tym razem żadnego przypadkowego zbierania orzechów i jagód, tylko zorganizowane zbiory w lasach i na polach, które musiały zakończyć się przed pojawieniem się panów na polowaniach, co następowało po uiszczeniu podatków. Gird rozplanował sieć spiżarni zarówno w, jak i poza obozami. Jeśli którąś znajdą i zniszczą, pozostawała reszta. Nie mogli polować i ryzykować, że

przygotowujący łowy leśnicy dostrzegą dym lub poczują krew, pozostawało im jednak zbieranie owoców, bulw i jagód. Lebioda i cebula powędrowały do wyłożonych kamieniami dołów – ich własne zbiory okazały się bardzo obfite. Razem z nimi wylądowały inne korzenie, bulwy i orzechy, jak również jabłka, śliwki i suszone owoce, pęczki ziół oraz paski przydatnej kory. Kosze wypełnili ziarnem zebrany z skrajów wspólnych zagonów, wzdłuż brzegów strumienia i na bagnie Trigi. Gird obchodził te miejsca, sprawdzając zapelniające się magazyny i próbując przewidzieć, na jakie niebezpieczeństwa będą narażone.

Po żniwach panowie zaczną polować w wielkim lesie. Gird przeniósł wszystkich na wzgórze, gdzie ukrywała się grupa Felisa, a jedyną wartą zachodu zdobyczą były dziki. Jeśli będą trzymać się z dala od dąbrów i mieszkać niewygodnie w niskich zaroślach, powinni uniknąć przypadkowych myśliwych, polujących na dzikie świnie. Mężczyźni niezbyt narzekali. Gird znalazł im zajęcie nawet w sięgających piersi krzakach.

– Możemy potrzebować tutaj kryjówek, więc dobrze byłoby mieć ścieżki niewidoczne z przeciwnego wzgórza. – Wobec czego jego żołnierze pełzali i przeciskali się przez gęstwiny, wycinając ścieżki szersze od króliczych szlaków, na jakie się natykali. Rahi powąchała odcięte gałęzie krzaków i oznajmiła, że jej zdaniem część z nich miała kiedyś właściwości lecznicze, utracone wskutek suszy lub złej gleby. Zaczęła zbierać gałązki, korę i korzenie, z których gotowała gorzkie wywary. Potem zmuszała go do próbowania. Język stawał mu kołkiem – smakowały tak paskudnie, że musiały na coś pomagać. Jeden dekokt nawet wywołał u niego obfite pocenie się.

Wreszcie zaprzyjaźnieni z Ivisem leśnicy powiadomili go, że księżę z przyjaciółmi powrócił do miasta; do końca zimy las był ich. Do tego czasu zaczęły się jesienne deszcze, zamieniając ścieżki w zimne, szare błocko. Gird żałował, że nie miał kamiennego domu z wielkim, ryczącym ogniem paleniskiem. Kolana nie przestawał go rwać. W zamian musiał zadowolić się trzema zimowymi obozami: dwoma cofniętymi bliżej południowego stoku wzgórza i jednym w zagajniku cedrów i świerków. Jego ulubiony znajdował się w pobliżu rwącego strumyka z czystą wodą, małego, lecz w zupełności wystarczającego dla ich potrzeb. Gdy okoliczne drzewa zrzuciły liście, do obozu docierał blask nisko wiszącego, zimowego słońca. Drugie, znajdujące się bardziej na południe obozowisko leżało nad większym potokiem, obawiał się jednak wiosennych powodzi. Nawet podczas zwykłych, jesiennych deszczów musieli przeprować się na drugi brzeg po drewnianych balach. Ludzie nazwali ten obóz Wielki Potok, poprzedni Słoneczny, a najbardziej ustronny: Cedry.

Nikt nie uskarżał się, kiedy nalegał, by zabrali się do roboty, zamiast kulić się w kryjówkach. Nie wiedział, czy uczyli się myśleć o przyszłości, czy zwyczajnie godzili się z jego rozkazami. A choć teraz było mokro i zimno, zima okaże się o wiele gorsza. Wymyślone przez niego schronienia powstawały szybko: plecione ściany i dach, obłożone wszystkim, co zdołali znaleźć – głównie dziką trawą. Kiedy tak szarpali się z nią w przerwach między opadami, Gird zdał sobie sprawę, że powinien był kazać ją ścinać wcześniej. W przyszłym roku – pomyślał. Do tego czasu będzie potrzebował drugiej kosi albo nawet dwóch. I kilka sierpów. Od środka wysmarowali ściany błotem. Triga zasugerował coś innego: żerdzie oparte o pień drzewa i związane razem, a potem okryte plecionką, celem

uzyskania okrągłych, szpiczastych pomieszczeń. Po wybudowaniu dwóch takich sam przyznał, że wymagały one więcej pracy i miały mniej miejsca w środku, lecz oba stanowiły miłą odmianę, dając dodatkowe izby podczas zimy.

W trakcie prac przybyli na szkolenie nowo mianowani komendanci. Gird musiał przerwać budowę, by zapewnić im kilkudniowy, intensywny trening. Na nich jednak organizacja obozu wywarła niemal równie wielkie wrażenie, jak sama musztra. Co z kolei pomogło przekonać ostatnich malkontentów w szeregach jego żołnierzy, że taka organizacja była ważna. Nie mogła to być wyłącznie kwestia wygody, skoro imponowała obcym. Włóścianie-komendanci zostali z nimi przez dłoń dni. Ostatniego dnia Gird przedyskutował z nimi organizację i szkolenia podczas zimy.

– Chciałbym, aby do wiosny wasi włóścianie byli gotowi do ćwiczeń z kolejnym podwórkiem – oznajmił. – Przyjdzie czas, gdy będziemy musieli dysponować podwórkami zdolnymi do szybkiego zebrania się.

– Co z rekrutowaniem nowych podwórek? – zapytał komendant z Płycizn.

– Wiem, że nie zaryzykowałbyś tego we własnej wsi – słyszałem, że zarządca nadal jest wściekły na ciebie i tych, którzy za tobą poszli – ale znajdujemy się mniej, niż dzień drogi do Jastrzębiej Grani na zachodzie i niewiele dalej od Millburh wzdłuż strumienia.

Gird miał nadzieję, że nikt tego jeszcze nie zaproponuje; chciał upewnić się, że pomysł z podwórkami był dobry, zanim zacznie go rozpowszechniać. Ale nie mógł ich powstrzymać – nie byli jeszcze jego ludźmi – a jedynie przekonać do działania ukradkiem, jeżeli podjęli już taką decyzję. Z ciszy, jaka powstała, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią, skorzystał Barin z Ognistego Dębu.

– Moim zdaniem powinniśmy zaczekać, aż będziemy mieli co najmniej dwie, może trzy dłonie dobrze wyszkolonych włościan. Jak inaczej pokażemy im, o co nam chodzi? A jeśli – nie chcę wykrakać, ale jest to możliwe – jeśli okaże się, że nasi sąsiedzi doniosą panom, to lepiej, żeby wymordowali tylko parę podwórek, niż wiele.

Gird pokiwał głową, zadowolony, że nie on musiał to powiedzieć.

– Uważam, że Barin ma rację. Jeśli wasze podwórko rozrośnie się i będzie dobrze sobie radziło, a wy nabierzecie pewności, że to bezpieczne, to nie zakażę wam przekazać wiadomości innym wioskom. Lecz jesteśmy jak człowiek, który rusza w drogę z ciężkim brzemieniem: lepiej zrobić kilka wolnych kroków i upewnić się, że ciężar dobrze się rozłożył, niż ruszyć biegiem i wszystko pogubić. – Naśladował dłońmi upuszczenie ładunku i wszyscy wybuchnęli śmiechem. – Jedna wieś na raz. Osobiście sądzę, że lepiej będzie, jeśli tylko jedna osoba z podwórka będzie знаła imię włościanina-komendanta innego podwórka.

– A jeśli zginie?

– Każdy z was powie jednemu włościaninowi – nie temu, z którym zwykle pracujecie na polu – jak skontaktować się z nami. I poda nam imię tej osoby. Później wszyscy będą znali wszystkich, teraz jednak, jak powiedział Barin, jeśli któryś wygada, lepiej, żeby tylko paru zginęło.

\* \* \*

Po odejściu włościan-komendantów Gird i jego żołnierze wykorzystali dłoń dni pomiędzy ostatnimi jesiennymi deszczami a pierwszymi śniegami do przeniesienia i zmagazynowania jedzenia i zapasów otrzymanych od

rolników, narąbania i nagromadzenia drewna na ogniska i dokonania takich poprawek i ulepszeń ich schronień, na jakie pozwoliły czas i pomysłowość. Gdy pierwsze granatowe chmury przesłoniły jesienne słońce, obniżając temperaturę, Gird miał poczucie, że przygotowali się do zimy najlepiej, jak mogli.

Co nie znaczyło, że pomyślał o wszystkim. Jego własna studnia na tyłach domu zamarzała jedynie podczas najsroźszych zim i tylko po Śródzimiu. Czysty strumyk, będący jednym z powodów wyboru Słonecznego obozu, zamarzał przed Śródzimiem i musieli albo topić śnieg i lód na wodę, albo nosić ją (a był to zimny i ciężki ładunek, który często zamarzał przed doniesieniem go do obozu) z oddalonego źródła. Pomyślał o konieczności wykopania kloak, zanim ziemia stwardniała, nie przewidział jednak, że kopczyki piachu zamarzną i trzeba będzie rozbijać je na kawałki, żeby zasypywać nieczystości.

Dobłą stroną problemów było to, że pozwalały Girdowi znajdować zajęcia swym podwładnym. W wioskach próżniactwo prowadziło do kłótni i bójek. Tutaj takie tarcia mogłyby okazać się fatalne w skutkach. W związku z czym cztery grupy zadaniowe miały wyznaczone obowiązki, a kiedy tylko pozwalała na to pogoda, Gird wyganiał wszystkich z obozu ćwiczyć maszerowanie i manewry. Nieco inaczej podzielił grupy. Jedna przynosiła jedzenie ze spiżarni, a druga je przyrządzała, podczas gdy grupa obozowa musiała zajmować się ogniem, wychodkami i zapasami wody. Grupa narzędziowa naprawiała połamane i uszkodzone narzędzia oraz wytwarzała różne, przydatne w obozie przedmioty. Jedną z rzeczy, przysłanych przez rolników na prośbę Girda, była przędza; Rahi nauczyła kilku mężczyzn robić na drutach, wykorzystując do tego wygładzone

patyki. Był to rzadki talent, który uzyskała od żony brata Mali podczas pobytu u nich. Spodobało się jej bardziej od tkania.

Śródzimie stanowiło jeszcze inny problem. Gird zawsze wiedział, którego dnia odbywała się Biesiada, ponieważ zapowiadał ją wójt. Uświadomił sobie, że tutaj wszyscy to jego uważali za wójta, więc on powinien wiedzieć, kiedy rozpocząć świętowanie. Przyjrzał się szaremu niebu. Dni wciąż się skracaly, czyli nie pora jeszcze na Śródzimie. Czuł, że nastąpi to za jedną – dwie dłonie dni, nie miał jednak pojęcia, kiedy dokładnie wypadnie ten dzień, ani jak się tego dowiedzieć. Z drugiej strony, przegapienie biesiady było wręcz niewyobrażalne.

Zapytał innych. Większość uważała, że święto nastąpi „wkrótce”, jednak nikt nie znał dokładnej daty. Czy miało to znaczenie? Na tę myśl po szyi spłynął mu zimny strumyczek potu. Oczywiście, że tak – Śródzimie i Śródlecie były końcami osi, na której obracał się rok. Musiał się dowiedzieć. Musiał to odkryć. Kiedy pozostali zrozumieli, że nie wiedział, zaczęli przypatrywać się mu nerwowo.

– Jak dowiedziałeś się w zeszłym roku? – Nareszcie wpadł na pomysł, żeby zapytać Ivisa.

Ten zaczerwienił się.

– W zeszłym roku... cóż... poszliśmy wszyscy do którejś wsi i tam świętowaliśmy. – I zanim Gird zdążył postanowić, że mogliby postąpić tak samo, dodał: – Nie sądzę, żebyśmy teraz mogli tak zrobić – za dużo nas.

– To prawda, ale możemy zapytać. – Wioska Ivisa była za daleko, po drugiej stronie lasu, lecz któryś z nich mógł pójść do Ognistego Dębu i wrócić. Ku zaskoczeniu Girda, zgłosił się Fori.

– Mogę zatrzymać się u Barina i dowiedzieć o Girmis. Oraz podwórko.



Gird skinał głowę.

– Dobrze, tylko wróć przed Śródziemem.

Fori wyruszył następnego ranka z torbą prowiantu i modlitwami towarzyszy. Gird przyjrzał się patrzącym za nim twarzom i oznajmił:

– Skoro tak bardzo się cieszyacie, że wyszliście z obozu, łapcie za kije. – Usłyszał ogólny jęk, ale bez takiej rozpacz, jakiej oczekiwał.

Ćwiczenia z kijami posuwały się. Po wykurowaniu ramienia Felis zademonstrował wszystkim, czego nauczył się o szermierce. Gird podejrzewał, że nie było tego zbyt wiele, sam jednak nie zaszedł równie daleko. Jedyne, co wiedział, to jaka była długość mieczy strażników Kelaive'a. Zapytał innych. Zdaniem Ivisa, książę nosił dłuższy miecz, nie dłuższy jednak, niż od pasa do ziemi. Widział go kiedyś, jak stał, opierając się na wbitej czubkiem w ziemię klindze. Gird uznał, że miecz nie powinien być dłuższy. Zapytał jednorękiego kowala, który opowiedział mu o zakrzywionych ostrzach i szerokich klingach, zgodził się jednak co do długości. Co oznaczało, że dłuższy kij powinien poradzić sobie z mieczem – nie fechtując z nim i tracąc kolejne kawałki, odrąbywane stalowym ostrzem – trzymając zbrojnego na dystans, dzięki czemu szermierz nie byłby w stanie zranić władającego kosturem.

Brzmiało rozsądnie, ale musieli to sprawdzić. Gird nalegał, aby robili to powoli. Ostrożnie. W miarę możliwości żadnego łamania kości. Felis zebrał tych ze swojej dawnej grupy, którzy najlepiej opanowali szermierkę i stanęli naprzeciwko Girda, Coba i paru innych, którym Gird ufał, że nie stracą opanowania.

Kije nie dorównywały długością włóczniom, raczej laskom podróżnym lub pastuszym drągom. Na razie różniły się rozmiarami między sobą o mniej

więcej szerokość dłoni. Przez ostami sezon Gird obserwował je w działaniu, skrzętnie zapamiętując, co najczęściej szło źle, kiedy kije zderzały się ze sobą podczas musztry i jakie chwytły nie zapewniały pewnego trzymania. Teraz się przekonają, po wyzdrowieniu Felisa. Czuł się trochę głupio, stając z prawdziwym kijem naprzeciwko wymyślanego miecza, ale co innego mogli zrobić?

Felis potrząsnął drewnianym „mieczem” i zamachnął się na Girda. Ten obniżył kostur i wymierzył nim w Felisa, który ciął go „klingą”. Zanim „miecz” uderzył, Gird dziabnął nim prosto w twarz Felisa. Ten szarpnął się do tyłu, a miecz zatoczył przypadkowy łuk.

– Czekał – rzucił Felis. – Spróbuj jeszcze raz, tylko wolniej. – W trakcie bitwy nikt nie będzie niczego robił powoli, ale teraz tylko się uczyli. Gird skinął głową, pozwolił Felisowi rozpocząć swój zamach i dźgnął go ponownie. Felis znowu odchylił głowę, a wtedy Gird, korzystając z wytrącenia go z równowagi, dziabnął ponownie, tym razem trafiając delikatnie w pierś. Felis stęknął i wyprostował się. – Nie mogę... chyba jestem niewystarczająco dobry – ale jeśli ciągle będziesz tak dźgał mnie w oczy, to będę musiał się cofać.

– Niech spróbują Cob z Arvanem – zarządził Gird, cofając się i przepuszczając Arvana, który z bez cienia zapału zaatakował Coba „mieczem”. Cob był o głowę niższy, jednak dzięki długości kija wytrącił Arvana z równowagi.

– To zbyt łatwe – orzekł Felis, drapiąc się po gęstej, rudej brodzie. – Te patyki, których używamy jako mieczy, nie mają ciężaru prawdziwej broni. Cios odtrąciłby kij na bok...

– Na pewno? – Arvan zmarszczył brwi. – Cob, przytrzymaj go

nieruchomo... sprawdzę. – Uderzył mocno w kostur i zdołał go odepchnąć, zaraz jednak drąg powrócił na swoje miejsce przy niewielkim wysiłku ze strony Coba.

– Wyobraźcie sobie jednak, że jest więcej szermierzy – powiedział Felis. – Jeśli zaatakuje was kilku, nie będziecie mogli dźgać tylko jednego. Pozostali was skłują.

– Po to właśnie jest szyk – oznajmił Gird. – Jeśli zadziała. – Tym razem stanął z Cobem w rzędzie naprzeciwko Felisa i Arvana. Opuścili kije i dźgnęli nimi „szermierzy”, którzy musieli cofnąć, się, nieskładnie wymachując krótszą bronią.

– Pamiętajcie tylko – upierał się Felis – że nawet przypadkowe trafienie mieczem potnie wasze kije na kawałki. To nie będzie trwało wiecznie. Możecie wyrządzić nimi prawdziwe szkody?

– Nie wiem. – Gird ponownie szturchnął go w pierś. – Gdybym zrobił to odpowiednio mocno, mógłbyś się przewrócić, być może nawet ze strzaskanym mostkiem lub połamanymi żebrami.

– Przeważnie potrzeba zamachu, żeby kogoś ogłuszyć – włączył się do dyskusji obserwujący ich Triga. – A jak się zamachniesz, to dasz czas szybkemu szermierzowi, żeby do ciebie doskoczył i cię zabił.

– Poza tym, podczas zamachu możesz przeszkodzić towarzyszowi w walce z innym strażnikiem – wytknął Felis.

– Mmm. Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować czegoś takiego... Stój nieruchomo, nie uderzę cię mocno. – Gird dziabnął Felisa w twarz, potem w pierś, by wreszcie obniżyć chwyt i wziąć zamach kijem, niczym cepem. Lecz Arvan wybrał ten moment, żeby rzucić się naprzód i przyłożyć „miecz” Girdowi do szyi.

- Właśnie tak – orzekł z uśmiechem Felis. Gird zgromił Coba spojrzeniem.
- A gdzie ty byłeś, mój towarzyszu?
- Cob zrobił przygnębioną minę.
- Stałem i patrzyłem na ciebie, zamiast nie spuszczać wzroku z Arvana. Sporo nauki przed nami, włościanie.
- Możemy zaostrzyć końce naszych kijów i utwardzić je w ogniu – zaproponował Triga.
- I tak nie przebiją żadnej zbroi. A nawet jeśli, to utkwi tam, a ja będę stał nad nabitym na czubek broni trupem i głupio wyglądał. – Gird energicznie podrapał się po brodzie, jakby miało mu to pomóc w uporządkowaniu myśli. – Sądziłem, że jeśli uderzymy wystarczająco mocno w pierś albo brzuch to powalimy ich, a może nawet pozbawimy przytomności.
- Trzeba celować w twarz – to zmusi ich do cofania się w obawie przed utratą oka...
- To prawda, ale... – Gird zastanawiał się już nad tym. – Musimy znaleźć sposób, żeby ich zabić, albo spędzimy cały dzień na poszturchiwaniu ich. Myślałem nad rolniczymi narzędziami – łopata, motyką, kosą – ale trzeba brać nimi zamach. A przecież sami mówicie, że każda broń, którą będziemy musieli się zamachnąć, będzie gorsza od miecza?
- Felis przymknął oczy i zaczął przecinać „bronią” powietrze. Gird zagapił się na niego, po czym pojął, że tamten wyobrażał sobie walkę z różnymi narzędziami. Po jego ruchach starał się odgadnąć, z jakimi, lecz oprócz sierpa (krótki zamach z ciosem w nadgarstek) nie był w stanie się domyślić. Felis otworzył oczy, wykonał kilka ruchów „mieczem” i uśmiechnął się.
- Myślę, że mamy szansę z motyką i może z kosą, choć trzeba by

poprzesuwać uchwyty. Ale nie będzie łatwo.

Gird wydał z siebie pełne dramatyzmu westchnienie.

– Nic nie jest łatwe. Gdyby było, ktoś zrobiłby to dawno temu.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia ćwiczeń przemówiła Rahi.

– A może dwie – trzy osoby działałyby razem? Jedna, uzbrojona w kij, odwracałaby uwagę szermierza, a druga i ewentualnie trzecia atakowałaby bardziej zabójczą, choć wolniejszą bronią.

– Pomysł dobry, ale pod warunkiem, że będziemy mieli przewagę liczebną nad wrogiem – powiedział Felis. – Lecz w trakcie bitwy...

– Zaczekaj – włączył się Gird. – To może się udać, a stając z drewnem przeciwko stali, lepiej, żeby było nas więcej od nich, Felisie. Wypróbujmy to.

Felis wzruszył ramionami, lecz wystąpił naprzód. Tym razem Rahi stanęła u boku Girda z sierpem. Zajęła miejsce po lewej, zaraz jednak zerknęła na trzymany sierp i szybko zmieniła stronę w chwili, gdy Gird runął na Felisa. Ten cofnął się, zmuszony do skupienia uwagi na celującym mu w twarz kiju. Kiedy zaatakowała go Rahi, próbował zamierzyć się na nią, lecz kostur natychmiast dźgnął go pomiędzy ramieniem a nasadą szyi. Arvan skoczył na Rahi, lecz chybił, kiedy kij Coba trafił go w pierś, a potem zagroził twarzy. Rahi z łatwością uniknęła nieskładnych zamachów Felisa i przytknęła mu czubek sierpa do boku. Potem powoli, lecz płynnie odwinęła się, okręciła na pięcie i trafiła Arvana w brzuch. Wszyscy zatrzymali się i wyprostowali.

– W zwolnionym tempie działa – rzucił z powątpiewaniem w głosie Felis.

– Ale nie mam pojęcia, jak ćwiczyć to szybciej i nie pozabijać się nawzajem.

– Nadal potrzebujemy kogoś z kijem na każdego strażnika z mieczem. – Gird podrapał się i przyjrzał kosturowi. – I kogoś za jego plecami z inną, bardziej zabójczą bronią. Choć kije też potrafią zabić, rzecz jasna. Coś mi jednak umyka. A wam?

– Cóż... widziałeś kiedyś starodawną sztukę walki na kije, demonstrowaną na jarmarkach? – zapytał Cob.

– Nie – na jedynym jarmarku, jaki odwiedziłem, był tylko jeden zapaśnik, nie tak dobry jak ty, oraz mężczyzna rzucający nożami.

– Początek przypominał taniec – opowiadał Cob. – Jeden mężczyzna grał na bębenku, a oni uderzali kijami o siebie. Ładnie to wyglądało, jak podziwianie koni na polu. Potem przyspieszyli, a ja uświadomiłem sobie, że to jakaś odmiana walki. Dowiedziałbym się więcej, ale miałem kilka walk przed sobą, a przyjaciele postawili na mnie. Zaczepiłem jednego z nich później i powiedział mi, że to stara sztuka, o której wiedzieliby nasi prapraprapradziadowie.

– Pamiętasz coś z tego?

– Tylko pierwsze kroki, te z wolnej części. Niemniej, i tak byłoby to dobre ćwiczenie. Przyzwyczai nas do uderzeń w kije.

Nauczenie się pokazywanych przez Coba ruchów zajęło Girdowi więcej czasu, niż oczekiwał; kostki palców bolały go, jakby ktoś przyłożył mu w nie młotkiem. A przecież obaj uważali. Triga, który również był na tym jarmarku i uważał, że bardzo dobrze pamiętał tamtą walkę, zaczął szybko i skończył na żalonym ssaniu poobijanych kłykci. Przynajmniej nie złościł się – ale od wielu dni nie jedli żab. Arvan szybko podchwycił ruchy, Felis także, lecz Padug – inna gwiazda szermierki Felisa – okazał się wolniejszy od Girda. Przed powrotem Foriego z wiadomością, że Zimowa Biesiada

powinna odbyć się za osiem dni, większość z nich nadal jeszcze potykała się podczas wykonywania nowych ćwiczeń.

Samo Śródzimie okazało się najzimniejsze i najciemniejsze ze wszystkich, jakie Gird przeżył. Dzięki łasce Alyanyi nikt nie zachorował, nie było więc pretekstu do rozpalenia ognia. A w rytuałach Śródzimia zawsze uczestniczyła cała rodzina – każdy jej członek miał do odegrania swoją rolę. Przepytał ludzi i ustalił, kto był najstarszym synem, kto najmłodszym, kto w ogóle był najstarszy, a kto najmłodszy. Rahi musiała przejąć wszystkie role kobiece; Gird miał nadzieję, że bogowie rozumieją i zaaprobują ich intencje, nie wymagając dokładności, jaką jedynie kompletna rodzina mogła zapewnić.

O zmroku pierwszego wieczoru wszystkie ogniska zostały zagaszone, a paleniska zamiecione do czysta. Woda, ogień, rytualna ziemia (choć nie mieli ogrodu, ani ornego pola), z którymi obchodzili się z należnym szacunkiem – wytworzyły atmosferę poszanowania i zrozumienia, unosząc się nad wszystkimi w mroźnym powietrzu. Nikogo nie zdziwiło, że Rahi pamiętała wszystkie kobiece wersy – kiedyś była najmłodszą córką, potem najstarszą, a po śmierci Mali i jej zamążpójściu, przedstawicielką Alyanyi w domu Girda. W końcu wszyscy razem, trzymając się za ręce nad symbolicznym światełkiem, odśpiewali Pieśń Mroku. Miało to miejsce w samym środku nocy, gdy wysoko nad głowami błyszczał Naszyjnik Torre. Do świtu opowiadali sobie wszystkie pamiętane z dzieciństwa historie, tuląc się do siebie. Oddechy srebrzyły się w blasku gwiazd. Potem – najlepszy możliwy omen – nastął pogodny świt Dnia Śródzimia i Rahi ułożyła z gałązek okrągły wzór pod nowe ognisko. Utworzyli wielki krąg, trzymając się za ręce i patrzyli, jak rozpala je

szczęśliwą, trzecią iskrą.

Zorganizowali sobie prawdziwą biesiadę, gdyż Gird zachował plaster miodu, którym hojnie polewał teraz placki i zbożową papkę. Poza tym, upolowali jelenia – bezpiecznie, na długo po powrocie panów do miasta. Ucztowali wygodnie, przy huczących ogniskach, spędzając tak drugą długą noc, śpiewali więcej pieśni, niż Gird kiedykolwiek słyszał. Jedyne, czego brakowało, to ale; tęsknił za ciepłem w gardle i żołądku, lecz nie za porannym bólem głowy.

\* \* \*

Reszta zimy była trudna, lecz nie tak, jak się obawiał. Gdy zaczęły się roztopy, a z mnóstwa sopli skapywała woda, nadal wszyscy byli zdrowi. Nikt nie odmroził sobie palców, nikt nie nabawił się zapalenia płuc. Dwa razy udało się mu wysłać ludzi do czterech pierwszych podwórek, by sprawdzić postępy w szkoleniu. Prawie wszędzie było po pełne trzy dłonie ćwiczących, w Płyciznach – pięć. I nadal werbowano ludzi, choć ostrożnie. W Ognistym Dębie wykryto mężczyznę, który myślał, że Kelaive zapłaci mu za ujawnienie imion buntowników. Zmienił zdanie – zameldował Barin – kiedy osobiście wytłumaczyli mu, że się mylił. Raport Foriego o naturze tego tłumaczenia był pełniejszy – podwórze wyraziło swoją opinię siłą i człowiek przez jakiś czas będzie kulał. Gird skrzywił się, lecz zaaprobował sposób. Lepszy jeden pobity od wielu martwych – czy choćby jednego. Poczuł się trochę lepiej, kiedy nieco później dowiedział się, że osobą, która rozbiła tamtemu; garnek na głowie, była jego własna żona, obecnie zaprzysiężona członkini podwórka.



Płycizny doniosły, że założyły kolejne podwórze – w Millburh. Rozwijało się powoli, ale znajdowała się tam placówka straży, niemal fort. Musieli zachowywać ostrożność. Kiedy pogoda uległa poprawie, podwórko w Popielnych, dawnej wsi Felisa, powiadomiło ich, że oni także nawiązali kontakt z inną wioską – Trzema Strumieniami, która z kolei przekazała wieść do dwóch dalszych wsi. Zaraz po wiosennej orce podwórza te przyślą wybranych włościan-komendantów, by szkolili się z głównymi siłami.

Wszystko rozwijało się szybciej, niż Gird oczekiwał. Wciąż nie mógł uwierzyć, że przebywał z dala od domu od niemal roku i wciąż żył, więcej, przewodził rosnącej grupie poszkodowanych wieśniaków, stanowiącej załóżek armii. Jak dotąd, nie mieli żadnego starcia z panami, ani kłopotów ze strażnikami. Łatwo było o beztróskę, wędrując po zielonych, pachnących wiosną lasach i umajonych kwiatami pastwiskach, gdy nad głowami śpiewały ptaki.

Nie mamy jeszcze armii – przypomniał sobie stanowczo.

## Rozdział 15

Przez całą wiosnę i lato ruch rozszerzał się na podobieństwo fal wywołanych wrzuconym do wody kamieniem. Kamienny Krąg stawał się tym, za co zawsze był uważany – ośrodkiem większej rebelii. Pierwsze podwórka wyszły ze swoich wsi, by ćwiczyć z Girdem w polu. Ich włościanie-komendanci utrzymywali łączność ze zwolennikami Kamiennego Kręgu w innych wioskach. Banici z innych odłamów Kamiennego Kręgu, żyjący w oddalonych lasach i wśród wzgórz, ekspediowali posłańców, by dowiedzieć się, co się działo. Gird nie pozwalał przyłączać się do siebie kolejnym zwolennikom – wiedział, że nie wyżyliby się. Za to wysyłał tych, których uważał za dobrych nauczycieli i przywódców, zarówno do nowych podwórek, jak i innych grup wyjętych spod prawa. Stopniowo – a czasami boleśnie – odkrywał, którzy z jego ludzi byli w stanie podołać tym zadaniom i które grupy banitów składały się z uczciwych rebeliantów, a które ze zwykłych rzezimieszków.

Upierał się, żeby dowodzone przez niego grupy produkowały jak najwięcej własnej żywności. To lato było jeszcze bardziej pracowite od poprzedniego: obcy przybywali i odjeżdżali, ucząc się i zabierając ze sobą zdobytą wiedzę, a przecież wciąż trzeba było wspierać własnych żołnierzy. Nie widział końca obowiązków: spraw, które trzeba było załatwić, zapamiętać, przewidzieć. Zauważył jednak, że część jego ludzi nauczyła się już samodzielnego wybiegania myślą naprzód oraz odkrywania, jak przedmiot, który od zawsze używany był w jednym konkretnym celu, wykorzystać do czegoś zupełnie innego.

Pod koniec lata dotarła do niego wieść, że jedno z dalej położonych podwórek zastawiło pułapkę na poborcę podatkowego. Pokręcił głową.

– To przyniesie nam kłopoty – mruknął.

Triga uniósł brew.

– Miałeś nadzieję prowadzić wojnę bez kłopotów?

– Miałem nadzieję rozpocząć wojnę, kiedy będziemy do niej gotowi. Nie trochę tu, a trochę tam, gdzie mają nad nami przewagę.

– Z tego, co słyszałem, podwórze zdobyło pieniądze, zabijając poborcę i jego dwóch strażników. Wygląda mi na to, że to podwórko miało przewagę.

– O ile nie zabrali czegoś łatwego do wyśledzenia. Gdzie wydadzą te pieniądze? Na co? Mam nadzieję, że wykażą się wystarczającym rozsądkiem, żeby nie pójść do kowala. Będą próbować kupić broń i ściągną na nas kłopoty, o jakich nawet nie myśleliśmy. – Oczekując najgorszego, Gird podwoił liczbę placówek i wartowników. Zgodnie z przewidywaniami, konne patrole przeczesaly wszystko, łącznie z lasami i wzgórzami. Ludziom Girda przydały się ukryte ścieżki w zaroślach. Po powrocie przekonali się, że odkryty został jeden z ich zimowych obozów – Słoneczny – opuszczony zaledwie kilka dloni dni temu. Patrol zniszczył nieliczne, pozostawione przez nich rzeczy i z pewnością będą wiedzieć, gdzie ich szukać następnej zimy.

Niemniej, po tym najeździe patrole trzymały się z daleka. Od swoich informatorów we wsiach dowiedzieli się o innych problemach: rewizjach w domach i stodołach w poszukiwaniu nielegalnej broni oraz zabieraniu ludzi podejrzanych o działalność buntowniczą na przesłuchania, kończące się pobiciem, a w dwóch przypadkach – śmiercią. Tylko jeden z nich

faktycznie popierał Kamienny Krąg, nie będąc członkiem lokalnego podwórka (jak to ujął tamtejszy włościanin-komendant, miał zbyt gorącą głowę, by założyć na nią kapelusz bez ryzyka podpalenia go). Te przeszukania i aresztowania tylko wzmogły poparcie dla buntowników – skoro mogli uwięzić cię za nic, czemu nie przyłączyć się do rebelii? Gird podzielił swoją grupę na trzy części, wysyłając każdą z nich w inną okolicę na resztę lata. Ćwiczyli wspólnie tylko parę razy, z zachowaniem jak największej ostrożności i przy wartownikach rozstawionych na okolicznych wzniesieniach. Podczas żniw i pańskich łowów pojawiło się więcej patroli. Lecz buntownicy spodziewali się ich, wobec czego nie znaleźli nic, prócz porzuconego obozu, który odkryli wcześniej. Gird wiedział, że gdy rozpoczną się śnieżyce, nie pojawi się więcej żaden patrol. Zima przypominała poprzednią, ale tym razem podjął próbę policzenia swoich żołnierzy. Zaczął od prostych kijków, oznaczonych białorzytką, sierpem i kwiatkiem. Potrzebował jednak listy wszystkich swoich ludzi, ich wiosek oraz podwórek i włościan-komendantów. Rahi uwarzyła brązowy atrament, jednak Gird nie miał pergaminu, na którym sierżant zwykł prowadzić zapiski. Przez pewien czas usiłował wykorzystywać w tym celu jasną, wewnętrzną stronę kory topoli, w końcu jednak poddał się. I tak nie lubił pisać.

Na wiosnę, atmosfera rozruchów sprawiła, że niespokojnie było wszędzie. Gird nie był pewny, iloma podwórzami obecnie dysponowali. Długie, zimowe miesiące były idealne do konspiracji; każde podwórko chciało pochwalić się założonym przez siebie co najmniej jednym nowym podwórzem, jeśli nie dwoma. Oznaczało to podwojenie liczebności podwórek w trakcie zimy. Coraz częściej proszono o przybycie samego

Girda lub któregoś z najbardziej doświadczonych komendantów, by przyjrzał się i przeszkolił nie jedno podwórze, lecz od razu kilka. Gird i pozostali zgodzili się na wspólne szkolenie podwórek pod warunkiem zachowania podstawowych zasad bezpieczeństwa: minimalnej odległości placu ćwiczeń od wsi, wystawionych posterunków, ustalonej sygnalizacji i przestrzegania wspólnych komend, które powinno znać każde podwórze. Wiedział jednak, że wcześniej czy później i tak zostaną odkryci.

W tamtych przepełnionych ćwiczeniami dniach Gird zauważył pierwszą niebieską koszulę, potem następną. Teraz mieli trzy takie w obozie. Ludzie w błękitnych ubraniach nosili się dumnie, świadomi wyzwania. Gird nalegał, żeby mieli ze sobą inną koszulę lub płaszcz do zarzucenia, na wypadek, gdyby pojawił się nieprzyjaciel. Wystarczająco trudno byłoby przejść od musztry do wykonywania jakichś nie budzących podejrzeń czynności, bez konieczności dodatkowego tłumaczenia się z noszenia zakazanego koloru.

Podczas tych krótkich sesji nie byli w stanie nauczyć nowicjuszy wszystkiego, co sami opanowali. Gird czuł presję czasu; miał wrażenie, że sytuacja rozwijała się zbyt szybko i zbyt wolno zarazem – panowie nie mogli zbyt długo żyć w nieświadomości tego, co działo się wokół nich, lecz jego ludzie nie byli jeszcze gotowi. Potrzebowali więcej czasu, więcej ćwiczeń; on sam musiał dowiedzieć się znacznie więcej. Przerazała go myśl o zebraniu wszystkich podwórek w armię i spotkaniu się z wojskami panów.

Czas uciekał, a on nie był zadowolony ani z siebie, ani z podwórek.

Minęło Śródlecie; zbliżały się żniwa. Udał się do owczarni wspólnej dla pięciu okolicznych wiosek. Bardzo przypominała tamtą, gdzie poznał

Mali, leżała jednak daleko na północny wschód. Tutejsi nazywali ją Owczarnią Norwalku. Wyposażona była w kamienne mury dla ochrony przed zimowymi wichrami i ogrodzoną płotem zagrodę. Leżała w zagłębieniu między trawiastymi wzgórzami, pół poranka marszu od najbliższej wsi, w której zwykle nie widywano strażników.

Jak zwykle, Gird pojawił się na miejscu spotkania przed innymi, porozmawiał z owczarzami, którzy będą ich wartownikami i wydał im instrukcje. Potem przykucnął osłonięty od wiatru i pogryzając twarde ser czekał na przybycie pierwszego podwórka.

Skrzywił się na widok nadchodzącej bezładnej gromady, gdzie nawet dwóch włościan nie utrzymywało równego tempa, a każdy trzymał broń w inną stronę. Wiedział, że podwórze powstało niedawno, lecz nie usprawiedliwiała to wleczenia się, nierównych szeregów i kompletnego braku organizacji. Zaczął, jak zwykle w przypadku nowego podwórza, od próby przeprowadzenia inspekcji. Jak zwykle znalazł więcej, niż jedną nieprawidłowość.

– Musisz dbać o własną kosę, Tam! – Gird obluzował ostrze i powstrzymał się przed ciśnięciem nim o ziemię. Nie mogli pozwolić sobie na utratę choćby najmniejszego kawałka naostrzonego metalu. Ale za każdym razem musiał osobiście sprawdzać mocowania – nawet sama Pani Pokoju wpadłaby we wściekłość. Tam z uporem zacisnął szczękę; pozostali przypatrywali się z mieszaniną strachu i fascynacji. Gird wziął głęboki wdech i po chwili wypuścił powietrze.

– Tym razem przywiąż to mocniej – dokończył, oddając mu broń. W miarę sprawdzania pozostałych kos czuł opadające napięcie. Większość była w dobrym stanie, choć cały czas zastanawiał się, czy naprawdę przydadzą się

przeciwko rumakom i zbrojom. Piętnastu mężczyzn i trzy kobiety.

Jedenaście kos, jeden hak ogrodniczy, dwa sierpy, trzy kije pasterskie i dwa proste kostury. Każda osoba miała nóż, z czego tylko jeden nie naostrzony. Zanim rozpoczęli ćwiczenia, omiół spojrzeniem horyzont.

Pusto, z wyjątkiem stadka owiec na północy. Ich pasterz pomachał ręką ze wzgórza. Bezpiecznie.

– W porządku. Do szeregu. – Robili to już wcześniej pod okiem Pera, który nauczył się od Arisa, ten zaś rok wcześniej od Girda w Burry. Ruszali się zbyt wolno, udało się im jednak stanąć w trzech równych rzędach po sześć osób. Tam nadal usiłował wbić tylną część noża swojej kosy w odpowiednie nacięcie kosiska, uderzając nim o ziemię. Może nauczy się, zanim zginie.

– Nieś broń! – Zagapili się na Girda, potem do połowy grupy dotarło, że była to komenda i unieśli broń, najwyraźniej niepewni, w jakiej pozycji powinni ją „nieść”. Nie popędzaj ich – upomniał się w myślach Gird, pamiętając o dezercjach po jego ostatnim napadzie złości. Powinni uczyć się od miejsca, w którym są, a nie w którym powinni być.

– Nieś broń – przypomniał im. – Na lewym ramieniu – tym ramieniu – ponieważ musicie być w stanie nosić oręż na długich odległościach, nie raniąc nim nikogo obok lub za wami, ani też nie uderzając nim o broń waszych towarzyszy. – Wyciągnął rękę. i wziął kosę od Battina z pierwszego szeregu, po czym zademonstrował im. – W ten sposób. Słońce znalazło się niemal dokładnie nad ich głowami, zanim nauczyli się sprawnie reagować na podstawowe komendy. Gird ponownie rozejrzał się po okolicy. Północne stado zniknęło za wzgórzem, za to drugie pojawiło się na zboczu na zachodzie, a jego pasterz wymownie zamachał

ramionami. Dobrze. Nadchodziły dwa kolejne podwórza, by przyłączyć się do ćwiczeń. Pomimo znaków pasterza postanowił nie rezygnować ze zwyczajowych środków ostrożności.

– Broń do owczarni – zarządził. – Nadchodzi kolejne podwórko. –

Posłuchali go szybciej, niż poprzednio, chowając kosy za niskimi murkami zagrody. Dwie kobiety zabrały się za ścinanie ostu sierpami i zbieranie go do fartuchów. Mężczyźni z kijami pasterskimi oparli się o ściany nisko zadaszonego szałas i zaczęli rozprawiać o tajnikach hodowli owiec.

Reszta schowała się w szałasie. Gird usiadł pod ścianą i złapał oddech.

– Panie? Girdzie? – To był Per, właścianin-komendant tutejszego podwórza.

– Po prostu Gird, Per. Masz dobrą grupę. – Dobrą grupą będą po roku intensywnego szkolenia i odpowiedniego odżywiania się, ale nie było sensu mówić tego na głos.

– Przepraszam za kosę Tama. Nie wiem jeszcze tylu rzeczy...

– Nie martw się. Nie możesz robić wszystkiego sam; dlatego właśnie mówię im, że muszą sami dbać o broń. Dużo osiągnąłeś: osiemnastka z piętnastoma kosami.

– Trzy kobiety – mruknął Per. Gird zerknął na niego.

– Wierzysz w to, co panowie opowiadają o naszych kobietach, Per?

– Cóż, nie, ale...

– Przez te wszystkie lata nasze kobiety cierpiały wraz z nami. Nigdy nie zapewnialiśmy im bezpieczeństwa. Rodziły panom dzieci i traciły je, jeśli wykazywały choć ślad magii – wiesz o tym. Teraz chcą nauczyć się walczyć razem z nami. Skoro nasz ból uprawnia nas do tego, to ich ból daje im prawo do tego samego.



– Ale nie są równie silne...

Gird powstrzymał się przed wygłoszeniem ostrej uwagi. Zamiast tego powiedział:

– Per, nie prosimy nikogo, żeby był silniejszy albo najsilniejszy, tylko wystarczająco silny.

– Skoro tak mówisz.

– Nie. Musisz sam uznać to za słuszne – do licha, Per, właśnie o to w tym wszystkim chodzi. To nie jest moja droga – Gird nie zajmuje miejsca waszych panów, czy króla, tylko wskazuje innym słuszną drogę. Tobie, naszym kobietom, naszym dzieciom. Słuszną dla wszystkich.

– Dla panów też?

Gird prychnął, zaskoczony.

– Cóż... może nie dla nich. Mieli swoją szansę. – Odepchnął się od ściany. Nadchodzące podwórza połączyły się po drodze i cała trzydziestka maszerowała razem, równo i najwyraźniej dumna z siebie. Z tej odległości nie widział, jaką dysponowali bronią, lecz przynajmniej część z nich niosła kosy. Gdy formacja podeszła bliżej, Per zaczął wystukiwać stopą rytm. Gird pozwolił sobie na marzenia, co osiągnęliby, mając porządne zbroje i broń. Maszerowali jak żołnierze, robiąc wrażenie na mniej zaawansowanej grupie, z którą właśnie pracował. Wywołał siedzących w szałasie na zewnątrz, żeby popatrzyli, jak włościanin-komendant z Wysokiego zatrzymywał oddział.

Po krótkim odpoczynku wszystkie trzy podwórza ćwiczyły razem. Niemal pięćdziesięcioro, policzył szybko Gird. Pół kohorty w terminologii panów, w większości uzbrojona w kostury. Po raz pierwszy Gird był w stanie zobaczyć ich stawiających czoła prawdziwym żołnierzom – milicji panów

– z nadzieją na zwycięstwo. Maszerował z nimi na zachód, oddalając się od owczarni, po czym wykonał zwrot, starając się przekonać ich, że kiedy kolumna skręca, robi to w jednym miejscu. Tym z tyłu nie wolno ścinać łuku; powinni dojść do miejsca skrętu i dopiero tam skręcić. Powtórzył manewr – kolejna płatanina. Uporządkował szyki i znowu ruszyli.

W tym momencie przez gwar maszerujących przedarł się ostry gwizd pasterza. Gird rozejrzał się, wiedząc już, co to oznaczało. Tam, na wschodzie – konny patrol z twierdzy pana Kerrisana. Już ich zauważyli. Dojrzał odbłask słońca na uniesionej klindze. Mózg mu zamarł, na chwilę odmawiając współpracy. Ktoś inny dostrzegł żołnierzy i jęknął. Obejrzał się i zobaczył, jak jego dumne pół kohorty rozpada się – część już rzuciła się do ucieczki, reszta stała z niepewnie trzymaną w dłoniach bronią. Słońce zdawało się świecić jaśniej; dostrzegał wszelkie szczegóły, od potu na twarzach po drobiny kurzu na rzęsach.

– Musimy uciekać – rzucił roztrzęsionym głosem Per. Usłyszał szmer aprobaty i pomruk potępienia.

– Nigdy nam się nie uda – wyszeptał ktoś inny, a jakiś donośny głos zawołał: – Kto powiedział im, że tutaj jesteśmy?

– To przypadkowy patrol – uznał Gird, nie zastanawiając się zbyt nad tym. – Dziesięciu zbrojnych bez włóczni – gdyby o nas wiedzieli, przysłaliby więcej żołnierzy z lepszą bronią. Z łukami i lancami. – Spojrzał na jeźdźców, którzy utworzyli teraz jedną linię. Jeden z nich miał róg i zadał weń. Dwóch konnych rozjechało się cwałem na boki. – Okrążają nas...

– Ale co możemy zrobić? – zawołał ktoś z tyłu bezładnej kupy, która jeszcze niedawno była formacją bojową.

Proszę o znak i dostaję to – Gird zwrócił się w milczeniu do oślepiającego słońca. – Gdzie się podziałeś, panie sprawiedliwości? Podmuch wiatru wcisnął mu drobinki pyłu do nosa, zmuszając do kichnięcia.

– Powiem wam, co możemy zrobić – zwrócił się do swych obszarpanych żołnierzy z wściekłością, której inaczej nie mógł dać upustu. – Możemy przestać sterczeć jak las czekający na wyręb i uformować szyk! Szybko! – Kilku nawet nie drgnęło; jedni ruszyli naprzód, inni do tyłu. Dwóch z samego końca rzuciło się do ucieczki. – Nie! – Ku jego zaskoczeniu okrzyk zatrzymał ich; obejrżeli się. – Ucieknijcie, a już jesteście martwi. Jak my wszyscy. Na bogów, po to właśnie ćwiczyliśmy. A teraz wracajcie na miejsce, łapcie za broń i słuchajcie mnie.

Popatrując nerwowo na nadciągających jeźdźców, wszyscy zajęli swoje miejsca w szyku. Gird uśmiechnął się do nich.

– A teraz przygotujcie broń! – O wiele za wolno wystawili przed siebie kosy, sierpy, kije i kostury. Natychmiast dostrzegł słabe strony, poza posiadaniem przez siebie samego jedynie noża i krótkiej pałki, rzecz jasna. Mogli stać przodem tylko w jedną stronę i wiedział bez próbowania, że z bronią w pogotowiu nigdy nie wykonaliby zwrotu. Musiał istnieć jakiś sposób – co by tutaj zadziało? Oczyma wyobraźni ujrzał poduszczkę na szpilki swojej matki ze sterczącymi na wszystkie strony igłami... ale jak mieliby się poruszać? Nie było czasu; konni zbliżali się stępa, lecz wiedział, że w każdej chwili mogli przejść w kłus lub cwał. Musieli być zaskoczeni widokiem grupy wieśniaków, którzy nie próbowali uciekać, ani nie wrzeszczeli ze strachu.

– Musimy zabić wszystkich – oznajmił Gird tak spokojnie, jakby był absolutnie przekonany, że sobie z tym poradzą. – Kiedy zbliżą się na

odległość wystarczającą do podjęcia walki, rozpoznają was. Jedynym sposobem zapewnienia wam bezpieczeństwa po powrocie do gospodarstw jest wycięcie w pień całego patrolu. Po to właśnie było to całe szkolenie, a teraz wykorzystacie zdobytą wiedzę. – Wbiły się w niego wszystkie pary oczu: błękitne, szare i piwne. Czuł się tak, jakby ktoś wysysał z niego wszystkie siły; oni to robili, żądając od niego decyzji. – Poradzicie sobie – dodał stanowczo, upominając ich. Nieważne, że nie było to najlepsze miejsce do starcia grupki wieśniaków z konnymi zbrojnymi. I tak musiało im się powieść. Jeżeli zmarnują tę szansę, nie będą mieli następnej. Umrę bezpiecznie – pomyślał cierpko.

Niemal automatycznie formacja wybrała stronę, kierując się przeciwko jeźdźcom. Gird przeszedł się szybko przed nimi, kiwając głową i cały czas mówiąc, jak to miał w zwyczaju podczas pracy. Ustawiał tych z przodu i z tyłu twarzami na zewnątrz.

– Musimy być gotowi na ich atak z dwóch stron. Ty obracasz się tak... dokładnie... twarzą na zewnątrz, a ty za nim – tak, ty – wysuwasz swój kij w ten sposób. Ty, z kosturem – celuj im w oczy.

– Ale mamy uderzać w konia, czy w człowieka? – zapytał ktoś za jego plecami. Grupa nie ćwiczyła nigdy starcia nawet z wyobrażonymi rumakami.

– Konia – postanowił Gird. – Jeśli zranicie wierzchowca, ucieknie, albo zrzuci jeźdźca. Teraz pomyślcie: chcecie otworzyć dużą dziurę...

Usłyszał tętent, głośniejszy i szybszy. Z pewnością szarżowali prosto na niego – ośmiu konnych z wyciągniętymi i lśniącymi w słońcu mieczami. Rumaki wyglądały na olbrzymie, a ich podkowy były w suchy grunt. Dwaj, którzy objechali formację, zatrzymali się – wyraźnie chcieli zapobiec

ucieczkom. Konni zakrzyknęli przenikliwie i Gird odruchowo odkrzyknął. Jego żołnierze podjęli okrzyk, na wpół wyzywająco, na wpół ze strachu. Dwa konie spłoszyły się, lecz zaraz wróciły do szeregu, szarpnięte za wodze przez swych panów. Gospodarze wrzasnęli głośniej, a konni puścili się w cwał. Po chwili, dwójka konnych za ich plecami także runęła do ataku.

Wciąż rozmyślał: Mam nadzieję, że to zadziała, kiedy jeźdźcy wpadli na formację włościan. Ciężar i prędkość koni wbiły ich głęboko w szyk, lecz pięciu zginęło, zanim zdążyli się przedrzeć. Gird własnoręcznie zdzielił pałką koński łeb i odskoczył na bok, pozwalając mu minąć się niepewnym krokiem i nadzieć na sierp stojącej za nim kobiety. Zamach jeźdźca nie trafił go, za to odciął kobiecie ramię. Nim zdążył zamierzyć się powtórnie, ktoś wbił mu kosę w plecy. Dwóch jeźdźców zostało ściągniętych z koni i zakłutych; inny oberwał kosą w brzuch, zanim zdążył ześlizgnąć się z krzykiem z rumaka. Na oczach Girda jedna z kobiet prostym dźgnięciem kostura pozbawiła konnego równowagi; ktoś inny złapał go za uzbrojone w miecz ramię i zasztyletował.

Wszystko odbyło się w ciągu kilku minut. Dziesięciu konnych leżało na ziemi martwych lub umierających; siedem koni zginęło, dwa okulały, a jeden spłoszony pogalopował na zachód. Gird rozejrzał się dokoła zdziwiony. Kobieta, która straciła ramię, siedziała wyprostowana, oparta o martwego konia, ściskając kikut i starając się nie krzyczeć. Ośmioro zginęło, a dwóch odniosło poważne rany. Ale... ale piesi wieśniacy, bez broni, jedynie swoimi narzędziami pracy, pokonali zbrojnych na koniach. Walka nie była równa, za to prawdziwa.

Wiedział, że powinien coś im powiedzieć, ale nie potrafił wymyślić

niczego odpowiedniego. Omiótł wzrokiem horyzont i dostrzegł jedynie pasterza-wartownika, machającego na znak, że nie zbliżało się żadne inne niebezpieczeństwo. Podeszedł do niego Per, krwawiący z rozcięcia na głowie, poturbowany i zdziwiony, że wciąż żył. Wszyscy byli zdziwieni. Per kiwnął na kobietę bez ramienia i powiedział:

– Girdzie, teraz rozumiem.

– Naprawdę? – Gdy opadła go wściekłość, poczuł się starszy o tysiąc lat. Pomyślał, że lepiej zginąć w ten sposób, w walce, niż gnić w lochach lub pracować na głód i choroby, pomimo tych milczących zwłok, które kilka chwil temu były ludźmi. Ta kobieta miała jeszcze niedawno obie dłonie. Kiwnął głową Perowi i podeszedł, by przykucnąć koło niej. Ktoś oderwał od jej koszuli pas materiału i obwiązał kikut.

– Ty... ?

Zbladła. Zielonkawo-szary kolor zdradzał, że za chwilę umrze lub zemdleje, zdobyła się jednak na niepewny uśmiech i poruszyła dragą dłonią, wciąż ściskającą sierp.

– Ja... zabiłam konia.

– Zrobiłaś to.

– Walczyłam... oni... nie żyją.

– Tak jest.

– Wszyscy?

– Wszyscy.

– To dobrze. – Co rzekłszy, przewróciła się i skonała, nim zdążyli oddzielić martwych od rannych.

– Neeeeee! – krzyknęła inna kobieta i z płaczem rzuciła się na zwłoki.

Potem z wykrzywioną twarzą obróciła się do Girda. – Pozwoliłeś jej

umrzeć! Ty... to tyją zabiłeś... i oto, co się stało... – Zatoczyła ramieniem krąg, obejmując całą krwawą scenerię. – Powiedziałeś, żebyśmy walczyli o życie, ale ona zginęła, tak samo jak Jori, Tam i Pilan... – Głos załamał się jej i zaniosła się łkaniem. Gird nie wiedział, co powiedzieć – wszak miała rację. Zginęła kobieta oraz siedmiu mężczyzn, a dwóch dalszych, najciężej rannych, prawdopodobnie również umrze, nawet jeśli ich pan nie zauważy obrażeń i nie pozbawi ich życia. Dziesięciu konnych miało prawdopodobnie kochanki lub żony, może dzieci – brzemień tej winy przygniatało mu ramiona.

– Wtem rozległ się jakiś głos, mocniejszy od wszechobecnego bólu:

– Nie, Mirag! Rahi nie żyje, ale odeszła szczęśliwa, wiedząc, że dobrze walczyła. Nie zmarła w klatce na zamku, jak młoda Siela, kiedy odmówiła przejeźdnemu księciu, ani nie zwisając z wbitego w mur haka i wrzeszcząc, jak Varin. Gird obiecał nam szansę, nie bezpieczeństwo.

– Mówisz tak z tą dziurą w piersiach i serdeczną krwią, spływającą po boku? Co powie Eris dzisiejszego wieczoru, kiedy nie będzie miała nikogo u boku? Co powiedzą twoje dzieci?

Mężczyzna zakaszlał i otarł krew z ust.

– Eris wie, że tutaj jestem i wie, dlaczego. Gdyby nie była w ciąży, byłaby z nami; maluchy też. To jest najlepsze, Mirag. Rahi jest zadowolona i ja jestem zadowolony, a jeśli dalej będziesz tak zawodzić, powiem głośno, co powinno ci się przytrafić!

Kobieta zbladła i gwałtownie zamknęła usta. Mężczyzna spojrzał na Girda.

– Mirag nie jest taka zła... Rahi to jej siostra.

– Przykro mi. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć. Mirag wzruszyła

gwałtownie ramionami; mężczyzna przywołał go kiwnięciem palca i Gird podszedł do niego.

– Znasz się na leczeniu? – Gird potrząsnął głową. – To powinieneś się nauczyć. Gdybym mógł, ciasniej przewiązałbym ramię Rahi. Będziesz potrzebował tej sztuki, Girdzie.

– Wydobrzejesz i zostaniesz naszym uzdrowicielem – zaproponował Gird, lecz mężczyzna pokręcił głową.

– Nie... ta rana jest śmiertelna. Krew zadusi mnie od środka. Lepiej jednak zabierz stąd resztę, zanim zjawią się kolejne kłopoty.

W rozbłysku przypomnienia, Girdowi zabrzmiały w uszach słowa starego sierżanta.

– Nie zostawimy tutaj rannych, żeby ich pojmano i przesłuchiowano.

Mężczyzna, jakby odczytał myśli Girda i uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– Miałem nadzieję, że tak postanowisz. Wobec tego pospiesz się.

– Czy jest ktoś, kogo byś... ?

– Ty wystarczysz. Sprawileś, że to wszystko zadziało. – Gird skrzywił się; musiał usłyszeć zgodę od kogoś jeszcze, inaczej będzie miał wrażenie, że to morderstwo. Zawołał Pera i Arisa – włościanina-komehdanta z Wysokiego. Ranny zachowywał wystarczającą przytomność, by potwierdzić swoją decyzję – Aris, nieco bardziej doświadczony od Pera, natychmiast zrozumiał, dlaczego trzeba było tak postąpić.

Niemniej, nie zrobiłby tego. Wobec czego Gird dobył swego sfatygowanego sztyletu i ukląkł przy mężczyźnie, zastanawiając się, jak sam by się czuł, leżąc tam, brocząc z ran i dusząc się własną krwią. Oraz jak zrobić to najszybciej. Słabość byłaby najgorsza – jedynie



przysporzyłaby więcej cierpienia. Włożył więc w cięcie całą siłę, niemal odrzynając mu głowę.

Drugi ciężko ranny był nieprzytomny po ciosie w głowę i stratowaniu przez konia. Przestał oddychać w chwili, gdy Gird obrócił się ku niemu. Pozostała im już tylko ciężka, krwawa robota z zaciągnięciem trupów na stertę chrustu i ostów, po uprzednim zebraniu całej, nadającej się do użytku broni. Pierwsza odeszła grupa z podwórza Pera, by zjawić się w wiosce w nie wzbudzający podejrzeń sposób. Nie odważyli się zabrać ze sobą żadnej broni, zaś Gird przestrzegł ich przed zabieraniem osobistych rzeczy poległych przyjaciół.

– Dowiedzą się, że ktoś tutaj był – powiedział – żeby podłożyć ogień. Jeśli jednak zabierzecie ze sobą narzędzie lub manierkę, którą ktoś rozpozna, domyśla się, że braliście w tym udział. A w ten sposób będzie wyglądało na to, że zginęli wszyscy z waszej wioski, co może oszczędzić wam problemów. – Wiedział, że w rzeczywistości wcale nie musiało tak być i wszyscy będą mieli kłopoty... ale zawsze tak było.

Wydawali się dostatecznie spokojni, nawet Mirag. Przynajmniej przestała łąkać i bez powtarzania odłożyła medalion, który wcześniej zdjęła siostrze z szyi.

– Nie możemy nawet zabrać kosy Tama? – upewnił się jeden z mężczyzn.

– Nie mamy ich tak dużo. – Jego własny kij złamał się. Gird ponownie pokręcił głową.

– Przy tak małej ilości kos każdy od razu zorientuje się, że Tam był z wami. Zabierzemy ją, ale do innej wsi. – Skinął głową Perowi, który odszedł z drużyną poruszającymi się nieskładnie parami i trójkami.

Dwa podwórza Arisa również były gotowe do wymarszu; wszyscy nieśli

swój oręż, a niektórzy zabrali broń poległych. Gird zastanawiał się nad mieczami. Znalezienie ich przy którymś z nich oznaczała natychmiastową śmierć, ale stracić takie dobre ostrza... W końcu pozwolił im podjąć decyzję i dziesięciu ochotników przypasało miecze, których nie mogli używać, nosząc wieśniacze kamizele.

– Jesteś pewny, że trzeba spalić ciała? – zapytał Aris. Gird nie odpowiedział; nawet nie wyobrażał sobie, że można było zrobić cokolwiek innego. Tak właśnie odbywało się to we wszystkich opowieściach. – Będziemy potrzebowali sporej przewagi nad nimi – ciągnął Aris, nie doczekawszy się odpowiedzi Girda. – Niedaleko są pewnie inni konni... nie wiemy tego, ale dym będzie widoczny z daleka i jeźdźcy mogą wpaść na nas. Nie wiem... nie wiem, czy zdołałbym stoczyć dzisiaj jeszcze jedną walkę.

– Zdołałbyś, gdybyś musiał – odrzekł Gird, raz jeszcze uderzony myślą, jak bardzo rzeczywistość różniła się od opowieści. Lecz Aris miał rację. Obejrzał się na stertę trupów. Dym przyciągnie uwagę; ktoś tu przybędzie, prawdopodobnie konno i gotowy na kłopoty. Bez dymu kolejny patrol przyjedzie w poszukiwaniu pierwszego – i mogą wcale nie znaleźć ich od razu... ale porzucać martwych? Zmrużył oczy i spojrzał w niebo, na którym dostrzegł pierwsze ciemne skrzydła. Samo to również przyciągnie uwagę. – W porządku – rzucił w końcu. – Żadnego ognia. – Pani, pobłogosław tym martwym... tym dzielnym i bezradnym... – Aris skinął głową z wyraźną ulgą i wyruszył ze swoimi podwórzami. Gird udał się w inną stronę; nowy miecz ciążył mu na biodrze. Czy postąpiłem słusznie? – zapytał siebie. – Czy teraz postępuję słusznie?

Kilka godzin później obejrzał się z wyższego wzniesienia i ujrzał stado

czarnych skrzydeł. Przypomniwał sobie twarz kobiety, tak spokojną nawet w chwili śmierci i na myśl o ciemnych dziobach rozdzierających tę twarz i wydłubujących oczy zatrzymał się gwałtownie i zwymiotował na niską trawę. Zwracał długo, zeskrobując z dłoni zaschniętą krew. To nie był koniec – tam, w oddali, zapoczątkował coś, czego nie oczyści żaden kruk, ani nie pogrzebie żaden lis... Zaczął coś na podobieństwo chłopca, spuszczonego kamień po zboczu, a skutki tego będą straszliwe.

\* \* \*

Wieść o bitwie pod Norwalkiem rozprzestrzeniła się wśród panów równie szybko, jak między podwórzami. Gromadzący raporty od swych posłańców i szpiegów Gird pozwolił sobie na chwilę zadziwienia, jak różnorodne były interpretacje wydarzenia. Pod koniec tamtego dnia chmara padlinożernych kruków zwabiła drugi patrol. Pod koniec drugiego dnia puszczo z dymem malutką wioskę Jagodopłot, a jej mieszkańców – tych, którzy nie uciekli pierwszej nocy – wymordowano albo spędzono do zagród pobliskiego fortu, gdzie mieli czekać do najbliższego sądu. Dwa pozostałe podwórza bezpiecznie dotarły do domu i jak dotąd nie odkryto u nich skradzionych ostrzy. Same rany i siniaki nie były podejrzane – zbyt wielu chłopów ulegało wypadkom podczas pracy na roli, by brać to za oznakę przynależności do konspiracji. Lecz wszyscy pańscy strażnicy zachowywali czujność, wypatrując dymów z nielegalnych ognisk, poszukując broni i zatrzymując podróżnych na drogach. Jedni mówili, że była to ogromna armia, inni – że inwazja sąsiedniego królestwa Tsaia, prywatna wojna pomiędzy panami lub chłopska rewolta, której obawiano

się od tak dawna. Po jednym rumaku, który zdołał uciec i jego śladach ktoś uznał nawet, iż był to atak kawalerii, używającej chłopów w charakterze piechoty. Nie, sprzeciwiali się inni – to efekt sojuszu konnych nomadów i rolników.

Ku zdumieniu Girda, część podwórek chciała wymaszerować w pole w poszukiwaniu patroli, z którymi mogliby się zmierzyć. Przypomniał im o rannych i zabitych, jak również o zniszczonej wiosce. Lecz po raz pierwszy jego ludzie walczyli w formacji bojowej ze starym wrogiem i byli tym upojeni.

– Nie rozumiem, dlaczego nie cieszysz się z tego – oznajmił Felis. – Udało się, dokładnie tak, jak zapowiedziałeś. Straty – owszem, ostrzegałeś nas, że nie ma wojny bez ofiar, bez rannych. Rozumiemy to. Ale zadziało. Jeśli nadal będziemy ćwiczyć i ciężko pracować, dotrzymamy im pola. A nas jest więcej – przewaga leży po naszej stronie.

– Cieszę się. – Nie zabrzmiało to szczerze nawet w jego uszach. – Ja tylko... po prostu widzę też drugą stronę. Felisie, mamy tylko jedną, prawdziwą szansę: musimy zrobić to wszystko dobrze, bowiem w przeciwnym razie okaże się, że śmierć tych wszystkich ludzi pójdzie na marne.

– Nie ma marne, tylko w imię wolności. – Felis podrapał się po opalonym nosie i przeszedł dookoła, zanim wrócił i stanął naprzeciwko Girda. – Posłuchaj: znalazłeś sposób, żebyśmy mogli stawić czoła ich broni i przeszkoleniu. Udało się. I to nawet nie najlepszym z nas, którzy ćwiczyli od wielu lat, tylko z podwórkiem tak świeżym, że jeszcze z trudem odróżniają prawą nogę od lewej. Skoro powiodło ci się z nimi, powiedz z każdym. Na łaskę Pani, Girdzie, tamtego dnia, kiedy pojawiłeś się w

naszym obozie, nie wierzyłem, że zdołasz zmusić moich ludzi do sprzątnięcia po sobie. Ale dokonałeś tego. Więc w czym problem?

Gird nie potrafił odpowiedzieć. Po prostu wiedział, że nie będzie to takie proste. Nie mogło być. Ale oni chcieli usłyszeć od niego pocieszenie, prostą odpowiedź, która – wiedział to – była niewystarczająca. Czuł opór, jak wtedy, gdy zarządca wywierał na niego nacisk, zupełnie jakby był głęboko zakorzenionym drzewem. Jedynym, co wiedział z całą pewnością i co mógł im dać, była jego własna pewność co do słuszności swego postępowania – a tej mu teraz brakowało.

Widział, że Felisowi nie podobała się jego mina, ani niechęć do przyłączenia się do świętowania zwycięstwa. Ani innym, którzy w jego pobliżu w widoczny sposób tłumili odczuwaną radość. Powinien to zrobić, jednak kiedy otworzył usta i rozciągnął je w uśmiechu, nie wykrztusił ani słowa. Wygraliśmy – powiedział sobie, zaraz jednak z ostrożnych głębin swego farmerskiego umysłu usłyszał: – Wygraliśmy tym razem.

Nie był nawet pewny, co byłoby zwycięstwem, o jakie mu chodziło, które przyniosłoby trwałą pokój. Rzucił się w wir planowania, starając się policzyć iloma włościanami dysponowali i gdzie, jak również wyobrazić sobie cały kraj, w którym będzie prowadził wojnę. Kilku żołnierzy zdezerterowało po otrzymaniu rozkazów spalenia ich własnych wsi lub schwytania krewnych. Jako dorośli doznali tego, co Gird przeżył jako chłopak. Znali się na taktyce lepiej od niego i nalegali, żeby szukał poparcia także w miastach, a nie tylko we wsiach.

W międzyczasie dochodziło do kolejnych potyczek. Zasadzka, potem następna. Obóz straży zaatakowany nocą, kolejna wioska spalona wraz z polami. Czy mu się podobało, czy nie i czy był na to gotowy, czy nie,

spadało to na niego. Musiał unosić się z wiatrem, albo zostać w tyle. Wraz z najbardziej zaufanymi ludźmi wyprawiał się w dalekie podróże na spotkania z włościanami-komendantami innych podwórek, by rozmawiać z niezdecydowanymi i pełnymi obaw. Jesienią znalazł się daleko od znanych sobie wsi i pól, ufając przeszkolonym przez siebie ludziom, że zadbają o ustawiczny trening jego grupy oraz bezpieczne zimowisko. W przyszłym roku powstaną całe wioski – nawet przed zaplanowanym czasem – i musiał być gotowy do poprowadzenia swej armii w pole.

## Rozdział 16

Coś zachrypiało w suchych, zimowych krzakach. Dźwięk był zbyt cichy na płacz, a zbyt głośny, jak na uciekające dzikie zwierzę. Gird przykucnęła i znieruchomiała, zastanawiając się: uciekać, czy sprawdzić. To mogła być – i prawdopodobnie była – pułapka. Ktoś się wygadał i miejscy strażnicy wyprawili się, by go schwytać. Znowu ten dźwięk, jakby zduszony płacz. Sztuczka. Starali się go zwabić. Mimo to ruszył w tamtą stronę, uważnie wybierając drogę przez kłujące zarośla.

W półmroku omal nie nadepnął na nagie, posiniaczone ciało, leżące zwinięte na boku. Pochylił się, rozejrzawszy uprzednio dokoła i upewniwszy się, że widać było same krzaki. To był starzec o siwych włosach i brodzie. Jedno oko miał wybite, z drugiego zza olbrzymiego siniaka widać było jedynie białko. Na bladej skórze ciemniały liczne obrażenia i skaleczenia od kolców, ślady chłosty na plecach, oparzenia na dłoniach i stopach. Mimo to żył, dysząc nierówno i głośno, a wyczuwalny na szyi puls był miarowy.

Gird kołysał się na piętach, rozmyślając. Już było zimno, a z nastaniem nocy temperatura jeszcze spadnie. Pozostawiony tutaj sam sobie pobity i poparzony starzec bez oka do rana z pewnością wyzionie ducha. A w mieście czekało na Girda podwórze. Właśnie zbierali się tam mężczyźni, czekając na niego i na nadzieję, którą tylko on mógł im dać. Starzec i tak pewnie umrze. Dotknął jego ramienia i zaraz tego pożałował, gdyż podbite oko otworzyło się.

– Nie... – wyszeptał zatrwożony głos.

– Nic ci nie grozi – uspokoił go Gird, wiedząc, że kłamie, ale nie miał

pojęcia, co innego mógłby powiedzieć.

– Zimno... – usłyszał mamrotanie.

– Wszystko będzie dobrze. – Przypomniawszy sobie, jak dokuczał kobietom za to uspokajające „Wszystko będzie dobrze”, gdy wiadomo było, że wcale tak nie będzie. Teraz je zrozumiał. Z głośnym westchnieniem – zbyt głośnym, pomyślał natychmiast, które może się roznieść w cichym zmierzchu – rozebrał się do pasa i okrył ciało starca przepoconą koszulą. Będzie musiał później przywdziać swoją ciemną kamizelę... ale mógł poświęcić koszulę.

– Pomogę ci – powiedział i wsunął ramię pod pachę starca. Starając się stłumić jęki, staruszek zdołał włożyć ramię w rękaw koszuli Girda.

– Nie... powinienes...

– Nie mogę zostawić cię tutaj, żebyś zmarł – odparł Gird. Nic nie mógł poradzić, że zabrzmiało to szorstko, zamiast uspokajająco. Był już spóźniony, a jeśli będzie musiał przełazić przez mur, bardzo prawdopodobne, że go zauważą.

– Kto? – Okutany w koszulę starzec jakby odzyskał część godności. Zapytał cicho, lecz władczo. Gird postanowił udąć, że źle zrozumiał pytanie.

– Kto cię pobił? Nie wiem; ja tylko ciebie znalazłem. Nie pamiętasz? Starzec uniósł dłonie o długich palcach – kształtne, pomimo paskudnych oparzelin – i wyrecytował cicho:

– Niech opromieni cię światło Esei, spotka sprawiedliwość Wielkich Panów, a Pani Pokoju położy dłoń na twojej głowie... – Przerwał, widząc, jak Gird cofnął się, niepomny hałasu. – Coś nie tak?

– Nie przeklinaj mnie! – Zabrzmiało to niewiele głośniejszym mamrotaniem



staruszka, za to niosło w sobie znacznie więcej gniewu.

– Przeklinać ciebie? – Starzec zachichotał świszcząco. – Chłopcze, to błogosławieństwo... Błogosławię cię. Nie znasz czegoś takiego?

Gird poruszył się niespokojnie.

– Wiem tyle, że im dłużej tu pozostaniemy, tym bardziej prawdopodobne, że nas znajdą. Ktokolwiek cię poturbował...

– Starszy kapłan domu Esei – wyjaśnił staruszek. Siedział samodzielnie, z beztroską ciekawością przyglądając się oparzeniom na stopach. – Nazwał mnie heretykiem i skazał na – jak to określił – próbę ognia. Ja określiłbym to torturami, ale prawo pozwala na takie praktyki. A ponieważ przeżyłem, rozebrali mnie, pobili i strącili z murów.

– Powinieneś nie żyć! – zawołał Gird i poczerwieniał, uświadamiając sobie, jak to zabrzmiało.

Starzec ponownie zachichotał.

– To samo, choć innymi słowami, powiedział arcykapłan: że powinienem umrzeć za szkody, które poczyniłem i których sprawcą mogę się jeszcze stać. Zrobił, co tylko mógł. A jednak bogowie zesłali ciebie... – Pomacał dookoła w gęstniejących ciemnościach, jakby szukając laski, po czym wyciągnął rękę do Girda. – No dalej. Pomóż mi wstać.

– Ale nie możesz...

– Nie mogę tak leżeć na mrozie w twojej koszuli. Podaj mi rękę. Nie jest tak źle, jak myślisz. – Gird wyciągnął ramię i poczuł, jak dłoń staruszka wsuwa się w jego. Była koścista, jak wszystkie starcze dłonie i miała luźną skórę na kostkach, poza tym jednak była silniejsza, niż oczekiwał. Nie poczuł też strupów oparzeń. Starzec wstał, zachwiał się lekko i rozejrzał dokoła. – Ach... – mruknął wreszcie. – Tam są. – Gird podążył za jego

spojrzeniem, dojrzał jednak tylko sięgające piersi zarośla, majaczące w zapadającym zmroku. – Zaczekaj chwilę – rzucił rozkazująco staruszek i bezszelestnie zanurkował w gąszcz. Gird czekał, choć już niemal był pewien, że będzie musiał wdrapywać się po murze. Podwórze zastanawiało się pewnie, czy go schwytano.

Gdy starzec pojawił się ponownie, miał narzucony na koszulę Girda bardzo wystrzępiony i brudny płaszcz, a na stopach jakieś szmaty. W tym świetle wyglądały jak gałgany, którymi wieśniacy z braku czegoś lepszego obwijali sobie stopy zimą.

– Teraz, chłopcze – rzucił staruszek bardziej rześko, niż Gird uznałby za możliwe – możemy spokojnie iść do miasta.

Gird otworzył usta w sprzeciwie, jednak już po chwili wyszukiwał w zaroślach powrotną ścieżkę, z dłonią starca zaciśniętą na łokciu. W drugiej, nieznajomy dzierżył jego własną laskę. Spokojnie! Czy starzec zamierzał poprosić wartowników przy bramie o wpuszczenie ich do środka, skoro został pobity i porzucony na pewną śmierć? Kim on był? Kiedy zbliżyli się do bramy, posterunek nadal był otwarty i nieliczni mieszczanie spieszyli do środka. Rząd pochodni dawał mnóstwo blasku, oświetlając twarze przechodzących, żeby strażnicy mogli je widzieć. Gird chciał ukryć się w cieniu, lecz dłoń staruszka zmusiła go do marszu samym środkiem traktu, prosto w złocisty blask. Zastanawiał się gorączkowo, jak wyplątać się z całej sytuacji bez zwracania uwagi strażników i zerknął spod oka na starca.

W blasku pochodni staruszek wyglądał zupełnie inaczej. Mniejszy, przygarbiony i ze starą blizną w miejscu oka, gdzie jeszcze niedawno ział ociekający krwią oczodół. Niemal łysy na czubku głowy i z siwym

pasemkiem na brodzie, nosił połatany, skórzany płaszcz, zarzucony na szorstką, wełnianą koszulę („Nawet nie przypomina mojej” – pomyślał Gird) oraz równie połatane, skórzane spodnie na pałkowatych nogach. Jedynie stopy nadal spowijały szmaty.

Zwieszał się z ramienia Girda, podpierając laską, jakby nogi z trudem unosiły jego ciężar.

– Hej, tam! – Jeden ze strażników przystąpił do nich, unosząc pochodnię, by oświetlić ich oblicza. – A kimże jesteście, że przychodzicie tak późno... nie znam waszych twarzy!

Gird otworzył usta, by podać imię, które nagle przyszło mu do głowy.

– Amis z Osady Barle'a, panie oraz mój dziadek Geris. Przybywamy z pielgrzymką do tutejszej świątyni.

– Powinniście byli przyjść wcześniej; brama jest już zawarta dla obcych. Słyszając to, starzec zabełkotał coś w dziecinnym wyrazie żalu i rozczarowania. Strażnik uśmiechnął się bezczelnie, choć bez złośliwości.

– Prawda, że nigdy nie widziałem kogoś bardziej potrzebującego cudu. Masz jakiś miód, żeby osłodzić nam herbatkę, Amisie z Barle'a?

– Miód, mój panie? – Gird pozwolił szczęce opaść w idiotycznym wyrazie i poklepał „dziadka” po ręce. – Nie mamy pszczoł, mój panie, bo potrzeba im drzew owocowych. Ale mamy jęczmienny placek... – Zanurzył dłoń za pazuchę, skąd wyłowił zeschnięty kawałek ciasta, jaki pozostał mu ze śniadania i podał go wartownikowi. Cokolwiek by się działo, powinien udawać głupotę i potulność. Strażnik obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, po czym odepchnął poczęstunek.

– Skoro to wszystko, z czym przychodzicie z tak daleka, lepiej to zatrzymajcie. A teraz, dziadku, muszę obejrzeć twoje dłonie, zanim

wejdiesz. Mieliśmy dzisiaj w mieście pewne nieprzyjemne wydarzenie.

– Dłonie? – zapytał odruchowo Gird. Ręka na ramieniu ścisnęła go mocno, zupełnie jakby należała do młodzieniaszka, po czym puściła go.

Wartownik przytaknął.

– Na wypadek, gdyby złodziejaszek starał się wślizgnąć z powrotem – wyjaśnił. – Ma naznaczone dłonie, a nam polecono bacznie przyglądać się wszystkim obcym, szczególnie jednookim. Jestem pewien, że twój dziadek nie jest złodziejem, niemniej, muszę popatrzeć. – Co rzekłszy, ujął żyłaste dłonie starca i przyjrzał się ich wnętrzom. Gird również i zobaczył jedynie starą skórę ze śladami ciężkiej pracy. Wartownik skinął głową. –

Wchodźcie, przyjaciele i obyście niczego dzisiaj nie zmalowali. Zebracy mają wyznaczone schody po zimowej stronie Dworu i żadnego wylegiwania się na cudzym progu.

– Dziękuję, mój panie. – Gird złapał się na ciągnięciu za własną grzywkę. Strażnik pchnął go lekko, uważając na jego towarzysza.

Po przekroczeniu bramy starzec wykorzystał uścisk na ramieniu Girda, by pokierować go na główny plac. Na ulicach wciąż panował ruch; pełno było ludzi, którzy dokładnie wiedzieli, dokąd zmierzają. Gird miał własne wskazówki, któredy iść po wyjściu z bramy, ale pozbawiony wyboru musiał udać się tam, gdzie chciał staruszek.

Kilka straganów na placu miało nadal otwarte żaluzje. Piekarz, pomimo zamkniętych drzwi, wyprzedawał resztki wypieków przez szerokie okno. Z któregoś ze straganów dobiegał kwaśny zapach zepsutego ale, z innego ściskająca w żołądku woń smażonego na oliwie mięsa. Gird, przełykaniem śliny stłumił głód i odkrył, że odzyskał władzę nad językiem.

– Muszę dokądś pójść – burknął. – Znajdziesz sobie jakieś bezpieczne

miejsce?

– Łatwiej, niż ty – odparł starzec. – Przeszedłbyś sam przez bramę?

Gird odchrząknął. Oczywiście, że nie, nie o tak późnej porze, ale gdyby nie staruszek, nie spóźniłby się.

– Nie rozumiem cię – przyznał. – Byłeś poraniony, ledwo się ruszałeś...

– Nie możemy tak tutaj sterczeć i gadać – rzucił staruszek. – Chcę kolację.

– Te ostatnie słowa zamieniły się w słabe skomlenie, odpowiednie dla zgrzybiałego kaleki, jakiego udawał. Girda nie zaskoczył widok mijających ich strażników, pilnie przyglądających się ich twarzom.

– Mam tylko ten jęczmienny placek – powiedział i dodał niechętnie na widok zatrzymujących się żołnierzy: – Dziadku, przecież dobrze o tym wiesz. Wydaliśmy wszystkie miedziaki na tę podróż w intencji twojego oka. Proszę... – Wyciągnął ciasto i przełamał je na oczach strażników. Starzec wziął swoją porcję trzęsącą się ręką, niemal popiskując z pożądlivosti. Z kącika ust spłynęła mu na brodę strużka śliny, połyskując w blasku strażniczej pochodni.

– Schody dla żebraków są tam – burknął jeden z żołnierzy, wskazując na przeciwległą stronę placu. Gird energicznie pokiwał głową w nadziei, że wyglądał odpowiednio głupio i nieszkodliwie. Strażnicy poszli dalej, zatrzymując się, by pożartować z dziewczyną od piekarza, która właśnie zamykała okiennice. Staruszek dotknął ramienia Girda, popychając go lekko w stronę żebraczych schodków.

Gdy tylko usiedli na najniższym z pięciu stopni, Gird schował swój kawałek placka za pazuchę i powtórzył:

– Muszę dokądś pójść. Możesz tutaj zostać? Znajdą cię?

W półmroku oblicze starca stało się nagle bardziej widoczne, jakby

rozświetlone zapaloną w środku świeczką.

– Chłopcze, mogę zostać tutaj, odejść albo pójść z tobą, a i tak mnie nie znajdą – czy tego wieczoru niczego nie zobaczyłeś?

– Tylko zagadki – odparł Gird. – Częstojujesz mnie samymi sztuczkami i zagadkami...

– Daję ci światło w ciemnościach. – Twarz starego rozjaśniła się, po czym przygasła. – Ale ślepi nie widzą światła i uważają ciemność za rzeczywistość.

Gird wiercił się na zimnym stopniu, niepewny, co mógłby odpowiedzieć. Starzec chyba zwariował i nic dziwnego – po tym wszystkim, co przeszedł. Musiał być jednym z nich – być może jednym z ich starszych magów – i kogoś rozgniewał. Zemścili się na nim, wyniszczając mu umysł na równi z ciałem. Pewnie był równie zły, jak reszta z nich, gdy jeszcze był cały, teraz jednak...

– Muszę już iść – oznajmił najdelikatniej, jak potrafił. – Wrócę po ciebie.

– Tak – odrzekł starzec. – Tak zrobisz. – Odgryzł kawałek jęczmiennego placka i zaczął go żuć. Gird przyglądał się mu przez chwilę, czując w myślach dziwny zamęt, zaraz jednak potrząsnął głową i poszedł w swoją stronę.

Gdy wreszcie odszukał miejsce spotkania, okazało się, że trafił do oświetlonego dwiema świecami magazynu kupca, zatłoczonego przez co najmniej tuzin zdenerwowanych mężczyzn. Spodziewał się tylko starszyny podwórza, najwyraźniej jednak inni nalegali, żeby również przyjść. Czy to pułapka? Powtórnie podając hasło, starał się przepatrzyć kąty magazynu, lecz ciemność za belami i skrzyniami czaiła się, jak żywa. Poczul mrowienie na karku; miał ochotę obrócić się na pięcie i spojrzeć za

siebie, opanował się jednak.

Calis, jedyny człowiek, którego spotkał wcześniej, pokuśtykał mu naprzeciw i uśmiechnął się szeroko do pozostałych.

– Mówiłem wam, że przyjdzie. Cokolwiek się dzieje, on zawsze przychodzi.

– Spóźnił się – zauważył pleczysty, czarnobrody, władczy mężczyzna o zniszczonej twarzy kogoś, kto większość życia spędził na świeżym powietrzu.

– Jest tutaj. Tylko to się liczy. – Calis ponownie potrząsnął ręką Girda. – Niech cię Pani błogosławi, Girdzie, za przybycie. Poprowadzisz nas, co? Wyzwolisz?

Nie przemawiał tak otwarcie w Bronie, kiedy wizytował tamtejsze podwórze. Wyglądał na potencjalnego przywódcę, kogoś, kto podołałby organizacji podwórka i rozpoczęciu szkolenia. Gird rozejrzał się spokojnie dokoła, próbując ustalić, co poszło nie tak. Piętnastu mężczyzn, żadnej kobiety – pomimo jego nalegań, było to wciąż dość powszechne. Żadnych młokosów – całkiem słusznie, skoro miało to być tajne spotkanie; młodziaki za dużo paplały. Żadnych starców. Czterech zachowywało pełną wściekłości sztywność – ludzie nawykli do wydawania rozkazów, udający teraz potulność, której nie znali? Gird uśmiechnął się do brodacza.

– Co nagle, to po diable. Przyszedłem najszybciej, jak można było bezpiecznie.

– Modlisz się o bezpieczeństwo w trakcie wojny? – odezwał się jeden z dostrzeżonej wcześniej czwórki – wysoki mężczyzna o brązowej brodzie, opierający się o stertę skrzyń naprzeciwko niego.

– Nie modlę się o nic, bo nie jestem księdzem. Calis zdążył wam

powiedzieć, jak przypuszczam... – Zerknął na Calisa; ten uciekł wzrokiem. A więc to tak. Faktycznie, zanosilo się na kłopoty. – Uczę tego, co wydaje mi się oczywiste, że rozhukana rebelia przeciwko królowi przyniesie jedynie śmierć i cierpienie.

– I po. to tutaj przyszliśmy? – Szatyn odepchnął się od skrzynek i stanął naprzeciwko niego. – Przyszliśmy, żeby usłyszeć tę samą piosenkę, którą wyśpiewują kapłani: bądź posłuszny, pogódź się, szukaj pojednania z Panią w godzinie śmierci?

– Powiedz im, Girdzie. Opowiedz to samo, co mówiłeś nam w Bronie. Największy problem – zdrada. Ich pierwszą zasadą było nigdy nie wspominać o jednym podwórzu na spotkaniu z innym; posługiwali się zwrotami: „tam”, „w tamtym miejscu” lub „na innym podwórzu”. Gird strząsnął dłoń Calisa z ramienia, próbując ustalić, gdzie kryło się największe niebezpieczeństwo. Nie poradzi sobie z piętnastoma, możliwe jednak, że Calis próbował schwytać w zasadzkę uczciwych buntowników wraz z ich przywódcą. Gdyby tylko zdołał ich rozpoznać i objąć dowodzenie. W pomieszczeniu zapadła niemal namacalna cisza. Ktoś rozkaszał się za plecami czarnowłosego brodacza. Czy to był sygnał? Potoczył wzrokiem po grupie, patrząc w oczy każdemu, prócz Calisa. W blasku świec wszystko migotało; nie potrafił odróżnić prawdy od fałszu. Uniósł dłoń, prosząc o ciszę – choć nie było hałasu – i zaczął:

– Wiecie, że czasy są złe. Wiecie, że jest coraz gorzej. Jest wystarczająco złe, kiedy gospodarze są zabijani podczas wykonywania swej pracy, kiedy żony i matki są gwałcone i bite, a potem porzucane na śmierć, ich dzieci zaś pełzają w krwi rodziców. Gorzej, kiedy zdolności rzemieślnika kupowane są za ból i groźby, kiedy kowal musi wyrabiać kajdany i



łańcuchy dla więźniów, zamiast pługów i bron do orki. Źle jest, kiedy towary kupców kradzione są przez bogatych i ci muszą oszukiwać biednych, żeby przeżyć. – Przenosił wzrok z twarzy na twarz. Dostrzegł jedną zamkniętą, ściągniętą gniewem – wywołanym jego słowami, czy opisywanymi niegodziwościami? Inny siedział z opuszczoną szczęką, jakby spijał słowa Girda i smakował je językiem. W cieniu z tyłu dwie głowy nachylały się do siebie, szepcząc sobie do uszu.

– Wiecie, że doszło do walki – każdy to wie. Mężczyźni i kobiety umierali, próbując ocalić życie. Wiecie, że za każdym razem, gdy gospodarze, rzemieślnicy i kupcy próbowali walczyć z regularnym wojskiem, ginęli wraz z rodzinami. Ja chcę wam opowiedzieć o innym sposobie.

– Sposobie na walkę chłopów z żołnierzami? – upewniał się czarnobrody.

– Sposobie, dzięki któremu chłopci zostaną żołnierzami. – Gird urwał. To była istota całej sprawy, wystarczająca, by go powiesili. Wyczuł poruszenie w cieniach na krańcu pomieszczenia. Cóż, dalsze ważenie słów nie miało już sensu, a możliwe, że śmiałość zjedna mu paru sprzymierzeńców. – Różnica pomiędzy żołnierzami a pozbawionymi nadziei głupcami kryje się w szkoleniu. Nie w błyszczących mieczach, ani w magii, tylko w szkoleniu – takim samym, jakiemu poddawani są żołnierze.

– I ty możesz dać nam takie szkolenie? – Ten głos należał do bogacza i uprzywilejowanego, dźwięczał arogancją. Gird odpowiedział uśmiechem.

– Ja? Jestem zwyczajnym rolnikiem; nie daję niczego. Wiem jednak, jak możecie takie szkolenie uzyskać i to jest powód mojej obecności tutaj. – Z półmroku spoglądały na niego oczy barwy morskiej zieleni. Z trudem mógł dojrzeć grzywę rudych włosów i szczupłą sylwetkę, nie kulącą się

dłużej w cieniu, tylko dumnie wyprostowaną. Prawdopodobnie jakiś synalek szlachcica, który przyszedł opluwać buntowników zza bezpiecznego kordonu osobistych strażników.

– Bogowie wiedzą, że rolnicy faktycznie niczego nie dają. – Znów ten głos, tym razem na pewno należący do posiadacza zielonkawych oczu i arogancko uniesionej głowy. – Gadanie kapristi, o ile wieśniacy wiedzą, co to jest kapristi. – Nie wiedział, ale usłyszał, jak ktoś mruknął: „Gnomy!”

– Gospodarze zapracowują na swój chleb – oznajmił, rozluźniając palce w butach i przygotowując się. Wkrótce musiało coś się wydarzyć. –

Podobnie rzemieślnicy i w większości przypadków kupcy. Zapracowane – syci, dane – gnije w brzuchu. Zabrane... – Urwał, oślepiiony blaskiem odbitym od obnażonych nagle kling. Nie widział źródła, lecz światło skupiało się na szatynie.

– Zabrane należy do zabierającego – zawołał ten ostatni z lekkim rozbawieniem w głosie. – Zdrajcy schwytani w tym mieście należą do mnie. – Wstał bez trudu, nieuzbrojony, lecz zza skrzyń wychynęło dwóch strażników z pikami, a czterech mężczyzn stało z dobytymi mieczami. Ku zaskoczeniu Girda zielonooki nie był jednym z nich – zdumienie zupełnie pozbawiło go wyniosłości. Calis stał w rozterce, wyraźnie zastanawiając się, czy złapać Girda, czy raczej wycofać się w oferujący bezpieczeństwo cień.

– Zabranym – odezwał się Gird, patrząc szatynowi w oczy – można się udławić. – Zacisnął i rozluźnił pięści. Uświadomił sobie wówczas, że zostawił swoją krzepką lagę staruszkowi na żebraczych schodach. Idiota – zrugął się w myślach. – Prosisz bogów o cud. Szatyn obdarzył go uśmiechem wyrażającym niekłamany podziw.

– Przynajmniej jesteś odważny... nie jakiś skamlący tchórz, jak większość twego pokroju. Szkoda, że nie wybrałeś uczciwej żołnierki, przyjacielu...

– Próbowałem – odrzekł Gird, z trudem panując nad głosem. Nie był pewny, czemu zawracał sobie głowę odpowiadaniem, tyle tylko, że nie miał żadnego planu, a w otaczających go twarzach nie widział chęci pomocy. – Jako chłopiec z ochotą zaciągnąłem się do straży mego hrabiego. Ale potem...

– Co? – zapytał szatyn, uniesieniem dłoni zatrzymując strażników, którzy dali krok naprzód. Gird spojrzał na niego, nie dostrzegł jednak mściwej arogancji jego hrabiego. Z oczu biła uczciwość, a usta śmiały się z radości, a nie bólu innych. Cóż, nic to nie da, ale powie temu człowiekowi prawdę, a jeśli któryś z nich przeżyje tę noc, będzie wiedział, iż została ona powiedziana.

– Pan naszej wioski przyjechał z dworu króla z przyjaciółmi, by świętować wkroczenie w dorosłość. Jeden z wioskowych urwisów wykorzystał zamęt, by ukraść śliwki z pańskiego sadu... – Gird przerwał, a mężczyzna kiwnięciem głowy zachęcił, go do kontynuowania. Wbrew sobie głos mu drżał podczas opowiadania, a na koniec niemal warczał. – Nasz pan złapał go, co było sprawiedliwe i skazał na tortury, a wreszcie na okaleczenie, co już sprawiedliwym nie było, nie za kilka śliwek. Bawił go ten widok, radowało cierpienie chłopca, a ja... – Urwał ponownie i wziął głęboki wdech. – Byłem niewiele starszy od niego; znałem Merisa od dziecka. – Zaczął mówić z ciężkim akcentem i widział, że szatyn z trudem nadażał za opowieścią. – Wiedziałem... wiedziałem, że pewnego dnia każą mi zrobić to samo: skrzywdzić lub zabić jakiegoś biednego wyrostka, który chciał tylko garść śliwek lub kiść winogron. Zabić moich własnych ludzi, gdyby

w złym roku uciekły im krowy. Nie mógłbym tego zrobić... nie mógłbym... więc uciekłem, co skończyło się bardzo źle dla moich bliskich, nawet po moim powrocie.

– Pochodzisz z dominium Kelaive'a – miękko głosem oznajmił szatyn. – Ten bezczelny szczeniak jest gorszy od śmiecia. Słyszałem tę historię, choć różniła się w szczegółach.

– Z pewnością, jeśli to on ją opowiadał – mruknął Gird, czując tamten stary ból, a jednocześnie nagłą ciekawość, jak Kelaive przedstawiał tamte wydarzenia.

– Nie słyszałem jej od niego. Jego sierżant opowiedział ją jednemu z moich strażników, a do mnie dotarła podczas pewnego długiego marszu. Mówił, że kaprys złego pana zmarnował dobrego żołnierza, a wina spadła przy okazji na niego za to, że nie potrafił cię utrzymać w służbie. – Nieznajomy pokręcił głową. – Cóż. To oczywiste, że znasz prawo i swoje miejsce. Miałeś złego pana, ale to żadne usprawiedliwienie...

– A co by nim było? – zapytał Gird, przez gardło ściśnięte nieskrywanymi łzami i starą złością, którą wciąż odczuwał. – Śmierć mojej matki, kiedy hrabia odmówił nam wstępu do lasu? Nasz głód pewnej ciężkiej zimy, gdy Kelaive tańczył na królewskich salach i podwoił podatki, żeby mieć za co kupić sobie więcej strojów? Ból mojej córki po utracie dziecka i gwałcie, po którym miała urodzić obcemu? Krowy skradzione na jego uczty, owce zabrane dla wełny... na bogów, my, rolnicy nie dajemy, lecz lepiej dbamy o nasz najdrobniejszy inwentarz niż wy, panowie, dbacie o nas. Szturchnij wołu, a kopnie cię. Nawet zbity kundel rzuci się na ciebie i złapie zębami za piętę...

– Pokój, przyjacielu! – Szatyn przyglądał się mu. – Na świt Esei, ależ

masz długi jęzor w tej gębie i bystrość w zakutym łbie. Ciężka praca stępi większość narzędzi, lecz te lepszej jakości... – Urwał, dał znak i cztery miecze powędrowały do pochew. – Słuchaj: przejdziesz na służbę do mnie wraz ze swą rodziną i porzucisz te bzdury? W przeciwnym razie zginiesz, a twoja rodzina ucierpi od złej woli Kelaive'a – zgodnie z prawem muszę zgłosić pojmanie buntowników.

Mógłby to zrobić, gdyby Calis nie złapał go za rękę i wyrzucił z siebie pospiesznie:

– Tak, Girdzie, tak! To dobry pan i sprawiedliwy... dotrzyma słowa... – Lecz pod potokiem gorączkowych słów wyczuwało się strach, ten sam, który widział w oczach innych. Odtrącił dłoń Calisa i spojrzał szatynowi w oczy.

– Mówisz, że mnie ochronisz. – Mężczyzna skinął głową z powagą. – A co zresztą? Możesz próbować być dobrym władcą, panie... – To „panie” wydobyło się mu z ust z trudem, choć niepowstrzymanie – ... lecz są tutaj tacy, którzy uważają cię za złego na tyle, by dołączyć do spisku przeciwko tobie. – Machnięciem ręki wskazał na tych, którzy wyraźnie woleliby stać się niewidzialni. – Możesz być lepszy od Kelaive'a – śmiem nawet przypuszczać, że jesteś, bo to nic trudnego. Nie potrafisz jednak zapewnić ochrony wszystkim, którzy jej potrzebują i wygląda na to, że nie zapewniłeś jej nawet swoim własnym ludziom.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Gird przyglądał się, jak zebrani cofają się pod jego spojrzeniem.

– Szewc. Kołodziej. Kupiec bławatny. Pomocnik piekarza. Zamyślasz sięgnąć po władzę z takimi, jak oni, rolniku? Kto ustanowi wasze prawa? Kto będzie sądził w waszych sądach?

– Uczciwi ludzie, panie. – Nie chciał tytułować „panem” kogoś, kto tej nocy albo go zabije, albo sam zginie, ale i tak złapał się na tym. Nie potrafił nienawidzić tego człowieka, który wykazywał o tyleż więcej rozsądku, co Kelaive.

– Uczciwi kupcy! – W głosie szatyna pojawiła się pogarda. Gird zauważył, jak jeden z mężczyzn zeszywniał – ta strzała trafiła w czuły punkt. – Chcesz znaleźć uczciwego sędziego w zgrai kupców, którzy dolewają wody do mleka i mieszają kredę z mąką, którą wam sprzedają. Albo wśród wieśniaków, kładących na dno koszyka obite owoce. Czy rzemieślników, dodających metal do złota i srebra?

– Równie łatwo wśród nich, jak wśród szlachetnie urodzonych – wypalił Gird, szykując się na cios, który powinien na niego spaść. Rozmówca przeszył go spojrzeniem, po raz pierwszy okazując gniew. – Wśród zwykłych ludzi, parających się wieloma profesjami, można przynajmniej znaleźć takich, którzy odmierzają prawdziwą miarką, zamiast wybierać miarę i odważniki w zależności od sytuacji.

– Do licha! – Szatyn zacisnął pięść i zaraz ją otworzył. – Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Żałuję... wielka szkoda, że nie chcesz wstąpić do mnie na służbę. – Zerknął na czarnobrodego mężczyznę, będącego jednym z uzbrojonych mężczyzn. "–Pamiętasz, co powiedziałem, Caer? Ściśnij glinę, a zamieni się w kamień; kuj rudę, a otrzymasz złoto. Pod presją wydobywamy z nich prawdziwą naturę. Byłbym dumny, gdyby mój własny syn miał tyle odwagi, by tak przemawiać w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. – Obrócił się z powrotem do Girda. – To musi skończyć się śmiercią, lecz człowiek taki jak ty nie obawia się śmierci. Przysięgam, że nie będzie tortur; poddaj się dobrowolnie, a zapewniam, że

kat zada tylko jeden cios. Jeśli zaś musisz walczyć, to nie będę się wtrącał, a nie wszystkie rany goją się czysto.

Gird poczuł, że – nie wiedząc czemu – atmosfera w pomieszczeniu uległa zmianie, zupełnie jakby otwarto okiennice, wpuszczając do środka świeże powietrze i światło słońca. Uśmiechnął się do szatyna.

– Panie, nie zwykłem poddawać się tak łatwo. Przyznam jednak, że gdyby mój pan przypominał cię, to bardzo możliwe, że nie byłoby mnie tutaj.

– Gdyby wszyscy moi poddani byli tacy, jak ty, Girdzie, to bardzo możliwe, że mnie nie byłoby tutaj również. – Ponownie potoczył dokoła wzrokiem. – Uczyniłbyś armię z tych słabeuszy? Gdybyś dostał taką szansę, mógłbym bez obaw życzyć ci powodzenia.

W głowie Girda pojawił się pewien jasny obraz.

– Cóż – odrzekł – skoro nie obawiasz się tego, przyjmij zakład i pozwól mi ich przeszkolić, a potem zobaczymy, czy dotrzymają pola regularnym żołnierzom.

Mężczyzna wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Zaiste, przyjacielu! Co za mieszanina bystrości i uporu! Pozwolić ci szkolić dziesiątkę malkontentów, by mogli zaatakować moich strażników i to dla zakładu... to już nie bystrość, Girdzie z dominium Kelaive'a, to trąci szaleństwem. A ja byłbym szaleńcem, przyjmując taki zakład.

– Czemu więc tutaj jesteś, skoro nie boisz się swych poddanych?

Szatyn skrzywił się i łypnął groźnie na zielonookiego młodziana w cieniu.

– Zadajesz dużo pytań, przyjacielu. Odpowiem ci jednak, ponieważ wkrótce będziesz martwy, a wydaje ci się, że tylko poddani miewają kłopoty rodzinne. To... – kiwnął ręką na zielonookiego młodzieńca – to jest mój syn, jeden z synów, prawowity, zrodzony z łona mej pani.

Przyszedłem, ponieważ on tutaj przyszedł, a wiedziałem o tym, gdyż ten tam łysy krawiec przyszedł do mnie z ostrzeżeniem. Mój syn osiągnął wiek poszukiwania przygód, odtrącania ojcowskiej mądrości i wynajdywania podniet – takich, jak sekretne spotkania o północy i tajne sprzysiężenia.

– Próbowałem ci powiedzieć... – zaczął młodzian, lecz urwał, powstrzymany gestem ojca.

– Powie, że zrobił to dla mnie. Kłamie, a żadne bicie jeszcze nigdy go nie powstrzymało. Czuje się oszukany; uważa, że bracia otrzymali większą część bogactwa. Oni je pomnożyli, on swoje roztrwonił. Więc przyłączył się do spisku przeciwko mnie, ale bez prawdziwego przekonania. Za rok prawdopodobnie znudzi się i znajdzie sobie coś innego.

– Twój syn. Kochasz go?

– Miłość! Jest moim synem; krew z krwi i kość z kości... Lecz jest tchórzem i tak samo, jak reszta obecnych tutaj głupców, boi się wydać ostatnie tchnienie w więzieniu.

– Jego też tam wtrącisz?

– Jego? Nie; jest moim synem. Ale odeślę go, by w szeregach królewskiej armii walczył z nomadami. Niech przez zimę odmrozi sobie zadek w siodle, a zobaczymy, czy zmądrzeje.

– Tak oto młody bogacz, który otrzymał od życia wszelkie szanse na lepsze jutro, skończy na półrocznym wygnaniu z domu, podczas gdy towarzyszący mu biedacy muszą umrzeć...

– To konieczne – rzucił szorstko szatyn.

– Och, to konieczne – powtórzył powoli Gird ze swym najlepszym, wiejskim akcentem. – I to właśnie zmusza nas do walki. Jak przychodzi co



do czego, wasza sprawiedliwość polega na chronieniu waszej własnej krwi i zabijaniu wszystkich, którzy staną wam na drodze.

– Każdy tak robi! – warknął mężczyzna, najwyraźniej tracąc cierpliwość.

– Nie, panie. Na własne oczy widziałem, jak rolnicy dzielą się ostatnimi kęsami strawy, żeby jak najmniej zmarło. Byliśmy głodni, panie, każdy z nas, ale nie zostawialiśmy wszystkiego dla siebie. Nie musisz w to wierzyć, ale ja to widziałem i wiem; tak samo wielu tu obecnych.

Wtem, zupełnie jakby zawieszono go w powietrzu pod samym stropem, Gird ujrzał siebie z zewnątrz, swoją grubokościstą, ogorzałą twarz, skołtunione, rzędzące włosy, błyszczące potem, mocarne ramiona, starą, skórzaną kamizelę, nieco zbyt obszerną po kilkumiesięcznej tułaczce, wskutek której zgubił brzuch. Wypchnięte na kolanach spodnie, zaplamione i pocerowane, znoszone buty pilnie domagające się wymiany zelówek i żadnej broni, prócz pięści przypominających bryły twardego drewna.

Ujrzał też szatyna i wejrzał w głąb jego umysłu, gdzie dojrzał cień podziwu dla siebie i ślad niesmaku, że taki gamoń potrafił mówić z sensem, podczas gdy jego własnemu synowi wyraźnie brakowało rozumu. Dostrzegł blask świecy, migoczący na hełmie strażnika, gdy ten poruszył się lekko; ujrzał boki i tyły głów obserwujących go ludzi. I ujrzał zielonookiego młodziana, wyglądającego na starszego, niż był w rzeczywistości, jak wyciągał z rękawa nóż do rzucania, nie spuszczać wzroku z ojca.

Wrócił do siebie i wrzeszcząc: Nie! tak donośnie, że wzbił kurz ze skrzynek, rzucił się na szatyna tak szybko, że strażnicy nie zdążyli zareagować. Przewrócił szlachcica w tej samej chwili, gdy z mroku

wyleciało wirujące, połyskujące w świetle ostrze. Minęło ich obu i wbiło się z drzeniem w podłogę. Stojący z tej strony strażnik dostrzegł nadlatujący nóż i obrócił się do rzucającego. Drugi strażnik ruszył na Girda, lecz napotkał czarnobrodego mężczyznę, który wyrwał miecz z pochwy, by dopaść Girda od tyłu. Ich broń zadźwięczała o siebie, a Gird zdołał stoczyć się z szatyna i wydostać z ich zasięgu.

A wówczas w blasku świec zabłysnął drugi nóż i wbił się Calisowi w gardło, gdy ten wskazywał palcem zielonookiego.

– Zdrajca – rzucił młodzieniec. – Ściągnąłeś tutaj mojego ojca, co? Próbowałeś go ostrzec? – Calis zakrztusił się krwią i skonał, a zielonooki dobył miecza i włączył się do walki. Zadał czarnobrodemu sztych w plecy, tuż pod żebra, po czym odbił pikę strażnika i odskoczył tanecznie. – Szwagierku, nie bolą cię aby żebra? – Brodacz upadł niedaleko Girda, a spod jego dłoni buchnęła krew. Szatyn cofnął się i chwycił miecz pokonanego szermierza.

Przez chwilę Gird widział to wszystko w dziwny, wywrócony na nice sposób, od którego zakręciło się mu w głowie. Wcisnął się pomiędzy dwie skrzynie, próbując oburącz oderwać od jednej z nich deskę, by mieć czym walczyć. Pozostali trzej zbrojni obnażyli klingi... lecz nie walczyli po jednej stronie. Dwóch zaatakowało szatyna, jeden go bronił; do tej pory drugi pikinier padł od kolejnego noża, lecz Gird nie widział, kto nim cisnął.

Nigdy nie wyobraziłby sobie akurat takiego zakończenia tego spotkania: walki między szlachetnie urodzonymi, co więcej – pomiędzy ojcem a synem. Znajdujący się po drugiej stronie pomieszczenia buntownicy zaczęli wymykać się na dwór. Jeden z nich dostrzegł jego wzrok i rozłożył

ręce. Co mieli zrobić? Najwyraźniej nic, prócz ucieczki – to nie była bijatyka, w którą mogliby włączyć się nieuzbrojeni widzowie. On jednak nie mógł oderwać wzroku od ojca, który stał nad czarnobrodym mężczyzną i ostrożnie fechtował z poplecznikiem swego syna. Pozostanie było szaleństwem – to syn musiał zaaranżować zaproszenie go tutaj, planując zrzucić winę za śmierć ojca na obcego wichrzyciela. A jednak – kątem oka dostrzegł kolejnych wymykających się przez drzwi uczestników zebrania – musiał wiedzieć, kto wygra, kto będzie go ścigał.

Walka trwała; brzęk stali z pewnością wystarczył do ściągnięcia uwagi. Żaden z walczących nie zważał na Girda; równie dobrze mógł być widzem walki z obstawianiem zakładów. Zastanawiał się, czy któryś z uciekinierów powiadomi strażników miejskich. Jeszcze bardziej zastanawiało go to, co widział. Wbrew wszystkiemu, co ojciec uważał o swoim zielonookim synu, okazał się on biegłym szermierzem, mocno naciskającym sprzymierzeńca ojca. Drugi strażnik kilkoma rozważnymi pchnięciami piki zapędził swego przeciwnika do rogu pomieszczenia, gdy nagle otrzymał cios z boku od trzeciego ze zbrojnych, który otworzył mu brzuch. Strażnik jęknął i osunął się na podłogę.

Teraz szatyn i jego druh mieli przeciwko sobie trzech przeciwników: syna i jego dwóch sojuszników. Girda zerknął na leżącą pikę – mógł jej użyć, ale jak do niej dotrzeć? I do czego miałby jej użyć, oprócz ucieczki – a mógł uciec, gdyby chciał. W zamian z fascynacją obserwował toczącą się walkę. Po śmierci strażnika szatyn nie okazywał oznak strachu, ani paniki, wręcz przeciwnie – walczył jeszcze zaciekłej, wymieniając szybkie ciosy z dwoma przeciwnikami, podczas gdy ostatni pozostały przy życiu sojusznik potykał się z jego synem. Niestety, musiał się cofnąć i odstąpić od rannego

zięcia. Zielonooki młodzieniec zranił przeciwnika w ramię; w tej samej chwili jego ojciec ciął głęboko jednego z oponentów. Trafiony opuścił miecz i złapał się za ranę, a klinga szatyna rozchlastała mu szyję. Lecz nie bezkarnie – drugi nieprzyjaciel zranił go w udo. Mężczyzna zachwiał się, zaraz jednak wrócił do równowagi i jego nazbyt zapalczywy przeciwnik nadział się na ostrze, które przebiło go po kręgosłup. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zsunął się z klingi, ściągając ramię szatyna w dół.

Syn odwrócił się po zadaniu śmiertelnego ciosu przyjacielowi ojca i uniósł miecz. Wówczas ożył Gird. Pochylił się po porzuconą pikę strażnika i machnął nią na odlew jak pałką, odtrącając miecz młodzieńca. Przeskoczył nad kałużą krwi i przydusił go drzewcami do podłogi, przyszpilając własnym ciężarem.

Zapadła cisza, dźwięcząca donośnie w uszach. Ktoś jęknął; inni oddychali chrapliwie. Leżący pod nim zielonooki młodzieniec spróbował podnieść się, lecz bezskutecznie. Gird wbił mu kolano w plecy i dopiero wtedy odważył się obejrzeć na jatkę.

Napotkał spokojne spojrzenie szatyna – ojca – zaciskającego pas wokół krwawiącego uda. Zadzierzgnął węzeł, wstał i podszedł niepewnie do Girda, spoglądając na niego z góry z miną, której ten nie był w stanie odczytać.

– Cóż, Jernohtcie, tym razem sprawiłeś mi nie lada kłopot. I co mam z tobą począć?

– Nie chciałem tego... – Głos był przytłumiony i pełen napięcia, choć Gird nie widział, czy to od jego ciężaru na plecach, czy z innych względów.

– Może i nie, lecz i tak miałeś złe zamiary. Co mogę zrobić?

– Zabij go – rzucił bez namysłu Gird. Szatyn wbił w niego intensywne

spojrzenie.

– Zabić własnego syna? Jeśli inni umrą, kto zostałby moim następcą?

Gird poczuł pod sobą poruszenie, dreszcz nadziei.

– Skazałbyś mnie na śmierć, panie, choć nie uczyniłem ci niczego złego, za to w ciągu tej nocy dwukrotnie uratowałem życie. A czemu nie jego, który z rozmysłem planował wyrządzenie ci krzywdy? Uważasz, że ktoś taki, jak on, powinien rządzić – myślisz, że okazałby się lepszy od Kelaive'a?

– Milcz, śmierdzący chamie! – warknął pojmany. – Nie ma znaczenia, czego chcesz. Jestem szlachetnie urodzony; nie zabije mnie.

Gird zignorował go, patrząc prosto w zapadniętą twarz szatyna.

– Panie, gospodarz musi nie tylko pielęgnować, lecz także przycinać – to część właściwego gospodarzenia. Czyż władca nie jest jak gospodarz, starający się poprawić jakość swojego dominium?

– Mój syn... krew z krwi...

– Twój syn próbował cię zabić i to nawet nie w uczciwej walce, rzucając ci wyzwanie. Jest przyczyną tych wszystkich śmierci. Sam mówiłeś, że spiskował i to nie pierwszy raz. Każdy gospodarz trzebi bydło; leśnicy przycinają drzewa. Wy przetrzebacie chłopów. Wypróbuj ostrze na własnym policzku, zanim zabierzesz się za golenie innych. Panie.

Mężczyzna podniósł używaną przez Girda pikę i umieścił grot na karku syna.

– Zejdź z niego.

– Czy jesteś... ?

– Zejdź z niego, przyjacielu. – Gird zjechał z pleców młodzieńca i złapał go za łokcie, gdy ten spróbował wsunąć pod siebie ramiona.

- Stracił mniej krwi od ciebie, panie.
- Faktycznie. A ja mam uwierzyć, że dbasz o to, który z nas przeżyje? Tacy jak ty nienawidzą szlachetnie urodzonych; z radością ujrzałbyś nas wszystkich martwych.
- Nie. – Gird usiadł na biodrach młodziaka, jedną ręką przytrzymując go za łokcie, a drugą wyjmując z kieszeni kamizeli kłębek sznurka. Rozplatał go i sprawnie związał łokcie. – Nie, panie, nie żywię do ciebie osobistej nienawiści. Uważam, że nie rozumujesz jasno, ale możesz starać się postępować najlepiej, jak potrafisz. Przynajmniej nie przypominasz Kelaive'a. I nie zamierzam pozwolić twemu synowi zabić ciebie, korzystając z twego osłabienia.
- I nie myślałeś o tym, żeby użyć tej piki przeciwko mnie, gdybym padł?
- Nie. Nie po to tutaj jestem. – Wstał, zastanawiając się, czy nieznajomy zaatakuje go piką. Nie był ranny; powinien bez trudu uniknąć ciosu.
- Tak. Przypuszczam, że mówisz prawdę. – Szatyn zmierzył go pełnym zadumy spojrzeniem. – Przybyłeś tutaj, by uczyć moich poddanych, jak walczyć z moją armią, nie wzięłeś jednak udziału w gierkach mojego syna, ani nie chciałeś mnie zabić. – Przymknął na chwilę oczy i westchnął. – Do licha. Ale zamieszanie... Ciekawe, dlaczego strażnicy miejscy nie łomoczą jeszcze do drzwi? Narobiliśmy wystarczająco dużo hałasu. Może Jernoth ich także przekupił.
- Nikomu nie możesz ufać – rzucił zapalczywie Jernoth. Ojciec nacisnął mocniej pikę i syn zamilkł.
- Może mieć rację – mruknął szatyn. – Nie jestem pewny, czy w tym stanie dotarłbym do domu. – Zerknął na Girda. – A co z tobą?
- Nie mam ochoty umrzeć, jeśli twój zdradziecki syn przeżyje, ani też

zgnić w twoim lochu.

– Nie... do licha, przyjacielu, zachowujesz spokój w sytuacji, w której każdy zwyczajny chłop zamieniłby się w roztrzęsioną galaretę. Wszyscy inni uciekli i nie sądzę, żeby teraz dobrze spali. Kim ty jesteś? Czy dotknął cię któryś z bogów?

– Nie. – Gird zdecydowanie pokręcił głową. – Mój lud wyznaje Panią Pokoju, a ona uczy podporządkowania się. A twoi bogowie wspierają was. Urwał, słysząc łomot butów na zewnątrz; coś trzasnęło w sklepie za drzwiami.

– Powinieneś był uciec, kiedy mogłeś – zauważył szatyn.

– Mógłbyś zaświadczyć, że ci pomogłem – odparł Gird. Do pomieszczenia wpadli strażnicy z pochodniami, których pomarańczowe światło przyćmiło żółtawy blask świec. Zatrzymali się, mierząc pikami w plecy Girda.

– Mój panie – zawołał jeden z nich z jaskrawo pomarańczowym węzłem na ramieniu. – Ktoś zgłosił hałasy... – Umilkł, rozglądając się dookoła.

– Zdrada, sierżancie – wyjaśnił szatyn.

– Ten chłop? – upewnił się sierżant.

– Nie. – Szatyn uśmiechnął się do Girda. – Ten człowiek przyszedł mi pomocą. Zdrajcy leżą martwi, wszyscy, z wyjątkiem jednego. – Spojrzał w dół na swego syna i sierżant z sykiem wciągnął powietrze.

– Panicz... Jernoth, mój panie?

– Panicz Jernoth. I dwaj inni. – Wskazał na ciała i sierżant ponownie syknął. Widocznie rozpoznał ich. Rozkazy szatyna szybko go otrzeźwiły. – Sierżancie, prześlij wiadomość, że potrzebuję powozu – zostałem ranny. Ten... człowiek... – Skinął dłonią na Girda. – Gdyby mnie nie ocalił, mielibyście tej nocy nowego pana. Jest obcy, ale mile widziany w mieście.

Dopilnuj, aby otrzymał kupon na trzydniowy wikt i piwo na koszt miasta. Ja mam przy sobie tylko garść miedziaków.

– Tak, mój panie. – Sierżant zmierzył Girda spojrzeniem pełnym wątpliwego respektu.

– Zaś panicz Jernoth ma pozostać w zamknięciu, dopóki nie wydam wyroku. Takiej decyzji nie należy podejmować pośpiesznie. – Powiedział to, patrząc na Girda; coś w jego tonie sugerowało, że posłucha jego rady. Od tej chwili wszystko potoczyło się gładko: strażnicy dokładnie skrępowali młodzieńca, po czym podnieśli go z ziemi i wyprowadzili. Zajęto się ranami szatyna i posłano umyślnego po powóz. Sierżant celowo powoli otworzył sakiewkę i wyciągnął płaską deseczkę z herbem władcy.

– To jest kupon na posiłki, honorowany w każdej gospodzie, z wyjątkiem „Złotego Znak” i „Białego Skrzydła” – te są wyłącznie dla szlachetnie urodzonych. – Wyjął sztylet i wykonał na kuponie trzy nacięcia. – To na całodzienne wyżywienie i piwo. Pod koniec każdego dnia odłamią jedną część. Rozumiesz?

– Tak, panie. – Gird zastanawiał się, czy naprawdę tak łatwo odzyska wolność.

Sierżant ściszył głos.

– Słyszałem, że w mieście odbyło się jakieś spotkanie spiskowców, mających wysłuchać obcego, który miał wywołać tutaj kłopoty. Wiesz może, kto to taki?

– Ja, panie? – Głupota zawsze była wygodną maską dla wieśniaka.

– I oto stoisz tutaj, bez najmniejszego draśnięcia, a nasz pan twierdzi, że uratowałeś mu życie. Zastanawiam się, czy faktycznie chciałeś to zrobić... lecz jego rozkazy to moje życie, jak mówią, a on nakazał żywić cię przez



trzy dni. Chcę tylko powiedzieć, że lepiej będzie, jak o zachodzie trzeciego dnia znikniesz, bo nasz władca może przypomnieć sobie, że chciał cię o coś zapytać. Ja tak bym właśnie uczynił.

– Tak, panie.

– I nie przypuszczam, żebyś miał ochotę na jakieś ciche spotkania z buntownikami podczas pobytu w mieście. – Nie, panie.

– W porządku. Idź napełnić brzuch i nie wchodź mi w drogę.

Gird wyszedł na ciemną ulicę i zaraz został zatrzymany przez nadchodzący oddział strażników, którzy puścili go dopiero, kiedy pokazał im kupon. Próbował iść jak ktoś, kto ma do załatwienia jakieś uczciwe sprawy, lecz zaczęły docierać do niego wydarzenia ostatniej godziny. Dotarł do głównego placu, okrążył go, przemykając się pod ścianami i odszukał schody żebraków.

## Rozdział 17

– Wieczór był ciekawy? – Głos staruszka był cichy, lecz wyraźny. Gird podskoczył, by zaraz szybko przycupnąć obok niego. – Oddaję laskę – dodał starzec, dotykając lekko jego dłoni, zupełnie jakby widział w ciemnościach. Gird złapał ją, czerpiąc pociechę z wyslizganej gładkości drewna. Szkoda, że nie miał jej przy sobie... – Omal cię nie zabili – dopowiedział jeszcze ciszej starzec.

– Skąd... skąd o tym wiesz?

– Sza. – Gird poczuł na przedramieniu silną, kościstą dłoń i słabe ciepło opierającego się o niego starczego ciała. W zapadłej ciszy usłyszał poruszenie na schodach, mogące być reakcją zaspanych towarzyszy niedoli na hałas.

Ciało starca okazało się cieplejsze, niż wydawało się mu z początku; miał wrażenie, jakby usiadł prawym bokiem blisko ogniska. Nie sądził, że uda się mu zasnąć, poczuł jednak, jak zapada się w to ciepło, zupełnie jakby dopadło go zmęczenie całodzienną wędrówką oraz wieczornym wysiłkiem. Było tak przyjemnie... a przecież nie mógł. Przez chwilę poczuł strach.

Obudził się o świcie, gdy wielkie dzwony Holu Esei obwieściły codzienny triumf słońca. Dźwięk spadł na niego i wyrwał z pogodnego snu. Przez chwilę miał wrażenie, że go napadnięto. Uspokoila go dłoń starca na ramieniu. Rozejrzał się dziko dokoła. Pozostali spędzający noc na schodach żebraków siadali i przeciągali się. Człowiek obok niego... był kimś innym. Wyrwał się z uścisku.

– Spokojnie – powiedział starzec o nowym obliczu. – To tylko twarz.

– Nie była bardzo odmienna: wciąż stara, zachowała ten sam kształt. Tego ranka sprawiał wrażenie mniej kruchego i z całą pewnością nie był już ślepy. – Cud, pamiętasz? Po to tutaj przyszedliśmy.

– Ale...

– Powinniśmy znaleźć coś do jedzenia. – Starzec wstał i Gird wyprostował się; nie zeszywniał przez noc tak, jak się spodziewał. – Co to jest? – zainteresował się staruszek.

Chodziło o kupon otrzymany zeszłej nocy od sierżanta straży.

– To... mogę za to dostać posiłek w gospodzie. Kupon od władcy. Starzec uniósł siwe, krzaczaste brwi.

– A więc chodziło o samego władcę. Wiedziałem, że to było ważne, ale... Gird miał już dosyć tego człowieka, który z pewnością nie był bezradnym, torturowanym staruszkiem, budzącym jego litość zeszłego wieczora.

– Podzielę się z tobą śniadaniem, potem jednak...

– Wołałbyś, żebym odszedł. Niepokoję cię, prawda? – To wcale nie było oblicze prostaczka, a Gird był więcej, niż zaniepokojony. Czymkolwiek to było – a nie był już wcale pewny, że to człowiek, a nie jakiś demon – cały czas stawiało go w trudnych sytuacjach.

– Mam pewne sprawy – oznajmił przez zaciśnięte zęby. – Chciałem ci tylko pomóc i...

Szczupła, krzepka dłoń wsunęła się mu pod łokieć i złapała za ramię, zupełnie jakby chcąc podtrzymać słabowitą, chwiejącą się na nogach starowinkę.

– I uważasz, że ściągnąłem na ciebie więcej kłopotów. Sądzisz, że to ja byłem ślepy, podczas gdy wiem, że to ty nie widzisz. Chodź, Girdzie Silne Ramię – znam ciebie, a ty poznasz mnie lepiej, nim zapadnie zmrok.

Jak poprzednio, nie mógł uwolnić się z uchwytu i spostrzegł, że idzie tam, dokąd chciał starzec. Do publicznej fontanny, by obmyć twarz i dłonie. Do tanej gospody, gdzie kupił gorące, nadziewane mięsem bułki – podwójną ilość, jako że odmówił wzięcia ale. Do krętej alejki, w której zjedli posiłek, opierając się o wypukłą ścianę pieca piekarni, a koty ocierały się im o kostki, zebrząc o poczęstunek. Posiłek wzmocnił go i przywrócił murom i ulicom miasta normalne kolory. Nie były już oślepiająco jasne i migotliwe, jakby miał gorączkę, tylko zwyczajne i spłowiełe pod szarym, zimowym niebem.

– Już ci lepiej – zauważył staruszek, wciąż trzymając go pod ramię. Gird spojrział na niego z góry.

– Czuję się lepiej, owszem. Ale ty – kim jesteś?

– Mówiłem ci przecież. Kapłanem Esei, obecnie w niełasce u swych braci w wierze. Jestem ci wdzięczny za pomoc...

– Nie potrzebowałeś mnie! – Syty, rozbudzony i czujny Gird przypomniał sobie wszystko, co się wydarzyło. – Tylko wyglądałeś na rannego...

Oszukałeś mnie!

– Nie. – Głos był cichy. – Nie... mogłem umrzeć. Omal nie zginąłem. Nie zrozumiesz – nie jesteś w stanie – tego, co mnie spotkało, ani moich mocy. Lecz prawdą jest, że kiedy mnie odnalazłeś, byłem bliski śmierci. Ocaliłeś mi życie.

– Ale ozdrowiałeś... – Gird nie był w stanie tego wykrztusić; palce go świerzbiły, żeby wykonać gest chroniący przed złem.

Mężczyzna westchnął.

– Girdzie, musimy porozmawiać, ty i ja. Wyświadczyłeś mi ogromną przysługę; jak dotąd, zrewanżowałem ci się jedynie drobną pomocą, z

czego jeszcze nie zdajesz sobie sprawy. Nie ufasz mi – nie, to żadne czytanie w myślach; zwyczajnie pachniesz strachem. Powinniśmy jednak obaj opuścić to miasto, zanim wpadniemy w kłopoty, z którymi nie poradzi sobie ani twoja siła, ani moja moc. Zaufasz mi chociaż w tej kwestii?

– Wiem, że muszę stąd odejść – mruknął Gird. – Sam tak powiedział, a poza tym... nie znam się na miastach. Ale mam jeszcze kupon na dwa dni.

– Nikogo nie zaskoczy, jeśli wykorzystasz go, biorąc prowiant na drogę, a potem wyjedziesz. Tego oczekiwaliby od ciebie tutejszy władca. Jeżeli zostaniesz w Grahlinie, zaczną zastanawiać się, czy aby nie spotykasz się z kolejnymi ludźmi.

– Mógłbym tak szybko ponownie skorzystać z kuponu? – zapytał Gird, wpatrując się w postrzępioną linię odłamania deseczki, jakby spodziewał się, że mu odpowie. Starzec roześmiał się przyjaźnie.

– Nie musimy iść do tej samej gospody. Poza tym, władca daje takie kupony wielu osobom – każdemu, kto służy mu w danym dniu. Nie zauważyłeś, że kelner nawet ci się nie przyjrzał? – Gird nie zwrócił na to uwagi, zajęty wypatrywaniem, czy nikt ich nie śledził. – Możesz wykorzystać obie części kuponu w jednej gospodzie. Powiedz im, że potrzebujesz prowiantu na drogę. Są do tego przyzwyczajeni.

Faktycznie tak było. Jego żądanie nie wywołało żadnych komentarzy i służący podał mu sukienny worek wypchany chlebem i serem oraz dzban ale. Zgodnie z sugestią starca Gird zachował sobie kawałek kuponu ze znakiem władcy, pozostały po odłamaniu reszty. Dzięki temu przeszedł przez bramę nie zaszczycony dłuższym spojrzeniem wartownika.

Staruszek opuścił miasto przed nim. Girda kusilo wyjście inną bramą, czuł jednak, że byłoby to nie w porządku.

Starzec czekał w miejscu niewidocznym od bramy, kucając w cieniu przydrożnego drzewa. Gdy nadszedł Gird, wstał i dołączył do niego, podpierając się Girdową laską.

– Pozwól mi zacząć od tego, co jest dla ciebie najdziwniejsze – zaczął bez zbędnych wstępów. – Od moich mocy i wiedzy.

Gird chrząknął. Próbował wymyślić, jak wyjaśni pozostałym, że jego wyprawa do miasta okazała się nie tyle nieskuteczna, co wręcz katastrofalna. Stracili ich jedyny kontakt, a władca miasta poznał jego twarz. Co gorsza, dowiedział się, że miał wrogów. A przecież potrzebowali kogoś wewnątrz miasta usytuowanego na styku szlaku handlowego ze szlakiem rzeczny. Tutejszy garnizon był w stanie udaremnić każdy plan, jaki obmyśliłby dla tego regionu. Co mogło nastąpić nie wcześniej, niż za rok – wiedział o tym – ale i tak miasta nie można było zignorować.

Podskoczył, gdy dłoń starca wpiła się mu w łokieć.

– Słuchaj uważnie – upomniał go staruszek. – Musisz to wiedzieć.

Nie musiał wiedzieć niczego, z wyjątkiem tego, jak uwolnić się od tego starca – pomyślał kwaśno. Nie potrzebowali kapłana-renegata boga nieprzyjaciół, który w każdej chwili mógł się nawrócić i ich wydać. Lecz ukłucie bólu zwróciło jego uwagę i chcąc nie chcąc, zaczął słuchać.

– Jestem kapłanem Esei – powtórzył starzec. Gird zdołał powstrzymać się przed powiedzeniem, że przynajmniej tyle już wiedział. – Sądząc po reakcji na moje błogosławieństwo, uważasz Eseę za siłę zła. Lecz Esea w pradawnym Aare, skąd przybyli panowie, to imię boga światła. Słońce jest jego widoczną formą ale nie jest bogiem.

– Pan Słońca, Pan Morza, Władca Piasków i Szczęścia... – wymamrotał bezwiednie Gird.

– Bez wątplenia nauczyłeś się tych wersów w dzieciństwie. Są całkiem prawdziwe. Nasz lud czczył Eseę, Pana Słońca – choć tak nazywali go tylko wieśniacy. Pan Morza to Barrandowea. Ibbiruna, Władcy Piasków bardziej się bano, niż czczono. I Simyits, bóg szczęścia. Mieliśmy też innych bogów, bardzo licznych, w tym twoją Panią, Alyanyę Owocną. – Starzec spojrział spokojnie na Girda, niczym człowiek oceniający woła przed zakupem. – Powiedz mi, co masz przeciwko Esei?

– Esea jest bogiem panów. Sprowadza susze, przez niego wysychają źródła i studnie. Merin nienawidzą go, a on sprawia, że więdną kwiaty, które im przynosimy.

– Rozumiem. Ponieważ uważasz Eseę za Pana Słońca, a podczas suchej pogody częściej widzisz słońce?

Girda wzruszył ramionami.

– Nie jestem kapłanem. Ale tak mówią starzy ludzie w naszej wiosce. Jeśli panuje susza, nie pozwalaj kapłanowi Esei zbliżyć się do studni, bo rzuci na nie klątwę słońca i woda zniknie.

Starzec parsknął.

– Uważają że kapłani nie potrzebują wody? Że nie trzeba nam jedzenia, więc nie przejmujemy się złymi zbiorami? – Pokręcił głową. –

Przepraszam. To zupełnie naturalne, że obwiniasz obcych bogów za swoje kłopoty, zwłaszcza, gdy wasi władcy są tacy źli, jacy są.

– Tak, ale ty...

– Jestem człowiekiem. Takim samym, jak ty; żadnym demonem, ani bogiem. Pochodzę ze starej krwi Aare... jestem spokrewniony z waszymi panami, jeśli tak chcesz na to spojrzeć. – Przeszedł kilka kroków, zerknął z ukosa na Girda i dodał: – Rozumiem, że tak na to patrzysz. Nic dziwnego.

Lecz nie wiesz o wielu sprawach. Starzy Aareanie władali mocami, których pozbawiony był twój lud. Obecnie te chłodne ziemie rozrzedziły naszą krew, jak twierdzą niektórzy, albo wasi bogowie wywarli na nas zemstę. Uważam wszystkie te domysły za śmieszne.

Gird uczeplił się tej niewielkiej części, którą zrozumiał.

– Jesteś tej samej krwi, co nasi panowie – jak tutejszy władca lub mój dawny hrabia?

– Nie tyle blisko spokrewniony, co tego samego pochodzenia – z zamorskiego Aare.

– Ale... nie widziałem, żeby panowie władali jakimiś mocami. – Mówiąc to, przypomniał sobie niesamowite światło, jakie zgodnie z wolą władcy rozświetliło półmrok magazynu. – Z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem ostatniej nocy. Najpierw ja, a potem władca. – Złapał Girda za rękę, którą ten szykował już do nakreślenia kolejnego znaku odczyniającego złe uroki. – Przestań tak robić. Nie zadziała, ponieważ nie jestem tym, za co mnie uważasz, ale i tak jest irytujące. Przekonasz wszystkich na tej drodze, że sprowadzam nieszczęście. – Na drodze nie było nikogo, ani za, ani przed nimi. Gird skrzywił się. Starzec westchnął. – Girdzie, nasz lud miał moc, teraz jednak większość z nas już jej nie ma, albo zostało jej bardzo niewiele. Ja władam mocą, tutejszy władca również – oczywiście, że o nim wiedziałem. Znamy się od wielu lat, wiele ze sobą rozmawialiśmy, biesiadowaliśmy – byłem jego gościem...

Gird próbował uwolnić nadgarstek. Starzec był słaby – musiał być słabszy od niego – a mimo to nie potrafił się wyrwać. Szarpał się, coraz bardziej zdyszany, lecz bezskutecznie. Staruszek tylko uśmiechał się do niego promiennie i przyjaźnie.



– Puść... mnie! – rzucił w końcu, skoro siła nic nie dawała.

– Kiedy upewnię się, że zrozumiałeś, co do ciebie mówię. Nie wcześniej. – Ten sam spokojny uśmiech, teraz jednak podszyty groźbą.

– Zrozumiem, czy pogodzę się? – zapytał gniewnie.

– Zrozumiesz. Na Światło Esei, Girdzie, gdybym chciał rzucić na ciebie urok, mógłbym to uczynić w każdej chwili.

– Czyżby? – Spiorunował staruszka wzrokiem, zastanawiając się, czy to aby nie było wyjaśnieniem wszystkiego, co go spotkało. Czy zauroczono go, żeby myślał, że tamten był ranny, dał zaprowadzić się do miasta i poszedł bez broni prosto w pułapkę? Ten pogodny uśmiech zdawał się wypełniać mu oczy, jakby staruszek nagle urósł; ciepło i spokój wsączało się do jego umysłu, wypierając gniew. Lecz on czepiał się go, uparcie jak zasiedziały w ziemi głaz – mógł zostać zmieniony, ale nie przekabacony. W końcu starzec westchnął i narzucone mu ciepło i spokój nagle znikły. Dygotał na zimnym wietrze, świadomy deszczu ze śniegiem, kłującego go w lewą stronę twarzy.

– No cóż. Może i nie mógłbym. Przynajmniej nie teraz. Bogowie muszą wiedzieć, co czynią. – Starzec także zadygotał. Lecz nadal się uśmiechał, choć teraz ze smutkiem.

Gird rozejrzał się. Stali na wzniesieniu, gdzie wiatr owiewał ich z każdej możliwej strony, a deszcz i śnieg kęsały. Droga biegła na wschód, mijając grzebień skalny, który nie zapewniał żadnego schronienia. Dolną część zbocza po prawej porastały sięgające kolan zarośla. Wydało mu się, że w oddali dojrzał drzewa.

– Zimno mi – oświadczył. – Zamierzam znaleźć schronienie, a jeśli mnie nie puścisz, będziesz musiał pójść ze mną. – Był pewny, że zdołałby

pociągnąć starego za sobą, gdyby nie mógł się go pozbyć.

– Dobry pomysł – przytaknął staruszek i milczał, dopóki nie przedarli się przez krzaki, docierając do skąpej osłony pozbawionych listowia drzew.

Gird skulił się za powalonym pniem i zakopał w suchych liściach.

Wystarczająco głęboko. Starzec uwolnił jego nadgarstek, przykucając we wskazanym mu miejscu. Gird naznosił gałęzi i zbudował z nich osłonę przed wiatrem, a potem zatkał liśćmi szczelinę pod kłodą. Nie zważając na gęstniejący deszcz ze śniegiem, przycinał dłuższe gałęzie i układał z nich niski daszek. Kiedy skończył i wpełzł do środka, w powietrzu zawirowały pierwsze płatki śniegu.

Staruszek umościł sobie gniazdo z liści i skulił się w nim. Gird postawił w zasięgu ręki worek z jedzeniem i dzban ale, po czym przytulił się do starca. Nie był tak wyziębiony, jak oczekiwał – ale z drugiej strony nie był również taki słaby, jak Gird oczekiwał. Za skrajem daszku ich schronienia tańczyło coraz więcej płatków, zaległa czarodziejska, zwiastująca śnieg cisza. Płatki przywierały do zeschniętych liści, tworząc fantastyczne formy, dopóki śnieg nie przykrył wszystkiego niezmaconą bielą.

Gird przypatrywał się temu. Sypiał już bez ogniska w zimowe noce, a teraz miał jedzenie i ale, niemniej, jak zdoła dotrzeć do swego wojska? Spodziewał się, że spędzi kilka dni w mieście, dostanie tyle prowiantu, że bez trudu dotrze do następnego miasteczka, a potem powróci z przewodnikiem, odwiedzając po drodze trzy podwórza. Przybył do miasta z południa; teraz znajdował się na wschód od niego w nieznanym sobie okolicach, które właśnie znikają pod śniegiem. Pod śniegiem, na którym jego ślady będą aż nadto widoczne, a on nie miał co liczyć na nie zwracającą uwagi podróż. W którym mógł cierpieć głód albo umrzeć na

mrozie. Leżący u jego boku starzec zachrapał. Zasnął bez trudu, jak wszyscy starzy ludzie. On był ciepły i nie bał się – ale czego miałby się bać, skoro potrafił uleczyć sobie takie rany? O ile były prawdziwe.

Gird wyciągnął rękę i przyciągnął do siebie sakwę z jedzeniem. Nie patrzył za daleko w przód – zwykł mawiać jego tata. Jest czas na planowanie siania i żniw, jest też czas na jedzenie tego, co ma się pod ręką i wdzięczności za to. Wewnątrz znajdowały się chleb, ser, połeć bekonu i cebule. Zerknął na śpiącego, westchnął i odłożył worek. Podzielił się tym, kiedy starzec się obudził.

Stało się tak, że staruszek obudził się pierwszy. Gird nie miał zamiaru zasnąć, lecz cisza i monotonia zrobiły swoje. Na zewnątrz było ciemno, zimno i cicho. W środku ich schronienia starzec uczynił światło i promieniował ciepłem, niczym rozpalony kamień. Przytykał właśnie palec – żarzący się palec – do poszarpanego kawałka bekonu, który zaskwierczał, ociekając tłuszczem prosto na podstawiony chleb. To właśnie zapach pieczonego bekonu obudził Girda, a widok starca smażącego wędlinę palcem wygnał go w mrok i mróz w panicznym odruchu ucieczki.

– Wracaj! – wrzasnął starzec. – Piekę go dla ciebie!

Gird przycupnął w śniegu, niepewny i trzęsący się z zimna i strachu. Śnieżynki muskały mu głowę, policzki, ramiona i dłonie mroźnymi pocałunkami, niczym śnieżne panny, zamieszkujące daleką północ. Starzec wytknął głowę ze schronienia.

– Wszystko w porządku. Nic ci nie będzie. Obiecuję. – Co mu po obietnicach człowieka, który smażył bekon palcem i potrafił wyczarować światło? Co mu po obietnicach kogoś, kto potrafił zmieniać twarz? Lecz

woń smażonego bekonu trafiła prosto w ziejącą w brzuchu otchłań, a do ust napłynęła ślina. Na głowę spadła mu pecyna śniegu i wzdrygnął się. Strach, ciepło i jedzenie, albo mróz, głód i... jeszcze większy strach. Nim się obejrzał, już wracał do kryjówki, modląc się żarliwie do wszystkich bogów o ochronę przed pewnym starcem.

Stanąwszy z nim z powrotem twarzą w twarz, nie mógł doszukać się specjalnych powodów do obaw. W powykręcanych i kościstych dłoniach trzymał kawałek chleba z gorącym plastrem bekonu. Gird przyjrzał się jedzeniu, nie biorąc go.

– Musimy się podzielić – oznajmił chrapliwie.

– Nie lubię bekonu – odparł z niejakim smutkiem starzec. – Plaster pieczonej jagnięciny, albo choćby wołowiny... ale nigdy nie mogłem jeść bekonu. No dalej, weź to.

Gird spojrzał mu w oko. Czy to możliwe, że nie znał zwyczajów jego ludu? Czyjego pobratymcy byli aż tak odmienni?

– Musimy się podzielić – powtórzył. – Nie mogę przyjąć od ciebie jedzenia, jeżeli ty nie weźmiesz jedzenia ode mnie. – Lub raczej, pomyślał, nie wezmę go i nie uwikłam się w tego typu zobowiązania. Starzec wzruszył ramionami.

– Zacząłem od ciebie. Nie wolisz chyba surowego, co?

Gird westchnął. Albo był kompletnym ignorantem, albo czekała go trudna przeprawa. Bolała go głowa i nie miał ochoty na wyjaśnienia, ale niestety będzie musiał to zrobić.

– To bardzo ważne – oznajmił. – Ty przyrządziłeś posiłek, co oznacza, że prawo paleniska, prawo ognia, jest po twojej stronie. Nie mogę wziąć – nie, nie przyjmę od ciebie jedzenia, dopóki ty nie przyjmiesz poczęstunku

ode mnie, ponieważ oznaczałoby to, że byłeś moim... miałeś prawo dać lub nie dać mi jedzenia, a ja potrzebowałam twojej ochrony.

– Och. – Staruszek zrobił zaskoczoną minę, ale cofnął dłoń. – To dlatego twój lud ofiarował jedzenie moim rodakom, kiedy tutaj przybyli?

– Postąpili tak? – Gird nie miał pojęcia, co się wydarzyło, kiedy panowie pojawili się po raz pierwszy. – A co zrobili twoi?

– Popełnili wielki błąd, jak przypuszczam – odrzekł staruszek, jakby do siebie. – Co powinni byli zrobić?

– Czy szukali pomocy w polowaniu lub przeciwko wrogowi? Albo głodowali?

– Nie... przynajmniej kroniki o niczym takim nie wspominają.

– Wobec tego, jeśli chcieli zawrzeć sojusz palenisk, powinni zaoferować własne jedzenie. Podzielić się.

Starzec wydał wargi.

– A co znaczyłoby dla ciebie, gdyby zjedli ofiarowane im jedzenie, nie dając nic w zamian?

– Że przyjęli ofertę paleniska, które stało się dla nich przywódcą... i obrońcą.

– Czy mogli w zamian ofiarować coś innego? Broń, ochronę?

Gird pokręcił głową.

– Nie... jaką ochronę mógł zapewnić ktoś, kto nie miał jedzenia? Silne palenisko ma jedzenie, które może komuś zaproponować, a słabe przyjmuje je i służy w zamian za ochronę. Jeśli chcieli przyjaźni, powinni byli zrobić tak, jak powiedziałem: podzielić się nawzajem jedzeniem.

Tylko reguła głodu zmienia zasady, ale nie zawsze.

– Reguła głodu?

– W czasie głodu wszyscy dzielą się równo bez wzajemnych zobowiązań, nawet jeśli tylko jeden daje żywność. Lecz musi to zostać ogłoszone i zaaprobowane.

– Jest gorzej, niż sądziłem – mruknął starzec, krzywiąc się. – Byliśmy tacy głupi! – Odłożył chleb z bekonem. – Weźmiesz coś z sakwy i podzielisz się ze mną?

– Nie mogę tego przyrzadzić – zauważył Gird, marszcząc brwi.

Oczywiście, to nie musiało być przyrządzone jedzenie – chleb był już upieczony, a ser uwarzony. Tak naprawdę jednak nie była to jego żywność – należała do władcy, który był sprzymierzeńcem starca. Pewni ludzie zanegowaliby to. – Zgadzasz się, że to moja żywność?

– Tak.

– W takim razie ofiaruję ci ten chleb i ser. – Gird położył pomiędzy nimi chleb i ser, po czym odłamał po kawałku i podał starcowi. Ten z powagą przyjął poczęstunek, a potem ponownie podał Girdowi pajdę chleba z bekonem. Tym razem Gird przyjął posiłek, mając nadzieję, że bekon był jeszcze ciepły. Zaczekał jednak, aż starzec ugryzie chleb, nim zabrał się za swoją porcję. Staruszek nie wypowiedział rytualnych słów, był jednak pewny jego intencji, a pomiędzy nimi dwoma to w zupełności wystarczało. Bekon był nadal ciepły i soczysty, a nasiąknięty tłuszczem chleb przyjemnie napełnił mu brzuch. Gird zjadł szybko, nie marnując czasu, lecz głowa pękała mu od pytań. Przełknął ostatni kęs i odwrócił się do staruszka.

– Co miałeś na myśli wspominając, że twój lud popełnił błąd?

Jedzący wolniej starzec jeszcze nie skończył; przełknął ser, nim odpowiedział:

– Girdzie, obyczaje mego ludu są odmienne. Oferowanie żywności jest oznaką poddaństwa – służący podają jedzenie panom. Obawiam się, że kiedy twoi ludzie przyszli z poczęstunkiem, moi rodacy uznali, że przyznali się tym samym do zajmowania niższej pozycji.

Przez dłuższą chwilę Gird siedział w milczeniu, rozważając to. Częstujący jedzeniem uznawani za gorszych? Podczas gdy wszyscy wiedzieli, że ci, którzy mogli pozwolić sobie na to, aby dać, niczego nie oczekując w zamian, byli bogatsi i silniejsi? To było postawione na głowie – nikt nie mógłby żyć obok tak rozumujących ludzi. Pozabijaliby się. Wierzyliby... że silni i bogaci to ci, którzy mogli brać, niczego nie dając w zamian...

Przyłapał się na cichym powtórzeniu tego na głos. Starzec pokiwał głową.

– Ale to jest niewłaściwe – zawołał Gird. Gwałtowność okrzyku połknął śnieg; zatracił się w białej ciszy. – To nie może działać. Zawsze okradaliby jedni drugich, by zająć jak najlepszą pozycję w rodzinie.

– Nie całkiem – odrzekł staruszek i ciężko westchnął. – Ale znowu, może to część powodów, dla których sprawy poszły tutaj w tak złym kierunku.

W Aare istniały ku temu powody, były też zabezpieczenia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wiązało się to z naszą magią, naszymi mocami.

– Jak światło. I smażenie palcem?

– Między innymi. Według mojego ludu pozycja uzależniona jest od mocy: im większa moc, tym wyższa pozycja. Jednym z przejawów mocy była zdolność do zabierania – albo bezpośrednio czarami, albo poprzez zmuszenie – zauroczenie – kogoś, żeby ofiarował coś w charakterze daru. Gird przemyślał to dokładnie, zanim pozwolił sobie odpowiedzieć, choć była to pierwsza odpowiedź, jaka się mu nasunęła.

– Ale czym różni się to od zastraszania słabeusza przez silniejsze dziecko,

które zabiera mu jedzenie lub zmusza do oddania go pod groźbą? Takie zabieranie to zwyczajna kradzież. – I dokładnie to robili panowie, pomyślał. I to od zawsze, jeśli uznać opowieść starca za prawdę.

Staruszek również odczekał chwilę, zanim odpowiedział, a kiedy to uczynił, mówił wolno i z wahaniem.

– Girdzie, mój lud uważa to za naturalne: tak samo cielęta w stadzie przepychają się, walcząc o przewodnictwo, a kocięta mociją się, drapią i gryzą. Co wcale nie oznacza nieustannej wojny w stadzie, a jedynie umiarkowane przepychanki – słabsi znają swoje miejsce i idą na końcu...

– Ale ludzie nie są bydłem! – Gird nie był w stanie dłużej powstrzymać gniewu. Miał wrażenie, że stał się on namacalny i oślepiający jak światło, którego natury wciąż nie pojmował. – Nie jesteśmy kotkami, ani owcami, ani pisklętami w gnieździe...

– Wiem. – Cichy głos starca uciął jego obiekcje, jak ostry nóż rozcina dojrzały owoc. – Wiem; wiem również, że sprawy potoczyły się bardzo źle. Lecz w naszej ojczyźnie, Aare, te starcia o dominację wśród naszego ludu miały swoje ograniczenia, które były wystarczająco niezawodne, byśmy mogli rozwijać się i prosperować przez wiele wieków. Uczono nas – tak przynajmniej uczono mnie – że z mocą wiąże się odpowiedzialność i powinniśmy dbać o tych, którymi rządzymy, jak pasterz dba o stado... Nie, nie mów mi, rozumiem. Ludzie to nie bydło. Lecz nawet ty mógłbyś użyć takiego porównania...

I uczynił to zeszłej nocy, podczas rozmowy z władcą. Zadrżał, kiedy o tym pomyślał i to bynajmniej nie z zimna. Nic dziwnego, że tamten od razu pojął, skoro myślał tak o własnych pobratymcach.

– Nadal uważam to za niewłaściwe – oznajmił.



– Możliwe. Lecz słuszne, czy nie, jest to zupełnie inne podejście, niż twego ludu, co oznacza, że moi bracia nie rozumieli was od samego początku. Założyliśmy, że poddajecie się nam, zgadzacie się na to bez walki – tak właśnie twierdzą nasze kroniki. Wobec czego za każdym razem, kiedy stawialiście opór, traktowaliśmy to jako złamanie umowy – jakbyście wycofywali się z danego słowa.

Gird próbował przypomnieć sobie, co słyszał o przybyciu panów. Bardzo niewiele, choć sporo dowiedział się od szkolonych ludzi. Większość opowieści zaczynała się potem: o wsiach rozwijających się w pobliżu nowych fortów i miast, o „oczyszczaniu” starych skupisk, przesiedlaniu siłą rodzin, zmianie obyczajów, by zgadzały się z nowymi prawami. Każdy sądził, iż panowie zdawali sobie sprawę, że byli niesprawiedliwi, że kradli – a może jednak nie wiedzieli? Czy naprawdę myśleli, że postępowali słusznie i zgodnie z jakimś porozumieniem, które nigdy nie zostało zawarte?

– To nie wszystko – dodał starzec. – W dawnym Aare zabronione były pewne rzeczy, których dopuszczamy się tutaj. Na przykład czczenie Pana Tortur – wiedzą, że to jest złe i ci, którzy tak postępują, świadomie łamią pradawne reguły. Co innego pojedynek siły lub magii; kiedy jednak walka zakończy się, zwycięzca ma swoje zobowiązania wobec pokonanego.

Wierzę jednakowoż, iż podstawowe nieporozumienie odkryłem właśnie tej nocy i to dzięki tobie, Girdzie. Przyznaję, że wasze obyczaje wydają mi się równie dziwne jak tobie moje – lecz to, co dziwne, wcale nie musi być złe. Jedynie to, co robimy, może okazać się złe.

– Czy kiedy częstowałeś mnie jedzeniem – zapytał Gird – chciałeś dać do zrozumienia, że twoja pozycja jest niższa? A może próbowałeś mnie

oszukać, że to właśnie robiłeś?

Starzec zaczął odpowiadać, lecz zaraz umilkł, by dopiero po chwili powiedzieć:

– Myślałem... chyba chciałem uspokoić cię i przekonać do siebie. W pewnym sensie jest to deklarowanie niższości, ponieważ oznacza, że zależy mi na twojej opinii o mnie, a poza tym... sam nie wiem. Nie zastanawiałem się, po prostu to zrobiłem.

– Czułem się – zaczął ostrożnie Gird – ostrożnie, ponieważ nie chciał sprawić przykrości starcowi – czułem się jak uparte zwierzę, którego kusi się workiem obroku, żeby przeszło przez bramę.

Uśmiech.

– Jesteś uparty; nie możesz temu zaprzeczyć. Nie było moim zamiarem wywołać u ciebie takiego odczucia, biorąc jednak pod uwagę to, co twój lud uważa na temat dawania jedzenia, czy w takich okolicznościach nie czułby się tak każdy? Czy kiedykolwiek...

– Tak. – Czy ludzie, których karmił, czuli to samo? Poniżenie i upokorzenie? Ale nie zawsze tak było; sam z radością przyjmował jedzenie, przyznając się do tymczasowej słabości. Chorzy musieli być karmieni przez zdrowych, dzieci przez dorosłych, niemowlęta przez matki. Czy mleko z piersi poniżało niemowlę? Oczywiście, że nie. A jednak... martwił się problemem, który przyszedł mu do głowy; przyglądał się mu ze wszystkich stron. Staruszek siedział cicho i nie przeszkadzał mu. – Są takie chwile – powiedział – kiedy trzeba zgodzić się na bycie żywionym. Chwile, o których nikt nie myśli. Jeśli ktoś jest chory albo ranny... albo jest dzieckiem... Ale dorośli ludzie – zdrowi, dorośli ludzie – muszą wykarmić się sami. W pewnym sensie życie na czyjejs łasce jest cofnięciem się do

dzieciństwa. Może dlatego oznacza to posłuszeństwo.

– Prawdopodobnie. – Starzec pokiwał głową. – Ciekawe, że tak ważne jest dla was posiadanie żywności, którą możecie się podzielić, a jednocześnie odbieranie jej siłą jest absolutnie zakazane. Zakładam, że siły używacie przeciwko ziemi podczas polowania lub uprawiania jej.

– Nie przeciwko – sprostował Gird. – Razem. Pomagamy ziemi rodzić jak najwięcej. Alyanya jest naszą Panią, nie służebnicą.

– Czyli nawet bogów postrzegacie jako tych, którzy dają, a nie biorą?

– Oczywiście. Gdyby nie mieli nic do dania, byłiby demonami, nie bogami. – Gird kiwnął głową w stronę zimnego mroku poza schronieniem.

– Tak samo, jak demony mrozu kradną ciepło, a duchy nocy kradną słońcu światło.

Staruszek uśmiechnął się.

– Ten dzień kradnie moją siłę, Girdzie i nie będę w stanie zbyt długo podtrzymać światła. Nie, żebym miał nadzieję, że tego ciepła wystarczy do rana. Zanim jednak zgaśnie światło, winien ci jestem przeprosiny. Nie wyjawilem ci swego imienia, choć znałem twoje. Jestem Arranha i cieszę się z twego towarzystwa w tej przygodzie.

Gird obracał to imię w myślach; nigdy nie słyszał podobnego.

– Myślałem, że panowie mają dużo imion – cztery lub pięć.

– Zgadza się, ale kapłani mają tylko jedno i moje brzmi: Arranha. –

Uśmiechnąwszy się po raz ostatni, Arranha pozwolił światłu zgasnąć. Do ich kryjówki wdarł się podmuch czystego, zimnego powietrza. Gird poczuł, jak Arranha zwinął się w kłębek w swym gnieździe z liści i rozważył odejście w mrok. Nie mógłby jednak przedzierać się po omacku przez las i zasy z nadzieją dożycia poranka. Z cichym, acz mocnym

przekleństwem na ustach położył się i tak długo wiercił w liściach, aż zwinął się wokół Arranhy. Było mu zimno w plecy, lecz chroniony jego ciałem Arranha był gorący jak palenisko. Gird był pewny, że nie zdoła usnąć, potem zaniepokoił się, że zasną i umrą z wychłodzenia, wreszcie bez problemu zapadł się w spokój i ciemność.

## Rozdział 18

Następny poranek był zimny i nieprzyjemny, lecz po przebudzeniu się Arranha wypełnił schronienie umiarkowanym ciepłem. Gird przetarł oczy i wyjrzał na zewnątrz, by przekonać się, że jak okiem sięgnąć, śnieg pokrywał wszystko pod szarym niebem, a powietrze wypełniał srebrzysty blask. Starzec siedział przygarbiony, wpatrując się w dłonie. Gird obserwował go bacznie. Czy zamierzał zaraz coś zrobić? A może właśnie robił coś, czego Gird nie widział? Przeszył go ból w krzyżach i musiał się przeciągnąć. Arranha odwrócił się do niego, gdy właśnie ziewał rozdzierająco.

– Przepraszam – mruknął po chwili. Arranha tylko się uśmiechnął. W milczeniu podzielił się z nim resztą chleba i sera. Potrząsnął dzbanem; był pełny. Spojrzał na starca, który uśmiechnął się ponownie.

– Napełniłem go śniegiem i podgrzałem. To nie ale, lecz musi wystarczyć.

– Gird łyknął wody o lekkim posmaku piwa. – Nie pada już – ciągnął Arranha – i nie zanosi się\* na śnieg przez kilka najbliższych godzin. Skoro chcesz ruszać, teraz jest najlepszy moment.

Gird podrapał się po brodzie.

– A co z tobą? Pomogę ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Arranha roześmiał się donośnie.

– Bezpieczne? Dla mnie? Girdzie, z tobą jestem bezpieczniejszy, niż w którymkolwiek innym miejscu świata ludzi.

– Ale z pewnością masz przyjaciół...

– Żadnego na tyle lekkomyślnego, by udzielić mi gościny teraz, kiedy Hol Esei obwołał mnie heretykiem i zdrajcą. Zamierzali mnie zabić, Girdzie –

sam widziałeś.

– Ale... panie... – Gird zastanawiał się, jak mu to wyłożyć. Był kapłanem i władał wielkimi mocami, nie zdobędzie jednak akceptacji wieśniaków-rebeliantów. Zaczął najdelikatniej, jak potrafił: – Mam swoje zadanie – wydajesz się znać jego naturę – a ludzie, z którymi pracuję, nie przyjmą cię w swoje szeregi.

Arranha nie okazał ani gniewu, ani zaskoczenia.

– Nie chcesz, żebym z tobą poszedł?

Gird przyłapał się na drapaniu po uchu.

– Cóż, to nic osobistego, ale... jesteś jednym z nich, panie. Jednym z panów, z którymi usiłujemy walczyć. Panie.

– Czy wiesz, o co walczysz, Girdzie, czy jedynie walczysz przeciwko? –

Gird musiał zrobić naprawdę zdezorientowaną minę, gdyż Arranha pospieszył z wyjaśnieniem. – Masz wizję czegoś lepszego, sposobu, w jaki pragniesz żyć, czy tylko walczysz przeciwko niesprawiedliwości i okrucieństwu panów?

– Oczywiście, że mamy swoje ideały – odparł Gird. W głowie jaśniały mu obrazy, jak powinien wyglądać świat. Siedział przy starym, porysowanym stole w swojej wiosce z Mali i dziećmi i wszyscy mieli w swych miskach jedzenie. Śmiali się i rozmawiali. W oborze stały jego trzy ulubione krowy, wszystkie zdrowe i o lśniącej sierści, a silne owce pokryte były grubym runem. Rozejrzał się po izbie, gdzie ujrzał warsztat matki z na wpół ukończonym błamem tkaniny, zawieszzone na hakach narzędzia i pęczki ziół Mali. Przez okno wpadała słodka woń wiosny. Na zewnątrz rozciągały się zaorane pola właśnie kiełkujących zbóż, w ogrodzie widać już było świeże rozetki warzyw, fasola pięła się po tyczkach zawitymi wąsami. Z

innych domów również dobiegały wesołe głosy, ktoś nawet podśpiewywał. Czuł się bezpieczny i wiedział, że inni też to czuli. Tego właśnie chciał, tego chcieli pozostali.

– Możesz mi o nich opowiedzieć? – poprosił delikatnie Arranha.

Gird próbował, lecz wspomnienia były zbyt silne i pomieszane: słodycz z goryczą, radość ze smutkiem, wszystko na raz. Głos mu się załamał, a po policzkach pociekły gorące łzy.

– To po prostu... po prostu pokój – wykrztusił.

Arranha westchnął.

– Wojna o pokój jest zawsze niebezpieczna, Girdzie. Nigdy nie znalazłeś wojny; ja tak.

Gird zacisnął szczęki i zdusił łzy.

– Wojna już trwa, skoro moja rodzina i przyjaciele umierają bez powodu.

– Nie. To jest złe, lecz to nie to samo. Zaczynasz coś większego, niż przewidujesz. Znacznie większego. Musisz mieć lepsze pojęcie, dokąd zmierzasz i czego będziesz potrzebował. Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o prawie?

Gird pociągnął nosem, wytarł go o ramię i zastanowił się. Prawo. W jego wsi obowiązywały określone zwyczaje, wspólne dla wszystkich mieszkańców. Były również zasady ustanowione przez panów oraz prawo, którego musiał nauczyć się na pamięć jako rekrut.

– Niewiele – przyznał ostrożnie. Arranha spojrzał na niego, jakby zastanawiając się, co miał na myśli, po czym znowu westchnął.

– To zajmie więcej czasu i lepiej będzie zabrać się za wyjaśnienia w jakimś cieplejszym miejscu. Dokąd się udajesz?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Girda, który zaczął zastanawiać się, o co

staremu chodziło. Coś musiało się za tym kryć. Był już jednak znużony sporami i własnymi emocjami. Niech starzec mu towarzyszy, przynajmniej na razie.

– Opuściliśmy miasto wschodnią bramą – powiedział. – Poszliśmy na wschód, a potem krótko szliśmy na południe. A więc dalej na południe, a potem lekko na zachód – nie znam zbyt dobrze tych okolic.

– Z tego, co mówisz, trafimy do wioski zwanej Burry – tam właśnie zmierzasz?

– Tak. – Podwórze w Burry liczyło pięć dłoni członków, a włościanin-komendant miał krewnych w trzech innych wsiach.

– Czy dotrzemy do Burry dzisiaj?

– Nie. Ale jest takie miejsce... – Gird nie chciał o tym mówić, a Arranha nie naciskał. Wyczołgał się z kryjówki w bezkresny blask pochmurnego, śnieżnego dnia. Zostawią wyraźne ślady, a miejsce ich noclegu będzie oczywiste, nawet jeśli potem rozbierze schronienie. Ale nie widział stąd drogi, ani nie słyszał podróżnych. Może nikt tu nie przyjdzie do kolejnych opadów śniegu, f Poprowadził Arranhę w głąb lasu, byle dalej od drogi. Cisza przerażała go; była nienaturalna. Przypomniawszy sobie, że nie przywykł do przebywania zimą poza wioską. Nawet w pobliżu obozu słyszał gwar ludzi. To ta nieznana mu sytuacja podnosiła włoski na karku i sprawiała, że mimowolnie napinał ramiona. Arranha bez widocznego wysiłku przedzierał się przez śnieg, zostawiając za sobą ślady. Gird aż nazbyt często to sprawdzał.

Kiedy dotarli do szlaku, którym Gird przybył do miasta dwa dni temu, omal go nie przegapił. We wszystkich kierunkach rozciągała się gładka, biała pokrywa śniegu. Skręcił i powiodł Arranhę wzdłuż niego,



rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby schronić się na noc.

Robiło się coraz ciemniej i obawiał się, czy rozpozna miejsce pod śniegiem. Wtem dostrzegł trzy strzeliste cedry nad niższą kępą. Zszedł ze szlaku. Arranha milczał od wielu godzin. Teraz zapytał:

– Czy to wioska?

– Nie, to stara osada. Wysiedlona przez twoich rodaków, którzy chcieli założyć tutaj własną wieś. – Nie był pewny, czy dlatego właśnie ją opuszczono; mogła być starsza niż przybycie panów. – Jest pusta – dodał.

– Nikt nie mieszka ani tutaj, ani w pobliżu. – Przedarł się przez gałęzie cedru, wzdrygając się, gdy zrzucały na niego dźwigane ładunki śniegu i wkroczył do osady. Ukłonił się grzecznie staremu progowi pomiędzy dwiema prostymi kolumnami, podtrzymującymi kiedyś drzwi. Po obu stronach majaczyły rozwalone ściany, znaczące obrys domostwa kamiennymi złomami na tle białego śniegu.

Obejrzał się i przekonał, że Arranha również pokonał cedry i kłaniał się tak samo, jak Gird, choć sprawiał wrażenie, jakby nie był pewny przyjęcia. I słusznie, pomyślał Gird. To było bardzo stare i należało do jego ludu, a Arranha był tutaj obcy.

– Znasz liczbę mieszkańców? – zapytał były kapłan. Gird pokręcił głową.

– To była osada, a mój tata mówił, że w osadzie mieszkały nie więcej, niż trzy rodziny. Mniej, niż we wsi – cztery-pięć dłoni? Większa osada mogła być ludniejsza, ale wydaje mi się, że ta akurat była mała. – Znów poszedł przodem, mijając bezużyteczne wejście, potem wzdłuż głównego budynku do załomu murów, gdzie znajdowała się szopa lub zagroda dla zwierząt.

Dwa narożniki przetrwały napór pogody, tworząc niemal zamkniętą

przestrzeń o szerokości rozłożonych ramion i dwa razy takiej długości.

Gird wcisnął rękę w zimny śnieg na zewnątrz, pomacał i mruknął: – Jest... pomóż mi to unieść. – To było siatką splecioną z zielonej łozy i pnączy i lekko przysypaną liśćmi; leżąc płasko wśród ruin była niezauważalna.

Teraz wpasowała się w przestrzeń pomiędzy murami, tworząc dach.

– Wiedziałeś, że to tutaj znajdziesz! Przygotowałeś to! – Arranha po raz pierwszy wyglądał na podnieconego.

Gird pozwolił sobie na uśmiech.

– Tak jest. To ja to wymyśliłem. Wygląda jak stare mury, a jest równie dobre, jak dom. Prawie. – Ostrożnie unióś swój koniec, żeby nie otrząsnąć śniegu; siatka była przez to cięższa, za to mniej rzucała się w oczy. Taką przynajmniej miał nadzieję. Przyjrzał się jej ponownie po umieszczeniu na miejscu. Był pewny, że te dwie boczne ściany miały podtrzymywać skośny dach i miał nadzieję, że plecionka okaże się wystarczająco pochyła, by śnieg osypywał się na zewnątrz, a nie do środka. Wewnątrz ograniczonej murami przestrzeni powinna leżeć ścianka zamykająca; wymacał jej krawędź i wyciągnął ostrożnie, usuwając przy okazji leżący na niej śnieg. Była wystarczająco lekka, by sam sobie poradził; przesuwając ją, dopóki niemal nie zasłonił otworu. I oto mieli dla siebie mały domek o sięgających piersi ścianach i ukośnym dachu. Na polepie prawie nie było śniegu, ponieważ zsunął się po ruchomej ścianie.

– Sam to wymyśliłeś? – zapytał Arranha.

– Nie wszystko. Wpadłem na wykorzystanie plecionek jako dachów w naszych obozach, ale to inni wymyślili zostawianie ich w miejscach, gdzie moglibyśmy ich potrzebować. A mieszkaniec Burry zaproponował pozostawienie płaskiej ścianki tam, gdzie nie chciałbyś mieć śniegu po

wzniesieniu schronienia. – Mówiąc, obkładał krawędź ścianki kamieniami. Dłonie zaczęły mu drętwieć; chuchnął w nie. Następnie sięgnął do kamizeli i wyciągnął rzemień. – Musimy przywiązać dach, albo porwie go najslabszy podmuch wiatru. – Arranha pojął w lot i zaczął przysznurowywać plecionkę do przegrody.

W środku zrobiło się ciemno. Gird pomacał w rogu i znalazł wiązkę suchego chrustu, którą tam zostawił, jak również woreczek z jedzeniem. Westchnął na myśl o czasie, jaki będzie potrzebował, by rozniecić ogień. Mądrzej byłoby poprosić Arranhę, żeby podpalił gałązki swoim palcem, lecz nie chciał prosić pana o przysługę.

– Rozpalę ogień, jeżeli pozwolisz – zaproponował cicho Arranha. Gird wycofał się z kryjówki i spojrzał na niego. Ani śladu wyniosłości – zwyczajny staruszek, zaróżowiony od całodziennej wędrówki po śniegu i mrozie.

– W tamtym rogu. Jest tam drewno; pójde po więcej.

Arranha skinął głową i zanurkował do środka. Gird nie został, żeby popatrzeć; nazbierał naręcze chrustu i wrócił do kryjówki, z której przeświecał blask płomieni. |

W środku było ciepło i jasno – i to bez magii Arranhy. Zmęczył się, czy okazywał takt? Gird nie wiedział, ani o to nie dbał; wystarczająco ucieszył go widok dającego ciepło ogniska. Przy palenisku stał dzban, a Arranha znalazł niszę w ścianie, gdzie stała miska. Napełnił ją jedzeniem, ale wyglądał, jakby nie wiedział, co dalej zrobić.

– Pozwól. – Gird sięgnął po miskę i pomacał ściankę dzbana. Ciepła, lecz niewystarczająco. Zebrał z podłogi kryjówki niewielkie kamyki i wepchnął je w ogień. – Do gotowania – wyjaśnił zdziwionemu kapłanowi.

– Wrzucę je do dzbana, żeby szybciej zagotować wodę. Dzięki temu naczynie nie pęknie.

Nim papka była gotowa, Gird miał ochotę zjeść ją razem z miską. Przełknął ślinę i podał miskę towarzyszowi, po czym zmusił się, by jeść w tym samym tempie, co Arranha. Wyskrobali naczynie do czysta. Gird westchnął i wyniósł ją na dwór, gdzie wyszorował śniegiem. Po ostatniej wycieczce na zewnątrz – Gird uparł się, że pokaże byłemu kapłanowi miejsce służące za wychodek – wrócili do ogniska, gotowi zapaść w sen. Tak przynajmniej sądził Gird. W zamian, Arranha wzmocnił światło tak, że zrobiło się jasno jak w dzień. Następnie z fałdów ubrania wyjął zwój. Gird zamrugał oczami. Ten człowiek był nagi; Gird sprezentował mu koszulę. Potem znalazł sobie jakieś odzienie – choć koszula do dzisiaj nie wróciła do Girda – a teraz wyciągał przedmioty, których nie miał, z ubrania, którego również nie posiadał. Nie podobało mu się to. Lecz alternatywą była znowu samotność w mroźną noc w lesie, podczas gdy tutaj miał światło, ciepło i towarzystwo. Obrzucił Arranhę spojrzeniem, jakiego używał wobec swoich ludzi, gdy zrobili coś wyjątkowo głupiego, lecz tamten nie zareagował.

Wskazał na zwój.

– Potrafisz to przeczytać? – Gird zerknął na pismo. Na wspomnienie dawnych zmagañ z czytaniem zimny pot wystąpił mu na czoło. Tekst wyglądał znajomo; długość wersów zamieniła podejrzenie w pewność.

– Nie, ale wiem, co to jest. To jest Reguła Aare. Widziałem to już; musieliśmy uczyć się jej w Straży Kelaive'a.

– I co ona oznacza? – Gird zagapił się na niego i Arranha pokiwał zachęcająco głową. – Na przykład pierwsza. Co to znaczy... Jak każe ci

żyć?

– Bez wyrzeczenia – zacytował Gird. – To oczywiste. Bierz i trzymaj to, co masz. Nie odpuszczaj. Niczego nie oddawaj.

– A co znaczy „niczego”?

– Niczego, czyli... och, ziemi, jak przypuszczam. Pieniądzy. Władzy. Cokolwiek uznaje się za wartościowe...

– Wartościowe – powtórzył kapłan tonem, który kazał Girdowi podejrzewać, że miał na myśli coś więcej. – Co jest wartościowe... Myśl, Girdzie. – Myślał i stawał się coraz bardziej niespokojny. Miał ochotę na ale, które wypił poprzedniej nocy, by złagodzić ból stawów. Chciałby opuścić to chłodne, ciasne schronienie i przespacerować się po słonecznych polach. Skrzywił się; miał nadzieję, że grymas zostanie odczytany jako namysł i gotowy był obrazić się, gdyby kapłan wybuchnął śmiechem. Lecz Arranha zachowywał powagę. – Wartość – powtórzył. – Girdzie, co najbardziej cenisz?

– Ja? – Przez głowę przemknęły mu wszystkie zwyczajowe odpowiedzi: pieniądze, pożywienie, ale, przyjemności cielesne, dobytek, lepszy byk dla krów. A potem ludzie, których znał i życie, jakie chciał prowadzić. – Nie przedmioty, które można kupić lub używać. Przyjaciele... dobry pan, uczciwy interes na targu, sprawiedliwe podatki... rodzina... – Dodałby jeszcze dzieci, ale to przynosiło pecha.

– Pokój – powiedział kapłan, nazywając tak zwyczajne życie bez zamętu, ani kłopotów, jak Gird sam to określił rano. – Sprawiedliwość. – I to wystarczyło na określenie wszystkich uczciwych ustaleń, na targu, we dworze czy u zarządcy, jak również pana, który nie strąca młodego zboża podczas polowania, ani nie odmówi prawa zbierania leczniczych ziół w

swym lesie. – Miłość – dokończył kapłan, obejmując tym słowem rodzinę i przyjaciół oraz te wszystkie zawile relacje, które czyniły życie czymś więcej, niżli zwyczajną wegetacją.

– Ale prawo... – zaczął Gird. Kapłan uniósł dłoń, przerywając mu.

– Stare prawo – poprawił go – nie mówiło niczego o pokoju, sprawiedliwości lub miłości, ponieważ wszyscy zgadzali się, że pojęcia te są ważne. A pierwsza Reguła: „Bez wyrzeczenia” oznaczała dokładnie, że nie wolno wyrzekać się żadnego z nich: ani pokoju, ani sprawiedliwości, ani miłości.

– Ale... – zaczął Gird i znowu kapłan go powstrzymał.

– Bez wyrzeczenia – powtórzył tonem tak rozkazującym, iż Gird był pewny, że powstrzymałby nim armię. – Czyli, Bez wyrzekania się którejkolwiek z Reguł, jak również wielkiego dobra, pielęgnowanego przez owe Reguły. Nasz lud zapomniał o tym. Nasi kapłani zapomnieli o tym. Nauczyliśmy ich złego rozumienia tych prostych zasad, co pchnęło ich do działań, które tak cię niepokoją. Uważają, że ich przeznaczeniem jest zagarniać coraz więcej i nie pozbywać się niczego, nie dzielić się z nikim, podczas gdy nie powinni wyrzekać się żadnej sposobności, by czynić dobro, szerzyć światłość Esei, sprawiedliwość Wielkiego Pana i pokój Alyanyi.

Gird pomyślał o innych Regułach, tak boleśnie wpajanych mu, kiedy był rekrutem. Jeśli faktycznie pierwsza oznaczała właśnie to, jak interpretować drugą i trzecią? „Jedno dla mnie i jedno dla ciebie” dla chłopskiego dziecka wyglądało jak oczywisty opis obecnej sytuacji: jedno prawo dla panów i jedno dla sług.

– Nie – westchnął kapłan. – Łatwo odczytywać to w ten sposób i prawdę

mówiąc tak właśnie jest to pojmowane teraz, oddając cześć Simyitsowi, Dwulicowemu, Oszustowi, lekkopalcemu władcy szczęścia i gry. Lecz reguła ta przypomina nam o konieczności dzielenia się tak, jak robią to dzieci, albo jak uczyniliśmy to my dzisiejszego wieczoru: jedna łyżka dla ciebie i jedna dla mnie. Właśnie tak postępuje twój lud.

– A pozostali?

– Precyzują to jako czujność niezbędną do ochrony kodeksu: nie dotykaj, nie pytaj, nie wtrącaj się, jeżeli nie jest to konieczne lub nie jest twoją sprawą. A jeśli jest, postępuj dogłębnie, szybko i cicho – nigdy nie pozwól, aby zabrakło sprawiedliwości ze względu na odległość, czas, bądź czcze gadulstwo. Owszem, uważaj na drzwi, gdyż zło triumfuje nad niedbałymi. Ucz się wszelkich sztuk, by osądzać sprawiedliwie, lecz imperatywem pozostaje utrzymanie się przy życiu, bowiem inaczej dobry sędzia przestałby istnieć, by dalej sądzić.

– To jak... liść winogrona – zauważył Gird; kręciło się mu w głowie. – Po jednej stronie ciemna, błyszcząca zieleń, po drugiej srebrzysty meszek – czy mogą to być te same Reguły? A nawet jeśli, jakie ma to znaczenie dla nas? Nigdy nas nie dotyczyły.

– Girdzie, jeśli człowiek użyje kija, by uderzyć nim krowę, zamiast nią pokierować, czy sprawia to, że kij staje się zły? Spalisz kij za to, że jest zły, czy ukarzesz człowieka?

– Oczywiście, że człowieka, ale...

– Reguły Aare były narzędziem prawa, kijem, jeśli wolisz – kiedyś ludzie używali ich prawidłowo, by lepiej postępować, a teraz używają ich źle, by karać innych. Będziesz potrzebował takiego kija; nim ciśniesz go w płomienie, obejrzyj z różnych stron.

– Nadal wygląda mi to na oszustwo – oznajmił Gird. Przyjrzał się kapłanowi w poszukiwaniu czegoś, co mógłby odczytać. Dostrzegł jedynie zainteresowanie. – Skoro Reguły można rozumieć na różne sposoby, to coś jest z nimi nie tak. Czemu nie napisać takich praw, by nie można ich było źle odczytać?

– Spróbuj tego dokonać – odparł kapłan. Uśmiech wykrzywił mu usta. Gird poczuł gorąco na karku. W jakiś sposób ten człowiek zastawił na niego sidła, a on właśnie w nie wpadł. Co prawda nie czuł jeszcze ich stalowych zębów, lecz był pewny, że to pułapka.

– Mógłbym – mruknął cierpko, intensywnie myśląc. Na czym polegał podstęp? – Nie jest tak trudno powiedzieć, że człowiek nie powinien kraść owiec swemu sąsiadowi, ani wrzucać mu śmieci do studni.

– A jeśli owce wlażyły mu do ogrodu, albo sąsiad coś mu ukradł?

– Gdybyśmy mieli uczciwe sądy, które rozwiązałyby pierwszy problem...

– Bardzo dobrze. A jak powołasz uczciwe sądy?

Kapłan traktował go poważnie. Sidła musiały mieć bardzo ostre zęby, ponieważ wcale ich jeszcze nie czuł, a ten człowiek już wcześniej pytał go o zdanie.

– W uczciwym sądzie zasiadałby ktoś, kto wiedziałby coś o sporze... o tym typie sporów...

– Inny wieśniak? – zapytał kapłan. To było niezwykle i Gird zamilkł, wpatrując się w niego w poszukiwaniu kpiny. Nie znalazł jej.

– Zastanawiałem się nad tym – przyznał ostrożnie. – Rolnik rozsądający spory pomiędzy rolnikami, garbarz rozsądający garbarzy. Gdyby jednak garbarz wiódł spór z rolnikiem, to kto miałby ich rozsądzić? Gdyby miał to być rolnik, to potrzebowałby szkolenia, tak samo, jakby chciał zostać



żołnierzem.

– Załóżmy, że masz swojego sędziego – powiedział kapłan. – Uczciwego człowieka, który wie o obu stronach wystarczająco wiele, żeby je zrozumieć. I co dalej?

– Proste prawa, które każdy potrafi zrozumieć – odparł Gird. – Uczciwe zasady pomiędzy panem a człowiekiem, pomiędzy rzemieślnikiem a zagrodnikiem. Jeśli prawo mówi: „nie kradnij”, to jest to wystarczająco jasne...

– A czym jest kradzież? – zapytał kapłan.

– Zabranieniem cudzej własności – odrzekł Gird. – To oczywiste.

– Pomyśl, Girdzie. Wszyscy zabieramy coś, co nie należy do nas: powietrze, wodę, światło słońca i gwiazd...

– Woda w mojej studni jest moja. – Gird uczeplił się tego. Powietrze? Światło słońca? Nigdy nie pomyślał o sobie, że je „zabiera”. Zostawało mnóstwo dla innych.

– Woda w twojej studni pochodzi skądinąd i ktoś inny ją tam umieścił. Czy zrobiłeś cokolwiek żeby ją pomnożyć, tak jak na przykład, gdy pracujesz, żeby wyhodować kapustę?

– Nie. – Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. To była jego studnia, a wcześniej studnia jego ojca i uważał, że miał dużo szczęścia, posiadając ją na własność. Jego studnia, jego woda. Niemniej, pracował każdego roku, żeby wyhodować własny jęczmień, owies, kapustę i cebulę, prowadził krowy na pokrywanie, żeby rodziły cielaki. Sam karmił i czyścił zwierzęta, przycinał i nawoził drzewka, orał, bronował, obsiewał i zbierał z pola. Woda po prostu tam była, więcej w mokre lata, a mniej w suche, lecz była tam zawsze. Dana mu, jak powietrze i światło. A on ją brał.

– Nazwałbyś to okradaniem bogów? – zapytał Gird. A może, pomyślał, dary z kwiatów i ziół dla duszków merin były jakąś formą zapłaty, a nie wdzięczności?

– Nie, nie uważam tak. Bogowie dali nam ten świat, jak również rzeczy, których potrzebujemy, a w żaden sposób nie możemy wytworzyć sami. Przyjmowanie daru to nie kradzież. Chciałem jednak, żebyś zastanowił się nad swoim prawem. Jeśli pragniesz czegoś więcej, niż rozruchów i zabijania władców-magów, a potem siebie nawzajem, musisz mieć prawa.

– Ale ja nie mam o nich pojęcia – wyrwało się Girdowi, nim zdążył się powstrzymać.

Arranha uśmiechnął się.

– Przecież przed chwilą mówiłeś, że wiesz, jakiego prawa chcesz. Kiedyś nie znałeś się na żołnierce, ale się nauczyłeś. Tego też możesz się nauczyć, jeśli tylko będzie ci zależało.

– Od ciebie?

– Ode mnie możesz nauczyć się części, ale nie wszystkiego. Nie ufasz mi, nawet teraz... – Przyjrzał się Girdowi z bliska, jakby zaglądając mu w umysł. Gird miał nadzieję, że niepokojące uczucie w głowie nie było wywołane czytaniem myśli przez kapłana. – Musimy więc znaleźć ci nauczycieli bardziej odpowiadających twojej naturze i doświadczeniu. Co wiesz o kapristi, gnomach?

– O szarym, skalnym ludzie? Zaciekli wojownicy, uczciwi kupcy – tyle słyszałem. Nie przepadają za ludźmi...

– Nie przepadają za moim ludem – przytaknął kapłan. – Przed naszym przybyciem ludzie nie mieli z nimi problemów. Część z nas... cóż, przyznałem już, że nasz lud zboczył ze ścieżki Esei i to nie tylko, jeśli

chodzi o traktowanie was. Część najdzikszych z nas uznała kapristi za łatwy łup – wyglądali na małych i potulnych. Próbowali na nich polować, konno i pieszo. Nie zważali na ich znaki graniczne, próbowali przesiedlać waszych rolników na ich ziemię, by tam uprawiać pola, albo zakładać kopalnie.

– I?

– I ponieśli zasłużoną śmierć. Oczywiście, moi dawni koledzy nie przyznaliby tego, lecz taka jest prawda. Kapristi nigdy nie najeżdżali ziem ludzi, ani nie atakowali ich, jeśli sami nie zostali napadnięci. Lecz sprowokowany, ten niewielki, szary ludek zamieniał się w tak niebezpiecznych wojowników, jakich sam chciałbyś wyszkolić. Chwałę się, że żyją według praw, które są najbardziej sprawiedliwe na świecie. Gird nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu.

– Istnieje takie prawo?

– Tak twierdzą. Poznałem ich, Girdzie, kiedy sam studiowałem prawo. Nie lubią mego ludu, wobec mnie jednak byli uczciwi i sprawiedliwi. Lecz ich prawo jest bardzo surowe, tak surowe, że wątpię, aby ludzie zgodzili się go przestrzegać. Kapristi nie uznają żadnych wymówek. Cenią uczciwą wymianę tak bardzo, że wierzą, iż dary są niebezpieczne, gdyż wywołują rozleniwienie. Posunąłbyś się tak daleko?

– Nie. Dla mojego ludu dary są uświęconym obowiązkiem.

Błogosławieństwa Alyanyi są darami...

– A jednak gnomy uznałyby, że dajesz coś w zamian, czcząc swych bogów, którzy w przeciwnym razie zemściliby się. Tak brzmi ich wyjaśnienie tego, co stało się z mym ludem. Bogowie karzą nas za bezbożność.

– A ty co uważasz?

Arranha westchnął.

– Według mnie moi rodacy pobłądzili małodusznością. Cenimy dary, nawet jeśli opacznie zrozumieliśmy wymowę poczęstunku twego ludu. Może dary są niebezpieczne dla gnomów; ludziom są niezbędne. Lecz z utratą mocy pojawił się strach, więc moi pobratymcy brali coraz więcej, dając w zamian coraz mniej. Przez to doznałeś krzywdy, a teraz ty wyrządzisz krzywdę im. Ten cykl nie będzie miał końca, chyba że sam go przerwiesz, ogłaszając pewnego dnia koniec i wybacząc resztę win.

Gird poczuł w głowie zaciskający się węzeł.

– Co to ma wspólnego ze sprawiedliwością?

Arranha uśmiechnął się do niego pogodnie.

– Dowiesz się, Girdzie, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Z niewiadomych przyczyn Gird przyjął to źle, zupełnie jakby był dzieckiem i właśnie usłyszał, żeby na razie nie przejmował się troskami dorosłych. A przecież był już dorosły, owdowiał, dochował się dorosłych dzieci. Arranha chyba wyczytał coś w jego twarzy.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię urazić. Wiem, że nie jesteś dzieckiem. Ale sam nie wiem, dlaczego bóg przysłał mnie do ciebie, albo ciebie do mnie. Byłem równie zaskoczony, jak ty, kiedy wpadłeś na mnie w tamtym rowie. Bóg chce czegoś od nas obu...

– Nie twój bóg! – zawołał Gird.

– W takim razie twój. Wierz mi lub nie, ale byłem kapłanem, prawdziwym kapłanem i wiem: twój bóg formował twe życie w jakimś celu, a ja stałem się teraz częścią tego celu. Myślę – wierzę – że częścią tego jest nauczenie cię, jak ukształtować przyszłość po nadciągającej wojnie. Ktokolwiek poprowadzi twój lud, musi znać się nie tylko na wojaczce.

Gird zwiesił głowę. Oczywiście, sam o tym rozmyślał; zastanawiał się, czy to bogowie pchnęli go do objęcia przywództwa, co teraz wydawało się mu pewne. Lecz pytanie ich o to nie przyniosłoby niczego dobrego; tylko zwróciłby na siebie uwagę. Starzec był dziwny, aż nazbyt dziwny – żałował, że go spotkał. A jednak coś go w nim przyciągało, jak ciepło ogniska wabi w mróz. Doskonale wiedział, że muszą zaplanować także to, co stanie się po wojnie. Martwił się tym od Norwalku.

– Nie wiem – wyznał. – Zwyczajnie nie wiem.

– Ale dowiesz się – zapewnił go łagodnie Arranha. – Dowiesz się, ponieważ musisz się dowiedzieć, a potem nauczysz innych.

Do Girda dotarła nagle śmieszność tej atmosfery podniosłości w prowizorycznym schronieniu wśród ośnieżonych lasów i poważnej dyskusji o prawie i filozofii. Prychnął.

– Tak jest, teraz rozumiem: wielcy bogowie, którzy mogliby wybrać ciebie lub kogokolwiek innego, wybraliby wieśniaka, który ledwo potrafi czytać – chłopca i syna chłopca, lepiej radzącego sobie z krowami niż z ludźmi – aby uczył swój lud praw. Też mi mądrość.

Arranha pochylił się naprzód.

– Nie kpij z nich, Girdzie. Jeśli wybrali ciebie – a uważam, że tak właśnie jest, a i ty to podejrzewasz, pomimo prześmiejców – uczynią z ciebie tego, kogo potrzebują. Lepiej być gliną, którą uda się ukształtować zgodnie z ich zamysłem, a potem wypalić, niżli potłuczonymi skorupami po wcześniejszych wypaleniach.

Śmiech zamarł, wyparty z pustych korytarzy jego umysłu przez bezimienny strach.

– Nie kpię – zapewnił kapłana Gird. – Prosiłem o cud.

– Te również mogą być ci dane. Na razie masz mnie: żadne cudo, zwykły Aareanin zdolny do kilku pomniejszych, czarodziejskich sztuczek.

– Które kiedyś nazwałbym cudami – westchnął Gird. – No cóż, Arranho, możesz mieć rację. Na razie jednak nie mogę już dłużej czuwać. – Starzec zachichotał, zgasił światło i Gird zasnął przy poświęconych dogasających węgli ogniska.

Poranek był chłodniejszy, lecz jaśniejszy; przecierało się, a spoza chmur nieśmiało wyglądało słońce. Gird i Arranha rozebrali kryjówkę; Gird uzupełnił zapas chrustu, utykając go w kątach murów. Arranha obserwował go, jak próbował przysypać śniegiem leżącą płasko na ziemi, plecionkę. Gird zastanawiał się, czy wyleczone z obrażeń oblicze, którego aktualnie używał, naprawdę należało do niego, czy też podtrzymywał jego wygląd magią, by go oszukać. Jak podwórce w Burry zareaguje na jego obecność? Nie mógłby ich okłamać i udawać, że Arranha był kimś innym, niż jest w rzeczywistości.

– Zastanawiałeś się kiedyś, jak działa nasza magia? – zapytał kapłan, gdy wrócili na szlak.

Idący przodem i energicznie wymachujący ramionami dla rozgrzewki Gird pokręcił głową.

– Nigdy jej nie widziałem, dopóki nie spotkałem ciebie. Z wyjątkiem uzdrawiających dłoni, które potrafią uśmierzyć ból.

– Twój lud posiada taką moc? – Głos Arranhy wyostrzył się.

– Niektórzy. Niewielu. – Zimne powietrze kłuło go w płuca i musiał mówić krótkimi zdaniami. Wolałby, żeby Arranha przestał go wypytywać. Czuł jednak na plecach napór ciekawości kapłana, zupełnie jakby pomiędzy łopatkami przysiadła mu żądłaca mucha.

– Widziałeś to na własne oczy?

– Poczułem to. Ból głowy, lub po ciosie znika. Jest przelewany w coś, co nie czuje bólu, na przykład w kamień. – Wydmuchnął olbrzymią chmurę pary, próbując ukształtować ją w kółka. Uformowanie ich – świętego kręgu – przynosiło szczęście. – Na gorączkę większość z nich używa ziół. Jeśli obdarzeni są talentem, odpędzają demony śpiewem... – Urwał, świadomy intensywności zainteresowania Arranhy. Czyżby zdradził więcej, niż powinien?

– Magiczny śpiew... – wymamrotał kapłan. – Na blask Esei, ileż przegapiliśmy! Co to jest talent, Girdzie?

– Talent to... – Cóż, jak to wyjaśnić? – To jest to... co daje matka – albo ciotka – dary rodowe. Moja matka miała talent tkania. Tylko ona знаła pewne wzory, miała warsztat... ale to coś innego, niż dać komuś krowę. Osada – rodzina – zna umiejętności dziewczyny. To jej talent oraz dary od innych kobiet. Nie wiem wszystkiego – mężczyźni nie mają talentów.

– A więc o to chodzi! Girdzie, w starych kronikach zapisano, że twój lud miał w każdej – osadzie, tak? – grupę starszych, wspomina się także o talentach, ale bez wyjaśnienia, czym są.

Gird pokiwał głową; znalazł się na pewniejszym gruncie.

– Troje starszych, reprezentujących myśliwych, rolników i rzemieślników. Łowca jest mężczyzną, rzemieślniczka kobietą, rolników może reprezentować dowolna płeć.

– A rzemieślnicy to tkacze? Garncarze?

– Ślusarze, murarze – robiący wszystko to, co można wytworzyć własnymi rękoma. Oczywiście, każdy wie co nieco o wszystkim – każdy może postawić mur. – Mówiąc to, zaczął zastanawiać się nad tym. Każdy

potrafił zbudować mur, ale kierując się wskazówkami kogoś, kto się na tym znał. Jedne mury były lepsze od innych.

– Hm. Czy kobiety wytwarzają broń?

– Jasne. Dlaczego nie?

Arranha przeszedł kilka kroków, zanim odpowiedział.

– Mój lud uważa, że pozwalanie kobietom na wyrabianie broni przynosi pecha. Krwawienie podczas pracy mogłoby osłabić w orężu głód krwi, uczynić ją wątłą.

Gird stanął jak wryty i obrócił się; Arranha omal nie wpadł mu na plecy.

– Krew osłabia?. Chcesz powiedzieć, że nie smarujecie krwią swoich palenisk, ani nie dodajecie jej do fundamentów? – Po zaszokowanym wyrazie twarzy Arranhy sądząc, nie robili tego. Girdowi zakręciło się w głowie. Ci panowie byli jeszcze dziwniejsi, niż przypuszczał. Zabieranie żywności bez odwzajemniania się oznaczało siłę, a przelewanie krwi słabość – uznał to za kolejny objaw oporu przed daniem. A mimo to władali mocami, dzięki którym potrafili się uzdrowić... Czemu mieliby bać się przelewu krwi, gdyby było to konieczne? Co oznaczałoby to podczas wojny? Nie zamierzał wyjaśniać mocy dawania krwi temu obcemu kapłanowi. Lecz Arranha był bystry, o czym sam zdążył się już przekonać. Wytrzeszczył oczy i otworzył usta.

– To znowu dawanie. Eseo! Nigdy bym o tym nie pomyślał! Dający jedzenie jest silniejszy... przelewający krew jest silniejszy... To dlatego moi rodacy uznali, że waszymi osadami rządzą kobiety. I dlatego twój lud podąża za Alyanya: Pani daje zbiory – pożywienie – i krew. Jestem... zadziwiony. – Pokręcił głową, jakby otrząsając się po silnym ciosie. – Widzę, że twój lud nigdy nie przyjmie naszych praw – dodał cicho. – Jeśli



macie mieć swoje prawa, będziesz musiał wykuć je z waszych własnych wierzeń.

Choć już to słyszał, Gird poczuł, jak ciało przepelniła mu zapalczywa radość. Tak długo bał się panów, ich okrucieństwa, bogactwa i mocy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że oni również mogli się bać i być słabi tam, gdzie jego rodacy byli mocni.

Arranha mówił dalej.

– Pamiętaj, Girdzie: jeżeli to właśnie jest siłą twego ludu, a ty jesteś odpowiednim przywódcą, tego właśnie zażądają od ciebie – staniesz się ich symbolem...

Gird wzruszył ramionami.

– Myślisz, że boję się dawać?

Arranha przyglądał się mu przez dłuższą chwilę.

– Nie, pokazałeś już, że to potrafisz. Sądzę jednak, że nie rozumiesz, jak wiele możesz zostać zmuszony oddać...

Gird znowu wzruszył ramionami, tym razem z irytacją.

– Mogę umrzeć; wiem o tym. To prawdopodobne. Wszyscy możemy. Człowiek nie jest w stanie dać więcej. – Arranha chciał coś powiedzieć, lecz zaniknął usta i potrząsnął głową. Gird podniósł brew, ale starzec machnięciem ręki dał mu do zrozumienia, że powinien ruszać.

O co chodziło tym razem? – zastanawiał się Gird, maszerując w stronę Burry. Utracił już żonę, większość dzieci, dom, ukochane krowy (ciekawe, kto doił brązową). Pozostałe mu dzieci również mogły umrzeć i to zabolowały go – nawet więcej, wiedział, że z trudem przeżyłby, gdyby coś stało się Rahi, Pidiemu czy Giris. On sam mógł zostać schwyty, torturowany, ukatrupiony... lecz nie wyobrażał sobie czegoś więcej. A

zajmując obecną pozycję, godził się na te ofiary, gdyby ich od niego zażądano.

– Nadal uważam, że powinieneś porozmawiać z gnomami – rzucił nagle Arranha, przerywając długie milczenie.

– Nie znam żadnych gnomów – odparł Gird. To powinno zakończyć temat. Poza tym, miał pewne zimowe sprawy w podwórzach – musiał dopilnować szkolenia. Do werbunku w innym mieście wyśle kogoś, kto bywał już w miastach.

– Ja znam – oznajmił Arranha. – Posiadają wiele wiedzy, którą musisz poznać. Na przykład, pomijając prawo, czy kiedykolwiek dowodziłeś manewrami dwóch – trzech kohort jednocześnie? Wiesz, jak rozmieścić je na polu bitwy, gdy zagraża im szarża kawalerii? Wiesz, jak radzić sobie z łucznikami? Albo magiczną bronią, będącą w posiadaniu mego ludu?

– Pod Norwalkiem wygraliśmy z kawalerią. Trenujemy zrzucanie jeźdźców z koni – odrzekł z uporem Gird. Oczywiście, w rzeczywistości nie było to zrzucanie ludzi z koni, tylko z drewnianych kłód, a on musiał mieć nadzieję, że będzie tak samo. Arranha mówił, że gnomy walczyły z Aareanami – i wygrały. Chciałby dowiedzieć się, jak tego dokonały.

Większość tego, co zapamiętał z wykładów sierżanta z taktyki, dotyczyła radzenia sobie z niesfornym tłumem, oczyszczaniem wiejskich placów czy polowaniem na wilki. Doznał przerażającej wizji, do czego mogła doprowadzić jego ignorancja, gdyby poprowadził podwórza do bitwy i zrobił coś głupiego – tak głupiego, że panowie wygraliby z łatwością, a jego ludzie zginęliby w kajdanach. Potrząsnął głową, przeganiając obraz takiego pecha.

– Poza tym – zauważył – sam mówiłeś, że gnomy niczego nie dają. Czemu

mieliby nauczyć mnie wojaczki za darmo? Albo prawa?

– Mógłbyś dać im w zamian coś cennego – odparł Arranha. Gird czekał na dalsze wyjaśnienia, lecz nie usłyszał ich. Co takiego niby miał? Nic, z wyjątkiem własnej siły, lojalności (jak na razie) kilku dłoni na wpół wyszkolonych wieśniaków oraz własnego pragnienia pokoju i sprawiedliwości. Arranha wspominał, że panowie naruszali granice gnomów. Czy jednak zgodzą się na wymianę, skoro potrafili obronić się tak dobrze, jak opowiadał kapłan? Czy wolałyby zamienić złych sąsiadów na dobrych?

– Porozmawiasz z gnomami, jeśli one zechcą rozmawiać z tobą? – zapytał Arranha, przerywając mu rozmyślenia.

Żołnierka wykraczająca poza to, czego nauczył go sierżant, możliwość ustanowienia sprawiedliwych praw dla wszystkich. Czy to się uda? W tamtym mieście niemal dał się zabić przez to, że wiedział tak mało; nie chciał doprowadzić do śmierci swoich podwładnych. I naprawdę pragnął pokoju i sprawiedliwości po wygraniu bitwy. Co pomyślą inni, jeśli wyprawi się do gnomów? Zastanowił się nad tym. Miał dobrych komendantów, którzy potrafili zadbać o obozy i podwórza do jego powrotu. Zdawał sobie sprawę, że mogło to potrwać rok albo nawet dwa. Może jednak ufał kapłanowi pod wpływem jakiejś podstępnej magii?

– Przemyślę to – obiecał, oglądając się, by zobaczyć minę Arranhy. – Muszę porozmawiać z moimi... przyjaciółmi.

– Oczywiście. Jeśli mogę udzielić ci rady, idź do nich beze mnie – abyś był pewny, że nie wpływają na ciebie żadne moje czary – i przedyskutuj to. Jeśli wyrazicie zgodę, zabiorę cię do gnomów.

## Część III

## Rozdział 19

Zimowy wiatr przegnał chmury z nieba, jesienne deszcze odeszły w przeszłość. Następne chmury przyniosą śnieg, lecz prawdopodobnie nastąpi to za wiele dni. Gird brnął za Arranhą przez zwarzoną chłodem trawę, odnotowując umysłem rolnika każdy owczy bobek i kłaczki runa na kolcach krzaków.

– Niepokoi mnie taka wędrówka w jasny dzień – oświadczył w końcu, kiedy wzniesienie skryło ich przed lasem, gdzie spędzili noc.

Arranha obejrzał się przez ramię i obdarzył go przelotnym uśmiechem.

Całkiem żwawo maszerował po tych bezdrożach, jak na staruszka.

– Opuściliśmy dominium Gadilona, pamiętasz?

– Często zapuszczają się poza swoje granice.

– Nie tutaj. Kapristi nauczyli wasali Gadilona ostrożności, Girdzie. Jego prapradziadek usiłował wszcząć z nimi wojnę.

– Nadal nie mogę uwierzyć...

– ... że ten niewielki ludek potrafił pokonać władców-magów? Początkowo moi rodacy również nie. Ale ty – ty chcesz pokonać ich siłami chłopów.

Czy to taka wielka różnica?

– Cóż... jesteśmy więksi...

– Ale nie tak zdyscyplinowani. Nawet z tą odrobiną musztry, której nauczyliście się od sierżanta twojego hrabiego. Potrzebujecie więcej – ty i twoi ludzie – więcej musztry i prawa, które kapristi uznają za dwie gałęzie tego samego drzewa. Albo, jak sami mówią, dwa końce tej samej miary.

– Miary?

– Pręta do mierzenia, albo laski sprawiedliwości. Jedna miara służy do

wszystkich długości – to jedno z ich porzekadeł. Jedno prawo służy sprawiedliwości; wiele praw prowadzi do bezprawia.

– Podoba mi się to – oznajmił powoli Gird. – To jest problem z Regułą Aare, choć twierdzisz, że powinna być odczytywana inaczej.

Arranha uśmiechnął się spokojnie.

– Prawda jest większa od każdego z nas, Girdzie. Mógłbym chcieć powiedzieć prawdę i zostać źle zrozumianym – nie jestem bogiem.

Możesz znaleźć prawdę tam, gdzie jej wcale nie oczekujesz.

Nieco wyżej na zboczu coś odcinało się od trawy... prosta linia, uświadomił sobie, przecinająca wzniesienie i okrążająca jego grzbiet, by pojawić się na zachodniej odnodze. Nie widział, czy prowadziła gdzieś dalej. Żadnego płotu, muru czy wyoranej bruzdy – tylko linia wśród trawy, zupełnie jakby wykoszono pas o szerokości dwóch dłoni. Szturchnął Arranhę.

– Czy to jakaś ścieżka demonów?

– Zauważyłeś ją! Świetnie. To linia graniczna kapristi. Wielu ludzi jej nie dostrzega...

– Każdy gospodarz by zauważył – orzekł Gird. – W jaki sposób wycinają ją tak równo? Jak ją utrzymują? Nie widzę żadnego obramowania z kamieni.

– Nie potrzebują kamieni; to ich kraina i sami ustalają jej granice. Mój lud przestał to już podważać, a i twój nigdy tego nie czynił, okazując się mądrzejszy od nas.

– Co teraz?

– Zawołamy, a potem będziemy czekać. Pamiętaj, co ci powiedziałem: są absolutnie uczciwi i sprawiedliwi, lecz tego samego wymagają od innych.

Niczego nie dają – ich naczelną zasadą jest uczciwa wymiana. Nie przeoczą zwykłej grzeczności, ale nie odwzajemniają jej. Nie oczekuj podziękowań, kiedy targ zostanie dobity, ani nie spodziewaj się, że dostaniesz coś więcej, jeśli poprosisz. – Arranha podprowadził go do linii granicznej i zawołał w górę zbocza kilka niezrozumiałych słów. – Mowa kapristi, rzecz jasna – odpowiedział na pytanie Girda.

– Ale nikogo tutaj nie ma – zauważył Gird.

– Żadnych ludzi, zgadza się. Lecz w odległości rzutu kamieniem może przebywać tuzin kapristi i nie dowiedziałbyś się o tym, chyba że sami by tego chcieli. To jest ich ziemia, Girdzie; nie czynь założeń odnośnie spraw, o których nie masz pojęcia.

Wcale tak nie robię – pomyślał Gird. Obserwował zbocze nad nimi; pojawiały się tam szare, skaliste ostrogi, poprzecinane czarnymi smugami. Skalny lud. Szary lud, jak czarny płaszcz, kuaknom, którego napotkał. Jak elfy – pieśniarze drzew, których nigdy nie widział. Jak krasnoludy z legend, które śpiewem wywabiały złoto z głębin ziemi i robiły drogocenne kamienie, ściskając skały w rękach. Lud stworzony przed rodzajem człowieczym, który może postrzegać ludzi tak, jak oni widzą władców-magów: jako intruzów i niebezpiecznych wrogów.

Skały poruszyły się i zeszły w dół stoku. Gird zamrugał i nagle nie były to już skały, tylko mali, szarzy ludzie. Kapristi, nie ludzie – poprawił się.

Gnomy prosto z legend opowiadanych przy palenisku ku przestrodze: co spotkało mężczyznę, który próbował oszukać gнома; kobietę, która wynajęła gнома, żeby przeczyścił jej komin; dziecko, którego kozy przekroczyły ich granicę. W dzieciństwie tę ostatnią historię uważał za głupią, ale zakładał wtedy, że ziemie gnomów otaczały wysokie mury i

dzieciak wykorzystał kozy jako pretekst do wspięcia się na nie i sprawdzenia, jakież to skarby kapristi ukrywały.

Gnomy (wolał używać określenia swojego ludu) poruszały się z niezachwianą precyzją, zupełnie inaczej od potykających się i ześlizgujących w dół zbocza ludzi. Na jego oko cała szóstka wyglądała podobnie do siebie. Nie strącali deszczu kamyków, ani grudek torfu. Mieli wąskie, gładko ogolone twarze (może nie rosły im brody?) i przylegające do czaszki, szorstkie, ciemne włosy. Choć z ledwością sięgali mu piersi, nie pomyliłby ich z chłopcami – żaden chłopak nie poruszał się tak oszczędnie, a na twarzy nie miał wypisanej takiej twardości. Wszyscy ubierali się na szaro: ściśnięte pasem kamizele narzucone na koszule z długim rękawem i wąskie, szare portki wpuszczone schludnie w szare buty. Kamizele i spodnie mogły być wykonane ze skóry; koszule były wełniane.

Arranha uklonił się i przemówił w ich kanciastej mowie. Gird usłyszał swoje imię i zerknął na kapłana, po czym powrócił spojrzeniem do gnomów. Ich dowódca przyglądał się mu badawczo. Gird poczuł się jak wystawiony na sprzedaż koń pociągowy. Czuł, jak czerwienieją mu uszy i kark. W końcu Arranha obrócił się do niego.

– Girdzie, to jest Legislador Karik – nie jest to całe jego imię, tylko grzecznościowa forma, jakiej powinni używać ludzie, zwracając się do niego. Opowiedziałem mu o tobie i zgodził się na rozmowę. Nie zgodził się jednak na twoje wejście na ziemię kapristi – będziecie rozmawiać tutaj, przez granicę.

Gdyby nie wzrok Arranhy, Gird obróciłby się na pięcie i odszedł. Nie ufali mu, a on nie uczynił nic, by zasłużyć sobie na taką nieufność. A jednak –



ozwał się głos w jego głowie – Arranha opowiadał mu o czynionych przez władców-magów próbach zagarnięcia gnomich ziem; mieli powody, by nie ufać ludziom.

Gird zdusił w sobie wszystko, co chciał powiedzieć i uklonił się niezręcznie przywódcy gnomów.

– Legislatorze Kariku...

– Gird? Twój klan nie ma nazwy?

– Moim ojcem był Dorthan, syn Selisa, lecz nazwa naszego klanu została dawno zapomniana. Naszym panem był Kelaive, lecz odrzucam miano jego poddanego.

– Och. – Rozległ się trajkot dyskusji w mowie gnomów pomiędzy dowódcą a członkiem oddziału. Następnie dowódca odwrócił się do Girda.

– Nie masz pana? Ani klanu? Nikomu nie jesteś winny posłuszeństwa? Nie uznajesz prawa?

Gird wpatrzył się w niego. Do czego zmierzali? Zerknął na milczącego Arranhę i zapragnął ciosem pięści zetrzeć z oblicza kapłana ten przebiegły uśmieszek... tyle tylko, że nic by to nie dało. Odchrząknął, lecz zaraz pomyślał, że splunięcie mogło zostać źle zrozumiane. Przełknął ślinę. Gnomy czekały bez ruchu, lecz z zainteresowaniem.

– Legislatorze Keriku, nasz pan zniszczył nasze prawa. – To zwróciło uwagę;, niemal czuł intensywność ich zainteresowania. – Przybyłem tutaj szukając prawa... sposobu uczynienia rzeczy uczciwymi.

– Rzeczy są uczciwe, gospodarzu, to żyjące stworzenia mogą wybrać niesprawiedliwość. Czy jesteś bogiem, by znać sprawiedliwość i ferować wyroki?

Gird pokręcił głową w nadziei, że gnomy znały ten gest.

– Nie jestem żadnym bogiem, Legislatorze, tylko człowiekiem szukającym wiedzy. Rozpoznaję niesprawiedliwość, kiedy ją widzę: niedoważanie, tandetne wyroby, niedbałość prowadzącą do wypadków, kradzież, kłamstwo, lecz Arranha nauczył mnie, że to za mało, aby czynić sprawiedliwość.

– I przyprowadził cię tutaj? A może szukałeś nas z własnej woli?

– Ja... Arranha nauczyłby mnie swoich zasad, Legislatorze. Wykazał, że władcy-magowie złamali Reguły Aare, zmieniając ich znaczenie... aleja nie chcę tych starych zasad. Chcę nowych praw, lepszych, których nie można źle zrozumieć.

Legislator obrócił się do Arranhy.

– Dziwna z niego istota. Powiedziałaś nam kiedyś, że chłopci nie mają głowy do praw.

– Myliłem się. – Arranha uklonił się, najpierw Legislatorowi, potem Girdowi. – Kiedy poznałem Girda, myślałem, że jest zwykłym renegatem – podżegaczem motłochu, który pragnął jedynie zemsty za doznane krzywdy. I zaiste, sporo ich doświadczył. Ale on chce czegoś więcej...

– W rzeczy samej. – Na Girdzie z powrotem spoczął mroczny, tajemniczy wzrok Legislatora. – Girdzie, synu Dorthana, syna Selisa, musisz wiedzieć, że niczego nie dajemy – na tym polega sprawiedliwość: dobro za dobro, zło za zło. Co możesz dać w zamian za poszukiwaną wiedzę?

– Moje zobowiązanie. Arranha powiedział, że jedynym prawem pomiędzy twoim ludem a moim jest prawo stali. Jeśli nasza strona zwycięży, ślubuję wprowadzić rządy prawa, które będzie chronić wszystkie granice, wasze i nasze, co gwarantuję własną siłą.

– Możesz zginąć w przyszłym roku i twój dług wobec nas pozostanie

niespłacony. Albo twoja sprawa może z łatwością przegrać... Choć słyszałem, że próbujesz nauczyć dyscypliny bierny, ludzki motłoch...

– Nie bierny, Legislatorze, tylko uciemężony złą wolą władców-magów.

– Hm. – Legislator obrzucił Girda twardym spojrzeniem i oznajmił: – Czy przysięgasz na twoją dłoń i serce, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by przywrócić tym ziemiom rządy prawa?

– Tak.

– Wobec tego przekrocz granicę. Będę cię uczył.

\* \* \*

Choć wydawało się mu, że otwarta przestrzeń źle na niego działała, to wkrótce odkrył, iż spędzenie zimy w komnatach gnomów jest niemal nie do zniesienia. Skały pod stopami, skały nad głową, skalne ściany wiecznie na wyciągnięcie ręki. Gdziekolwiek spojrzeć, same skały, choćby znakomicie ozdobione. Nie potrafił dopatrzeć się piękna w surowych złobieniach kolumn, majestatycznych proporcjach ceremonialnych sal. Jego gospodarze prędko to odkryli i jego najczęstszy przewodnik prychnął raz:

– Jeśli szukasz przepychu, Girdzie, jeżeli wolisz kamienie obrobione na podobieństwo zwierząt, ptaków i drzew, wysadzone błyszczącymi klejnotami i powlekane złotem, jeśli chcesz muzyki harf i śpiewu, powinieneś być wybrać naszych kuzynów. Krasnoludy wybrały przepych; są ucieleśnieniem złota i krwi, hojni, lecz groźni, gdy dadzą się porwać jakiejś pasji. Lecz powiedziałeś, że chciałeś prawa, a my żyjemy w taki właśnie sposób.

– Handlujecie klejnotami – zauważył Gird. Widział je raz, wyłożone na czarnym suknie w precyzyjnych wzorach i czekające na oszacowanie przez czeladnika.

– Owszem. Jesteśmy wszak skalnym ludem; skały przemawiają do nas tak, jak drzewa do sinyi. – Gnom westchnął ciężko, zauważywszy nie rozumiejące spojrzenie rozmówcy. – Czyli do elfów: pierworodnych śpiewaków, w których żyłach płynie srebrna krew. Skała jest nasza i odwdzięcza się skarbami za naszą mądrość i lojalność.

– Jak krowy – mruknął Gird, za co gnom zgromił go wzrokiem.

– To zupełnie co innego, niż krowy. Wy zjadacie krowy.

Gird nie spierał się – nie wygrałby na argumenty z gnomami – uważał to jednak za to samo. Kochał swoje krowy, dbał o nie i z tej miłości i opieki brała się obfitość mleka, mięsa i skóry.

Większość czasu, szczególnie na początku, spędzał z Legislatorem Karikiem w cichej, rzęsiście oświetlonej komnacie o ścianach zabudowanych półkami z książkami – pierwszymi, jakie zobaczył w życiu – i zwojami.

Legislator Karik uparł się, że Gird musi nauczyć się czytać, pisać – zgodnie ze standardami gnomów – oraz rachować.

– Prawo jest zbyt ważne, by powierzać je tylko pamięci – mawiał. Gird zauważył już, że – jak większość tego, co mówił – nie podlegało to dyskusji. – Musisz je spisać, żeby mogło znaleźć się w sądach, które będą mogły po nie sięgać. Podobnie z umowami: rozumiesz ważność uczciwej wymiany, jak jednak rozstrzygnąć spór, w którym kwestionuje się warunki tejże umowy? Wszystko musi mieć formę pisemną.

– Lecz mój lud zazwyczaj nie czyta, ani nie pisze – zauważył Gird.

– Muszą się nauczyć. – Legislador Karik postukał w ciężkie tablice, pokryte przez niego runami gnomów. – Jeżeli tak się zdarzy, iż jakaś osoba nie będzie mogła się nauczyć, to w sądzie musi reprezentować ją ktoś piśmienny. Niewielu spośród nas jest tak mało rozgarniętych; musimy mieć nadzieję, że wśród twego ludu okaże się to równie rzadkie. Czy to prawda, że nie masz pojęcia o zapisywaniu mowy?

Gird poczuł, że znowu się zarumienił; za chwilę zacznie się pocić.

– Oni... starałem się nauczyć, kiedy zaciągnąłem się do straży mego pana.

– I cóż? Potrafisz czytać, czy nie?

Pocił się; przy schludnej, szarej sylwetce gнома o nie zdradzającym emocji obliczu czuł się wielki, niezdarny i głupi.

– Bardzo słabo – przyznał niechętnie.

– Nauczysz się. Jako, iż jest to warunek niezbędny dla twojej nauki, jak opracować funkcjonujący system prawa dla twego niedoskonałego ludu, a my nie upewniliśmy się co do tego przed zawarciem z tobą umowy, twoje zobowiązanie wobec nas nie ulegnie przez to zwiększeniu. –

Towarzyszący Legislatorowi Karikowi podczas lekcji gnomi urzędnik skrupulatnie wszystko zanotował. Gird zdał sobie nagle sprawę, że ich pierwotna umowa także została spisana. – Musisz uczyć się szybko, Girdzie, jeżeli chcesz zdążyć na czas, by rozpocząć wojnę we właściwym momencie.

Ku zaskoczeniu Girda, nauka pisma gnomów przychodziła mu łatwiej, niż Aarean – a może swoją rolę odgrywał tu absolutny brak czynników rozpraszających oraz obawa przed zostaniem tutaj na zawsze, gdyby się nie nauczył. Szybciej, niż ośmieliłby się mieć nadzieję, był w stanie odczytać przepisy prawa, które gnomy przetłumaczyły dla niego. Wybiły

mu z głowy próby opanowania ich języka – wszyscy zgodnie stwierdzili, że nie było na to czasu.

– Jeżeli jedna strona umowy zgodziła się zwolnić drugą stronę z odpowiedzialności w przypadku śmierci, pozostaje zgodne z prawem, aby w razie śmierci tejże drugiej strony jej spadkobiercy zostali zwolnieni z zobowiązania, jeśli jednak druga strona miała współnika, nie jest to zgodne z prawem, jeżeli sytuacja takowa miała miejsce w chwili zawarcia umowy. – Gird dobiegł do końca dumny ze swych umiejętności czytania, lecz niepewny implikacji dla rolnika, którego krowa zdechła przed dostawą do nabywcy.

– Krowa nie może być stroną umowy – oznajmił Legislator Karik – przeto jej śmierć nie ma tu żadnego znaczenia. Śmierć rolnika liczyłaby się, jeżeli nabywca wyraziłby zgodę na to, by jego spadkobiercy nie musieli dostarczać mu krowy.

– Jeśli jednak nie zapłacił za krowę, czemu niby miałby tego oczekiwać w przypadku śmierci rolnika?

– Założmy, że zapłacił za nią, oczekując, iż ją otrzyma.

– Nie handlujemy krowami w ten sposób – zauważył Gird. Znał się na tym; żaden roztropny rolnik nie zapłaciłby za krowę, której nie obejrzałby na targu, ani nie przyjrzał się jej mleku. Legislator spojrział na niego tak, że uznał, iż musiał powiedzieć coś głupiego.

– Niech to nie będą krowy – zaproponował Legislator. – Nawet wśród ludzi zdarza się często, że kupuje się coś z późniejszym terminem dostawy. Ktoś może dostarczyć materiał krawcowi, który uszyje z niego ubranie. Ktoś może wysłać na targ owoce, ser albo ziarno i spodziewać się, że otrzyma w zamian pieniądze albo inne towary. – Gird musiał przyznać, że

byli ludzie, którzy w ten sposób załatwiali sprawy; on sam uważał to za zbędne ryzyko. – Na przykład ty – naciskał Legislador. – Posyłałeś ludzi po zapasy, prawda? – Czynił tak, lecz przeważnie po dary, za które nie płacili, a doskonale wiedział, co gnomy o tym myślały. Pokiwał głową, zapobiegając dalszej dyskusji.

– Jeśli więc kupuje się coś, czego w danej chwili nie ma, a sprzedający umrze przed zrealizowaniem dostawy... to jego śmierć anuluje zobowiązanie, o ile zostało tak ustalone wcześniej?

– Tak właśnie stwierdza ten ustęp.

– A czy dziedziczący po sprzedawcy musi utrzymać cenę?

Po twarzy Legislatora przemknął rozbłyśk zainteresowania.

– Znakomite pytanie! Tego dotyczy następny ustęp, który możesz teraz przeczytać.

Gird przeklął się w duchu i położył gruby palec na pierwszych symbolach następnego wersu. Kolejny akapit przygnębiającego żargonu prawniczego. Dowiedział się, że wszystko zależało od tego, czy nie dostarczone towary były łatwo psujące się, konsumpcyjne czy trwałe. Jeżeli ktoś wymieniał owoce miękkie na ziarno, które miało zostać dostarczone, to owoce mogły się zepsuć lub zostać zjedzone, zanim okazało się, że nie doszło do dostawy (prawo gnomów precyzowało, iż należało liczyć dni pomiędzy podpisaniem umowy a spodziewaną dostawą, zanim można było obciążać drugą stronę za jej brak). Towary łatwo psujące się podlegały jednym prawom, a konsumpcyjne innym.

– Na przykład – wyjaśniał Legislador – jeżeli ktoś wymienia z krawcem materiał na uszycie ubrania... i gdyby krawiec pociął tkaninę, lecz zmarł przed uszyciem stroju... to uznajesz materiał za towar konsumpcyjny.

Sytuacja ta różni się od krawca, który odsprzedał tkaninę komuś innemu, a potem zmarł. W pierwszym przypadku, zakładając, że w umowie zawarto klauzulę śmierci, spadkobiercy krawca nie będą musieli zwracać pociętego materiału. Za to w drugim – muszą zwrócić pieniądze uzyskane ze sprzedaży tkaniny.

Im więcej się dowiadywał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu o prostocie i klarowności praw gnomów. Absolutna uczciwość i sprawiedliwość wymiany – do tego sprowadzały się wszystkie przepisy. Gnomy posługiwały się sztywną hierarchią społeczną, która nie miała żadnego wpływu na prawo... a przynajmniej na prawo wymiany, traktujące wszystkich w taki sam sposób. To była ta „jedna miara dla wszystkich”, o której wspominał Arranha. Potrafił wyobrazić sobie, jak mogłoby to funkcjonować u ludzi – a przynajmniej wśród tych, którzy by tego chcieli. Tego właśnie chciał dla swego ludu: uczciwych praw. Z pewnością wszyscy tego chcieli.

Legislator Karik zaczął dawać mu proste sprawy do rozstrzygnięcia. Gird odkrył, iż osądzanie było trudniejsze, niż się spodziewał, zwłaszcza, że jego mentor upierał się, iż okoliczności nie miały znaczenia dla prawa.

– Jeśli ktoś chce dobrze, ale czyni źle, to zło dokonało się, a jego konsekwencje trwają. Poza tym, gdyby intencje anulowały winę, to każdy złoczyńca powoływałby się na dobre chęci.

– To przecież oczywiste – uznał Gird. – Jestem w stanie ocenić, czy ktoś miał złe intencje, czy jedynie pobił.

– Czyżby? Przypuśćmy, że ktoś ukradł miarę ziarna, utrzymując, że uczynił to dla uratowania swej rodziny od śmierci z głodu...

– Trzeba sprawdzić, czy ta osoba naprawdę głoduje – odrzekł szybko Gird.



Karik pokręcił głową.

– Załóżmy, że złodziej miał pod dostatkiem własnego ziarna, ale wolał kogoś okraść, niż wywiązać się z zobowiązań wobec własnej rodziny.

Załóżmy, że złodziej miał pieniądze, za które mógłby kupić ziarno, ale znowuż wolał je ukraść. Załóżmy...

– W porządku. – Gird uniósł dłoń. – Rozumiem. Ale z pewnością są takie okoliczności, które trzeba wziąć pod uwagę.

Karik powoli pokiwał głową.

– Są. Żaden kodeks nie jest w stanie przewidzieć wszystkich możliwych sytuacji, nawet wśród gnomów, a w przypadku twego niezdyscyplinowanego ludu przewiduję wielki zamęt. Lecz każde zaaprobowane przez ciebie odstępstwo od zasady sprawi jedynie, że więcej ludzi będzie próbowało wtłoczyć w nie swój przypadek. Zupełnie tak samo, jak porastające mury rośliny rozsadzają je korzeniami, wyszukując najmniejszą słabość spoiwa. – Gird zdał sobie nagle sprawę, że Karik identyfikował się z kamieniem – jak cały skalny lud – podczas gdy on sam darzył sympatią rośliny, które walczyły ze skałą. Podziwiał delikatne mchy i paprocie, które tak wytrwale atakowały mur, nawet jeśli oznaczało to konieczność jego naprawy. Odepchnął tę myśl i wrócił do tematu. Zawsze zakładał, iż gnomy podzielą jego odczucia wobec sposobu, w jaki Kelaive potraktował Merisa, że kara była niewspółmiernie wysoka do chłopięcego wybryku. Teraz postanowił o to zapytać.

Zanim cokolwiek powiedział, Karik wysłuchał wszystkich szczegółów.

Następnie zadał pytania, o których Gird nigdy by nie pomyślał, a dopiero potem wygłosił swoją opinię.

– Właściwa relacja kary do przestępstwa to zupełnie osobna kwestia –

zaczął. – Nasze prawo opiera się na zobowiązaniu do przywrócenia – na ile to możliwe – właściwych relacji pomiędzy stronami. W związku z czym, gdybyś ukradł miarę ziarna, musiałbyś ją zwrócić – lub jej ekwiwalent pieniężny – oraz zapłacić karę, mającą pokryć koszty rozpoznania sprawy przez sąd. Stosujemy kary jedynie wobec młodych, lecz niektóre systemy prawne ludzi rozciągają je również na dorosłych, co według nas oznacza, że nie potrafią właściwie oddzielić kary od zadośćuczynienia. Oczywiście, w pewnych sytuacjach przywrócenie stanu poprzedniego jest niemożliwe, na przykład, gdy doszło do zranienia prowadzącego do trwałej niezdolności do wykonywania pewnych czynności lub śmierci, bądź zniszczenia czy zagubienia przedmiotu unikalnego i niemożliwego do zastąpienia. Trudno jest to właściwie osądzić, choć wypracowaliśmy sobie pewne standardy w tym zakresie. W przedstawionym przez ciebie przypadku nie twierdzisz, że sprawca był niewinny, uważasz jedynie, że wymierzono zbyt surową karę. Rozpatrując jedynie to, zgodziłbym się z tobą. Jeśli jednak kara za skradzenie takiej ilości owoców była znacząca, wiek złodzieja nie czyniłby żadnej różnicy. Okoliczności nie powinny wpływać na wyrok, gdyż zakładamy, że prawo ma być przede wszystkim sprawiedliwe. Kelaive zdaje się nie przestrzegać żadnego prawa, z wyjątkiem prawa do własnej przyjemności. Nie umniejsza to winy chłopca, wskazuje jednak, że jego pan również postąpił źle.

– Wciąż uważam, że są sytuacje... – zaczął Gird. Karik uciszył go machnięciem ręki.

– Nigdy nie żyłeś w sprawiedliwym systemie prawnym i nie można oczekiwać od ciebie, że pojdziesz, jak to jest. Uczynimy wszystko, co w

naszej mocy, by nauczyć cię prawa w nadziei, że ty z kolei nauczysz go innych i w swoim czasie twój lud przybliży się do sprawiedliwości. – Gird musiał się tym zadowolić.

W trakcie nauki Gird odpowiadał na pytania gnomów o sposób, w jaki zorganizował swych żołnierzy. Nie zapomniał słów Arranhy o umiejętnościach bojowych gnomów. Może udałoby się mu znaleźć coś, co wymieniliby na ich wiedzę... lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Ku jego zaskoczeniu oferta nadeszła z drugiej strony, wiele dni po tym, jak zaczął czynić zadowalające Karika postępy.

Wraz z Arranhą spotkali się z grupką gnomów w jednej z sal ceremonialnych. Arranha wyjaśnił mu, że poproszono go o tłumaczenie. Po wymianie uprzejmych powitań jeden z gnomów wygłosił przemówienie. W końcu Arranha obrócił się do Girda.

– Chcieliby zawrzeć z tobą umowę na dostarczenie ci wiedzy militarnej w zamian za twoją pomoc w pewnej bitwie. Uważają, że potrzebujesz tej wiedzy, bez której możesz nie wygrać swojej wojny. Są pod wrażeniem twojej gorliwości w nauce prawa i praworządnej natury. Wskazują jednak, że brak ci wiedzy o strategii i słabo orientujesz się w taktyce. Mogą ci to zapewnić. Jesteś zainteresowany?

Oczywiście, że był, ale w jakiejże to bitwie potrzebowali jego pomocy, skoro potrafili samodzielnie pokonać czarodziejów? Zadał to pytanie najbardziej taktownie, jak umiał i poprosił Arranhę o przetłumaczenie, lecz gnomy wystarczająco dobrze znały jego język, by móc niezwłocznie odpowiedzieć. Nie mogli przedstawić mu więcej szczegółów, dopóki nie poznają lepiej jego umiejętności, chcieli jednak, żeby zwabił Aarean w zasadzkę... Władcy-magowie byli obecnie zbyt czujni, by rzucić się w

pościg za samymi gnomami.

Gird przypatrywał się nieprzeniknionym, szarym obliczom, aż nazbyt świadomy swego niedoświadczenia. Chciał – nie: potrzebował – ich biegłości; pozwolono mu raz obserwować ćwiczenia oddziału gnomich strażników i zaczął pożądać ich wiedzy. Ale ile to będzie go kosztować? Zgodnie z ich własnym prawem musieli postąpić z nim sprawiedliwie... choć jego pojmowanie sprawiedliwości było bardzo odległe od ich poglądów na znaczenie tego słowa. Czy gdzieś się spotykali?

Nie popędzali go. Długo siedział w milczeniu – przynajmniej tak mu się wydawało – a kiedy wreszcie skinął głową na zgodę i powoli odczytał umowę, by podpisać ją chwiejnym, lecz czytelnym charakterem pisma, ukłonili się sztywno i wyszli, pozostawiając go sam na sam z Arraną.

Następnego dnia Legislator Karik przedstawił go Wojennikowi Ketikowi, który z kolei przekazał go Zbrojmistrzowi Setikowi. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy gnomy celowo wybierały sobie imiona tak, by przypominały cykanie chrząszczy. Nie mógłby jednak zadać takiego pytania. Oblicze Zbrojmistrza Setika przecinała pierwsza blizna, jaką ujrzał wśród gnomów. Spodziewał się większego i silniejszego gnoma, lecz Setik nie odbiegał budową ciała od pobratymców. Obszedł Girda, niczym dziecko oglądające zapaśnika na targu, zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, po czym wypluł z siebie pytanie do tłumacza, który im towarzyszył.

– Pyta, czy wszyscy ludzie są twojego wzrostu?

Gird pokręcił głową.

– Nie, są tacy niscy – pokazał ręką – i tacy wysocy – o dłoń wyżsi ode mnie. Jedni są szczuplejsi, inni grubszy, niezależnie od wzrostu.

– Jakimi broniami władacie?

Gird wymienił je: te, których używali obecnie oraz te leżące według niego w zasięgu ich możliwości. Zbrojmistrz wysłuchał go w tradycyjnie nieprzeniknionej ciszy, po czym krótko skomentował. Tłumacz nie przełożył od razu jego słów.

– Co? – ponaglił go w końcu Gird. Usta tłumacza drgnęły.

– Powiedział: „Śmieszne!”

Gird poczuł, jak czerwienieje mu kark. To nie było śmieszne – wygrał bitwę uzbrojony jedynie w taki oręż. Zbrojmistrz obserwował go czarnymi, lśniącoymi paciorkami oczu. Gird walczył z nazbyt widocznym – był tego pewny – gniewem.

– Sprawdziły się wystarczająco dobrze – oznajmił w końcu. Tym razem pytanie Zbrojmistrza było na tyle oczywiste, że odpowiedział, nie czekając na tłumaczenie. Przykucnął i wyrysował palcem na podłodze plan potyczki pod Owczarniami Norwalku. Zbrojmistrz przysiadł na piętach, zaabsorbowany występem. Lecz całkowicie nie przekonany; kiedy Gird skończył, wygłosił gwałtowny komentarz w mowie gnomów i zanim jeszcze tłumacz zaczął przekład, Gird domyślił się, iż był on krytyczny.

– Mówi, że miałeś szczęście. Mówi, że popełniłeś podstawowe błędy w rozmieszczeniu zwiadowców, doborze sygnałów i wyborze pola bitwy. Mówi, że jeśli będziesz tak czynił wystarczająco często, wygubisz swych ludzi i przegrasz wojnę.

Gird od dawna podejrzewał, że jego pozorny sukces pod Owczarniami Norwalku był bardziej kwestią szczęścia, niż umiejętności, nie podobała mu się jednak taka pospieszna ocena ze strony kogoś, kto nawet tam nie był. Kogoś, kto przywykł do manewrów z doświadczonymi (i

zdyscyplinowanymi) gnomami, kto nie musiał tuż przed walką zapobiegać panicznej ucieczce, kto miał czas na wybranie odpowiedniego miejsca i odpowiedzialnych podkomendnych. Chciał to wszystko powiedzieć, żeby gnomy właściwie go zrozumiały, lecz w błyszczących, ciemnych oczach Zbrojmistrza nie było śladu współczucia. Chciał powiedzieć, że i tak wygrali, pomimo jego błędów (o ile to jego błędy były faktycznie problemem), spojrzał jednak w zamknięte, pozbawione wyrazu oblicze kogoś, kto i tak nie zmieniłby zdania.

– To co powinienem być zrobić? – zapytał, nie do końca udanie maskując sarkazm.

– Mówi, że dowiesz się, kiedy zakończy twoje szkolenie.

Militarny trening gnomów tak się miał do szkolenia jego starego sierżanta, jak gotowanie Mali do jego matki. Był dumny z umiejętności swych ludzi, teraz jednak, po raz pierwszy w życiu zobaczył absolutną precyzję i uświadomił sobie, jaki nieudolny był nawet jego dawny sierżant.

– Nie trzeba wiele, by zaimponować wieśniakom, którzy nic nie widzieli – orzekł Zbrojmistrz. Gird był pewny, że trzy oddziały gnomów, które właśnie zakończyły pokaz, wywarłyby wrażenie na każdym. Maszerowały do przodu i do tyłu, w bok, otwierały i zwierały szyki, przechodziły wzajemnie przez siebie, a cały ciąg komend zakończyły w równie zwartym szyku, jak przed rozpoczęciem manewrów. – Nie osiągniesz tego z ludźmi, którzy różnią się rozmiarami. Możesz jednak zbliżyć się do tego bardziej, niż obecnie.

W środku formacji sięgających mu do ramion gnomów Gird znowu poczuł się jak niezdarny i niezbyt rozgarnięty rekrut. Ale uczył się i to nie tylko jak się poruszać, lecz również dlaczego. Ta wizja poduszki na szpilki,

której doznał, obiegając swych ludzi i ustawiając ich we właściwym kierunku pod Norwalkiem, miała swoją nazwę i właściwe komendy, dzięki którym można było w każdej chwili utworzyć taką formację z dowolnej innej. Zawsze zakładał, że do ćwiczeń potrzeba wielkiej, niczym nie zagraconej przestrzeni. Gnomy nauczyły go dowodzenia oddziałem w magazynie zawalonym zapasami i właściwej oceny dostępnej przestrzeni, by wybrać odpowiednie komendy.

Odkrył, że umiejętności walki wręcz, dzięki którym powalił Coba i Trige, były zaledwie pierwszym poziomem wtajemniczenia, jakiego uczono najmłodsze gnomy. Zbrojmistrz Setik pokonywał go za każdym razem, niezależnie od sposobu, w jaki zaczynał walkę.

– Jesteś za niski – narzekał Gird, posiniaczony i obolały po serii upadków.

– Nie mogę cię złapać... poza tym wy, skalny lud, jesteście silniejsi. –

Setik złapał go za nadgarstek i pociągnął, stawiając na nogi.

– Nie jesteśmy silniejsi. Wiemy, jak wykorzystywać naszą siłę. Możesz to podnieść? – To było beczką z mączką. Gird wzruszył ramionami i spróbował. Była ciężka, ale podnosił już cięższe. Setik opasał baryłkę ramionami i napiął się, lecz nie uniósł jej. – Widzisz? Jesteś silniejszy, co może okazać się bardzo pomocne. Nie wiesz jednak, jak wykorzystać swoją siłę. Chcesz skoczyć na mnie i sam odwalić całą robotę. Pozwól mnie to zrobić.

Ćwiczyli z kijami bardzo podobnymi do używanych przez ludzi Girda. Setik upierał się jednak, że muszą być tej samej długości, niezależnie od wzrostu walczących nimi wojowników. Gird uznał to za kolejny przejaw zamiłowania gnomów do porządku, lecz Setik zaprzeczył.

– Po pierwsze: wszystkie muszą być takie same, żeby zachować

jednakowe odległości w formacji bojowej i nie narażać się na otrzymanie przypadkowego uderzenia. Po drugie: wszystkie muszą być takie same na wypadek, gdyby któryś się złamał lub został upuszczony. W takim przypadku wojownik będzie swobodnie posługiwał się dowolnym innym kijem. Każda broń charakteryzuje się specyficznymi, najskuteczniejszymi ciosami. Niektóre są podobne, lecz podczas bitwy jeden błąd może doprowadzić do śmierci. Szczęście jest twoim wrogiem, Girdzie – nigdy na nim nie polegaj. Licz na umiejętności, dryl, siłę, wytrzymałość i taktykę: co wiesz i co potrafisz zrobić. Jeśli to nie wystarczy, szczęście też ci nie pomoże.

– Ale co z naszymi narzędziami? Myślałem, że możemy ich użyć... używaliśmy ich.

Setik warknął polecenie i jeden z gnomów pobiegł do zbrojowni, skąd wyłonił się z naręczem rolniczych narzędzi. Setik podniósł kosę.

– Pokaż mi, jak twoi ludzie walczyli nią pod Norwalkiem.

Gird zamachnął się kosą, jak zawsze radując się jej wyważeniem, po czym zmienił chwyt, by móc robić szersze zamachy i uniósł ją. Nie nadawała się zbyt do rąbania i trudniej nią było operować, niż motyką, za to umożliwiała sięgnięcie nad innymi i zadanie mocnego ciosu w głowę lub plecy. Widział tylko dwa takie udane uderzenia – oba ukosem w dół, zakończone wbiciem ostrza w plecy żołnierza. Zademonstrował je na wypchanej słomą, skórzanej kukle, ustawionej na środku pomieszczenia.

– Początkowo rozważałem posługiwanie się nią jak zwykle – wyjaśniał. – Można w ten sposób uciąć nogę. Lecz powrót po zadanym ciosie jest zbyt niebezpieczny – nie ma mowy o kontrolowanym ruchu w szyku.

– Tak właśnie myślałem. – Setik podrapał się po głowie. – Mieliśmy broń



bardziej przypominającą motykę, którą podobnie zadawało się ciosy, lecz była łatwiejsza w użyciu dzięki lepszemu wyważeniu. To długie ostrze i zakrzywiona rączka sprawiają, że broń jest bardzo źle wyważona. Nawet ty, przy całej swojej sile, nie możesz wykonać cięcia w bok na poziomie głowy.

– Nawet, gdybym mógł, zagrażałbym osobie po mojej lewej stronie i za mną. Widziałem, jak podczas żniw jeden z gospodarzy zginął w ten sposób – czubek kosy przebił mu brzuch.

– Dobra obrona indywidualna – mrucał Setik. – Jeden człowiek przeciwko kilku zbrojnym – to mogłoby się powieść. Trzeba by naostrzyć również zewnętrzną krawędź noża. Niemniej, nie jest to dobry oręż do walki w szyku. Zakładam, że używacie szpadli jak pik?

– Tak, tyle że mają ostrą krawędź.

– Mmm. My nazywamy to szerokimi pikami. Walczymy nimi także stosując szybkie pchnięcia w dół, ale w ten sposób nie można odeprzeć nieprzyjaciela. Te wszystkie drobne narzędzia, o których wspominałeś – sierpy i tak dalej – są może dobre podczas bójki lub dla obrony przed wrogiem, który zaskoczy cię podczas prac polowych, lecz nie dla twojej armii. – Setik przejrzał całą listę, wyjaśniając i demonstrując, dlaczego każde z narzędzi nie było warte używania jako broni, „chyba że nie ma niczego innego. Ale nie będę marnował czasu na ćwiczenia z nimi. Jeżeli walczysz przeszkolonymi oddziałami przeciwko prawdziwym żołnierzom, potrzebujesz broni do walki w szyku. My stosujemy piki dla uzyskania większego zasięgu, hauki do walki w zwarciu oraz łuczników... czy twoi ludzie w ogóle potrafią strzelać?"

Zapytawszy, Gird dowiedział się, że hauk to krótka pałka, której można

było używać do ćwiczeń i rozbijania głów – przypominała mu pałki i maczugi strażników. Gnomy w szyku trzymały hauki zatknięte za pas na plecach i w razie potrzeby gotowe do błyskawicznego wyciągnięcia. Gird opanował prawidłowe posługiwanie się każdą bronią drzewcową gnomów. Setik zalecał, żeby skupił się na jednym typie, najłatwiejszym w wytwarzaniu, którym miałyby posługiwać się jego armia.

– Wystarczy prosty szpikulec na końcu piki – twierdził. – Każdy kowal będzie umiał go zrobić z dowolnego kawałka metalu – na przykład ostrzy kos. Prawdziwy grot jest lepszy, a wy moglibyście używać szerokich grotów, lecz wykucie ich wymagałoby więcej metalu i umiejętności kowalskich. Samo zaostrenie drzewiec też jest lepsze, niż nic, lecz drewno raczej nie przebije metalowej zbroi... o ile coś takiego właśnie noszą.

Setik doskonale wiedział, jak uzbrojona w piki piechota powinna manewrować przeciwko kawalerii. Domysły Girda, oparte na obserwacji ćwiczeń jego ludzi na kłodach, były temu dosyć bliskie, lecz zdaniem Setika kosztowałyby go zbyt wielu podkomendnych. Największym zagrożeniem byli łucznicy; gnomy radziły sobie z problemem, posiadając własnych, znacznie lepszych strzelców. Gird nie był pewny, czy jego ludzie zdołaliby tak szybko opanować strzelanie z łuków. Jego własne umiejętności w tym zakresie były co najwyżej średnie. A sztukę wytwarzania dobrych łuków i strzał wystarczająco mocnych, by używać ich podczas wojny jego lud przekazał panom z Aare. Gospodarzom nie wolno było posiadać ani wytwarzać łuków; te, którymi posługiwali się obecnie, dobre były do polowania na drobną zwierzynę i ptactwo, lecz do niczego więcej. Setik pokręcił głową i jeszcze raz wyjaśnił, jakie straty

może zadać pozostawiony w spokoju oddział łuczników. Wniosek był jasny: musicie jakoś opanować tę umiejętność, albo zginiecie. Gird zaczął zastanawiać się, kto spośród jego ludzi znał jakiegoś ukrywającego się mistrza łucznictwa – kogoś z dalekiej północy, kto mógłby mieć przyjaciół lub rodzinę wśród konnych nomadów, których łuków obawiali się nawet Finaareanie.

Mijały dni; Gird stracił rachubę czasu. Gnomy nie świętowały Śródzimia i odmówiły przerwania nauki z tego powodu. Miał nadzieję, że bogowie wybaczą mu ten jeden raz – może nie zauważą, jako iż przebywał głęboko pod ziemią, wśród gnomów. Mało prawdopodobne, zważywszy na wiarę kapristi, iż Najwyższy Pan, Wielki Sędzia, wiedział o wszystkim, co działo się na i pod ziemią.

Czuł się wypchany nową wiedzą, informacjami, które miały doskonały sens podczas zajęć, lecz później rozpadały się mu w głowie na podobieństwo dmuchawców roznoszonych przez wiatr. Wojennik był przerażony odkryciem, że Gird nie miał pojęcia, ilu było panów, ani iloma żołnierzami dysponowali. Że Gird nie potrafił narysować dokładnej mapy Finaarenis i sąsiadujących ziem. Że nie wiedział, kto był królem, w jaki sposób powiązany był z różnymi arystokratami, ani jak zarządzano ziemiami. Wtłaczali w niego tę wiedzę dzień po dniu; każdą minutę czuwania wypełniały nowe informacje. Nie miał pojęcia, że na świecie istnieje tyle wiedzy i żałował, że to odkrył. Pomimo organizatorskich talentów gnomów przyłapywał się na tym, że przypominał sobie nazwę miasta, kiedy chciał, ilości ziarna potrzebnego do wykarmienia setki piechurów podczas dwóch dłoni dni marszu, albo przychodziło mu do głowy, jak w prawidłowy sposób rozmieścić zwiadowców obserwujących

trakt kupiecki, gdy potrzebował komendy rozdzielającej maszerującą kolumnę na dwie, z których jedna powinna skręcić w prawo. Oblewał go zimny pot na myśl, że w środku bitwy zamiast pamiętać odpowiednie rozkazy, przypomni sobie wyjątki od odpowiedzialności za dostawę zepsutych towarów.

Walki tej nie ułatwiał mu brak informacji, jak długo potrwa, zanim opanuje wiedzę, której – teraz to przyznawał – bardzo potrzebował. Nie wystarczy lat, a on zaczął niecałe pół roku temu z zamiarem rozpoczęcia wojny w przyszłym roku. Martwiłby się tym, gdyby miał na to czas. Zamiast tego troska wsączała się w jego myśli na podobieństwo wpuszczonej do wody kropli farbki, zabarwiając każdą chwilę obawą, której nie potrafił nazwać. Chciał porozmawiać o tym z Arranhą, lecz kapłana często nie było, gdy Gird wracał po zajęciach do przyznanej mu kwatery i rzucał się na łóżko.

Wreszcie, on i Arranha zostali bez ostrzeżenia (przynajmniej on nic takiego nie zauważył) wezwani do największej z ceremonialnych sal, gdzie zgromadził się tłum gnomów. Gird zwrócił uwagę na panującą ciszę – brakowało szeptów i gwaru ludzkiego zbiegowiska. Legislador Karik (jeden z czterech czy pięciu gnomów, których nauczył się w końcu rozpoznawać) poprowadził Girda do przedniej części komnaty i wygłosił długą przemowę w języku gnomów. Następnie obrócił się do Girda.

– Czas odesłać cię z powrotem do obozu, zanim twoi ludzie uznają, że cię zabiliśmy. Pamiętajsz zawarte z nami umowy. Dostarczyliśmy ci wszystko, co obiecaliśmy. Masz zobowiązania wobec nas.

Przynajmniej znał właściwą odpowiedź.

– Potwierdzam otrzymanie waszej wiedzy i szkolenia oraz uznaję moje

zobowiązania i przysięgam wywiązać się z nich do końca mego życia.

– Przy świadkach. – Wywołało to poruszenie wśród zgromadzonych i chóralne potwierdzenie. – Przy świadkach.

Chłód przeszedł mu po krzyżu. Zamierzał w pełni dotrzymać swych obietnic, ale to „przy świadkach” oznaczało niezliczone piki gnomów w jego plecach, gdyby zawiódł.

## Rozdział 20

Zdawał sobie sprawę, że brakowało mu słońca – nawet słabego, zimnego słońca zimy – lecz do jakiego stopnia, dowiedział się dopiero wówczas, kiedy wyszedł w to zapamiętane piękno, a jego wzrok spoczął na niemożliwie odległym horyzoncie. Zapiekły go oczy. Bolało, choć nie potrafił określić dlaczego, takie długie ograniczanie wzroku ścianami. Bolały dźwięki, odbijające się od tych ścian w królestwie cichym, jak same gnomy. Bolał brak wiatru, niosącego nieskończenie różne wonie i w różnym stopniu napierającym na skórę. Wyprowadzili go rano, prosto w wiosenną mżawkę, nadal niosącą groźbę późnych śniegów. Między kurtynami deszczu tu i ówdzie widział długie, brązowawe zbocza, ciemne łąki lasów, łagodną lawendę i stłumiony burgund pąków, przydających barw panującej dotychczas szarości. Usłyszał cichy szept deszczu na mokrej trawie, odległy bełkot spływającej po stoku wody i przepastną ciszę pomiędzy dźwiękami, nie budzącymi najmniejszego echa. Chłód i wilgoć ukoiliły wnętrze nosa, pieszcząc go zapachem mokrej ziemi i przeganiając suche świerzbienie, pozostałe mu po roku spędzonym pod ziemią ze skalnym pyłem i gnomami. Woń ludzkiego ciała, której był tak świadomy, gdyż różniła się od zapachu innych, rozplynęła się w uczuciu świeżości.

– Spotkamy się na Wzgórzu Czarnej Kości – oznajmił Zbrojmistrz Setik, który wyszedł z Girdem na zewnątrz. Arranha został w środku, lecz zapewnił Girda, że dołączy do niego później. Gird zastanawiał się, czy kapłan wiedział o Wzgórzu Czarnej Kości. Gnomy wspominały o tym tylko wtedy, gdy nie było go w pobliżu.

– Tak – potwierdził Gird, upijając się powietrzem i zastanawiając, czemu poszarpany i pofałdowany pejzaż brązów i szarości wydawał się o wiele piękniejszy od pieczołowicie rzeźbionych komnat gnomów.

– Masz mapy?

– Tak. – Rozejrzał się i mapy, których używania go nauczono, jakby nałożyły się na okolicę. Pójdzie tamtędy i znajdzie niewielki strumyczek, który powiedzie go na północ i zachód, po czym porzuci go u podnóża wzniesienia o stromych stokach, za którym znajdzie inny strumień i las, uznawany przez niego za niemal jego las...

– I... – Setik podniósł na niego wzrok z miną, której Gird nie był w stanie odczytać. – To było dla mnie bardzo satysfakcjonujące. Jak na człowieka, jesteś... w pewnych kwestiach całkiem podobny do kapristi.

Gird obrócił się, zaskoczony. Jeżeli to w ogóle możliwe, Zbrojmistrz był jeszcze bardziej zamknięty, niż pozostali jego nauczyciele. Gird zakładał, że ucieszy go pozbycie się niezdarnego, ludzkiego woła. Setik lekko zmarszczył brwi, a jego blizny rozciągnęły się.

– Z natury jesteś pochopny, jak wszyscy późno urodzeni: prędko do śmiechu, do gniewu, do jedzenia... lecz zmusiłeś się do przewidywania i powściągnięcia pośpiechu. Masz dar porządku i dyscypliny, co my uważamy za oznakę odpowiedzialności.

– Jesteś dobrym nauczycielem – odrzekł Gird.

Gnom pokiwał głową.

– Jestem, to prawda. Lecz nawet najlepszy nauczyciel nie zmieni natury żywej istoty: nie mógłbym sprawić, by kamień zakwitł i wydał owoce jak drzewo. Nie nauczę drzewa latać. Nawet wśród nas, którzy jesteśmy tak podobni do siebie, część ma mniejszy talent do wojny, niż pozostali. Ty go

masz, co więcej, dysponujesz czymś bardzo rzadkim u nas – czymś, czego wymaga wojna, a nie nasze życie – wolą wyjścia poza to, co jest wymagane i zanurzenia się w krainie daru.

Gird był jednocześnie zdziwiony i zafascynowany. Wszystko, co słyszał od Legislatora Karika, sugerowało nieufność gnomów wobec darów i do dzisiaj nie podejrzewał, że gnomy-żołnierze uważali inaczej. Setik uśmiechnął się nagle, co było zmianą tak zaskakującą, jakby sama skała rozdziawiła „usta” w maniakałnym uśmiechu.

– Wojna wymaga czegoś więcej, niżli sprawiedliwej wymiany. My, żołnierze, wiemy coś, czego prawnicy nie rozumieją. Nawet wśród nas są tacy, którzy dają... a podczas wojny to dawanie wygrywa bitwy. Ty to masz, a z tego, co mówisz, to typowo ludzka cecha. – Urwał nieoczekiwanie, a na jego oblicze powróciła zwyczajowa surowość. – Idź z osądem Najwyższego Pana – dodał. Gird obejrzał się na niemal niewidoczne wejście do jaskiń gnomów. Stało tam kilku z nich, bacznie słuchając i przyglądając się im.

– Nie przyjmiesz podziękowań – powiedział do Setika – lecz mój lud uważa powstrzymywanie się od nich za niegrzeczne. Podziękuję więc bogom za zesłanie mi tak dobrego nauczyciela sztuki wojennej i poproszę ich o łaskę, by powstrzymali mój umysł przed złożeniem w całość tego, co tak pieczołowicie rozłożyłeś na kawałki.

Gdyby wierzył, że gnomy miały poczucie humoru, uznałby, że dojrzał w czarnych oczach Setika figlarne iskierki.

– Wspólnie szkoleni żołnierze są jak bracia z jednego ojca – wymruczał. – Idź już, zanim ktoś zacznie zadawać niewygodne pytania.

Gird skinął głową, nie mogąc wykrztusić słowa przez gulę w gardle, po



czym ruszył w dół stoku. Ostrożnie przekroczył granicę i nie obejrzał się, dopóki nie stracił z oczu tej jednoznacznej linii.

Gnomy pokazały mu niewielki, kunsztownie wyrzeźbiony model krainy, zwany przez nich gnishina, ukształtowanej od zachodnich równin po morze przez olbrzymią rzekę, której Gird nie widział na oczy. Całe życie spędził wśród niskich wzgórz i strumieni, których krętość nie miała dla niego sensu. Myślał, że świat jest pokryty guzami jak lebioda w rondlu, dopóki nie zobaczył krainy gnomów z wylaniającymi się z za wzgórz olbrzymimi górami.

Model nadawał sens pozornie chaotycznie rozrzuconym pagórkom. Nie rozumiał wyjaśnień gnomów, lecz wielkie, koncentryczne łuki skał były wystarczająco oczywiste; rzeka rozdzielała je, niczym rozcięcie racicę krowy. Szeregi wzgórz, odmiennie uformowanych przez tworzące je skały różnych rodzajów (tyle pojął; każdy wiedział, że czerwona skała daje zaokrąglone zbocza, a biała tworzy stoki przypominające stopnie) odchodziły od rzeki ostrymi łukami, by dalej biec niemal równoległe do gór na południu. Między wzgórzami płynęły strumienie i rzeki, będące dopływami Honnorgatu. Ich doliny tworzyły naturalne szlaki.

Przemieszczanie dużych sił na północ lub południe było najprostsze blisko Honnorgatu; marsz armii na wschód lub zachód był najłatwiejszy z dala od potężnej rzeki.

Znalazłszy się ponownie pod gołym niebem, mógł rozpoznać we wzgórzach to, czym były: krańcami wielkiego łuku. Idąc na północ, minie białe skały, potem żółte i brązowe. Następnie skręci na zachód, by powrócić do żółtych i białych. Tak samo człowiek mógłby przesunąć palcem od krawędzi krowiej racicy do jej rozcięcia, a potem dalej – by

ponownie natknąć się na jej bok. Co ważniejsze, dzięki znajomości całej okolicy i dostarczonym przez gnomy mapom wiedział, gdzie się znajdował – on i jego armia – oraz jak miał dotrzeć tam, dokąd chciał. A przynajmniej taką miał nadzieję.

\* \* \*

Ziemie ludzi były nie mniej niebezpieczne od księstw gnomów, choć zagrożenia nie były równie osobliwe. Gadilon mógł nie niepokoić swych gnomich sąsiadów z obawy przed odwetem, nie zamierzał jednak pozwolić, by chłopskie powstanie pozbawiło go pozycji. Ledwo wkroczył do jego dominium, zobaczył pierwsze patrole, złożone z doświadczonych żołnierzy, których czujność wskazywała na szacunek wobec nowego przeciwnika. Cokolwiek wydarzyło się, kiedy Gird przebywał pod ziemią, położyło kres samozadowoleniu panującemu w oddalonych placówkach. Pół dnia spędził, leżąc niewygodnie w ociekających wodą krzakach, podczas gdy patrole kręciły się po szlaku, którym zamierzał podróżować. Po zapadnięciu ciemności wyplątał się z chaszczki, mamrocząc przekleństwa i ostrożnie okrążył wzgórze, by pójść wzdłuż szumiącego potoku. Czyniony przez wodę hałas zagłuszył jego kroki. Pomimo swej czujności omal nie został schwytany. Gdyby wartownik nie zakaszlał i splunął do wody, Gird nigdy nie domyśliłby się, że czarny cień głazu był w rzeczywistości człowiekiem. Zatrzymał się w miejscu, zastanawiając się, czy został dostrzeżony. Kolejny kaszel i wymamrotane przekleństwo. Gird ostrożnie odszedł od brzegu strumienia, uważnie wymacując stopami grunt przed sobą. Nie mógł tutaj zostać, ani zawrócić,

nie wiedząc, gdzie znajdowała się reszta żołnierzy. Przedarł się przez zwałowisko głazów po tej stronie potoku i wspinał na szczególnie okazałą skałę. Z wysoka ujrzał migotanie ogniska w dole strumienia.

Wartownikowi prawdopodobnie nakazano wspięcie się na głaz zajmowany obecnie przez Girda, lecz nocny wiatr był tutaj szczególnie zimny i przejmujący; mężczyzna zsunął się na dół dla osłony przed chłodem. Gird rozpląszczył się na twardym, zimnym kamieniu i zamyślił.

Mając w pamięci szkolenie gnomów, jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo tego obozu rozmieściłby warty w górze i dole strumienia oraz rozproszył je po lesie. Tylko gdzie? Niegnomie doświadczenie podpowiadało mu, że ludzie dbali o własną wygodę, zupełnie jak ten strażnik, którego zdemaskował własny kaszel. Nieważne, jak mądrze rozmieścił ich dowódca, każdy z nich wybierze miejsce, zapewniające maksimum osobistego bezpieczeństwa i wygody z wystarczającą – zdaniem tejże osoby – możliwością wywiązania się z nałożonego nań obowiązku. Gdyby zdołał to ustalić, mógłby bezpiecznie obejść obóz. Gdyby popełnił błąd, miałby ich wszystkich na karku.

Najprostszym wyjściem było wycofać się po własnych śladach w górę strumienia i szerokim łukiem obejść obóz. Udałoby się, o ile nie wpadłby na inny patrol. Nie widział powodu, dla którego Gadilon miałby wysyłać dodatkowych zwiadowców na południe, ale kto pojąłby intencje pana? Mógłby też odbić od strumienia i ruszyć na przełaj przez zarośla, w nadziei ominięcia innych wartowników bez zbyteńnego nakładania drogi. Powinno się udać, o ile czujka nad strumieniem umieszczona została w tej samej odległości od obozu, co pozostali. Wciąż bił się z myślami, gdy usłyszał w oddali tętent kopyt, a w obozie alarmujące okrzyki i sygnał

trąbki. Wartownik pod nim sapnął i pobiegł do obozu, potykając się o kamienie i krzycząc, co sił w płucach.

Gird został tam, gdzie był, próbując zrozumieć, co się działo. Między drzewami pojawiły się światła pełgających pochodni. Głośne okrzyki, wyrzaskiwane komendy i odpowiedzi wartowników z oddali. Poczucie zadowolenia, że wracali z odgadniętej przez niego odległości.

Żałował, że nie podszedł bliżej i zaczął schodzić, gdy usłyszał niemożliwy do pomylenia szcęk stali. Towarzyszyło mu jeszcze więcej krzyków, tupotu kopyt i odgłosów walki. Sygnał trąbki urwał się w połowie. Hałas przybliżał się do niego – grupka ludzi przedzierała się przez krzaki, potykając o przeszkody. Podeszli tak blisko, że słyszał ich sapanie, brzęk sprzączek i kolczug, trzeszczenie skóry. Za nimi nadciągali inni; ktoś krzyknął:

– Tam idą!

Tuż pod nim zazgrzytał żwir pod butami. Od oświetlonej blaskiem gwiazd wody odcinały się dwie – trzy sylwetki. Jeden z obcych był ranny; jęczał cicho przy każdym chrypliwym oddechu. Gird leżał bez ruchu, mając nadzieję, że nikt nie zauważy dużego cienia, przylgniętego płasko do czubka głazu.

– Nie pozwólcie im uciec! – usłyszał z dołu strumienia. – Idźcie za śladem krwi. – Jeden z mężczyzn poniżej zaklął soczyście.

– Musimy ruszać – rzucił. – Znajdą nas i...

– Per nie pójdzie dalej – odparł drugi. – Musimy walczyć.

– Nie możemy. – Chwila ciszy, a potem: – Musimy go zostawić. I tak ciągnie się za nim krwawy trop. Znajdą go martwego i uznają, że był sam.

– Nie! Będą wiedzieli, że samodzielnie nie zaszedłby tak daleko. Poza

tym, to mąż mojej siostry; nie porzucę go.

– Radź sobie sam. – Jeden z cieni wskoczył z pluskiem do strumienia i zaczął brodzić. Pozostały rzucił za nim ciche przekleństwo i przywarł plecami do głazu, na którym leżał Gird.

Pojawili się ścigający, oświetleni pochodniami, którymi dziko wymachiwali wśród drzew. Gird ujrzał brutalne, brodate oblicza mężczyzn nie noszących uniformów, ani nawet normalnych ubrań, tylko skóry dzikich zwierząt, z grubsza wygarbowane i byle jak pozszywane.

Uzbrojeni byli w zakrwawione miecze i piki. Gird nie odważył się wychylić ze swej kryjówki, by przyjrzeć się mężczyznom u podnóża głazu, podejrzewał jednak, że nosili barwy Gadilona. A ci drudzy to kto? Był pewny, że nikt ze szkolonych przez niego włościan; w takim razie kto? Chłopi Gadilona?

Cofnął się ostrożnie za krawędź głazu. Miał nadzieję, że ich uwaga skupiona była na ludziach poniżej. Przebieg wydarzeń był wystarczająco jasny dzięki odgłosom: niski, wyczekujący warkot napastników, wyzwanie ze strony ostatniego zdolnego do walki człowieka i krwawa jatka. Nie trwało to długo.

– Był jeszcze jeden – rzucił ktoś z atakujących. – Patrzcie: wskoczył do wody.

– Nie szkodzi. Znajdziemy go za dnia, albo pozwolimy zanieść nowinę swemu panu – nie ucieszy się z niej. Nie zaszkodzi nam jeden ocalały z każdego patrolu. – Co rzekłszy, podniósł głos, by przekrzyczeć szum strumienia. – Hej, tchórze! Pachołku hrabiego! Opowiedz swojemu panu, co się stało i przekaż, że to był Gird i jego włościanie!

Gird poczuł, jak krew napływa mu do twarzy; niemal skoczył na niego, by

temu zaprzeczyć. Jak śmiało używać jego imienia! W uszach słyszał tylko ryk wściekłości; dopiero po chwili dotarł do niego śmiech pozostałych.

– Diss, co ty wyrabiasz? Naprawdę myślisz, że hrabia uwierzy, że ta nocna robota to Gird?

– A co mnie to obchodzi? Jeśli będzie myślał, że to wieśniacy, niech im dokucza; zbójcom poświęci wtedy mniej czasu. Chyba lepiej dla nas, żeby za każdy napad i zasadzkę obwiniał chłopów? A jeśli nie uwierzy – jeżeli uzna to za sztuczkę bandytów – to zacznie zastanawiać się, dlaczego rozbójnicy zrzucają winę na wieśniaków. Może zostaniemy sojusznikami. A chłopci... skoro podsyłają ziarno włościom Girda, czemu nie mieliby i nam – jeśli tylko przekonamy ich, że jesteśmy po tej samej stronie.

Gird wbił palce w skałę, by powstrzymać się przed skoczeniem na zbójów... co byłoby równoznaczne z wbiciem sobie noża w gardło.

Bandyci zarechotali. Słyszał, jak rozbierali ciała żołnierzy hrabiego, by porzucić je nagie i pozbawione osłony w mroku nocy i wrócić do obozu, żeby raczyć się ale sierżanta straży. Kilka godzin przed świtem Gird usłyszał ich odjazd. Odczekał, aż zapadła cisza i dopiero wówczas ześlizgnął się z wierzchołka, zeszywniały i przygnębiony, by na własne oczy zobaczyć dzieło złoczyńców.

Martwi żołnierze wyglądali jak wszyscy martwi; przez pół roku, które spędził z gnomami nie zapomniał widoku, ani zapachu trupów. Przykucnął przy nich i zamknął im oczy kamykami. Byli wrogami, lecz nie jego; nie on ich zabił i czuł, że był im winny przynajmniej tak podstawową uprzejmość. Zeszywnieli już i nie mógł wyprostować im kończyn. Lecz nad strumieniem znalazł zieloną miętę i na każdych zwłokach położył po gałązce. Następnie narwał całe naręczce ziela i pomaszerował do

opustoszałego obozu. Położył miętę na każdym trupie żołnierza i zbójcy, niepewny, czemu to robi, z wyjątkiem tego, że wydało się mu to właściwe. To nie była jego walka; nie lubił obu stron z taką samą mocą.

Bandyci pozbawili żołnierzy broni, pancerzy, ubrań i pieniędzy (tak przynajmniej uznał Gird, znajdując wdeptane w ziemię miedziaki), zostawili jednak prowiant, którego sami nie zjedli. Gird nie widział powodów, dla których nie miałyby go zabrać. Zatknął za koszulę płaskie bochenki i połówkę sera. Na linii wart odkrył poprzecinane powrozy, gdzie rozbójnicy skradli konie; idąc wzdłuż strumienia natknął się na jeszcze jednego martwego żołnierza – wartownika z dołu strumienia.

Maszerował możliwie jak najczujniej, świadomy, że miał obecnie dwóch wrogów: kiedy Gadilon dowie się, co przytrafiło się jego patrolowi, wzgórze zaroją się od żołnierzy, a z drugiej strony bandyci nie okazaliby się pewnie zbyt szczęśliwi, natykając się na prawdziwego Girda. Przez pół dnia oddalił się sporo od miejsca potyczki ze zbójcami, nie czuł się jednak bezpieczniejszy. Mapy gnomów twierdziły, że musiał przeciąć dominium Gadilona z południa na północ, a następnie rozległe pastwiska owiec dzielone przez kilku panów i wioski, by dotrzeć do znanych sobie z widzenia terenów. Najbliższe podwórze – według jego wiedzy z jesieni, przypominał sobie – tworzyła grupa pasterzy, zwących swoją osadę Farmeet.

Idąc możliwie po linii prostej, przeciął trakt handlowy łączący miasteczka Gadilona z tymi w Tsaia na wschodzie i z Ierin – najbardziej wysuniętym na południowy zachód miastem Finaarenis. Gnomy podkreślały, że będzie musiał kontrolować ten szlak, by zabezpieczyć wszystkie południowe kwadranty regionu. Podobnie do Drogi Rzecznej, biegnącej wzdłuż

południowego brzegu Honnorgaru na północy, południowy trakt handlowy pozwalał panom na łatwe przierzucanie żołnierzy i zapasów z jednego ufortyfikowanego miasteczka do drugiego. Gird uważał, że wędrówka na przełaj też nie była trudna, lecz gnomy upierały się, że żadna zorganizowana armia nie mogła przemieszczać się tak sprawnie, jak pojedynczy człowiek, czy niewielka grupka.

Gird dotarł do szlaku tylko raz ocierając się o patrol (ukrył się w gęstwinie cedrów, a konni przejechali poniżej, rozprawiając o śmierci swych przyjaciół w zasadzce, której był świadkiem. Z niesmakiem usłyszał, że ich zdaniem było to dzieło wieśniaków sprzymierzonych z bandytami).

Teraz zaś wyglądał spoza gęstych, obsypanych białym kwieciem śliw na pokryty koleinami, wyludniony trakt. Jakiś czas wcześniej przejechał nim jeździec; słyszał tętent i widział świeże ślady podków, przykrywające starsze. Wychylił się nieco, potrącając kwiaty, z których z bzyčeniem wzbił się rój pszczół. Nie martwiły go (ciekawe, gdzie miały ul?), nadal jednak nie wiedział, czy ktoś nie obserwował go z drugiej strony drogi. Żołnierze mówili coś o zamykaniu traktu, by chłopci nie mogli z niego korzystać, ani go przekraczać. Wymagałoby to rozstawienia wzdłuż niego wartowników – a z pewnością nie uczyniono tego – nie chciałby jednak skończyć ze strzałą w szyi, gdyby postanowił to sprawdzić.

Coś prychnęło na szlaku. Gird znieruchomiał. Spomiędzy śliw wyłonił się jeleni i zatrzymał na środku szlaku, nadstawiając uszu i unosząc ogon.

Znowu zachrapał. Gird usłyszał brzdęk cięciwy i w bok zwierzęcia wbiła się strzała. Jeleń zatoczył się, dał niepewny krok naprzód i padł. Trzej podobnie ubrani mężczyźni przedarli się przez zarośla, przywiązali zwierza do żerdzi i zniknęli z powrotem w lesie po drugiej stronie drogi,



nie zaszczycając Girda choćby jednym spojrzeniem. Ich cicha współpraca przekonała go, że działali razem cały czas, nie wiedział jednak, czy byli leśnikami, żołnierzami, czy może rozbójnikami. Albo, jeśli już o tym mowa, kłusującymi wieśniakami. Słyszał, jak szli przez las.

Wykorzystując szansę, że hałas przyciągnął uwagę potencjalnego obserwatora, przebiegł na drugą stronę traktu i wpadł między drzewa, po czym szerokim łukiem oddalił się od ich ścieżki.

Żałował, że nie odważył się porozmawiać z nimi. Łucznik był silny i dokładny; według gnomów dokładnie tego potrzebował. Jeżeli byli kłusującymi gospodarzami, mógłby uczynić z nich użytecznych zwolenników. Lecz bardziej prawdopodobne było, że oberwałby strzałą. Zbyt ryzykowne, upomniał sam siebie.

Dotarł bezpiecznie do Farmeet, gdzie napotkał pasterzy dużo mniej życzliwych, niż pamiętał z zeszłego lata.

– Słyszałem, że zawzięłeś się na patrole Gadilona – przemówił jeden z nich, nie patrząc na Girda. – Słyszałem, że wpadasz na nich, kiedy śpią i mordujesz, a potem zabierasz im ubrania i wszystko...

– Nie – odparł Gird. – To byli rozbójnicy.

– Skąd wiesz? – Siedzieli nieruchomo, garbiąc się jak wszyscy pasterze i opierając zagięte, długie kije o ramiona.

– Byłem tam, kryjąc się przed żołnierzami, kiedy nadeszli bandyci. – Milczeli, lecz wyczuwał ich niedowierzanie. Musiał przyznać, że brzmiało to mało wiarygodnie, a dla takich jak oni, mało prawdopodobne było jak niemożliwe. Tu mogło pomóc tylko opowiedzenie całej historii, czego zresztą oczekiwali. Przemawiając cicho i rzeczowo opisał całe zajście, od dostrzeżenia pierwszego wartownika po położenie mięty na zwłokach.

– Dobrze, że to zrobiłeś – powiedział najstarszy z owczarzy, kiwając głową. – Było to okazanie szacunku Pani. I właściwe było, że uczyniłeś tak wobec obu stron.

– Mówili, że to byłeś ty? – upewnił się inny.

Gird przytaknął.

– Owszem, z zamiarem wprowadzenia zamieszania zarówno wśród ludzi Gadilona, jak i naszych.

– Poprzedniej zimy słyszeliśmy różne rzeczy. – Najstarszy owczarz poruszył drwa w ognisku. – Słyszeliśmy, że zszedłeś do podziemi. Rozmawiałeś z tym tam... od rogatego kręgu; wiesz, kogo mam na myśli?

– Liarta... – wyszeptał Gird.

– Zgadza się. Nic dobrego. Jego wyznawcy lubią krzywdzić. Nasz pan ma kilku takich na służbie. Słyszeliśmy, że zawarłeś z nim pakt. Tam właśnie byłeś, co? Zgadza się?

– Nie. – Gird zastanawiał się, skąd wzięła się taka plotka: od panów, rozbójników, czy zwyczajnie z czyjejś wyobraźni. – Nie, gościłem u kapristi – gnomów, skalnego ludu.

– Ach. Z tego, co słyszałem, nie są. jego wyznawcą.

– Nie. Wierzą w Najwyższego. Udałem się do nich, żeby nauczyć się prawa – dlaczego prawo panów jest złe i czym można je zastąpić.

Młodszy owczarz splunął.

– Każdy widzi, co jest złego w prawach panów i nie trzeba do tego tułać się po podziemiach.

– Milcz, Dikka. Gird mówi o czymś więcej.

– Jeżeli po zakończeniu wojny będziemy chcieli utrzymać pokój, to potrzebne nam będą sprawiedliwe prawa – tłumaczył Gird, mając nadzieję,

że potrafili sięgnąć myślami tak daleko naprzód. – Większość z nas nie pamięta, jak to było przed nadejściem panów. Teraz mamy mieszanię naszych starych obyczajów z ich prawami, a każdy widzi, że nie ma to żadnego sensu i tutaj masz rację. Ale co z tym zrobić – to zupełnie inna sprawa.

– A ty spoglądasz poza wojnę? Ku pokojowi? Och, to dobrze. – Najstarszy owczarz obrócił się wreszcie do Girda. – Chcesz pokoju, prawda? Nie samej walki?

– Tak jest.

– I poznałeś sprawiedliwe prawa dla nas wszystkich?

Gird potrząsnął głową.

– Wiem, jak można takie prawa obmyślić, lecz wielu z nas będzie musiało nad tym pracować. Może ty również.

– Ja nie, ale z przyjemnością będę myślał, że ktoś to robi. Czyli nie masz nic wspólnego z rogatym łańcuchem?

– Nie – oznajmił zdecydowanie. Wszyscy obrzucili go przeciągłymi spojrzeniami, by w końcu pokiwać głowami.

– Wyglądasz na uczciwego – oznajmił najstarszy owczarz. – Nie przypominasz wyznawców rogatego łańcucha. Powiadam więc... – oczy wszystkich spoczęły na starym – ... że to jest Gird, a nie tamten człowiek, który zatrzymał się u nas dłoń dni temu, utrzymując, że jest Girdem i prosząc nas o pomoc.

– Co?! – Nie wspomnieli o tym wcześniej. Starzec uśmiechnął się, pokazując przerwy między zębami.

– Tak jest... był tutaj inny Gird, gdybyśmy mu uwierzyli, czego nie uczyniliśmy. Wielkie chłopisko, podobne do ciebie. Bardzo dużo się

uśmiechał, pokazując mnóstwo zębów. Mówił, że ma wielką moc – która spłynie na nas, jak się do niego przyłączymy – i że panowie zostaną obaleni i wdeptani w pył. Nasze owce będą tłuste i dostaną złotych pcheł – tak to przedstawiał. Pomyślałbyś, że gadasz z Najwyższym Owczarzem, a nie Panem Tortur.

– I co zrobiliście? – zapytał zaciekawiony Gird. Owczarze roześmiali się.

– Co zrobiliśmy? Jesteśmy tylko starymi, durnymi owczarzami, chłopcze.

Nie mamy głowy do niczego, poza owcami i wełną. Nie zrobisz cebuli z jęczmienia, owcy z myszy, ani żołnierzy z takich jak my, prawda? –

Akcent był tak przesadny, że Gird uśmiechnął się mimo woli;

odpowiedzieli uśmiechami, zadowoleni z jego reakcji. – Chciał założyć

tutaj podwórze. Powiedzieliśmy, że tutaj nijakich podwórek nie ma –

jesteśmy owczarzami, nie rolnikami. Zapytał wtedy, czym jest Farmeet, bo jemu powiedziano, że to podwórze. A my mu na to, że to tylko byle jaka owczarnia: koszara i szopa. Nie był zbyt szczęśliwy, kiedy nas opuszczał.

Gird demonstracyjnie zaniuchał, nawiązując do starego porzekadła o cebulach i jęczmieniu.

– Czuć tutaj cebulą, powiadam... – Wybuchnęli gromkim śmiechem.

– To działa w obie strony – przyznał wiekowy owczarz. – Nie zrobisz cebuli z jęczmienia, ani nie ukryjesz jej przed nikim obdarzonym nosem.

Ale tamci cuchnęli głupotą; nie było sensu spierać się z nimi.

– Ilu ich było? – zapytał Gird. Starzec uniósł dłonie i pokazał nimi dwukrotnie: cztery dłonie ludzi – tyle, ile oczekiwał.

Niewielkie podwórze w Farmeet liczyło tylko dwie dłonie włościan:

sześciu mężczyzn i cztery kobiety. Zapewne całą wojnę spędzą na

wypasaniu i stryżeniu owiec oraz przedzeniu wełny, lecz zdążyli już

dobrze mu się przysłużyć.

Z Farmeet doszedł bezpiecznie do Holnu, dokąd nie dotarły jeszcze rozsiewane przez rozbójników plotki. Za to inne tak. Rozpoczął się konflikt i panowie gromadzili wojska, planując zmiążyć chłopów przed nadejściem lata. Powiedziano Girdowi, że rozpoczną od dominium Kelaive'a i przeczeszą cały wschód, wszystkie ziemie, gdzie mógłby przebywać. Ludzie Girda rozmieścili biegaczy we wszystkich wioskach na południu, którzy czekali na sygnał od niego. Goniec z Holnu wyruszył już do Ivisa i Felisa z wieścią o jego powrocie, a drugi czekał, gdyby chciał wysłać jakąś wiadomość.

On zaś rozpaczliwie pragnął przerwy – kilku dni spokoju, żeby mógł wrócić do swoich podkomendnych i oddać się planowaniu. Rozumiał jednak, że to niemożliwe. Do późna słuchał włościan z Holnu, rozkładał otrzymane od gnomów mapy i wodził palcami wzdłuż linii. Potem przespał kilka godzin i odbył ostatnią naradę, z podwórzem, przestrzegając ich przed bandytami, posługującymi się jego imieniem. Nie miał czasu zostać dłużej i nauczyć ich nowych manewrów, które wpoily mu gnomy; opanują je później, gdy wyruszą w pole. Teraz musiał jak najszybciej dostać się do swoich ludzi.

Choć znał okolice Holnu, z zadowoleniem powitał towarzystwo miejscowego przewodnika, który znał trasy patroli. Na żywopłotach i w lasach pokazywała się pierwsza zieleń, dzikie śliwy okryły się białą pianą kwiecia, a wśród zmiętej trawy pojawiły się maleńkie, różowe kwiatuszki. Wiał zimny, wilgotny wiatr, przynosząc na przemian płatki śniegu, przelotne deszcze i przebłyski słońca. Czuł, jak wszystko rosło, czuł zapach wiosny, od której jagnięta zarzucały ogonki na grzbiety i brykały,

gdy je mijali. Szli przez pastwisko z krowami, pilnowanymi przez pastucha okutanego w skórzaną pelerynę i kulącego się w strugach deszczu, a potem wzdłuż rowu z bystro płynącą wodą, czystą jak lód w wiadrze w środku zimy. Gird sam zacząłby brykać; zachichotał na myśl o rolniku w średnim wieku, od niedawna rebeliancie, który zarzuca sobie ogon na plecy i płasza w wiosennym deszczu.

Tego dnia nie ujrzeli żadnego patrolu, lecz w przerwach między ulewami Girdowi wydało się, że dostrzegł smugę ciemnego dymu na wschodzie. Zapytał przewodnika; ten wzruszył ramionami.

– Ostatniej zimy doszło do wypalania. Słyszeliśmy o całej farmie – stracili każde ziarenko zboża i każdą chmielową szyszkę, a część kamieni popękała. Panowie kazali wszystkim wypalić pola do gołej ziemi, żeby nikt nie mógł się na nich ukrywać. Gdzieniedzie także stogi siana.

Z Holnu udał się do Sawey, gdzie czekał już Felis na podwórzu gospodarza imieniem Ciii. Było ciemno, cicho – z wyjątkiem kapania z dachów – zbyt cicho, jak na wiosenny, wiejski wieczór. Przewodnik doprowadził go do tylnej bramy i zastukał kamykami trzymanymi w kieszeni. Odpowiedziały mu szczęknięcia i brama stanęła otworem. W środku przyjemnie pachniało jedzeniem, krowami, skórą i nasączonym oliwą drewnem. Ujrzał twarze przyjaciół. Uściskali się, klepiąc po ramionach. Niewzruszona posępność gnomów przybladła w pamięci Girda – tu czekali ludzie, których znał, o twarzach ożywionych pasją.

– Nareszcie – rzucił Felis. Pozostali powtórzyli za nim. Gird wziął głęboki wdech. Teraz nie było już odwrotu; nie było go od Norwalku, teraz jednak nie mógł już się wahać. Naprawdę „nareszcie” i musiał zrobić to, po co tutaj przyszedł. Obserwowali go z ulgą, lecz także niepewnością. Mieli

nadzieję, że poradził sobie z tym, co nękało go od Owczarni Norwalku – potrzebowali tego – nie byli jednak pewni, że faktycznie tak się stało.

Przypominali mu chłopców, patrzących na ojca, którego zmienny humor kształtował ich życie. Jestem pewny – powiedział sobie. Uśmiechnął się do nich i na twarzach zgromadzonych pojawiło się odprężenie.

– Nareszcie co? – zapytał Felisa, celowo rozluźniając atmosferę. –

Nareszcie jestem tutaj, żeby rozstrzygnąć spór, albo żebyście mogli powiedzieć mi, że już mnie nie chcecie, czy...

– Przecież wiesz – przerwał mu Felis, pocierając nos. Gird zachodził w głowę, jak o tej porze roku udało się mu go opalić?

– Owszem, nie jestem tylko pewny, czy wy wiecie. Tak: to jest ten rok i tak: zaczynamy. Dziś wieczorem.

Poczuł zmianę, jaka nastąpiła w ciasnej przestrzeni: ulgę, chęć działania i t

– jak zawsze – obawę.

– Mówiłem wam – zawołał z kąta któryś z tutejszych. Gird uśmiechnął się do niego, unosząc brew. Tamten poczerwieniał. – Niektórzy mówili, że powiesz, żeby czekać, jak w zeszłym roku, ale ja wiedziałem. Wiedziałem, że nie straciłeś odwagi.

Felis wpadł mu w słowo. – Tylko paru, Girdzie i żaden z...

– W porządku. – Czuł spokój i lekkość oraz pewność, dokąd zmierzał z tą grupą. – Nie potrafię powiedzieć, dlaczego wydawało mi się, że coś poszło źle. Wiecie, że przemowy nie są moją mocną stroną. Jestem prostym rolnikiem, jak każdy z was. Cieszyłem się jak wszyscy, że wygraliśmy pod Norwalkiem, wiedziałem jednak, że coś było nie tak, a teraz wiem już, co.

– I cóż to takiego? – zapytał wyzywającym tonem Felis. Gird przeciągnął się i oparł wygodnie o narożnik zagrody.

– Słyszeliście o sztuce wojennej gnomów, prawda? – Felis skrzywił się, lecz przytaknął. – Cóż, wiele mnie nauczyli. Pod Norwalkiem mieliśmy szczęście. Musiałem nauczyć się więcej – i dokonałem tego – a dzięki temu wy również szybko to opanujecie. Nawet gnomy uważają, że możemy wygrać.

– Na jaką wymianę wyraziłeś zgodę? – zapytał Ciri, właściciel podwórka.

– Na naszą – moją – przysięgę, że uznamy ich granice i będziemy postępować z nimi sprawiedliwie... – odpowiedziało mu kiwanie głowami i pomruk zgody – oraz pomoc w jednej bitwie: chcą zwabić władców-magów w zasadzkę w miejscu zwanym Wzgórzem Czarnej Kości.

Wywołało to mniej komentarzy, niż oczekiwał. Skoro gnomy oczekiwały ich pomocy, to musiały uznać Girda za dobrego, a to przynosiło szczęście. Gird żywił pewne wątpliwości, lecz nie zamierzał dzielić się nimi. Jeszcze nie teraz.

– Nie zostaliśmy w tych samych obozach – poinformował Girda Felis, po odejściu reszty mężczyzn. Dzielili jedną wiązkę słomy. – Patrole zaczęły zbyt blisko podchodzić. Ivis uznał, że lepiej będzie rozproszyć się po podwórzach. Powiedział, że zaprzyjaźnieni z nim leśnicy uprzedzili go o rajdzie, jaki książę zaplanował w okolicach Śródzimia. Więc odeszliśmy, napomykając wcześniej bandzie rzezimieszków, że w obozach pozostały zapasy. Zajęli je i schwytali ich żołnierze księcia. Rozpoznali w nich z dawna poszukiwanych przestępców, a ich hersztem okazał się ktoś, kogo książę starał się ująć od lat. Mamy nadzieję, że przekona to księcia, iż za rewoltą jego poddanych kryje się jedynie banda leśnych rozbójników. Brat Ivisa zgodził się zeznać w sądzie, że herszt bandy nachodził go i groził. Gird pokręcił głową, na poły w podziwie dla ich przebiegłości, na poły z



troską.

– Nie wszyscy bandyci są tacy naiwni – mruknął i opowiedział Felisowi o bandzie, na którą się natknął.

– I co zrobisz?

– Będę prowadził moją wojnę, a im pozwolę prowadzić ich wojnę. Już niedługo ludzie dostrzegą różnicę. – Opowiedział Felisowi o owczarzach z Farmeet. Ten zachichotał.

– Wszyscy uważają rolników za głupców, a już owczarzy za najgłupszych ze wszystkich – tak panowie, jak i zbóje. Powiedz mi jednak, na czym ma polegać „twoja wojna” – jak będziemy walczyć, kiedy i gdzie?

– I czy widziałem samych bogów, a podziemia wybrukowane są złotem i mają kryształowe ściany? Chcesz wszystkich odpowiedzi na raz? Po ciemku? – Leżący obok Felis wydał z siebie ni to prychnięcie, ni westchnienie. Gird ustąpił. – No dobrze. Słyszałem, że panowie zwołali armię i zamierzają rozpocząć porządki od ziem Kelaive'a na wschodzie. Zbierzemy wszystkie podwórza na wschód od Płycizn i udamy się na północ – na razie oddalając się od nich – ku Drodze Rzecznej.

– Dlaczego?

– Nawet, gdybyśmy tutaj wygrali, nadal pozostaniemy uwięzieni pomiędzy południowym szlakiem handlowym – Drogą Rzeczną – a traktem pomiędzy Finyathą a Ierin. Ich zapasy będą mogły swobodnie przepływać; nasze nie. Jeśli przetniemy Drogę Rzeczną, odetniemy Finyathę od Verelli w Tsaia...

– Tsaia! Nie myślisz chyba tam wojować...

– Król Tsaia jest spokrewniony z naszym. Gnomy mówią, że tam sprawy mają się równie kiepsko. Nasze podwórza na wschodzie meldowały o

zainteresowaniu ze strony wsi położonych w Tsaia.

– Ale ja nie wiem nawet, gdzie jest Tsaia, oprócz tego, że gdzieś na wschodzie.

Gird uśmiechnął się w ciemnościach; w głosie Felisa słychać było urazę i obawę. To dobrze.

– Dowiesz się, jak tam dotrzemy. A oto, co musimy zrobić, żeby zwyciężyć w Finaarenis. Musimy być w stanie samodzielnie się wyżywić i uzyskać kontrolę nad dostawami żywności, co oznacza bezpieczne drogi, ochronę dla rolników i części miast.

– Mówisz... inaczej... – Znów ta niepewność w głosie.

– W pewnym sensie jestem inny. Jest zupełnie inaczej, niż nam się wydawało. To coś więcej, niż skrzyknięcie trzech – czterech podwórek, by zaatakować niewielkie siły nieprzyjaciół. Panowie mają przeszkolonych i dobrze uzbrojonych żołnierzy – spichlerze pełne zapasów, kontrolują miasta, szlaki i – bądźmy szczerzy – większość prowincji. Powinniśmy mieć więcej włościan, ale wiesz, jak to jest – jeśli będzie wyglądało, że przegrywamy, część z nich wróci do domów i zapomną, że w ogóle o nas słyszeli. Naszym ludziom brak jest doświadczenia, a nasza broń... Och, przypomniało mi się. Tutaj również zajdą zmiany.

Felis obrócił się na bok; słoma zaszeleściła.

– W porządku. Przekonałeś mnie. Wróciłeś gotowy poprowadzić nas ku chwale, przepelniony nowymi pomysłami, jak w dniu, gdy po raz pierwszy zjawiał się w moim obozie. Jeśli jednak nie dotknęli cię bogowie, wciąż potrzebujesz snu. Ja również.

## Rozdział 21

W niecałą dłoń dni Gird stanął na czele swej pierwszej armii: podwórek z Płyczin, jego własnej wsi, Ognistego Dębu, Białego Drzewa, Brony, Holnu oraz pierwszych dwóch grup Kamiennego Kręgu. W świetle zdobytych u gnomów doświadczeń ich „równy” szereg wyglądał na pokrzywiony, a marsz przypominał podskoki kozła wzdłuż ścieżki. Na razie jednak zachował te opinie dla siebie. Stali przed nim śmiali, spłoszeni, nerwowi, pewni siebie – w każdym możliwym nastroju, jakiego tylko oczekiwał. Zgodnie z poleceniem, zabrali ze sobą prowiant: worki ziarna i fasoli, cebuli i lebiody, nawet paski suszonego mięsa.

Nie spodziewał się za to bezładnej grupy uciekinierów, którzy z nimi przyszli. Jego wieś stawiała się cała – wszyscy byli przekonani, że umrze każdy, kto zostanie. Przecież powszechnie wiadomo było, skąd pochodził Gird, a Kelaive nigdy nie ociągał się z odwetem. Z tych samych przyczyn za swymi włościanami pociągnęła większość mieszkańców Płyczin i Ognistego Dębu.

Tak więc, oprócz włościan, Gird musiał martwić się o pozostałych: dzieci, ciężarne i starców, którzy z ledwością drobili. Nie mieli pojęcia o obozowej dyscyplinie. Musiał podwoić, a potem potroić liczbę kloak, a dym z ognisk jednoznacznie wskazywał ich położenie. Po kilku dniach bez znaczących wydarzeń najstarsi i najmłodszy zaczęli traktować wyprawę jak święta – wiosna, a tu nic nie trzeba było robić. Dziadkowie i babcie siadali i gwarzyli, dzieciarnia dokazywała, matki ozdabiały każdy krzak praniem. Większość młodych chciała dołączyć do podwórek – lepiej późno niż wcale – lecz Gird przyjął tylko jedną trzecią ochotników. Resztę

przydzielił do grup zadaniowych, a Pidi (dochodzący już do swego wzrostu) miał nauczyć ich zbierania żywności i umiejętności obozowych. Nie nadają za maszerującą armią, lecz nie znał bezpiecznego miejsca, do którego mógłby ich odesłać. Będą musieli dać z siebie wszystko.

We wszystkich podwórzach wymienił najróżniejsze narzędzia rolnicze na długie kije i hauki. Narzędzia powędrowały do nie biorących udziału w walce towarzyszy podróży wraz z kilkugodzinnym przeszkoleniem w używaniu ich. Jak tylko wszystkie jednostki otrzymały takie same, długie kije, musztra zaczęła przypominać manewry regularnej armii. Gird wyobrażał sobie twarde i solidne stalowe szpikulce na czubkach kosturów, na razie jednak musieli zadowolić się zaostrzonym drewnem, co było rozwiązaniem kiepskim, za to tanim i łatwo dostępnym. Wyobrażał też sobie więcej ćwiczeń, lecz czasu mieli tyle samo, co stali.

Dysponował za to zastępem sprawnych szpiegów. Kiedy tylko nieprzyjacielska armia wyruszyła z Finyathy, biegacze przekazali wiadomość od jednej wsi do drugiej. Po kilku dniach Gird dowiedział się o wojsku, które wciąż jeszcze przebywało wiele dni na północ od Płycizn.

– Czemu nie wyruszymy natychmiast! – pytali Girda Ivis i Felis. Ten postukał tylko w mapę od gnomów.

– Nie możemy być pewni, że nie otrzymują informacji w taki sam sposób, jak my.

– Ale nikt nie doniósłby panom na nas... żaden gospodarz...

– Pomyśl, Felisie. Spalili Jagodopłot, prawda? Wyłapali ocalałych, poturbowali... myślisz, że nie wiedzieli o tamtejszym podwórzku? Ostatniej zimy puścili z dymem trzy kolejne wsie, za każdym razem biorąc jeńców. Część włościan uciekła, część nie. Część schwytanych powie wszystko, co

wiedzą – z bólu, strachu, w nadziei na ocalenie dziecka... czegokolwiek. Większość naszych ludzi chce wolności, lecz wielu boi się – i powinni. Część z tych przerażonych pomoże panom ze zwykłego strachu.

– Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego...

– Pomyśl. Gdyby dowiedzieli się, że idziemy na północ, najprawdopodobniej zawróciliby i podążyli za nami. Dopadliby nas podczas marszu, nim dotarlibyśmy do Drogi Rzecznej. Nie znam całego kraju; muszę go zobaczyć, żeby wybrać najlepsze pole bitwy, kiedy wrócimy, aby walczyć.

– Tego też nauczyły cię gnomy?

– Owszem. – Podniósł wzrok i w oczach Felisa ujrzał nadąsanie. Ivis był zwyczajnie zdezorientowany. – Felisie, z przyjemnością nauczę cię wszystkiego, co wpoły mi gnomy – nauczę was wszystkich – teraz jednak nie mam na to czasu. Kiedy armia przeprawi się przez niższy bród, mało prawdopodobne, aby zawrócili przed dotarciem do Płycizn. Wiosną potok jest rwący i głęboki. To da nam czas, żeby oddalić się od nich, zanim zawrócą, a jeżeli dopisze nam szczęście, pomaszerują dalej, do mojej starej wsi, by uzyskać informacje od tamtejszego zarządcy.

– Co z czarami panów? – zapytał Cob. – Dowiedziałeś się czegoś o nich? Czy są prawdziwe i czego potrafią dokonać?

– Są prawdziwe. – Gird oburącz przeczesał włosy. Wolałby nie usłyszeć tego pytania. Następne będzie dotyczyło metod przeciwdziałania magii, a takowe nie istniały. – Wielu z nich utraciło moc – może dlatego zmienili się na gorsze. Bez magii boją się utraty władzy. Lecz innym zostało jej wystarczająco wiele – potrafią wywoływać światło, rozpętywać burze, zmuszać ludzi do posłuszeństwa, zmieniać twarze...

– Jesteś pewny?

– Tak. Na szczęście dla nas większość już tego nie potrafi. Będziemy walczyć z żołnierzami, którzy tak samo mogą rzucać czary, jak my.

– I mają lepszą broń – mruknął posępnie Cob.

– Lepszą do walki z nieuzbrojonymi wieśniakami. Pamiętajcie, że większość z nich siedziała w jednym miejscu, strzegąc jakiejś pańskiej posiadłości. Doświadczeni to ci, którzy walczyli z konnymi nomadami, ale nie z uzbrojonymi w piki piechurami. Służą różnym panom, będą dowodzeni przez kilku dowódców, nie są przyzwyczajeni do wspólnych manewrów. My tak.

Armia panów postąpiła dokładnie tak, jak przewidział Gird. Maszerowali niespiesznie traktem handlowym z Finyathy do Ierin, zaczęli na kontyngent zbrojnych z tego miasta, po czym zakręcili na południowy wschód i wzdłuż zachodniego brzegu Modrego dotarli do Płyczn.

Szpiedzy powiadomili go, że po przeprawie przez strumień spalili opuszczoną wioskę i zatrzymali się, by świętować zwycięstwo.

Przypuszczalnie nieprzyjacielskie siły liczyły teraz trzystu żołnierzy i tyle samo służby, przewodników, tragarzy i innych. W żadnym razie nie były to wszystkie siły, którymi dysponowali panowie. Krążyły pogłoski o tym, że książę Ivisa wyruszył na czele swej osobistej gwardii – setki zbrojnych, z których część dopiero co wróciła ze służby na północnej granicy.

Do tego czasu armia Girda wyruszyła. Oryginalny skład Kamiennego Kręgu liczył około pięćdziesięciu żołnierzy – najtwardszych i najlepiej wyszkolonych. Podwórza liczyły łącznie ponad setkę włościan, a świeżo przyjętych – najtwardszych spośród uchodźców – było około sześćdziesięciu. Do tego dochodzili pozostali uciekinierzy, z których część

była zdolna do walki, a przynajmniej do zadania choćby jednego ciosu – tych było ponad dwustu.

Marsz tak różnorodnej grupy sprawiał więcej kłopotów, niżli Gird oczekiwał. I on, i członkowie Kamiennego Kręgu przywykli już do podróży, za to wielu innych do tej pory nie opuszczało rodzinnych wsi. Nie znali się na mapach, a im bardziej oddalali się od znanych terenów, tym bardziej stawali się nerwowi i nieszczęśliwi. Część najstarszych zwyczajnie zatrzymywała się, odmawiając dalszej wędrówki. Gird miał wrażenie, że przez pierwszych kilka dni zajęty był wyłącznie przekonywaniem czyjegoś ojca lub czyjejś matki do dalszego marszu. „Ani kroku dalej!” wypaliło się mu w pamięci na równi z „Ile razy ci mówiłam!”, adresowanym do płaczącego dziecka.

Nie tak to sobie planował. Było zupełnie inaczej, niż radziły mu gnomy. Ale co mógł zrobić? Byli jego ludem; musiał zatroszczyć się o nich. Prowadził ich możliwie najbezpieczniejszymi drogami, omijając wioski, w których stacjonowali żołnierze. Nie był w stanie ukryć przemarszu tak licznej grupy, lecz większość gospodarzy nie zadenuncjuje ich. Bardziej martwili go ci nieliczni, którzy byli do tego zdolni.

\* \* \*

Gird przechadzał się nerwowo tam i z powrotem. Trudniej było ukryć obóz dla trzystu ludzi, niż dla pięćdziesięciu. Przy wiejącym z odpowiedniej strony wietrze smród wychodków czuć było na drodze, a nie potrafił przekonać swych włościan-komendantów, że byle sierżant straży domyśli się, co ten zapach oznaczał. Nie kopali wystarczająco głębokich rowów, a

korzystający z nich nie zasypywali ich po sobie ziemią. A co do ognisk... obejrzał się przez ramię na unoszące się ku listowiu pasemka dymu. Przynajmniej mieli tutaj drzewa i coś do ugotowania. Pamiętał czasy, gdy nie mieli niczego. Okoliczni gospodarze byli hojni, choć ciężko było przekonać ich do pozostania i uprawiania roli, kiedy ujawniało się ich podwórze. Chcieli walczyć, a nie orać, siać i zbierać. On sam z przyjemnością zamieniłby się z nimi miejscami, lecz nikt by mu nie uwierzył. Przez chwilę czuł kosę w dłoniach, cudowne, szerokie zamachy i wgryzanie się noża w dojrzałą pszenicę. Lecz to była przeszłość; teraz musiał zająć się obozem.

– Girdzie? – Raheli podeszła do niego ciszej, niż on kiedykolwiek zdoła. W półmroku zmierzchu blizna na jej twarzy była jeszcze bielsza.

– Co, dziewczyno? – Zawsze będzie jego dziewczynką, niemowlęciem tulonym na rękach tuż po narodzinach, roześmianym dziewczęciem, zatykającym kwiaty na murze i tańczącym z ukochanym w blasku księżycy... dziewczyną, której nie zdołał obronić. Nie potrafił przed tym uciec.

– Przybiegł goniec. W pobliżu są kłopoty.

– Jak poważne?

– Spalone obejście; wszędzie kręcą się żołnierze.

– Jeden z nas?

– Nie powiedzieli. Był na spotkaniu w Białym Brodzie i dostarczał żywność lokalnemu podwórzcu, lecz nie ćwiczył z nimi. Mówi się, że to pański bękart, który dzięki temu otrzymał gospodarstwo.

Gird odchrząknął. Znowu zazdrośni wieśniacy.

– Nie jego wina, nawet jeśli to prawda. Rodzina?



– Młoda żona, dwójka dzieci. Spokojny człowiek. Ciężko pracujący, lecz trzymający się na uboczu.

Gird interpretował to po swojemu. Jeżeli wsi nie spodobał się sposób, w jaki otrzymał gospodarstwo, to mogli utrudniać mu życie. Taki człowiek miał dobre powody, by trzymać się własnego paleniska. Czyżby żołnierze uznali jego odosobnienie za wyraz buntu?

– Co z nim i jego rodziną?

Raheli pokręciła głową.

– Jeszcze nie wiem. Żołnierze prowadzą drogą dwójkę, ale wyglądającą na kobietę i dziewczynkę. – Głos jej zadrzał; Gird wiedział, że jemu też by zadrzał.

– W takim razie zabili go – dopowiedział chropawym głosem. – W przeciwnym razie zabraliby i jego. – Żeby patrzył na własną hańbę. On sam czuł ten wstyd i wściekłość za każdym razem, gdy o tym myślał. Odwrócił się, mruganiem otrząsając łzy. – Cóż... musimy zwiększyć czujność; nic więcej nie możemy zrobić.

Przed świtem wartownik natknął się na łkającego człowieka, czołgającego się przez las. Zamiast zabić intruza na miejscu, zawlókł go do obozu. Gird wracał właśnie z wygódki, marząc jedynie o spokojnym spożyciu czegoś gorącego, gdy usłyszał poruszenie, wywołane zameldowaniem się strażnika u komendanta odpowiedzialnego za nocne warty.

– O co chodzi? – zapytał, podchodząc bliżej. Jeńcem wartownika okazał się szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, cuchnący dymem i spalonym drewnem. Stał przygarbiony i drżący, przyciskając dłonie do piersi.

– Mówi, że jest gospodarzem ze spalonego obejścia – odparł strażnik. – Mówi, że pobili go i spalili dłonie.

– Podejdźcie do ognia – nakazał Gird. Wartownik i komendant pomogli mężczyźnie, który chwiały się, jakby miał zaraz upaść. Posadzili go przy jednym z ognisk, na którym gotowała się poranna strawa. Blask płomieni ukazał oblicze o wydatnych kościach policzkowych, umazane sadzą i popiołem. Policzek przecinała pręga oparzeliny, jedno oko zakrywała opuchlizna. Pokazał im dłonie. Wnętrza pokryte były oparzeniami, jak gdyby ktoś siłą przycisnął je do gorącego garnka. Jeden rękaw koszuli był spalony; spod spodu wyzierała czerwona linia oparzenia.

– Musisz się napić – uznał Gird. Kucharz przeszedł na drugą stronę ogniska. Gird sięgnął po łyżkę, by nalać mu naparu i zatrzymał się. – Masz poparzone usta? Może lepsza byłaby chłodna woda?

– Woda – wyszeptał słabym głosem nieznajomy. Nim Gird zdążył się podnieść, kucharz zakręcił się i szybko wrócił z wiadrem zimnej wody ze strumienia. Gird uniósł pełną łyżkę do ust mężczyzny. Ten hałaśliwie wciągnął płyn, przetykając tak łapczywie, że omal się nie zachłysnął.

– Spokojnie. Mamy jej mnóstwo. – Gird zaczerpnął kolejną łyżkę i zerknął na kucharza. – Gdzie jest Rahi? Będziemy potrzebować dobrej maści na jego oparzenia. – Kucharz kiwnął głową, zamieszał owsiankę i poszedł. Gdy obcy dokończył drugą łyżkę, kręceniem głowy odmówił kolejnej.

– Dziękuję... – powiedział. Łzy wyłobily kanaliki w brudzie pokrywającym policzki, błyszcząc w blasku płomieni. – Ja... myślałem...

– Jesteś bezpieczny – zapewnił go Gird. Nie była to tak do końca prawda, niemniej, był bezpieczniejszy tutaj, niż tam, skąd przyszedł. – Jak się nazywasz?

– Selamis. – Niezwykle imię, jak na gospodarza, pomyślał Gird, lecz Rahi wspominała, że mógł być bękartem pana. Niektórzy z nich mieli dziwne

imiona. Mężczyzna poruszał przez chwile ustami, nim dopowiedział: – To nie jest tutejsze imię. Nie jestem stąd.

– To nie imię człowieka jest ważne – oznajmił Gird. – Selamis jest równie dobre, jak każde inne. Jestem Gird. To jest Jenis, a to Arvi. – Wykręcił szyję. – A to kucharz, Pirik. Jak uciekłeś?

Selamis skrzywił się.

– Tunelem... wy... twoi ludzie z Białego Brodu mówili, że każdy z nas musi mieć jakąś drogę ucieczki: tunel albo dziurę. Wykopałem taki w szopie na drewno, tuż pod murem podwórka. Niezbyt duży. Wrzucili mnie do szopy po tym, jak... skończyli... i powiedzieli, że rano zabiorą mnie na dwór księcia. Więc... udało się mi odsunąć polana, podnieść klapę...

– Tymi spalonymi rękoma? Dzielny z ciebie człowiek. – Gird rozprostował własne dłonie, wyobrażając sobie, jak musiało boleć poruszenie czegokolwiek.

Nadeszła Rahi z torbą ziół i kawałkiem słoniny.

– Umyj go – poleciła Girdowi. Skinął głową i zaczerpnął miską wody z wiadra. Podczas, gdy Rahi ucierała tłuszcz z ziołami na maść, Gird delikatnie obmył Selamisowi dłonie, ramiona i twarz. Mężczyzna krzywił się, lecz nie krzyczał. Rahi posmarowała oparzenia maścią i owinęła dłonie czystymi szmatkami. – Będzie bolało – ostrzegła. – Boli wszystko, co dotyka oparzeń, nawet powietrze. Lecz opatrunek utrzyma je w czystości i pozwoli na zagojenie.

Po opatrzeniu Gird i dowódca nocnej straży, Arvi, zaprowadzili Selamisa do ubikacji, a potem posadzili na kocu. Świtało. Było wystarczająco jasno, by móc dostrzec bledszą linię wokół jego ust, oznakę bólu i szoku. Gird kazał jednemu z włościan nie spuszczać go z oka; on sam miał mnóstwo

roboty. Na poły spodziewał się, że żołnierze, którzy spalili obejście tamtego, będą go szukać, lecz zwiadowcy donieśli mu, że wszyscy zbrojni powrócili do najbliższego miasteczka.

Wrócił do Selamisa dopiero po południu. Mężczyzna drzemał niespokojnie, drżąc i rzucając się pod kocem. Wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, jakby spierał się z kimś, po czym krzyknął i obudził się. W oczach miał łzy. Gird przykucnął przy nim i położył mu dłoń na ramieniu.

– Ból czy troska?

– To... okropnie boli.

– Tak. Przepraszam, ale nie mieliśmy niczego lepszego. Jesteś głodny?

Przynieść ci wody? – Mężczyzna kiwnięciem głowy poprosił o wodę. Gird przyniósł mu ją, po czym podniósł go, by mógł się napić. Następnie delikatnie ułożył go na ziemi.

– Ilu masz tutaj ludzi? – zapytał Selamis, rozglądając się dokoła. Gird zamrugnął w zadumie.

– Och... dwie – trzy setki, może trochę więcej. Zależy. Zaskoczyło cię to?

– Myślałem, że... w każdym podwórzu jest po parę osób...

– Jedne podwórza są małe i liczą nie więcej, niż dwie-trzy dłonie ludzi.

Mamy też większe. Ale ty nie należałeś do podwórka.

– Nie. Nie lubili mnie zbyt. – Miał dziwny wyraz twarzy; Gird uznałby to za minę rozkapryszzonego dzieciaka, gdyby nie fakt, że mężczyzna był za stary i pracował zbyt ciężko, by być rozpuszczonym dzieckiem.

– Plotki głoszą, że jesteś nieślubnym synem pana. – Obserwował go pilnie, czekając na reakcję i doczekał się. Oblicze Selamisa zamknęło się, rysy stwardniały, a ciepłe, brązowe oczy zamieniły się w ścięte mrozem błoto.

– Nie pozwolisz mi zostać?

– Niby czemu? Bardziej interesuje mnie uczciwość i odwaga, niż krew.

Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. – Zaskoczył go tym; Gird znowu zaczął zastanawiać się, przez co tamten przeszedł.

– Mój... mój dobroczyńca przyznał mi to gospodarstwo – rzucił pospiesznie Selamis. – Nie miałem nic wspólnego z eksmisją starej Kerith; wziąłbym ją do siebie, ale nie zgodziłaby się...

– Nie obwiniam cię – zapewnił go Gird. Za to inni pewnie tak i dlatego Selamis nadal czuł, że powinien się tłumaczyć. Był w stanie uwierzyć, że tamtejsze podwórze unikało mężczyzny, choć było to niesprawiedliwe.

Lecz niesprawiedliwość płynąca z góry sprawiała, że wszyscy tak postępowali. – Tutaj spotka cię zaufanie, na jakie zasługujesz – jeżeli będziesz uczciwy i odważny, znajdziesz tu lojalnych przyjaciół, którzy nie dbają o to, kto był twoim ojcem... albo matką, jeśli już o to chodzi.

Doznałeś krzywd zarówno od pana, jak i gospodarzy, więc może trudno ci w to uwierzyć, ale tak właśnie jest.

– Ty pochodzisz z chłopów?

Gird roześmiał się.

– Jak daleko sięgnę pamięcią i wiedzą. Gospodarz z gospodarza, wszyscy urodzeni do orania, siania, zbierania i hodowania bydła.

– Ale mówią o tobie, że jesteś wielkim generałem – zauważył Selamis. Coś tu zabrzmiało fałszywie; Gird przyglądał się mu dłuższą chwilę, nie ustalił jednak, co go zaniepokoiło. Znowu wybuchnął śmiechem.

– Nie jestem wielkim generałem, chłopcze. Wiem, jak zrobić kilka rzeczy dobrze i staram się tego trzymać. Przeżyjemy tak długo, jak długo wszystko będzie dobrze działało. Do tej pory bogowie nam sprzyjali.

– Wierzysz, że obchodzi ich, kto wygra wojnę tutaj, na dole?

– A ty nie? – Gird obrzucił go spojrzeniem od góry do dołu. – Nie uważasz, że bogowie przydali ci odrobiny siły, żebyś mógł podnieść klapę poparzonymi rękoma? Nie sądzisz, że ukryli cię przed żołnierzami, gdy szedłeś tutaj nocą... że to oni doprowadzili cię do naszego obozu?

Powiedziałbym, że jak dotąd mocno ci sprzyjali...

– Ale moja rodzina...

Gird położył mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam. Ostatnie, co teraz potrzebujesz, to strofowanie. Wciąż jesteś słaby po tym, co się wydarzyło. W podobnej sytuacji sam niejednokrotnie przeklinałem bogów. – Poklepał mężczyznę po ramieniu i wstał. Z każdym dniem kolana coraz bardziej mu sztywniały. –

Porozmawiamy jeszcze, ale teraz wypocznij.

Odszedł kilka kroków, gdy Selamis zawołał:

– Girdzie... – Zawołany obejrzał się. Oblicze mężczyzny zbladło; zaczął się trząść.

– Co się stało? – zapytał, wracając do niego.

– Nie... nie mogę... – Selamis gwałtownie kręcił głową.

– Nie możesz co?

– Nie mogę cię okłamywać! – Zabrzmiało to na tyle głośno, by ściągnąć powszechną uwagę. Gird potoczył ciężkim wzrokiem po obracających się ku nim twarzach. Wszyscy pospiesznie wrócili do swoich zajęć, lecz wiedział, że i tak ich słuchali. Usiadł ciężko naprzeciwko Selamisa.

– Co tym razem? – zapytał tonem, którym zawsze wydobywał prawdę ze swoich dzieci. Selamis zaniósł się chrapliwym łkaniem człowieka nienawykłego do płaczu. – Spokojnie. Powiedz, w czym mnie okłamałeś?

– Przysłali mnie – powiedział mężczyzna tak cicho, że Gird ledwo go usłyszał wśród łkania. – Przysłali.

– Kto? Żołnierze? – Selamis przytaknął. Gird przygryzł wargę, walcząc z ogarniającym go gniewem. Odwrócił wzrok – bał się tego, co Selamis mógłby wyczytać z jego twarzy. – Przysłali cię na przespiewki? Żebyś nas zdradził?

– Tak – dobiegło go równie ciche potwierdzenie, pełne strachu i żalu. Gird czekał, przyglądając się paznokciom, aż Selamis podjął wyznanie. – Oni... zabili mojego syna. Powiedzieli, że... będą trzymać moją żonę i córkę... w więzieniu... a jeśli nie wrócę, to oni je...

– Wyobrażam sobie – mruknął Gird. We własnym głosie usłyszał stal. Po zamknięciu oczu widział ich wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci wziętych jako zakładnicy przez minione lata – bitych, gwałconych, torturowanych i mordowanych... Otworzył oczy i wpatrzył się w liście, leżące na ziemi obok jego kolan. – Czemu ty?

– Ponieważ jestem synem pana – odrzekł gorzko Selamis. – On... umieścił mnie tam, gdzie wszyscy mnie nienawidzili. Wiedział, że nie zdobędę przyjaciół i nie będzie nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić. Powiedzieli, że jestem to winny swojemu ojcu i że w nim moja jedyna nadzieja. Gdyby poprosił mnie jak syna, zrobiłbym dla niego wszystko, lecz oni zmusili mnie...

– A twoje ręce? Miały pomóc nas przekonać?

Selamis potrząsnął głową.

– Nie. To kapitan straży; znał mnie jako chłopca. Jak powiedział, to tylko dla przypomnienia, co mógł mi zrobić. Jest jednym z nich – od rogatego kręgu... – Znow potrząsnął głową. – Nie mogę... nie mogę tego znieść... co

oni jej zrobią... mojej córeczce... ale nie mogę cię okłamywać... Co ja mam zrobić? – Gird przyciągnął go i objął ramionami. Jedyne, co można było zrobić, to przetrwać i Selamis z pewnością o tym wiedział. Mimo to ból, jaki czuł, był taki sam, jak ból Girda, kiedy znalazł Rahi... po śmierci Amisa... w trakcie tortur Merisa. Tulił Selamisa z całą miłością, jaką czuł do nich wszystkich, do wszystkich cierpiących i ich bliskich.

– Wszystko w porządku – powiedział, jak zwykle doskonale wiedząc, że wcale tak nie było. Jeszcze nie. To była pociecha, ale i obietnica zarazem. Pewnego dnia wszystko będzie dobrze; on sprawi, że na świecie nie będzie dochodziło do takich rzeczy... a nawet jeśli, to znajdą się tacy, którym będzie zależało i postarają się to zmienić.

– Ale moja córeczka, moja maleńka! Muszę iść, nie mogę...

– Nie możesz pójść. Jesteś ranny. A teraz nie możesz nas zdradzić i wcale tego nie chcesz. Chcesz uratować dziecko, jak każdy ojciec. Ja też tego chciałem, ale zawiodłem. Nie będę cię okłamywał, Selamisie. Twoje dziecko może umrzeć i to straszną śmiercią. Nie mogę niczego obiecać. Lecz możesz mi pomóc w uczynieniu tej krainy lepszą. – Mężczyzna wciąż łkał, choć już nie tak szaleńczo. Kiedy wreszcie się uspokoił, Gird delikatnie położył go na ziemi. – Jesteś dzielnym człowiekiem, Selamisie. Dzielnym, skoro tutaj przyszedłeś, dzielnym, skoro mi powiedziałeś... i wystarczająco dzielnym, żeby ponieść tego konsekwencje. – Zostawił go, nakazując jednej z uzdrowicielek, by nie spuszczała z niego oka. Spojrzała na Girda, jakby potrafiła dostrzec płonącą w jego sercu wściekłość, lecz nic nie powiedziała. Był jej za to wdzięczny.

Natomiast nie był wdzięczny swym komendantom za czujność. Otoczyli go, zanim doszedł do ogniska, by wziąć sobie kolację.



– Jesteś pewny, że można mu zaufać? – zapytał Felis. – Słyszałem, że został nasłany...

– Sam mi o tym powiedział – odrzekł Gird. – A to już coś znaczy.

– Mógł myśleć, że usłyszeliśmy co nieco od mieszkańców jego wsi.

– A usłyszeliśmy?

Felis skrzywił się.

– Nie. Ale mogliśmy. Nie był lubiany.

– Nie lubiano go, gdyż był synem jakiegoś pana, który sprezentował mu gospodarstwo. Wyrzucono jednego z nich. Nie jego wina. Nie należał do lokalnego podwórza, bo go nie chcieli, ale dawał im żywność. Uwięzili mu żonę i córkę, a jemu zagrozili tym, czego można się spodziewać, gdyby nas nie zdradził. Sam mi o tym powiedział. Osobiście. Szpiedzy postępują inaczej.

– Owszem, o ile wyznał ci wszystko – odparował Felis. Stojący za nim Ivis i Cob milczeli, lecz w ich oczach ujrzał poparcie dla słów komendanta.

Przekorna determinacja Girda, by Felis się mylił, rozwiała jego własne wątpliwości.

– Będziemy go obserwować, aleja twierdzę, że jest uczciwy i możemy mu ufać. Czy mamy popełniać te same błędy, co oni? To serce dyktuje człowiekowi, kim jest, nie krew ojca. Ludzie to nie krowy.

– Nie, ale niektórzy z nich to lisy. – Felis odszedł, stąpając ciężko i potrząsając ogniście rudą czupryną. Ivis i Cob wybuchnęli śmiechem.

– Może mieć rację – orzekł Ivis, rzucając na ziemię worek fasoli. –

Najlepszy sposób, żeby przekonać nas do swojej uczciwości, to przyznać się do czegoś. Sam tak robiłem jako chłopak.

– A co, jeżeli jest uczciwy? Jak ma zachowywać się uczciwy człowiek? – Ivis wzruszył ramionami i nie kontynuował tematu. Następnego dnia Selamis był już zdolny do marszu. Rahi orzekła, że minie wiele dni, zanim będzie w stanie używać rąk.

Maszerowali pomiędzy dominium księcia Ivisa, a wschodnimi ziemiami hrabiego. Idąc dalej na północ, wkroczyliby na tereny uratowanego przez Girda władcy. Choć ich marszrutę przecinały pasma wzgórz, istniały między nimi przerwy – szlaki znane pasterzom, myśliwym i leśnikom. Otaczali ich wywiadowcy Girda, którzy od kilku dni nie natykali się na nikogo, z wyjątkiem ich własnych ludzi.

Późnym rankiem, czwartego dnia poprzedzający armię zwiadowcy zameldowali, że najbliższą północną przełęcz blokują żołnierze. Gird zatrzymał obszarpaną kolumnę i zamyślił się. Mogli skrócić na zachód i ruszyć pomiędzy dwoma pasmami wzgórz ku następnemu przejściu... lecz oznaczałoby to rozciągnięcie kolumny wzdłuż strumienia. W tych okolicach były to ziemie uprawne. Stratują młode zboża, które być może chcieliby zjeść zimą... Poza tym, będzie ich doskonale widać ze wzgórz po obu stronach. W dole strumienia, na zachód stąd, znajdowała się spora wieś ze stałym garnizonem straży. Czyżby blokada przełęczy miała wpędzić ich w pułapkę?

– Ilu ich tam jest? – zapytał zwiadowców.

Palce zawirowały.

– Dwie dłonie. Czterech na widoku, reszta wśród drzew po obu stronach.

– Widzieli was?

– Nie... nie sądzę. – Zwiadowcy wymienili potwierdzające spojrzenia i kontynuowali: – Jeden z nich narzekał na nudę. Kazano im strzec

przełęczy – wszystkich – nie uważali jednak, żeby ktokolwiek miał tamtędy przechodzić, skoro w dole strumienia jest porządny most. Dwie dłonie strażników dobrze rozmieszczonych w ciasnym przejściu. Zgiełk bitwy ściągnie następnych, co zapewne było zaplanowane. W Nad Mostem znajdowało się podwórze, którego Gird jeszcze nie wezwał. Zwiadowcy meldowali, że gospodarze z Nad Mostem normalnie pracowali w polu. Gird rozejrzał się. Wszyscy patrzyli na niego, czekając na decyzję. Im dłużej będzie zwlekał, tym staną się bardziej nerwowi... i wcześniej czy później zgubi się jakieś dziecko, a jego płacz ujawni ich położenie.

– Sześć dłoni – powiedział. Wskazał na Felisa i Coba. – Po trzy od każdego z was. Ivisie, trzymaj cztery dłonie w odwodzie, w razie potrzeby gotowe do przyjścia nam z pomocą. Reszta ma być gotowa do szybkiego przekroczenia przełęczy. Jeżeli dojdzie do prawdziwej walki – jeśli w ukryciu czai się więcej żołnierzy, niż doliczyli się zwiadowcy – otrzymają posiłki z góry i z dołu strumienia. Nie zaszkodzi nam to, o ile będziemy wiedzieć o ich nadejściu i zdążymy zająć wyższą pozycję od nich. – Ułożył na ziemi kamyki, by zademonstrować, o co mu chodziło. – Jeżeli naprawdę pójdą za nami, pozwólcie im wejść do wąwozu i zaatakujcie ich. Nie przekraczajcie wody, zanim wszyscy nie znikniemy wam z oczu. Jeżeli nas dostrzegą, to wolałbym, by uznali, że jesteśmy jedynym problemem, jaki mają.

Sześć dłoni ludzi – trzy spośród banitów z pierwotnego Kamiennego Kręgu, pozostałe z podwórza Ognistego Dębu – ruszyło za Girdem i zwiadowcami. Gęsiego, idąc najciszej, jak potrafili, przekroczyli bystrą rzeczkę powyżej przełęczy, korzystając ze zwężenia, gdzie las niemal stykał się nad brzegami. Następnie wspięli się na zbocze, mając nadzieję

okrzyżać zasadzkę. Gird wcale nie był pewny, czy to się uda; on sam spodziewałby się takiego manewru. Jeśli jednak strażnicy oczekiwali nieoświeconych chłopów, mogli nie postawić wartownika na szczycie wzgórza.

Niemal zadziało. Gird zauważył wartownika na chwilę przed tym, nim ten zobaczył ich i krzyknął. Odpowiedziały mu okrzyki i tupot nóg. Gird zatrzymał swoją grupę. Możliwe, że wartownik nie zobaczył wszystkich, a za chwilę dowie się, gdzie znajdowali się pozostali strażnicy.

– Hej, ty! Wyłaż! – zawołał wartownik. – Kim jesteś, że tak przemykasz się przez las? – W głosie brzmiały złość i zdenerwowanie.

Gird zrobił, co mógł, by sprawić wrażenie wystraszonego; słyszał już pozostałych, którzy właśnie wychodzili z ukrycia. Siedmiu... ośmiu... dziewięciu... w żółto-zielonych mundurach. Uzbrojeni byli w krótkie miecze, dwaj przewiesili łuki przez ramię. To był błąd; miał nadzieję, że nie zorientują się wystarczająco szybko, by sprawić im kłopoty.

– Odpowiadaj, chłopie! – rzucił strażnik, nabierając odwagi w otoczeniu przyjaciół. – Znasz zasady: nikt nie ma wstępu na te wzgórza.

Gird chciał odpowiedzieć coś sprytnego, ale nie mógł nic wymyślić.

Mężczyzna stał trzy długie kroki od niego – i nieco dalej dla kryjących się za nim włościan – toteż Gird musiał działać szybko, bowiem w przeciwnym razie do gry włączą się łucznicy. Ktoś próbował podsunąć się bliżej i zaszeleścił liśćmi. Strażnik otworzył szerzej oczy.

– Jest was więcej... ? – podniósł głos, gdy Gird runął prosto na niego.

Mieli w dłoniach miecze, lecz ostrza nie mogły go dosięgnąć.

Przynajmniej, jeżeli pozostali nadbiegną na czas. Gird dźgnął czubkiem kija w twarz, która rozmazała się w niewyraźny, biały zarys. Przeciwnik

zatonął się do tyłu. Czyjś miecz opadł na jego kostur. Poczł uderzenie, odrzucił czubek ostrza i dźgnął ponownie. W krzykach strażników zaskoczenie mieszało się ze strachem. Gird nie zwracał na nich uwagi. Z obu stron widział swoich ludzi, metodycznie dźgających żołnierzy, którzy chaotycznie wymachiwali mieczami i objali się o drzewa. Obaj łucznicy cofnęli się szybko i sięgnęli po łuki.

– Najpierw łucznicy! – ryknął Gird. Były to pierwsze słowa, które udało się mu wyartykułować od początku starcia. Rzucił się na nich. Koniec kija trafił strzelca mocno w pierś. Nie wbił się, lecz atakowany zachwiał się i przewrócił. Obrzucił Girda spojrzeniem pełnym tak bezbrzeżnego zdumienia, że ten niemal się cofnął. Zamiast tego zadał kolejny cios. Tym razem czubek trafił łucznika w szyję, ześlizgnął się i przygwoździł mu ramię do ziemi. Gird naparł na drzewce. Zaskakująco ciężko było wbijać ten czubek... Mężczyzna drapał rękoma gardło; twarz nabiegła mu purpurą. Gird podniósł kij i zdzielił go nim z całej siły w głowę. Żołnierz znieruchomiał. Gird upewnił się – nie oddychał.

Dookoła walka dobiegała końca w zawierusze ciosów, zastaw i krzyków. Zaostrzone kije sprawdziły się, ale słabo: przebicie ostrym, drewnianym czubkiem ubrania i ciała wymagało siły i ciężaru, poza tym, ciężko było uwolnić kostur od nabitego nań przeciwnika. Większość ludzi Girda robiła to samo, co on: wykorzystywała czubek kija do odparcia ataku i wytrącenia szermierza z równowagi, by zakończyć walkę ciosem w głowę. Udało się, ponieważ mieli przewagę liczebną nad wrogiem, lecz Gird wiedział, że nie zawsze tak będzie.

– Zbierzcie ich broń – przypomniał swoim ludziom, gdy skończyli z ostatnim żołnierzem. – Noże też – wykorzystamy wszystko. Także ich

prowiant i narzędzia. – Zabici nie mieli na sobie zbroi. Gird pokręcił głową j musieli zakładać, że wieśniacy nie mieli broni, dla której warto było je założyć.

– Buty? – zapytał jeden z bosonogich włościan.

Gird skinął głową.

– Ubrania, jeśli je chcecie. Felisie, weź dwie dłonie mężczyzn i zejście zboczem. Uważajcie na posiłki. Narobiliśmy wystarczająco hałasu, żeby obudzić pijaka po całonocnym hulaniu. Cob, pogoń naszych z dłonią ludzi.

– Pomógł zaciągnąć zwłoki na stertę. Nie zawracał sobie głowy szukaniem ziół wspomnień – to byli nieprzyjaciele. Pomógł ich zabić i kładzenie na nich ziół byłoby obrażą. Tylko jeden z nich został ranny – młody włościanin, dziabnięty nożem w ramię, by na zawsze zapamiętał, że powalony przeciwnik niekoniecznie musi być martwy.

## Rozdział 22

Wkrótce usłyszał resztę swych ludzi. Ledwo zdążyli go minąć, poruszając się znacznie wolniej, niżby sobie życzył, gdy od strony wioski nad strumieniem usłyszał tętent kopyt. Nikt nie wspominał o przebywającym w okolicy oddziale konnych, lecz nie czyniło to żadnej różnicy. Felis przysłał gońca: dwudziestu jeźdźców, pięciu z łukami, reszta – miecze. Widzieli też tuman pyłu na drodze, jakby nadciągali kolejni, choć nie wiedzieli: pieszo czy konno.

– Dobrze – rzucił Gird, zaskakując otaczających go ludzi. Miał nadzieję, że tak właśnie się okaże: byłoby dobrze zwyciężyć. – Fori, weź osiem dłoni i idźcie tamtędy... – czyli z biegiem strumienia – ... dwieście kroków przez las, potem w dół zbocza i czekajcie na moje wezwanie. Uderzycie na ich tyły lub flankę. Reszta, za mną.

Wejście na przełęcz wznosiło się łagodnie z poziomego pól nad rzeką, by nabrać stromości w pobliżu lasu. Gird rozmieścił żołnierzy na wierzchołkach trójkąta wśród drzew, z środkiem odsuniętym o długość konia. Obserwował konnych, jeżdżących tam i z powrotem wzdłuż brzegu, wyraźnie poszukując brodu. Jeden z nich odjechał kawałek w górę rzeki i z krzykiem wrócił galopem. Grupa zakotłowała się i utworzyła podwójną kolumnę, by ruszyć ku przełęczy.

Zaskoczyli tym Girda. Czyżby naprawdę byli tacy głupi? Słońce odbijało się w ich napierśnikach i hełmach. Trudniejsi do zabicia, lecz zanadto ufali swej broni i rumakom. W ostatniej chwili, gdy pierwsi jeźdźcy dojechali do skraju lasu, ich dowódca przypomniał sobie o ostrożności i zatrzymał oddział uniesioną ręką. Łucznicy nałożyli cięciwy na łączyska i sięgnęli po

strzały. Mimo to Gird dał sygnał. Jego ludzie wybiegli z obu stron z lasu w ścisłej formacji, mocno ściskając kije w dłoniach.

Konie na samym końcu zakwiczały, próbując się cofnąć; jeźdźcy wbili im ostrogi w boki. Dwa wierzgnęły, a jeden wysadził swego pana z siodła. Ten upadł ciężko, tak samo jak dwaj jeźdźcy z pierwszej pary, strąceni z końskich grzbietów precyzyjnymi szturchnięciami kosturów. Jeden znieruchomiał nieprzytomny, drugi zaś przetoczył się szybko, zerwał z ziemi i bronił się mieczem. Pozostali konni próbowali szarży, lecz konie cofały się przed zaostrzonymi kijami, skręcając i stając dęba. Jeźdźcy klęli, bodąc je ostrogami. Nie byli w stanie dosięgnąć ludzi Girda mieczami, a każdy, kto oddzielił się od grupy, był szybko otaczany i spychany z siodła. Jednakże trzech łucznicy zdołali nałożyć strzały na cięciwy. Dwa pociski haniebnie spudłowały, lecz jeden – szczęśliwie lub dzięki umiejętnościom strzelca – przeszył gardło włościanina, który właśnie zamierzał ściągnąć łuczника z końskiego grzbietu. Zdołał nałożyć kolejną strzałę na cięciwę i o włos chybił Girda. Jego towarzysze zrozumieli, co zamierzał i zbili się w ciasny krąg, chroniąc łuczników i umożliwiając im ostrzeliwanie napastników.

Gird trzepnął otwartą dłonią walczącego obok niego mężczyznę.

– Musimy z nimi skończyć i to natychmiast\*. – ryknął. Jego ludzie otaczali konnych, lecz nie okazywali większej ochoty na spotkanie z kopytami spłoszonych rumaków, niż te na kontakt z ostrymi czubkami kijów. – Stójcie tak, a wszystkich was powystrzelają! – dodał, przepychając się do pierwszego szeregu, by złapać za uzdę. Jeździec zamachnął się na niego mieczem, lecz Gird zanurkował pod końskim łbem i wbił nóż w podgardle zwierzęcia. Koń stanął dęba, rżąc i młóćąc



kopytami. Gird oberwał podkową, mimo to zaatakował ponownie. Jego ludzie krzyczeli i kolejno rzucali się naprzód. Łucznicy nie mogli w nich strzelać z obawy przed trafieniem towarzyszy. Konie i ludzie hałasowali, śmierdziało jatką. Gird sięgnął ku następnym wodzom i omal nie upadł – poślizgnął się w kałuży końskiej posoki. Szkoda – zadźwięczało mu w głowie, jakby z oddali – że trzeba zabijać zwierzęta przez ich panów. A gdzież podziali się ci, którzy wzbijali tamtą chmurę kurzu?

Jakby w odpowiedzi, skądś zza ich pleców dobiegł potężny krzyk. Gird okręcił się na pięcie, poślizgnął i przyklęknął na kolano, po czym podniósł się niepewnie. Tam – w dole strumienia – zupełnie, jakby grupa Foriego zaatakowała nieprzyjacielskie odwody, nie czekając na jego komendę. A może zawołał? Nie pamiętał. Brakowało mu tchu i bolała go noga. Opuścił wzrok i zobaczył rozdartą nogawkę. Pewnie końska podkowa. Zaczerpnął powietrza i wrzasnął. Machnął ręką do tych, którzy się rozejrzeli.

– Ludzie Foriego – zawołał. – Utrzymać szyk, idioci, zanim... – zabrakło mu tchu. Ktoś wsunął mu ramię pod pachę; chciał odepchnąć pomoc, lecz nie mógł. Pozwolił odprowadzić się na skraj stratowanej ziemi.

Ktoś podał mu bukłak z wodą j napił się, krzywiąc, gdy ktoś nacisnął rozcięcie na nodze. Odzyskał oddech i wzrok: wszyscy jeźdźcy i połowa koni leżeli nieruchomo w kałużach krwi. Tym razem zginęli także jego ludzie, inni odnieśli rany. Opiekowały się nimi kobiety, które wyraźnie pamiętał z grupy uciekinierów... co tutaj robiły? Przypomniał sobie, że powinien wracać do walki. Spróbował podnieść się (kiedy zdążył przysiąc sobie pod drzewem?), lecz noga odmówiła uniesienia ciężaru ciała.

– Twoje ramię... – powiedział ktoś za nim.

– To moja noga – warknął, niemniej, zerknął na ramię. Krwawe rozcięcie ziało niemal od ramienia po łokieć; przyglądał się mu zaskoczony. Nie pamiętał tego. Ruda kobieta o szerokiej twarzy zmyła krew wodą z wiadra, przyłożyła do rany kompres z liści i ciasno owinęła całość pasem tkaniny. Pomacała mu głowę; skrzywił się i odsunął.

– Okazały guz – zaśmiała się. – Równie dobrze, jak Gird Silne Ramię możemy wołać na ciebie: Gird Twardogłowy.

– Ale Fori... – zawołał.

– Cicho. Wszystko jest w porządku.

Chciał powiedzieć, że wcale tak nie było, przynajmniej dopóki walka nie dobiegnie końca, a oni nie dotrą do bezpiecznego miejsca. Lecz coś zębatego wpiło się mu w nogę i próbowało ją oderwać. Zamrugął, stęknął i rozdzielił potwora na dwóch ludzi, z których jeden unieruchamiał mu nogę, a drugi oczyszczał poszarpaną ranę. Wyglądało na to, że powinno boleć znacznie bardziej, niż bolało; nie miał pojęcia, czy to dobrze, czy źle.

– Girdzie? – Głos Foriego. Gird walczył z mgłą bólu i zmęczenia, starając się skupić na twarzy syna, bladej, lecz nie draśniętej. Sprawiał wrażenie zatroskanego.

– Nic mi nie jest – powiedział Gird. Przecież nic mu nie będzie – nie było to kłamstwo.

Fori uśmiechnął się.

– Udało się – oznajmił. – Dokładnie tak, jak chciałeś: uderzyliśmy na ich odwody z flanki, zanim zorientowali się, że tam byliśmy. A potem reszta z tych tutaj – z pierwszej potyczki – przybiegła i wzięliśmy ich w kleszcze. Kilku straciliśmy...

– Ilu, po obu stronach? – Może myślenie o walce rozjaśni mu w głowie?  
Dłonie Foriego zamigały w liczeniu.

– Osiem dłoni pieszych odwodów – nasi przeciwnicy. Cztery dłonie konnych i dwie dłonie na przełęczy – czternaście dłoni, łącznie siedemdziesięciu. Wszyscy martwi. Naszych poległo ośmiu, a cztery dłonie odniosło rany, w tym część ciężkie.

Koło Foriego pojawiła się głowa Coba.

– Girdzie, chcemy cię przenieść.

– Przenieść?! Sam mogę pójść! – Zaczął wstawać, lecz silne ręce pchnęły go z powrotem na ziemię.

– Nie. Nie chcemy cię stracić tylko dlatego, że wykrwawisz się, chodząc. – Gird opierałby się bardziej stanowczo, lecz ciało odmówiło dalszej współpracy. Pozwolił przenieść się na prymitywne nosze i zniósł pełną podskoków i wybojów drogę do miejsca, które Cob i Felis wybrali na obóz.

Obudził się przy płonącym ognisku i wsłuchał w otaczające go głosy, nie otwierając oczu. Od razu wiedział, że jest w jakimś dużym, niemal pustym pomieszczeniu. Nie pachniało jak w więzieniu, a głosy były znużone, lecz przepełnione satysfakcją, szczęściem i całkiem pewne siebie. Ktoś zapytał, zniżając głos:

– Co z Girdem... ? Myślicie, że...

– Nic mu nie będzie – rozległ się głos rudej kobiety, która opatrywała mu ramię. – Gdyby nie usiłował walczyć przez całą bitwę...

– Widzieliście kiedyś coś takiego! – To nie było pytanie, a uzewnętrznienie czystych emocji. – Ciśnienie tamtym koniem, jak pasterz mógłby rzucić jagnięciem...

Naprawdę? – zdziwił się Gird. Pamiętał tylko pierwszego rumaka, stojącego nad nim dęba oraz rozdzierające mu nogę kopyto. Teraz, kiedy o tym pomyślał, to musiała być druga noga, nie ta z paskudnym rozcięciem.

– ... zupełnie jak z opowieści bazarza – emocjonował się młody głos.

Włączyli się inni i zapanowało takie zamieszanie, jakby bitwa wciąż trwała. Gird czuł, że spłoszował. Brzmiało to tak, jak gdyby w pojedynkę rzucił się na całą armię Finaareanu.

– Jeśli on umrze... – zaczął ktoś przyciszonym głosem.

Gird otworzył oczy.

– Nie zamierzam umrzeć – oznajmił stanowczo, rad, że głos w pełni odzwierciedlił jego intencje.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Mówiłem wam – odezwał się Cob. – Jest zbyt uparty, żeby umrzeć. –

Mimo pewnego tonu, Gird dosłyszał w jego głosie skrywaną ulgę.

Spróbował się podnieść i ból przeszył mu głowę.

– Nie ruszaj się – przestrzegła rudowłosa.

– Mogłaś powiedzieć wcześniej. – Gird odchrząknął. Wraz z bólem głowy odezwały się inne dolegliwości i zaczął żałować, że się obudził.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Marudni pacjenci szybciej zdrowieją – orzekła. – Zupy?

– Wody. – We dwoje podtrzymali go za ramiona, gdy pił, po czym pomogli mu usiąść prosto. Cierpienie ustabilizowało się na stałym, możliwym do zniesienia poziomie; zdał sobie sprawę z odczuwanego głodu. I zaciekawienia: co dokładnie się wydarzyło, gdzie byli i kto przejął dowodzenie, kiedy on padł na twarz? Ktoś podał kobiecie miskę z zupą; uniosła Girdowi głowę tak, że mógł ją wypić.

W grupie wokół ogniska doszło do jakiegoś poruszenia. Otoczyli go najbardziej doświadczeni wojownicy.

– Zastanawiasz się, co się wydarzyło – zaczął przebiegle Felis. Gird zgromił go wzrokiem. Felis zamieniał się w dobrego przywódcę, lecz jego samozadowolenie mogło stać się nie do zniesienia.

– Otoczyliśmy jeźdźców i szturchaniem zbiliśmy ich w kupę.

Zastanawialiśmy się, co zrobić dalej, kiedy wyskoczyłeś zza naszych pleców i...

– To pamiętam – powiedział Gird. – Chodzi o to, co było potem.

Cob wzruszył ramionami.

– Urosłeś o dobre cztery dłonie, rozpostarłeś skrzydła, wyrosły ci rogi i zacząłeś rzucać końmi jak owcami. Nie: tak naprawdę wcale nie urosłeś, ale takie sprawiałeś wrażenie. Wrzeszczałeś co sił w płucach, byłeś cały pokryty krwią i faktycznie przewróciłeś jednego konia na bok – sam to widziałem, jak również inni tutaj obecni. Jeździec, który ciął cię w ramię – nim też cisnąłeś w innego rumaka. Konni wpadli w panikę, nawet łucznicy. Moglibyśmy stać tam i patrzeć, jak ich wykańczasz, ale obawialiśmy się nudy, więc postanowiliśmy też spróbować.

– Co trafiło mnie w głowę?

– Nie widziałem. Usłyszeliśmy przybycie odwodów, bojowy okrzyk Foriego i twój rozkaz, żebyśmy poszli im z pomocą. Pobiegnę z moją grupą; po powrocie znalazłem cię siedzącego w milczeniu pod drzewem. Elis obmywała cię z krwi, trudno powiedzieć: twojej czy nieprzyjaciół. Wtrącił się Felis.

– Nowe formacje sprawdziły się doskonale, Girdzie. Nawet w lesie – przyznaję, że zastanawiałem się, czy ta musztra między drzewami miała

sens, teraz jednak wiem, że tak.

– Oczywiście, mieliśmy przewagę liczebną – zauważył Ivis. – Dwóch na jednego.

– Nawet większą. – Gird poruszył się, sprawdzając granice bólu. – Byli na tyle głupi, by zaatakować nas podzieleni. W przypadku pierwszego oddziału mieliśmy trzykrotną przewagę liczebną, a przeciwko konnym – nawet pięciokrotną.

– Ale... och. – Widział w ich twarzach, że przetrawiali to, co powiedział.

– Pamiętajcie, co wam mówiłem. Ważne jest tylko to, ilu na ilu w momencie starcia. Nie liczą się ci, którzy nie biorą udziału w walce.

Przemówił Fori.

– Za to z posiłkami walczyliśmy jeden na jednego. I przełamaliśmy ich – myślę, że moglibyśmy nawet wygrać.

– Prawdopodobnie. Mam nadzieję. Ale ponieśliście większe straty po cięższej walce. Jesteśmy dobrzy, chłopcze, znacznie lepsi, niż byliśmy, ale nigdy nie zaszkodzi, kiedy ułatwiają nam zadanie. Skoro możemy walczyć z nimi z przewagą po naszej stronie, to czemu nie? No dobrze – gdzie jesteście?

Zachichotali głupawo.

– Nie spodoba ci się to – oznajmił Cob.

– Co? – Spróbował ryknąć, lecz wyszło mu raczej cierpkie burknięcie.

– Jesteśmy w Nad Mostem. W koszarach żołnierzy.

– Głupcy! – Tym razem udało się mu ryknąć i wszyscy obejrżeli się na niego. Spróbował usiąść prosto. Niemal mu wyszło.

– Posłuchaj mnie. – Cob położył mu dłoń na piersi, swym ciężarem zmuszając go do położenia się. Zrobił to, cały się gotując. – W Nad

Mostem nie ma więcej żołnierzy. Stacjonowali tutaj ci, których zabiliśmy, a podwórze jest pewne, że żaden z nich nie uciekł. Najbliższy garnizon znajduje się w Burry, na rozstajach. Powiadomiliśmy Burry, a dobrze znasz tamtejszych włościan. – Faktycznie, znał ich. Jeżeli przysięgli, że nie przedostanie się tamtędy nikt z Nad Mostem, to tak właśnie będzie. – Ta wieść jest nami zachwycona. Strażnicy siedzieli tutaj całą zimę, chlając ale i obłapiając dziewczęta, nawet te spodziewające się dzieci. Pobiliśmy ich nie traktując pół, ani nie angażując tutejszych włościan. Błagali nas, żebyśmy przyszli, sprezentowali żywność, nawet resztkę ale, którego nie wyniuchali żołnierze...

– Ale... – zamyślił się Gird. To powinno uśmierzyć ból głowy. – Jednak nie powinniśmy tutaj zostawać – dodał, rozglądając się w poszukiwaniu dzbana.

– Oczywiście, że nie – Cob sięgnął za siebie i ktoś podał mu dzbanek. Zakołysał nim Girdowi przed nosem. – Tylko na jedną noc, by pewne osoby otrzymały szansę na zasłużony odpoczynek...

– Wystawiliście wartowników?

– Oczywiście. Czyż zawsze nie robimy tego, co nam każesz?

Gird uniósł się na zdrowym łokciu; ktoś pomógł mu oprzeć się plecami o ścianę. Otoczył dzban dłońmi i powąchał. Tak, dokładnie tego potrzebował. Wziął długi łyk, który rozgrzał mu przełyk. Podał dzban Cobowi, ten jednak pokręcił głową.

– Już trochę wypilem. Co do rannych: trzech nie będą mogli podróżować przez wiele dni, może tygodni... – Gird wziął kolejny łyk i poczuł, jak ból mija. Pomimo uporczywego pulsowania w głowie, umysł zaczął z powrotem funkcjonować. Ranni zdolni do podjęcia marszu jutro, za dwa

dni, dopiero za długi czas. Członkowie podwórza w Nad Mostem, którzy woleli pójść z nimi, niż zostać w domu i uprawiać rolę. Wieśniacy pragnący poznać człowieka, który powalił konia. Felis chciał opowiedzieć mu o broni, jaką zdobyli na zabitych żołnierzach i znaleźli w zbrojowni. Ivis miał pytania o zapasy żywności na kolejny etap marszu, a Rahi – kiedy zdążyła pojawić się u jego boku? – podała mu ziołowy napar, który wykręcił mu usta po ale.

Obudziło go bezbarwne światło poranka. Leżał z głową na kolanach Rahi, która chrapała oparta o ścianę. Głowa pękała mu z bólu, nie miał pojęcia: od ale, czy przez guz. Próbował podrapać się po swędzących włosach, lecz wybrał złą rękę. Jęk obudził Rahi i uśmiechnęła się do niego z wyrazem twarzy, który roztopił mu serce. Nie mógł znieść tego, że była tak blisko i pochylała się nad nim tak samo, jak on często pochylał się nad nią.

– Uspiałaś mnie – oskarżył ją cicho, wytrzymując jej spojrzenie. – Kazałaś im dać mi ale, a potem ten napar...

Rahi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Potrzebowałeś odpoczynku, a nie spałbyś całą noc, dyskutując i trzymając wszystkich na nogach. Poza tym, chcieliśmy ponownie oczyścić rany, a to bardzo boli.

– Teraz nie jest tak źle – zauważył, ostrożnie poruszając ramieniem i nogą.

– Sam mówiłeś, że czystość sprzyja gojeniu się ran. A teraz mamy dwie uzdrowicielki. Z Nad Mostem.

– Mimo to musimy stąd ruszać, nim ktoś się pojawi. – Większa armia, jakiej nie dadzą rady, pod dowództwem oficera mądrzejszego od tego, który pozwolił Girdowi natrzeć wszystkimi siłami na trzy mniejsze oddziały.



Lecz cały dzień spędzili na reorganizacji po bitwie. Gird uspokoił się trochę, gdy zdał sobie sprawę, że naprawdę z tego skorzysta – jedna z uzdrowicielek wyciągnęła mu ból z głowy i przelała do kamieni koszarowego paleniska, gdzie – jak sama wesoło zauważyła – było jego miejsce. Przyszło mu do głowy zapytać o Selamisa, który podróżował z cywilami, nie mogąc utrzymać broni w rękach.

– Źle wygląda – odrzekł Ivis. – Smutny, przybity – przypuszczam, że częściowo z bólu. Ale nie może przestać myśleć o żonie i córce. – Straty Ivisa należały do odległej przeszłości: młoda żona zmarła na gorączkę, a dzieci urodziły się martwe. Gird pomyślał, że znał katusze Selamisa (gdzie była Girnis, jego druga córka? Poślubiła chłopaka z Ognistego Dębu, lecz żadne z nich nie uciekło do lasu, gdy wioska poszła z dymem. Nie wypytywał o nią Barina; nie chciał wiedzieć). Rozejrzał się, lecz nigdzie nie mógł go wypatrzeć. Ivis prawidłowo zrozumiał jego spojrzenie. – Wyjaśnia Tridze tajniki rachowania.

Gird poczuł, jakby ktoś ukłuł go szpilą.

– Rachunki? On potrafi czytać?

– Tak twierdzi. – Ivis nie potrafił i był z tego wielce zadowolony. – Jak również rachować. I pisać.

– Mam dla niego zadanie – oznajmił Gird. – Potrzebujemy kogoś, kto będzie prowadził rejestry wszystkiego, co mamy.

W tym czasie jego armia zebrała wszystkie ubrania i sprzęt po żołnierzach – ci bez butów tak długo szukali odpowiedniej pary, aż wreszcie każdy znalazł pasujące lub na tyle duże, by można było w nich chodzić po wypchaniu pakułami. Mundury po wypraniu i wysuszeniu na krzakach zamieniły się w koszule i tuniki dla tych, którzy byli ich pozbawieni oraz

łaty dla tych, których ubrania wymagały napraw. W koszarowej kuchni znaleźli kotły, które pamiętał oraz utensylia o długich trzonkach. Nie byli w stanie zabrać ciężkich dzbanów do przechowywania żywności (nareszcie dowiedział się, do czego armia potrzebowała wozów), lecz zgromadzony w spizarni prowiant pasował do worków. Mieli obecnie pięćdziesiąt dziewięć mieczy (część połamanych podczas walki), cztery łuki zabrane z pola bitwy oraz czterdzieści wydobytych ze zbrojowni. Gird poświęcił chwilę na podziękowanie bogom, że żołnierze postanowili wyruszyć na nich z mieczami, zamiast łukami. A co najważniejsze – w zbrojowni znaleźli stojaki z osiemdziesięcioma pikami.

Gird pokuśtykał do zbrojowni i dotknął lśniącego grotu. Wyjął pikę ze stojaka i sprawdził wyważenie. Nie różniła się zbyt od kija – w tym gnomy miały rację. Po kilku dniach noszenia przywykliby do nowego oręża.

– Powinny trochę łatwiej wchodzić – orzekł stojący za nim Felis. Gird zauważył, że Felis nie powiedział, w co będą łatwiej wchodzić. Część z nich nadal była wstrząśnięta własną brutalnością oraz świadomością, że okazali się ludźmi zdolnymi do zabijania.

– Powinniśmy podziękować bogom za ten dar – mruknął. Obrócił się ku pozostałym, którzy przyszli za nim do zbrojowni. Wszyscy pokiwali głowami, nie podnosząc wzroku. – Tym razem zasłużyliśmy sobie na zwycięstwo. Ale następnym razem nie będzie tak łatwo. – Nie spodobało się im to, lecz taka była prawda i nie potrafił ich okłamywać. Zwyciężył pod Owczarniami Norwalku pomimo popełnionych błędów, gdyż wróg nie wiedział, czego się spodziewać. Tutejsze zwycięstwo przyszło mu łatwo dzięki błędom przeciwnika. Pewnego dnia stanie naprzeciwko dowódcy,

który ich nie popełni, a wtedy... Potrząsnął głową. Przyjdzie na to pora. Teraz muszą podziękować bogom, którzy stanęli po ich stronie i pomogli im.

Jego lud nie znał rytuałów świętowania zwycięstwa w wojnie, ponieważ dotychczas nie prowadzili wojen – przynajmniej nikt tego nie pamiętał. Gird poradził się najstarszych mężczyzn i kobiet, jakie tylko zdołał odszukać, lecz żadne z nich nie znało odpowiedniej ceremonii. W końcu postanowił połączyć rytuał podziękowania Alyanyi za pozwolenie uprawiania ziemi – co powinno uświęcić użycie przez nich stali – z modłami żniwiarzy za zmarłych w trakcie poprzedniego roku. Pocąc się z nerwów i bólu, pokuśtykał z koszar na most nad potokiem i cisnął do wody rytualną garść ziarna, kwiatów (narwanych tego dnia przez dzieci z wioski) i liści mięty. Najstarsza kobieta roznieciła ogień na środku wiejskiego ryneczku, on zaś poprowadził powolny taniec dokoła płomieni. Ognisko płonęło jasno, prosto i czysto – czy znaczyło to, że bogowie byli zadowoleni? Nie wiedział. Czuł jednocześnie smutek, satysfakcję i ukojony czasem żal, jaki zawsze zostawiał w nim żniwiarski lament. Płomienie wystrzeliły nagle w niebo, zmieniając barwę na błękitną. Gird poczuł uderzenie fali gorąca, jakby go spowiły, lecz nie spłonął, a ogień niemal natychmiast powrócił do swych drewnianych korzeni. Włosy zjeżyły się mu na karku. Coś powiedzieli – powiedział sobie. – Lepiej, żebym dowiedział się, co...

\* \* \*

Na modelu w sali gnomów wyglądało to prościej. Gird otarł czoło z potu i

skrzywił się na widok mijających go maruderów. Pomaszeruj na północ, mówili, i zdobądź tę twierdzę, mówili, a potem wyślij część swych sił tutaj, żeby zdobyć następną twierdzę, która kontrolowała... wszystko to brzmiało absolutnie logicznie. Z żołnierzami gnomów. Niemal rozumiał dezaprobatę kapristi dla ludzkiego braku dyscypliny.

Nie planował zdobycia posterunku w Nad Mostem, który wpadł mu w ręce z osiemdziesięcioma dobrymi pikami i całą resztą. Nie planował, ani nie oczekiwał innych efektów tego zwycięstwa: decyzji podwórcy, które nagle postanowiły porzucić domy i przyłączyć się do jego armii, decyzji panów ukarania go paleniem gospodarstw, gdzie nikomu nawet do głowy nie przyszło udzielenie mu wsparcia oraz kompletnego chaosu i zamętu, jaki zapanował w kilka dni po zwycięstwie w środkowej części królestwa.

Planował marsz na północ ku Drodze Rzecznej, by odizolować (jeśli nie zdobyć) Grahlin, miasto rządzone przez władcę Sorgrahlu, w zamian jednak tracił czas na utarczki z bardzo sprawnymi, konnymi patrolami władcy. Mając w pamięci odwagę tego brązowowłosego mężczyzny, nie zdziwiło go, że władca nie popełnił żadnego błędu poprzednich dowódców.

Z przyjemnością ominąłby Grahlin, lecz miasto było ważne z co najmniej kilku powodów. Kontrolowało dostęp do Honnorgatu jednym z jego największych dopływów – rzeką Hoor. Rozsiadło się w poprzek Drogi Rzecznej, która odbijała tutaj od Honnorgatu, by uniknąć sezonowych powodzi przy ujściu Hoor. A duży garnizon władcy sprawiałby takie same kłopoty, pozostając za ich plecami, jak sprawiał z frontu lub flank.

Byłoby mu łatwiej – znacznie łatwiej – bez nieoczekiwanych sojuszników, zwłaszcza nie biorących udziału w walce. Nie mieli dokąd pójść; potrafił

to zrozumieć. Marzył jednak o tym, żeby znaleźli sobie jakieś inne miejsce. Nie byli w stanie poruszać się szybko, ani cicho. Nawet teraz, kiedy wyraz jego twarzy powinien stanowić wystarczające ostrzeżenie, niektóre dzieci wołały radośnie do niego. Dorośli uciszali je, ale dopiero po fakcie.

Próbował właśnie zająć pozycję na zachód od Grahlinu. Podjęli taką próbę wcześniej, lecz tym razem Gird miał nadzieję, że władca zajmie się ośmioma dłońmi włościan, którzy pomaszerowali na wschód, uzbrojeni w czterdzieści cennych pik. Mieli przekonać władcę, że stanowili forpoczcie całej armii, jeśli jednak maruderzy nie będą poruszać się szybciej, ich przeciwnik zorientuje się w fortelu. W tej właśnie chwili ostatni cywil przetruchtał obok niego, a straż tylna wyszczerzyła się w uśmiechach. Znał zaledwie połowę z nich. Reszta to nowi ze świeżo przybyłych podwórek. Gird namacał wetknięte za pazuchę karbowane patyki. Osiem dłoni pikinierów stanowiło mniej, niż ćwierć jego obecnej armii; z trudem zapamiętywał szybko zmieniające się liczby. Każdego dnia przybywali nowi ludzie, zapasy pojawiały się i znikwały jak woda w wiadrze zanurzonym i wyciąganym z rzeki. Gnomy upierały się, że nikt nie może prowadzić wojny, nie znając zasobów swoich i wrogów, lecz nie potrafił nadążyć za tak szybkimi zmianami. Przynajmniej wkrótce będzie miał kogoś, kto naprawdę potrafił pisać i prowadzić rachunki. Selamis przeczytał wszystko, co pokazał mu Gird – także mapy – i potwierdził, że umie pisać. Będą wiedzieć, jak tylko wygoją się mu dłonie.

Tylna straż przemaszerowała mimo, a jej dowódca skinął głową Girdowi, który ruszył za nim. To był... Adgar, przypomniał sobie. Kiedyś jeden z podwładnych Felisa, potem bezpośrednio pod nim. Typ człowieka, jaki

podobał się mu w roli komendanta – solidny gospodarz.

– Otrzymałem wiadomość od posłańca – powiedział Adgar. – Ludzie władcy połknęli przynętę i ścigają osiem dłoni naszych ludzi na wschodzie.

– Niech ich Pani błogosławi – mruknął Gird. Zwiadowcy nie meldowali o nieprzyjacielskich żołnierzach na wschodzie, lecz sytuacja mogła się szybko zmienić. – Czoło naszej kolumny przekroczyło Hoor i pokonało pierwsze wzniesienie.

– Byłoby miło, gdyby zdołali niezauważeni dotrzeć do tego posterunku. – Adgar odchrząknął i splunął. – Moglibyśmy wykorzystać więcej pik. Gird nie odpowiedział. Był pewny, że ludzie władcy mieli broń ze sobą; nie zostawili jej na ścianach zbrojowni. Będą musieli uczciwie zapracować na każdą pikę, jaką zdobędą w Grahlinie. Coś użądliło go w spalone słońcem ucho; odpędził natręta. Za kilka dni będą musieli zatrzymać się i poszukać muchozmory, albo zostaną zjedzeni żywcem.

Do południa tylna straż przekroczyła Hoor, a cywile powinni siedzieć cicho w lesie, podczas gdy czoło kolumny miało czekać na resztę. Gird stanął na czele tylnej straży i zauważył, że jego obszarpani zwolennicy choć raz posłuchali rozkazu. Upał i wysiłek przekonały ich do rozciągnięcia się w cieniu i czekania. Nawet dzieci siedziały cicho. Żałował, że sam nie mógł odpocząć; ożłopał się zimnej wody Hoor do tego stopnia, że teraz chlupotała mu w brzuchu. Wzgórze za rzeką było strome; wspinał się na nie, podpierając się kosturem, dopóki nie zobaczył błękitnej szmatki przywiązanej do dolnej gałęzi drzewa. Zatrzymał się i zastukał kamykami trzymanymi w lewej dłoni.

Odpowiedziało mu szcęknięcie. Z gęstych zarośli wyłonił się Cob i

pomachał do niego ręką.

– Udało się – oznajmił. – Opuścili posterunek na widok naszego patrolu, przecinającego drogę. – Była to nieliczna grupa – celowo na tyle mała, by wywabić strażników, nie dając im jednocześnie powodu do wzywania posiłków.

– Konni? – zapytał. Cob przytaknął.

– Ale wybraliśmy najszybszych ludzi, a tamtejsza okolica jest bardzo nierówna. Dużo dobrych kryjówek. – Nie dodał, jak uczyniłby to kilka dni temu, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, strażnicy będą mieli lepsze rzeczy do roboty, niż ścigać garstkę uciekinierów. Teraz wiedział z doświadczenia, że nie zawsze wszystko szło dobrze.

Poprowadził Girda na czoło, skąd pozostała czterdziestka pikinierów powiedzie resztę atakujących przez otwarte pole pomiędzy wzgórzem a posterunkiem. Jeżeli Gird miał rację, w środku zostanie niewielu obrońców, jeżeli w ogóle jacykolwiek. Jeśli się pomylił, zostaną naszpikowani strzałami, lecz o tym wolał nie myśleć. W zamian, po raz ostami spojrzął na słońce, mając nadzieję, że „uciekiniery” mieli wystarczającą przewagę nad strażnikami, by odciągnąć ich na odpowiednio dużą odległość. Kiwnął głową Cobowi i ruszył szybkim krokiem przez niską trawę.

Czuł się odsłonięty, oddalając się od krzaków i drzew. Zbite w gromadkę w cieniu drzewa krowy przestały żuć i obserwowały ich przemarsz. Gird oderwał wzrok od krów oraz cieląt i powrócił do posterunku.

Zaprojektowano go na podobieństwo fortu o murach nie wyższych jednakowoż od murów podwórka. Przeważnie służył za punkt poboru opłat od podróżnych, korzystających z mostu Grahlinu nad Hoor. Chlubił

się wieżą na trzech ludzi wysoką, z której wartownik obserwował most i trakt do Grahlinu. Albo, pomyślał Gird, szlak od miasta.

Jak dotąd, w posterunku nie rozległ się żaden alarm. Gird przymrużył oczy i wpatrzył się w wieżę, lecz nikogo tam nie dostrzegł. Niemniej, z któregoś z budynków posterunku unosiła się w niebo cienka wstążeczka dymu.

Wymamrotał przekleństwo. Zostawili co najmniej kucharza, który w każdej chwili mógł przypadkowo wyrzeć przez okno. Rozejrzał się po trakcie. Na zachodzie nikogo – taką przynajmniej powinien mieć nadzieję, skoro wysłał wcześniej niewielki oddział, by zablokował drogę poza zasięgiem wzroku z posterunku. Na wschodzie o tak późnej porze ruch na drodze był niewielki; dokładnie tak, jak oczekiwał.

Znaleźli się na drodze. Gird posłał oddziały z obu stron posterunku, który wciąż wyglądał równie nieszkodliwie, jak dowolna chłopska chałupa z dymiącym paleniskiem. Mała budka do poboru opłat przy drodze była pusta. Główne wejście do posterunku – solidna, drewniana brama – było zamknięte, lecz furtka stała otworem. Gird planował wyważyć wrota, o których pijany strażnik w tawernie mówił agentowi Girda, że „były tylko po to, by wyrzeć wrażenie na wieśniakach; nie zatrzymałyby wygłodniałego wołu, a co dopiero zdecydowanego żołnierza. " Lecz otwarta na oścież furtka była albo pułapką, albo szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Szczęście opuściło ich w chwili, gdy kucharka – wysoka kobieta z wiadrami pomyj w mięsistych dłoniach – otworzyła tylne drzwi tuż przed nosami ludzi, których Gird posłał do środka. Wrzasnęła tak, że dachówki mało nie pospadały i zamachnęła się wiadrami. W wąskiej furtce nie mogli jej unieszkodliwić, nie zabijając, a tego nikt nie chciał. Wrzaski



zaalarmowały dłoń strażników pozostawionych na posterunku. Gird usłyszał, jak miotali się w środku, próbując ustalić, co się stało.

– Cisza! – ryknął. Ku jego zdumieniu kobieta natychmiast zamilkła z opadłą szczęką. Wybałuszyła oczy w niemal komicznym przestraszu i z donośnym łomotem upuściła wiadra. Gird złapał ją za ramiona, odepchnął na bok i dodał: – Siedź cicho. – Kiwnęła głową, nie zamykając ust. – Za mną – rzucił do Coby i runął przez drzwi do środka.

Jeden ze strażników zdążył już pojawić się w wąskim przejściu, które prowadziło do furtki. Gird rzucił się na niego z kosturem, żałując, że nie miał wystarczająco dużo rozumu, by zabrać pikę. Ciężar i rozpęd odrzuciły przeciwnika, lecz drewniana końcówka kija nie mogła przebić napierśnika. Dźgał raz za razem; mężczyzna cofał się, aczkolwiek powoli. Wyparł go z korytarza. U jego boku pojawił się drugi strażnik. Cob oparł się na Girdzie, dodając mu masy. Słusznie, tyle że nie mógł atakować kijem więcej, niż jednego przeciwnika na raz, a przejście było za wąskie, by dwóch mężczyzn stanęło w nim ramię w ramię. Będzie musiał utorować sobie drogę, dopóki nie wesprą go Cob i pozostali.

Wziął głęboki wdech i zaryczał bez słów, rzucając się naprzód. Strażnik cofnął się dwa kroki. Gird mocno uderzył go w pierś i przeciwnik zachwiał się i opadł na kolano. Szybciej, nakazał sobie Gird, skracając chwyt na kosturze i wybiegając z przejścia. Cob i reszta deptali mu po piętach. Uderzył drugiego przeciwnika w twarz. Cob i następnii pojawili się u jego boku. Cob miał pikę, od której zgiął powalony przez Girda strażnik. Gird dostrzegł schody do wieży, w połowie których stał następny żołnierz. Miał róg, który właśnie podnosił do ust.

Gird cisnął w niego długim kijem. Kostur zawirował w powietrzu jak

ramiona wiatraka. Mężczyzna zauważył nadlatujący pocisk, upuścił róg i wrzasnął. Przykucnął, a kostur uderzył w kamienie nad nim i pękł. Gird nie miał czasu przyglądać się temu. Jeden z żołnierzy skoczył na niego zaraz po rzucie. Gird odskoczył w bok i wyszarpnął haka z pasa. Miecz odłupał z niego drzazgę i strażnik uśmiechnął się triumfalnie w tej samej chwili, gdy ktoś wraził mu pikę w plecy. Gird wyłuskał mu miecz z dłoni i rozejrzał się dokoła. Czterech strażników nie żyło lub dogorywało, a małe dziedzińce pełne były jego ludzi; strażnik na schodach wieży leżał bezwładnie oparty o ścianę.

– Proca – wyjaśnił z zadowoleniem jeden z włościan. Fori nie był już jedynym, który umiał trafić w coś wystrzelonym z procy kamieniem.

– Jeszcze nie skończyliśmy – przywołał ich do porządku. – Zabezpieczcie to miejsce i wyślijcie cztery – nie, sześć dłoni ludzi na most. – Poszedł do wieży i wspinał się po schodach. Strażnik był nieprzytomny; Gird zepchnął go ze schodów, by ktoś inny go dobił, po czym dotarł na szczyt kwadratowej budowli.

Dojrzał stąd kurz wzbijany przez jeźdźców, którzy ścigali jego lotny patrol. Co najmniej dziesięciu, sądząc po tumanach pyłu. Hałas poniżej przerodził się w szum celowej aktywności. Spojrzał w drugą stronę. Sześć dłoni – w większości pozostałe mu piki – docierało już do mostu. Niemal jedna trzecia z nich nosiła niebieskie koszule. Gird uśmiechnął się.

Włościanie zakładali je, spodziewając się twardej walki. Sam Gird wciąż posiadał jedną z trzech przywiezionych mu przez Ivisa do ich pierwszego obozu, oszczędzał ją jednak na dzień, w którym naprawdę będą potrzebować szczęścia.

Dzisiaj potrzebowali jedynie czasu, kupowanego im przez „uciekinierów”.

Dobrze przed zachodem słońca Gird miał już wszystkich włościan na miejscu, oczekujących powrotu konnych. Pieczołowicie dobrana grupa zwolenników łąziła po polach, choć nie wychodziło im to tak dobrze, jak podczas marszu. Co i rusz próbowali formować jakiś szyk, aż Gird musiał na nich nakrzyczeć. Powracający jeźdźcy siłą rzeczy musieli zauważyć kotłującą się na polu gromadę ludzi i skręcili, by to zbadać. Jak tylko obrócili się plecami do drogi i posterunku, na sygnał Girda zasadzka ożyła i z przydrożnych rowów i zagród wysypali się włościanie z długimi kijami i świeżo nabytym doświadczeniem w strącaniu konnych z siodeł. Jeden natychmiast zawrócił i pogalopował do mostu, by zaalarmować miasto, lecz nadzieją się na pikinierów.

Gird popędził ludzi, by zajęli pozycje w oczekiwaniu na reakcję, którą musiała nastąpić. Chciał zabezpieczyć oba końce mostu, zajmując sięgające piersi umocnienia na skalistym, zachodnim brzegu rzeki oraz tworząc perymetr oparty na posterunku i samym moście. Do późna w nocy siedział z Selamisem przy stole w budynku posterunku, odczytując znalezione tam zapiski.

– To są opłaty – mówił Selamis. – W zeszłym roku o tej porze mieli – niech spojrzę – niemal dwukrotnie większy ruch na trakcie. W tym – zmniejszyła się zarówno liczba podróżnych, jak i waga przewożonych towarów. Czyli spadnie mu dochód...

– Ale jest bogaty; ma skarby w magazynach...

– Musi płacić żołnierzom, karmić ich i kupować zapasy. Jak myślisz, skąd bierze na to pieniądze?

– Z daniny – odrzekł gorzko Gird. Selamis pokręcił głową.

– Daniny to najmniejsza część przychodów. Podatek drogowy, opłata

mostowa, rynkowa, za budynki, pogrzebowa, małżeńska – nie tylko od gospodarzy, lecz od wszystkich. Kowale nie wykują mu broni darmo. Musi zapewnić im żelazo i zapłacić komuś, żeby je tutaj przywiózł. – Wciąż miał bardzo wrażliwe dłonie, lecz mógł przewracać nimi stronice. – Popatrz na to. Kamieniaż tkanin od kupców za zeszły rok...

– Kamieniaż?

– Waga w kamieniach – wasza wieś tego nie używała?

– Ale tkaniny mierzy się belami.

– Nie w ilościach hurtowych. Jednostką kamieniażu jest liczebność zaprzęgu potrzebnego do ruszenia z miejsca załadowanego wozu. Jeśli byłeś kiedyś na rynku miasta targowego, to z pewnością widziałeś koleiny, w których to sprawdzano. Sędzia miejskiego rynku ma własny zaprzęg – nie może korzystać z koni kupców, gdyż mogą być odpowiednio wyszkolone. Podwójna-podwójna dłoń kamieni, czyli tysiąc kamieni oznacza, że wóz może poruszyć para koni pociągowych. Jeśli potrzeba drugiej pary, to mamy do czynienia z dwoma tysiącami kamieni i tak dalej. To dosyć przybliżona wielkość; powiedziano mi kiedyś, że tysiackamieniowy ładunek można rozłożyć na znacznie więcej, lecz nigdy nie ma na to czasu. Większość panów zwyczajnie podnosi opłaty za ładunek. – Selamis lubił mówić i wyjaśniać różne rzeczy. Girda fascynowała różnorodność wiedzy, posiadanej przez pańskiego bękarta. Zapytany o to, Selamis wzruszył ramionami i odpowiedział szczerze: – Przebywałem na dworze, dopóki nie sięgnąłem głową do ramienia dorosłego mężczyzny. Nauczyli mnie pisać, czytać, rachować, podstaw prawa i znajomości obyczajów. Ich obyczajów.

– A potem wygnali cię do gospodarzy? Dlaczego?

– Nie wiem. – Oblicze mężczyzny jakby się zatrzasnęło. – Przypuszczam, że mój ojciec uznał, że ma już dosyć bękartów dokoła.

Gird chciał zapytać, który z panów był jego ojcem, lecz uznał, że lepiej tego nie robić. Selamis był już wystarczająco rozdrażniony. Ziewnął taktycznie i zasugerował kilka godzin snu, zanim nastąpi nieunikniony atak ze strony Grahlinu. Okazało się jednak, że natarcie wcale nie nastąpiło o świcie, jak się tego spodziewał, dzięki czemu przespał niemal całą noc, zanim obudził go ktoś z prośbą o rozsądzenie sporu pomiędzy dwiema rodzinami, których dzieci pobiły się.

Jak już poradził sobie z tym zadaniem (zlecając wszystkim dzieciom, które brały udział w bójce, nieprzyjemne zadania obozowe; matki mogły pomyśleć o tym same, dając mu się wyspać), wyszedł na zewnątrz, by przyjrzeć się mostowi w świetle porannego słońca.

## Rozdział 23

Środek dnia, a na drodze pomiędzy mostem a miastem żywego ducha. Gird przechadzał się przed szeregami swych ludzi, co i rusz rzucając spojrzenia w dal. Nie mógł zaatakować miasta – nie miał pojęcia o ich zdobywaniu. Musieli przyjść tutaj, gdzie mógł z nimi walczyć. Jak dotąd, władca chętnie podejmował wyzwanie i Gird zakładał, że przybędzie odbić swój posterunek i most.

– Nie podoba mi się to – oznajmił Felis, kiedy słońce wzniosło się o kolejną dłoń. Girdowi też nie. Zastanawiał się, co robił władca, zamiast wysłać żołnierzy. Ten szatyn nie odda łatwo władzy. W tej właśnie chwili usłyszał krzyk z mostu i odwrócił głowę. Zobaczył tylko machającego do niego włościanina. Machnął w odpowiedzi i pobiegł w tamtą stronę.

Rankiem, pod mostem przelewała się rzeka Hoor, miarowo tocząc swe wody na północ, ku Honnorgatowi. Teraz na jego oczach poziom wody opadał, a jej barwa zmieniała się z czystej zieleń na bury brąz. Wreszcie znikła zupełnie i w promieniach słońca zabłysły mokre głązy i błoto. Ryby rzucały się szaleńczo w kałużach, rozpryskując wodę. Pod brzegiem i wśród wodorostów wiły się srebrzyste kształty – węże wodne.

– Klątwa Esei – rzucił ktoś cicho. Gird poczuł się uwięziony przez rzucane mu przez wszystkich spojrzenia, domagające się odpowiedzi, której nie znał. Nigdy nie widział, żeby rzeka ot, tak sobie zniknęła; inni, których znał, również nie.

– Ryby – zauważył inny głos i Gird zobaczył, jak kilku włościan ześlizgnęło się z brzegu, by wylapać ryby z kałuż.

– Wracać! – ryknął. Cokolwiek to było, dysponowało mocą; tam, gdzie

rzeka znika, może w każdej chwili powrócić. Ludzie popatrzyli na niego i zawrócili. Zastanawiał się, ile wody nabrali, ile wiader, bukłaków i dzbanów mieli dla swych potrzeb. Spodziewając się najgorszego, posłał kogoś, by sprawdził kuchenną studnię w posterunku; nie zaskoczyło go, że okazała się pusta.

Zdumiało go za to, że nie wydarzyło się nic więcej. W połowie dnia dotarł goniec ze wschodniego kontyngentu z raportem, że stoczyli dwie ciężkie potyczki, z których wyszli bez szwanku, ale musieli wycofać się Drogą Rzeczną na wschód. Co oznaczało, że nie przyjdą mu z pomocą, gdyby jej potrzebował, lecz spodziewał się tego. Uwięzione w kałużach ryby wyzdychały i późnym popołudniem zaczęły śmierdzieć. Najbliższe strumienie na zachód od nich ledwo się sączyły, lecz dalsze płynęły normalnie. Gird wysłał niewielki oddział na północ, do Honnorgatu; wrócili z wiadomością że wielka rzeka wygląda zupełnie normalnie. Choć nie było specjalnie gorąco, jak na tę porę roku, wszyscy czuli pragnienie, co częściowo wynikało ze świadomości, że zabrano im źródło wody. Wysłał niezdolnych do walki na zachód, by wraz z dziesiątką włościan założyli obóz przy najbliższej dostępnej wodzie. Miał nadzieję, że pozostanie dobra. Odnosił wrażenie, iż władca postanowił przenieść walkę na pole, gdzie Gird nie dysponował żadnymi mocami.

Popołudnie przeszło w wieczór, pozbawiony chmur i cichy. Po zachodzie słońca niebo przybrało dziwną, brązowo-zieloną barwę; w tym niesamowitym świetle wszystko zdawało się jarzyć od środka. Nikt nie sugerował, że powinni porzucić swoje pozycje, lecz Gird zauważył zbyt wiele odwracanych spojrzeń i szeptów. Żałował, że nie mógł im dać choćby cienia wyjaśnienia. Mrowiło go między łopatkami. Miał

przeczucie, że coś bardzo złego wydarzy się w najmniej oczekiwanym przez niego momencie.

Wczesną nocą postanowił wycofać swych ludzi z drugiego krańca mostu, pozostawiając jedynie ukrytych na polach zwiadowców. Poczł się odrobinę lepiej. Był wyczerpany; przez cały dzień sprawdzał posterunki, próbując wypatrzeć coś, co wyjaśniłoby ostatnie wydarzenia. Nie mógł zasnąć, w odróżnieniu od pozostałych, których znużyło napięcie.

Spacerował tam i z powrotem, wielokrotnie przechodząc przez bramę i mamrocząc do siebie.

Właśnie szedł do ubikacji, gdy usłyszał wibrujące puuuut, brzmiące trochę jak próby początkującego trębacza z rogiem. Zaraz potem rozległ się potworny trzask i ryk. Ziemia zakołysała się pod nim. Gird obrócił się na pięcie i ujrzał wytryskującą z kuchennej studni wodę, iskrzącą się w blasku gwiazd i formującą coraz większą i większą, rozdygotaną kolumnę, która wkrótce przewyższyła wieżę. Opadła na niego zimna mgła, potem deszcz kropel, wreszcie istny wodospad. Ziemia podskoczyła i zajęczała; upadł ciężko. Na jego oczach studnia pękła, niczym zbyt mocno naciśnięty bukłak. Ze szczeliny w ziemi trysnęła z rykiem woda i potoczyła się falami w jego stronę.

Nikt by go nie usłyszał, ale nie było takiej potrzeby. Hałas i wstrząsy obudziły wszystkich. Zamknięta przestrzeń posterunku wypełniona była po kolana wodą wściekle poszukującą ujścia. Przynajmniej główna brama jest otwarta – pomyślał Gird, walcząc o utrzymanie się na nogach w rwących strumieniach. Był cały mokry, a wody wciąż przybywało.

Miotające się w ciemnościach postaci zbijały się w grupki; wszędzie słychać było krzyki, przebijające się nawet przez ryk przyboru.



– Do bramy! – wrzasnął Gird. – Uciekać przez bramę! – Nie miał pojęcia, czy ktoś go usłyszał, lecz i tak poczuł się lepiej. Przedzierał się przez głęboką do pasa wodę i stracił równowagę przy samych wrotach. Nurt pochwyił go i pociągnął do suchego koryta rzeki, zanim jednak tam dotarł, zrobiło się na tyle płytko, by móc wymacać grunt stopami. Oddalił się od rzeki, krzykiem przywołując do siebie komendantów. W bezwietrzną, rozświetloną gwiazdami noc widział jedynie niewyraźne kształty posterunku, mostu i budki do poboru opłat, ciemne, rozmazane plamy, które mogły być jego ludźmi oraz błyszczącą powierzchnię rozhukanej wody.

Ziemia znowu zakołysała się i posterunek rozpadł się na pojedyncze bloki kamienia i kawałki drewna, gdy ostami wytrysk wody poszybował jeszcze wyżej w niebo i opadł z ogłuszającym hukiem na rozgardiasz poniżej. Od ciszy, jaka potem zapadła, Girda rozboleły uszy; krzyki włościan stały się cieńsze, bardziej przypominając bzykanie much, niż ludzką mowę. Był przemarznięty do szpiku kości, mokry i rozdygotany. Spojrzał na miasto w oddali i zobaczył szybujący w powietrzu słaby blask, który znikł za murami.

Gniew zastąpił strach tak gwałtownie, że wciąż jeszcze czuł chłód, kiedy wydzierał się na swoich ludzi, żeby byli cicho i słuchali go.

– Co to było? – rozległy się płaczliwe pytania.

– Magia – odparł stanowczo Gird. – Kto jest gdzie? Felis? Cob?

Rozległy się odpowiedzi, z początku rozedrgane, potem spokojniejsze. Nie wszyscy się odmeldowali. Cob spał w koszarach; nie zgłosił się. Gird zadrzał, przypominając sobie, jak zachwiały się mury posterunku. Każdy, kto nie zdążył wydostać się na zewnątrz, mógł zostać zmiażdżony... albo

utopiony. Rozchlapując sięgającą kostek wodę, Gird przedarł się do mostu. Spojrzał w dół i bez zdziwienia zobaczył wzbierającą wodę. Za późno dla ryb, lecz żaby rechotały radośnie. Gdybym był władcą, pomyślał, zaatakowałbym teraz, kiedy nieprzyjaciel jest w rozsypce. Jak długo, według niego, będą przywracać ład?

Zaprowadził porządek wśród przemoczonych i roztrzęsionych włościan. Na zachodnim brzegu przetrwało jedno ognisko wartownicze. Posłał dłoń ludzi na drugą stronę Rzeczej Drogi po suche paliwo. Z prowizoryczną pochodnią w ręku wdrapał się na pokryte błotem gruzowisko, będące kiedyś schludnym posterunkiem straży. Pomarańczowa poświata połyskiwała na mokrych kamieniach, odbijała się od połaci pomarszczonego błota i zamieniała powolnie lecz stale przelewającą się przez cembrowinę studni wodę w strugę ognia. Niektóre dziwaczne kształty okazywały się ciałami: spod głazu wystawała bosa stopa, z bajorka krzyczała bezgłośnie twarz o ustach wypełnionych błotem. Gird wzdrygnął się. W ciemnościach ktoś zaniósł się kaszlem, a po chwili zwymiotował. Ktoś inny jęknął.

Przez resztę nocy przetrząsali gruzy w poszukiwaniu ocalałych. Większość znalezionych w ruinach posterunku była martwa lub dogorywająca, przygnieciona spadającymi kamieniami lub utopiona, bądź jedno i drugie zarazem; czasami ciężko było powiedzieć. Dzień ukazał wszystkim to, co ratownicy widzieli w blasku pochodni: nierówną stertę gruzu, błota i zmiażdżonych pozostałości tego, co było w środku. Wyciągali ciała jedno po drugim. Zbyt wiele ciał. Gird aż kipiał wściekłością na taką niesprawiedliwość. Felisa o rudej czuprynie, zlepionej teraz błotem, przygniotła walącą się wieża. Od pierwszego dnia był dla Girda

uwierającym kamykiem w buty, lecz jednocześnie wszystko robił najlepiej, jak umiał. Cob przeżył okaleczony – spadający kamień zmiotł mu stopę. Gird przyglądał się martwym i rannym. Dwudziestu trzech zabitych, jedenastu rannych na tyle, że nie mogli chodzić. W żadnej bitwie nie poniósł takich strat. Będą musieli wykopać grób... i nowe kloaki. Będą potrzebowali noszy dla rannych. Jedzenie – cały prowiant przepadł razem z posterunkiem. Nie był pewny, czy ufać wodzie sączącej się z roztrzaskanej studni i płynącej strumyczkami przez gruzowisko. Uświadomił sobie nagle, że od bardzo dawna pewnie nikt nie błogosławił tej studni. Jej merin mógł ją opuścić lub pogniewać się na ludzi, którzy brali sobie z niej wodę i nawet mu nie dziękowali. Możliwe, że uczynił ją podatną na moc władcy-maga.

Posłał kogoś po zioła dla zmarłych i kwiaty do studni. Jeżeli jej wody wciąż zamieszkiwał dobry duch, chciał go zadowolić i przekonać o szacunku ze strony obecnych użytkowników. Położył odpowiednie zioła na każdym trupie, mamrocząc modlitwy za ich wędrujące dusze, po czym rozsypał kwiaty na wodzie. Zawirowały, porwane niewidocznym prądem. Uznał to za znak, że merin przyjął ofiarę i odważył się skosztować wody. Była słodka.

– Wiesz, co to było? – zapytał Cob, kiedy Gird przystanął przy nim.

– Magia – odparł. – Przypuszczam, że czary władcy.

– Co możemy z tym zrobić?

Gird wzruszył ramionami. Nie dysponował przeciwko magii żadnym orężem, z wyjątkiem słów Arranhy i gnomów, że władcy-magowie tracili moc i powinien móc pokonać ich za pomocą zwyczajnych żołnierzy.

– Jeśli tacy byli kiedyś – powiedział Cob – to przestaję przeklinać mojego

praprapradziadka za to, że się poddali. Nikt nie mógłby stawić czoła czemuś takiemu.

Gird strzelił kostkami.

– No nie wiem. Większość z nas przeżyła, a on nie opuścił jeszcze murów, by walczyć. Może to ich wyczerpuje. Cob splunął. – Nie przyszedł walczyć, bo nie musi. Może to zrobić kolejny raz...

– Gdyby to było takie łatwe, zrobiliby to wcześniej. – Gird przemawiał powoli, doszukując się prawdy. – Posyłał żołnierzy i patrole, ponieważ to było łatwiejsze, dopóki nie zablokowaliśmy drogi, której potrzebuje. Poza tym, nie poszedł za ciosem. Uczyniłby tak, gdyby mógł – nie jest głupcem.

– Tak dobrze go znasz... – Cob rzadko uciekał się do sarkazmu; Gird uznał, że to przez ból stopy.

– Spotkałem go w zeszłym roku – odrzekł. Cob zagapił się na niego. – Kiedy przybyłem odwiedzić podwórze... to, co brałem za tutejsze podwórze. Spotkanie okazało się pułapką, lecz nie tylko na mnie.

– I spotkałeś władcę?

Gird pokiwał głową.

– Spotkałem go i... – Nie chciał opowiedzieć Cobowi wszystkich szczegółów tego spotkania. – To... interesujący człowiek – dokończył niezgrabnie. Cob obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

– Pewnego dnia zrodzi się z tego znakomita opowieść. O ile dożyjemy, by jej wysłuchać. – Spróbował poruszyć nogami i przygryzł wargi, żeby nie jęknąć. – Ostatnie, czego potrzebowałem – przeklęty kamień!

\* \* \*

Girda najbardziej niepokoiło to, że nie wiedział, co jeszcze władca potrafił. Skoro umiał osuszyć rzekę i wtłoczyć wodę do studni, niszcząc ją i ziemię, to co mógł działać z ogniem? Czy któreś z ognisk Girda zamieni się w rozszalałe piekło płomieni? Czy władca potrafił poruszyć wzgórza tak, jak poruszył wodę? Wezwać trąbę powietrzną? Skoro potrafił poruszyć wodę z takiej odległości, czy umiał wpływać bezpośrednio na ludzi? Zabijać ich? Dwudziestu trzech zabitych w ciągu kilku minut bez żadnego ryzyka dla władcy czyjego armii. Potrząsnął głową, jakby obsiadły go muchy. Niedobrze. Musiał wiedzieć więcej.

Wezwany Selamis wyraźnie wstrząśnięty przyglądał się namokłemu kręgowi zniszczenia.

– Jesteś synem pana – zaczął Gird; natychmiast spoczął na nim czujny wzrok mężczyzny. – Poznałem jednego z ich kapłanów. Powiedział, że władali kiedyś wielkimi mocami, które teraz osłabły. Mówił, że jedną z przyczyn, dla których władcy-magowie obcują z naszym ludem, jest nadzieja na pozyskanie nowych czarodziejów. Wiesz coś o tym?

Selamis nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po błocie i ruinach.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – oświadczył stanowczo. Gird chrząknął.

– Widziałeś kiedyś, żeby panowie rzucali jakieś czary?

– Tak. Mój oj... potrafią wyczarować światło. Przynajmniej niektórzy.

Widziałem raz, jak jeden wezwał drugiego. Tak byście to nazwali.

Pamiętam straszną kłótnię wśród służby, niemal bójkę, a kiedy wszedł pan, wszyscy ucichli, nawet zaczęli się uśmiechać. Nie ukrywali złości – oni przestali ją czuć.

- Co zrobił? – Gird nie przeoczył zmiany, jaka zaszła w głosie Selamisa, kiedy opowiadał o służących.
- Osądził ich, jednego zbeształ – a oni nie mieli mu tego za złe. Nie byłoby w stanie.
- Ty też to czułeś?
- Częściowo. To było... – Mężczyzna szukał właściwego słowa, bezwiednie poruszając rękoma. – Przyjemne – dokończył wreszcie. – Spokój, jak w upalne popołudnie. Poczucie bezpieczeństwa.
- Mmm. – Gird zastanawiał się, co to mogło znaczyć dla dowódcy. Móc sprawić, że jego żołnierze czuli się bezpieczni, pewni siebie... Przypomniawsobie, jak władca sprawił na nim wrażenie pewnego siebie. Uważał, że nie chciał go zabić, może jednak dostał się pod jego wpływ? A skoro potrafił to, może umiał również wzbudzać w innych strach i dezorientację? Zapytał o to Selamisa.
- Nigdy czegoś takiego nie widziałem – odrzekł tamten. Gird przyglądał się mu z namysłem. W tym człowieku było coś dziwnego. Był tylko dziesięć lat młodszy od Girda, a jednak wyglądał na młodszego od swych rówieśników. Gird cały czas miał ochotę nazywać go „chłopcem”. Może to wina krwi władców-magów? Arranha twierdził, że panowie pozbywali się mieszańców pozbawionych talentu mocy: czy dlatego Selamisa odprawiono z dworu?
- Rzucałeś kiedyś jakieś czary? – zapytał brutalnie. Selamis otworzył szeroko oczy, po czym zaraz je zmrużył.
- Nie. – Głuche stwierdzenie faktu, nie zachęcające do zadawania dalszych pytań. Gird zignorował to.
- Ten kapłan, którego spotkałem, powiedział mi, że obdarzone mocą

nieślubne dzieci adoptowano, a pozbawione magii maluchy odsyłano. Z twych opowieści wynika, że zostałeś z panami dłużej – myśleli, że możesz dysponować mocą?

Selamis zaczerwienił się i odwrócił.

– Nie mam mocy. Jestem zwykłym bękartem, a mój ojciec odesłał mnie... nigdy nie mówiąc, dlaczego. Nie zrobiłem nic złego... – Z wyjątkiem bycia bękartem – pomyślał Gird – pozbawionym mocy, na którą liczyli, płodząc cię. Nie podobał mu się płaczliwy ton głosu Selamisa. O kilka lat życia w luksusie za dużo; może uznał, że należał się mu na zawsze.

– Co z ogniem? Czy mogą podpalić coś na odległość?

– W taki sposób? – Selamis potoczył dokoła wzrokiem. – Nie wiem.

Rozpalić ogień, owszem, dotykając drewna, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś dokonał tego z jakiejś odległości. Chociaż... – zmarszczył brwi – ... raz zrobili to kapłani Esei w Holu Esei. Powiedzieli, że to bóg rozniecił ogień na ołtarzu, ale zawsze uważałem, że to byli oni. Mieli wtedy te swoje skoncentrowane miny.

A więc Selamis był w Holu Esei – z ojcem? Gird nie zapytał; miał bardziej palące zmartwienia.

– Czy wymaga to jakiegoś wysiłku? Męczy to ich?

Na obliczu Selamisa pojawiła się znowu dziwna mina – ostrożność zmieszana z czymś, czego Gird nie potrafił określić.

– Tak myślę. Słyszałem coś takiego.

– Wobec tego, jeżeli, powiedzmy, jeden człowiek zrobił tę sztuczkę z wodą, może być zbyt zmęczony, by dzisiaj zrobić coś jeszcze?

– Możliwe. – Wydał wargi. – Mówili, że to jest tak samo, jak z każdym rodzajem siły: słabeusza może wyczerpać uniesienie czegoś, co siłacz

poniesie bez trudu. Człowiek, który tego dokonał, może być zdolny do jeszcze większego wysiłku, lecz równie dobrze mogło to zrobić kilka osób wykorzystujących wszystkie swoje moce.

Gird podrapał się po twarzy. Miał wrażenie, że nie śpi od zawsze.

– A ty nie potrafisz powiedzieć, kto to był, prawda?

– Nie. – Selamis znowu rozejrzał się dokoła. – Straciłeś swoje mapy?

Gird zapomniał o mapach i zapiskach znalezionych w posterunku.

– Ja... pewnie musiałem. – Nawet, gdyby je znalazł, były nasiąknięte wodą, przygniecione kamieniami i rozmyte. Spojrzał ze złością na ruiny. – Co ja teraz zrobię – nie potrafię rysować map!

– Ja tak – oznajmił Selamis. – Moje dłonie niemal się wygoiły, a dość dobrze pamiętam te mapy. Poszukam; może coś znajdę. – Wstąpił ostrożnie na luźny kamień.

– Śmiało – mruknął Gird. Nie sądził, aby tamten znalazł cokolwiek użytecznego, lecz zawsze była jakaś szansa. Inni przetrząsnęli już ruiny, zbierając, co się dało. Choć większość znalezisk była uszkodzona tak, że nie nadawała się do naprawy, odzyskali między innymi kilka nietkniętych sztuk broni.

Przed południem wrócili dwaj zwiadowcy z doniesieniem, że zmierzało ku nim co najmniej sześćdziesięciu pikinierów z dziesiątką łuczników. Gird widział już chmurę pyłu. Dysponował zaledwie kilkoma łucznikami godnymi tego miana, choć wszyscy włościanie ćwiczyli z łukami zdobytymi w Nad Mostem. Miał mnóstwo czasu, żeby się wycofać, lecz nie chciał tego zrobić. Wciąż miał niemal dwukrotnie więcej włościan od tamtych oraz trzydzieści dobrych pik. Powinni co najmniej utrzymać most, chyba że władca zmusi rzekę do rozlania się. Odesłał rannych na zachód,



by zostali z cywilami.

– Jesteś tego pewny? – zapytał Cob. Gird wyczuwał zainteresowanie pozostałych; żałował, że Cob zadał mu to pytanie.

– Owszem – odparł. – On tego chce, albo nie uczyniłby tego wszystkiego. Już wcześniej uważaliśmy to za ważne; teraz to wiemy.

– Ale jeśli dysponuje jeszcze magią...

– Wycofamy się. To będzie zaplanowany odwrót... – Nigdy jeszcze tego nie robił, ale gnomy powiedziały mu, jak to powinno wyglądać. – Nie poradzą sobie z nami w sześćdziesiątkę, nawet z pikami...

– Łasko Alyanyi – sapnął Cob, kiedy ktoś nadepnął mu na stopę. Próbował upierać się, że mógł zostać. Gird wolał, żeby odszedł. Żałował, że nie mógł również nakazać tego Rahi, która cieszyła się doskonałym zdrowiem. Był zbyt mądry, żeby choćby spróbować. Zebrała wszystkie jego poglądy na kobiety i jej własną sytuację, po czym przekuła je w coś, czego jeszcze nie pojął. Trudno mu było myśleć o niej jako o swej córce, choć wciąż doskonale pamiętał ją jako dziecko i młodą kobietę. Wiedział, że już zabijała – po Nad Mostem opowiadano mu o jej wyczynach – nadal jednak widział ją raczej z torbą ziół i maści.

Uświadomił sobie, że stał tak i rozmyślał o Rahi, ponieważ szukał następcy Coba, a ona była logicznym wyborem... czy też raczej byłaby, gdyby nie była jego córką i kobietą. Mówił wprawdzie, że zasady są takie same dla wszystkich, ale czy naprawdę tak uważał? Przejrzał w myślach inne możliwości. Wszyscy starsi stażem mieli już swoje zadania.

Pozostawał Selamis, ale on był nowy; nigdy nawet z nimi nie ćwiczył.

Zastanawiał się, czy mógłby obwinie za to gnomy. Byli bardziej niż zaskoczeni wiadomością, że w podwórzach służyły kobiety. Za to Arranha

twierdził, iż władczyni-czarodziejki uczono sztuki prowadzenia wojny... przynajmniej kiedyś.

Rozejrzał się. Cob nigdy o tym nie wspomniał, lecz Gird wiedział, że wybrał Rahi na swego zastępcę. Była zajęta nadzorowaniem ludzi Coba przy usypywaniu sięgającego piersi wału ziemnego przy końcu mostu. Nie mieli tarcz, które osłoniłyby ich przed strzałami; będą musieli kucać za szańcem i mieć nadzieję. Może nie będzie musiał nic mówić. Zupełnie, jakby poczuła na sobie jego wzrok, odwróciła się i pomachała mu ręką.

W polu widzenia pojawiły się nieprzyjacielskie siły, maszerujące w żwawym tempie. Gird poczuł ściskanie w dołku. Wyglądali zupełnie zwyczajnie i gdyby wszyscy jego włościanie mieli prawdziwe piki, byłby spokojny o wynik starcia. Zanosilo się na żmudną, krwawą robotę drewnem przeciwko pancierzom i stali, lecz zwycięstwo było możliwe do odniesienia. Zwyciężali już. Gird rozstawił swych nielicznych łuczników po obu stronach mostu, skąd będą mieli najszersze pole ostrzału.

Zbliżali się. Za pikinierami dostrzegł łuczników. Usłyszał okrzyk i wszyscy zatrzymali się tak sprawnie, że nawet gnomy mogłyby im tego pozazdrościć. Łuczniczy napięli łuki i wypuścili strzały, które zapłonęły w locie. Gird gapił się na to jak ciele, które nagle porosło runem. Ktoś w jego własnych szeregach wrzasnął, lecz zaraz ucichł.

Płonące strzały wylądowały tuż za nimi, nikogo nie trafiając. W powietrzu była już kolejna salwa; ponieważ Gird polecił strzelać swoim łucznikom. Druga salwa upadła bliżej. Jeden z pocisków musnął Girda; poczuł zar płomieni. Strzały włościan skrzyły daleko od nieprzyjacielskiej formacji, zupełnie jakby w coś trafiły.

– Co to jest? – zapytał ktoś. Gird nie znał odpowiedzi. Zaczynał

zastanawiać się, czyjego dwukrotna przewaga w ogóle coś dawała.

Nieprzyjacielscy łucznicy wypuścili kolejną chmurę strzał, a włościanie podnieśli głowy i z niepokojem obserwowali ich lot. Dwóch z nich dostało pociskami prosto w twarz. Trafieni zostali także czterej inni włościanie i całą szóstkę spowiły płomienie, jakby byli wysmarowani olejem.

Towarzysze odsunęli się od nich i w tej właśnie chwili wroddy pikinierzy wbiegli na most.

Łucznicy Girda wymierzili ponownie i tym razem trafili kilku napastników, lecz większość z nich dotarła do szanca. W chwili, w której Gird podrywał swych ludzi do ataku, zdał sobie sprawę z popełnionego poważnego błędu. Nigdy wcześniej nie walczyli przez nasyp. Wzniesienie go dla ochrony przed strzałami – co i tak nie przyniosło rezultatu – zmuszało włościan do wyższego podnoszenia kijów, niż zwykle. Byli przez to niezdarni, upośledzeni przez szaniec, niezdolni do koordynacji działań, do jakiej nawykli. I choć ćwiczyli walkę ze sobą, jeszcze nigdy nie stawali naprzeciwko wyszkolonego oddziału pikinierów. Żołnierze władcy doskonale wiedzieli, jak posługiwać się swoim orężem ponad murem, a włościanie Girda stracili przewagę zasięgu, mieli gorszą broń i słabsze przeszkolenie.

Miało być jeszcze gorzej. Obrócił głowę, słysząc krzyk Rahi i ujrzał, jak wskazywała w dół rzeki, na północ. Dostrzegł chmurę kurzu i ciemne kropki, które były jeźdźcami. Przez głowę przemknęło mu jedno z ulubionych powiedzeń gnomiego wojennika: „Wojna nagradza ostrożnych i przewidujących, karze zaś niedbałych. Zniszczy cię niewiedza o wrogu”. Nie wiedział, że konni mogli przebyć Hoor na północ od mostu, nie wiedział o ognistych pociskach, nie wiedział, czego jeszcze nie wiedział.

Nie był pewny, czy wiedział, jak mieli ująć z tego z życiem.

Część pikinierów władcy wspięła się na szaniec, próbując rozszcześcić jego formację. Jeśli zdołają rozbić szyk włościan, wszystko będzie stracone.

Gird podniósł głos, przekrzykując zgiełk i nakazując im zebranie się wokół niego. Rahi obejrzała się przez ramię, skinęła głową i nakazała swoim ludziom zwarcie szeregów oraz powolne, ostrożne odsuwanie się od nasypu. Walczący w górze rzeki Keris uczynił to samo, choć nie tak porządnie. Piechota władcy pokonała szaniec i natarła na nich, lecz włościanie zdążyli zebrać się i przegrupować z powrotem w szeregi i kolumny.

Nad głowami walczących Gird widział jeźdźców. Otoczą jego siły, czy zaatakują z flanki? Jak nieprzyjacielski dowódca ustawi pikinierów? Nie czuł strachu, a jedynie rozczarowanie sobą, że wprowadził swych ludzi w pułapkę, co było błędem od początku do końca oraz upartą determinacją, by ich z niej wydostać.

Dowódca władcy (Gird dostrzegł wreszcie eleganckiego, niewysokiego mężczyznę w hełmie udekorowanym wstążkami) nie miał najmniejszych wątpliwości. Oderwał gwałtownie front swojego szyku od ludzi Girda i nakazał pikinierom zwrot, odsłaniając lewą flankę włościan własnym łucznikom. Strzelcy Girda choć raz wykazali się inicjatywą i umiejętnościami i zanim Gird zorientował się, co się stało, natychmiast posłali salwę prosto w nieprzyjaciela, przerzedzając pierwszą linię łuczników. Niestety, drugi szereg posłał płonące strzały prosto w zbitą formację włościan, a każdy trafiony natychmiast zajmował się ogniem. Gird przewrócił jedną z ofiar i próbował potoczyć ją po ziemi, by stłumić płomienie, lecz mężczyzna był martwy po wydaniu z siebie drugiego

wrzasku. Gird niemal nie czuł oparzeń, jakimi pokryło się jego ramię. Po plecach przebiegły mu lodowate dreszcze. To musiały być czary – żaden ogień tak nie płonął. Formacja włościan zachwiała się; wyczuwał ich przerażenie. Łucznicy podjęli kolejną rozpaczliwą próbę, powalając czterech następnych strzelców wroga.

Pikinierzy natarli na ich dawną prawą flankę.

Gird walczył z własnym strachem i zagubieniem, wykrzykując rozkazy w nadziei, że były właściwe. Ich piki dorównywały długością broni nieprzyjaciela – były nawet ciut dłuższe – i jeśli nie popełnią błędu, zdołają ich odeprzeć. Rzucił się naprzód, podnosząc włościan na duchu własną siłą i energią. Szeregi zwały się, wyprostowały... i za plecami usłyszał grzmot nadciągającej kawalerii.

Wojna była pełna błędów, lecz żadnego nie wybaczała. To również powiedzenie gnomów. Czasami zwyciężał dowódca, który popełnił ich najmniej lub potrafił je naprawić. Gird obrócił się, po raz ostatni klepiąc po ramieniu swych ludzi walczących z pikinierami, by głośnymi okrzykami dodać otuchy włościanom czekającym na szarżę konnych. Choć wyglądało to znacznie groźniej, robili już to wcześniej. Włościanie mocniej ujęli kostury i piki, gotowi do zrzucania jeźdźców. Konie, jak zwykle gdy zobaczyły przed sobą przeszkodę za dużą, by ją przeskoczyć, zwolniły, spłoszyły się i zaczęły się cofać. Jeźdźcy dźgali je ostrogami i okładali płazami mieczy, lecz nadaremnie. Gdyby nie pikinierzy za ich plecami, Gird powiódłby swych ludzi do ataku. Usłyszał nawoływania ocalałych łuczników i kilku konnych skrzyknęło, by powrócić ze strzelcami za sobą na siodłach.

– Uwaga! – krzyknął ktoś, zupełnie jakby mogli cokolwiek zrobić.

Łucznicy uśmiechnęli się – cała szóstka, jak policzył Gird. Jeźdźcy cofnęli się nieco, a ci ze strzelcami obrócili tak, by mieli oni jak najlepsze pole ostrzału. Gird zmówił bezgłośnie modlitwę do każdego boga, który mógłby zwrócić na niego uwagę, choć spodziewał się raczej, że okazał się na tyle głupi, iż wszyscy odwrócili się do niego plecami. Nie doczekał się cudu. Łucznicy rozmyślnie powoli wybierali strzały i nakładali je na cięciwy... – Pierwsze dwójki – naprzód, drugie: zwrot! – To było ekstrawaganckie, beznadziejne i niemożliwe posunięcie, lepsze jednak takie, niż stanie jak owce w zagrodzie. Pierwsze dwa szeregi z tej strony formacji Girda ruszyły za nim w bezładnej szarzy na konnych, a drugie dwa – które do tej pory wspierały walkę z pikinierami – wykonały zwrot i zajęły ich miejsce. Gird nie zatrzymywał się, by zobaczyć, czy to się udało, ani jak ładnie wykonali zwrot. Biegł prosto na konnych łuczników, wrzeszcząc co sił w płucach. Ujrzał wycelowaną w siebie strzałę i cisnął kijem, po czym rzucił się na ziemię.

Poczuł żar płomieni, lecz pocisk chybił. Spłoszony atakiem od tyłu rumak stanął dęba i zaczął tańczyć, walcząc ze swym panem. Łucznik zbyt późno złapał jeźdźca za pas i wylądował ciężko plecami na ziemi. Usłyszał krzyki – jeden z jego ludzi oberwał płonąca strzałą. Lecz pozostali nacierali za Girdem. Konie kwiczały i wierzgały, narowiły się i stawały dęba. Z siodeł spadli wszyscy łuczniczy, prócz jednego.

Pozostali jeźdźcy próbowali odciąć Girda i jego ludzi od zrzuconych na ziemię łuczników. Gird zanurkował pod końską szyją, wsunął ramię pod nogę jeźdźca i szarpnął. Mężczyzna spadł z drugiej strony i zranił własnego wierzchowca, próbując ciąć Girda. Koń kwiknął, spłoszył się i zderzył z innym, niwecząc próbę zadania ciosu przez drugiego konnego.

Gird dobył hauka i zdzielił napastnika mocno w kolano. Usłyszał, jak chrupnęło. Dojrzał jednego ze strzelców z łukiem przewieszonym przez plecy, jak wyciągał rękę, by jeździec pomógł mu wdrapać się na siodło. Konny pochylił się i łucznik złapał go za nadgarstek. Hauk Girda trafił go w zagłębienie pomiędzy szyją a ramieniem w chwili, gdy odrywał się od ziemi. Mężczyzna osunął się, pociągając za sobą jeźdźca. Nim ten zorientował się w niebezpieczeństwie, Gird szarpnął łuczniaka i ściągnął obu na ziemię. Przydepnął łuk i zdzielił w głowę najpierw strzelca, a potem konnego.

– Girdzie! Tutaj! – Podążył za okrzykiem i dotarł do zbitej grupki swych ludzi, broniących się kijami przed krążącymi wokół nich jeźdźcami. Zanurkował w środek obronnego kręgu w chwili, gdy czyjś miecz drasnął go w ramię.

– Dopadliśmy łuczniaków – oznajmił z dumą jeden z obrońców.

Bez strzelców konnica nie była w stanie dosięgnąć i pozabijać włościan; Gird zdołał połączyć ocalałych z jego wypadu z głównymi siłami. Jego armia okrzepła na ryle, by skutecznie stawić czoła pikinierom władcy, choć Gird zdał sobie sprawę, że nie mieli już dwukrotnej przewagi liczebnej.

Czas mijał, a okresy wzmożonych zmaganiał spoconych, sapiących i gryzionych przez muchy zbrojnych przeplatały się z długimi okresami odpoczynku, także wypełnionego sapaniem i oganianiem się od much. Obie strony opadały z sił i traciły wolę walki. Słońce chyliło się ku zachodowi, lecz Gird nie miał dokąd wycofać swych włościan. Lecz żołnierze władcy również nie otrzymali wsparcia. Obie strony zakleszczyły się niczym dwa uparte byki, które bezustannie przepierały się

łbami, nie mogąc udowodnić swej wyższości nad oponentem.

Impas przełamało przybycie dwudziestu włóścian Girda z najdalszego obozu, którzy chcieli sprawdzić, dlaczego nie otrzymywali żadnych rozkazów. Maszerowali, śpiewając „Złodziejską Zemstę” tak głośno i bezładnie, jak tylko dwudziestka mężczyzn potrafiła, a za nimi szło drugie tyle cywilów ze szpadlami i toporkami, chcących nauczyć się maszerowania. Nie było ich wystarczająco wielu, by sprawić prawdziwą przewagę, lecz jako świeże siły na polu bitwy wywarli efekt dalece przekraczający liczebność. Ludzie władcy dali krok do tyłu, potem drugi. Gird nie nakazał ataku; leciał z nóg i wiedział, że jego włóścianom również nie starczyłoby sił do dalszej walki. Pikinierzy władcy odsunęli się od nich na odległość wyciągniętego ramienia, potem piki, wreszcie pomiędzy piechotę wjechali konni, a żołnierze zrobili w tył zwrot i odmaszerowali do miasta. Gird pozwolił im na to. Był wystarczająco zadowolony, obserwując ich odwrót.

Nie było kwestii dalszego utrzymywania pozycji. Zbyt wielu poległo, dowodząc, że nie miał wystarczających sił, aby ją obronić. Gird przyglądał się, jak promienie zachodzącego słońca oświetlały plecy wycofujących się ludzi władcy, którzy zeszli z mostu i uformowali szyk. Włóścianie zbierali ciała swych poległych towarzyszy, nie zważając na martwych strażników. Byłoby głupotą obdzierać trupy na oczach ich kamratów. Zbyt wielu, zbyt wielu – Gird przeklinał swoją lekkomyślność, głupotę i czas, jaki poświęcał na przeklinanie ich.

– Przynajmniej wyciągnąłeś nas z tego – mruknęła Rahi, gdy zebrał ich, żeby odmaszerować.

– Nie ma za co dziękować – odparł. – Najpierw nas w to wpakowałem.



– Zawsze mówiłeś, że nigdy nie zapomina się lekcji, po której zostały siniaki.

Spojrzał na nią, lecz w spokojnych oczach nie dostrzegł wyrzutu.

– Tak mówiłem?

Uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami z zabrudzonej kurzem twarzy.

– Bardzo często. Kiedy kopnęła mnie ta przeklęta brązowa krowa. Kiedy Gori zranił się kosą w kostkę... – Gori, jej starszy brat, a jego pierworodny, który zmarł na zarazę. – To jedno z twoich ulubionych powiedzonek, na równi z: „Najpierw pomyśl, to później nie będziesz krwawić”.

Gird prychnął.

– Tego nie pamiętam. Bogowie: zastanawiałem się nad tym, co zrobię ja, zamiast co zrobią oni.

Jeśli nawet Rahi nie robiła mu wyrzutów, uczynią to inni. Sam miał do siebie pretensje za dzisiejszą głupotę. Wyciągnie z tego naukę – będzie musiał, żeby te wszystkie śmierci nie poszły na marne – lecz nigdy nie zapomni, że mógł postąpić inaczej, dzięki czemu ci mężczyźni i kobiety wciąż by żyli.

## Rozdział 24

Następną dłoń dni skarcony przez ostatnie wydarzenia Gird spędził na upewnianiu się, że jego obóz był możliwie jak najlepiej zabezpieczony. Wypróbował chcących ćwiczyć z włościanami i przydzielił do poszczególnych oddziałów, zastępując poległych. Odwiedził rannych, przygotowując się na słowa krytyki, których w rzeczywistości nie usłyszał. Był jednak pewny, że za jego plecami byli bardziej rozmowni. Ku jego zdumieniu, ostatnia klęska przysporzyła mu tyle samo ochotników, co wcześniejsze zwycięstwa. Nie było dnia, żeby do obozu nie zawitał jeden, troje bądź sześcioro mężczyzn czy kobiet, proszących o szansę rozpoczęcia szkolenia, by móc walczyć o „nowy dzień”. Jedni podróżowali wiele dłoni dni z odległych wiosek, inni przybywali ze wsi i miasteczek oddalonych o kilka godzin marszu. Młodzi entuzjaści – dzieci, jak postrzegał ich Gird, ledwo co odstawieni od matczynej piersi. Wytrzeszczali oczy na włościan-weteranów, jakby ci mieli wypisane na czołach „chwała”. Próbował wytłumaczyć im, jak ciężki jest żywot żołnierza, lecz prawie go nie słuchali, wodząc wzrokiem po wabiącym obcością obozie, kobietach w spodniach i z pikami w rękach oraz mężczyznach ćwiczących strzelanie z łuków. Gird wzdychał, przekazywał ich któremuś z bardziej surowych włościan-komendantów i starał się ignorować ich pełne zapału spojrzenia, gdy mijał ich, zajętych szorowaniem garnków lub kopaniem rowów kloacznych. Starsi rekruci stwarzali inne problemy. Jedni mieli żale do konkretnego pana i chcieli, żeby Gird zapewnił im zemstę. Tych mogło rozczarować odkrycie, że wszyscy mieli tutaj jakieś żale, a Gird nie uznawał niczyich

prywatnych powodów za ważniejsze od innych. Drudzy – bezspornie byli w swych wioskach wyrzutkami, kłótliwymi rozrabiakami, którzy liczyli na to, że Gird dostarczy im broni, jedzenia i pretekstu do pofolgowania skłonnościom do przemocy. Trzeci to szpiedzy, jak pierwotnie Selamis, czwarcy – starcy żywiący bezwzględne przekonanie, iż wiedzieli, jak Gird powinien dowodzić swoją armią, a piąci to żołnierze, którzy zmienili stronę, gdyż urodzili się jako wieśniacy i postanowili powrócić do swego ludu. Oni również wiedzieli najlepiej, jak Gird powinien dowodzić. Tylko nieliczni z nich dzielali troskę Girda o czasy po wojnie i ich krainę. A wszyscy wiedzieli mniej, niż sądzili.

Gird radził sobie z tym wszystkim najlepiej, jak potrafił. Posługiwał się bezceremonialną uczciwością i prostymi wyjaśnieniami, kiedy jednak to nie skutkowało, uciekał się do silnej prawicy i głosu, od którego – jak ujął to jeden z komendantów – kora odpadała z drzewa odległego o dwadzieścia kroków. Najmniej cierpliwości miał do burczymuch oraz takich, którzy – jak głosiło stare porzekadło – potrafili znaleźć ziarnko piasku w całym worku mięsa.

Mimo wszystko armia rozrastała się i Gird przekonał się, że umiejętności czytania, pisania i liczenia Selamisa były wręcz nieocenione. Nie musiał dłużej trudzić się nad zapamiętywaniem członków poszczególnych oddziałów, ich komendantów i włości-an-komendantów. Selamis w taktowny sposób zasugerował zmianę nazewnictwa, zachowując nazwę „podwórze” w jej pierwotnym znaczeniu i nazywając związki taktyczne „kohortami”, niezależnie od ilości podwórek, które je tworzyły. Gird zgodził się, po dłuższym krzywieniu się nad schludną notatką mężczyzny. Kapristi nazywali oddziały w zależności od ich liczebności, od

pięcioosobowego pigana po setkę gnomów, tworzących gerist, lecz w mowie jego własnego ludu istniały jedynie: „horda” oraz „skirra”.

Pierwsze słowo oznaczało wszystkich w osadzie zdolnych do walki, a drugie: niewielką grupkę, wysłaną celem kradzieży bydła. Nie podobało mu się używanie terminologii panów, lecz „kohorta” była lepsza od innych określeń.

Wspólnie z Selamisem i najbardziej doświadczonymi włościanami opracowali nową, bardziej zunifikowaną organizację. Kohorty liczyły do stu dwudziestu dłoni ludzi – choć termin „dłoń” zaczynał wychodzić z użycia w przypadku większych jednostek. Na czele każdej kohorty stał komendant i co najmniej czterech komendantów-włościan. Gdy kohortę tworzyły podwórza, dowodzenie obejmowali ich komendanci-włościanie, w innych przypadkach wybierano najbardziej doświadczonych włościan. Każda kohorta dzieliła się na grupy zadaniowe do wykonywania prac obozowych, dowodzone przez komendanta-włościanina. W przypadku podzielenia się armii – z dowolnych przyczyn – Gird miał wyznaczyć jednego z komendantów do dowodzenia grupą, w której nie było jego, co doprowadziło do utworzenia tytułu „najwyższego komendanta” oraz, pomimo jego protestów, „komendanta-generała” dla niego samego.

– Nie muszą zwracać się do ciebie w ten sposób – zauważył Selamis.

– Dzięki bogom! Czemu niby mieliby to robić? Generał to jeden z tych wyfiokowanych oficerów w kapiącej złotem zbroi i piórem u hełmu. Ja nie...

– Ależ w pewien sposób jesteś generałem. Dowódcą całej armii. Chodzi o zapisy, Girdzie, a jeżeli będziesz rozsyłał rozkazy...

– Pochlebstwa. – Gird zmierzył Selamisa pełnym wątpliwości wzrokiem.

Ten człowiek miał dobre pomysły, ale zbyt wiele na raz i aż za bardzo taktownie je przedstawiał. Nie wątpił w jego odwagę – poprosił o zgodę na rozpoczęcie szkolenia, pomimo, że jeszcze nie zagoiły się mu dłonie – nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że Selamis był jakby nieco zbyt gładki. Ku pewnemu zdziwieniu Girda władca nie przysparzał mu więcej kłopotów: żadne patrole nie wyruszyły za nimi w pościg, a posterunek przy moście pozostał stertą gruzów. Stacjonujący na wschodzie żołnierze Girda – pół kohorty, przypomnieli sobie – wrócili po kilku dniach z mnóstwem opowieści o własnych bitwach. „Niemał” odparli szarżę kawalerii władcy i nie widzieli żadnych oznak magii.

Ivis nie komentował niefortunnych wpadek Girda, za to pewnego dnia odciągnął go na bok, by porozmawiać o Selamisie.

– Robisz komendanta-włościanina z niego?

Gird uniósł brwi.

– Nawet o tym nie myślałem. Dlaczego?

– Nie należał do podwórza w swojej wsi.

Gird westchnął.

– Już to przerabialiśmy. Był wyrzutkiem; dostał czyjąś zagrodę...

– Nie ufam mu. – Przez przekorę, nieufność Ivisa sprowokowała Girda do stanięcia w obronie Selamisa.

– Przyznaję, że nie jest taki, jak my, ale jest dobry.

– Mówił Kefowi o twoim zdaniu o magii panów – powiedział Ivis. –

Zupełnie, jakbyś kazał mu to zrobić. Tak było?

– No cóż... nie. Ale jakie to ma znaczenie? No chyba, że kłamał. Co mówił?

– W większości to, co powiedziałaś mnie oraz że inni, którzy słyszeli coś

więcej, powinni przekazać to tobie.

– Ma to sens. Sam bym to nakazał, gdybym o tym pomyślał.

– Tak, ale... – Ivis pokręcił głową. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale on jest... nie jest pewny.

– Jego żonę i córkę zabito. Usłyszeliśmy o tym trzy dni temu od naocznego świadka. On też wie – każdego by to poruszyło. – Gird nie wspomniał, jak Selamis przyjął wieści. Sam nie był pewny, co oznaczało tamto milczenie zaciśniętych, pobielających warg, które szybko zastąpił pozorny spokój. Spojrzał na drugą stronę obozu, gdzie Selamis rozmawiał z kimś przy skrobaniu garnka. Zupełnie niegroźny; co tak niepokoiło Ivisa? Gird pamiętał, że Diamod budził jego niepokój różnicami pomiędzy gospodarzem a rzemieślnikiem i nieuchwytnymi zmianami zachowania. Do tej pory przenieśli główny obóz, odsuwając się na zachód od Grahlinu i na południe wzdłuż jednego z łuków wzgórz. Odzyskali tylko jedną mapę gnomów; w przypadku reszty Gird zawierzył pamięci Selamisa. Dla niego mapy wyglądały tak, jak tamte, tyle że namalowano je pędzelkiem, zamiast rysować piórkiem.

Większe obozy i bogatsze zasoby lata pozwalały na ulepszenia, których mu brakowało. Jeden z nowo przybyłych ogłosił, że kiedyś samodzielnie warzył ale i połączył nasiona wcześniej dojrzewających dzikich traw z bogowie jedni wiedzą czym, by wyprodukować mocne piwo. Smak kolejnych partii odbiegał znacząco od siebie, lecz nikt nie narzekał na różnice. Gird odkrył, jak odprężająco działał na niego kufelek sączony po zmroku, kiedy ciężar codziennych trosk przyginał mu barki i wkradał się bólem we wszystkie stawy. Od wielu lat nie mógł pozwolić sobie na kończenie dnia w miłym, choć nieco przyćmionym nastroju. Zasłużył na

to, powiedział sobie.

Pewnego wieczoru, po całym dniu spędzonym na rozsądzaniu błahych sporów, które tak często doprowadzały go do wściekłości, stanęło przed nim sześć nowo przybyłych kobiet ze skargami. Głowa bolała go od świtu, zwiastując burzę, która po południu zmoczyła cały obóz, dodatkowo zasnuwając go smrodem z latryn. Nikt inny nie przyznał, że go czuł; musiał nakrzyczeć na komendantów, żeby przeorganizowali swoje grupy zadaniowe i zabrali się za wykopanie nowej kloaki. Po burzy było gorąco i parno. Nie wiał wiatr, obsiadały ich chmary much, nic nie schło, a jego buty były kompletnie przemoczone. Na kolację została im zimna owsianka ze śniadania, gdyż burza zaskoczyła ich tak całkowicie, że zdołała zagasić wszystkie ogniska. W końcu Gird wycofał się na swój ulubiony pniak z garnkiem piwa Selisa i pozwolił, by napój usunął całodzienne podenerwowanie.

Nie był zadowolony z przybycia kobiet, a od wysokiego, przejmującego głosu ich prowodyrki rozboleły go zęby. Wnosiła skargę na zarządcę księcia z ich wioski oraz na komendanta-włościanina lokalnego podwórza, który nie chciał przyjmować kobiet. Dowodem na nierozsądne postępowanie zarządcy miała być jej szczegółowa opowieść o sporze prawnym, w który uwikłana była matka męża pewnej kobiety, a dotyczącym wstrzymania przekazania obiecane go talentu: Po chwili zaszkliły się mu oczy. Był boleśnie świadomy jej dezaprobaty, co tylko zmniejszyło jego wolę wykazania się zrozumieniem. Pozostałe pięć kobiet przysłuchiwało się, przestępując z nogi na nogę, zbite w ciasną grupkę za plecami Binis, ich rzeczniczki, zupełnie jakby była jakąś bohaterką, zdolną do zapewnienia im ochrony. Wcale nie wyglądała na bohaterkę – była

wysoką, wymizerowaną, ciemnowłosą kobietą o okazałym nosie, bardzo dużych zębach i zbyt wielkich dłoniach...

Nie pamiętał dokładnie, kiedy lekkie rozdrażnienie zamieniło się w nieskrywaną niechęć, a ta w złość. Przypominał sobie oblicze Binis, na którym początkowe zaskoczenie przerodziło się w niesmak, a potem gniew i nienawiść. Twarze za nią w lustrzany sposób odbijały jej uczucia, zupełnie jakby stała tam jedna osoba... Dalsze wspomnienia spowijała mgła. Następne, co pamiętał, to obudzenie go przez Kefa informacją, że Binis odeszła, a wraz z nią piątka świeżo zaciągniętych włóścianek. Było to późnym rankiem następnego dnia, znacznie później, niż zwykle wstawał.

– Poszła powiedzieć władcy, gdzie obozujemy – ostrzegął Kef. – Naprawdę ją rozwścieczyłeś...

– Powiedziałem to, co musiałem. – Gird potarł twarz, mając nadzieję, że ból głowy minie i zastanawiając się, co on takiego właściwie mówił. Nie wypił aż tyle, a tamta głupia kobieta nie musiała się mu naprzykrzać.

– Wiem, ale... – Kef przyjrzał się mu. – Powinieneś uważać, Girdzie; piwo Selisa obrałoby końską skórę z sierści.

– Nic mi nie jest. – Nieprawda, ale wystarczy mu kubek zimnej wody na głowę i coś do jedzenia. O ile mu zostawili. Podniósł się, tłumiąc jęk wywołany sztywnością stawów i rozejrzał się dokoła.

Coś było nie tak. Nie wiedział dokładnie co, lecz zamiast zwyczajowej obozowej krzątaniny wyczuwał niepokój, niemal szaleńczą aktywność w oddali i złowieszczy bezruch wokół niego. W pobliżu nie było żadnego z komendantów kohort, a mimo to nie odbywała się musztra, nie słyszał też z oddali tupotu maszerujących stóp. Uśmiechnął się do Kefa i ruszył ku



ognisku. Ogień zagasł, a kamienie były ledwo ciepłe. Z boku stał samotny garnek z zimną, zastałą owsianką.

– Ach, więc to twoje – zauważyła przechodząca mimo kobieta – Adar, przypomniał sobie po chwili. Wdowa, matka dwójki ocalałych dzieci.

– Jadłeś? – zapytał Kefa, który wciąż krążył wokół niego.

– O tak. Wieki temu. To znaczy...

– To znaczy, że zasnęłam, bo byłem pijany – dokończył Gird i zamieszał owsiankę, by przekonać się, jak bardzo się zestaliła. Wydłubał kawałek i zjadł go z trudem, nie spuszczać wzroku z Kefa. Tamten nie spojrzał mu w oczy.

– Cóż... poprzedniej nocy miałeś sporo spraw do załatwienia... – Czy wszyscy tak uważają? – Przełknął kolejną bryłkę, nawet nie próbując jej pogryźć. Można by tym przyklejać dachówki, pomyślał.

– Och, nie. Na pewno nie... choć niektórzy... to znaczy, ktoś tam coś rzucił, ale nawet nie wiem, kto...

Gird dokończył zimną, kleistą owsiankę i zamyślił się. Rahi przestrzegła go przed nadmiernym piciem, zawsze tak mówiła. Tam i Amis również, ale to było wiele lat temu. Pewni ludzie zawsze narzekają, że inni zbyt dużo piją. W jego przypadku byli to tacy, którzy nie mieli głowy albo serca do zabawy, więc próbowali odmówić jej innym. A jednak pamiętał starego Sekki, który wiecznie śmierdział skwaśniałym ale i zataczał się, kiedy chodził, a pewnej nocy skonał w cuchnącej kałuży własnych rzygowin. Sierżant przypominał o nim jemu i innym rekrutom, a w tym przypadku Gird doskonale wiedział, że przestrogi przed pijaństwem nie brały się ze wstrętu do alkoholu.

A więc... czyżby zeszłej nocy upił się i wyrzucił piątkę dobrych

włóścianek (Binis nie liczył), tracąc panowanie nad sobą w ataku pijackiej furii? Najwidoczniej część jego podwładnych tak właśnie uważała. Czy wszyscy mogli się mylić? Zdarzało się im to już wcześniej, lecz jemu także.

Głowa pulsowała mu bólem, a owsianka nie chciała ułożyć się w brzuchu. Wcale nie był pijany, musiał jednak ustalić, co na ten temat uważali inni. Wziął garnek i ruszył do strumienia.

– Dokąd z tym idziesz? – rozległ się za nim ostry głos. Obejrzał się i uśmiechnął do Adar. Poczerwieniła.

– Umyć go – odrzekł. – Czyż nie mamy zasady, że spóźniający się do stołu sami po sobie zmywają?

Szczęka jej opadła; z trzaskiem zamknęła usta. – Ale ty... przecież jesteś...

– Potrafię nabrać wody i wyszorować garnek, Adar – oznajmił spokojnie.

– A jeśli chodzi o zasady, to obowiązują one wszystkich. Bez różnicy, także w moim przypadku. – Odwrócił się i ruszył nad strumień, zanim zdążyła odpowiedzieć. Pierwszy chluzt zimnej wody wylądował na jego twarzy, dopiero potem zanurzył garnek, zaczerpnął garść piasku i drobnego żwiru i zakręcił nim w garnku. Pomacał palcami; kleista warstwa zaschniętej owsianki wciąż tam była. Cholera. Będzie musiał naprawdę nad tym popracować. Rozejrzał się w poszukiwaniu trzciny lub sitowia. Na brzegu stała Adar i obserwowała go.

– Proszę – powiedziała. – Będzie łatwiej. – Podała mu kawałek porowatej, szarej skały, bardzo lekkiej jak na swoje rozmiary. Czyścikamień albo szorowacz – przypomniał sobie, że w miastach na rynkach widział podobne kawałki, o wiele za drogie, by gospodarze mogli sobie na nie pozwolić. Mali zawsze używała sitowia. Lecz szorowacz szybko usunął

owsiankę ze ścianek garnka, a jego nawet nie rozboleły kostki. Oddał kobiecie kamień i wypucowany garnek.

– Przejdzie twoje oględziny? – zapytał.

Uśmiech wykrzywił jej wargi.

– Łatwiej, niż moja łopata do chleba przeszła twoje – odrzekła. – Nigdy nie przypuściłabym, że wiesz, jak szorować garnki.

Już chciał, odpowiedzieć, że to proste jak większość kobiecych prac – tak stwierdził jego ojciec, gdy zachorowała matka – uznał jednak, że lepiej tego nie mówić. Proste prace też bywały ciężkie, a ponieważ musiały zostać wykonane, lepiej, żeby ci, którzy się nimi zajmują, czerpali z tego dumę.

– Kiedy moja matka miała gorączkę – odpowiedział – ojciec kazał mi zająć się pracą w kuchni – żona mojego brata również zachorowała.

– Och. A gotować potrafisz?

Uśmiechnął się, przypominając sobie przypaloną owsiankę i chleb, z wierzchu spieczony na kamień, za to wilgotny w środku.

– Niezbyt dobrze. Próbowałem i nie głodowaliśmy, lecz nikt z własnej woli nie wybrałby mojej owsianki, ani chleba. Pani pobłogosławiła mnie darem siania i uprawiania zboża, ale nie przyrządzania z niego posiłków. – Nie wspomniał o plackach, które pomogły mu zdobyć zaufanie obozu pełnego głodnych ludzi. Doskonale wiedział, że nie wytrzymały porównania z prawdziwym jedzeniem.

– Znasz się na ale – rzuciła i zaraz poczerwieniała. – Przepraszam... nie to miałam na myśli...

– Owszem, miałaś. I przypuszczam, że wszyscy tak uważają. Ile naprawdę wypilem zeszłej nocy?

– Za dużo – odparła. – O ile wiem, cały garnek.

Chciał wytłumaczyć się bólem w kolanach, biodrach i ramionach, który odbierał mu siły oraz uśmierzanym przez ale napięciem i obawą.

Przypomniawszy sobie jednak – i wiedział, że ona też pamiętała – jak zrużgał młodego Czarnego Seliego za upicie się w tawernie i paplanie o najbliższym podwórzu. Czarny Seli tłumaczył się gorączką, a on nie przyjął tego do wiadomości. Zasady są dla wszystkich. Nie jestem żadnym wyjątkiem. Dlaczego tak powiedział i to na głos? Taka była prawda, ale mimo wszystko... Nikt nie wiedział, jak trudno było prowadzić bandę ciemnych wieśniaków od jednej bitwy do drugiej. Spojrzał na Adar i doszedł do wniosku, że nie przyjęłaby tego argumentu. On również nie, gdyby podał go ktoś inny.

Westchnął ciężko.

– Cóż, możliwe, że masz rację. Kiedyś piłem za dużo, uważając, że mam swoje powody.

– Jak większość mężczyzn – odrzekła Adar. – A przynajmniej tak mówią.

– Tak. No cóż, nie naprawię już zeszłej nocy...

Przekrzywiła głowę.

– Nie... ani jej skutków.

Nie uważał Adar za taką rozmowną. Była cicha, na musztrze prawie się nie odzywała; zawsze zajęta wykonywaniem zadań, nigdy nie plotkowała z innymi kobietami. Sam mówiłeś, że kobiety mają mózgi – przypomniał sobie. – Mówiłeś, że mężczyźni powinni ich słuchać. Ale co innego Rahi lub Pir, a co innego obca. Nie zamierzał usprawiedliwiać się przed nią, ani składać obietnic. Wspiął się na brzeg, odzyskując przewagę wysokości i spojrzał na nią z góry.

– Będę musiał spróbować – oznajmił. Po czym ruszył na poszukiwanie któregoś z komendantów swych kohort.

Kef złapał go w połowie drogi do obozu. Gird zdążył już dojść do wniosku, że problem był większy, niż pierwotnie sądził. Wszystkie paleniska były zimne, a przecież ktoś powinien parzyć napój i piec południowy posiłek. Nieliczni, których dostrzegł, zajęci byli pakowaniem.

– Girdzie! Rudy Selis chciałby widzieć się z tobą. – Kef był zdyszany; musiał przebiec spory kawałek drogi. – Tam – dodał, odpowiadając na nie zadane przez Girda pytanie. – W lesie nad strumieniem.

– Gdzie reszta komendantów? – zapytał Gird. Wiedział, że część mogła już zdezerterować.

– Ivis poprowadził kohortę w górę rzeki, by nazbierać opału; Sim szuka lepszego miejsca na obozowisko...

– Lepszego od tego? – Gird objął spojrzeniem czysty strumień i gęsty las dokoła, skrywający ich z niemal wszystkich stron. Poza tym, wystawili warty na wysokich skałach, które jako jedyne górowały nad obozem.

Kef spuścił wzrok.

– Boją się, że Binis doniesie – wyjaśnił. – Albo tamte nowe.

– I postanowili o przenosinach, kiedy spałem.

– Próbowali cię obudzić, ale... – Głos Kefa ucichł. Ból, jaki Gird zaczął odczuwać w sercu, dorównywał już bólowi głowy. Sam uczył ich, jak ważna jest zdolność przywódcy do pozostawania czujnym, szybkiego budzenia się i radzenia sobie w nagłych przypadkach. Pokazał im... Czy stracą do niego zaufanie, ponieważ raz zdarzyło się mu wypić za dużo ale? Czy nie zasłużył sobie na żadne odprężenie?

Wtem przypomniał sobie gnomy, ich surowe twarze i niezłomne zasady.

Ich wojennik miałby co nieco do powiedzenia na temat „odprężenia”, a on niekoniecznie miałby ochotę tego wysłuchać.

– Co powiedziałem Binis? – zapytał Kefa.

– Nie pamiętasz?

– Gdybym pamiętał, nie musiałbym pytać o to ciebie, prawda? Powiedz mi.

Kef spuścił wzrok i zaczął grzebać stopą w liściach, po czym spojrzał gdzieś ponad ramieniem Girda.

– Powiedziałeś... że masz gdzieś, co zrobił zarządca, że komendant-włóścianin miał pełne prawo zarządzać swoim podwórzem tak, jak mu się podobało, a jeśli nie miał ochoty wysłuchiwać paplaniny narzekających bab, traktujących wojnę jak bójkę o prawo do paleniska, to tobie nic do tego, a jeżeli ona nie miała dobrych powodów do wstąpienia do armii, to nie wytrzyma nawet dnia obozowej dyscypliny... że masz dosyć nienormalnych, usychających z pragnienia miłości dziewczek, które włóczą się po obozie i zawracają głowę twoim żołnierzom wygadywanymi niedorzecznościami... że jeśli chodzi o ciebie, to może zabrać swoją brzydką gębę do księcia i przekonać się sama, co dobrego dla niej zrobi...

– Powiedziałem coś takiego?

Kef przytaknął.

– Nawet więcej... i dużo barwniej, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Wzięłeś na świadków wszystkich bogów, jakich znam i paru, o których nawet nie słyszałem i przysiągłeś, że spuścisz jej spodnie na oczach całego obozu i solidnie ją wybatożysz.

– Och, bogowie. – Upadł na duchu. Nigdy nie podejrzewałby siebie o coś takiego. Uważał Binis za brzydką; należała do gatunku kobiet, za którym

nie przepadał, lecz nie usprawiedliwiała to jego słów.

– Właśnie wtedy Rahi próbowała cię uciszyć...

– Rahi... !

– A ty kazałeś jej zamknąć cholerną gębę, bo pokażesz jej, że nadal jesteś jej ojcem...

– Hmm. – Iskierka humoru rozświetliła jego przygnębienie. –

Przypuszczam, że nie przyjęła tego zbyt dobrze.

– Nie... Rzuciła, że ale nie jest niczym ojcem i wybiegła... zaraz po Binis. I innymi.

Gird złapał się rękoma za głowę. Było gorzej, niż przypuszczał. Gorzej, niż mógł sobie wyobrazić... Jak mógł zrobić coś takiego? Wyraźnie widział, jaki efekt wywarło to na wszystkie kobiety. Wcześniej nie miał z nimi problemów; robiły to, co wszyscy żołnierze, a teraz... Zadrzał.

– Gdzie jest Rahi?

Kef z powrotem wbił wzrok w ziemię.

– Odeszła. Razem z Simem. Ja... myślę, że ona wróci.

Przynajmniej jego syn był z niewielką grupką ludzi na dalekim zwiadzie na zachodzie. Może zdoła to wszystko wyprostować przed powrotem Pidiego. Miał wrażenie, że zajmie to sporo czasu i nie będzie przyjemne.

– Cóż. Dziękuję, że mi powiedziałeś. – Zaskoczył tym Kefa, który ewidentnie spodziewał się wybuchu gniewu. – Musiałem wiedzieć, co sprawiło, że wszystko runęło. Teraz już wiem i nie jestem zaskoczony.

– Nie?

Gird pokręcił głową.

– Nie... czemu miałbym być? Nie wiedziałem, co mówię, Kef... Nie musisz w to wierzyć, ale taka jest prawda. Co nie jest żadnym

usprawiedliwieniem; sam was tego uczyłem i tak samo dotyczy to mnie.

Popełniłem błąd, upijając się i mówiąc to wszystko Binis...

Kef znowu grzebał stopą w ziemi.

– Tamten komendant-włościanin opowiadał, jak trudno jest z nią wytrzymać – wiecznie wszczyniała sprzeczki, narzekała... Dlatego właśnie nie przyjął jej do podwórza...

– To bardzo możliwe. – Gird wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Wciąż bolała go głowa, lecz pomiędzy kolejnymi falami cierpienia widział jasno, co powinien zrobić. – Mimo to popełniłem błąd, na co nie mogę sobie pozwolić. Najpierw Rudy Selis, potem pozostali komendanci – musimy odbyć naradę.

Rudy Selis, który przejął dowodzenie nad oddziałem Felisa po klęsce przy posterunku, poczuł tak wielką ulgę na widok trzeźwego i chętnego do współpracy Girda, że wyglądał niemal głupio. Gird robił, co mógł, żeby promieniować spokojną pewnością siebie. Omówili przewiezienie wody do nowego obozowiska – o ile takowe znajdą – oraz przechowanie części ekwipunku w pobliżu strumienia na wypadek, gdyby wrócili tutaj później. Kiedy już wszystko zostało ustalone, Gird spojrzał Rudemu Selisowi prosto w twarz.

– Wczorajszego wieczoru zrobiłem z siebie durnia, a ty straciłeś do mnie zaufanie – co z tym?

Oblicze Rudego Selisa spowiła czerwień intensywniejsza od jego czupryny – No cóż, ja... chciałem powiedzieć, sir... skoro już o tym pan wspomniał... że nie chodzi o to, że przestaliśmy panu ufać...

Gird opanował chęć potrząśnięcia nim.

– Oczywiście, że tak, teraz jednak pytam: czy chcecie odejść? Wrócić do



domów?

– Odejść?! – Selisowi z zaskoczenia opadła szczeka; potrząsnął głową. – Nie, oczywiście, że nie. Przez jeden wybuch gniewu? Tylko, że... sam nie wiem dokładnie, ale...

– Ale gdybym zachował się tak w środku bitwy, pozabijałbym nas wszystkich – dokończył szorstko Gird. – Gdyby postąpiłby tak ktoś inny, własnoręcznie złamałbym mu kark. Tym gorzej dla mnie – powinienem dawać wam przykład. Wiesz co, nigdy przedtem tak mnie nie wzięło... niczego takiego nie pamiętam. To nie wystarczy: wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Ale żeby naprawić to, co wydarzyło się wczoraj, muszę wiedzieć, czy zaufasz mi na tyle długo, by samemu przekonać się, że dotrzymuję słowa.

– Cóż... tak. – Rudy Selis zmierzył go zamyślonym spojrzeniem. – Ja nigdy... to znaczy, myślałem, że będziesz zły za to, że widzieliśmy cię w takim stanie...

– Jestem zły, ale na siebie. To nie wasza wina.

– To mój kuzyn warzy to piwo... – wymamrotał Selis. Gird zapomniał o tym.

– To również nie jego wina. Słyszałeś, co mówiłem innym: zasady są takie same dla wszystkich. Byłem zwyczajnie głupi. To się więcej nie powtórzy.

– Mówiąc to, zaczął zastanawiać się, skąd będzie wiedział, że wypił za dużo? Z pewnością nie oznaczało to całkowitej rezygnacji z ale? Dostrzegł spojrzenia, rzucane ukradkiem przez tych ludzi z kohorty Rudego Selisa, którzy kręcili się na tyle blisko, by coś usłyszeć. Przynajmniej byli tutaj, a nie w drodze do domu.

Do wieczora Gird odwiedził wszystkich swych komendantów. Sim nie

znalazł dobrego miejsca na obóz; armia rozproszyła się, zajmując kilka tymczasowych miejsc i – na oko Girda – tracąc co siódmego rekruta. Nie zarządził oficjalnego przeliczenia, nikt też nie złożył mu formalnego raportu. Przez cały dzień nie widział Rahi, lecz nie chciał pytać o nią Sima. Poleciał komendantom, by jak najszybciej zebrali wszystkich włościń i w przyćmionym świetle leśnego zmierzchu stanął naprzeciwko swej armii, stłoczonej na zbyt małej polanie. Wyczuwał wrogość, strach i – co jeszcze bardziej niebezpieczne – oderwanie; zbyt wielu uznało, że nie obchodziło ich, co zrobił.

– Ilu z was – zaczął – widziało, co stało się zeszłej nocy? – Uniosły się ramiona i powszechny, potwierdzający pomruk. – Ilu z was wiedziało, że do tego dojdzie? Ilu zauważyło, że byłem pijany? – Nieco mniej ramion i cichszy pomruk. Wreszcie zza osłony drzew dobiegł ich wyraźny głos:

– Wiele dni temu zauważyłem, jak zaczęłeś każdego wieczoru opróżniać garniec ale. Powiedziałem do brata: „Tylko patrzeć, jak pójdzie drogą naszego wujaszka Berro”. I tak się stało. – Rozległy się pojedyncze śmiechy; dostrzegł też sporo kiwających głów.

– No cóż – mruknął Gird – miałeś rację. Mam tylko nadzieję, że wasz wujek Berro nigdy nie zrobił z siebie takiego głupca i nie powiedział tylu rzeczy, których później żałował.

– Zawsze słyszałam, że pijani mówią to, co naprawdę myślą – rozległ się wyzywający głos. Gird spodziewał się tego.

– Kiedy po raz pierwszy znalazł mnie pijanego, tata powiedział, że rozum pijaka jest przynajmniej dwa lata za nim. – Urwał, rozejrzał się i wyczuł iskierkę zainteresowania. – Gdybyście zapytali mnie wtedy, gdy miałem dom, żonę i dzieci, czy według mnie kobiety nadają się na żołnierzy,

odpowiedziałbym, że nie. Nigdy żadnej takiej nie widziałem; wy zresztą też nie. Kiedy przyszła do mnie Rahi – moja własna córka – sam w nią wątpiłem. Lecz nie miała dokąd pójść, a wiedziałem przecież, iż w jej żyłach płynie moja krew.

– I powiedziałaś jej...

– Zgadza się. Po pijanemu nagadałem jej bzdur. Może jakaś dawna część mnie faktycznie tak uważa. Lecz tu i teraz podtrzymuję to, co już wielokrotnie mówiłem o kobietach. Wszyscy o tym wiecie i znacie ustanowione przeze mnie zasady. Do tej pory dotrzymywałem ich. Pozwoliłem własnej córce – a ci z was, którzy mają córki, wiedzą, ile to kosztuje – wybrać stawanie własnym ciałem naprzeciwko pik i mieczy. Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem i nie wycofuję się z obietnicy, że prawa, jakie ustanowimy później, będą równie sprawiedliwe dla kobiet, jak i dla mężczyzn.

– Wszystko dobrze, kiedy jesteś trzeźwy... Ale co będzie, kiedy upijesz się piwem podczas pisania tych praw?

– Nie będę pijany. – Odczekał chwilę, by sprawdzić, jak to przyjmą. Zaskoczyła go zmiana atmosfery. Większość przysłuchiwała się z wiarą w niego. Pozostali byli niepewni, lecz już nie oderwani, ani wrodzy.

– Mogę być uparty jak osioł, ale nie jestem taki głupi: popełniłem błąd i to duży, który kosztuje nas wszystkich, nie tylko mnie. Nie zamierzam popełnić go po raz wtóry.

– Chcesz kazać komuś pilnować, żebyś przestał? – zapytał ten sam kobiecy głos. Gird nie sięgnął myślami dalej, niż do stronienia od ale.

– Dobry pomysł – rzucił, zaskakując ją. – Komu byście zaufali? – Po dłuższym milczeniu rozległo się kilka wymamrotanych sugestii, głównie

dotyczących komendantów.

– Rahi? – podsunęła ta sama kobieta.

– Wiecie co? – powiedział Gird. – Porozmawiam z Rahi, Cobem i innymi, których wymieniliście. Będą mogli powiedzieć mi, co sądzą o ilości wypitego przeze mnie ale. Czy to uczciwe?

Tym razem niemal wszyscy potwierdzili.

– Ale co z Binis? – zapytała inna kobieta. Gird skinął głową i machnął ręką na tych, którzy próbowali ją uciszyć.

– Ma rację. To, jak będę postępował od tej pory, to jedno, lecz to, co zrobiłem Binis i pozostałym to zupełnie inna kwestia... Muszę sobie z tym poradzić. Pomyślałem sobie, że pójdę ją poszukać. Przeprósć...

– Nie! Wyda cię.

Wzruszył ramionami.

– Nawet gdyby tak uczyniła, lepsze to, niż wydanie władcy was wszystkich.

Dyskusja jeszcze bardziej rozgorzała. Gird przeczekał ją. W końcu Rudy Selis przemówił za wszystkich:

– To już się stało: jeżeli poszła do władcy, to poszła... Nie chcemy stracić także ciebie. Jeśli wróci, to ją przeprosisz.

– Nie wróci – oznajmił ktoś inny. – Ale rudy ma rację. Nie przydasz nam się martwy ani uwięziony.

– Powinienem jej powiedzieć... – zaczął Gird, lecz przerwał mu głos zza pleców – Powiedzieć jej co? – To była Rahi. Obrócił się i ujrzał ją stojącą w takiej pozie, jakby nigdy się stamtąd nie ruszała.

– Powiem tobie, że przykro mi za wczorajsze – oświadczył. – Nie miałem pojęcia, jak bardzo byłem pijany.

– Bardzo – potwierdziła, wykrzywiając usta. – Bardziej, niż kiedykolwiek. Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczyło.

– Owszem. Zamierzałem odszukać Binis i powiedzieć jej...

Rahi pokręciła głową, zanim skończył.

– Lepiej nie. Uspokoiliam ją najlepiej, jak umiałam.

– Co?

– A jak myślisz, dokąd poszłam? Ktoś musiał upewnić się, że nie napuści na nas ludzi władcy. Pozwoliłam jej wygadać się – a rozjuszona ma jęzor niemal tak niewyparzony, jak ty – i przekonałam w końcu, że nie doczeka się z tego żadnych korzyści od zarządcy, a poza tym, nie zawinili wszyscy. Lecz ciebie znienawidziła i z radością wyrządzi ci każdą możliwą szkodę. Nie naprawisz tego; lepiej z tym skończyć.

Zgromadzenie rozpadło się na grupki; część ludzi rozmawiała ze sobą, kilku sprzeczało się, wielu podchodziło do Girda podziękować mu za przemówienie, inni po prostu skupili się wokół niego. Zamieniał po kilka słów z każdym, kto do niego podszedł, czując skupioną na sobie uwagę Rahi. W końcu wszyscy rozeszli się, a ona stanęła cicho u jego boku.

– Byłeś głupi – powiedziała niegłośnie. W jej głosie dźwięczała stal.

– Tak. Sam nie wiem...

– Mama mówiła, że za młodu zdarzało ci się tak popić. Wracając do domu gotowy walczyć z całym światem.

– Nie przypominam sobie... Przed poznaniem jej – owszem, ale potem...

– Powiedziała, że zdarzyło ci się to tylko kilka razy, lecz na łożu śmierci kazała mi mieć na ciebie oko. Pomogę ci, jeśli zdołam.

– Już mi pomogłaś. Przepraszam, Rahi. – Objąłby ją, lecz stała za daleko. Nie była już jego córką i upewniała się, że to pojął. Ta świadomość

przeszyła mu serce bólem równie wielkim, jak inne wydarzenia.

Westchnęła podobnie do niego i bezradnie zamachała rękoma.

– Nie sądzę, abyś rozumiał, co twoje nauki znaczyły dla kobiet... więcej, niż sam uważasz. – Uniósł brwi, zapraszając ją do dalszej wypowiedzi, ona jednak pokręciła głową. – Nie zrozumiesz; nigdy nie zajmowałeś naszej pozycji. Nie zepsuj tego, cokolwiek zrobisz. Nie dla mnie, ani żadnej z nas. Stracisz... stracisz coś więcej, niżli żołnierzy twojej armii.

– Nie mam takiego zamiaru, Rahi. Dopilnujesz tego, co?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Powiem ci, że za dużo pijesz, a ty mnie przeklniesz.

– Bezskutecznie; bogowie wiedzą, które klątwy powinni brać na poważnie. Mówię to teraz, kiedy jestem trzeźwy: rób tak, a ja wysłucham ciebie, albo wbijesz mi rozum do głowy haukiem. Słyszałaś, co powiedziałem innym? Cóż, dotyczy to również ciebie.

## Rozdział 25

W ciągu następnych kilku dni nic nie wskazywało na to, żeby Binis wypełniła swoją groźbę i zdradziła miejsce pobytu armii władcy.

Dezerterzy stopniowo wracali. Po publicznych przeprosinach Gird najchętniej zapomniałby o całym zajściu. Niestety, im dłużej o nim myślał, tym gorsze mu się wydawało: najpierw porażka, a potem wybuch pijackiej wściekłości. Będzie musiał coś zrobić, żeby się zrehabilitować.

Wybór padł na zakłócenie dnia poboru podatków na rynku miasteczka na zachód od nich. W większości miast stacjonowały garnizony lokalnych panów lub króla, co wymiennie ułatwiało narzucanie specjalnych opłat i podatków. Także mieszczenie mieli znacznie więcej do stracenia od biednych rolników i wykazywali mniejszą chęć okazywania pomocy zwolennikom Girda. Choć większość wiosek wspierała podwórze, niewiele miasteczek szło ich śladem, a tamtejsze organizacje były małe i bojaźliwe.

Tym razem, przed zaplanowaniem ataku Gird upewnił się poprzez szpiegów, że w Jasnej Wodzie nie przebywał żaden z panów. Zetrą się z niecałą setką żołnierzy – dobrze wyszkolonych i wyposażonych, lecz pozbawionych wsparcia magii – przy współudziale podwórze ze wszystkich okolicznych wsi oraz niepewnym poparciem artystów z samej Jasnej Wody.

Miasteczko leżało w dolinie pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, nad strumieniem wpadającym do dopływu Honnorgatu. Większa część armii Girda stacjonowała na wschód stąd. Przesunął dwie kohorty na wzgórze na zachód od miasta i czekał. Miasteczko było zbyt małe, by mogli przycząić

się wśród zabudowań; pomimo zbliżającego się letniego jarmarku lokalni żołnierze zachowywali czujność. Nie mógł również liczyć na pomoc dwóch dłoni włościan z tamtejszego podwórza – powstało ono dopiero zeszłej zimy i nie miało miejsca do regularnych ćwiczeń. Niemniej, zgodnie z oczekiwaniami, zbliżający się targ i napływ kupców rozproszył żołnierzy – trzymali się blisko miasta, sprawdzając handlarzy i nie zawracając sobie głowy patrolowaniem lasów. Po rozpoczęciu jarmarku strażnicy przestali nawet udawać, że wysyłają regularne patrole. Mieli wystarczająco dużo roboty w samym miasteczku i na otaczających je łąkach. Kupcy, którzy nie dotarli do Grahlinu Drogą Rzeczną, zбочyli ze szlaku i zatrzymali się tutaj; pola na południe od zabudowań były gęsto upstrzone ich obozowiskami.

Na dzień przed zbiórką podatków z Finyathy przybył drugi kontyngent żołnierzy w barwach króla i uzbrojonych w piki. Obserwujący to z Girdem Selamis oznajmił, że w miasteczku przebywało obecnie stu pięćdziesięciu nieprzyjacielskich żołnierzy. Gird skrzywił się i wysłał zwiadowców na drogi, by upewnili się, że nie czekały ich już więcej żadne niespodzianki. Następnie wezwał do siebie Rahi.

– Będziemy potrzebowali tam każdego włościanina zdolnego do noszenia broni – wskazał las po drugiej stronie doliny pod grzebieniem żółtych skał.

– Kiedy zaatakujemy tutaj, walka przeniesie się w tamtą stronę, dzięki czemu znajdą się na idealnej pozycji, by zaatakować...

– Jesteś pewny?

– Pewna jest tylko śmierć, ale tak powinno się to rozegrać. Nie mogą pójść w innym kierunku bez wpakowania się w mokradła u zbiegu strumieni.

Całe szczęście, że mieszkańcy Jasnej Wody wzniesli swoje miasto na tym



brzegu. Jeśli wszystko potoczy się pomyślnie dla nas, nasze odwody powinny znaleźć się przy moście, kiedy będą tamtędy się wycofywać. Wszystko odbyło się zgodnie z planem Girda. Dwóm kohortom udało się dostrzec niezauważenie do skraju pól na południe od miasteczka; kupcy, którzy mogli je dostrzec, znajdowali się na targu, gorzko uskarżając się na nałożony podatek. Żołnierze otaczali rynek, zastraszając ich. Nieliczni służący kupców na widok obszarpanej, acz zdeterminowanej armii Girda dali nura pod wozy, zbyt przerażeni, by wszcząć alarm. Zanim osiągnęli mizerne mury miejskie z otwartymi na oścież bramami, kilku żołnierzy zobaczyło ich i próbowało zaalarmować innych, lecz w zgiełku jarmarku ich krzyki przeszły bez echa i Gird ze swoimi ludźmi wkroczył do miasteczka.

Bardziej przypominało to rzeźnię, niż bitwę. Pierwsza kohorta uderzyła na tyły strażników. Byli rozstawieni wokół rynku, gdzie więzili kupców, dopóki tamci nie uiścili podatku; nie mogli odwrócić się, ani przegrupować wystarczająco szybko, by się obronić. Wielu z obecnych na rynku miało własne powody, by z dziką radością dołączyć do walki. Gird ujrzał kobietę, obrzucającą żołnierzy kręgami serów; pasterz zabił strażnika kijem w głowę w samą porę, by włościanin poderżnął mu gardło nożem. Plan bitwy Girda legł w gruzach, gdy wszyscy włączyli się do walki po którejś ze stron. Po śmierci oficera podatkowego chmara wieśniaków i kupców rozszarpała worki z podatkiem i rzuciła się na ziemię, zbierając rozsypane monety.

Po drugiej stronie rynku żołnierze zdołali przegrupować się i podjąć walkę. Na sygnał trąbek zwarli tarcze i ruszyli naprzód. Gird zdołał połączyć swoje kohorty pomimo nacisku tłumu, który pierzchnął na widok

żołnierskich mieczy.

Spotkali się na środku rynku. Gird miał przewagę liczebną i zmusił żołnierzy do wycofania się w głąb jednej z wąskich alei wychodzących na rynek. W tym momencie mieszczanie ponownie włączyli się do walki, rzucając różnymi przedmiotami z okien – przeważnie w żołnierzy, choć niektóre pociski wylądowały na oddziale Girda. Dojrzała śliwka rozprysła się mu na głowie, a lepki, słodki sok spłynął po twarzy. Przypomniawszy sobie rodzinną wioskę. Kohorty parły naprzód, a coraz bardziej niepewni żołnierze wycofywali się coraz szybciej.

Wschodnie bramy miejskie wychodziły na wąski pasek ziemi pomiędzy murami a rzeczką; jak w większości miasteczek, tak i tutaj most znajdował się poza zabudowaniami. Żołnierze spróbowali kontrataku, lecz nie mieli większych szans przeciwko liczniejszym włościanom, w dodatku wyposażonym w dłuższą broń. Wycofali się bezładnie na południe wzdłuż murów, w stronę pól, gdzie obozowali kupcy, oraz mostu, po którym przekroczyliby rzekę i dotarli na drogę, zapewniającą bezpieczny odwrót na północ. Lecz odwody Girda były tam, gdzie się ich spodziewał i nieprzyjaciół znalazł się w kleszczach.

Gird właśnie nakazywał zebranie broni z trupów, gdy ze wschodnich bram miasteczka wylał się strumień rozwrzeszczanych ludzi. Kohorty natychmiast zwarły szyki. Mężczyźni zwolnili i naprzód wystąpiła ostrożnie mniejsza grupka.

– Kto tu dowodzi? – zapytał wysoki, gruby mężczyzna w szacie kupca. Sądząc po tonie, nawykł do wydawania rozkazów. Gird wyszedł przed szereg.

– Jestem Gird.

Mężczyzna wyraźnie uspokoił się.

– Gird... słyszałem o tobie. Musisz coś zrobić! W środku doszło do zamieszek: wymordowali radę miasta i łupią rynek...

Gird wzruszył ramionami.

– Czego się spodziewałeś? Przypuszczam, że są głodni.

– Ale ty... słyszałem, że jesteś inny... że uczyłeś się prawa, czy coś w tym guście i masz pojęcie o porządku.

Gird obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

– Prosisz mnie o przywrócenie porządku w mieście? – Usłyszał poruszenie w szeregach za sobą.

Mężczyzna obejrzał się na podobnie jak on zatroskanych ludzi za swoimi plecami. Gird zauważył, że wszyscy wyglądali na dobrze sytuowanych: na ubraniach nie było łat, a twarze lśniły zdrowiem.

– Cóż, ja... nie jestem w stanie. Nie znam nikogo innego, a wszyscy mówią, że umiesz kontrolować wieśniaków.

– Czy właśnie tego chcecie? – zapytał Gird pozostałych. Kilku pokiwało głowami, reszta sprawiała wrażenie zagubionych. Gird poczuł nagłą falę podekscytowania. Czy był to początek nowego społeczeństwa, o którym marzył? Możliwość wprowadzenia przynajmniej jednego miasteczka na właściwą drogę? Była to szansa, nieważne: dobra czy nie. Skinął zdecydowanie głową i ujrzał na ich twarzach, że bardziej ucieszyło ich to, niż wystraszyło. Miał nadzieję, że jego kohorty również wyrażą zgodę. Obejrzał się na nich, szybko przyglądając się obliczom włościan. Część wyglądała na równie zagubionych, jak kupcy, większość pałała zapałem, nieliczni byli rozzłoszczeni lub niechętni. Tych ostatnich wywołał i wysłał na zwiad na drogi.

– Poproszono nas o przywrócenie porządku w Jasnej Wodzie – oznajmił. Jeden z kupców wymamrotał coś, lecz Gird nie zwracał na niego uwagi. – Nie chcę żadnych grabieży, ani bezsensownych oszustw – wiecie, o czym myślę. To nasz lud, taki sam, jak gospodarze – potrzebujemy ich, a oni nas. Pozwolimy im przekonać się, czy spodobają się im nasze zasady i czy uznają je za sprawiedliwe.

Do środka wprowadził tylko jedną kohortę, zastępując rannych rozsądnymi włościanami z innych oddziałów. Tłum na rynku rozproszył się; ludzie stanęli pod ścianami. W oddali słyszał awantury: gniewne głosy i szczęk żelaza. Trzeba będzie zająć się tym, teraz jednak musiał zapanować nad centrum miasteczka.

Wyglądało o wiele gorzej, niż na dziedzińcu hrabiego: trupy, potłuczone naczynia, rozrzucone i podeptane jedzenie, porozwalane stragany o łopoczących na wietrze, podartych markizach. Wprowadził żołnierzy na rynek i uświadomił sobie, że nigdy nie wyjaśniał im, jak powinno zarządzać się miastem. Sam nie był tego pewny.

Kupcy i handlarze, którzy po niego przyszli, stanęli teraz z boku, jeszcze bardziej zaniepokojeni.

– Musisz coś powiedzieć! – syknął ich przywódca. Gird przytaknął i w milczeniu omiótł rynek wzrokiem, przyglądając się gapiom i ich minom. Potem energicznie pokiwał głową i unióśł dłoń, prosząc o ciszę.

Patrzyli na niego podobnie, jak pierwsi buntownicy, których napotkał w lesie. Oby okazali równie wiele rozsądku.

– Słyszeliście o mnie – zaczął, wcale nie mając pewności, że tak było. – Jestem Gird; dowodzę gospodarzami, którzy szukają lepszego sposobu życia. Walczymy z panami, którzy obciążają nas coraz to nowymi

podatkami... – przerwał mu bezładny aplauz; ponownie uniósł dłoń i zapadła cisza. – Już wcześniej widzieliście zdesperowanych gospodarzy chwytających za broń, lecz my nie jesteśmy zdesperowani. Znamy lepszy sposób, bardziej sprawiedliwy i chcemy pokazać go innym. Ci ludzie – wskazał na kupców – przyszli do mnie i poprosili o przywrócenie porządku w Jasnej Wodzie. Wolałbym raczej zaprowadzić tutaj sprawiedliwość... Czy tego właśnie chcecie?

Oparty o mur ponurak odkrzyknął:

– Jakie znaczenie ma to, co chcemy. Masz broń; zrobisz, co zechcesz.

Gird pokręcił głową.

– Nie; jeżeli Jasna Woda woli chaos od porządku, będziecie go mieli. A ty?

– Ja? Ja chcę tylko moich praw.

– Tego właśnie chcemy dla wszystkich – pozostali pokiwali głowami. Gird dostrzegł nieprzychylnie spojrzenia, jakimi obrzucano ponuraka. Podniósł głos, by słyhać go było także poza rynkiem. – Gdzie jest Jens, pomocnik rymarza?

– Tutaj! – Gird nie spotkał wcześniej Jensa, komendanta-włościanina podwórka Jasnej Wody, lecz natychmiast polubił młodego, krępego mężczyznę o błękitnych oczach pod strzechą kasztanowych włosów. Miał ze sobą całe podwórze, stojące w czymś przypominającym dwuszereg.

Gird odwrócił się do pozostałych. – Oto komendant-włościanin podwórza Jasnej Wody. Pomoże mi przywrócić tutaj prawo i sprawiedliwość. Zna was, a wy znacie jego. Będzie przemawiał w moim imieniu – spojrzał na Jensa. – Wiesz, co to za walki wciąż trwają? Czy jest tutaj więcej pańskich sił? – Jens pokręcił głową. – Nie, panie. Wydaje mi się, że hałas dobiega z komnat rady łupionych przez lud, ale więcej żołnierzy tutaj nie ma.

– W porządku. Trzeba posprzątać plac... – Gird rozejrzał się dokoła. –

Rannych ułóżcie koło studni, żeby uzdrowiciele nie mieli daleko po wodę.

Martwych za mury – będziemy potrzebować mężczyzn do kopania

grobów. Ci, których stragany zostały poniszczone, mogą zabrać się za ich

naprawę. – Wskazał na kobietę, którą pamiętał z rzucania serami w

żołnierzy. – Ty – co z twoim straganem?

Pokazała mu stertę połamanych desek i podartego materiału. – To

wszystko, panie i nie wiem, skąd wezmę następny...

Gird wyznaczył dwóch włościan.

– Pomóżcie jej naprawić, co się da. Selamisie... – Wzywany stał u jego

boku, rozglądając się roziskrzonymi oczami. Gird zgromił go spojrzeniem.

– Weź się za liczenie – kto miał jaką powierzchnię, kto potrzebuje pomocy przy naprawie kramów i domostw. I wszystkiego innego, co tylko ustalisz.

– Spojrzał na Kefa, jednego z komendantów, których ze sobą

przyprowadził. – Zabierzesz pół kohorty i stłumisz te zamieszki,

czymkolwiek są. Rahi, weź resztę i upewnij się, że wszędzie indziej panuje spokój.

Sam został na rynku z Selamisem, próbując zrozumieć organizację

miasteczka. Była znacznie bardziej skomplikowana od struktury jego

wioski, czy armii. Artyści nie byli zwyczajnymi „rzemieślnikami”, jak

wcześniej zakładał. Każde rzemiosło miało własny cech, a wszystkie

rywalizowały ze sobą, o czym szybko przekonał się, wysłuchując ich

przedstawicieli. W każdym z nich również istniała hierarchia i rywalizacja.

Tak więc pomocnik garbarza mógł zdzielić kułakiem pomocnika farbiarza,

ten jednak mógł zrewanżować się mu co najwyżej przekleństwem, za to

pomocnik garncarza dorównywał w hierarchii garbarczykowi. Kowalstwo

artystyczne nie miało nic wspólnego ze zwykłym, a Jasna Woda szczyciła się posiadaniem zarówno płatnerza, jak i ślusarza. W wiosce Girda każdy mógł zbić ławę lub ogrodzić zagrodę; tutaj cieśle i stolarze byli oddzieleni obyczajem i kastą. Ciekawe, co powiedziałyby Diament, ten jednak wyprawił się na zwiad. Byli również kupcy, jedni wyspecjalizowani – jak handlarz solą, inni ogólni – jak importer zajmujący się wszystkim co przebyło góry: od igieł, przez jedwabie po guziki rzeźbione w kształty morskich poczwara. Domy miały dwa i trzy piętra; najbogatsze skupiły się w południowo-zachodniej części miasteczka.

Wkrótce po zajęciu posterunku straży przez włościan, w miasteczku zapanował niepewny spokój. Gird robił, co mógł, by każdemu zapewnić zajęcie, upierając się, że ulice muszą być uprzątnięte z trupów („Owszem, ze szczurów także!” – ryknął na takiego, co odważył się zapytać) i śmieci. W miarę możliwości zwracał odzyskane towary kupcom, choć nie mógł wyczyścić i naprawić tego, co zabrudziło się i zniszczyło podczas walk. Pierwszy dzień strawił na rozsądzaniu takich właśnie pomniejszych sporów, choć część z nich wydawała mu się głupstwem. Czemu dzień po bitwie ktoś miałby oczekiwać wyroku przeciwko sąsiadowi za wykorzystywanie jego balkonu do przywiązywania sznurka do suszenia prania? Dlaczego wybierać taki moment na skarżenie się na syna sąsiada, że zalecał się do jego córki bez zgody ojca? Uświadomił sobie, że choć komendant-włościanin Jasnej Wody był tutaj powszechnie znany i uważany za uczciwego, to niestety miał niski status pomocnika rymarza i cokolwiek powiedział, było natychmiast zaskarżane u Girda. Ten zaś mógłby uznać to za zabawne (wszak woleli osąd pozbawionego gospodarstwa chłopca), gdyby miał czas na żarty.

Wieczorem został zaproszony na kolację z najważniejszymi kupcami, którzy mieli – był tego pewny – własne pomysły na pojęcie sprawiedliwości. Podano wołowinę i ale; gospodarze unieśli brwi, gdy podziękował za piwo i uparł się, by każdy z nich zjadł kawałek jego chleba, nim on sam zasiadł do posiłku.

– Słyszeliśmy, że lubisz ale – rzucił nazbyt gładko jeden z nich. – Jeżeli wolisz wino...

– Wolę wodę – odrzekł z uśmiechem Gird. – Odkryłem, że podczas wojny pijak ma o połowę mniej ludzi od trzeźwego i mniej, niż połowę rozumu. Roześmiali się grzecznie i przeszli do meritum szybciej, niż oczekiwał. Co rozumiał przez sprawiedliwość i jak zamierzał zapewnić kupcom szacunek i właściwe traktowanie? Gird odpowiedział zgodnie z naukami gnomów: jedno prawo, takie samo dla wszystkich, do równych miar i wag. Sędzia rynkowy, wspierany przez sąd, do którego wszystkie strony mogły wyznaczyć swych reprezentantów. Wyczuwał, że część kupców była tym usatysfakcjonowana (nigdy nie wierzył, że wszyscy handlarze byli nieuczciwi do szpiku kości), lecz paru pobladło. Jeden z nich odprowadził go do samych koszar straży, komplementując dyscyplinę włościan. Gird czuł się tak, jakby zarządca chwalił go za schludność cielęcia.

– A ty sam – ciągnął mężczyzna głosem łagodnym jak ale, którego Gird nie wypił. – Jesteś taki odmienny od mych oczekiwań – prawdziwy chłopski książę. – Gird z trudem panował nad sobą. Czy ten facet myślał, że wieśniacy nigdy nie słyszeli kłamliwych pochlebstw? Cielę, które zarządca tak wysoko ocenił, zostało zabrane jako „dobrowolny dar” na wesele hrabiego. – Jestem pewny, że nie zrozumiesz mnie źle... – W głosie pojawił się inny ton i Gird przygotował się na cierń, który miała ukryć ta



dotychczasowa różana słodycz. – Niektórzy z mych kolegów są – niestety – nie do końca szczerzy z tobą. Działają wedle własnych standardów, których ty, tak na wskroś uczciwy, możesz nie pojąć.

Girda kusiło, żeby powiedzieć: „No dalej, człowieku! Chcesz złota, czy czyjegoś życia?” W zamian jedynie chrząknął i lekko przyspieszył. Dłoń mężczyzny dotknęła jego rękawa, spowalniając go. Gird spojrzał przed siebie, na pochodnie swych ludzi, trzymających straż na rogach rynku.

– Jest sprawiedliwość i sprawiedliwość – mruczał mężczyzna, nie zdejmując dłoni z ramienia Girda. – Człowiek taki, jak ty – gospodarz, sól tej ziemi, jak zawsze powiadam, obdarzony łaską Alyanyi... – To ostatnie zabrzmiało chrapliwie jak kaszel; Gird szedł o zakład, że do tej pory jego rozmówcy nawet przez myśl nie przeszło imię Pani. – Po prostu chcę, żebyś wiedział, iż jestem twoim przyjacielem i możesz mi zaufać. A na dowód, mam niewielki podarunek... – Niewielki podarunek upadł ciężko na dłoń Girda, okrągły i gładki, śliski w dotyku. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że to złoto, pierwsze, jakie kiedykolwiek dotykał. Z gniewem i obrzydzeniem przyszła ciekawość: miał ochotę zerknąć na monety i przekonać się, czy były to słynne morskie smoki, czy też bardziej powszechne korony. Otworzył dłonie i pozwolił monetom zabrzęczeć o bruk głównej ulicy Jasnej Wody.

– Upuściłeś coś, kupcze! – powiedział głośno. Na dźwięk brzęku złota obróciły się głowy; on sam nigdy nie zapomni jakby muzyki dzwonków, ani dotyku krawędzi pięciu monet na palcach.

– Ty głupcze! – rzucił cicho jadowitym tonem kupiec. – Mogłeś być bogaty, potężny...

– Mogłem być twoim narzędziem, albo umrzeć – odrzekł równie cicho

Gird, po czym dodał głośniejszym głosem: – Lepiej je pozbieraj, panie; dzisiaj wystarczająco dużo monet wysypało się na bruk.

– Jeżeli odważysz się komuś powiedzieć... – zaczął kupiec, kucając i macając bruk w poszukiwaniu swych monet – to ja cię...

– Grozisz mi? – Gird podniósł głos, dając upust całodziennej frustracji i złości. – Ty mały, zawszony łgarzu! – Ręka kupca wsunęła się za tunikę i blask pochodni odbił się od wąskiego ostrza. Gird odbił je, niemal nie zdając sobie sprawy z płytkiego skaleczenia. Słyszał nadbiegających włościan, chcących sprawdzić, co się działo. Drugi cios powalił kupca, który osunął się po ścianie. Gird stanął nad nim, ssąc kostki palców. Żałował, że tamten nie wstał, bo wówczas mógłby przyłożyć mu jeszcze raz.

– Co się stało? – Z całą gromadą przybiegł Jens, komendant-włościanin Jasnej Wody. Gird czekał z odpowiedzią do przybycia wszystkich: niemal dwóch dłoni swych włościan i tych mieszkańców Jasnej Wody, którzy byli na ulicy i wykazali się wystarczającą odwagą, by nie uciec z niej, gdy zaczęły się kłopoty. Potoczył wzrokiem po kręgu twarzy.

– Ten tutaj przyszedł za mną do miasta, próbował mnie przekupić i wyciągnął nóż, kiedy odmówiłem przyjęcia łapówki. Starał się przekonać mnie, że to inni są nieuczciwi.

Jens prychnął.

– Nie jestem zaskoczony. Niedoważanie, oszukane miary, kamyki w mące – od trzech lat krążą słuchy, że tylko przekupywanie rady uchroniło go przed utratą licencji na handel tutaj. Nie wszyscy są równie źli.

– Też tak uważam. Lecz właśnie tego typu postępowań chcę się pozbyć. – Gird ponownie rozejrzył się po zgromadzonych, na obliczach których

ujrzał różne miny: od radości po zatroskanie. – Uczciwy człowiek, uczciwie pracujący powinien być w stanie godnie żyć, a jedną z przyczyn tego, że nie może, są takie właśnie oszustwa. Oto koszt, jakim uzyskacie moją pomoc: nie będę tolerował przekupstwa, oszukaństwa, łgarstwa. Jedno prawo, takie samo dla wszystkich, wystarczająco uczciwe, by pozwolić utrzymać się każdemu mężczyźnie chętnemu do podjęcia uczciwej pracy.

– A kobiecie? – zapytała jedna z dwóch obecnych pań. Kiwnął głową.

– Kobiecie też. Te same zasady – koniec z oszukiwaniem tylko dlatego, że jedynie mężczyzna może być właścicielem domu albo warsztatu.

Zapracujesz, zarobisz.

– Jestem za tym – oznajmiła. Girda zaciekało, kim była. Wyglądała na mniejszą od jego włościerek, lecz miała ten sam rezolutny wyraz twarzy.

– Co z nim? – zapytał Jens. – Zamierzasz go zabić?

Zaskoczył tym Girda; nie przyszłoby mu to do głowy, jednak sądząc po głosie Jensa i reakcji mieszczan, nikt nie byłby zdziwiony, gdyby na miejscu poderżnął kupcowi gardło.

– Nie – odparł. – Nie ogłosiliśmy jeszcze praw... Mógłby twierdzić, że nie wiedział...

– Chyba, że by nie żył – mruknął ktoś. Gird zignorował podpowiedź.

– Trzeba postępować sprawiedliwie – upierał się. – Panowie zabijają dla kaprysu; my nie. – Owo my dotyczyło wszystkich dokoła; po ich minach poznał, że tak to zrozumieli i byli zaskoczeni. – Nie, odejdzie do swojego wozu ze swoimi pieniędzmi, a pozostali kupcy powinni dowiedzieć się, co się stało. – Mówiąc to, uświadomił sobie, że część tego zadania musiał wziąć na siebie. Nadal nie akceptowali Jensa, ani nawet komendantów.

Żałował, że nie mógł wypić kufelka ale – jego żołądek pilnie tego potrzebował. Odepchnął tę myśl i wyznaczył dwóch włóścian. – Simi i Bakri – odnieście go. Pójdę z wami i wszystko wyjaśnię. Jens, chodź z nami – nie zostanę tutaj na zawsze, a oni muszą nauczyć się darzyć cię szacunkiem. Reszta – wracać na stanowiska. W razie potrzeby wołajcie o zmienników.

Na polu kupców wciąż jeszcze migotały ogniska; Gird dostrzegł grupkę ciemniejszych kształtów wokół tego, przy którym spożywał kolację. Zawołał ich, a włóścianie zanieśli kupca w pobliże płomieni. Położyli go na ziemi, a on zaczął poruszać się i jęczeć.

– Ten człowiek – oznajmił Gird – powiedział mi, że część z was jest nieuczciwa, po czym spróbował mnie przekupić. Upuściłem jego złoto na ulicę... Pozbierał je, groził mi, a potem dobył noża. – Podwinął rękaw i pokazał świeże skaleczenie, z którego sączyła się jeszcze krew. – Powaliłem go, a tutaj jest jego sakiewka. Czy któryś z was wie, ile powinno w niej być, żebym mógł sprawdzić, czy wszystko się zgadza? Naprzód wysunął się drugi z mężczyzn, który sprawiał wrażenie niezadowolonego z poglądów Girda na uczciwy handel.

– Jestem jego współnikiem... wiem... – zamilkł. Gird wyobrażał sobie, co tamten myślał. Zakładając, że faktycznie wiedział, ile miał w sakiewce jego współnik, czy poda prawdziwą kwotę, czy też zawyżoną, twierdząc, iż Gird ukradł część monet; a może zaniży wartość, pozwalając Girdowi zatrzymać łapówkę, którą – był pewny – ten wziął? Spojrzał ponad jego ramieniem na kupca, którego od pierwszego wejrzenia uznał za najbardziej godnego zaufania. Po drodze wypytał o niego Jensa i dowiedział się, że mężczyzna cieszył się dobrą reputacją.

Podał mu sakiewkę.

– Dał mi pięć złotych monet, ale podniósł je, kiedy upuściłem łapówkę.

Sprawdzisz sakiewkę?

Tamten z niechęcią sięgnął po mieszek i wytrząsnął jego zawartość na jedną z drewnianych mis, z których jedli.

– Pięć złotych koron – obwieścił. – Trzy srebrne korony i dwa miedziaki. – Pogrzebał wśród nich, wyciągnął jedną złotą i nadgryzł ją, po czym bacznie obejrzał. – Ta jest fałszywa – biedny Rini, nawet przekupywać nie potrafił uczciwie. – Rozległy się śmiechy. Kupiec zmierzył Girda twardym wzrokiem. – Zakładam, że masz powody, aby odnosić go tutaj, zamiast zwyczajnie poderżnąć mu gardło?

– Nie robię czegoś takiego – odrzekł Gird. Rana na ramieniu zaczęła swędzieć. Nagle poczuł się głupio i prowincjonalnie, stojąc tak z podartym rękawem i ociekającą krwią ręką. Nie spodobało się mu to uczucie, ani ci, którzy je wywołali. Powód jego przyjscia powinien być oczywisty; dla niego był.

– Cóż. – Kupiec odchrząknął. – Przypuszczam, że nie będzie cię więcej niepokoił, a jeżeli twym zamiarem było upewnić się, że my również nie zaoferujemy ci łapówki, to mogę śmiało powiedzieć, że przynajmniej część z nas nie miała takowego zamiaru.

Przemawiał gniewnym głosem i do Girda dotarło, że kupcy mogli nie chcieć być utożsamiani z nieuczciwym kolegą.

– Nie uważałem tak – zapewnił. – Uznałem jednak za uczciwe przynieść go tutaj, gdzie jest znany i wziąć was na świadków, że sakiewka wróciła wraz z nim.

– Och. – Ton kupca uległ zmianie. – Nie oskarżałeś nas o znowę z nim?

Wspólne wręczenie łapówki?

Nawet nie przyszło mu to do głowy, dawało jednak wgląd w sposób myślenia kupców, co okazało się niezbyt zachęcające.

– Nie – potwierdził z mocą. – Już wcześniej uważałem większość z was za uczciwych, ale kilku – uważnie omijał wzrokiem współnika nieprzytomnego kupca – sprawiało wrażenie mniej uszczęśliwionych zasadami, które mógłbym tutaj wprowadzić. Zwróciłem się do ciebie, panie, ponieważ sprawiałeś wrażenie porządnego, co zresztą potwierdził Jens.

– Jens? Och... to... uhm...

– Komendant-włóścianin Jasnej Wody – odpowiedział Gird.

– Myślałem, że to pomocnik rymarza...

– Ja byłem gospodarzem – przerwał mu Gird. – A teraz jestem komendantem-generałem. – Po raz pierwszy użył wymyślonego przez Selamisa tytułu; brzmiał dziwnie i dziwnie układał się w ustach. Mówił dalej, nim kupcy zdążyli skomentować. – Uważamy wszystkich włóścian za równych, niezależnie od posiadanych umiejętności. Komendanci-włóścianie dowodzą podwórzami, a komendanci szkolą komendantów-włóścian i dowodzą kohortami.

Kupiec sprawiał wrażenie lekko oszołomionego. Odezwał się ten, który już wcześniej zabierał głos:

– Tak, jak w gildii? Wygląda na to, że bardziej, niż w armii...

Gird nie miał pojęcia o gildiach, lecz nie chciał tego przyznać.

– Mamy wystarczająco sprawną armię, żeby prowadzić wojnę – powiedział. – Lecz myślimy również o tym, co po wojnie, jak ludzie powinni żyć w pokoju. – Mieli nieprzeniknione twarze; uważnie ukrywali

myśli. Gird poczuł na barkach ciężar całodziennej pracy i zapragnął cichego miejsca do spania. – Bierzecie odpowiedzialność za niego – oznajmił kupcom, machając ręką na ich budzącego się, lecz nadal leżącego bez ruchu towarzysza. Odwrócił się i pomaszerował do miasteczka.

Gdyby nie jeden z jego ludzi, który nalegał, żeby oczyścić ranę, rzuciłby się na łóżko bez tego. Przygotowali – dla niego łóżko – prawdziwe łóżko – w koszarach. Zasnął, jak tylko przyłożył głowę do siennika. Obudził się za dnia; promienie słońca wpadały przez wąskie, wysoko umieszczone okienka, a pozostałe prycze były puste. Ktoś ściągnął mu buty i przykrył kocem. Był cały zesztywniały i brudny; z jakichś przyczyn gorzej było spać w ubraniu w budynku, niż na zewnątrz.

Z dworu dobiegał zwyczajny gwar miasta. Żadnych wrzasków, ani szczęku broni. Przeciągnął się, wsunął stopy w buty, złożył koc i rozejrzał się.

Puste stojaki na broń przy ścianach – żołnierze używali jej wczoraj i teraz mieli ją włościanie. Poczul zapach gotowanego jedzenia. Podążył za wonią i dotarł do kuchni z wielkim paleniskiem. Nieznajomy przy ogniu podniósł głowę.

– Otóż i on. Chleba? Sera?

– Jednego i drugiego. – Gird rozejrzał się dokoła. – Gdzie jest latryna? I studnia? – Poszedł za gestami i znalazł wychodek, a potem długie, kamienne koryto, zasilane wodą z rury w murze okalającym koszary. Spod drewnianego korka sączyła się woda; kiedy go wyciągnął, z rury trysnął lodowaty strumień, uchodząc otworem na końcu koryta.

– Czysta koszula w środku – zawołał ktoś z budynku. Gird ściągnął brudną i wykorzystał ją do wyszorowania się. Na krawędzi koryta ktoś zostawił kawałek mydła – prawdziwego mydła. Namydlił się, natychmiast czując

się bardziej po ludzku. Równie dobrze może umyć się cały. Strząsnął buty i spodnie i umył dokładnie całe ciało. Rana na ramieniu otworzyła się i zaczęła piec, lecz wyglądała na czystą. Po skończeniu zaślepił rurę i rozejrzał się za miejscem do odłożenia mokrych rzeczy. W drzwiach kuchennych stała Rahi, z chichotem wyciągając do niego niebieską koszulę.

– Ty! – Nie potrafił powiedzieć, czym tak się przejął, lecz nie wiedzieć czemu, stanie na golasa i ociekanie wodą na dziedzińcu okolonym murami nie było tym samym, co kąpanie się z innymi w strumieniu lub stawie. Upuścił mokre ubranie, wyrwał z jej rąk koszulę i zatrzymał się. – Niebieska? Przecież nie mam takiej...

– Teraz już masz. No dalej, zakładaj; mnóstwo ludzi dopytuje się o ciebie.

– Przyniosła mu również spodnie, trochę za duże, za to czyste i całe. Ubrał się, a ona zabrała mokrą odzież i wrzuciła do koryta. – Nie wystarczy ją wyżąć. '

Tego dnia Gird musiał wytłumaczyć, jak jego zdaniem powinno funkcjonować prawo bardziej szczegółowo, niż to na razie wymyślił. Spotkał się z prawnikami, którzy bardzo obszernie wyjaśnili mu, dlaczego jego proste środki nie wystarczą i czemu prawo nie miało nic wspólnego ze sprawiedliwością, za to wiele z precedensami, obyczajami i utrzymywaniem handlowej stabilności. Gird słuchał tak długo, jak zdołał, w końcu jednak nakrzyczał na nich tak, że zbladli i zniknęli. Nie zawracał sobie nimi więcej głowy. Pozwolił każdemu cechowi złożyć własną apelację: Selamis siedział koło niego i wszystko zapisywał. W Jasnej Wodzie było mnóstwo urzędników, którzy potrafili czytać i pisać, lecz Gird ufał Selamisowi bardziej, niż obcemu. Nie zaskoczyła go obserwacja,



że Selamis bez trudu dogadywał się z kupcami, nawet tymi najbogatszymi, ani że woleli go od Girda.

Przedstawił im swój plan, który łączył (według niego) zdrowy rozsądek z uczciwością i sprawiedliwością. Wszyscy zaczęli narzekać, co upewniło go, że trafił w sedno: nikt nie był całkowicie zadowolony, lecz każdemu odpowiadało to do pewnego stopnia. Ku jego pewnemu zaskoczeniu zarządzenie stopniowo ucichło i kupcy oraz mieszczenie wrócili do swej pracy. Oczekiwał poważniejszych kłopotów, a nie wzruszenia ramionami, kilku skrzywień i powrotu do swoich spraw.

Wielu z jego włościan nigdy nie było w miasteczku rozmiarów Jasnej Wody. Następne kilka dni Gird strawił na wyjaśnieniach i przypominaniu (aż prawie stracił głos), że zasady obowiązywały również ich. Zawsze było możliwe, że podarowanie przez mieszczanina gruszki, bądź pasztecika z mięsem patrolującemu ulice włościaninowi nie miało nic wspólnego z łapówką, lecz Gird doskonale wiedział, do czego to prowadziło. Upierał się, że jeżeli ktoś chciał wesprzeć armię zapasami tak, jak czyniły to okoliczne wioski, to powinien uczynić to otwarcie. Selamis musiał odnotowywać dary, które następnie Gird dystrybuował między kohortami zgodnie z ich potrzebami. Tylko kilku włościan w ewidentny sposób rozglądało się za łapówkami lub wyłudzało prezenty. Doznali wstrząsu, gdy Gird publicznie wyrzucił ich z armii, z podaniem przyczyny. Problem natychmiast zniknął.

Gird pierwszy raz w życiu otrzymał okazję ujrzania wnętrza domu bogacza, przyjmując zaproszenie na obiad od ocalałych mistrzów kupieckich i rzemieślniczych cechów. Nigdy nie zastanawiał się, co może znajdować się w tych wszystkich pokojach. Nawet królewski pałac

wyobrażał sobie jako przepiękną, gospodarską chatę, gdzie wszystko było całe i niczego nie brakowało. Koszary straży jedynie umocniły te przypuszczenia: były większe od jego domu, lecz tak samo umeblowane. Swój błąd uświadomił sobie dopiero po wkroczeniu na posadzkę z białoniebieskiej terakoty, kiedy ujrzał wiszące na ścianach gobeliny, gięte, rzeźbione krzesła i stoły oraz półki pełne przedmiotów, których przeznaczenia nawet się nie domyślał. Znajdująca się na tyłach domu jadalnia wychodziła na obramowany murem ogród, który urządzono bardziej dla podziwiania, niż użytkowania. Żadnej kapusty, lebiody, czy cebuli – jedynie jaskrawe krezy barw, których nawet nie znał. Pod przeciwległym murem rosły dwa drzewa owocowe; ich owoce błyszcząły wśród listowia niby klejnoty.

Posiłek zadziwił go na równi z domem. Zakładał, że bogacze jedli to samo, co on – cóż innego mogli wymyślić? Przyglądał się podejrzliwie przejrzystemu, żółto-zielonemu płynowi w błyszczącej, niebieskiej misce i odczekał ze spróbowaniem, dopóki inni nie zanurzyli w nim swych łyżek {srebrnych łyżek). Nigdy nie wyobrażał sobie takiego smaku; mógłby zjeść cały kocioł takiej zupy. Następnym daniem był gulasz rybny z warzywami, a potem pieczona jagnięcina nadziewana ziarnem z ziołami. Nie wiedział, że jagnię może tak smakować. Wreszcie zaserwowano owoce w miodowym sosie i wybór serów: białych, żółtych i pomarańczowych.

Do tego czasu zjadł więcej, niż jego brzuch mógł pomieścić. Kupcy kosztowali swoje dania, popatrując ukradkiem na niego. Zastanawiał się, czy wiedzieli, że właśnie obliczał, ilu włościan najadłoby się tym posiłkiem. Możliwe – i to powinno ich martwić. Rozejrzał się po sali,

zauważając cichostopych służących, którzy przynosili i zabierali te wszystkie dania. Jeden z nich spojrzał mu w oczy z gniewnym wyzwaniem; Gird skinął mu lekko głową. Odmówił ostatnich trzech potraw, wyjaśniając, że nigdy tyle nie jadł w środku dnia. Po opuszczeniu przyjęcia miał ochotę wziąć kąpiel i zmyć to wszystko z siebie.

– A mówią, że to ten uczciwy – opowiadał wieczorem Selamisowi i komendantom. – Nie taki bogaty, jak ci, których zabił tłum, nie traktuje pracowników i służby okrutnie, czy niesprawiedliwie. Zobaczyłem tylko jedną część domu, od wejścia do jadalni, ale jeśli reszta jest taka sama...

– Jest – powiedział Selamis. Drgały mu kąciki ust. Gird zgromił go spojrzeniem.

– Przypuszczam, że wiesz wszystko na ten temat; możliwe nawet, że wiesz, co to była za zielona zupa, która wyglądała jak woda do opłukania rąk, a smakowała... och, jedni bogowie wiedzą, jaka była smaczna. Lecz tacy ludzie mają wiele do stracenia. Pod rządami panów dobrze sobie radzili; nie przystaną do nas, jeżeli nie będzie im szło równie dobrze. Gdybyśmy jednak nagięli dla nich zasady, zdradzilibyśmy własny lud. Komendanci pokiwali z powagą głowami, tylko Selamis z krzywym uśmiechem rozparł się na krześle. Gird miał ochotę zdzielić go pięścią. Wystarczająco trudno było nakłonić komendantów do zaakceptowania jego nie rzucającej się w oczy sprawności; kiedy tak się nadymał, wszystkich świerzbiły ręce. Gird spiorunował go wzrokiem.

– Podejrzewam, że uważasz, iż to ty powinieneś pójść na ten obiad? Ty, który znasz nazwy tych wszystkich potraw i przeznaczenie każdego z fikuśnych przedmiotów leżących na stole? Widzę, jak z tobą rozmawiają... Może powinni zaprosić ciebie. – Gird urwał, by zaczerpnąć tchu, nadał

policzki i wydał z siebie niegrzeczny odgłos. – Ale nie zaprosili ciebie, Selamisie, tylko mnie. Wiedzą, co mogą przy mnie zyskać, nawet jeśli nie w smak im siedzenie przy jednym stole z wielkim i głupim wieśniakiem, który nie wie, co zrobić ze srebrną łyżką. Jesteś pośrodku: ani prawdziwy gospodarz, ani prawdziwy pan. Nas nie obchodzi, że jesteś bękartem; ich tak. A mimo to rzucasz nam w twarz, że jesteś bardziej z nich, niż z nas. Selamis najpierw poczerwieniał, potem zbladł, wreszcie na powrót poczerwieniał.

– To nie moja wina – rzucił, patrząc na Girda. – Nic nie poradzę, że po opisie rozpoznaję zupę figową, albo że wiem, do czego służą sztucce. Ani że lepsi... że kupcy i im podobni dobrze się czują, rozmawiając ze mną. – Nie, chyba nie. – Girdowi zrobiło się trochę wstyd, że dał ponieść się gniewowi, lecz otuchy dodało mu ciche poparcie komendantów, którzy nigdy nie przepadali za Selamisem. – Lecz twoją winą jest, jak to wykorzystujesz. Jeżeli jesteś jednym z nas, bądź jednym z nas. Nie śmieję się do kufla z ale, że wiesz coś, czego my nie wiemy.

\* \* \*

Od kupców dowiedział się, gdzie przez cały ten czas przebywała armia króla. Wyglądało na to, że po dotarciu do wsi Girda otrzymali wiadomość od Gadilona o pustoszeniu jego dominium przez armię prowadzoną przez straszliwego i okrutnego wodza imieniem Gird. Gird przypomniał sobie spotkanie ze zbrojcami w lesie Gadilona i z trudem powstrzymał śmiech. Według kupców armia króla była zajęta na południu i wschodzie ściganiem – byli o tym przekonani – głównych sił chłopskiej rebelii. Poza

tym, dopóki nie zbliżyli się do Jasnej Wody, kupcy słyszeli jedynie nieliczne pogłoski o kłopotach na północy, a i one dotyczyły wydarzeń na Drodze Rzecznej w okolicach Grahlinu.

– Byliśmy niedaleko Grahlinu – mruknął Gird, nie zagłębiając się kiedy, ani dlaczego stamtąd odeszli.

– Nie sądzę, aby król już o tym słyszał – oznajmił kupiec. – Władca Sehgrahlin zna wiele czarodziejskich sztuczek, lecz nie należy do nich umiejętność przesyłania wiadomości między umysłami. A nawet, gdyby to potrafił, król nie usłyszałby go, ani też nikt z jego otoczenia. Potrafi to jedynie ciotka króla, ale ona jest zbyt stara, żeby się liczyła.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Gird.

– W pałacu w Finyathcie, rzecz jasna. Zdumiewająca kobieta. Pewnego razu, kiedy byłem chłopcem, przyszła na targ i mój dziadek sprzedał jej belę jedwabiu z południa. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Tak, możesz pogłaskać mojego konia”. Dziadek dał mi w ucho, że się jej naprzykrzałem. A ja nawet nie poprosiłem; przeczytała to w moich myślach. Wyjaśniła to dziadkowi, a ten przyłożył mi jeszcze raz, mówiąc, że nie powinienem być nawet o tym myśleć.

– Jaki to był koń? – zaciekawiał się nagle Gird.

– Takiej maści w życiu nie widziałem. Słyszałem potem, że ceniono ją wysoko w Starym Aare: szarobłękitna jak burzowe niebo, z białą grzywą czarnym ogonem i znamieniem nazywanym znakiem Pana Burzy na pysku – białą, poszarpaną i rozdwajającą się linią. Lecz mnie zafascynował jego wygląd: biała grzywa zapleciona w mnóstwo warkoczyków, ozdobionych jaskrawymi, przeplatającymi się wstążkami. Derka była z haftowanego jedwabiu – byłem dzieckiem handlarzy jedwabiem, nie mógłbym się

pomylić. Wspięła się na grzbiet i usiadła w siodle po męsku, po czym odjechała wyprostowana, na podobieństwo kobiet koczowników; żadna żona kupca nie pojechałaby w ten sposób. Dziadek powiedział mi później, że zachowywali się tak wszyscy władcy-magowie, kobiety i mężczyźni, uważając jednocześnie takie zachowanie u niższych rangą za aroganckie. Gird powrócił do ważniejszego dla niego tematu.

– Skoro jednak jest jedyna – a władca Grahlinu nie dysponuje odpowiednimi mocami – to jego posłańcy muszą znaleźć armię króla, zanim ten dowie się i podąży na północ?

– Tak. A nawet, jeżeli go wezwie... Czy wiesz, że Sehgrahlin jest jego najmniej ulubionym kuzynem? Rywalizowali ze sobą przez długie lata; Sehgrahlin odmówił wysłania swych żołnierzy na tę wyprawę, choć miał ich sporo na północy, gdzie strzegli granicy przed koczownikami. Nie będzie chciał prosić króla o pomoc; uczyni, co w jego mocy, by własnymi siłami przegnać cię ze swoich włości.

Już to zrobił, pomyślał Gird, lecz co więcej mógł uczynić? Zapytał kupca, a ten wzruszył ramionami.

– Mógłby pomóc hrabiemu Pharaonowi – często polowali ze sobą, a kiedyś kochał się w siostrze Pharaona – lecz wżenił się w rodzinę Borkai. Tym ruszyłyby z pomocą, ale ich dominium leży na północny zachód stąd, pod samą granicą z nomadami. – Kupiec wiedział to, czego nie wiedziały gnomy – albo czego nie raczyły nauczyć Girda: gdzie mieszkał który z panów i jak byli ze sobą spokrewnieni. Gird nakazał Selamisowi wszystko zapisać, choć podejrzewał, że ten mógł wiedzieć o części koligacji.

Następnie zapytał o pewien ród władców-magów, wspomniany przez kapristi i wyraz twarzy kupca natychmiast uległ zmianie. – Marrakai! Skąd

o nich słyshałeś? Nawet nie mieszkają w Finaarenis; to księstwo w Tsaia. Żadnych czarów, o których bym słyshał, lecz prawdopodobnie najlepsi władcy w obu królestwach: uczciwi, sprawiedliwi i poważni. Jeżeli ten bandyta, o którym wspominałeś, że używał twego imienia, zawędruje na ziemię Marrakai, zawiśnie, zanim się obejrzy.

Po dłoni dni pobytu w miasteczku Gird doszedł do wniosku, że największy kłopot z miastami polegał na tym, że było je trudniej opuścić, niż wioski. Chciałby mieć sprzymierzone ze sobą miasto, lecz nie mógł mieć nadziei na obronienie Jasnej Wody przed armią. Żadne wojsko jeszcze nie nadeszło, lecz w każdej chwili mogło. Tutejsze podwórze rozrosło się od nagle nawróconych, ale Gird nie ufał temu. Nowo wybrana rada kupców i rzemieślników chciała, żeby został (jeden z nich wyznał mu szczerze, że taniej było karmić jego armię, niż płacić podatki i łapówki poprzednim władcom), lecz Gird nie wygrał jeszcze swojej wojny. Kiedy gnomy przysłały wiadomość, że nadszedł czas, by wywiązał się z zobowiązania i pomógł im na Wzgórzu Czarnej Kości, ucieszył się z pretekstu, niemniej, zostawił większą część swej armii w pobliżu Jasnej Wody pod dowództwem Coba, którego zgruchotana stopa niemal się wygoiła.

## Rozdział 26

Grzbiet Wzgórza Czarnej Kości rysował się na tle mlecznego nieba mrocznym, niegościnnym kształtem, przywodzącym na myśl ogromne, na wpół pożarte truchło. Spomiędzy mizernych żeber wyrastała spalona słońcem trawa, przypominająca zmierzwioną sierść padłego zwierzęcia.

– Powiadają, że to smok – rzucił nerwowo Wila, ich przewodnik.

Najwyraźniej uważał, że było to ważne. Gird zmusił się do uśmiechu.

– Nawet jeśli, to od dawna nie żyje.

Wila pokręcił głową.

– Tam na górze są kości. Całe czarne, na zewnątrz i w środku. Widziałem je na własne oczy.

– Smocze kości? – Gird mimowolnie zadrżał. Nikt nie widział smoka, lecz opowieści o Camwynie Władcy Smoków potwierdzały, że smoki kiedyś żyły i mogły żyć nadal. Nawet panowie wierzyli w smoki; jeden z posterunków na zachodnim paśmie nazwano Smoczą Strażnicą.

– Nie wiem. – Wila zatrzymał się, zaczepił stopę pod kolanem i wsparł się na lasce. – Wszystkie kości, które widziałem, były za małe, chyba że smok ma znacznie więcej gnatów od innych istot. Gdyby to były zwyczajne kości, powiedziałbym, że należały do ryb lub ptaków – czegoś lekkiego i smukłego. Ale czarne... Poza tym, nikt nie uważa tego wzgórza za takie samo, jak inne.

Gird znowu spojrział w górę stoku – prawda. W tym kształcie było jakieś zło i rozkład, co sprawiało, że włosy jeżyły się mu na karku.

– Wobec tego dlaczego ktokolwiek tutaj mieszka? – zapytał.

– Cóż, teraz. – Wila zmienił stopy i oparł się ciężko na lasce.



Najwidoczniej było to pytanie, na które miał nadzieję odpowiedzieć. – W dawnych czasach – zaczął – przed przybyciem z południa panów na wielkich wierzchowcach było to niesamowite miejsce. Klany Trzech Źródeł zajęły wschodnie stoki, by wypasać swe owce – zawsze rosła tam świeża trawa i kwiaty nad strumykami. Wiesz, Pani czuwa nad wszystkim – dodał i pochylił głowę. Gird również uklonił się i rozpostarł ramiona, podkreślając Jej szczodrość. – Potem bagienni ludzie z Mroczej Wody zażądali dla siebie prawa do ziół porastających zachodnie zbocze oraz terenów od skał po mokradła.

– Prawa do ziół tutaj?

– Tak jest. Przynajmniej w dawnych czasach, gdy z bagiennego ludu Mroczej Wody pochodziła połowa ziół tej krainy, zbierali Pięć Palców z samych skał, a Pani wybaczała im, jak utrzymywali. – Przyjrzał się bacznie Girdowi. – Wiesz, co to Pięć Palców... ?

Gird przytaknął.

– Lecz tam, skąd pochodzę, tylko mędrcy mają prawo wymawiać nazwy... słyszałem, ale nie mogę...

– Ach, tak. Zapomniałem. Pochodzisz z podsłuchiwanym, prawda?

– Podsłuchiwanym? – Gird nie słyszał tego określenia.

– Gdzie kuaknami podsłuchują błogosławieństwa i odwracają je. Tego mnie przynajmniej uczono. Tam, gdzie podsłuchują kuaknami, tylko mędrcy mogą wypowiadać nazwy świętych rzeczy, bowiem w przeciwnym razie modlitwa zamieni się w klątwę.

– Tutaj nie przychodzą?

– Cóż... mówi się, że Wzgórze Czarnej Kości poczuło ich dotyk, lecz poza tym – nie. Mamy tutaj prawdziwych pieśniarzy, drzewopanów.

– Elfy?

Wila parsknął i rozkaszał się.

– To ordynarna nazwa, chłopcze. Oni sami mówią na siebie: prawdziwi pieśniarze. W ich mowie: Sinyi.

– Znasz ją? – Z wrażenia Gird niemal zapomniał o czekających go bitwach.

– Trochę. – Wila postawił obie stopy na ziemi i podniósł laskę. – Lepiej chodźmy, jeżeli do wieczora mamy dotrzeć do Języka. – Pomimo dalszych pytań, nie powiedział nic więcej o elfach, tylko poprowadził ich krokiem zwawszym, niż Gird oczekiwałby po kimś w jego wieku. Szybko i przez ramię opowiedział za to o ludzkich osadach u podnóża bardziej stromego ze stoków. – Panowie ich zmusili – mówił. – Rozdzielili klany Trzech Źródeł i połowę z nich osiedlili tutaj, a potem wybrali dwóch braci z bagienno ludu i nakazali im kopać we wzgórzu. Skończyło się zgodnie z przypuszczeniami: gorączką i śmiercią, połamanymi kośćmi i burdami, lecz panowie pragnęli tego, by szyby kopalni były drążone coraz głębiej, niezależnie od kosztów. Kiedy zbyt wielu umarło, posyłali więcej. Czarna Kość to niebezpieczne miejsce, gdzie nie ma nadziei na nic lepszego.

– Ale podwórze...

– Och, tak. Podwórze trzyma się razem i podejmą walkę – w tym są dobrzy. Nadejdzie dzień...

Nadejdzie dzień, pomyślał Gird, w którym nikt nie będzie musiał żyć w takim miejscu. Czarne, niepokojące wzgórze urosło, gdy zapuścili się w jeden z prowadzących w dół żlebów, by po chwili podjąć wspinaczkę w górę i przejść do innego. Minęło wiele dni, zanim tutaj przybył w odpowiedzi na wiadomość od gnomów, prowadzony przez kolejnych

przewodników.

Czarna Kość była równie ponura, jak samo wzgórze – ciasno zabudowana wioska domków z ciemnego kamienia, wpasowanych między strome zbocza. Śmierdziało tutaj nie zdrowymi zapachami wsi, lecz rozkładem, który nigdy nie przerodzi się w żyzność oraz ludzkimi odchodami i odpadkami, piętrzącymi się na nagiej skale. Za rzędem domostw wił się niewielki strumyczek, zadziwiająco cichy, jak na swoją bystrość. Unosiły się z niego pasemka siarkowych oparów. Jak na górniczą osadę przystało, nie było tutaj pól. Gird przekonał się, że podwórze przystosowało się do warunków – spotkanie zorganizowano w kopalni.

– Tutaj nie przyleżą – oznajmił Felis, tutejszy komendant-włościanin. – Przychodzą do wejścia, a my musimy wytargać wszystko na zewnątrz i zapakować na wozy. Do środka nie leżą.

Girdowi trudno było wytrzymać nawet w zewnętrznym tunelu, gdzie światło dnia bladło w oddali. Stracili wejście z oczu i zaczął się pocić ze strachu; miał nadzieję, że włościanie zrzucą to na karb wysokiej temperatury. Dookoła galerii, gdzie ćwiczili, płonęły kopcące pochodnie. W migotliwym, przyćmionym blasku mężczyźni i kobiety przypominali stwory z nocnych koszmarów, nieludzkie monstra. Jak zauważył, wszyscy byli brudni od czarnej skały. Ich oczy jaśniały w świetle, nienaturalnie błyskając białkami w umorusanych twarzach. Podniósł wzrok, by zbyt blisko ujrzeć wiszącą nad głowami ciemną skałę.

Jedna z kobiet uśmiechnęła się, aż zęby błysnęły w mroku.

– Nie jesteś górnikiem, co? Łapie cię strach przed skałami?

Nie było co udawać.

– Owszem. Jestem gospodarzem, przyzwyczajonym, że tylko dach dzieli

mnie od nieba.

Roześmiała się bez cienia szyderstwa.

– Przynajmniej nie kłamiesz. Poprowadź nas do walki, a uwolnisz się od skały. – Zwrócił uwagę na nacisk położony na liczbę pojedynczą.

– A wy? Chcecie zostać tutaj?

– Nie... ale co ja wiem o rolnictwie? Gdybym mogła, poszłabym do innej kopalni. – Jedni pokiwali głowami, inni stali nieruchomo.

Jeszcze nigdy nie widział u ludzi takiej nieruchomości, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym, jako że musieli w ciągu nocy ułożyć plan bitwy.

Teraz, kiedy na własne oczy zobaczył ukształtowanie terenu i sposób, w jaki ciemna skała górowała nad drogą do Czarnej Kości, potrafił

wyobrazić sobie, gdzie umieścić swych nielicznych łuczników, by zadali jak największe straty. Członkowie podwórza kiwali głowami, gdy mówił,

zastanawiał się jednak, czy w ogóle go zrozumieli. Żadne z nich nie było łucznikiem. Większość nigdy nie opuszczała Czarnej Kości. Znali się na

kopaniu i wyciąganiu urobku oraz stolarstwie, dzięki czemu potrafili zbijać drabiny i proste skrzynie. Ćwiczyli z kilofami i szuflami. Gird

sprawdził, jak dobrze naostrzono krawędzie szufl i żałował, że nie miał takiego metalu do wyrobu lepszej broni.

Jeden z mężczyzn pokiwał głową.

– Musieli dać nam dobrą stal. Żadna inna nie poradziłaby sobie ze skałą.

– Ale nie mamy kowala – dodała kobieta, która pytała go wcześniej o strach przed skałami. – Dają nam narzędzia, ale nie szansę, żebyśmy wykuli miecze.

Głęboko pod ziemią, z dala od naturalnego światła, Gird utracił poczucie czasu i spędziłby tutaj całą noc. Na szczęście mieli świece z podziałką i

wyprowadzili go na zewnątrz, by mógł spać pod otwartym niebem. Niemal żałował, że nie został w środku, gdyż powietrze śmierdziało gorzej od kopalni; czuł, że się dusił.

Następnego dnia przybyli jego żołnierze. Nikomu nie spodobała się Czarna Kość. Widział spojrzenia, jakimi go obrzucali i jak mylili krok, zupełnie jakby nie mieli ochoty postawić stopy na tym ciemnym kamieniu. Sam go nie cierpiał; przez podeszwy butów czuł subtelny antagonizm. A co, jeśli się mylił? Co będzie, jeśli moc Czarnej Skały obróci się przeciwko nim, wybierając panów? Gnomy twierdziły, że do niczego takiego nie dojdzie, lecz były przecież skalnym ludem. Ich cele nie były jego celami.

Podwórze Trzech Źródeł, spokrewnione z Czarną Kością, przysłało największy oddział – dwadzieścioro siedmioro włościan. Wszyscy byli ciemnowłosi, surowi i niemal nie patrzyli na Girda, kiedy rozmawiał z ich komendantem-włościaninem. Jedną trzecią grupy stanowiły kobiety, wysokie i mocno zbudowane jak mężczyźni. Odległe o niecały dzień drogi Długie Wzgórze przysłało czternastkę – najlepszych spośród nich, jak zapewniał ich komendant-włościanin. Niska Łąka, Biała Grań, Biały Dąb, Mglisto i Zdrój znajdowały się o dwa dni drogi od nich. Część z nich jeszcze nigdy nie była tak daleko od domów; ściskali broń i sakwy, jak gdyby oczekiwali, że ze skał wyskoczą na nich demony. Zachodnie Wzgórze – najbardziej doświadczone z nich wszystkich – miało za sobą cztery dni marszu przez pagórkowate tereny. Ich niezachwiana wesołość podbudowała nowicjuszy lepiej od wysiłków Girda; ten nie powiedział nikomu, że Zachodnie Wzgórze nie miało dokąd wracać – zimą panowie spalili ich wioskę do cna.

Podwórze Czarnej Kości powitało sojuszników z rezerwą – albo, zdaniem Girda, z całkowitym brakiem entuzjazmu. Komendant-włościanin Trzech Źródeł wymienił kilka słów z pobratymcem z Czarnej Kości o rodzinach, lecz nic więcej. Długie Wzgórze wyraźnie nie spodziewało się niczego lepszego – tamtejsi włościanie z krzywymi uśmiechami rozsiedli się, nie próbując nawet nawiązywać rozmowy. Pozostali, z wyjątkiem Zachodniego Wzgórza, zbili się nerwowo w grupki i przyglądali okrągłymi oczyma to małomównym gospodarzom, to stokom Wzgórza Czarnej Kości. Gird krążył między podwórzami, robiąc, co mógł, by dodać im otuchy i rozweselić.

A jednak to podwórze Czarnej Kości przełamało lody, dokładając się do wieczornego posiłku. Choć brakowało im żywności. A jak każdej oddalonej osadzie górniczej bez własnych upraw – to warzyli bardzo mocne piwo, które zaoszczędzili, jak określił ich przywódca, „na ten dzień”. Małe, masywne kubki przechodziły z rąk do rąk, dodając ducha, a przynajmniej tłumiąc lęk. Świadomy obserwujących go oczu, Gird upił jeden łyk i podał kubek dalej. Opowieść o jego pijackim wybuchu wściekłości zawędrowała dalej od niego samego; nie ośmieli się zaryzykować następnego, zwłaszcza przed bitwą.

Przed świtem wszyscy zajęli pozycje. W świetle poranka sprawiali wrażenie mniej licznych, kiedy wiedział, że nadciągał wróg, a okolica zdawała się rozległej szał. Czy zdołają utrzymać wąski przesmyk, odgradzając pańskich żołnierzy od wioski?

Osiem podwórzy. Niemal dwie kohorty według nowego nazewnictwa, choć nie miał ze sobą żadnego komendanta. A tam, wybrukowaną kamieniem drogą nadciągała piechota na koniach, łucznicy, których tak się

obawiał, lekka kawaleria oraz – zmrużył oczy – niewielki konny oddział panów we własnych osobach. Czyli... czyli gnomy miały rację. Cokolwiek dawało im Wzgórze Czarnej Kości, było na tyle ważne, że sami po to przyjeżdżali. Nie rozpoznawał ich znaków, ani noszonych barw. Kupcy wszystko mu opowiedzieli, a Selamis zanotował, lecz nie było go tutaj, by mógł mu przypomnieć. Panowie to panowie, powiedział sobie. Jaka różnica, czy staną naprzeciwko władcy, księcia czy hrabiego – każdego z nich ucieszy jego krew i nawzajem.

Ponieważ tego wypatrywał, zauważył, iż żołnierzom panów także nie odpowiadał dotyk Wzgórza Czarnej Kości i zaczęli lekko zbaczać z drogi, dopóki ostra komenda nie przywołała ich do porządku. Powiedział sobie, że konni będą mieli kłopoty na zboczach. Czy konie także wystraszą się Czarnej Kości? Miał nadzieję; w przeciwnym razie wróg będzie miał potworną przewagę liczebną. Być może powinien przyprowadzić regularnych włościan, ale nie było sposobu na przejście tak wielkiego wojska bez napotkania oporu, a on nie miał czasu na dodatkowe bitwy. Obejrzał się na Wilę, który widział żleb z przyczajonymi łucznikami i trzykrotnie podniósł ręce. Wila przekazał sygnał dalej. Gdyby zdołali wyeliminować nieprzyjacielskich strzelców, włościanie wytrzymałyby szarżę. Na nierównym stoku jeźdźcy nie mogliby rozwinąć szyku. Miał nadzieję.

Stukot podków i butów odbijał się echem od głazów po obu stronach szlaku. Gird trzymał głowę nisko, ufając łucznikom, że mądrze wybiorą cele. Usłyszał brzdęk cięciwy, potem drugiej i okrzyki z dołu. A więc zaczęło się. Zacisnął dłonie, tłumiąc chwilowy przyływ strachu. Wstał i zamachał ramionami.

Podczas niepewnego biegu w dół Gird przekonał się, że strzelcy dobrze się sprawili – na drodze leżało wielu pańskich łuczników. Strzały świszczały im nisko nad głowami. Kilku ocalałych znalazło kryjówki i odpowiedziało nierówną salwą. Biegący obok niego zatoczył się i upadł, chwytając rękoma za pierś. Przed nim pierwsza linia włościan uzbrojonych w najlepszą broń zwarła się z żołnierzami na koniach, strącając ich z siodeł i zabijając wierzchowce. Stok i wschód słońca dawały im przewagę, a łucznicy Girda nadal mądrze wybierali cele.

– Bierzcie panów! – ryknął, upominając ich.

Lecz natarcie utraciło pęd i załamało się. Żadna ze strzał nie trafiła któregoś z panów na rosnących rumakach; Gird przysiągłby, że widział, jak pociski skręcały, jakby odmawiając zagrożenia władcom-magom. Sami panowie nie dobyli broni – za to ich żołnierze przegrupowali się ze zdumiewającą szybkością. Nie dbali o zabitych i rannych, deptając ciała poległych, jakby to była skała. Gird nakazał swym podwórczom wszystkich zaatakować, kiedy wydało się mu, że przeciwnik osłabł, teraz jednak nie miał żadnych odwodów i utracił przewagę wysokości. Albo jego ludzie pozostaną rozproszeni wzdłuż drogi, w każdym punkcie stawiając czoła przewadze liczebnej wroga, albo zgrupuje ich na drodze i spróbuje frontalnego ataku, czego nie chciał, dysponując jedynie takim orężem, jaki był tutaj dostępny.

Wściekły na siebie i gnomy, które doradziły mu taki plan bitwy, Gird patrzył, jak jego zasadzka zamieniała się w rzeź. Teraz, kiedy upewnili się, że skaliste zbocza nie kryły więcej niespodzianek, panowie i ich żołnierze natarli ostro wzdłuż drogi. Wydostali się z zasięgu łuczników Girda, którzy musieliby wyjść z ukrycia, by poszukać sobie celów. Komendanci-



włóścianie oglądali się przez ramię w oczekiwaniu, że Gird zabłąśnie czymś – jakimś planem – podczas gdy on nie mógł niczego wymyślić. Czy uda się mu utrzymać ich razem? Czy odwrót będzie gorszy od tego? Czemu uważał, że gnomy zdołają opracować plan bitwy zdalny dla ludzi? Musiał czegoś spróbować. Zwołał ich, starając się spowolnić natarcie wroga. Może da tym samym szansę choć części z nich na ucieczkę. To był błąd. To była katastrofa i zaraz nadejdzie koniec. Gird utrzymywał wycofujących się razem. Pańscy wypierali ich przez osadę ku ziejącej paszczy kopalni. A był taki pewny, że wystarczy wyeliminować ich łuczników. Wystarczyłoby, gdyby nie panowie i ich zdradliwa magia. Zamiast pójść w rozsypkę, żołnierze wciąż bezmyślnie nacierali, jakby nie czując ran, ani nie lękając się śmierci. A przecież padali i umierali, a towarzysze obojętnie deptali ich ciała. Twarze nie zmieniały wyrazu nawet w chwili śmierci. Daleko poza zasięgiem broni Girda panowie w płaszczach siedzieli na roślach wierzchowcach, obserwowali i rzucali czary.

Otrzymali kolejne dowody na to, że przynajmniej część panów nie utraciła mocy. Skały pękły, powietrze zabuczało i zgęstniało, a pole bitwy zalała utrudniająca widzenie, nienaturalna poświata. A więc umrze pod skalistą turnią, ponieważ uwierzył w złą opowieść. Nie widział żadnego wyjścia z sytuacji, gdyby jednak udało się mu przeżyć, zamierzał powiedzieć kilka pieczołowicie dobranych słów Arranhsze, o ile kiedykolwiek go jeszcze spotka.

Cofnął się pod ścianę, gdy kopalnia zamknęła się wokół niego.

– Idź! – krzyknął mu do ucha komendant-włóścianin Czarnej Kości. –

Pozwól nam zająć się tym.

– To był mój kiepski pomysł. – Gird spuścił pałkę na ramię przeciwnika i uchylił się przed piką. – Powinienem być ostatni...

Przez kilka chwil walczyli ramię w ramię, odpierając szturm żołnierzy. Szarża załamała się i bez ryzyka mogli wycofać się głębiej w mrok sztolni. Żołnierze przeklinali w ciemnościach, potykając się o luźne kamienie i poległych.

– Pospiesz się – rzucił komendant-włóścianin. – Zanim panowie wejdą do środka i uczynią światło...

– Ale powinniśmy utrzymać pozycję – oponował Gird. – Dokonam tego... z garstką naszych...

– Nie ma potrzeby! – Komendant-włóścianin pociągnął Girda mocno za ramię. – Zostaw ich; sami się przekonają...

– O czym? – W półmroku widział jedynie błyskające zęby.

– O uroku – odparł radośnie mężczyzna. – Chodź ze mną. – Jaki znowu urok, zastanawiał się Gird. Albo pójdzie, albo zostanie sam w ciemnościach. Wybrał to pierwsze. Skonanie w trzewiach przeklętej góry nie było jego wymarzonym sposobem rozstania się ze światem, ale jaki miał wybór? Żadnego, jak cała reszta. W ciemnościach wokół siebie słyszał szuranie stóp po kamieniu, jęki rannych i ciężkie oddechy. Wciąż głębiej i głębiej w mrok, krętymi korytarzami, czasami ciasnymi dla pojedynczego człowieka, a gdzie indziej tak szerokimi, że trzech czy czterech idących obok siebie ludzi musiało wyciągać ręce, by dotknąć ścian. Gird okiełznał strach, starając się bezskutecznie coś wymyślić. Nie mógł uwierzyć w przyćmione światło lampy gnomów, które zapaliło się w pobliżu. Na otaczających go twarzach malowało się równie wielkie zaskoczenie; niektórzy otworzyli usta. Pewna, chłodna dłoń ucisnęła

Girda; spojrział w dół i zobaczył wojennika, który ułożył plan tej bitwy.

– Ty musisz wydać rozkaz – oznajmił gnom. – Żadnych człowieczych hałasów!

– Cisza! – ryknął Gird. Pochylił się do wojennika, przepełniony pytaniami i skargami, lecz powstrzymał go wyraz twarzy kapristi.

– Cudzoziemscy panowie są w środku?

– Tak.

– Dowodzisz swoimi ludźmi, ale słuchasz moich rozkazów.

– Tak jest. – Nie było nic więcej do powiedzenia. Musiał zrobić wszystko, czego zażądały gnomy, zarówno ze względu na zawartą umowę, jak i logikę sytuacji.

– No to idźcie. Za tamtym... – Wojennik wskazał pobratymca. – Odejdźcie szybko i daleko.

– Nie potrzebujecie naszej pomocy?

Na obliczu wojennika pojawiło się skrywane rozbawienie.

– Ludzka pomoc w skalnej wojnie? Idźcie.

Gird machnął ręką i podwładni ustawili się, by podążyć za nim, on zaś ruszył za przewodnikiem. Gdy ponownie przeciskali się przez wąski, ciemny korytarz, przyszło mu do głowy, że gnomy zaplanowały to wszystko tylko po to, by zwabić pod ziemię kilku panów. Nie spodobała się mu ta myśl.

Choć wyteżał słuch, słyszał jedynie hałas czyniony przez jego ludzi.

Przewodnik niósł latarnię, dzięki czemu Gird widział, gdzie postawić stopy, lecz pozostali potykali się w ciemnościach. W końcu ujrzeni daleko przed sobą słabe światło, które rozrastało się i zamieniało w blask dnia.

Przymrużył oczy i zatrzymał się zaraz za wyjściem. Słońce zachodziło;

przez grubą opończę chmur przedzierały się nieliczne promienie. Co oznaczało... potrzęsął głową, by odzyskać jasność myśli. Przeszli przez Wzgórze Czarnej Kości? Podniósł wzrok i obejrzał się. Tam był – surowy, niekształtny grzbiet.

Gnom ruszył w dół stoku tym swoim odmierzoną, nie znającym zmęczenia krokiem; Gird machnął na ludzi, by ruszali za nim, sam zaś pozostał przy wyjściu, by upewnić się, że wszyscy opuścili podziemia i uciszyć ewentualne pytania.

Do zmroku dotarli do mokradeł. Gnom zatrzymał się nagle i Gird omal na niego nie wpadł.

– Tutaj jest dobra woda. – Blask latarni odbił się od jeziora o wodzie równie smolistej, jak skała wzgórza za nimi. Gird zaczerpnął garść i okazało się, że woda była czysta i słodka. Inni również przyklękli i pili łąpczywie. Za plecami słyszał chłupotanie i jęki rannych. Gnom dotknął jego ramienia, zwracając na siebie uwagę. – To jest czysta, bieżąca woda, a bagienne klany znają dalszą drogę. Uznajesz dług?

Nie było alternatywy.

– Wyprowadziłeś nas z niebezpieczeństwa do bezpiecznej wody – uznaję dług.

– To jest sprawiedliwe. Oto wymiana: ludzie nie wchodzi w głąb wzgórza. Dozwolone jest zbieranie ziół na polach i wypas bydła. Nie wolno mieszkać w skale, ani budować ze skalnych okruchów. Zgoda?

– Zgoda. – Gird westchnął, zastanawiając się, jak ma do tego przekonać górników. Chciał zapytać, dlaczego, wiedział jednak, że nie uzyskałby odpowiedzi. Poza tym był znużony, okrutnie znużony. Chciał wiedzieć, ilu stracili, ilu rannych wydobrzeje i rzucić się spać tu i teraz.

– Co z władcami-magami? – zapytał, postanawiając wyciągnąć coś jeszcze z tej wymiany.

Gnom uśmiechnął się. Gird pamiętał ten uśmiech ze swego pobytu w ich księstwie.

– Wnętrze wzgórza nie jest miejscem dla ludzi. Władcy-magowie wzięli, co nie należało do nich. Uczynili to świadomie. Przywracamy sprawiedliwość.

Grunt zakołysał się, dudniąc pod stopami; ludzie podnieśli krzyk. Drzewa zajęczały, a ich gałęzie zatrzęśły się, jak poruszone wiatrem. W blasku latarni powierzchnia jeziora zafalowała i wzburzyła się, niczym woda w kopniętym kubku. Gird spojrzał na gnoma, którego uśmiech powiększył się.

– Sprawiedliwość – powtórzył. – Nie będzie pościgu.

Gdy za Wzgórzem Czarnej Kości zajaśniał świt, podmokły las stał się znacznie mniej groźny. Delikatne kwiatki błyszczały na kobiercu z mchów, skrzydełka motyli rozbłyskiwały w promieniach słońca na żółto i pomarańczowo. Zatrzymali się nad bystrym strumieniem, wpadającym do bursztynowego potoku, wijącego się między drzewami o grubych, ciemnych pniach. Z obozu prowadziła wyraźna ścieżka, prowadząca – według gnoma, który został z nimi do rana – do starej osady bagiennych ludzi, obecnie porzuconej, skąd wiodła bezpieczna dróżka do Długiego Wzgórza.

Gird przeliczył ocalałych. Z samej Czarnej Kości przeżyła raptem piątka. Spośród ich kuzynów z Trzech Źródeł padło tylko trzech i pozostali największym podwórzem. Długie Wzgórze straciło siedmiu z czternastu, a Niska Łąka ośmioro z dwanaściora. Biała Grań utraciła wszystkich

łuczników i nikogo ponadto; zginął jeden mieszkaniec Mglisto. Poległo też po dwóch ze Zdroju i Zachodniego Wzgórza. Jedna czwarta ocalałych odniosła rany i przez wiele dni pozostaną niezdolni do pracy, ani do walki. Zaś ci, którzy przeżyli, wcale nie byli zadowoleni z przebiegu bitwy.

– Nie powiedziałaś nam, że do walki włączy się skalny lud – rzucił komendant-włóścianin z Mglisto. Jak na kogoś, kto do tej pory nigdy nie walczył, zachowywał się zdumiewająco zuchwale, pomyślał Gird.

– Nie pozwolilibyśmy im na walkę w kopalni, chyba że byłiby tam wcześniej – oznajmił jeden z ocalałych z Czarnej Kości. – Zeszłej zimy powiedzieli nam, że mają już dość złodziejstwa władców-magów. – Spojrzał na Girda przez poranną mgiełkę. – Nie wspomnieli jednak, ile to będzie kosztować nas. Mówili, że jesteś najlepszym dowódcą...

Zanim Gird zdążył odpowiedzieć, wtrącił się ktoś z Trzech Źródeł:

– Ach, ten skalny ludek! Przypuszczam, że to był ich plan, prawda? A ty okazałeś się wynajętym przez nich wodzem ludzi?

– Nie wynajęli mnie – zaczął Gird, zastanawiając się, jak uporządkować ten galimatias. Mieli słuszne powody do niezadowolenia, lecz on również; nie było jego winą, że gnomy zataiły przed nim większą część planu. Jak też ludzie ze Wzgórza Czarnej Kości, jeśli już o to chodziło.

Zachodnie Wzgórze, najbardziej doświadczone w życiu w głuszy, wykonało większość prac przy zakładaniu obozu. Pozostali uczyli się szybko, choć niechętnie, lecz komendant-włóścianin Zachodniego Wzgórza miał bardzo cięty język. Gird zaczął zastanawiać się, co począć z tak niedobraną grupą. Ci z nich, którzy pochodzili z nieistniejących już wiosek, mogli zasilić szeregi głównej armii. Pozostali na pewien czas zaszyją się w domach, choć terytorium wolne od wojny kurczyło się z

każdym dniem.

W ciągu paru dni nastroje ustabilizowały się. Najciężej ranni zdrowieli lub zmarli; pozostali postanowili zostać z Girdem lub odejść w rozdrażnieniu do domów. Tych ostatnich było naprawdę niewielu. Reszta układała opowieść, którą przekażą przyjaciołom po powrocie do domów. Gird zauważył, że w miarę jej snucia żołnierze panów rośli, a magia stawała się o wiele bardziej spektakularna. Niedobitki ze Wzgórza Czarnej Kości – wliczając tych, którzy pochowali się po domach, a po walce uciekli dookoła wzgórza – wyglądały na zadowolonych, że udadzą się do krewniaków z Trzech Źródeł.

Pewnego dnia Gird wspiał się z powrotem ścieżką na zachodni stok Wzgórza Czarnej Kości, by po raz ostatni przyjrzeć się mu w świetle dnia. Nie zmieniło się, on jednak nie miał ochoty zapuszczać się pod ziemię. Ruszył ku Jasnej Wodzie z włościanami z Zachodniego Wzgórza. Po drodze natykali się na widome oznaki rozprzestrzeniania się wojny. Dwukrotnie odpierali ataki konnych patroli, raz wpadli na duży oddział piechoty. Uratowało ich tylko to, że byli w lepszej formie od ścigających ich. Gird zastanawiał się, dokąd to wojsko zmierzało; o ile wiedział, w tych okolicach nie działał nikt z jego stronników. Mijali spalone wioski, zamieszkiwane przez wieśniaków, którzy na ich widok uciekali do lasu, by powrócić do prac polowych zaraz po ich przemarszu.

Gird ostrożnie obszedł szerokim łukiem Grahlin. W pobliżu Burry spotkali włościanina z Jasnej Wody, którego Gird ledwo pamiętał. Przyniósł im niejednoznaczne wieści. Armia króla ogłosiła, że zabiła Girda między dominium Gadilona a ziemiami gnomów na południu, po czym pomaszerowała na północ, dla uczczenia zwycięstwa pałac wszystkie wsie

podejrzewane przez ich panów o buntownicze nastroje. Następnie, zamiast wrócić po swych śladach, królewskie hufce z nieznanых przyczyn skręciły na wschód i obecnie znajdowały się w pobliżu wschodniej granicy Finaarenis, przygotowując się do powrotu do domu Drogą Rzeczną.

– A więc – oznajmił Gird, kładąc gruby palec na mapie – grupa, którą spotkaliśmy, prawdopodobnie maszerowała na spotkanie armii króla. Cóż. Kiedy dotrą do Grahlinu, tamtejszy władca będzie miał im sporo do opowiedzenia. Po zbiorach bez wątplenia zawitają do Jasnej Wody.

Według ostatnich raportów, podczas marszu na północ armia króla napotykała rozproszony, lecz zacięty opór. Podwórza, o istnieniu których Gird nie miał pojęcia, walczyły samotnie i w połączeniu. W tym czasie główne siły Girda kontrolowały dolinę Jasnej Wody od okolic na południe od Rzeczej Drogi po południowy szlak handlowy. Zdobyli dwie pańskie rezydencje, gdzie zastali samą służbę: panowie walczyli w armii króla, a ich rodziny przebywały w bezpiecznej (na razie) Finyathcie.

Po zebraniu wszystkich tych informacji z Selamisem i starszymi komendantami Gird doszedł do wniosku, że nadal posiadali przewagę liczebną, lecz ich żołnierze byli kiepsko uzbrojeni i nie posiadali pancerzy. Brakowało im też zapasów, po części dlatego, że Gird nie chciał uszczuplać zasobów pozostałych w okolicy gospodarzy. Co prawda, część kowali przystała do rebeliantów, lecz dysponowali niewielkimi ilościami metalu do przekucia.

Z końcem lata Gird przypomniał sobie przestrożę gnomów, że muszą wygrać w ciągu jednego sezonu, bądź znaleźć sojusznika z pieniędzmi lub armią – a najlepiej z jednym i drugim. Zasugerowali kogoś, lecz Gird myślał o tym z niechęcią.





## Rozdział 27

Nie po raz pierwszy Gird czuł się bardzo nie na miejscu. Te wzgórza porośnięte były drzewami większymi, niżli kiedykolwiek widział.

Podążając za bulgoczącym strumieniem, wszedł pomiędzy dwa takie i poczuł, że zanurza się coraz głębiej i głębiej w nieznane sobie ziemie.

Wysoko nad głową listowie zamieniało uczciwy blask słońca w rozedrganą zieleń równie niestałą, jak płynąca obok woda. Większość poszycia pokryta była jeszcze gęstą zielenią lata, lecz jedno pnącze przybrało już szkarłatną barwę, zupełnie jakby drzewo krwawiło. Gird wzdrygnął się, kiedy to zobaczył.

Gdyby nie spędził zimy z gnomami, nigdy nie zawędrowałby tutaj, tak daleko na wschód, by spotkać się z panem o reputacji lepszej od swych pobratymców. Gdyby jednak nie poszedł do gnomów, nigdy nie przetrwałby drugiego roku wojny. Skoro mieli rację w innych sprawach, może mieli ją również w przypadku Marrakai.

– Hola! – Gird podskoczył jak smagnięty i znieruchomiał, przepatrując wzrokiem liście dookoła. Na ścieżkę wyszedł mężczyzna w zieleni.

Przewodnik? A może to zasadzka? Mężczyzna miał kij taki sam, jak on oraz łuk przewieszony przez ramię. – Jesteś z holu Aldonfulk? – zapytał nieznajomy.

– Tak – odrzekł Gird. Mężczyzna poruszał się jak ktoś dobrze odżywiony i wypoczęty, z absolutną pewnością siebie. Pan we własnej osobie?

Przypomniał sobie, co powinien powiedzieć. – Legislador Karik ak Padig Sekert z Aldonfulk przesyła pozdrowienia księciu Marrakai.

– Ach. A Kevre Mikel Dobrin Marrakai odwzajemnia je za pośrednictwem

swego kirgana.

Gird przebijał się przez imiona i stopnie pokrewieństwa, które do tej pory słyszał wypowiedane jedynie z gnomim akcentem, by przypomnieć sobie, że kirgan oznaczał dziedzica z mocy krwi i prawa. Przyjrzał się podchodzącemu młodzieńcowi. Czarne włosy, zielone oczy, jakie czasami miewali panowie, oblicze młode, choć z charakterem. Władca Grahlinu byłby wdzięczny za takiego syna. Młodzian uśmiechnął się.

– A ty musisz być Girdem, plagą zachodu, o którym tak wiele słyszeliśmy. Jestem Meshavre, zwanym Meshą.

– Ale jesteś przecież... – Nie chciał tego powiedzieć, lecz młodzieniec dokończył za niego.

– Synem pana? Wrogiem? Mam nadzieję, że to ostatnie nie. Zgadza się, me oficjalne miano brzmi: Kirgan Marrakai, lecz spotkanie z tobą trudno uznać za oficjalne. Czyż twój lud nie używa jedynie imion, przynajmniej podczas wojny? Mów mi więc Meshu, a ja będę mówił do ciebie: Gird. Nawykł do wydawania poleceń; w jego głosie brzmiała pewność, że Gird zrobi to, czego chciał, ponieważ o to poprosił, a przecież nigdy (przekonywał ton głosu) nie prosił o nic nierozsądnego. Gird był w stanie wyobrazić go sobie w obliczu koni i psów, rannych mężczyzn i, płaczących kobiet, jak uspokaja ich swym głosem i skłania do posłuszeństwa. A jednak to, co powiedział, było rozsądne i Gird nie widział powodów, by przeciwstawić się mu, gdyż miałby wrażenie, że robi z siebie głupca.

– Cóż – mruknął dla zyskania czasu. – Meshu. Cokolwiek myślisz o zbuntowanych gospodarzach, po raz pierwszy w życiu nazwałem szlachetnie urodzonego samym imieniem. – Spojrzał młodzieńcowi prosto

w oczy i ujrzał tam pełen zaskoczenia szacunek. Mesha skinął głową.

– W takim razie mój ojciec miał rację; kapristi również. Mówili, że jesteś inny i opowiadali o tobie długie historie; część z nich mój ojciec słyszał także od panów z Finaarenis.

– Którzy opowiadali je zupełnie inaczej, jak przypuszczam – powiedział Gird. Polubił młodzieńca i nie mógł na to nic poradzić. Czy to umiejętność zauroczenia, przed którą go przestrzegano? Lecz gnomy twierdziły, że moc Marrakai zniknęła dawno temu i byli władcami-magami jedynie przez dziedzictwo.

– Słyszałem tylko jedną z nich, od władcy, któremu uratowałeś życie. Był rozdarty wewnątrz. Gdyby wszyscy rebelianci przypominali cię, mógłby zostać twym sojusznikiem. Ale chodź: zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce, gdzie będziemy mogli odpocząć i posilić się. To schronienie leśników. – Bez dalszych słów Mesha odwrócił się i ruszył ścieżką. Gird poszedł za nim, wciąż obawiając się pułapki. Czemu jednak młodzieniec spotkał się z nim w pojedynkę? Wszak bez trudu mógłby ustrzelić go zza drzewa.

Schronisko leśników miało trzy murowane ściany i otwarty front z paleniskiem okolonym kamieniami. Niedaleko pasły się dwa spętane konie: kasztan i siwek. Na palenisku trzaskał niewielki ogień, na którym gotowało się coś, co przypomniało Girdowi o odczuwanym głodzie.

\* \* \*

Książę Marrakai był starszą wersją swego syna: gęste, czarne włosy i broda, zielone oczy i dobrze zbudowane ciało. Gird był w pełni świadomy,

że we dwóch bez trudu mogliby go zabić, gdyby tylko powzięli taki zamiar. Jak dotąd jednak żaden z nich nie rzucił się na niego. Książę osobiście mieszał w garnku jakiś ciemny płyn, a Mesha sprawnie wypakowywał z juków chleb, ser, cebulę, jabłka i plastry mięsiwa. Gird ściągnął z pleców niewielki pakunek i dołożył do ich chleba własne pieczywo. Mesha wyglądał na zaskoczonego, lecz jego ojciec pokiwał z aprobatą głową.

– Dziękujemy ci, Girdzie, za podzielenie się z nami. – Miał basowy głos, który bez wątplenia niósł się daleko po polu bitwy. – Meszo, pokaż Girdowi drogę do źródła.

Źródełko wypływało spod płaskiej skały. Gird przyklęknął i wyciągnął nad nim rękę. Powierzchnia zmarszczyła się lekko. Wymruczał pozdrowienie dla ducha opiekuńczego i podniósł wzrok, by przekonać się, że kirgan przyglądał się mu z zaciekawieniem.

– Nie przemawiacie do niego? – zapytał. Mesha pokręcił głową. Gird obejrzał się na źródło; na pewno przyjemnie było zostać rozpoznanym. Pochylił się i zaczerpnął pełne dłonie lodowatej, czystej wody. Rozbolały go zęby. Oczekał, aż Mesha napije się, po czym napełnił bukłak.

– Czy wszyscy przemawiacie do źródeł? – zapytał Mesha. Gird zawiązał rzemyk bukłaka.

– Zawsze, kiedy zabieramy wodę ziemi, dziękujemy Pani i opiekunom. To zwykła grzeczność.

– Nawet ze studni?

– Oczywiście. – Gird spojrzał na niego. – Czyż nie oczekujesz podziękowań, kiedy coś komuś dajesz? Nie możemy żyć bez wody, opadów deszczu i bijących źródeł.

– Tak, ale... czy to dlatego wieśniacy... twój lud... przywiązuje kwiaty i wełnę do studni?

– Owszem, a gdyby źródło wypływało z mojej ziemi, przynosiłbym dary na Śródziemiu i Śródlecie. Może ktoś inny robi to tutaj.

Mesha sprawiał wrażenie, jakby chciał zadać więcej pytań, lecz powstrzymał się. W zamian machnął w stronę polanki za schroniskiem.

– Za cedrami znajduje się latryna. Wystarczająco daleko, by nie skazić wody, jak mówi mój ojciec. – Gird nie czuł jeszcze potrzeby, zastanowiło go jednak, jak długo – ich zdaniem – z nimi zostanie.

Wrócili i zastali księcia Marrakai przy nalewaniu ciemnego płynu do kubków o grubych ściankach.

– Znacie u was napor? – zapytał Girda. Ten przytaknął. – Dobrze. Lubię więcej korzenia tika, choć przydaje on napojowi goryczy. Posłodziłem miodem.

Mógł być zatruty, tylko po co? Gird przyjął kubek i upił ostrożnie. Mocny smak, gęstszy od naparu, jaki sami przyrządzali. Po kolejnym łyku uznał, że mu smakuje. Księżę dobył noża i pokroił chleb i ser. Teraz to Gird poczuł zdumienie, gdy mężczyzna wyciągnął dłonie nad jedzeniem i użył błogosławieństwa, jakiego Gird nigdy nie słyszał: „Dzięki Pani”. To mu w zupełności wystarczało.

Marrakai i jego syn wzięli najpierw chleb Girda, co zmusiło go, żeby poczęstował się ich pieczywem. Zastanawiał się, czy znali znaczenie tego gestu dla jego ludu. Arranha nie wiedział, ale ci byli inni. Jeden kęs wystarczył; równie dobrze mógł poczęstować się serem i jabłkami. Jedli w milczeniu, jak głodni mężczyźni. Gird czuł największy głód, lecz był też najbardziej świadomy jedzenia. Wystarczyło, by napełnić brzuch. Mesha i

jego ojciec jedli wolno, dzięki czemu wszyscy skończyli w tym samym czasie.

Wówczas książę Marrakai zwrócił się do Girda.

– Nie jesteś związany przysięgą ze mną, ani z nikim, komu przysięgałem – jesteśmy sobie obcy i nie ma wśród nas miejsca na hierarchię. Mów mi Kevre, jeśli chcesz. – Gird gapił się na niego: wieśniak ma zwracać się do wielkiego pana, księcia, po imieniu? Kiwnął głową, próbując ukryć zmieszanie. Marrakai mówił dalej. – Dzieliliśmy ze sobą jedzenie; wśród mego ludu oznaczało to niegdyś pokój, a czasami sojusz. Jeżeli dla twego ludu oznacza to coś innego, nie będę wymagał od ciebie takiego zobowiązania, jeśli jednak chcesz najpierw rozejmu, a potem być może sojuszu, to porozmawiajmy o tym.

Gird zastanawiał się, czy tego naparu nie doprawiono ale. Ledwo wierzył własnym uszom. Sojusz? Z księciem z Tsaia? Był pewny, że gnomy miały powody, by go tutaj przysłać, to jednak dalece wykraczało poza jego najśmielsze nadzieje.

– Panie... Kevre... – Trzeba będzie przyzwyczaić się do tego; „panie” nadal przychodziło mu z łatwością. – Wśród mego ludu dzielenie się jedzeniem oznacza pokój, przynajmniej na czas spotkania. A czasami więcej: jeżeli coś zostało postanowione, jedzenie przypieczętowuje zgodę. – Celowo nie wspominał o zobowiązaniu – niech książę Marrakai pokaże, co wie.

– Jednak kiedy przybyłeś tutaj, byłeś głodny po odbytej podróży. Byłoby nieuczciwe z mojej strony wiązać cię w ten sposób...

– Czy ty czujesz się związany? – zapytał śmiało Gird. Marrakai przytaknął.

– Jestem związany, zarówno obyczajem, jaki własnym honorem.

Wiedziałem, co robię, kiedy spożyłem twój chleb i częstowałem cię swoim, wobec czego jestem związany. Skoro przebywasz tutaj, w moim dominium, jesteś moim gościem; ani ja, ani nikt z moich poddanych nie skrzywdzi cię, ani na żadną krzywdę nie pozwoli.

Gird skinął głową.

– A ja wiedziałem, co robię, Kevre, dokładając swoją żywność do twojej i spożywając tylko twoje jedzenie na widok cię, jedzącego mój chleb.

Nic nie powiedziałem i jadłem: to mnie wiąże zgodnie z obyczajem mego ludu i prawami, nauczonymi mnie przez gnomy. – Uśmiechnął się do Marrakai. – O honorze nie mówię, gdyż nauczono mnie, że my, wieśniacy, takowego nie posiadamy, potrafię jednak stwierdzić, że coś jest słuszne i tak postąpić.

– Co dla każdego jest wystarczającą oznaką honoru – wtrącił szybko Mesha. Ojciec obrzucił go ostrym spojrzeniem, lecz pokiwał głową.

– Mesha ma rację. Tak więc jesteś moim gościem, a ja twoim gospodarzem, a w świetle prawa gnomów obu nas sprowadził tutaj interes. Jakiego prawa gnomy nauczyły cię? Czy taka jest twoja wiadomość?

Gird próbował zebrać myśli.

– Panie... Kevre... gnomy nauczyły mnie swoich praw, nieco historii oraz w czym stare obyczaje naszego ludu przypominały, a w czym nie, prawa Najwyższego.

Marrakai zmarszczył brwi. .

– Czy uważają Esee i Najwyższego za jedno i to samo?

– Nie jestem pewny. Mówili, że Najwyższy występował dla Aarean w postaci Esei. Sami jednak uważają Najwyższego za źródło sprawiedliwości. Sędziego.



– Tak. Tyle wiem. Prawo Najwyższego, tak mówią. Znasz Regułę Aare?  
Gird przytaknął.

– Nauczał mnie kapłan Esei, którego uznano wyrzutkiem za głoszenie, że Reguła Aare różni się od praw ustanowionych przez króla.

– Spotkałeś Arranhę? – Marrakai pokręcił głową. – Girdzie, czuję się skarcony: nie sądziłem, że jakikolwiek przywódca wieśniaków, nieważne, jak bardzo wartościowy, będzie znał herezje Arranhy i prawa gnomów. Na pewno jesteś wojownikiem, a nie uczonym?

Gird zaczerwienił się.

– Walka nie była moim wyborem; gdybym mógł, uprawiałbym rolę. Ale...

– Ale nie mogłeś. Wybacz mi, Girdzie, niewczesne żarty. Ale Arranha! Nie poznałem go, choć usłyszałem od jego przerażonych kolegów wszystko na temat jego poglądów. Osobiście uważam, że ma rację. Najstarsze dokumenty w moich archiwach pochodzą ze Starego Aare i wynika z nich jasno, że interpretacja Reguły Aare zmieniła się przez pokolenia.

Próbowałem przekonać króla, by powrócił do ducha Reguły.

– Uczyni to?

– Felis? Nie. Żaden z nich nie postrzega tego tak, jak ja, choć niektórzy przyznają, że w jej imię dopuszcza się wielu niesprawiedliwości. Część z nas całkowicie porzuciła Regułę, nie widząc nadziei na reformę, inni zaś czerpią z niej, niestety, zbyt wiele korzyści, by widzieć powody do zmiany.

– Niektórzy są zwyczajnie źli – mruknął Mesha. – Verrakai...

– Nie oceniam cudzych motywów – oznajmił stanowczo Marrakai. – Znasz moje poglądy, lecz nie o nie teraz chodzi. W każdej krainie i w każdej rodzinie są źli ludzie.

– Nie tacy – oponował Mesha. Gird przyglądał się mu i rozmyślał, czy w

pałacu ojca sprzeciwiał się mu równie swobodnie. – Tavis jest zwyczajnie głupi.

– Sądź wszystkich według jednej miary – powiedział Marrakai. – Jeżeli nazywasz Verrakai podłym za igranie życiem innych, co powiesz o przegraniu przez Tavisę tych wiosk – czyż to nie mężczyźni i kobiety gospodarzą tam, a teraz przeszli pod cudze władanie? Jakaż to różnica? Mamy szczęście, że jest ich tak niewielu, lecz nie jesteśmy bogami, by uważać się za doskonałych.

– Ukaralesz Tavisę; księżę Verrakai dał swojemu synowi klejnoty, kiedy ten...

– Dosyć! – Gird zauważył, że Mesha natychmiast umilkł, choć najwyraźniej bez przekonania. Marrakai odwrócił się do Girda. – Mój bratanek, którego ojca zabili dawno temu, przegrał część ojcowizny, co uznaję za hańbę, gdyż winien był opiekę tym, którzy tam mieszkają. Ziemia to nie miecz, czy pierścień. A co do Verrakai... słyszałeś o nich? Gird pokręcił głową.

– Tylko tyle, że Verrakai jest jednym z książąt Tsaia, wielkim władcą wschodu.

– Wielkim władcą pod warunkiem, że bogactwo jest najważniejsze. Nie wspominałbym o nim, Girdzie, bez potrzeby. Nasze rodziny nie pałają miłością do siebie i mogą nie być sprawiedliwe.

Gird w milczeniu przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Po chwili Marrakai westchnął i kontynuował.

– To nie ma związku z naszym celem. Być może kapristi opowiedziały ci, jak dawno temu ojciec ojca mojego ojca sprzeciwiał się królowi, który zamierzał najechać ich księstwo, maszerując przez ziemie Marrakai. Po

odparciu inwazji i zawarciu pokoju z tronem Tsaia – co z tych samych przyczyn uczyniły z królem Finaarenis – kapristi odnotowały nasze działania na ich korzyść. Uznali, że mają dług wobec Marrakai. Mój prapradziadek sprzeciwiał się temu, uważając, że postąpił słusznie, co nie skutkowało żadnym zobowiązaniem wobec niego, lecz gnomy upierały się, że zgodnie z naszymi prawami nie musiał tego czynić i tak to trwało, dopóki nie doszli do porozumienia. Od tamtej pory utrzymujemy z gnomami partnerskie stosunki. Jak wiesz, nie przyjmują darów i nie dają ich, lecz z tymi, których uznają za prawych, postępują przyjaźnie i sprawiedliwie.

– Tak właśnie jest – potwierdził Gird. .

– Oczywiście, wiedziałem o niepokojach w Finaarenis; z tych samych przyczyn dochodzi do zamieszek w Tsaia. I słyszałem o tobie; po Owczarniach Norwalku wszyscy słyszeli. – Marrakai przerwał, by napić się naparu i podał Girdowi kolejny kubek. Gird przyjął go i skinął głową. – Pozbawiony ziemi wieśniak staje się banitą – to nic nowego. Wieśniak ten przyłącza się do buntowników, pali stogi siana, napada na kupców – to nic nowego. Ale wieśniak uczący innych wieśniaków maszerowania i wykorzystywania ich narzędzi jako broni, by potrafili walczyć z regularnym wojskiem... nie tylko ćwiczących ich, lecz również stający na ich czele – to coś zupełnie nowego. I nie wszystkim to się podoba. Przynajmniej nie panom. A potem znikasz, po ocaleniu życia władcy Segrahlinowi. Martwy – pomyślała większość – albo tak przerażony, że uciekł.

Musiał zapytać, choć był pewny, że znał odpowiedź, a samo pytanie może rozgniewać Marrakai.

– Czy to dlatego, że sam się boisz? Chcesz mi pomóc – w zamian za co? Za pozostawienie w spokoju twego dominium?

Marrakai nie rozgniewał się, lecz jego syn tak. Potrząsnął głową zarówno nad nim, jak i nad Girdem.

– Boję się długiej wojny, która wyniszczy ziemię, a nie przyniesie sprawiedliwości. Nie przystąpili jeszcze do prawdziwego kontraktaku, Girdzie, z użyciem najstraszliwszej magii. Ujrzysz znacznie gorsze rzeczy: zatrute studnie, pola wyjałowione na długie lata, chyba że znajdziesz kogoś obdarzonego mocą, by odwrócił zaklęcie. Nie osiągnąłeś błyskawicznego zwycięstwa; teraz wiedzą już, z czym mają do czynienia. Mimo to musisz walczyć. Rozumiem to: sprawy zaszły za daleko, a twoi panowie nie mają zamiaru niczego naprawiać. Czy się boję? Oczywiście. Ja też mam dzieci, ziemię, które ukochałem i zależnych ode mnie ludzi. Co gorsza, wiąże mnie przysięga złożona królowi w chwili, gdy wstąpił na tron. Bez jego zgody – której nie udzieli – nie mogę angażować w to mych ludzi, chyba że do obrony granic.

– Czemu popierasz złego króla?

Marrakai westchnął.

– Felis nie jest zły, tylko zwyczajnie słaby. Ma podłych doradców, przynajmniej niektórych... Gdyby tylko poślubił swoją różyczkę, jak ją nazywał, zamiast siostrę Verrakai... ale to nie podłość. Girdzie, przysiągłem mu wierność po dwakroć: jako władcy Tsaia oraz człowiekowi, Felisowi Hornathowi Mikelowi Dovre Mahieran Mahierai. Gdybym poszedł na wojnę wbrew jego woli, złamałbym słowo, które – choć dane głupio i w niewiedzy – wciąż mnie wiąże. Nie dla każdego znaczy to samo; niektórzy uwolniliby się bez kłopotu. Ja nie potrafię. Nie

mógłbym tego zrobić i pozostać tym, kim jestem i kogo szanuję.

Dyskutowałem z nim, błagałem, krzychałem, wreszcie opuściłem dwór – za jego przyzwoleniem, gdyż miał już dosyć wysłuchiwania mnie. Lecz tego jednego uczynić nie mogę.

Gird wyczuł nienaruszalną substancję tego człowieka, na swój sposób równie niezmienną, co gnomów. Sam nigdy nie znalazł kogoś wartego złożenia takiej przysięgi – słowo dane zarządcy nie uważał za równie wiążące. Wieśniak robił, co musiał, żeby przetrwać; honor był czymś, o czym śpiewali panowie.

– Nie zgadzasz się? – zapytał Marrakai. Gird wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Nie mam prawa zgadzać się, ani nie zgadzać. Przyznaję, że słusznym jest dotrzymywanie słowa, a jeśli tak pojmujesz swoją powinność wobec króla, to może – musi – być to słuszne dla ciebie.

– Zastanawiam się czasami... – zaczął Marrakai i wykrzywił usta w smętnym uśmiechu. – W oczach wielu to, co zaproponuję, jest równie złe, jak poprowadzenie mojej armii na wojnę. Jak mawiał jeden z mych mentorów: bystry umysł może rozszczepić włos, lecz rozdwojony włos nie nadaje się najlepiej do zawieszania na nim swego życia. – Gird milczał; nie nadązał za władcą. Marrakai chyba to rozumiał, bo teraz on wzruszył ramionami. – Postawię sprawę jasno: gnomy przesłały mi wiadomość, że jesteś najlepszym z możliwych przywódców rewolty, która z pewnością wybuchnie w Finaarenis. Myślałem, że przybędziesz minionego lata, w zamian usłyszałem jednak o twoich kampaniach...

– Nie wszystkie z nich były moje – odparł Gird, drapiąc się po nosie. – Tamten człowiek na południu...

– Spodziewałem się sprzecznych wieści – powiedział Marrakai. – Lecz część z nich bez wątpienia dotyczyła ciebie. Gnomy utrzymywały, że z pomocą Najwyższego zdołasz zwyciężyć w ciągu jednego roku, lecz nie spodziewały się tego. Mówiły, że będziesz potrzebował złota na dobrą broń oraz żołnierzy, lecz nie byli chętni, by dostarczyć ci którejkolwiek z tych rzeczy. Uznali, że ja mógłbym to zrobić, z mych własnych powodów.

– Spojrzał na syna. – Oto jeden z nich: jak długo Felis pozostanie królem, Mesha nie odziedziczy mych ziem. Był zbyt prostolinijny na dworze, nawet gorszy ode mnie. – Nie powstrzymał śmiechu; Gird zauważył, że uszy młodego Marrakai zapłonęły purpurą. Jego ojciec potrząsnął głową. – My, Marrakai, nie jesteśmy dobrzy w ukrywaniu poglądów; jest tak od pokoleń. Mój dziadek powiadał, że kiedy bogowie nas kształtowali, ktoś dorzucił drożdży do mieszanki i kipią one w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Gird spozierał to na jednego, to drugiego. Nie miał pojęcia o stylu życia panów, nie spodziewał się jednak po nich taktu. Poczul ukłucie ciekawości.

– Co zrobiłeś? – zapytał Meszę. Młodzieniec poczerwieniał jeszcze bardziej, lecz oczy mu zaświeciły. Zaczął odpowiadać, lecz ojciec uciszył go machnięciem.

– Nie ma znaczenia, co; wystarczy, że powiedział prawdę tak, jak ją widział, co okazało się zbyt twardym orzechem do zgryzienia dla królewskiego majestatu. Mówiłem ci, Mesho, że nie uznaję tego za krotocwilę: jestem dumny z twej uczciwości i odwagi, lecz niewłaściwym jest rozpowszechnianie tawernianych plotek o swym suzerenie.

– Nie jest moim suzerenem – zaprzeczył Mesha, czujnie patrząc ojcu w oczy. – Nie przyjmie ode mnie przysięgi – sam to zapowiedział – i tak oto...

– Uznałem cię moim dziedzicem, co sprawia, że wiąże cię przysięga złożona przeze mnie. Na bogów, chłopcze, nie czas na twe błazenady! Wystarczająco blisko ocieramy się o zdradzieckie ostrza. – Młodzieniec usiadł, odwracając twarz, a Marrakai zwrócił się do Girda: – Przepraszam, Girdzie – niegrzecznie jest przemilczać opowieść, lecz nie mogę pozwolić mu na przytoczenie jej. Wybacz mi to grubiaństwo, przyjmując w zamian moje wsparcie.

– Wsparcie? – Gird wciąż czuł dezorientację po szybkiej wymianie zdań pomiędzy ojcem a synem.

– Tak. Potrzebujesz broni; mogę dostarczyć ci część i dać złoto na resztę. Możesz potrzebować schronienia; moje lasy staną przed tobą otworem, podczas gdy moi żołnierze nie pozwolą nikomu innemu przekroczyć granic, gdyby cię ścigano. Nie sprzeciwię się, gdyby moi chłopci chcieli zorganizować się w podwórza – tak je chyba nazywacie? Twoja wojna rozszerzy się na Tsaia – musi, ponieważ nasz król jest sprzymierzony z twoim – a ty musisz ją wygrać w obu krainach, jeżeli masz ją wygrać w ogóle. – Umilkł na chwilę tak długą, że Gird uznał, że już skończył. – Chcę w dużym stopniu tego samego, co gnomy: twego zapewnienia, że uczynisz wszystko, by po wojnie zorganizować nowe społeczeństwo, rządzone przez prawo i porządek... oraz, że twoi zwolennicy nie będą dopuszczać się masakr i zniszczeń w stopniu większym, niż wymagany przez wojnę.

– Już tak postępujemy – oznajmił Gird.

– Tak słyszałem, lecz historie były pomieszane do tego stopnia, iż nie byłem pewny, które z nich dotyczą ciebie, a które twych wymyślonych wcieleń. Widzę, iż nie jesteś człowiekiem, który łatwo nienawidzi, ani który lubowałby się w gwałcie i zabijaniu. Z własnego doświadczenia wiem, że wojna to płomień, którego nie można uwięzić w palenisku. Już stała się krwawa, a będzie jeszcze gorzej. Chcę mieć pewność, że wspieram kogoś z wizją pokoju po wojnie.

– Tak. – Gird dostrzegł daremność innych słów; jak miałyby opisać swoją wizję? Lecz jego spokój wyraźnie przekonał Marrakai, który skinął krótko głową i wstał.

– Złoto przywiozłem ze sobą; możesz je zabrać. Mesha zaprowadzi cię do naszych granic i przedstawi zaufanym członkom mojej osobistej gwardii. Broń – będziesz musiał zapewnić transport od granicy, lecz mogę dostarczyć ci dwieście pięćdziesiąt pik i drugie tyle grotów, o ile masz drzewce.

Gird znowu poczuł dotyk złotych monet, tym razem otwarcie, w blasku dnia. Monety obu królestw bito tak samo: koronami z Tsaia płacono w Finaarenis wystarczająco często, by nie wzbudzało to komentarzy.

Przegarnął je palcami, radując się dotykiem i podniósł wzrok, by ujrzeć na twarzy Marrakai czujną minę.

– Są... takie ciężkie – powiedział Gird. – A w dotyku... takie inne. Nic dziwnego, że niektórzy ludzie stają się skapcami i chcą cały czas dotykać złota.

– Nie miałeś nigdy złota? – zapytał Mesha.

– Raz. Ktoś próbował mnie przekupić. – Gird wsypał monety z powrotem do skórzanego worka, podanego mu przez Marrakai.



– Jesteś nieprzekupny? – drążył Mesha.

Gird spojrzał mu w oczy.

– Pomiędzy tym złotem, a moim sercem stoi wspomnienie zgwałconej i zakrwawionej córki, jej martwego męża i mojego najbliższego przyjaciela, zabitego bez przyczyny. Można mnie przekupić, ale nie złotem. –

Młodzieniec sprawiał wrażenie zaniepokojonego, lecz Marrakai uśmiechnął się.

– W takim razie zaufałem właściwemu człowiekowi. Jedź w spokoju ze złotem i twymi wspomnieniami.

Po drodze do granicy Marrakai Mesha podzielił się wiedzą równie cenną, jak złoto.

– Ojciec mówi, że nie wolno mi wyjawić, za co wygnano mnie z dworu i pozbawiono dziedzictwa, nie wspomniał jednak ani słowem o tym, co widziałem. – Wyjaśnił, jakich rodzajów mocy mogą użyć panowie oraz narzędzi i kosztów z tym związanych. Znał niemagiczne metody przeciwdziałania części z nich, jako iż Marrakai, wcześniej utraciwszy moc, musieli bronić się przed czarującymi rywalami.

– Mówi się, że najlepszą obroną jest czyste serce, lecz u żadnego z nas nie jest ono wystarczająco czyste w oczach bogów. Moim zdaniem ludzi nie stworzono doskonałymi, a do perfekcji zbliżają się jak głupcy, kiedy zaprzeczają swym błędom.

Gird pokiwał głową.

– Ja popełniłem ich mnóstwo. Rzadkością jest, by młody człowiek to rozumiał, lecz masz nietuzinkowego ojca.

– Jest... odmienny. – Mesha przeszedł kilka kroków, nim to wyjaśnił. –

Wiedziałem to, jeszcze zanim rozumiałem; widziałem po sposobie, w jaki

traktowali go inni. Obawiają się go, choć przewyższają go mocami.

– Dla dobra twoich poddanych mam nadzieję, że jesteś odmienny na ten sam sposób – oznajmił Gird.

Mesha spojrział na niego, zaczął coś mówić, umilkł, by wreszcie po kilku minutach milczenia i czerwienienia się wypalić:

– Jak to jest być wieśniakiem? – Gird nie odpowiedział od razu, więc młodzieniec odwrócił się, jeszcze bardziej spłaszczył i ciągnął pospiesznie:

– Harfiarze śpiewają o urokach prostego, wiejskiego życia, rozkoszach gospodarowania. Poddani mego ojca sprawiają wrażenie szczęśliwych, ale nie opowiedzą mi o tym, prawda? Zapytałem ojca, a on odpowiedział: Idź i spróbuj... lecz mój mentor sprowadził mnie z powrotem.

Gird pomyślał, że przynajmniej część zainteresowania Meshy brała się ze zwykłej ciekawości, której nie miał szans zaspokoić w miejscu, gdzie był tak dobrze znany. Zerknął na niego; młodzieniec szedł przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Lubiałem gospodarowanie – powiedział. – To ciężka praca, ale dorastałem z nią i byłem w tym dobry. Doiłeś kiedyś krowę? Kosiłes kosą? Nie? Cóż, dla mnie to było naturalne. Kopanie to żadna radość, ale jest potrzebne: oranie, sianie, zbiory – to ta dobra część. Widok łaski Alyanyi, napełniającej kosze i beczki. Pogoda taka sama dla wszystkich. Złe rzeczy pochodziły od innych ludzi: pana co roku pobierającego coraz wyższe opłaty za pole, pochówek i ożenek, prawo do zbierania ziół i chrustu w lesie. Obowiązek zawożenia ziarna do jego młyna, zamiast używania własnych ręcznych żaren. Obowiązek kupowania ale z jego browaru, zamiast warzenia własnego piwa. Głód, kiedy trzeba opłacić podatki, widok naszych dzieci, coraz chudszych i chorujących, podczas gdy jego

tluste potomstwo ugania się na spasionych kucach po naszych polach, traktując je.

Obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, jak Mesha to przyjmował. Oblicze młodzieńca było poważne, lecz ani gniewne, ani pełne dezaprobaty.

– Nigdy nie uważaj problemów rolników za błahe, Mesho. Głód potrafi dręczyć; głód twojej rodziny, twoich dzieci, boli bardziej niż własny.

Zimowy wiatr przenikający przez łachmany, brak ognia w domu i wizyta zarządcy, węszącego za mięsem i świeżo upieczonym chlebem i żądającym uiszczenia specjalnego podatku, ponieważ pan przyjmuje damę, albo jego dama powiła dziecko – to jest ta zła strona. Nasz pan, Kelaive, powiadał, że chłopci to leniwi tchórze. Mówił tak z wielkim brzuchem pełnym pożywienia, które wyhodowaliśmy i otoczony przez dobrze odżywionych żołnierzy, a my słuchaliśmy go, dygocząc na zimnym wietrze lub piekąc się w pełnym słońcu lata. Zarządca mówił, że powinniśmy rozumieć, iż miał większe problemy. Większe od głodu? Większe od chłodu, choroby i braku zgody na zebranie leczniczych ziół? Co może być gorszego od wybierania, które z dzieci otrzyma okrusz chleba? – Nie był w stanie dalej mówić; krew tętniła mu w uszach, a powietrze wyrywało się z płuc.

– Przykro mi – powiedział Mesha.

– W porządku – mruknął Gird, brnąc na oślep przed siebie.

– Wcale nie i szkoda, że nic nie wiedziałem. – Teraz głos Meshy był pełen gniewu i to nie na Girda. – Mój ojciec jest lepszym człowiekiem. Wiem to.

– Lecz Gird usłyszał w jego głosie niepewność.

– Mam nadzieję – odrzekł, starając się przydać głosowi lekkiego tonu. – Ty też taki będziesz.

– Opowiedziałbym ci o dokonaniach mego ojca, lecz widzę teraz, iż były one niewystarczające, przynajmniej dla mnie. Muszę wiedzieć, jak żyją nasi poddani. Prosił mnie wcześniej, żebym przejął wieś, ale ja nie...

Ku swemu zdziwieniu Gird poczuł odprężenie.

– Jesteś młody, Mesho. Kiedy ja byłem młody, nie patrzyłem na ból. Szkoliłem się na strażnika pod okiem tego samego zarządcy – nie patrząc i nie widząc. Moja rodzina... uważałem ich za głupich i że ja im dopiero pokażę. Przecież jako strażnik jadłem ich jedzenie, nosiłem ich ubrania, przynosiłem ojcu do domu pieniądze – prawdziwe miedziaki. I byłem z tego dumny. To później bolało najmocniej – że byłem z tego dumny, kiedy siostry i bracia głodowali, a ja chodziłem syty.

– Ty... nie nienawidzisz mnie? – To był głos chłopca, rozpaczliwie pragnącego szacunku ze strony mężczyzny starszego od siebie.

– Nie. Nie nienawidzę ciebie, ani nawet – w tej chwili – Kelaive'a.

Nienawidzę tego, co uczyniło Kelaive'a chciwym i okrutnym, co zmuszało mojego ojca do płaszczenia się nawet przed jego zarządcą, co powstrzymało ciebie – który, śmiem twierdzić, mógłbyś stać się sprawiedliwy i hojny – od dowiedzenia się tego, co powinieneś. – Gird uśmiechnął się do niespokojnego młodziana. – Żyj w pokoju, Mesho, dopóki możesz. Długie życie przynosi każdemu człowiekowi pod drzwiami wystarczająco wiele bitew.

\* \* \*

Po przekroczeniu granicy z Finaarenis Gird zabrał się za organizację transportu obiecanych pik. Byłoby łatwiej przemycić je przez kraj przed

wybuchem wojny latem; gnomy doradzały mu, by najpierw udał się do Marrakai. Lecz nie marnował energii na żal. Nim opadły liście, wszystkie piki znalazły się po drugiej stronie granicy.

## Rozdział 28

Od swych ludzi dowiedział się, że wojna nie zwolniła nawet w okresie żniw. Armia króla rozdzieliła się. Jedna kolumna udała się na Wzgórze Czarnej Kości, gdzie znaleźli tylko ruiny. Druga – ruszyła Rzeczną Drogą na zachód, kiedy jednak dotarła do ziem kontrolowanych przez władcę Segrahlina, ten odmówił królewskiej armii prawa przemarszu. Mówiło się, że król i władca nie pogodzą się, dopóki wroga armia nie rozłoży się obozem pod bramami Finyathy.

– Moglibyśmy to zaaranżować – zaśmiał się Gird.

– Naprawdę? – Ku zaskoczeniu Girda, w Jasnej Wodzie pojawił się Arranha. Miał tę samą twarz, którą pamiętał i wydawał się zadowolony z życia z armią Girda i znoszenia nerwowych spojrzeń, rzucanych przez włościan, którzy nie ufali żadnym panom.

– Pewnego dnia musimy – mruknął Gird. – Ale po walce z władcą wolałbym tego uniknąć.

Arranha uśmiechnął się.

– Nabierasz rozwagi? Tak sądziłem, że może sprawić wam kłopot. Jeżeli nie opuszczą go moce, nie zabije głaz spadający na głowę lub gorączka płucna...

– Można go tak zabić? Kiedy moi łucznicy celowali w panów, strzały leciały w bok.

– O ile rozumiem ten rodzaj magii – różny od mojego – trzeba wiedzieć o ataku, żeby obronić się przed nim, zupełnie jak zbrojny, podnoszący tarczę nad głowę. Jeśli ktoś go zaskoczy, pozostanie jedynie wytrzymałość kości czaszki.

Arranha przyniósł mu upomnienia i sugestie gnomów.

– Rozumiesz, żadnych prezentów w postaci darmowych informacji.

Powiedziano mi, że według nich zawiera się to w pierwotnej umowie i są zadowoleni z tego, co zdziałałeś we Wzgórzu Czarnej Kości.

Gird prychnął.

– Na Wzgórzu Czarnej Kości byli cholernie blisko pozabijania nas. Nie powiedzieli mi, co planują, ani że rozmawiali z górnikami...

Arranha roześmiał się łagodnie.

– Ale przeżyłeś.

Kolejną niespodziankę po powrocie do domu zgotował mu Selamis.

Wyglądało na to, że po tym, jak Gird skarcił go za obnoszenie się z arystokratycznym pochodzeniem, postarał się lepiej dopasować. Nadal był niemal niezauważalny. Gird zaczął korzystać z jego specjalnej wiedzy, przyjmując za pewnik, że Selamis będzie wiedział, który pan był spokrewniony z którym i co oznaczały informacje przekazane mu przez kupców. Zanim jednak wyruszył ku dominium Marrakai, inni komendanci nie ufali Selamisowi. Kilku odwiedziło go prywatnie i prosiło, by nie mianował tamtego komendantem, ani nie oddawał mu dowodzenia. Gird i tak nie miał takiego zamiaru. Teraz jednak wszyscy żyli z nim w zgodzie. Komendanci odkryli, jak użyteczny mógł być ktoś potrafiący i lubiący pisać i rachować... oraz ktoś powszechnie znany, lecz pozbawiony realnej władzy. Selamis, jak ze zdziwieniem usłyszał Gird, powstrzymał uliczną bójkę, rozstrzygnął spór pomiędzy dwoma niedawno mianowanymi komendantami i przekonał szanowanych kupców, że warto słuchać komendanta-włościanina Jasnej Wody.

– Myślałem, że oszalałeś – wyznał Ivis pierwszego wieczoru po powrocie

Girda. – Syn pana, wichrzyciel w swojej wiosce... Wiem, że mówiłeś, iż nie był nim, ale my mieliśmy takiego w naszej wsi, a ty nie. Teraz jednak... Nie jest taki zły. Wiesz, jak Cob go nazywa?

Cob wychylił się i dał Ivisowi kuksańca.

– Cicho. Girdowi nie spodoba się to.

– No jak?

– Luap. – Ivis parsknął śmiechem. – No wiesz: tak panowie nazywają bękarta, który nie może po nich dziedziczyć. Pozycja bez władzy. Cob nazywa go naszym luapem.

Gird spojrzał ostro na Coba, który zdołał się zaczerwienić.

– To nie jest takie złe, na jakie wygląda – rzucił obronnie. – Sam nauczył mnie tego słowa i żartował z tego. Cały czas spędza z nami – osobami o wysokich pozycjach, jak komendanci czy ty, a sam nikim nie dowodzi. Więc podchwyciłem to, a on tylko się uśmiechnął.

– Żart czy nie, ale nie podoba mi się.

– Dlaczego? – Do rozmowy włączył się Selamis, który przerzucił nogę przez ławkę, klepnął Girda mocno w ramię i spojrzał mu prosto w twarz. – Nikomu nigdy nie podobało się imię, jakie nadał mi ojciec – sam powiedziałeś, że brzmi dziwnie. Jestem luapem: bękartem mego ojca i twoim zaufanym pomocnikiem. Ale nie dowodzę. Potwierdzą, że ćwicyłem i uczyłem się walczyć, lecz nadal najlepszy jestem w rachunkach.

– Tak, ale... – Gird potrząsnął głową; niepokoiło go coś w tym prostolinijnym, otwartym obliczu przed nim. Ten człowiek powinien przejmować się takim określeniem. Ale już przegrał ten spór – wielu włóścian przywykło do mówienia o „luapie”, bądź „luapie komendanta”.



Po powrocie Girda i pojawieniu się u jego boku Selamisa, szybko zaczęto nazywać go „luapem Girda”. Gird nadal zwracał się do niego po imieniu, choć czasami zapominał się.

Późną jesienią panowie zmienili taktykę. Przez całe lato nie zdołali zastawić skutecznej pułapki na armię Girda, która zadawała im poważne straty. Wobec czego zabrali się za ziemię, która dawała mu żołnierzy i pożywienie, wymuszając ewakuację wiosek, paląc je w razie oporu i pozbawiając prowincję środków do życia. Żołnierze nadzorowali żniwa, a potem palili pola; przez wiele dni niebo zasnute było dymem, a na podróżnych opadał popiół. Bydło zaganiano do ufortyfikowanych osad i miasteczek, a to, które się nie mieściło, zarzynano na miejscu i karmiono nim żołnierzy.

Działania te miały różne tempo w poszczególnych częściach królestwa. Część panów nie chciała utracić produkcji założonych przez siebie wiosek, więc w zamian umieszczali w nich żołnierzy. Innym brakowało środków, by pozbyć się tej jesieni więcej niż dwóch wsi. Ocalali mogli próbować ucieczki, albo czekać w nadziei, że wiosna przyniesie odmianę. Coraz więcej i więcej uchodźców wędrowało po kraju, szukając Girda lub jakiegokolwiek bezpiecznego miejsca do przezimowania.

Włóścianie kontrolowali dolinę na południe i wschód od Jasnej Wody. Zapewniało im to duże zbiory ziarna... a raczej byłyby duże, gdyby nie rosące potrzeby. Miasto Jasna Woda, wszystkie okoliczne wioski, armia – ziarna wystarczy dla tak wielu tylko pod . warunkiem rozsądnego gospodarowania zapasami, a zgodnie z jego własnym prawem (wyczuwał w tym ironię) nie mógł ich zarekwirować. Oczywiście, część gospodarzy nie ufała mu i wolała dobrowolnie oddać ziarno. Jego własni zwolennicy

mieli czasami mniej cierpliwości od niego; przyłapywał się na upominaniu podwładnych równie często, jak innych, że potrzebna jest sprawiedliwość, a zastraszanie jest złe.

– To nie to samo – oponował Ivis pewnego wilgotnego, późnojesiennego dnia, kiedy zimny deszcz przyczernił opadłe liście, zamieniając je w cichy, ciemny dywan. – Skoro dokonujemy uczciwego podziału – zgodnie z prawem głodu – i wszyscy dzielą się równo, to nie jest zastraszanie. Z zastraszania sprawca czerpie korzyść.

– Tak jest – również tutaj. – Gird hałaśliwie wydmuchał nos w kawałek brudnej skórki i wytarł ją o rękaw. Głowa pulsowała mu bólem, odnosił wrażenie, że uszy miał pełne wody i był przekonany, że to nie zwyczajny, jesienny chłód. Nie mógł czuć się tak źle z powodu zwykłych chłodów. – Czerpiemy z tego korzyści – my, sprawcy – ponieważ dzięki temu mamy więcej do uczciwego podziału, a nasza część – tak samo, jak innych – jest większa.

– Ale korzyści czerpią wszyscy.

– Nie. Nie ci, którzy tracą – oni mają więcej teraz. Nasza droga jest słuszna, Ivisie i lepsza od ich drogi – wiem o tym. Lecz jej częścią jest: jak robimy to, co robimy, a nie tylko: co robimy.

– Nie przydamy się im, jeśli będziemy głodować...

– Jeszcze nie głodujemy. Poza tym, choć nie zgodzę się na wymuszenia od naszego ludu, nie mam nic przeciwko zabieraniu wrogom.

– Wydawało się mi, że mówiłeś, iż nie jesteśmy gotowi do szturmowania ich umocnienia.

– Karawana ze zbożem nie jest umocniona. – Przy tym bólu gardła Gird nie miał ochoty na wyjaśnienia, że nakazał najbardziej oddalonym

podwórzom napadać na konwoje ze zbożem. Część odnosiła sukcesy, także w zagarnianiu stad bydła zabieranych z wysiedlanych wiosek. Coraz więcej podwórczy podejmowało jeszcze śmielsze działania: napadały na oddziały strażników, lekkomyślnie obozujących poza murami lub podróżujących drogami i szlakami. Potyczki niewielkich grup buntowników z małymi oddziałami strażników szybko przekonały tych ostatnich do poruszania się wyłącznie w większych zgrupowaniach. Zimowe śniegi zawsze oznaczały zakończenie operacji militarnych, lecz ta zima nie przyniosła pokoju, a jedynie spowolnienie działań. Zajęty kodyfikowaniem swojego prawa – z pomocą Selamisa i Arranhy – Gird analizował raporty z dalszych wsi. Tutaj podwórcze wciągnęło w zasadzkę pana z dwiema dłońmi strażników i zabijając wszystkich, pozbawiło dominium władcy. Tam dwa podwórcza odparły napaść bandytów, by ulec żołnierzom, którzy wkroczyli na scenę pod koniec bitwy. Kupcy i rzemieślnicy Tarrho – miasteczka rozmiarów Jasnej Wody, leżącego w pobliżu wschodniej granicy – postanowili obalić swego władcę i ogłosić wolność tylko po to, by za chwilę zbuntowali się robotnicy i słudzy, którzy z kolei obalili kupców. Nieliczne podwórcze Tarrho nie zdobyło zaufania żadnej frakcji i doszło do zaciętych walk, które kosztowały miasto utratę wielu mieszkańców i zapasów żywności. Wówczas na Tarrho napadli zbójcy, złupili je i spalili. Heroldzi króla obwieścili, że była to wina Girda i jego buntowników. Dopiero ocalali z podwórcza Tarrho, którzy dotarli do Jasnej Wody przed Śródziemem, wyjaśnili, co naprawdę się stało.

– Wiele band rozbójników podaje się za twych włościń, Girdzie – powiedział komendant-włościń. – Nikt nie jest pewny... przynajmniej nie ci, którzy nie wstąpili do twych szeregów. Obawiają się twojego

imienia i podwórzy.

– Dlatego właśnie nasze zasady muszą być powszechnie znane – oznajmił Gird. – Gdyby wiedzieli, że mamy prawo, poznali je i zobaczyli, iż stosujemy się do niego, być może zaufaliby nam.

– Możliwe. – Komendant-włościanin nie wyglądał na przekonanego. Gird przyjrzał się mu.

– A czego trzeba by według ciebie?

– Cóż... panie... myślę, że powinni coś zobaczyć. Możemy mówić, że mamy zasady, ale to nie wystarczy, ponieważ mieszczanie przywykli do czytania o prawie w księgach.

– Dlatego właśnie spisuję je – oświadczył Gird, uderzając ręką o stół, aż podskoczyły przybory Selamisa. Wskazał na młodszego mężczyznę. – To jest Selamis. – Wciąż nie mówił: mój luap. – Ma lepszą rękę do pisania ode mnie. Jego odczyta każdy.

– To powinno pomóc – zgodził się komendant-włościanin, wyciągając szyję, by zobaczyć, co zostało napisane na leżącej na wierzchu kartce.

– Jest bardzo proste – zapewnił go Gird. – Powiedziałem mu, że musimy zawrzeć je w nie więcej, niż czterech dłoniach zasad. Ludzie zapamiętają je, jeśli będą mogli zliczyć je na palcach rąk i nóg.

Stopniowo kopie prostych reguł, które później stały się Kodeksem Girda, trafiały do kolejnych podwórzy, a stamtąd do miast. Z konieczności wystarczały one na czas wojny; Gird prawdopodobnie nie byłby w stanie opracować wszystkich zasad, potrzebnych w handlu i wymianie podczas pokoju. Był jednak pewny swych intencji: okrucieństwo było zawsze złe i zawsze krzywdziło społeczność. Uczciwość i sprawiedliwe postępowanie było dobre i pomagało.

W srogie mrozy i śniegi zimy żadna armia nie mogłaby dotrzeć zbyt daleko. Do Jasnej Wody i wioski, gdzie obozowała armia Girda trafiali dezercerzy – wygłodzeni, w łachmanach, czasami konający z zimna. Gird osobiście podróżował od jednego obozu do drugiego, starając się upewnić, że jedzenie i ciepło dzielono sprawiedliwie między wszystkich. Bez rad gnomów wiedział, że będzie musiał wygrać w ciągu najbliższego roku, a przynajmniej kontrolować większość obszarów rolniczych, by jego lud mógł z powrotem uprawiać ziemię. W przeciwnym razie armia włościan będzie głodować, a panowie wygrają bez walki.

Zapasy żywności kurczyły się. Włościanie nie narzekali, widząc, że brzuch Girda zapadł się tak samo, jak ich. Lecz cichy płacz dzieci przeszywał mu serce, jak gdyby wszystkie należały do niego. Rzadko widywał Rahi czy Pidiego; Girnis zaginęła w kurzawie wojny i nie miał o niej żadnych wiadomości. Lecz dzieci z obozu zawsze były z nim jako przypomnienie powodów, dla których walczył i tego, co zostanie stracone, jeśli przegra. Było to w pierwszych dniach wczesnej wiosny, gdy niepewna pogoda mogła w każdej chwili przynieść odwilż lub ciężkie mrozy. Wziął kohortę i wyruszył po prowiant do jednej ze wsi, które rok wcześniej obiecały im wsparcie. Maszerowali cztery dni na południe i wschód od doliny, pokonali grzbiet i zeszli do sąsiedniej doliny. Gird posłał przodem biegacza. Zamiast jednak komendanta-włościanina czy podwórze, na spotkanie wyszła im cała wieś. Stali na pokrytej śniegiem łące ponurzy i nieprzyjaźni. Oznajmili, że nie dadzą nic: nawet kamienia zboża, czy kosza suszonych owoców. Odejdźcie, dodali, nim ściągnięcie na nas gniew panów. Gird pokiwał głową i każdego z nich zlustrował wzrokiem od góry do dołu.

– Wygląda na to, że mi nie ufacie.

Grupa obszarpanych mężczyzn i kobiet milczała. Nie spodziewał się, że przyznają się do tego. Nikt nie spojrzał mu w oczy. Stała za nim kohorta jeszcze bardziej zaniedbanych ludzi. Słyszał ich oddechy i chrzęst kamyków pod stopami, gdy przestępowali z nogi na nogę. Ich intensywna uwaga była niczym przyłożone do karku rozpalone żelazo. Żołądek zawiązał się mu w supeł z głodu, a wiedział, że pozostali byli równie głodni.

Spróbował jeszcze raz.

– W zeszłym roku zawarliśmy umowę, pamiętacie? – Patrzył prosto na przywódczynię wioski, która wbijała wzrok we własne stopy. Niemniej, powoli pokiwała głową.

– Tak... obiecałeś, że podzielicie się z nami zbiorami, nakarmicie nas i pomożecie w walce z panami...

– Nie wygraliście. – Z tyłu grupy dobiegł cichy, gorzki głos. Gird nie potrafił powiedzieć, czyj.

– Jeszcze nie – zgodził się. – Ale jesteśmy bardzo blisko... Na łyzy Pani, myśleliście, że jedna bitwa wszystko załatwi? Mówiliśmy wam...

– To była ciężka zima – powiedziała przywódczyni, wciąż unikając jego wzroku. – Foloki poszły za stadami i porwały niemal wszystkie jagnięta.

– Opowiedz im wszystko, Maro – rozległ się ten sam gorzki głos, tym razem głośniejszy.

– Przyszli panowie – wyjaśniła kobieta. Podniosła wzrok i Gird ujrzał na jej twarzy świeżą bliznę – ślad po kolczastym batogu, który niemal zabrał jej oko. – Powiedzieli, że musimy mieć więcej, niż im pokazujemy.

Powiedzieli, że oddawaliśmy jedzenie buntownikom i że nie będą dłużej

tego tolerować. Zabrali po jednym dziecku z każdej rodziny... Gdzie byliście, kiedy tutaj przyszli? Daleko stąd – tylko tyle wiemy. Żadnej pomocy. Pomoc za pomoc – tak mówimy – a wy jej nam nie udzieliliście. – Przykro mi – mruknął Gird. Wszystkie twarze były zwrócone ku niemu, wystraszone i zgorzkniałe. Zdradzone. Chciał powiedzieć: To nie moja wina, lecz wiedział, że to nie pomoże. W ciągu zeszłego roku obronili wiele wiosek – przypomniały się mu wszystkie potyczki i bitwy oraz koszty, jakie ponieśli. Jeżeli będą mieli wystarczające zapasy, to w tym roku obejmą kontrolą większy obszar i mniej wiosek ucierpi. Lecz tutejszych ludzi nie obronili, a ci zmienili zdanie.

– Przychodzą częściej – ciągnęła kobieta. – Sprawdzają pola, spichlerze. Zostawiają nam tyle, żeby ledwo przeżyć, a resztę niszczą. Zagrozili, że zniszczą pola, jeśli będziemy wspierać buntowników.

Czy mógł im obiecać, że więcej nie przyjdą? Czy zostało mu jeszcze tyle siły? Usiłował myśleć, lecz nie był pewny. A fałszywa obietnica była gorsza od żadnej. Czy gdyby powiedział im, jak blisko był przesunięcia swych linii o kolejną milę ku wzgórzom, zdradziliby to panom? Czyżby byli straceni dla niego na zawsze?

– Girdzie? – To był Selamis, jak zwykle. Bez wątpienia wymyślił coś sprytnego, by uratować sytuację. Gird żałował, że nie potrafił być za to odpowiednio wdzięczny. Kiwnął ręką, by młodzieniec wystąpił naprzód. Selamis wymamrotał mu do ucha: – Złoto Marrakai? – Cóż, faktycznie sprytnie. Prawdopodobnie według darczyńcy nie w tym celu miało być użyte, niemniej, mogło się udać. Chociaż... jeśli pójdą kupić żywność, by zastąpić to, co chciał od nich kupić, ich panowie z pewnością to zauważą. Musiał spróbować. W ustach mu zaschło na myśl o wszystkich możliwych

konsekwencjach.

– Mamy trochę złota, które znaleźliśmy...

– Znaleźliście! – Ton nie należał do obiecujących. Ktoś splunął soczyście; plwocina rozprysła się na kamieniu niedaleko butów Girda. – Powiedzieli nam, że będziecie mieli złoto, bandyci, oraz co nam zrobią, jeżeli przyjdziemy z nim na rynek. Prawda jest taka, że nie jesteście lepsi od nich. Bierzecie naszą żywność dla swojej armii – oni robią dokładnie to samo. Najeżdżacie nas, a nie chronicie jedni przed drugimi. Nie ma krztyny różnicy.

Nawet głodny, nie mógł bardziej naciskać na tych ludzi. Czy mu się to podobało, czy nie, byli przyczyną jego walki, a on nie mógłby ich skrzywdzić... na razie. Czy mogliby skorzystać ze złota na którymś z rynków? Jeden z nich mógłby udawać kupca obrabowanego na szlaku. Zdarzało się to wystarczająco często. Czy ten nieznośny kapłan nie mógłby użyć dla nich swej magii i zapewnić komuś bezpieczeństwo w miastach? Mógłby, ale chciałby coś w zamian, a Gird jeszcze mu nie zaufał.

– Nie jesteśmy tacy sami i myślę, że doskonale o tym wiecie. Ale spadło na was więcej kłopotów, niż mogliście znieść. Rozumiem to. Nie weźmiemy nic siłą, ale pomyślcie: teraz wzięli po jednym dziecku z każdej rodziny... Uważacie, że to ich zadowoli? Ja straciłem dużo więcej, zanim się uwolniłem. Nie bądźcie równie głupi, jak ja.

– Straciłeś dzieci? – Inni uciszyli odzianego w skórzany płaszcz nieznajomego, lecz Gird odpowiedział, odliczając na palcach.

\* \* \*



– Moi pierwsi dwaj synowie zmarli z gorączki – pan odmówił nam prawa zebrania ziół w lesie. Moja żona straciła dwoje dzieci: jedno z głodu, a drugie z gorączki. Najstarszą córkę zgwałcili i zabili jej męża. Dziecko zmarło nienarodzone. Najmłodszego syna pobili, ale przeżył. Drugą córkę poturbowali i złamali jej ramię; nie wiem, czy jeszcze żyje. Dzieci brata, które przyjąłem do siebie, również nie żyją, zabite przez chciwość pana. A to tylko dzieci. Straciłem przyjaciół, rodziców, brata. Zapytajcie samych siebie: skoro mogli zabrać jedno dziecko, czy na tym poprzestaną? Czy posłuszeństwo i uległość przyniosą wam spokój i wystarczającą ilość jedzenia? Czy to kiedykolwiek tak działało? Możecie siedzieć i pozwolić im zabierać was po kolei, albo postanowić walczyć.

Po czym odwrócił się, spojrzął ostro na własnych, nieszczęśliwych ludzi i pomaszerował z nimi. Nikt za nim nie zawołał, ale nie zaskoczyło go to, że trzech mieszkańcy wsi dogonili ich, by przyłączyć się do armii.

Drażniły go takie incydenty. Pewnego dnia starał się przedłużyć jedzenie niewielkiej porcji owsianki, kiedy dwóch komendantów zameldowało mu, że wioski, do których udali się po żywność, odmówiły im wsparcia lub sprzedaży, motywując to napaściami bandytów. Cierpliwość Girda wyczerpała się.

– Mam tego dosyć! – Wyszło to głośniejszym głosem, niż zamierzał, choć wcale nie chciał mówić cicho. Wszyscy umilkli i patrzyli na niego, co tylko bardziej go rozwścieczyło. Ściszył głos, doskonale wiedząc, że i tak niósł się dalej, niż krzyki większości ludzi. – Te wszystkie targi, jakby byli hodowcami chcącymi uzyskać lepszą cenę za byka. To borykanie się ze złodziejami i rozrabiakami, cechami rzemieślników i radami wiosek. Każdy głupiec

powinien umieć dostrzec, co oni wyprawiają. Pomyślałbyś, że lubili jarzmo panów, skoro po uwolnieniu odeń tak wierzgają i kłapią zębami. Nawet Panią Pokoju doprowadziliby do furii. Na bogów, próbujemy ich uwolnić i postępować sprawiedliwie, a oni tego nie widzą!

– Równie dobrze moglibyśmy być bandytami – uznał Herrak. Nie po raz pierwszy mówił coś takiego; Girdowi nie spodobała się skarga w jego głosie. – Co to za różnica?

– Różnica dla nas – odparł Gird. – Wcześniej też byli bandyci i jakoś nigdy nie pomagali rolnikom. Gdybyśmy byli zwykłymi rabusiami, wszyscy stanęliby przeciwko nam. Nie rozumiem tylko, dlaczego oni nie widzą tej różnicy.

– Musimy wygrać – powiedział uśmiechnięty Selamis. W jego głosie brzmiała znienawidzona przez Girda słodka aksamitność; zwykle działała na tłumy, lecz nie była to pora na przemówienia.

– Uważasz, że powinienem pójść do bandytów i zwerbować ich? – To miał być żart, lecz cisza, jaka zapanowała, zdradziła mu, że pozostali już o tym myśleli. Na poważnie. Selamis czyścił paznokcie czubkiem noża; obrzucił Girda tym spojrzeniem z ukosa, którego ten tak nie lubił.

– Część z nich może bardziej przypominać nas, niż ci się zdaje.

Pozbawieni przywódcy rolnicy wyrzuceni z wiosek – czyż nie tak właśnie zaczynaliście?

Cob usiadł prosto i spiorunował Selamisa wzrokiem.

– Nie byliśmy rozbójnikami. Możliwe, że brakowało nam organizacji, byliśmy leniwi, brudni i niewiele umieliśmy, lecz nie byliśmy bandytami. Selamis uśmiechnął się do niego.

– To właśnie miałem na myśli. Ale założę się, że wasi panowie właśnie tak

was nazywali. – Nie przekonał tym Coba, który wciąż patrzył na Selamisa spode łba. Za to Ivis pokiwał głową.

– To fakt. I może... Z nami dobrze ci poszło, Girdzie, a gdybyś wiosną znalazł przynajmniej jedną dodatkową kohortę...

Gird z trudem powściągnął gniew. Końcówka zimy zawsze była najgorszym czasem na kłótnie, nawet w wioskach: puste miski i wymuszona bezczynność sprawiały, że wszyscy stawali się drażliwi.

– Przypuszczam, że masz na myśli jakiegoś szczególnie świętego zbója, którego miałbym zwerbować?

– Świętości nie obiecuję, lecz te dwie ostatnie wsie utrzymują, że bandyci z ich okolicy dysponują jedną lub dwiema kohortami. I znam kogoś, kto zaprowadzi cię do ich obozu.

– Przemyślę to. – Zastanawiałby się nad tym długo, lecz nazajutrz przybył obcy z ofertą – pisemną, co zaskoczyło Girda – od dokładnie tego herszta rozbójników. Utrzymywał, że był żołnierzem, który zrzucił płaszcz po wybuchu wojny. Miał wiele do zaoferowania i chciałby spotkać się z nim w swoim obozie. Gird omówił to z Arranhą. Stary kapłan potrząsnął głową i rozłożył ręce.

– Złożyłeś swe życie w ręce władcy Segrahlina, Girdzie i wyszedłeś z tego cało. Jeśli chcesz spróbować szczęścia z tym zbójcą, to nie mam podstaw, by uważać, że pójdzie ci gorzej. Weźmiesz ze sobą kohortę?

– Nie. Brak nam prowiantu, by udać się tak daleko, poza tym, wyglądałoby na wygłodzonych. Nie zrobiliby wrażenia ani na nim, ani na jego ludziach. Pójdę sam i założę najlepsze buty.

\* \* \*

– Być może chciałbyś coś rozważyć. – Twarz olbrzymiego mężczyzny była ciemna nie tylko od opalenizny; w każdej zmarszczce zalegał stary brud, a gęste, czarne włosy były tłuste. Lecz na klindze sztyletu, którym przycinał sobie brudne paznokcie, nie było najmniejszej planiki, a ostrze lśniło.

– Możliwe – mruknął Gird, przyjmując brudny, gliniany garnek, podany mu bez entuzjazmu przez innego rozbójnika. Jedni bogowie wiedzieli, jakie napoje były w nim wcześniej. Powąchał dyskretnie. Bystre oczka olbrzyma nie przeoczyły niczego.

– Mamy ale, jeśli chcesz. To jest zwykła woda z tutejszego źródła. – Kiwnął głową ku wodzie, połyskującej wśród oczeretów po drugiej stronie polany. Gird napił się ostrożnie. Smakowało jak źródłana woda, bez śladu żadnych znanych mu ziół.

– Słyszałem, że jesteś nowym chłopskim generałem – oznajmił wielkolud. Skinął dłonią i kobieta w pasiastej spódnicy – Gird nigdy nie widział takiego wzoru – przyniosła drewnianą tacę z chlebem i dwoma miskami do połowy napełnionymi gulaszem. Potrawa wychlapała się na tacę, tworząc szarą kałużę, ale pachniała dobrze. – Proszę – dodał mężczyzna, przełamując bochenek i podając Girdowi obie części. Ten wziął mniejszą; olbrzym zmarszczył brwi, niemniej, podał mu jedną z misek.

– Nie jestem generałem – sprostował Gird. Skubnął chleba: twardy i kwaśny, ale nie gorszy od jego własnych wypieków.

– Potrzebujesz żołnierzy. – Olbrzymi mężczyzna zamoczył chleb w gulaszu, po czym odgryzł olbrzymi kęs. – Ja mam żołnierzy.

Gird przyjrzał się mężczyznom skulonym przy ogniskach i obsługiwanym

przez dwie kobiety.

– Tych?

– Między innymi. Więcej od ciebie, chłopski generale. – Mówił niewyraźnie, przeżuwając.

– Chcesz do nas dołączyć?

Mężczyzna przełknął, włożył do ust kolejną porcję i skończył, nim odpowiedział.

– To ty nas potrzebujesz. Myślę, że to ty chcesz nas.

Gird umoczył chleb w sosie i odgryzł większy kawałek. Tej wiosny nie jadł jeszcze równie dobrego mięsa.

– Smaczny gulasz – pochwalił. Olbrzym zmarszczył brwi, lecz zmilczał.

Gird zerknął ponad jego ramieniem na pozostałych i natknął się na spojrzenia, które szybko umykały na boki. Odstawił miskę i pochylił się naprzód z pięściami na kolanach.

– Potrzebuję ludzi, którzy chcą uczynić tę krainę lepszą.

Wielkolud wybałuszył oczy i wybuchnął śmiechem, plując dokoła jedzeniem.

– Lepsza kraina! A co to za gadka? Wam, wieśniakom, wydaje się, że to właśnie robicie?

– W przeciwnym razie bylibyśmy zwykłymi rozbójnikami.

– Myślisz, że to takie straszne? Na palce Simyitsa, Girdzie, jesteśmy rozbójnikami od tak dawna, że większość z nas nie pamięta, skąd pochodzi. Czy według ciebie wyglądamy, jakbyśmy głodowali? –

Podciągnął rękaw i zgiął mięsiste przedramię. – Widzisz to? Pokaż mi wieśniaka z taką ilością ciała na kościach – na pewno nie ty, ani nikt, kogo znasz. Poza tym, wy też jesteście wyjęci spod prawa; panowie wyznaczyli

za twoją głowę nagrodę dokładnie tak samo, jak za nasze.

Gird był świadomy nadstawionych uszu, pragnących wyłowić każde słowo ich rozmowy.

– Jesteśmy banitami, bo nie mieliśmy wyjścia. Ponieważ prawa władców-magów nie dawały nam możliwości godnego życia w ich ramach.

Gdybyśmy otrzymali uczciwą szansę, to nie wiem, czy zbyt wielu z nas zdecydowałoby się na taki żywot. Przeważnie słyszałem, że wyjęci spod prawa to ludzie wypędzeni ze swojej ziemi przez chciwość panów.

Mężczyzna skrzywił się i splunął niedaleko nóg Girda.

– Zgadza się, to niesprawiedliwość wypędza większość ludzi do lasu.

Część z nas wykradziono za młodu, albo zrodzili się z wolnych ojców. Ale najważniejsze, że teraz wszyscy jesteśmy wolni. I nie mamy ochoty dać nałożyć sobie na karki jarzma.

– Jarzma władców-magów?

– Kogokolwiek. – Mężczyzna splunął znowu, tym razem trochę bliżej.

Gird uznał to za celowe. – Będę z tobą szczery, Girdzie. Jesteśmy wolni i chcemy pozostać wolni. Mówisz o lepszej krainie, tylko co masz na myśli? Lepszego króla? Lepszego poborcę podatkowego?

Część zgromadzonych podeszła bliżej. Już wcześniej zauważył, że byli dobrze odżywieni; teraz dojrzał w ich dłoniach błysk ostrzy.

– Żadnego króla – odpowiedział. – To władcy-magowie przywieźli ze sobą królów; przedtem ich nie mieliśmy.

– Kto ci to powiedział? – zapytał rudy draąg z za pleców herszta.

– Gnomy – odrzekł. Chciał mówić dalej, lecz powstrzymał go sposób, w jaki wszystkim zaparło dech. – Coś nie tak? – zapytał.

– Zadajesz się z gnomami! – Olbrzym wydawał się jednocześnie zły i

wystraszony.

Nie był pewny, jak odpowiedzieć. Czy zrozumieją umowę, jaką zawarł, czy też będą się bali ingerencji kapristi?

– Dzięki nim poznałem dawne dzieje – odparł w końcu. – I prawo.

Wielkolud zerknął w prawo i w lewo, ściągając swym ludziom wodze równie widocznie, jak woźnica czyni to z zaprzęgiem. Gird poczuł na plecach strumyczek zimnego potu. Coś, co powiedział, zmieniło ich nastawienie – bynajmniej nie na lepsze.

– Nie nazwałbym zmianą na lepsze rządów gnomów i ich popleczników – oznajmił herszt.

– Nie pragną władzy nad ziemiami ludzi – odrzekł Gird. – Przestrzegają praw, które im tego zabraniają.

– Ale ty nauczyłeś się prawa od nich... Nauczyłeś się również, co zrobić, by ta kraina stała się lepsza?

– Konieczne zmiany są wystarczająco oczywiste. Uczciwe postępowanie ludzi wobec siebie. Sprawiedliwi sędziowie. Podatki muszą zostać, ale na rozsądnym poziomie, by ludzie mogli je opłacić i nadal godnie żyć. Od gnomów nauczyłem się, czego trzeba, by takie reguły zapanowały i jakie zasady są niezbędne poszczególnym grupom.

Zęby wielkoluda zabłysły w uśmiechu.

– Uczciwe postępowanie, co? A kto powie, co jest uczciwe, skoro nie będzie króla? Gnomy?

Gird potrząsnął głową, odpychając od siebie wątpliwości. Znalazł się na znajomym gruncie; może go wysłuchają.

– Nie gnomy – mają własne prawa, tylko dla nich. My potrzebujemy praw – zasad – dla nas... dla nas wszystkich. My decydujemy, co jest uczciwe,

wszyscy, w radzie, jak czynili to nasi dziadowie w swych osadach. –

Szybko objaśnił plan, jaki stworzył ze swymi przyjaciółmi. Prędko jednak uświadomił sobie, że słuchali go ze średnim zainteresowaniem. Kiedy skończył, ich przywódca pokręcił głową.

– To dobre dla rolników i wiejskich piekarzy. Myślisz, że kowal usiądzie przy śmierdzącym garbarzu i hodowcy świń po kolana umazany gnojem? A co z nami? Nie znamy się na żadnym z wymienionych przez ciebie rzemiosł. Co według ciebie mielibyśmy robić w twojej „lepszej krainie”? Naprawdę sądzisz, że wezmę się za sianie i koszenie, a Pirig wróci do wypasania owiec?

– Czemu nie? – zapytał Gird, choć był pewny, że znał odpowiedź. – To uczciwa praca, a bez wpływu władców-magów...

– Ponieważ nie jestem kimś, kogo nazywasz „uczciwym człowiekiem” – przerwał mu olbrzym, pochylając się naprzód. – Chcesz uczciwości, to idź do gnomów. Nam w to graj! Mam pchać pług albo machać kosą, skoro potrafię posługiwać się mieczem i toporem? Czy w twojej lepszej krainie będzie miejsce dla żołnierzy?

Gird uniósł brwi.

– Żołnierze? Tym właśnie jesteście?

– Wystarczająco podobni. Silni, uzbrojeni mężczyźni – nazywaj nas, jak chcesz: bandytami lub żołnierzami – to bez znaczenia. Żołnierze to też bandyci, tyle że w mundurach.

Gird powstrzymał gniewną odpowiedź – to nie był czas na utratę opanowania, gdyż mogło to kosztować utratę głowy.

– Przynajmniej część z nich – przytaknął tak pojednawczo, jak tylko zdołał. Wielkolud opadł na swój kamień. – Jeśli jednak nasze życie ma być



lepsze, to i nasi żołnierze muszą być lepsi.

– Wasi żołnierze! Zdychający z głodu wieśniacy, którzy o szermierce mają mniejsze pojęcie, niż najgorszy wojownik w mojej bandzie.

Gird uśmiechnął się do niego.

– Skoro jesteście tacy dobrzy w robieniu mieczem, to czemu przez tyle lat nie uwolniliście się od zagrożenia, jakie stanowi dla was milicja?

– Nie chodzi o samą szermierkę! – krzyknął ktoś z tyłu gęstniejącego tłumu.

– Dokładnie – zgodził się Gird z głosem niewidocznego dyskutanta. – Toczenie wojny to coś więcej, niż szermierka. Moi wieśniacy mogą kiepsko radzić sobie z klingą, ale przynajmniej tyle wiedzą.

Spróbowaliście po swojemu i nie udało się wam, a teraz chcecie mojej pomocy...

– Nie! – Wielkolud zerwał się na równe nogi. Coś, co powiedział Gird, ugodziło go do żywego; mógłby to wykorzystać, gdyby tylko ustalił, co to było. – Nie potrzebuję niczyjej pomocy! Możemy siedzieć sobie tutaj i tuczyć się na waszej wojnie, wieśniaku, żerując na obu stronach.

Zaoferowałem ci pomoc, której potrzebujesz: ludzi i broń. Nie potrzebuję twych świętoszko waty eh słów, ani praw gnomów.

– A czego chciałeś w zamian za pomoc?

– Tylko tego, co dajesz innym, którzy przyprowadzają ci żołnierzy: mianowania mnie komendantem – może nawet najwyższym komendantem – tak, jak tamtych.

– Nie wydaje mi się – odparł Gird i pochylił się po miskę. Zgodnie z jego oczekiwaniami, wielkolud skoczył na niego, widząc łatwy cel. Tak, jak planował, miska ze stygnącym gulaszem wylądowała na twarzy

napastnika; sam odtoczył się, unikając noża. Walnął stopami olbrzyma w brzuch i poderwał się z uniesionymi pięściami, podczas gdy herszt zbójców łapał powietrze na ziemi. Odkopnął nóż. Pozostali ruszyli na niego, teraz jednak otoczyli go, niepewni.

– Żołnierze muszą sobie ufać – oznajmił donośnie Gird. – Muszę ufać moim komendantom, a oni muszą ufać komendantom-włóścianom, którzy z kolei muszą ufać swym podwładnym. Inaczej podczas bitwy nic się nie uda.

– Zabiję cię – wychrypiał mężczyzna na ziemi, chwytając powietrze.

– Wstań i spróbuj – zachęcił go Gird. Ktoś zachichotał i Gird wyczuł, że tłum podzielał nastrój tamtego. Niemniej, otaczali go kręgiem; nie uciekłyby, nawet gdyby spróbował. Ale nie próbował, a oni nie podchodzili bliżej, bardziej zaciekawieni, niż rozzłoszczeni.

Olbrzym pozbierał się w końcu z ziemi z ponurą miną na brudnej twarzy.

– Ty... powinienesz był mnie zabić, kiedy miałeś okazję, głupcze!

– Nie mam w zwyczaju zarzynać bezbronnego, który nie jest moim wrogiem.

– Teraz już jest – oświadczył wielkolud. Potoczył dokoła wściekłym spojrzeniem. – A wy... dlaczego go nie złapaliście?

– Czemu? – zapytał ten sam rudzielec, który zabierał głos wcześniej. – Ty zacząłeś. Sam go łap. Mógłby mnie skrzywdzić. – Odpowiedziały mu jeszcze głośniejsze i bardziej jawne chichoty. Olbrzym poczerwieniał.

– Tak właśnie zrobię, a potem nie będzie już wam do śmiechu... każę Fargiemu zdjąć z niego skórę. A co do ciebie, Girdzie, to usłyszałem, jak nazywają cię Silne Ramię, a nie Kamienne Stopy. Użyj siły tego ramienia, jeżeli w ogóle ją masz.

– Tak jest – podchwycili inni. – Koniec z zapaśniczymi sztuczkami: walczcie z Arbolem jak mężczyźni, na pięści.

Głupio – pomyślał Gird, przypominając sobie cierpkie komentarze gnomów na temat ludzkich bójek. Lecz głupio czy nie, jedyna szansa wyjścia cało z tej pechowej przygody kryła się w sile jego ramion i twardości pięści. Wielkolud przykucnął i skoczył na niego. Gird odsunął się, zdzielił go w żebra i przyjął cios na własny bok. Udało się – będzie musiał powiedzieć o tym gnomiemu wojownikowi, o ile jeszcze kiedyś go zobaczy. Skoro musisz używać pięści – powtarzał Ketik – naucz się używać ich właściwie. Olbrzym zasypywał go gradem ciosów, które Gird przyjmował na przedramiona, utrzymując je z dala od twarzy. On sam trafiał w ramiona, barki i ciało; przeciwnik był wystarczająco szybki, by chronić głowę i chować się za własnymi pięściami, niczym rzeczny krab za szczypcami. Słyszał pomruki i okrzyki otaczających ich mężczyzn, zagrzewających wodza do walki. Starał się nie przyjmować ich do wiadomości.

Herszt kopnął go w goleń. Gird opuścił na chwilę gardę i otrzymał silny cios w bok głowy. Nie wiedzieć czemu, bardzo go to rozbawiło – przypomniał sobie ojca, mówiącego mu, że w bójkach będzie bezpieczny, ponieważ miał łeb z kamienia. Na obliczu przeciwnika ujrzał zdumienie i cień strachu... I dobrze, tamten powinien się bać. Pomimo przewagi masy, olbrzym nie był od niego silniejszy, a jego ramiona nie miały większego zasięgu... i zjadł całą kolację, a potem dostał kopniaka w brzuch.

Gird pozwolił sobie na uśmiech. Tamten sam wybrał pięści, podczas gdy mógł posiekać go na kawałki mieczem – czyżby nie uświadomił sobie jeszcze, że postawił na ulubiony oręż Girda? Zaczął cofać się pod

nawałnicą potężnych ciosów rolnika. Gird ledwo czuł uderzenia herszta; dawno już nie miał tak w pełni usprawiedliwionej okazji do stłuczenia kogoś na kwaśne jabłko. W trakcie bitwy musiał myśleć o wszystkim i przewidywać, a podczas ćwiczeń uważać, by nie wyrządzić krzywdy własnemu podwładnemu. Lecz tu i teraz mógł wyładować całą swoją frustrację i wściekłość z ostatniego roku, a niezależnie od tego, czy przeżyje, czy nie, będzie miał satysfakcję z rozwalenia na miazgę twarzy tego aroganta, który uważał się za zbyt dobrego, by zostać gospodarzem. Herszt przestał atakować i skupił się na obronie przed atakami Girda. Komendant-generał odrzucił go czterema krótkimi ciosami w korpus, po czym pozwolił sobie na ulubiony zamach, w który włożył całą swoją siłę i ciężar, łamiąc tamtemu szczękę i powalając go na ziemię. Olbrzym padł, szarpnął się i znieruchomiał. Gird rozprostował dłonie i zaczął ssać rozcięcie. Nie miał żadnych złamań, choć rano będzie cały zeszywniały. W miarę, jak opadały emocje, czuł coraz więcej siniaków i rwanie kopniętego golenia.

Pomruki dookoła były teraz pełne podziwu. Przyglądał się uważnie każdej twarzy, zastanawiając się, czy go zaatakują lub dźgną nożem. Nie miał szansy obronienia się przed tak wieloma przeciwnikami. Lecz chociaż dwóch przyklęкло przy wodzu, a ktoś przyniósł kubeł wody, przestrzeń wokół niego powiększyła się. Dosłyszał szybko stłumione narzekanie na przegraną i zdał sobie sprawę, iż stali się obiektem zakładów. Powinien spodziewać się tego, lecz wcześniej nawet o tym nie pomyślał.

– Tak zdobywasz armię? – zapytał któryś z rozbójników. Gird pokręcił głową.

– Nie. Ale czasami to się przydaje. Mój... tata zwykł mawiać, że jedyną

metodą na dotarcie do niektórych głów jest rozbicie ich i wpuszczenie do środka odrobiny światła. – Wywołał tym wybuch szczerego śmiechu.

Poczuł ukłucie winy, że skłamał, jako iż jego ojciec do końca pozostał wiernym sługą Alyanyi, lecz instynkt podpowiadał mu, że błędem byłoby przyznanie się tym ludziom do pobytu wśród strażników.

– A teraz?

Gird spojrzał na mówiącego, ssąc kłykcie.

– Teraz, co? Próbowałem mnie dopaść, a ja go pokonałem. To sprawa pomiędzy nami dwoma. Do ciebie nic nie mam, chyba że mnie wyzwiesz.

– Nie, nie zamierzam. Chodziło mi o to, czy przejmiesz nad nami dowodzenie?

– Nie może! – zawołał ktoś za jego plecami. Gird nie obejrzał się.

– Nie – odparł wolno. – Nie o to walczyliśmy. Wybierzecie sobie przywódcę... a z tego, co wiem, wybierzecie znowu jego.

– A co z przyłączeniem się do twojej armii...

Gird wzruszył ramionami.

– Słyszeliście, co powiedziałem. Szukam ludzi, którzy chcą lepszej krainy i pragną zostać uczciwymi włościanami. Tacy mogą pójść ze mną, inni niech lepiej zostaną. Możemy być chudzi i głodni, ale wiemy, jak poradzić sobie z takimi, co chcą wbić nam nóż w plecy, albo nas obrabować. – Szturchnął stopą nieprzytomnego wodza.

– Moglibyśmy cię zabić – mruknął jeden z mężczyzn na samym skraju pola widzenia. Gird roześmiał się i ujrzał na otaczających go twarzach zdziwienie.

– Zabijanie jest łatwe... Możecie zabić mnie wy, mogą władcy-magowie. A co potem? Zabicie mnie nie da wam przepustki do mojej armii. Sami

podejmijcie decyzję; ja wracam do domu. – Odwrócił się i spojrzał twardo na ludzi zbitych ciasno za jego plecami. Cofnęli się pod jego spojrzeniem jak psy i otworzyli mu przejście. Swędziały go plecy; wystarczyłby jeden rzucony nóż, jeden sztych miecza. Lecz i tak nie wywalczyłby sobie drogi. Usłyszał za sobą gwałtowną sprzeczkę, przekleństwa i parę ciosów, zakończonych jękami. Domyślał się, że ktoś inny przejmował władzę. Ciekawe, czy pójdą za nim. Wszedł między drzewa, nie oglądając się za siebie. Nie przyniosłoby to niczego dobrego.

Uszedł spory kawałek, kiedy na ścieżce za sobą usłyszał tupanie biegnących. Zszedł ze szlaku, zapadł w poszyciu i popęzł kawałek z powrotem, równoległe do ścieżki. Ujrzał czterech mężczyzn i kobietę w pasiastej spódnicy. Wszyscy uzbrojeni. Pierwszy uważnie przepatrywał ścieżkę. Zatrzymał resztę w miejscu, gdzie Gird zszedł ze szlaku.

– Nie może być zbyt daleko przed nami – powiedział.

– Czekaście, nie widzę...

Gird wstał; usłyszeli szelest liści i obrócili się zaskoczeni.

– Dlaczego za mną idziecie?

– My... ja... chciałem przyłączyć się do ciebie – oznajmił pierwszy mężczyzna.

– Słyszałam, że przyjmujesz kobiety – dodała ich towarzyszka.

Gird ostrożnie wyszedł na ścieżkę.

– Owszem, jeżeli chcą przyjmować rozkazy. Lecz kierujemy się zasadami, które mogą nie znaleźć waszego uznania.

– To lepsze od niego – rzucił pierwszy mężczyzna, kiwając brodą w stronę obozu zbójców. – Wolę walczyć, niż kraść.

## Rozdział 29

Tegoroczne wiosenne deszcze opóźniły wszystkie posunięcia. Gird kreślił i poprawiał plany bitew, wciąż na nowo przeglądając je i rewidując. Jego kohorty okazały się najskuteczniejsze, szybko uderzając na niewielkie zgrupowania nieprzyjaciela tam, gdzie miały przewagę liczebną i kontrolowały otoczenie. Jeśli jednak nie poprawi się zaopatrzenie, nie zdoła utrzymać tej taktyki w następnym roku. Będzie musiał stanąć do walnej bitwy z siłami panów i pokonać je, by opanować większe terytorium i zapewnić bezpieczeństwo obszarom rolnym i ludziom, którzy je uprawiali. Czy powinien uczynić to wcześniej, czy później, po znużeniu pańskich armii licznymi napaściami? Ile nie zasianego ziarna będzie go kosztowało to w przyszłej porze zbiorów?

W niektórych regionach panowie nie pozwalali chłopom orać i siał; w innych – wieśniaków pilnowali żołnierze. Gird kręcił głową, słysząc to. Czemu sądzili, że zaatakuje podczas zasiewów? Jego własne siły chroniły okolicę doliny Jasnej Wody; w ciągu zimy zapędził wszystkich gospodarzy do podwórzy i musztry. Większość z nich wyraziła zgodę. Teraz włościanie strzegli ich podczas obsiewania pól. Miał nadzieję, że w trakcie działań wojennych zdołają obronić się sami.

Rozpoczął przemieszczanie armii na wschód, po jednej kohorcie na raz, wykorzystując deszcze i pozostawiając mniej śladów, niż gdyby ruszyli wszyscy razem. Ivis znalazł dobrą kryjówkę dwa dni drogi od nich, ' pod półkami skalnymi przy przepastnej jaskini. Gird osobiście przebył drogę tam i z powrotem, odprowadzając pierwsze dwie kohorty, po czym spędził kilka dni w Jasnej Wodzie, rozdysponowując złoto Marrakai i mając

nadzieję, że po powrocie znajdzie miasteczko na swoim miejscu. Jeżeli wróci. Potem wyruszył na czele ostatniej kohorty, zauważając, że pomimo wszelkich wysiłków ślady pozostawione przez poprzedników były czytelne jak mapa – błotnisty szlak przecinający świeżą, wiosenną trawę. Drogi – pomyślał. – Kiedy to się skończy, będziemy potrzebowali dobrych dróg. Teraz jednak potrzebne im było szczęście, boski dar cudu. Z drugiej strony, przypominając sobie poprzednie razy, kiedy chciał cudu i co w rzeczywistości otrzymał, uznał, że lepiej będzie o to nie prosić. Wpadł w niespotykane zrzędlawy nastrój; wychodząc z koszar, uderzył kolaniem o framugę i noga wciąż mu dokuczała. Chłodne, wilgotne powietrze zdawało się wgryzać w otarcie, zamiast je uśmierzać. Skrzywił się i splunął, trafiając w muchę. To go nieco rozweseliło.

Nim zapadł zmierzch, czuł się, jakby maszerował przez pół roku. Miał zimne i przemoczone stopy. Ściągnął znoszone buty i przysunął stopy bliżej ogniska, pocierając je o siebie. Mżawka syczała w płomieniach, a dym płożył się blisko ziemi, dusząc wszystkich i wywołując kaszel. Gird zatęsknił do koszar w Jasnej Wodzie... Nawet do tamtego kupieckiego domu z mosiężnikiem na środku stołu, wokół którego mogło zasiać do rozmowy kilku ludzi. Nigdy nie zacznie rozumować jak kupiec, zdołał jednak przewyciężyć pierwsze wynikające z zaskoczenia uprzedzenia. Powiedział sobie, że powinien cieszyć się z posiadania dobrego, skórzanego płaszcza. Pamiętał czasy, gdy spadające z gałęzi drzew krople kapąłyby mu wprost na gołą głowę. Ale pociecha nie skutkowałą. Był zziębnięty, zeszywniały, przemoczony i pełen niewytłumaczalnej tęsknoty za swym przytulnym domkiem z ogniem płonącym na palenisku i rodziną dokoła. Milczał; inni też nie odzywali się w tak paskudny wieczór.



Następnego dnia dotarli do skalnej kryjówki z jaskinią, gdzie zgromadziła się większość jego armii. Od nowa rzucił się w wir doskonale znanych problemów: jak duże kloaki wykopać, ile worków ziarna i suszonych owoców mieli i na jak długo im wystarczą, gdzie znajdowały się najbliższe źródła zaopatrzenia. Był bardziej niż gotowy zzuć buty i udać się na spoczynek przy jednym z ognisk, gdy zjawił się Selamis i oznajmił, że muszą porozmawiać na osobności.

Podążył za swym pomocnikiem w głąb jaskini, wściekły na kaprysy Selamisa. Nie mieli czasu na bzdury.

– Tutaj – zatrzymał go głos młodzieńca, niewiele głośniejszy od szeptu.

– Jestem tutaj – burknął Gird, starając się zachować cierpliwość. – Co znowu?

Odpowiedziało mu bezgłośnie światło. Spomiędzy zaciśniętych palców Selamisa dobywała się różowa poświata, mocna niczym blask dnia.

Błyszczały w niej przymknięte oczy młodziana. Wstrząśnięty Gird zauważył na policzkach tamtego strumyki łez, spływające po trzęsących się policzkach. Przestraszony opuścił wzrok na własne dłonie, lecz oświetlał je jedynie blask Selamisa.

– Co... – głos mu się załamał; przełknął i spróbował jeszcze raz. – Co to jest... co znalazłeś? Gdzie?

– We mnie. – Mężczyzna rozsunął lekko ręce. Światło lśniło pomiędzy nimi, pozbawione źródła, złociście różowe: blask wiosennych zmierzchów, przymglonych pyłkami kwiatów; blask jesiennego świtania wśród opadłych liści. Lub przyjazny blask powitalnego ogniska. Gird zadrżał, walcząc z narastającym strachem.

– Jesteś... magiem? – Ogarnął go gniew. Okłamałeś mnie, pomyślał. Ale na

obliczu Selamisa malowało się jeszcze więcej strachu, niż on czuł i to nie przed nim, tylko przed światłem.

– Nie wiem. – Młodzieniec jeszcze szerzej rozłożył ręce, westchnął i światło zgasło. Od wlotu korytarza dobiegał głos Rahi, spierającej się, ile cebuli powinno pójść do wieczornego kotła – więc nadal był to ten sam świat i czas. – Powiedziałem ci – dobiegł go głos z ciemności – że jestem pańskim bękartem. Ale nie zdradziłem ci...

Co tym razem, zastanawiał się Gird, przypominając sobie wszystkie sprawy, o których jego luap nie powiedział mu, dopóki nie zmusiły go do tego okoliczności. Czy ten człowiek nigdy nie odda się prawdzie, porzucając kłamstwa?

– Spłodzono mnie dla magii – wyrzucił z siebie jednym tchem Selamis. Gird milczał, obserwując, jak powoli oddech jego rozmówcy zwalnia. – Robią teraz takie rzeczy...

– Pytałem cię o to – przypomniał mu łagodnie Gird. Teraz wszystko nabierało sensu. – Mów dalej – ponaglił go spokojniej, niż uczyniłby to jeszcze chwilę temu.

– Nie mogli jej u mnie wykryć – wyjaśnił jego luap. – Dlatego właśnie odesłali mnie – oto prawdziwa przyczyna.

– Wiesz co – zaczął delikatnie Gird – gdybyś od samego początku zwyczajnie powiedział mi całą prawdę, nie mielibyśmy potem tych wszystkich drobnych problemów.

– Wiem. Ale gdybyś się dowiedział...

– Do licha, nie jestem potworem! – Głos odbił się echem od ścian tak potwornie, że musiał się roześmiać. – Och, chłopcze, chłopcze, za stary jesteś na takie sztuczki. Mogę uwierzyć w twoje dziedzictwo krwi, choćby

z powodu twojej nieufności...

– Zaufanie jest niebezpieczne – mruknął Selamis.

– A ty zaufałeś mnie. – Jak zwykle, gniew i wesołość szybko minęły; czuł potrzebę dodania otuchy temu przerażonemu mężczyźnie oraz pewność, że muszą zachować go dla ich sprawy.

– To musi być magia – oznajmił spokojniej, acz bardzo cicho Selamis. – Ale nie wiem...

– Kiedy? – zapytał Gird, nie dopuszczając, by tamten zaplątał się we własne niepewności.

– Dwa dni temu, kiedy tu przybyliśmy. Rahi poprosiła mnie, żebym tutaj wrócił i sprawdził, czy nie ma żadnych zagrożeń. Zeskoczyłem ze skalnej półki i nagle poczułem się tak, jakbym bardzo długo spadał. Było ciemno – ciemniej niż teraz – absolutna czerń dookoła, czysta rozpacz i smutek. Tego właśnie obawiam się w śmierci.

Gird chrząknął. Nie potrafił wyobrazić sobie głębszych ciemności, niż panujące w tym końcu korytarza po zgaśnięciu niesamowitego blasku. Strach? Wszyscy go czuli, lecz Selamis był odważniejszy, niż mu się zdawało. Miał dar bajarza, który pozwalał mu opowiadać o strachu.

– Wtedy wezwałem Eseę – ciągnął luap. Mrok zwałił się na barki Girda tak namacalnie, że niemal sapnął. Esea! Był do tego stopnia synem pana, że w trudnych chwilach nadal zwracał się do ich boga? – I do Pani – do obojga. W mym umyśle rozbłysło światło – nie wspomnienie światła, lecz czysty blask. – Gird czuł, jak w miarę opowieści luapa włosy jeżą się mu na karku. – Srebrny niczym światło gwiazd, chłodny. W tym srebrzystym świetle wyrosły splecione w wieniec kwiaty, kolorowe, niby w blasku dnia i słodko pachnące. Przypominały świeżo upleciony wieniec Śródlecia. A

przecież blask wciąż był srebrny. – Oczy Girda wypełniły łzy; poczuł na policzkach gorące krople. A więc nie magia, tylko dar od bogów? Musiało tak być. – A wówczas w mych zaciśniętych dłoniach pojawiło się światło, dokładnie tak, jak pokazałem je tobie i w jego blasku ujrzałem symbole na skale.

– Co takiego? – Gird natychmiast ściszył głos. Ponownie rozbłysło przed nim różowe światło, lecz tym razem oblicze luapa było spokojne.

– Chodź. Mam ci je pokazać. „Powiedz Girdowi” – nakazali.

– Oni? – Nie oczekiwał odpowiedzi i nie otrzymał jej, idąc za luapem do skalnej komory w kształcie dzwonu. Podłoga na środku była wygładzona i wyłożona błyszczącymi wzorami. Coś tam lśniło, jakby ułożone z fasetek, lecz światło było za słabe, by mieć pewność. Selamis obszedł to dokoła, a Gird podążył za nim, mierząc zjawisko podejrzliwym wzrokiem. Luap zatrzymał się przed zagłębieniem w ścianie komory.

– Tam – oznajmił.

Blask w jego dłoniach przybrał na sile. Gird przyjrzał się niepewnie ścianie, na której powoli pojawiały się wzory; po chwili rozjarzyły się własnym światłem.

– To coś o elfach – powiedział Selamis, reagując na milczenie Girda. – Oraz skalnym ludzie i bogach...

– I ludziach – dodał Gird, śledząc jedną z linii kciukiem, gdyż nie użyłby palca wskazującego, palca wstydu, wobec czegoś, co mogło być święte.

Coś zadźwięczało mu w głowie – później myślał o tym jak o biciu

ogromnego, kościanego dzwona i że czaszka pulsowała mu mową bogów

– lecz w danej chwili świadomy był jedynie nacisku i wibracji,

wstrząsających na równi zmysłami, jak i ciałem.

Kiedy to się skończyło, leżał na brzuchu na zimnej skale, z mocno zaciśniętymi powiekami, a nieopodal słyszał dyszenie równie wstrząśniętego Selamisa. Powoli otworzył oczy, potarł dłońmi o skałę, a potem rozmasował głowę.

– Mogłeś powiedzieć mi, że jesteś synem króla – powiedział łagodnie.

Selamis zdążył sztywno przykucnąć; pomiędzy jego dłońmi wciąż jarzyło się światło.

– Powinienem być. – Po raz pierwszy nie szukał wymówek. Cokolwiek się zdarzyło, wpłynęło również na niego. – Ja... powinienem być.

– Mogłeś być następcą tronu. W obliczu magii nieślubne pochodzenie nie byłoby żadną przeszkodą.

– Moja... moc nie jest wystarczająco duża.

– Nie powinni byli pozwolić ci żyć. – Gird podźwignął się z ziemi, potrząsnął głową i ostrożnie przyjrzał się wyżłobionym wzorom. Z trudem mógł określić, czym były; przeplatające się krzywe i wzory znaczyły więcej, niż zwyczajny człowiek mógłby pojąć. Lub powinien. Obejrzał się za siebie na tajemniczy wzór na podłodze. – A tamto to co?

– Nie wiem.

– Ha. Poświeć tutaj, dobrze? – Blask przybliżył się wraz z Selamisem, niemal obrażonym, że Girda zainteresowało coś innego. Nie mógł niczego wywnioskować, nawet w lepszym świetle, więc w końcu wzruszył ramionami. – Cóż. Cokolwiek to jest, wiemy przynajmniej, kim jesteś ty... prawda?

– Królewskim bękartem. Wyrzutkiem. Światłorobem. – Głos Selamisa przepełniony był goryczą.

– Chcesz tronu, królewski bękartie? – Od gardłowego pomruku Girda

zawibrowały ściany. – O to chodzi: chcesz chłopskiej armii, która wyniesie cię na tron ojca i pozwoli rządzić?

– Nie! – Przenikliwy wrzask odbił się rozdygotanym echem od ścian, zdając się przeszywać samą skałę. – Nie. Chcę... chcę tylko...

– Bezpieczeństwa. – Tym razem powietrzem wstrząsnęła pogarda.

– To nie istnieje. – Gird z trudem dosłyszał cichy szept. Spojrzał w oświetlone przyjemnym, ciepłym blaskiem oblicze, które dorosło do swych lat. Niemal.

– Masz rację, chłopcze. Nie ma bezpieczeństwa, ani pewności, a odkrycie przez innych, kim naprawdę jesteś, będzie cię drogo kosztować. Tak to właśnie widzisz? A może twoja moc pozwala przepowiadać przyszłość?

– Częściowo tak. Odkąd pojawiło się światło.

Nie zapyta. Modlić się do bogów o łaskę – tak, składać ofiary, jak miał to w zwyczaju jego lud – owszem, lecz nie zapytałby o przyszłość. To dobre dla dzikusów, szalonych jeźdźców oraz zimnych, aroganckich panów, którzy nie musieli pytać, ponieważ wiedzieli.

– Nie byłbym taki, jak on – oznajmił Selamis. – Wyrzekam się mego imienia i nadaję sobie inne: luap... Przysięgam, że nie odziedziczę tego tronu, tego stylu życia, tego zachowania... – Brzmiało to jak ślubowanie.

Gird nie przerywał. – Nie jestem prawdziwym spadkobiercą; wyrzekam się tego. – Lecz światło nie zniknęło, nawet kiedy szeroko rozpostarł ręce. Gird odczekał, po czym przerwał ciszę.

– Chłopcze, nie możesz wyrzec się daru od bogów – tej magii – bardziej, niż ja mógłbym wyrzec się siły mego ramienia, czy umiejętności wojskowych, które wpędziły mnie w taką sytuację. Byłem tą drogą; teraz zwraca się ona ku tobie.

– Nie będę królem! – wykrzyknął luap, wytrzeszczając oczy.

– Nie. Nie zostaniesz nim. Nie możesz jednak oddzielić królewskiej krwi od własnej, ani usunąć magii króla ze swojej głowy. Możesz jedynie wybierać, jak jej użyć.

– Co mogę zrobić?

Girdowi zaburczało w brzuchu. Czuł nieprzepartą ochotę, żeby odkaszlnąć i splunąć. Z całą pewnością nie było to zachowanie stosowne dla tego miejsca i nie miał zamiaru przekonywać się, co by się stało, gdyby tak zrobił. Dorośnij – pomyślał, lecz na głos powiedział tylko:

– Możesz wyprowadzić nas na zewnątrz. Zgłodniałem. – Po czym dodał na widok oburzonej miny: – Bogowie, jesteś na wpół gospodarzem – użyj rozumu. Możesz być tym, kim jesteś i robić to, co słuszne. Co w tym takiego trudnego? – Odszedł, mijając wzory na podłodze, które zdawały się wyciągać macki ku jego stopom. Wdrapał się na półkę. – Cholera – ryknął. – No chodź. – Goleń będzie go bolał jeszcze wiele dni; było tyle do zrobienia i tak mało czasu.

Nikt nie odezwał się, kiedy wyłonił się z cieni z drepczącym za nim luapem. Wszyscy bekali po cebuli w gulaszu. Wyczują nas w komnatach króla, po drugiej stronie krainy, pomyślał, idąc do latryny. Lecz nie martwił się. Powinien zastanowić się nad luapem, ale nie teraz. Teraz musiał pomyśleć o swojej armii oraz wojskach króla – gdzie najlepiej będzie je spotkać.

Jego przewagą była ochota, z jaką ludzie mu pomagali: wiedział, gdzie znajdowała się armia króla, tamten zaś musiał go szukać. Król ponownie opuścił Finyathę i tym razem towarzyszył mu Segrahlin (tak przynajmniej mówiono), jak również wszyscy panowie obdarzeni mocą. Oraz ich

wykarmieni żołnierze i konni, którzy nauczyli się już, że trzeba opancerzać także rumaki.

W związku z czym nie był w nastroju do współpracy, kiedy następnego wieczoru Selamis przyszedł do niego i zapytał nieco zbyt niedbałym tonem, czy Gird zamierzał mianować go komendantem w nadchodzącej kampanii. Girdowi odjęło mowę.

– Nie mogę teraz powierzyć ci dowodzenia – oznajmił. – Mam nadzieję, że to rozumiesz...

Selamis przeszył go wzrokiem. Ponury, wyglądał prawie jak arystokrata.

– Cholernie trudno będzie wytłumaczyć mi, dlaczego niby nie. Do diabła, mogłeś o tym pomyśleć...

– Czy powiedzenie tego wcześniej przyniosłoby coś dobrego? – Gird nie lubił w Selamisie tego przekonania o własnej nieomyślności. Selamis kłamał, a kłamcy nie mieli prawa tak o sobie uważać. – Zresztą, nieważne, nie zrobiłeś tego. Nie powiedziałeś mi, a gdybyś nie miał tamtego...

tamtego doświadczenia... – Nie mógł powiedzieć na głos, że Selamis używał magii, że był czarodziejem. To wciąż go przerażało, choć miał nadzieję, że dobrze ukrywał swoją reakcję. Porzekadło głosiło, że kłamcy nie są zbyt dobrzy w zauważaniu cudzych łgarstw. Miał nadzieję, że to prawda.

– Gdybym nie miał mocy, powiedzenie tobie nie przyniosłoby niczego dobrego.

– Uważasz, że stało się dobrze?

– Cóż, chciałem powiedzieć... że gdybym nie miał mocy, moje pochodzenie nie miałoby znaczenia...

Gird napał na niego.



– Na suknię Pani, ty nadal myślisz o tronie, prawda? Wciąż sądzisz, że twoja krew i przeklęta, śmierdząca magia twych bogów daje ci jakieś prawo do sprawowania władzy?

– To nie byłoby to samo...

– Masz rację, że nie... ponieważ nie zbliżysz się nawet na milę do tego tronu, chłopcze. Zapomnij o tym. Potrafisz wyczarować bardzo ładne światło, a twój ojciec jest królem Finaarenis. Co nie ma żadnego cholernego znaczenia ani dla mnie, ani żadnego innego gospodarza...

– Ale ma znaczenie dla szlachetnie urodzonych – upierał się Selamis. – Sam to powiedziałaś. Gdyby wiedzieli...

– ... Poderżnęliby ci to twoje głupie gardło. Jak możesz być taki tępy] Widziałem mądrzejsze kamienie, które miały przynajmniej tyle rozumu, żeby toczyć się w dół. Nie. Jesteś królewskim bękartem, lecz założę się, że nie jesteś w tym osamotniony. Masz odrobinę mocy, akurat żeby wystraszyć nią dziewczęta...

Spowił ich blask, a serce Girda pochwyciła zimna pięść.

– Wystraszę cię – rzucił Selamis z wykrzywioną wściekłością, przystojną twarzą. – Przestań udawać, że się nie boisz. Przyznaj się. Lecz istniał gniew i gniew, a wściekłość Girda wyrastała z głębszych korzeni, niż zwyczajna uraza. Zmusił się do zaczerpnięcia jednego haustu powietrza, potem drugiego i poczuł, jak serce wraca do normalnego rytmu. Potężne ramię bezwiednie uniosło się i zdzieliło Selamisa w twarz.

Światło znikło i luap wyciągnął się jak długi na ziemi.

– Ty głupcze – mruknął niemal spokojnie Gird. Przykucnął i upewnił się, że Selamis wciąż oddychał, po czym rozejrzał się dokoła. Czy mieli tyle szczęścia, że nikt nie zauważył światła luapa? Nie: ktoś biegł ku nim przez

gęstniejące ciemności. Gird westchnął donośnie. Powinien był zabić Selamisa szybko i bezboleśnie, zanim się obudził. Powinien zrobić to dużo wcześniej, gdy po raz pierwszy zorientował się, że tamten go okłamywał. Głupiec wyrzekł się roszczeń przed bogami; to powinno go uspokoić. Teraz on, Gird, będzie musiał wszystko wyjaśniać, a był to najgorszy moment na obwieszczanie wszem i wobec, że mieli w obozie nieślubnego syna króla.

\* \* \*

Marszczył brwi nad rejestrem zapasów, kiedy uświadomił sobie, że Selamis ocknął się i patrzył na niego. Obejrzał się i napotkał rozwścieczony wzrok.

– Uderzyłeś mnie – wyszeptał chrapliwie luap. Pewnie dokuczała mu głowa; siniak na twarzy przydawał jej asymetryczności.

– Zgadza się. Pokazałeś mi, kim jesteś.

– Dlaczego zakładasz, że będę zły?

Gird odłożył karbowany patyk określający wielkość zbiorów podwórza w Pustej Śliwie i spoglądał twardo na Selamisa, dopóki ten nie spuścił wzroku.

– Wiesz, co robiłeś: kłamałeś, kłamałeś i jeszcze raz kłamałeś, a potem straciłeś panowanie nad sobą i użyłeś przeciwko mnie magii. Czy takiego króla chciałby któryś z nas, o ile w ogóle pragnąłby mieć króla? Mam uwierzyć, że korona nauczy cię uczciwości, cierpliwości i miłosierdzia, da ci mądrość? Wydaje się, iż wierzysz, że będziesz dobrym królem, lepszym od twego ojca. Możesz twierdzić, że trudno byłoby być gorszym. Ale ja

nie pomogę łgarzowi, ani narwanemu głupcowi w odzyskaniu tronu, skoro mógłby z powrotem postawić stopę na moim karku. O nie.

Selamis zamknął na chwilę oczy, a widoczna dłoń poruszyła się. Znowu czarował? Lecz oczy zaraz się otworzyły, a dłoń rozluźniła.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem był tego zrobić...

– Nigdy więcej. Co by się stało, gdybyś mnie zabił, he?

– Ja... nie pomyślałem...

– Święta prawda. A czy niemyślenie to cecha dobrego króla?

– Nie – burknął nadąsany. Twarz musiała mu naprawdę dokuczać. Wydał z siebie długie i głośnie westchnienie. Gird nie spojrzał na niego. – Co zamierzasz teraz zrobić?

– Sam zadaję sobie to pytanie – odparł Gird, podnosząc patyk od cechu kowali i przeciągając kciukiem po karmach. – Powinienem zabić cię w chwili, gdy zrozumiałem, że mnie oszukujesz, a już zdecydowanie powinienem był cię zabić wczorajszego wieczoru. Ale wiesz co, chłopcze: jestem kiepski w rachowaniu, a ty jesteś w tym dobry... Poza tym, czasami nawet najlepszej dójce zdarzy się kopnąć wiadro.

– Pozwolisz mi żyć, ponieważ umiem czytać i prowadzić rachunki?

– Na razie. Ale użyj tej magii jeszcze raz, a będziesz trupem.

– Zrobiłem ci krzywdę?

Dłoń Girda bezwiednie powędrowała do piersi. Spojrzał na Selamisa i napotkał jego wzrok.

– Owszem i mógłbyś zabić kogoś mniej upartego. Co ty sobie wyobrażałeś?

– Tak naprawdę, to wcale nie wiedziałem... Po prostu myślałem, że gdybym troszkę nacisnął...

– Nie rób tego. Nawet o tym nie myśl. Równie dobrze mógłbyś dać trzylatkowi do ręki pikę i mieć nadzieję, że nie porozbija garnków na płocie.

– Będę lojalny – przyrzekł Selamis, lecz bez przekonania.

Gird odłożył patyk i spojrzał mu prosto w oczy.

– Będziesz lojalny, chłopcze, albowiem w przeciwnym przypadku skręcę ci kark. Nie masz wyboru, ani pola manewru. Wyjawiłem komendantom to, czego musieli się dowiedzieć, ty zaś musisz wiedzieć, że twoje życie zależy od mojego dobrego słowa. Zabiją cię, jeżeli uznają, że rzuciłeś na mnie urok. Zabiją cię, jeżeli zauroczysz któregoś z nich. Jeśli uważasz, że to zbyt surowe, przypomnij sobie, jak twój ojciec postępował ze zdrajcami. Zabijemy cię szybko, lecz nie puścimy wolno, byś znowu źle wykorzystał swój talent.

\* \* \*

Gird przemieścił się na wschód i południe, z łatwością przejmując dwie mniejsze twierdze, których obrońcy uciekli przed przewagą liczebną oraz zdobywając trzecią po zaciętej walce. Potrzebował żywności tak bardzo, że usprawiedliwiało to poniesione straty. Jeden z uciekających panów władał wystarczającą magią, by zatruć studnie i zamienić pole w suchy popiół. Gird zastanawiał się, czy na tym szarym żwirze kiedykolwiek jeszcze coś urośnie. Pola drugiego mogą przynieść plony, o ile podczas lata nie wydarzy się nic złego. Przez tego, który stawiał im opór, musieli wziąć pierwszych wysoko urodzonych jeńców.

Pan zginął; miał moc czy nie, zakłuto go pikami. Jego żona, kilka

służących i dzieci – z prawego i nieprawego łoża – zabarykadowały się w wątlutkiej wieży. Włóścianie Girda bez trudu wyłamali drzwi i wyciągnęli je na zewnątrz. Gird przyjrzał się kobiecie. Poza długą suknią, inną niż noszone przez wieśniaczki stroje, nie różniła się od kobiet w jej wieku. Urodziła kilkoro dzieci, kolejne było w drodze. Dzieci, jak to dzieci – prezentowały wszystkie reakcje: od przerażenia po iście dziecięcy spokój. Służące starały się tulić je w ramionach i uspokajać.

Girda rozboleła głowa. Nigdy nie myślał o braniu więźniów, a już zwłaszcza kobiet i dzieci. Zakładał, że wszyscy panowie zginą w bitwie, wybawiając go z kłopotu. Teraz musiał. Kobieta – pani, jak o niej myślał – wyglądała, jakby spodziewała się śmierci. Lub czegoś gorszego. Służące stały niepewne, popatrując to na panią, to na włóścian.

– Chciała zamordować własne dzieci – oznajmił trzymający ją włóścianin.

Gird podszedł bliżej. Brązowe włosy i oczy mieniające się błękitem, zielenią i złotem. Uniosła brodę i zebrała się w sobie, by stawić mu czoła.

– Nie chciałaś ich zabić – powiedział.

– Lepiej ja, niż ty – odparła. Głos miała spokojny, niemal bezbarwny; głos kogoś, kto się poddał.

– Nie zamierzam zabijać dzieci. – Co miał z nimi zrobić? Dokąd odesłać? Z pewnością ich nie zabije; tak postępowali panowie.

– A co? Torturować dla rozrywki? Już ja wiem, jak zabawiacie się wy, chłopci. – Zbladła jak płótno, pewna, co zaraz ją spotka. Ogarnął go taki gniew, że faktycznie by to zrobił, gdyby nie to, że jedno z dzieci wyrwało się opiekunce i pobiegło prosto na niego, przebierając nóżkami i płacząc. Gird pochylił się, złapał je i unióśł w ramionach. Ją? Kruszyna miała warkoczyki; czy chłopcom panów także je zaplatano? Kobieta szarpnęła

się szaleńczo, gdy Gird podniósł dziecko, lecz uspokoiła się widząc, że trzymał je ostrożnie.

– Spokojnie, dziecko – powiedział Gird do dziewczynki. Zakładał, że to dziewczynka. Rozpłakała się jeszcze mocniej; twarzyczka jej poczerwieniała, a spod zaciśniętych powiek buchały strumienie łez. – Nie! – krzyknął na nią. Nastąpiła cisza; dziecko pociągnęło noskiem i otworzyło oczy. Niezwykłe: błękitne i nakrapiane złotem. W takich oczach można było utonąć. Spojrzał na kobietę. – Wcale nie znasz naszych zabaw, pani, jeżeli uważasz, że torturujemy dzieci. To właśnie cierpienie naszych dzieci pchnęło nas ku tej wojnie. To twoje? – Przytaknęła, zaciskając zbielełe wargi. – Śliczne dziecko. Mam nadzieję, że długie życie przed nią. – Postawił dziewczynkę na ziemi i pchnął lekko w stronę matki. – Idź, dziecino.

Nadal nie miał pomysłu. Widział rzucane mu ukradkiem spojrzenia i słyszał komentarze, wygłaszane głosami ściszonymi, lecz nie na tyle, by ich nie wychwylił. Rozwahał, co z nimi zrobić, zwiedzając zdobyty zameczek i dowiadując się więcej o fortyfikacjach, niż gnomy kiedykolwiek mu przekazały. Kiedy dotarł do lochów, kwestia błyskawicznie wyparowała mu z głowy, gdyż zobaczył, czego tak bardzo bała się pani – doskonale to znała. Opanował nudności i gniew, a jego włościanie pomogli wynędzniałym więźniom wyjść na światło dnia. Dotknął palcem czerwono-czarną maskę oprawcy, zastanawiając się, który z poległych mężczyzn ją nosił. Na ścianie wisiała jej większa wersja ze skóry naciągniętej na drewno i pomalowanej w jaskrawe pasy. Poniżej wisiał krąg z łańcucha z kolcami wplecionymi w ogniwa. Włościanie za jego plecami mruzcili gniewnie. Gird zerwał ze ściany maskę i łańcuch,

uważając, żeby kolce nie poraniły mu rąk, po czym skinął głową na resztę sprzętów.

– Wynieście to wszystko na górę i spalcie. Nie zostawimy za sobą niczego takiego. – Słowa dźwięczały mu w głowie, gdy wracał do więźniów. Nic takiego za sobą rozciągało się także na praktyki, nie tylko przedmioty materialne. Miał ochotę coś połamać, kogoś skrzywdzić, lecz to właśnie zapoczątkowało tę całą zawieruchę.

Pani siedziała w kucki z dziećmi w narożniku zewnętrznych murów, otoczona przez szydzący z niej tłum. Na widok Girda wszyscy umilkli, on zaś odesłał ich precz, z wyjątkiem paru strażników.

– Myślę, że wiesz, co znalazłem na dole – przemówił. Tym razem nie spojrzała mu w oczy. Wiedziała. Akceptowała to, może nawet zachęcała? – Maskę, kolczasty łańcuch...

– Mówiłam mu – mruknęła, wbijając wzrok w splecione dłonie. – Mówiłam mu, że nigdy nie powinniśmy oddawać czci Liartowi. Że nasza jedyna nadzieja leży w świetle Esei, a jeśli ta zawiedzie, powinniśmy ze spokojem przyjąć nastanie długiej nocy. Ale on nie słuchał. Nie przyznałby, że zawiodła go moc, a jego dzieci mogą nie otrzymać wszystkiego, co on odziedziczył. Mówiłam mu, że nic nie trwa wiecznie, że ludzie dojrzewają i upadają jak drzewa, jak... jak zboże, nawet tak krótko. Że w ten sposób nie zapewnimy sobie bezpieczeństwa.

Gird wyciągnął ręce i ujął jej dłonie.

– Popatrz na mnie. Tak, właśnie w ten sposób. Czy kogoś zabiłaś? Czy posłałaś kogoś na tortury?

W milczeniu pokręciła głową, patrząc mu w oczy tymi wielobarwnymi tęczęwkami. Czy próbowała go zaczarować? Czy potrafiłaby?

– Czy naprawdę próbowałaś powstrzymać przed tym swego męża?

– Tak. Ale nie posłuchał mnie.

Gird puścił jej dłonie.

– W takim razie słuchaj uważnie. Jeżeli odkryję, że skłamałaś i pomagałaś w tym obrzydliwym, rozstaniesz się z życiem. W przeciwnym razie, wszystko zależy od ciebie. Czy pragniesz odkupić zło, którego dopuszczał się twój mąż?

Jej oczy rozszerzyły się; nie spodziewała się tego.

– Jak mogłabym tego dokonać?

– Chodź z nami i lecz tych, którzy ucierpieli.

– Nie mam daru uzdrawiania... Poza tym, jestem... – wskazała na wypychający suknię brzuch.

– Jak myślisz, dokąd idą wieśniaczki w ciąży, wygnane ze swej ziemi? Co do daru uzdrawiania... Jeżeli potrafisz zagotować wodę i wyprać bandaże, zarobisz na swoje utrzymanie... choć przyznaję, że to niewiele, przynajmniej dopóki nie wygramy wojny.

– I dla twojej przyjemności zostanę niewolnicą niewolników?

Poczuł w ustach kwaśny smak.

– Nie, pani, byłoby mi przyjemnie, gdyby każdy mógł siedzieć bezpiecznie w domu, nie będąc niczym niewolnikiem.

– A jeżeli nie zgodzę się?

Gird wzruszył ramionami i wstał.

– Wypędzimy cię z naszych obozów i pozwolimy samodzielnie znaleźć jakąś posiadłość, o ile zdołasz. A zdołasz?

– Nie w tym stanie – odrzekła. – Dobrze. Przyjmuję ofertę. – W powietrzu zawisło niewypowiedziane Na razie. Gird czuł niemiłą pewność, że nie był



to ostatni taki problem, a wcale nie miał wrażenia, że znalazł najlepsze możliwe rozwiązanie.

Następnego dnia patrzył, jak pani – odziana w bardziej praktyczne, gospodarskie ubranie – i jej dzieci wyruszały z rannymi, których odsyłał do skalnej kryjówki. Musiał ostro posprzeczać się z włościanami, by uzyskać od nich przyrzeczenie, że będą traktować ją sprawiedliwie. Dzieci wzięliby z radością, lecz wyczuwał, iż chcieli, żeby zabił panią, choć bali się wypowiedzieć to na głos. Selamis – luap, upomniał sam siebie – nie przedstawił własnej opinii, a Gird nie pytał o nią. Młodzieniec powrócił do sprawnego prowadzenia rachunków i przekazywania wiadomości.

Jednym z problemów, na jakie natknął się w tym roku, była trudność z ogarnięciem wzrokiem sytuacji na całym polu bitwy. Zrozumiał, dlaczego oficerowie dosiadali koni: dzięki temu znajdowali się ponad pyłem i podskakującymi głowami walczących. W stajni hrabiego znaleźli wiele koni. Część zdechła, lecz kilka wciąż nadawało się do użytku. Niemal nie pamiętał już swych doświadczeń z młodości z dosiadaniami muła, lecz musiały mu wystarczyć.

W stajniach znajdowało się pięć żywych, zdrowych koni. Dwa były wielkie i długonogie, jeden kucyk (dla dzieci? zastanawiał się Gird) oraz dwa średnich rozmiarów i nieokreślonego przeznaczenia. Nie był nawet pewny, jak je osiodłać, lecz paru jego byłych żołnierzy potrafiło to i szybko poradzili sobie ze wszystkimi wierzchowcami, prócz kuca.

Doświadczeni jeźdźcy dosiedli ich i wypróbowali. Jeden z rumaków zaczął tańczyć i narowić się; pokrył się pianą, jeszcze zanim zerwał się do biegu. Drugi sprawiał wrażenie spokojniejszego, lecz podczas drugiego okrążenia dziedzińca stanął dęba i zrzucił jeźdźca. Gird uznał, że nie chce

żadnego z nich. Pozostała dwójka była bardziej posłuszna, lecz doświadczeni jeźdźcy orzekli, że żaden z nich nie nadawał się dla nowicjusza. Gird uznał, że na tym etapie nie mógł pozwolić sobie na połamanie nóg i powinien używać ich do tego, do czego je stworzono: do chodzenia. Może będzie stawał na skale?

Dwa dni później, podczas ponownego marszu na północ, dostrzegł w zagajniku starego, siwego konia pociągowego. Jeden ze zwiadowców z nadzieją pomachał ręką. Mięso? Gird odmachnął odmownie. Naprawdę chciałby mieć konia; zawsze marzył o konnej jeździe. Nie pragnął wyszkolonego przez kogoś rumaka bojowego, lecz zwykłego, leciwego konia, na którym mógłby truchtać i uczyć się bez groźby połamania nóg. Nie miał możliwości schwytania go, nie pozwoli jednak na spożycie swego potencjalnego wierzchowca. Poza tym, mieli jeszcze koninę z zameczku tamtego pana.

Podczas południowego postoju stary siwek skubał trawę zaledwie kilka długości piki od obozu. Czy był to ten sam koń? Gird nie potrafił powiedzieć. Umiał rozróżniać krowy na polu i to we mgle, lecz konie były dla niego tylko końmi, różniącymi się od siebie jedynie umaszczeniem i rozmiarami. Ten miał zwyczajne, ciemne oczy, różowo nakrapiane chrapy i rzepy w długim włosiu na pęcinach. Uświadomił sobie, że zwierzę podeszło o wiele bliżej. Musiał zadrzeć głowę, żeby zobaczyć jego grzbiet. Powinno być łatwo utrzymać się na nim, pomyślał. Koń dmuchnął mu na nogę, skubnął krawędź buta i sapnął.

Mógłby pewnie złapać go za grzywę i utrzymać wystarczająco długo, by ktoś przyniósł pasek lub coś innego do zarzucenia mu na szyję. Końskie wargi musnęły jego ramię, delikatne jak ludzkie palce, choć miększe. Gird

sięgnął ku splątanej, żółto-szarej grzywie, zaskakująco jedwabistej w dotyku. Koń szarpnął łbem i Gird wstał. Wszyscy obserwowali go w milczeniu. Spojrzał na nich, wzruszył ramionami i pogłaskał konia po szyi. Zwierzę wygięło ją, potrząsnęło łbem i ziewnęło przeciągle, demonstrując mocne, pożółkłe zęby. Gird gładził je po łopatkach i kłębie. Uwielbiał dotykać zdrowe zwierzę i choć to z daleka wyglądało na brudne, to sierść okazała się w dotyku czysta i lśniąca. Musiał komuś uciec.

Znalazł się na końskim grzbiecie, ściskając linkę zaimprovizowanego kantara, niemal nie pamiętając sekwencji wydarzeń, które do tego doprowadziły... Koń drobił to tu, to tam, aż w końcu Gird musiał wejść na kamień, by móc dalej głaskać tę lśniąca sierść; chciał ją gładzić bez końca. W jakiś sposób zwierzę wskazało mu swędzące miejsce po ukąszeniu gza na drugiej łopatce i Gird pochylił się, żeby je podrapać, a potem znalazł drugiego bąbla, nieco niżej, więc przechylił się jeszcze bardziej... i położył brzuchem na końskim grzbiecie. Zwierzę stało nieruchomo, dopóki nie wykonał oczywistego ruchu, przerzucając nogę ponad jego grzbietem. Z góry było o wiele łatwiej obserwować okolicę. Widział całą maszerującą kohortę, z tyłu, z boku i przed nim. Mógł sobie wyobrazić, jak bardzo ułatwi to dowodzenie podczas bitwy. Lecz nigdy nie podejrzewał skutków, jakie dla nieprzyzwyczajonego jeźdźca niesło ze sobą długotrwałe dosiadanie wierzchowca. Z początku był spięty, potem odprężył się i zaczął nawet czerpać przyjemność z jazdy, by – o wiele za szybko – poczuć ból mięśni i ścięgien. Po południu nie mógł już go znieść i zdołał zsiąść – co okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Stopy płonęły i nieprzyjemnie mrowiły, dopóki chodzeniem nie wyciągnął z nich nadmiaru krwi. Koń szedł za Girdem jak uwiązany, choć ten zapomniał złapać za linkę.

Dosiadł go dopiero następnego ranka. Zesztywniał w miejscach, na które do tej pory nigdy nie narzekał, lecz koń znalazł inny kamień, na którym Gird mógł stanąć. Mięśnie nóg szybko się rozluźniły, zaś samo kołysanie uznał za przyjemne. W siwku pod nim kryło się coś, co przydawało mu pewności siebie. Zastanawiał się, czy tak właśnie czuli się konni nomadzi, czy przez to wybrali żywot koczowników, a nie rolników. Oczywiście, dosiadali prawdziwych wierzchowców, rumaków bojowych, a nie łagodnego konia pociągowego. Grzbiet pod nim napiął się i Gird musiał chwycić się grzywy. Koń z pewnością nie usłyszał jego myśli i nie obraził się! Na wszelki wypadek postarał się pomyśleć coś pochlebnego i został wynagrodzony rozluźnieniem grzbietu i sprężystym chodem.

Pierwotnie zamierzał pomaszerować na północ, żeby przechwycić zachodnie siły króla w miejscu, gdzie ukształtowanie terenu dawało mu przewagę. Niestety, monarcha wpadł na ten sam pomysł i forsownym marszem usiłował przechwycić armię Girda. Nieszczęśliwie dla włościan, niosący tę wiadomość posłańcy zostali schwytani. Gdyby nie postanowił po raz pierwszy towarzyszyć zwiadowcom, wprowadziłby ich prosto w zasadzkę. A tak, siwek zatrzymał się z cichym parsknięciem, zarywszy kopyta w drodze i odmawiając dalszego ruchu naprzód. Kiedy Gird spróbował zsiąść, koń obrócił się, omal nie zrzucając go z grzbietu i pokłusował po własnych śladach z powrotem. Wczepił się rozpaczliwie w grzywę w obawie przed upadkiem przy takiej prędkości. Wierzchowiec zwolnił dopiero przy najbardziej wysuniętych zwiadowcach, którzy uznali jego powrót za wszczęcie alarmu.

– Nie wiem – rzucił Gird, z ulgą zsiadając z nieruchomego zwierzęcia, które obejrzało się na drogę i parsknęło. – Zobaczył coś, co nie przypadło

mu do gustu; zwierzęta mają lepszy węch i słuch od nas.

Zwiadowcy ruszyli naprzód, by niedługo powrócić z informacją że na wybranym przez Girda szlaku rozłożyły się spore siły nieprzyjaciela. Gird przyjrzał się mapom. Każde inne dojście do tego samego miejsca kosztowałoby go kilka dni marszu więcej, a wróg mógł ich bez trudu wyśledzić i zmienić pozycję. Na wprost przed nimi uzyskałby niewielką korzyść ze zbocza, musiałby jednak walczyć w lasach, gdzie piki były o wiele mniej skuteczne od mieczy. Zmarszczył brwi. Pół dnia drogi za nimi znajdowało się niezłe pole – spora, naturalna łąka, za którą wznosiło się strome, porośnięte lasem wzgórze i kilka niższych wzniesień. Nadłożyli drogi, by ominąć wzgórze, ale za to mógł ukryć tam kilka kohort.

Było to najlepsze miejsce na bitwę, ale wróg musiał podążyć tam za nimi; nie mogli czekać na niego zbyt długo, bo umarliby z głodu. Wydał rozkazy, po czym ktoś podsadził go na konia. Zwierzę mogło być stare, niemniej, uratowało jego, a być może całą wojnę. Głaskał je po szyi, czekając, aż ostatnia kohorta wykona zwrot. Dziwne, że stary koń pociągowy tak ochoczo i ostrożnie nosił niedoświadczonego jeźdźca, lecz byłby głupcem, gdyby roztrząsał tak fortunne zdarzenie losu.

Wierzchowiec wydał z siebie długie westchnienie i trącił but Girda miękkimi chrapami. Ten podrapał go po kłębie, a potem siebie po głowie. Jego armia zawróciła, nie ściągając na siebie natychmiastowego, konnego pościgu, czego Gird obawiał się najbardziej. Tuż po południu znaleźli się na nowym polu bitwy. Nie było takie idealne, jak zapamiętał: brzegi niewielkiego strumyka porastały jeżyny, a świeża, zielona trawa ukrywała grząskie miejsca. Ale nie miał wyjścia. Wycofał armię pod osłonę drzew, gdzie rozbił obóz, po czym rozesłał zwiadowców. O zmierzchu otrzymał

wiadomość, że wróg ruszył za nim i to nie jednym szlakiem. Największe zgrupowanie maszerowało po jego śladach, lecz inne nadciągało z północnego wschodu. A więc miał rację, pomyślał. Tamtędy nie ucieknie, nawet gdyby spróbował.

## Rozdział 30

W bezruchu przedświtu usłyszał pojedynczy trel oddalonego ptaka, gdzieś wysoko na stoku wzgórza. Armia włościan spała. Gird cichutko lawirował między kamieniami otaczającymi ognisko, minął linię wartowników, którym kiwnął w milczeniu głową i ruszył w górę wzniesienia. Tutaj, poza obozem, znalazł się w strefie świeżych, letnich zapachów – nocnych woni otwartego terenu. Kępka bladych kwiatów tiroc wydzielala ciężką słodycz; w ciągu upalnego dnia nie pachniały niemal w ogóle. Z wysoka spłynęła fala zapachu cedrów z ostrą nutą dzikiego tymianku. Przez krzaki przedarł się kozioł; zjadliwa woń wyparła wszelkie inne zapachy.

Wzgórze ciemniało przed nim w blasku świtu. Coś zaszeleściło w zaroślach, jakby uciekające zwierzątko. Ptak zaśpiewał znowu, tym razem bliżej. Nie znał żadnego, wydającego równie melodyjny trel. Gird obejrzał się za siebie. Niebo rozjaśniał coraz silniejszy blask, daleko na zachodzie ziemia zaczęła ujawniać swój prawdziwy kształt, a wzgórza autentyczne barwy. Wspinał się dalej, świadomy zapachów i dźwięków, dotyku chłodnego powietrza na nagich ramionach, faktury ocierających się o niego liści, kamieni i gleby pod stopami.

Dotarł na wierzchołek szybciej, niż oczekiwał. Zanim, poniżej, skryta w cieniu, leżała jego obszarpana i woniejąca armia. Z oddali dobiegał szczeł garnków. Ciekawe, co kucharze znajdą, żeby do nich włożyć. Więcej ziół i korzeni, bez wątpienia, nadto mieli jeszcze dwa worki mąki. Niewiele, jak na całą armię. Lecz od dzieciństwa poranny głód stanowił nieodłączną część jego życia; gospodarze zawsze pracowali od świtu. Celebrował tę krótką chwilę dla siebie przed zabraniem się za codzienne troski.

Spod dalekiego widnokregu wyłoniło się słońce, w którego blasku widoczna była prawda, jak zwykł mawiać kapłan Esei. W ukośnych promieniach Gird ujrzał miriady postrzępionych, różowozłoty kłaczków trawy, tworzących roztańczoną zasłonę różu, która przesłaniała rażący blask, zamieniając go w samą grację i delikatność. Stał w zachwycie, jak kiedyś, dawno temu we własnym obejściu, podziwiając wieczorem srebrzyste światło gwiazd. Wszystko zamieniło się w złoto zmieszane z różem; zwiewne welony zmiękczały kłujący oczy blask. Otoczyła go kolumna złocisto-różowego kadzidła. Zdążył pomyśleć: To jakaś wizja, kiedy wzgórze wymknęło się spod jego stóp i zawisł, podtrzymywany przez różowozłote draperie. Ponownie spojrzął na zachód, ponad zalaną słońcem krainą, gdzie miękki, złocisty blask wypełniał doliny niczym wino, a ostrzejsze światło cyzelowało wzgórza, wydobywając ich czyste, wyraźne piękno. Pomimo złotej mgiełki sięgał wzrokiem daleko, po same góry na granicy Finaarenis. Wyobrażał je sobie jako zimne, szare, bezlitosne granie, teraz jednak wznosiły się pogodnie i pełne wdzięku, niczym potężne zamczyska, oczekujące na swych panów. Zdawał się zaglądać do ich wnętrza, w łukowe, pełne ech sale, gdzie skalny lud grał na harfach, śpiewał i obrabiał drogocenne kamienie i złoto, wytwarzając skarby godne takich siedzib. Potem spojrzął na północ, ponad światłem, ku wielkiej rzece i poza nią, jednym rzutem oka ogarniając wszystkie jej roześmiane dopływy, rozległe mokradła i bezkresne stepy. Przemierzali je konni nomadzi w jaskrawo haftowanych butach. Na masztach namiotów powiewały wąskie chorągiewki, a otaczały je stada koni o lśniącej sierści. Ponad nimi galopował Rumak Wiatru, wymachując ogonem z chmur, a porośnięte trawą równiny przemierzała Klacz Obfitości na swych



niestrudzonych nogach. Wyrastała za nią wysoka, zielona trawa, a wgłębienia po kopytach wypełniała czysta woda.

Byłby przerażony, gdyby tylko było to możliwe; zachował tyle rozsądku, by to wiedzieć. Ale nie było takiej możliwości. Leżał cicho na złotych i różanych woalach, widząc krainę taką, jaką oglądali ją bogowie, jaką mogłaby być: skąpaną w blasku dnia, ze spokojnymi wsiami gospodarzy, odbudowanymi ogrodami i polami na nowo rodzącymi plon. Stada owiec na zboczach wzgórz, stada krów na nadrzecznych łągach. Targ w miasteczku, zbudowanym na zgliszczach spalonej wioski, gdzie uczciwie odmierzano długości i wagi. Dzieci chlapiące się na płytkim brodzie, dosiadająca konia kobieta w błyszczącym hełmie, domki o naprawionych dachach i ścianach, rabatki kolorowych kwiatów. Wizja przeszła mu serce, wyciskając z oczu parzące łzy. To – niemal o niej zapomniał – była wizja tego, czego pragnął: nie posłuszna armia, pomocni rolnicy, nawet zwycięstwo w bitwie, ale ten pokój, ta obfitość, ta sprawiedliwość. Łzy uwolniły go ze snu. Czuł, że opadał powoli, niczym piórko gęsi lub nasionko dmuchawca. Poczul wokół siebie delikatne ramiona i usłyszał mruczący głos, nie w pełni dłoń zrozumiały. Na nagie barki i policzki opadały płatki kwiatów, osuszając łzy, a kiedy doszedł do siebie, stał w białej jak śnieg zaspie, w blasku porannego słońca. Wyciągnął ramiona ku tym zimnym płatkom, zaczerpnął je i zanurzył w nich twarz. To musiał być znak od Alyanyi, lecz pod cudowną wonią krył się lekki, gorzki zapach zimnej, wilgotnej, jesiennej ziemi. A więc obietnica i przestroga, a on był zwyczajnym wieśniakiem. Dokoła rozbrzmiał śmiech tak radosny, że musiał się uśmiechnąć, zanim zdał sobie sprawę, że dźwięk dobiegał z jego wnętrza.

– Do licha! – wyrwało się mu nieświadomie. – Nigdy niczego nie upraszczasz!

A głos, który mu odpowiedział, był zimny, czysty i precyzyjny jak światło gwiazd.

– Nie. Nigdy niczego nie upraszczam.

Pod Girdem ugięły się kolana; upadł w kwiaty. To w żadnym razie nie była Alyanya i nie potrafił udawać przed samym sobą, że nie wiedział, kto to.

Proś o słowo boże – pomyślał szaleńczo – i strzeż się...

Lecz wiedza, o którą poprosił, wcale jej tak naprawdę nie chcąc, wypełniała mu głowę, jakby ktoś upychał wełnę do worka.

Obietnica: istniała możliwość wywalczenia pokoju dla jego ludu.

Przestroga: to nie był pokój dla niego.

Jego wina? – zastanawiał się.

Żadnej odpowiedzi, jedynie pewność. Wszystkie symbole, których nauczył go kapłan, cała wiedza przekazana mu przez gnomy, przemknęły Girdowi przez głowę szybko, niczym krążki liczydła wytrawnego rachmistrza i z gwałtownym klekotem, który urwał się z miażdżącą ostatecznością głazu opadającego na głaz. W obecnej sytuacji pokój był możliwy do wywalczenia, lecz on sam był zgubiony.

Myślał, że nie dbał o to, dopóki nie dowiedział się, że to pewne. Teraz, w nadzwyczajnej ciszy, leżał twarzą w kwieciu Alyanyi i rozważał w spokoju, czy naprawdę uważał tak, jak to często głosił. Oddałbym swoje życie, powtarzał. Podejmę ryzyko, deklarował. Mogę zginąć równie łatwo, jak wy, pocieszał strwożonych włościan.

Ale to było ryzyko. Włócznia mogła przebić mu brzuch, albo nie. Miecz mógł uciąć mu głowę. Jak dotąd, spotykało to innych, a teraz wiedział, że

na poły oczekiwał, iż tak będzie zawsze.

Teraz jednak... Na pewno umrze? Nie będzie radował się pokojem? Nigdy nie usiądzie z wnuczętami, opowiadając im historie z dawnych dni?

Znowu zawisł, tym razem w przepastnych pieczarach własnego umysłu, gdzie chłód, mrok i strach pod nim, a nic ponad nim. Teraz nic nie spowolni upadku; nie wyląduje w kwiatach Alyanyi. Umysł – wiedział, że nie była to zesłana przez bogów wizja – malował aż nadto realistycznie obraz krainy po jego upadku. Nie pokój, tylko spustoszenia władców-magów i łupiestwo bandytów. Trupy puchnące na polach i czekające, aż oczyszczą je padlinożercy-niemowląt, dzieci, starych i młodych – widział twarze ich wszystkich. Niewinne zwierzęta – krowy, konie i owce – chore i poranione, padające łupem foloków i wilków. Ujrzał własną śmierć: konanie starca, łysego i słabego, który nie zdołał powrócić na czas do kryjówki w dalekich jaskiniach i padł łupem foloków, po których zleciały się kruki.

A więc tak czy owak śmierć. Powinno być łatwo – powiedział sobie gwałtownie – kupić pokój za przedwczesną śmierć. Nie było łatwo. Na języku czuł smak ale, którego nigdy już nie skosztuje i pieczystego, którego nie zje. Dłonie czuły ciepło ciał dzieci – och, to było najbardziej gorzkie! – których nigdy nie przytuli. Nie jest łatwo! – wrzasnął bezgłośnie w ciszę. Własny umysł odpowiedział mu cierpko, że nic nie było łatwe ani teraz, ani przedtem. Otworzył oczy i mruganiem powiek stracił z nich śnieżne płatki.

Nie było łatwo, lecz wcześniej dokonywał rzeczy, które także proste nie były. Patrzył na śmierć matki i umiłowanej Mali. Patrzył na bliską śmierci córkę u swych stóp. Widział najlepszego przyjaciela z lat młodości

stratowanego przez konie panów; widział zatrute studnie i spalone pola. Wziął głęboki oddech, utrzymując to wszystko w głowie, cały ból, jaki pamiętał, całą miłość do rodziny, zwierząt, drzew i ziemi, jaką czuł. Nikt o niej nie wiedział, gdyż nigdy nie potrafił jej wyrazić. Cisnął ją wysoko, razem z nadzieją na życie. I poczuł, że została zabrana, a z niego zdjęto potworny ciężar, którego istnienia nawet sobie nie uświadamiał. Płatki zniknęły, choć nadal czuł ich miękkość i zapach ułatwiający oddychanie. Był sam na czubku wzgórza. Usłyszał, jak ktoś przedzierał się przez krzaki.

\* \* \*

– Girdzie! Komendancie-generale! – nawoływał jeden z nowych włościan, któremu ten tytuł przychodził z łatwością. Gird wziął głęboki wdech. Miał nadzieję, że na jego obliczu nie było śladu tego, co się wydarzyło.

– Co? – odkrzyknął, słysząc we własnym głosie ciekawą kombinację irytacji i radości.

– Nadchodzą! Wyszli z lasów!

Gird obrócił się i spojrzał na północ. Byli tam. Nisko wiszące słońce przeglądało się w wypolerowanych pancerzach i kolczugach konnicy, podkreślając barwy sztandarów i kolorowych strojów. Część z nich to z pewnością władcy-magowie. Za nimi maszerowały\* szeregi piechoty, skryte we wzbitym pyłe. Zaszło mu w ustach. Ile setek mieli? Myślał, że to ich było więcej – tysiąc, dwa tysiące, trzy... Konni zatrzymali się na łące na tyle daleko, by umożliwić piechocie rozwinięcie szyków za nimi. Gird przeszukał wzrokiem las na dalekim stoku, wypatrując łuczników, których

z pewnością tam posłali w manewrze oskrzydającym. Jego własni strzelcy powinni znajdować się wyżej, na samym skraju grani, strzegąc go przed łucznikami, którzy chcieliby zająć go od tyłu. Miał nadzieję, że byli czujni. Nie bał się jazdy lub piechoty, która mogłaby go stamtąd zaatakować – południowa grań zapewniała im bezpieczeństwo niczym forteczny mur. Z dołu usłyszał, jak jego armia tworzy uporządkowane formacje. Ruszył w dół zbocza, mając nadzieję, że nieprzyjaciel nie dostrzegł go na szczycie. Dotknął dłonią włosów z ulgą, że nie założył jeszcze zdobycznego hełmu. Szary koń pociągowy stał u podnóża wzniesienia, jakby na niego czekając. Ktoś znalazł dla niego siodło i uzdę. Mimo to zwierzę ustawiło się koło skały. Gird wdrapał się na koński grzbiet, zastanawiając się, dlaczego uznawał za tak naturalne, że zwierzak starał się być pomocny. Cob wbiegł na zbocze z hełmem i mieczem dla niego. Gird pokręcił głową. Nie nauczył się jeszcze walki mieczem, a bitwa nie była dobrym czasem na naukę. Wystarczającą nowością był koń.

Kohorty stanęły w ordynku. Przejechał przed nimi, zamieniając kilka słów z każdym komendantem. Twarze rozmywały się mu przed oczyma; instynktownie odnajdywał właściwe imiona, lecz tylko Rahi się odznaczała. Obdarzyła go szerokim uśmiechem, a siwek pokiwał łbem. Kohorta Rahi wybuchnęła śmiechem. Chciał jej powiedzieć – tylko jej i nikomu innemu – co przekazał mu bóg, ale nie mógł. Tego rodzaju wiedzę należało dźwigać samemu. Zauważył, że ponad połowa włościan zdobyła skądś niebieskie koszule; zaczęło wyglądać to na uniform.

Przez długą chwilę wyglądało na to, że nieprzyjaciel zwyczajnie stał sobie na przeciwległym krańcu pola i wpatrywał się w nich, w końcu jednak ruszyli naprzód. Na północy wzgórze o szerokim, porośniętym lasem

grzbiecie schodziło wprost ku łące, lecz na południu, po stronie Girda, trzy niskie wzniesienia oddzielały trawę od stromej, południowej grani.

Wzdłuż wzniesień ze wschodu na zachód płynął strumyk.

Gird uczynił, co tylko mógł w tak krótkim czasie, by teren jak najbardziej mu sprzyjał. Na północnych stokach wzniesień oraz skraju południowego urwiska rozmieścił łuczników. W grząskim gruncie przy strumieniu wykopał doły i przykrył je siatkami i trawą. Miał nadzieję, że utrudni to szarżę kawalerii i piechoty, zapobiegając łatwemu oskrzydleniu go przez przeciwnika. Główne siły rozmieścił przed i pomiędzy najbardziej wysuniętymi na wschód wzgórzami; zachodnie sprawiało wrażenie niebronionego, lecz poza łucznikami kryło w sobie wiele naturalnych niebezpieczeństw. Przeciwno sławetnej magii panów nie miał ochrony, z wyjątkiem słów Arranhy, że czarodziej nie może obronić się przed niespodziewanym zagrożeniem. Miał nadzieję, że nie spodziewali się niewielkiej grupki straceńców, którzy skryli się na południowym stoku północnego wzgórza, dokładnie na tyłach wroga, otrzymawszy polecenie, by nie ujawniali się, dopóki panowie nie zatopią się w czarowaniu.

Armia króla ruszyła. Po raz pierwszy w życiu Gird ujrzał królewską chorągiew, o której tyle słyszał. Była tak wielka, że niemal nie poruszała się w porannej bryzie, nagle jednak rozpostarła się, ukazując swój wzór. Girdowi powiedziano, że był to morski smok, ale sam uznałby to raczej za węża z rybim ogonem. Każdy z towarzyszących królowi panów miał własny sztandar i barwy, powtórzone na mundurach żołnierzy oraz – o ile gnomy miały rację – własny plan stoczenia tej bitwy. Miała to być kolejna jego przewaga. Wyglądali bardzo ładnie, dokładnie jak modele pokazywane mu przez kapristi: setka w żółciach i zieleniach, dwie setki w

błękie i złocie, następnie zastęp pomarańczowych, a potem zielononiebieskich. Gird zakładał, że panowie zostali z tyłu – grupka konnych postaci w strojach o intensywnych barwach, zdających się błyszczeć własnym blaskiem. Na jego oczach z ziemi uniosły się namioty w jaskrawe pasy, rozstawiane przez służących. Ze świeżo rozpalonych palenisk wzbił się dym. Z jakichś przyczyn ten pokaz pewności siebie rozwścieczył Girda. Najpierw wygrajcie, a dopiero potem świętujcie, powiedział im bezgłośnie.

Linia kawalerzystów rozdzieliła się, przepuszczając szeregi piechurów. Większość z nich dzierżyła miecze i tarcze, część oddziałów wyposażono w piki, kilka w długie włócznie. Gird zmarszczył brwi – te mogły sprawić mu kłopot. Ale obserwując ich podczas marszu zdał sobie sprawę, że nie byli przyzwyczajeni do tej długości drzewiec. Najwyraźniej ktoś postanowił uzbroić ich w oręż dłuższy od pik włościan, lecz pikinierom brakowało obycia z nową bronią. Za piechotą szli łucznicy. Przez zimę Gird eksperymentował z wieloma wersjami tarczy, która powstrzymałaby strzały, a jednocześnie była wystarczająco lekka do noszenia i łatwa do odrzucenia, gdy potrzeba było obu rąk do schwycenia piki. Żadna odmiana nie była idealna. Ustawione na froncie kohorty wyposażone zostały w małe, drewniane tarcze, którymi mogli ochraniać twarze przed spadającymi strzałami, lecz i tak najbardziej ufano skradzionym – nie zdobycznym – hełmom oraz elementom pancerzy.

W powietrze wzbiła się pierwsza nieprzyjacielska salwa. Komendanci wykrzyknęli ostrzeżenie i wszyscy, oprócz najgłupszych, spojrzeli w dół. Wrogowie ruszyli na nich biegiem, nieco za późno odkrywając istnienie wykopanych przez włościan dołów. Nie były wystarczająco głębokie, ani

duże, by zatrzymać natarcie, lecz spowolniły je na tyle, by podążający za piechotą łucznicy znaleźli się w zasięgu strzał ludzi Girda.

Bardziej rozeźleni, niż poturbowani, piechurzy nieprzyjaciela przebrnęli przez błoto i rzucili się na nieruchome kohorty włościan. Nie tworzyli już zwartego szyku, a postępujący za nimi łucznicy zaczęli padać ofiarą strzał Girda. Nie dbali o to; dla dosiadającego siwka Girda sprawiali wrażenie młodziaków, którzy właśnie publicznie wyszli na durniów. Wrzeszczący na nich z tyłu oficerowie nie robili na nich żadnego wrażenia; drugi i trzeci szereg wpadł w doły, próbując je bezskutecznie przeskoczyć. Wygrzebali się z nich i pognali w górę zbocza, ku kohortom włościan.

Komendanci wpatrywali się w Girda; on sam obserwował bezładną, wściekłą szarżę. Te kilka sekund zdawało się rozciągać w nieskończoność, jak gdyby miał czas przyjrzeć się wyrazowi każdej twarzy i odnotować, kto miał niebieskie oczy, kto szare, a kto piwne. Wreszcie pierwsi nieprzyjacielscy piechurzy dotarli do wyznaczonej przez niego linii i opuścił rękę z długą, niebieską chorągwią, służącą im za sztandar. Jego kohorty poruszyły się. Pierwszy krok, drugi: ostrożnie, pod pełną kontrolą, w formacjach równie precyzyjnych jak zastępy gnomów, pomyślał zarozumiale. Królewscy żołnierze oczekiwali zeszlórocznych zaostrzonych drągów, lecz napotkali stalowe groty, zakupione za złoto Marrakai. Pierwsi zginęli szybko, niemal łatwo, jak wyglądało to z grzbietu siwka. Lecz Gird wiedział lepiej, gdyż sam tam był. Nierówne szeregi zwały się ze sobą i rozpoczęła się rzeź.

Piki przewyższały zasięgiem miecze, lecz odpowiednio dzielni szermierze i topornicy mogli utworzyć mur z tarcz, trudny do penetracji przez broń drzewcową. Niestety, nie wiadomo, czy dzięki własnej odwadze, czy magii



panów, której Gird był świadkiem na Wzgórzu Czarnej Kości, żołnierze króla wykazali się dzielnością. Początkowo kohorty włościan parły krok za krokiem naprzód w dół łagodnego zbocza, spychając królewskich w rozdeptane błocko i zdradzieckie doły. Potem jednak kawaleria przesunęła się na wschód, ku prawej flance Girda i bliżej strumienia, omijając doły wykopane na krańcu łąki.

Miał nadzieję, że wykonają inny manewr. Miał nadzieję, że skusi ich pozorna luka na jego lewej flance, pomiędzy włościanami a zachodnim wzgórzem. Powinna wyglądać na łatwy sposób obejścia jego sił i dostania się na tyły armii Girda. Lecz najwyraźniej bardziej szukali czegoś szybkiego, niż prostego. A jeśli czegoś nie zrobi – i to szybko – uderzą na jego flankę i tylko łucznicy będą mogli im przeszkodzić.

Zdawało się, że siwek pojął to niemal równie szybko, jak Gird; wybierał drogę zgrabnie i szybko, przecinając przerwę pomiędzy środkiem, a najbardziej wysuniętym na wschód wzniesieniem, niemal wcale nie podrzucając jeźdźcem. Gird rozejrzał się dokoła. Tam – barwną grupkę pod drzewami musieli tworzyć panowie i król. Jak dotąd, nie rzucili żadnych czarów, lecz bez wątpienia uczynią to. A na drugim brzegu strumienia znajdowała się kawaleria, kierująca się prosto na niego.

Gird ryknął tak ogłuszająco, że siwek położył uszy po sobie. Komendanci najbliższej kohorty obejrżeli się, dostrzegli sztandar, a potem galopujące konie. Gird chciał zawrócić, lecz siwek runął naprzód, prosto na szarżującą jazdę. Ściągnął wodze, lecz bez rezultatu.

– Wiem, że powiedziałem, iż byłoby miło spowolnić ich natarcie, ale nie możemy... jeden koń... jeden jeździec... – Czy tak miała wyglądać przeznaczona mu śmierć: bezsensowna szarża na skrzydło kawalerii? Byli

już prawie przy nich. Gird wzruszył ramionami i zamachnął się drzewcami niebieskiego sztandaru.

Drąg i materia uderzyły pędzącego rumaka w pysk. Gird omal nie wyleciał z siodła, gubiąc sztandar, lecz zdołał utrzymać się i uchylić przed zamachem zakrzywionej klingi. Siwek wykonał gwałtowny skręt i Gird musiał chwycić się grzywy. Otaczające go konie także skręcały, jeden nawet zaczął się cofać, aż wreszcie poślizgnął się i przewrócił, przygniatając jeźdźca.

Nagle znaleźli się na wolnej przestrzeni – Gird z chorągwią i siwek o obrzydliwie przebiegle postawionych uszach.

– Chcę wrócić – wycedził Gird przez zaciśnięte zęby, jakby koń był krnąbrnym dzieckiem. Wierzchowiec potrząsnął łbem, parsknął przeciągle i ruszył niespiesznym klusem z powrotem ku bitwie. Ponad tuzin koni leżało na ziemi; część naszpikowana strzałami. Ujrzał plecy nieprzyjacielskiej jazdy, podejmującej kolejne próby szarży na dwie kohorty pikinierów. Opancerzenie rumaków z grubego, pikowanego płótna osłaniało je przed ciosami mieczy innych jeźdźców, lecz nie przed pikami piechurów. Ciekawe, czy zdawali sobie z tego sprawę, czy też zwyczajnie nigdy o tym nie pomyśleli. Poczuł, jak siwek spina się pod nim i przygotował się na wszystko, co miało się wydarzyć.

Jego wierzchowiec okrążył nieprzyjacielską kawalerię, wjeżdżając na zbocze wschodniego wzgórza i ani razu nie myląc kroku. Dostarczył Girda z powrotem do punktu obserwacyjnego na środkowym wzniesieniu. Ujrzał stąd, że ten konkretny oddział jazdy zostanie bez problemów odparty przez włościan. Środek jego armii przestał posuwać się naprzód, utrzymując pozycję i wspierając silnie naciskaną prawą flankę, lecz nie to go

martwiło. Bardziej niepokojące było, że część jaskrawo ubranych postaci pod drzewami ruszyła naprzód ze wzniesionymi ramionami.

Rok temu nie spodziewał się wody tryskającej ze studni, a teraz nie przewidział burzy, która zebrała się nad granią za jego plecami, bijąc błyskawicami w drzewa. Wicher w niewytłumaczalny sposób ruszył w dół zbocza, pędząc przed sobą dym i płomienie. Obie strony zaczęły przeraźliwie krzyczeć – pozostali w obozie zwolennicy Girda – głośniejsi, złapani pomiędzy pożar lasu, a bitewne zmagania. Wtem wiatr ucichł, równie nieoczekiwanie, jak się pojawił i Gird ujrzał, że niewielka grupka magów padła na ziemię. Ogień za jego plecami wciąż płonął, lecz słabiej, a wicher zmienił kierunek, porywając dym w górę stoku, z dala od nich. Oczy piekły go i łzawiły; ledwo widział grupkę króla, skupioną na przeciwległym skraju łąki. Czyżby jego ukryci łucznicy wystrzelali szlachetnie urodzonych czarodziejów? A może ktoś inny? Spowodowana pożarem chwilowa cisza ustąpiła zgiełkowi bitwy. Kohorty włóścian posuwały się powoli naprzód; ranni wycofywali się na tyły, poległych tratowano. Nie mógł niczego zmienić, jeszcze nie.

Nieprzyjacielscy włócznicy dotarli w końcu na czoło pańskich sił i okazali się dokładnie tak nieporadni, jak przewidywał Gird.

Mimo to zadawali straty i zatrzymali kohortę, z którą walczyli. Obie armie trwały w śmiertelnym zwarciu przez wiele godzin, które zdawały się dniami. Szeregi przesuwały się to w jedną, to w drugą stronę, zyskując bądź tracąc piędzi terenu. Hałas przewyższał wszelkie wyobrażenia Girda; pojedyncze wrzaski i szczęk ciosów zlewały się w obrzydliwy ryk.

Skupił się na szczegółach zmagania, w razie potrzeby przekrzykując zgiełk. Odwody konnych łuczników wroga podjęły próbę obejścia jego lewego

skrzydła. Na ten manewr czekał: czy go podejmą? Ruszyła co najmniej połowa ocalałej kawalerii i – tak – jedna lub dwie kohorty piechoty. Uznali zachodnie wzgórze za puste i dostępne. Gird uśmiechnął się do siebie. Mógł sobie być głupim wieśniakiem, ale nauczył się tego i owego. Tamta pułapka zadziała sama, teraz jednak musiał zastawić główną. Już raz przybycie jego zwolenników z obozu z niemal bezużyteczną „bronią” przekonało nieprzyjaciela, że dysponował nieprzebranymi rezerwami. Panowie uważali, że wszyscy chłopcy byli w głębi serca buntownikami; wystarczyło, że policzyli, ilu ludzi uprawiało ich ziemię i mogli zacząć obawiać się najgorszego. Gird założył, że król i jego doradcy podążą ich tropem przez wzgórze, korzystając ze szlaku, którym mogły przejść konie i zwierzęta juczne, a armia nie musiała przedzierać się przez kolczaste zarośla. Gird sam tamtędy przeszedł i wiedział, że poszli za nim aż na tę łąkę. Powinni więc uważać, że to, co ujrzeli tutaj i co mogło kryć się za niewielkimi wzgórzami, było najgorszym, co mogło ich czekać. Tak było w istocie, ale czy uwierzą w prawdę, gdy odwoła się do ich najgłębiej skrywanych lęków?

Wjechał na siwku kawałek pod górę, ponad kurzawę bitwy, żeby móc spojrzeć na drugą stronę łąki ku porośniętemu lasem urwisku za królem. Monarcha z pewnością wysłał zwiadowców na jego szczyt... o ile nie znaleźli ich jego ludzie. Lecz to nie przyniosłoby mu niczego dobrego. Gird dwukrotnie machnął żerdzią z długim, niebieskim sztandarem. Strzała zaświszczała mu koło głowy – siwek na czas zgrabnie przesunął się w bok. Najwidoczniej łucznicy uznali, że warto go ustrzelić – cóż, sam kazał swoim strzelcom, by najpierw zajęli się łucznikami nieprzyjaciela, a potem każdym dosiadającym konia.

Przenikliwe okrzyki z zachodniego wzgórza powiedziały mu, że pierwsza część jego planu powiodła się. Włóścianie-łucznicy cofali się, obchodząc stok i znikając pomiędzy dwoma wzgórzami. Nie była to szczególnie głęboka dolina, lecz miała swoje osobliwości. Nieprzyjacielscy łucznicy powinni wspiąć się na szczyt. Zakładał, że kawaleria objedzie wzgórze, próbując zająć go od tyłu i oto nadszedł sygnał, na który czekał.

Zdumiewające, ile dołów może wykopać pięć tysięcy włóścian w ciągu niecałego dnia. Gird zakładał, że przetnie łąkę fosą, lecz można ją było przeskoczyć, a doły – przebiegle umieszczone w miejscach, które musiały iść konie, by przebyć osuwisko – były zbyt szerokie, by je łatwo przeskoczyć – to najbardziej efektywna pułapka na jazdę. Dzięki niech będą Pani i okolicy, pomyślał pobożnie, za to osuwisko, szczęśliwie położone pomiędzy wzgórzem a urwiskiem, gdzie jeźdźcy mogli wpaść w kłopoty niewidoczni dla reszty armii. Po obejściu wzgórza jego łucznicy mieli mnóstwo roboty, zaś nieprzyjacielscy strzelcy odkryli, że ze szczytu nie widzą, co działo się niżej. Ci, którzy postanowili zejść po południowym stoku wzgórza, by wspomóc kawalerię, przekonali się, jak zdradliwe bywają osuwiska. Pozostali postanowili ostrzeliwać tyły kohort Girde, walczących pomiędzy zachodnim a środkowym wzgórzem.

Przewidział to – kohorty wycofały się za wzgórze i łucznicy musieli strzelać w dół w skłębioną masę walczących żołnierzy.

Jakiś nieostrożny kapitan królewskich sił uznał ten odwrót za oznakę słabości i pognął swoje kohorty naprzód, by uderzyć na wycofujących się z flanki. Gird uśmiechnął się ponuro. Jego lewej flanki strzegła teraz niewidoczna dla lekkomyślnego dowódcy skała na trzech chłopa wysoka i górująca nad niewinnie wyglądającym strumykiem. Włóścianie zajęli

pozycje na skalnych półkach, podczas gdy ich przeciwnicy tkwili w wodzie lub błocku po drugiej stronie. Kiedy dotarli do miejsca, które miało być skrzydłem armii Girda, znaleźli się na drugim brzegu głębokiego jeziora i musieli zawrócić. Łucznicy Girda bez trudu znajdą sobie cele.

W międzyczasie grupka barwnie odzianych arystokratów po przeciwległej stronie pola poruszyła się – widocznie wcześniej poprzewracali się z wyczerpania. Gird zmrużył oczy – był pewny, że na ziemi nadal ktoś leżał. Spomiędzy drzew wyszły kolejne kohorty piechoty i kawalerii oraz coś – potrząsnął głową i spojrzał ponownie – co nie wyglądało na ludzi. Czary, powiedział sobie stanowczo. To tylko magiczne sztuczki. Maski, kostiumy i zmyślne sposoby przerażania ludzi, żeby robili to, co chcieli panowie. Chciałby wiedzieć, czy król wyczerpał już wszystkie swoje rezerwy. Poniżej, główne siły zmagaly się ze sobą, zbite w dyszącą, spoconą, zakrwawioną i kotłującą się masę. Jeżeli dojdzie do walki wręcz, powtarzał swym komendantom, jeżeli dojdzie do zwykłej młócki, to wygramy: będziemy walić mocniej i częściej. Armia króla przewyższała liczebnością centrum jego sił, które jednak nie cofało się. Włóścianie krzepko dzierżyli piki, sapiąc z wysiłku przy każdym pchnięciu. Królewskie odwody naparły na tył własnych sił, przydając im ciężaru i wpychając żołnierzy z pierwszego szeregu na nadstawione piki. Umierali, a ich ciała strząsano z pik, które natychmiast wystawiano w oczekiwaniu na ich kamratów. Ci również umierali – i tak w kółko. Przez szeregi włóścian przeszło drzenie – uświadomili sobie, że w walce pojawił się jakiś nowy element. Komendanci zerkali na boki, wypatrując Girda; przechwycił ich wzrok i machnął wolną ręką. Następnie ujął długi drąg i

dał znak swym ostatnim rezerwom, kryjącym się po drugiej stronie łąki na urwisku za obozem króla.

Miał wrażenie, że wieki minęły, nim pojawiły się odwody. Nakazał im ukryć się albo w okolicach szczytu, albo u podnóża grani. W tym czasie jego środek zapadł się, a podniesieni na duchu przeciwnicy ruszyli naprzód ze zdwojoną energią. Gird ledwo zdążył zobaczyć pierwszych włościan, wybiegających spomiędzy drzew i gnających z wrzaskiem ku tyłom wroga, nim wskoczył w największy ścisk, by wesprzeć ustępujące centrum.

Odkrył, że walka z końskiego grzbietu była zupełnie inna od pieszej. Odrzucił drzewce niepotrzebnego już sztandaru – od tej pory będą walczyć na śmierć i życie; nie było więcej decyzji do podjęcia – i wyrwał hauk zza pasa. Był świetny do rozbijania łbów, co sprawdzało się równie dobrze z góry, jak i z poziomego gruntu. Przez chwilę myślał o Amisie, lecz zaraz odepchnął tę myśl na bok.

Później, w pieśniach, opis bitwy na Zielonych Polach (jak nazwano łąkę) znacznie wygładzono. Pieśni nie wspominały o kilkukrotnym strąceniu go z konia – za każdym razem wracał na siodło przy pomocy usłużnych włościan – o ciosie w kolano, po którym kulał przez ćwierć roku, ani o tym, że niemal doszło do panicznej ucieczki z pola bitwy, gdy okazało się, że ostatnia kohorta składała się z poprzebieranych władców-magów, którzy razili przeciwników czarami. Pieśni z całą pewnością nie opisywały tamtej długiej, ponurej nocy po bitwie, gdy nie cichły wrzaski rannych, a na południu wciąż płonęły lasy. Poza tym, w niewiadomy sposób siwek przeistoczył się w pieśniach w białego rumaka. Gird był pewny, że jego wierzchowiec nie postarzał się tak drastycznie w ciągu jednego dnia.

Pamiętał wędrówkę przez dawny obóz nieprzyjaciela, rojący się od włościń, zbierających zapasy i oręż. Na pierwszy ogień poszedł namiot króla, większy od wielu widzianych przez Girda domostw, którego wnętrze przedzielały ściany z wyszywanego materiału. Monarcha zabrał ze sobą muzyków (dwóch zabito przypadkowo podczas przejścia przez obóz odwodów Girda, resztę znaleziono kucających przy swych instrumentach) oraz mężczyznę, który malował obrazy na płótnie. Zaczął już portret zwycięskiego króla, wracającego po bitwie z głową Girda, lecz zaproponował, że za jedyne dziesięć sztuk złota przemaluje twarze. Gird pokręcił głową, zastanawiając się, jakież to król zabierał ze sobą na bitwę muzyków i malarzy.

Król nie żył. Nie przypominał zbytnio Selamisa, lecz ojcowie i synowie nie musieli być do siebie podobni. Był wysokim mężczyzną o ciemnych włosach, jak wielu władców-magów, a po śmierci jego oczy zmatowiały, niczym u śniętej ryby wyrzuconej na brzeg. Gird znalazł ciało władcy Segrahlina, naszpikowane od tyłu strzałami. Nie poczuł z tego tytułu wyrzutów sumienia, żałował tylko, że nie zdążył porozmawiać z tym ciemnowłosym mężczyzną. Niemal zrozumieli się nawzajem, lecz żaden nie chciał przerzucić mostu ponad dzielącą ich zatoką. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy tamtej nocy władca rzucił na niego urok.

Pieśni wymieniały poległych władców-magów, jak gdyby przypominając słuchaczom, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. Gird nawet nie obejrzał ich wszystkich; zdążył już napatrzeć się na trupy. Dobili rannych możliwie szybko i bezboleśnie, ukatrupili też wszystkich pojmanych czarodziejów. Nie odważyli się uczynić mniej. Przynajmniej nie było z nimi dzieci.



Nie rozumiał, czemu nadal żył; jego poranna wizja była taka jasna i jednoznaczna. Czuł się dziwnie zawieszony, tak samo, jak po Owczarniach Norwalku, niezdolny do dzielenia radości innych, a jednocześnie wielce zadowolony. Zginęło tylu innych, a on nie – choć był tego pewny, niemal mu to obiecano. Nie zginęła także Rahi, ani Pidi; odszukał obydwój pokiereszowanych, lecz z całą pewnością nie śmiertelnie rannych. Kiedy jednak dotknął ich, nie czuł ani więcej, ani mniej, niż dotykając innych włościan. Wszyscy byli jego dziećmi w sposób, którego nie potrafił nazwać.

Pamiętał powrót do własnego obozu, podtrzymywanie rannych i konających i pocieszanie ich rozmową dopóki nie zasnął. Po przebudzeniu się odkrył, że ktoś przykrył go kawałkiem namiotu króla. Przez następne dwa dni starał się przywrócić stratowanej okolicy zdrowie i porządek, walcząc z krukami i muchami.

– Pochowajcie wszystkich – rozkazał – albo spalcie... Owszem, władców-magów także; otrzymaliśmy od bogów dar zwycięstwa i winniśmy okazać im szacunek.

Pieśni zaczęły się pierwszej nocy po bitwie, towarzysząc rozmowom tych, którzy byli jeszcze w stanie mówić. Następnego wieczoru paru włościan próbowało już podłożyć słowa pod znane melodie. Ocalali muzycy króla skwapliwie pospieszyli z pomocą. Girda bardzo rozbawiło, że pierwsza wersja pieśni, zamienionej później w „Girda na Zielonych Polach”, dopasowana została do „Złodziejskiego lamentu” – piosenki, za pomocą której wyśmiewano jego tchórzostwo.

## Część IV

## Rozdział 31

Zielone Pola złamały potęgę króla, dając Girdowi kontrolę nad najważniejszymi regionami rolnymi Finaarenis. Lecz nie stały się końcem wojny. Panowie, którzy z różnych przyczyn nie dołączyli do królewskiej armii, zdobyli pewność, że czekała ich zagłada. Część zamknęła się w Finyathcie, inni uciekli do Tsaia. Spadkobiercy, poległych na Zielonych Polach panów, kłócili się o zagrożone dziedzictwo. Bogaci kupcy zakładali, że chłopskie władze nie będą potrzebować luksusowych dóbr i apelowali do ocalałych władców o pomoc.

Gird wiedział o tym wszystkim i większość wydarzeń przewidział, lecz najważniejszym zadaniem było dla niego zabezpieczenie ograniczonych, tegorocznych zbiorów. Tam, gdzie zabrakło panów, mogli pojawić się bandyci. Podzielił armię na grupy dowodzone przez najwyższych komendantów i rozesłał po kraju, by opanowały sytuację. Sam pojechał na północ, po raz pierwszy w życiu przekraczając Honnorgat na swym siwym wierzchowcu, który z każdym dniem coraz mniej przypominał steranego życiem konia pociągowego. Mógł biec kłusem, choć wolał cwał.

Większość komendantów także schwytała konie i nauczyła się na nich jeździć. Bardzo ułatwiało to panowanie nad przemarszem, również wiadomości przekazywano sobie znacznie szybciej. Karmienie zwierząt stało się dodatkowym problemem, ale ludzie nie mogli jeść trawy, a konie tak. Przynajmniej latem mogli pozwolić sobie na kilka wierzchowców. Wieści o klęsce króla szerzyły się szybciej, niż Gird oczekiwał. Podczas marszu na północ natykali się przeważnie na opustoszałe i złupione posiadłości oraz świętujących wieśniaków. Paru rekrutów pochodziło z

północy – prawdę mówiąc, miał problemy ze zrozumieniem ich mowy – lecz zdawali się prawdziwie zadowoleni z jego sukcesu. Zastanawiał się, czy naprędcy zorganizowane w każdej wiosce podwórza kiedykolwiek okrzepną i modlił się, aby nie sprawdziła tego wojna.

Finyatha sprawiała odmienny kłopot. Największe i najbogatsze miasto północy, siedziba królów Finaarenis, pozostawała poza jego zasięgiem, niczym kusząca śliwka. Większość jego mieszkańców była prostymi ludźmi, takimi samymi, jak gdzie indziej, teraz jednak zaroilo się tam od uciekających przed włościanami władców-magów. Nie znał się na obleganiu miast, a zdrowy rozsądek podpowiadał, że szturmowanie murów pikinierami nie przyniesie niczego dobrego, gdyż znacznie mniejsze siły zdołają je bez trudu obronić. Rozwagał zmianę biegu rzeki, lecz pamiętając o sztuczce Segrahlina z wodą uznał, że jakiś mag może zwyczajnie przyzwać wodę do miejskich studni. W końcu postanowił zostawić miasto w spokoju, a ono upadło, jak przejrzały owoc. Grupa czarodziejów spróbowała uciec Drogą Rzeczną do Tsaia, padając łupem oddziałów Girda i bandytów. Reszta okazała się zbyt słaba, by utrzymać władzę nad miastem. Kiedy zamęt dotarł do bram i walczący wylali się na okoliczne pola, do środka bez trudu wkroczyła czekająca w pewnej odległości kolumna sił Girda, ku wyraźnemu zachwytowi wszystkich mieszkańców.

Siwek niósł Girda po brukowanych ulicach, jakby dosiadał go król.

Wiwaty odbijały się echem wśród murów, a na ramiona zwycięzcy sypały się kwiaty – błogosławieństwo Alyanyi. Roztańczony wierzchowiec wpadł na dziedziniec przed gigantyczną, kamienną budowlę, zdającą się wyrastać niczym drzewo z korzeni samego świata i sięgać wyciągniętymi palcami

niebios. Pomiedzy łukami rozmieszczono ogromne okna, w których powybijano szyby; błyszczące okruchy chrzęściły pod podkowami siwka. Kilka fragmentów wciąż tkwiło w ramach, odbijając światło na tle chłodnego mroku w środku. Koń przyklęknął; Gird zsiadł i rozejrzał się. Był upalny dzień; każdy kamienny występ rzucał na dziedziniec niebieskawy cień. Powietrze drgało. Zamrugał. To wina powietrza, czy jego oczu?

Na szczycie schodów w wyłamanych wrotach stał Arranha. Gird powinien być zaskoczony, ale nie był.

– To był Najwyższy Hol Esei – obwieścił Arranha tonem przewodnika. – Stał się czymś innym, gorszym i błogosławieństwo Esei opuściło te mury.

– Potrzęsnał głową. – Ostrzegałem ich, lecz sądzili, że potrafią zdobyć większą moc, mieszając ze sobą światłość i mrok.

Gird nie zrozumiał go, niemniej, podążył za kapłanem w głąb częściowo zrujnowanej budowli. Wysoko nad głowami wznosiły się wdzięczne, kamienne łuki, wyrastające ze żłobkowanych kolumn, które upodabniały wewnątrz do potężnego lasu. Na samym krańcu umieszczono okrągłe okno. Wpadający przezeń słoneczny blask oświetlał srebrzysty półksiężyc. Gird poczuł, jak włosy jeżą się mu na karku. Przełknął ślinę.

– Musisz to zobaczyć – mówił Arranha – ponieważ musisz zdecydować, czy bogowie życzą sobie, aby zburzyć tę budowlę. Nie chciałbym być tego świadkiem, gdyż uważam tę świątynię za najpiękniejszą na całej północy. Lecz ludzie wiedzą, co tutaj wyprawiano; ty musisz zobaczyć to na własne oczy.

To, co ujrzał, bezspornie dowodziło, że władcy-magowie zatracili wszelkie wycucie dobra i zła. Arranha próbował wyjaśniać mu, co wydawało się

im, że robili. Gird, który nigdy nie żeglował statkiem, nie znał pojęcia kompasu i nie dbał o kryjącą się za nim teorię, uznał to za zwyczajnie obrzydliwe i groteskowe. Za pretekst do zastraszania innych i religijną wymówkę dla folgowania własnemu okrucieństwu. Zobaczył te same symbole, co w lochach hrabiego: kolczasty łańcuch, przerażająco pomalowane, rogate maski i narzędzia, których jedynym przeznaczeniem było zadawanie bólu. Miejsce, do którego przywiódł go Arranha, cuchnęło zastarzałą krwią, strachem i śmiercią. Usłyszał obok siebie przełykanie śliny i obrócił się, by ujrzeć u swego boku Selamisa; jak to często bywało, poszedł za Girdem, nie informując go o tym, ani nie pytając o zgodę.

– Nie pogarszaj sytuacji – mruknął Gird. – Idź rzygać na zewnątrz, skoro musisz. Lecz takie jest prawdziwe dziedzictwo po twym ojcu. –

Młodzieniec zdążył wybiec, nim zwymiotował. Ku zdumieniu Girda po powrocie miał minę ponurą, lecz w jakiś sposób usatysfakcjonowaną.

Gird wrócił na dziedziniec, gdzie ujrzał tłum ludzi, którzy ucierpieli pod starymi władcami i chcieli jego sprawiedliwości. Jego, pomyślał. Błękitne, letnie niebo napierało na niego. Inne od tego, pod którym Alyanya obdarowała go zwycięstwem. Czego tutaj chciał? Sprawiedliwości i wszystkiego, co było z nią związane. A Hol?

Zło, oznajmił zgromadzonym, nie kryje się w kamieniach, lecz w tych, którzy czynili źle. Zapanuje tutaj sprawiedliwość Najwyższego, który feruje słuszne wyroki. Wrócił do krypty pod ołtarzem Esei i własnoręcznie szorował ją tak długo, aż przestała śmierdzieć tym, co się w niej wydarzyło. Przyniósł święte zioła dla zmarłych i nabożnie ułożył je na posadzce. Wrócił na górę. Tłum wciąż tam stał. Zbeształ ich, jakby od lat byli jego włościanami. Posprzątajcie wokół świątyni, nakazał im,

wskazując na potłuczone szkło na dziedzińcu.

\* \* \*

Po upadku Finyathy pozostali panowie zbiegli do Tsaia, gdzie tamtejszy król gromadził armię, by odzyskać ich ziemie i ocalić własne. Gird na razie zignorował go. Nie zdążą z rozpoczęciem kampanii przed zimą – Marrakai przekazał mu wszystkie istotne informacje o przygotowaniach. Tuż przed śniegami powrócił do Jasnej Wody z Selamisem i Arranha, by zaplanować działania na następny rok.

Pomimo zniszczenia wsi i pól mieli więcej jedzenia, niż rok temu. W pańskich posiadłościach znaleźli zaskakująco wiele zapasów; część spłonęła, lecz większość uratowali. Zdobyli także mnóstwo innych rzeczy, których redystrybucja nie przebiegła tak sprawiedliwie, jak życzyłyby sobie tego Gird. Interweniował jednak tylko w przypadku rażących nieuczciwości. Jeżeli ci ludzie mieli pomóc w tworzeniu własnych, uczciwych praw, musieli zacząć od popełnienia kilku błędów.

Wiosną walki rozszerzyły się na terytorium Tsaia. Gird nie zdawał sobie sprawy, jak daleko sięgnęła akcja organizowania podwórczy – nie tylko na ziemiach Marrakai, lecz również poza nimi. Podwórza wyrastały jedno po drugim, łączyły się z sąsiednimi i obierały komendantów – w większości kompetentnych. Królewska armia Tsaia, która z początku traktowała pomysł chłopskiej armii z pogardą – nawet po klęsce w Finaarenis – co i rusz zmuszana była do odwrotu. Gird nie chciał, by jego włościanie atakowali Tsaia: wywalczyli wolność dla siebie w obronie własnych domów i rodzin. Był pewny, że Alyanya, Pani Pokoju, rozumiała to i

akceptowała. Lecz najechanie innej krainy, choćby z najśluszniejszych powodów, wydawało się czymś zgoła odmiennym.

Ale Ivis, najwyższy komendant wschodu, nie żywił podobnych obaw. Podwórza to podwórza, włościanie to włościanie; w każdej walce gospodarzy z panami chciał być jednym z przywódców. Kilka kohort zgłosiło się na ochotnika na wyprawę pod nim do Tsaia. Pracujący ciężko nad nowym i – miał nadzieję – prostym systemem prawnym Gird puścił go, ograniczając się do ostrzeżenia.

Kodeks prawny okazał się być znacznie trudniejszy, niż oczekiwał. Jeśli uczynił prawa prostymi, były tak ogólne, że każdy mógł utrzymywać, iż nie wiedział, że generalna zasada mogła zostać zastosowana do jego specyficznego przypadku. Jeśli uczynił prawa precyzyjnie dostosowanymi do powszechnych sytuacji, ktoś mógł przyjść z przypadkiem rzadko spotykanym i twierdzić, że nie znalazł żadnej reguły ogólnej. Gird starał się ignorować błysk w oczach Arranhy, w końcu jednak przyznał, że w materii prawa był równie naiwny, co w przypadku wojennych działań.

– Przynajmniej stworzyłeś lepsze prawo, niż obecne – oznajmił z powagą Selamis. – Uważam, że całkiem dobrze nam idzie.

– Po części – burknął Gird. Tak prosto było powiedzieć, że jeden człowiek nie powinien bić drugiego, teraz jednak przyszło do uczciwego kupca, ścigającego złodzieja i mężów przekonanych, że muszą bić swoje żony, Jak mocne bicie było już pobiciem? Jeżeli schwytany złodziej walczył i trzeba było ogłuszyć go przed odstawieniem do magistratu, czy było to pobicie usprawiedliwione prawem, czy też nie? Gird uparł się, że prawo do bicia w małżeństwie było ograniczone i takie samo dla obu płci, lecz narzucenie tego okazało się ponad jego siły. Czasami czuł się jak ojciec



całej izby rozwydrzonych dzieciaków, z których każde utrzymywało, że to inne zaczęły.

Prawo handlowe okazało się równie złożone. Gird osobiście udał się na trzy rynki i z każdego wziął po jednym kamiennym odważniku. Okazało się, że wszystkie różniły się od siebie. W Jasnej Wodzie nakazał kamieniarzowi wykonać wzorzec średniej wagi kamienia oraz paru innych do wyrównywania różnic, po czym zastąpił wszystkie ciężarki w mieście nowymi, standardowymi. Kiedy kamieniarz wykonał więcej wzorców, Gird rozesłał je na okoliczne rynki, nakazując z nich korzystać. Pojawienie się nowych kamieni spowodowało zmiany cen. Gird zakładał, że ustabilizują się na poziomie zbliżonym do poprzedniego, lecz myślowa analogia – wiór w wiadrze wody po zakołysaniu – bynajmniej go nie zadowoliła.

Przynajmniej w tym roku większość ziemi ornej uprawiano, a zamieszkujący obozy zwolennicy Girda wrócili do domów lub zasiedlili pobliskie, wyludnione wioski. Część podwórzy również uległa rozwiązaniu, szczególnie te, których członkowie mieli dokąd wracać. Jeżeli wojna toczyć się będzie jedynie w Tsaia, jedzenie nie powinno stanowić problemu.

W miarę, jak wojna przesuwiała się na wschód, na ziemi Finaarenis powróciły handel i rolnictwo. Część gruntów leżała jałowa, niektóre studnie zatrute, lecz gospodarze tylko wznosili ramionami i przenosili się gdzie indziej. Pewne pola porosły gęstą zieloną trawą wyrosłą na oczyszczonych przez kruki kościach – te omijali przez następny rok. Gird przeniósł się z Jasnej Wody do Grahlinu, rozbawiony odkryciem, jak niewielkie było to miasteczko, które kiedyś wydawało się mu potężnym

grodem. Mieszczanie spalili Hol Esei; z dumą pokazali mu osmalone fundamenty. Potem Gird na jakiś czas zamieszkał w obozie na wschodzie, w pobliżu granicy z Tsaia.

W końcu Tsaia upadła, a odziani w niebieskie koszule gospodarze, zwący siebie „Włóścianami Girda”, uwięzili króla w jego własnym lochu. Zanim ta informacja dotarła do Girda, monarcha uciekł – i znaleziono go zabitego przez rozgniewaną czarodziejkę. Obie notatki przysły tego samego dnia, skreślone trudnym do odczytania pismem Ivisa. Gird narzucił komendantom, że muszą umieć czytać i pisać, lecz niektórym przychodziło to równie ciężko, jak jemu. Podniósł głowę znad pism, starając się rozszyfrować i napotkał spokojny wzrok Selamisa.

– A więc – zaczął – jesteś ostatnim ocalałym magiem wysokiego rodu, o ile nadal patrzysz na to tak, jak kiedyś.

Selamis pokręcił głową.

– Nie; wiesz, że nie.

– Nie czujesz choćby najbledszego cienia pragnienia tronu? Mówią, że jest przepiękny. – Tron Finaarenis został porąbany na kawałki, zanim Gird go zobaczył.

– Żadnego. I tak nie był moim tronem, nawet gdyby chcieli mieć króla.

Gird wziął głęboki wdech.

– Przypuszczam, że tak jest. Tamtejsza sytuacja jest inna. Marrakai powiedział, że ich król był głupi, lecz nie okrutny, a Marrakai głupcem z pewnością nie jest. W tamtym królestwie mogli rządzić panowie, pod warunkiem, że nie byliby czarodziejami.

Selamis melancholijnie zwiesił głowę.

– A gdzie jest kraina, która przyjęłaby magów, którzy nie byliby ani

panami, ani źli?

– Myślisz o sobie. Ze mną jesteś bezpieczny.

– Myślę o innych, podobnych do mnie. Nie mogę być jedynym bękartem z magią we krwi, która pewnego dnia doprowadzi go do śmierci z rąk ludzi, utożsamiających czary ze złem. Nawet niektórzy czystej krwi... ta pani, – którą odesłałeś i jej dzieci.

Gird przekrzywił głowę.

– Gdyby moje dłonie miały moc... Gdybym potrafił wyczarować światło, jak ty i Arranha, kiedy potrzebowalbym go do znalezienia drogi; gdybym umiał rozpalić ogień, chroniąc się przed zimnem... Byłaby to wielka pokusa. Chciałbym używać mojej mocy, najpierw dla siebie, potem dla bliskich, wreszcie... sam nie wiem, może dla przyjaciela luapa, jak będą ciebie nazywać...

– Wolałbym, żebyś po prostu nazywał mnie Luapem, jak czynią to inni...

– I zapomniał, kim jesteś? Żałuję, ale nie mogę. Nie wierzę w wykorzystywanie magii w słusznej sprawie. Nie wierzę, że ktoś może dysponować taką mocą, niedostępną dla innych, bez istnienia siły zapobiegającej jej złemu użyciu.

Selamis machnął ręką na papiery, nad którymi trudził się Gird, wnosząc kolejne poprawki do pierwszej części Kodeksu.

– A twoje prawo?

– Prawo, za którym nie stoi siła, to zwykła uprzejmość. Z miłości lub żądzy pieniądza ludzie dopuszczają się czynów niegodnych, a prawo musi mieć twardą rękę, którą wbije im rozum do głowy. Tak może to działać w przypadku zwykłych ludzi, lecz jakaż siła może do czegoś zmusić maga?

Selamis wybuchnął głośnym śmiechem.

– Sam tego dokonałeś, Girdzie – dobry cios w głowę, jak powiadasz i leżę.  
Gird zawtórował mu.

– Owszem, w przypadku nie wyszkolonego czarodzieja. Na bogów, czy myślisz, że gdybym powalił tamtego władcę, nie podjąłby potem walki przeciwko nam? – Śmieszna teoria, lecz był w odpowiednim nastroju na nią.

– Czarodzieje też są najpierw dziećmi, Girdzie – mądrzy rodzice mogą wpoić im prawo.

Brzmiało rozsądnie, lecz wciąż żywił pewne wątpliwości.

A potem schronienia w jego obozie poszukała zabójczym króla Tsaia.

Ciekawiło go, co powie o jego śmierci. Śmierć maga – głosił raport kogoś utrzymującego, że wiedział, co to znaczyło. – Królewski pierścień na piersi; z ciała wyrosły jeżyny, kwitnące pomimo pory roku. Tą porą roku była jesień. Późna jesień.

– Wprowadź ją – polecił Selamisowi, obecnie Luapowi.

– Jest czarodziejką – zauważył Selamis. Miał na myśli coś więcej; Gird spojrzał na niego ostro.

– Więc?

– Jest jedną z nich, lecz nie taką, jak oni.

– Próbuje czynić dobro, jak Marrakai?

Luap odwrócił wzrok.

– Nie do końca. Przez wiele lat pasła owce.

– Czarodziejka?

– Tak twierdzą ci, którzy ją znają. Wgnana z dworu Tsaia po jakimś zatargu...

– I przychodzi do nas. Dlaczego? Powiedziała?

– Mówi, że musisz dowiedzieć się, jak zginął król i ma nadzieję, że przyjmiesz ją na służbę.

Gird wpatrywał się w Luapa.

– Czy ta czarodziejka zgłupiała? Zaciągnąć się na służbę do nasi Czemu nie dołączy do Marrakai, skoro jest dobrą czarodziejką, jak ją nazywasz? Luap wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Przyjmiesz ją?

Gird poruszył się na krześle.

– Och, przyjmę.

Była wysoka i nawet zbroja nie ukrywała pełnej wdzięku gibkości i siły. Gird aż zacisnął zęby. Był pewny, że ta kobieta nigdy nie urodziła dziecka, nie karmiła, nie zajmowała się nawet dzieckiem siostry. Ciemne włosy zaplecione w warkocze tak, by mieściły się pod hełmem, który w tej chwili trzymała pod pachą. Skóra biała jak kość słoniowa, zaróżowiona na policzkach, oczy nawykłe do wydawania poleceń, jasne i przenikliwe. Przemówiła, nim zdążył się odezwać.

– Król zginął z mojej ręki – oznajmiła. – Nie zechcesz mnie, jeżeli nie przyjmujesz do swej armii morderców. W przeciwnym razie...

Gird poczuł, jak głowę wypełnia mu brzoskwiniowy syrop: mdląco słodki i gęsty. Przebijał się przezeń myślami. A więc o to chodzi w tym zauroczeniu! – zdołał pomyśleć. Cokolwiek stało się z mocą innych czarodziejów, jej magia działała bez zarzutu. Walczył z językiem, który pragnął powiedzieć: „Tak, pani”. Wbił paznokcie w dłonie. Trochę pomogło.

– Życzę sobie, abys przestała – oświadczył zaskakująco opanowanym głosem.

Otworzyła usta, a jej policzki pobladły.

– Ty... nie boisz się.

W głowie zabłysła mu iskra rozbawienia, rozcieńczając syrop zaklęć.

– Nie, ale zaczynam odczuwać irytację. Nie lubię sztuczek.

– To nie sztuczka, – odparła. Napór słodczy nasilił się, utrudniając mu oddychanie?

– Sztuczka – upierał się Gird, patrząc na nią przez miodową mgłę. – Taka sama, jak wabienie muchy do miodu, żeby ją pacnąć. Mogłabyś spróbować uczciwości.

Wtem magia zniknęła, umysł Girda oczyścił się, a skóra wokół ust kobiety pobieliała. To trafiło w czuły punkt, choć większość władców-magów nieszczególnie ceniło sobie uczciwość.

– Próbowałam – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Bez pomocy zaklęć jej oblicze wyglądało starzej; wciąż było ładne, lecz już nie uosobienie piękna i przestachu. W ciemnych włosach pojawiły się siwe pasma, a na cerze twarzy ślady wpływu pogody. – Próbowałam uczciwości i ściągnęłam na siebie wygnanie. A kiedy spróbowałam ponownie, moje zobowiązanie wobec króla... Och, nigdy tego nie zrozumiesz! – Odwróciła się od Girda, co ten uznał za gest celowo dramatyczny.

– Zabiłaś go – zauważył celowo obojętnym tonem.

– Zabiłam. – Znów na niego spojrzała, a on ujrzał w jej oczach błyszczące łzy. Naprawdę przejmowała się tym, czy tylko udawała? Znane mu kobiety łkały głośno, czerwone na twarzach i wstrząsały ramionami, a nie ronily srebrzystych łez, powoli spływających po białych policzkach. – Ufałam mu; był moim suzerenem. A potem...

Zmęczył go jej dramatyzm; zapomniał o współczuciu, potęgowanym jej

urodą.

– No wyduś to z siebie, dziewczyno, albo spędzimy tutaj cały dzień... –

Takim tonem przemawiał do swych młodych zwolenników, szczególnie tych wystraszonych. Na nią podziałało jak ukłucie rozpaloną szpilą – wzdrygnęła się i spiorunowała go wzrokiem.

– Odprawił mnie, ponieważ nie zgodziłabym się zapomnieć o broni i magii, żeby zostać jego królową i tak mu właśnie powiedziałam.

Kochałam go z całego serca i myślałam, że on kochał mnie, a nie istniała Reguła, która nakazywałaby mi wyrzec się miecza jako monarchini.

Próbowałam wyperswadować mu ten kaprys, lecz nadaremnie. Udałam się na wygnanie z pękniętym sercem, niczym dziewczka odprawiona przez narzeczonego. Wiedziałam, kiedy został uwięziony; posłał wezwanie sposobem mego ludu, choć nie musiał wzywać mnie. Przybyłabym. Gdy wydobyłam go z lochu, gdzie trzymali go twoi ludzie i wywalczyłam nam drogę ku bezpieczeństwu poza murami, wyznał mi, że odesłał mnie ze względu na proroctwo. Przepowiedziano w nim, że pewnego dnia będzie mnie potrzebował. W związku z tym postawił mi warunki, których – był tego pewny – nie zrozumiałem, ani nie zaakceptuję, zmuszając do odmówienia mu, przez co musiałam opuścić dwór. Przez wszystkie te lata dochowywałam wierności jego wspomnieniu, a on okłamał mnie, żeby potem wykorzystać. Bez miłości, bez dzieci, bez wolności wyboru w życiu...

Kobiety często gadały o czymś takim: opowieści i plotki o niewiernych kochankach, mężczyznach, którzy nie wywiązywali się wobec kobiet z obietnicy zaślubin i zemście, jakie kobiety na nich wywierały. Gird musiał przyznać, że mężczyźni mieli własne plotki, wymrukiwane do kufli z ale

lub szeptane na ucho z rechotem i poklepywaniem się po plecach. A jednak w ustach władczyni-czarodziejki brzmiało to równie małostkowo, jak słyszane od wioskowej dziewczuchy. Zdumiało go, że nie przyszła z czymś lepszym.

– I za to go zabiłaś?

– Oraz za to, jakim był królem. Na Blask Esei, dysponował wystarczającym darem Widzenia, by wiedzieć, co się działo. Gdyby zechciał, Marrakai pomógłby mu w powstrzymaniu tego wszystkiego, ale jego nie należało niepokoić.

– I po tym akcie... uczciwości... – Celowo zawiesił głos i obserwował, jak do jej twarzy z powrotem napływa krew. – Przychodzisz tutaj i używasz swojej magii przeciwko mnie. Dlaczego?

– Myślałam, że nie udzielisz mi posłuchania i każesz z miejsca zabić. Chciałam tylko kupić sobie trochę czasu...

– Uważasz, iż czas ten wart był poniesionych kosztów?

– Nie wyrządziłam ci krzywdy – zauważyła.

– Ciebie – zaczął Gird, celując w nią oboma palcami wskazującymi. – Kosztowało to ciebie, czarodziejko. Całkowitą utratę mego zaufania.

– Ale...

– NIE! – Huknął w stół obiema pięściami. – Nie. Posłuchaj, czarodziejko i sama oceń, czy chcesz skorzystać z naszej łaski. Tym, co uczyniłaś, pani – użyciem magii, by zauroczyć mnie i zmusić do wysłuchania ciebie – dokładnie tym pogardzamy. Zapewnienie sobie bezpieczeństwa, narażając innych, używanie oręża, którym my władać nie możemy – to jest niesprawiedliwe, nieuczciwe i nie pozwolimy ci więcej tego robić.

– Co ty wiesz o sprawiedliwości? – parsknęła.



– Więcej od ciebie. Nie użyłbym siły wobec dziecka, by wydrzeć mu to, co do mnie nie należy... nawet, gdybym cierpiał głód. Wiem, czym jest uczciwa wymiana.

– Rozmawiałeś z kapristi...

– Owszem i pilnie ich słuchałem. Waga za wagę, praca za pracę, uczciwa praca za godne wynagrodzenie, żadnej kredy w mące, ani wody w mleku – oto uczciwa wymiana.

– A co dałeś im za tę mądrość? – Nie porzuciła pogardliwego tonu, gotowa ponownie rozniecić w sobie gniew.

– To, o co poprosili: kiedy obejmiemy rządy nad tą krainą, mamy po wieki wieków szanować ich granice i pozwolić kupcom kapristi przyjeżdżać na nasze rynki i dokonywać wymiany na takich samych uczciwych warunkach, jakie stosują się do ludzi.

– To wszystko, o co poprosili?

– To więcej, niż przez te wszystkie lata otrzymali od was; tak przynajmniej twierdzą. Chcą sąsiedztwa pokojowej krainy, w której panuje ład i porządek, zadowolonej z przebiegu granic i gotowej do podtrzymywania uczciwych relacji. – Ktoś wszedł, co dało mu pretekst do odprawienia jej. Lecz nie mógł wyrzucić jej z głowy. Jej obraz tkwił tam, niepokojąc go. Żałował, że nie wyjechała; musiał użyć wszystkich wpływów, żeby powstrzymać innych przed zaatakowaniem jej. Mogli sobie nawet pomyśleć, że go zaczarowała.

Kilka wieczorów później usłyszał muzykę z dalszej części obozu. Trącane wprawnymi dłońmi struny i słodkie, chrapliwe nuty czegoś podobnego do pasterskiej piszczałki. I śpiew. Stężał. Znał ten głos, tę słodcz złocistego miodu. Przeklęta kobieta – pomyślał. – Wszyscy zginiemy przez tę jej

sztukę.

Wybrał okrężną drogę; nie miał pojęcia, dlaczego. Może wartownicy okażą się mniej czujni, wsłuchani w jej śpiew? Ale nie: każdy z nich obwołał go rześko, co bardziej go zirytowało, niż uspokoiło.

Siedziała plecami do ogniska, piastując brzuchaty instrument ze strunami i słuchając grającej na drewnianej fujarce kobiety. Gird obserwował ją z cienia. Ta pociągła, koścista twarz, głęboko osadzone oczy – była pełna wdzięku, musiał to przyznać. Jej dłonie poruszyły się, a palce dotknęły strun, wydobywając z instrumentu łagodne dźwięki. Tkała je wokół melodii fujarki, udaremniając wysiłki Girda, chcącego śledzić każdy instrument z osobna. Jeden z mężczyzn zaczął śpiewać pieśń konnych nomadów. „Chyże nogi wzywa wiatr, umykaj przed nadchodzącą burzą...” Czarodziejka dołączyła do niego tym swoim słodkim głosem, któremu tak nie ufał. Skrzywił się, gotowy wpaść w gniew. Nagle spojrzała mu prosto w oczy. Zająknęła się, lecz zaraz podjęła śpiew.

Nie. Nie będzie jej słuchał. Nie będzie na nią patrzył. Była zdradą i podstępem: zabiła własnego króla. Czarodziejka, zrodzona do oszukiwania i dominacji. On był sobą: gospodarzem i mężem Mali. Mali nie żyje, szepnął ciemny zakątek jego umysłu. No to ojcem Raheli. Zwalistym i nieokrzesany – nie pozwoli uwieść się wdziękowi i złotemu głosowi. Była oszałamiająco piękna. Próbował myśleć o jej ciele, jak o ciele zwierzęcia: krowy o lśniącej skórze, pełnego gracji rumaka. Skupił się na jej dłoniach, przebiegających po strunach, by wyczarować z nich skomplikowany dyszkant wobec melodii fujarki. To była inna pieśń. Jak długo stał tutaj, obserwując ją z fascynacją? Dłonie o długich palcach, silne i zwinne, wysmukłe ciało. Znów spojrzał jej w oczy, ciemne i starsze

od niej, przepelnione smutkiem.

Wiedziała. Wiedziała, że na nią patrzył; wiedziała, jak patrzył. Ogarnął go gniew: znowu próbowała go zauroczyć, nawet teraz. Zgromił ją spojrzeniem; odpowiedziała wzrokiem smutnym, lecz pozbawionym lęku. Spokojnym. Zabij mnie, mówiło jej spojrzenie. Nie zrobiłam tego. A jednak, jeżeli to nie był urok, czemu nie brzydziło jej takie zainteresowanie? Nieokrzesany wieśniak wystarczająco stary, żeby być jej ojcem...

– To nie tak – rozległ się głos w jego głowie. – Nie jesteś taki stary, ani ja taka młoda.

Żadnego niesmaku? On był zniesmaczony sobą. Jak mógł myśleć o niej jako o kobiecie, po tylu dowodach lojalności Mali i tragedii Raheli? O co walczył, jeżeli nie o pozbawienie takich kobiet władzy?

Czas mijał; ognisko obróciło się w ciepły popiół pod osłoną czarnego nieba. Pozostali zasnęli. Tylko ona pozostała przytomna, obserwując go tak, jak on obserwował ją. „Magia”, pomyślał zdegustowany.

– Wcale nie, panie komendancie – odrzekła. Na głos, choć cicho.

– Czytanie w myślach to magia.

– Owszem. Reszta... jeżeli to magia, to znacznie starsza od mojej.

– Ja... chciałbym cię znienawidzić.

– Masz powody. – Odwróciła się i otuliła instrument wyprawioną skórą. – Ale nie możesz, panie komendancie, znienawidzić mnie bardziej, niżli ja nienawidzę siebie. Nie przybyłam tutaj, żeby cię wzburzyć.

– Wiatr wzburza wodę – rzucił ku swemu zaskoczeniu. Skąd to wziął?

Roześmiała się miękko.

– Tak – wiatr. Ale tyś nie woda, panie komendancie... Girdzie. Jesteś taki,

jak mówisz: dobra, chłopska glina. Znasz powiedzenie gnomów o glinie?

– Nie.

– Sertig ścisnął glinę tak, że powstała skała. A ściśnięta skała zamienia się w diament, najpiękniejszy z klejnotów rozświetlających ciemności.

Chrząknął; czuł jednocześnie zaskoczenie i przesądny lęk. Zgadzał się być skałą lecz tamto, o czym śnił, przerażało go. Diamenty to drogie kamienie, przejaw bogactwa, posiadanego choćby przez tę panią; on do tego nie pasował. Niemniej, otworzył usta i przemówił ponownie:

– Śniłem o tobie. – Obudził się spocony i wściekły; od tamtego czasu nie rozmawiał z nią.

Odwróciła wzrok.

– Tak sądziłam, że może do tego dojść. Wybacz mi.

– Ty... jesteś wyjątkowa...

– Jestem sobą. Kiedyś... imieniem, którego już nie użyję. Teraz – jesienną różą jak mnie nazywał – ostatnim bezwonnym kwieciem, skazanym na zgubę przez mróz...

– Lubisz to słowo: zguba.

– Znam siebie, Girdzie, oraz swoją przyszłość: to najbardziej ryzykowny dar mojego ludu, we mnie bardzo silny, jak pozostałe. Nie będę mieć dzieci; mój czas przeminął. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – A ty, który masz dzieci: myślisz, że możesz mi je dać?

Nagle zrobiło się mu gorąco. W jej uśmiechu nie było ciepła.

– Znam twoje sny, Girdzie, zdradzają je twe oczy. Ciało czarodziejki... niezamężnej czarodziejki... jaka jest? Patrzysz na egzotyczny kształt mej twarzy, moich dłoni i zastanawiasz się, jak wygląda reszta. – Ton głosu zmienił się z zadumanego w gniewny. – Och, Eseo! Będziesz wierzył, że

to moje czary, niezależnie od tego, co zrobię! A gdybyś miał choć odrobinę rozumu, przyznałbyś, że starałam się pozostać niewidoczna, nie ściągać spojrzeń, zwłaszcza twoich.

– To ten twój smutek. – To również powiedział bez namysłu. A jednak taka właśnie była prawda. Po ich pierwszym spotkaniu nie próbowała nikogo zaczarować, lecz jej smutek przyciągał wzrok innych.

– Posłuchaj, Girdzie: pokażę ci i jeżeli jesteś mądry, a bogowie naprawdę są z tobą, przekonasz się, że jestem uczciwa.

Otworzył usta, lecz uciszyła go gestem, zrzuciła płaszcz i zaczęła rozwiązywać koszulę. Gdyby odezwał się teraz, ktoś mógłby się obudzić, a wyjaśnienie sytuacji okazałoby się, w najlepszym razie, trudne. Jej palce poruszały się szybko i zręcznie; pozbywała się ubrania z nie większym zakłopotaniem, niż on czułby, rozbierając się we własnej chacie. Powinno być zbyt ciemno, by ją widzieć, lecz ciało kobiety lśniło słabą, magiczną poświatą.

Wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Długie nogi, wysmukłe ciało, nie zniekształcone rodzeniem dzieci, biodra dziewczęcia i piersi... pragnął ich dotknąć. Nawet Mali nie miała za młodu takich piersi. Lecz pod pięknem, którego oczekiwał, dostrzegł wspomnianą przez nią pustkę. Była niczym przepiękna rzeźba, ustawiona w pańskim holu dla rozrywki: jałowa. Otworzył i zacisnął dłonie; zamiast wyobrażanej sobie miękkości i ciepła, była twardość i chłód.

Otuliła się płaszczem, gasząc blask. Widział już tylko twarz.

– Widzisz? – W złocistym głosie pobrzmiwała nutka smutku. – Nie chodzi o ciebie, Girdzie, tylko o wybór, którego dokonałam dawno, dawno temu: posłuszeństwo memu królowi. Służba zamiast wolności. Śmierć

zamiast życia.

– To niewłaściwe.

Uniosła brwi.

– Jesteś moim sędzią?

– Nie, ale... – Musiał istnieć sposób powiedzenia tego, co uważał. – Słuszna służba nie może polegać na służeniu śmierci. Lojalność jest dobra, zgadzam się z tym, ale to nie wszystko – to, wobec czego jesteś lojalna, musi być tego warte.

– Mądra glina, panie komendancie. – Kpiła z niego, lecz na obliczu zagościła niepewność. – Gdzie wieśniak nauczył się takiej mądrości?

– To zwykły rozsądek – odparł z uporem Gird. – Może chłopski: naszą pracą służymy życiu. Uprawiamy zboże, hodujemy zwierzęta – to służba życiu.

– Przyznaję, że popełniłam błąd. Uwierzyłam, że król był prawy i wart mego posłuszeństwa. Pamiętaj, że naprawiłam tę pomyłkę. – W jej głosie na powrót pojawił się chłód; pomyślał, że tak naprawdę wcale nie wierzyła, że to był błąd.

– Tak twierdzisz. – Był opryskliwy i zły na swoje ciało, że nie zgadzało się z umysłem – nie znajdzie tam pociechy. Żeby mężczyzna w jego wieku dał się tak podejść – był pełen niesmaku wobec siebie i jej za to, że roznieciła jego zainteresowanie. W drodze powrotnej co i rusz potykał się o coś, doskonale wiedząc, że to przez własną złość gubił krok.

Arranha. Stary kapłan był jednym z nich; może zdoła mu wyjaśnić.

Odszukał go i nie zdziwił się, że Arranha czuwał, spokojnie podziwiając gwiazdy.

– Jak tam pani? – zapytał kapłan. Gird kipiał gniewem, że tak łatwo go

rozszyfrowano, zaraz jednak wściekłość znikła, zmyta przyływem dobrego humoru. Usiadł ostrożnie koło starca.

– Jest sobą – odrzekł.

– Aż za bardzo – mruknął Arranha. – Pączek, który nigdy nie rozkwitnął, zeżarty od środka. Ma ciało dziewczyny, brak jej jednak zapachu kobiecości.

Gird otworzył usta, by dać wyraz zaskoczeniu; płonęły mu uszy.

– Jest piękna – przemówił, odczekawszy wymaganą przyzwoitością chwilę.

– Zimna – oponował Arranha.

– Cóż... tak. I owszem: patrzyłem. Pokazała mi...

– Pragnie ciebie?

– Nie. Nigdy nie widziałem nikogo takiego... ani nie rozmawiałem... i przypuszczam, że to moja własna ciekawość.

– Dość naturalna. – Arranha wzruszył ramionami. – Z twych słów wnioskuję, że ciekawość znikła. Żałowałbym jej, gdyby nie było stać jej na więcej.

Gird roześmiał się.

– Myślałem, że mówiłeś, że wszystkich nas stać na więcej.

– To prawda. Lecz wielki talent budzi zazdrość, nawet starego kapłana, wysiadującego po nocach. Girdzie, gdyby słuchała dobrych rad, mogłaby zapobiec złu. To nie była nie zważająca na nic miłość – potrafi przepowiadać przyszłość. Pomimo swej wiedzy postanowiła nie słuchać. Śmiem twierdzić, że nie ocaliłaby króla – z tego, co słyszałem, młodego głupca, jacy zazwyczaj zasiadają na tronie. Nie podłego, tylko płytkiego i niemądrego. Mogła jednak ocalić więcej, niż to uczyniła i tego jej nie

zapomnę. Ty też nie powinienes. Jeśli kiedykolwiek porzuci  
wyspiwywanie o swej utraconej miłości, zostanie świetnym  
komendantem, lecz będziesz musiał zmienić jej kurs.

– Mam wystarczająco dużo do roboty bez nauczania czarodziejek.

Arranha wzruszył ramionami.

– Jeśli w ręce wpada ci broń, to albo nauczysz się jej używać, albo twoi  
wrogowie użyją jej przeciwko tobie.

\* \* \*

Luap podniósł wzrok, gdy w rozpostarte zwoje z rachunkami uderzyła  
silna, szczupła dłoń. Po jednym spojrzeniu w twarz czarodziejki słowa  
skargi uwięzły mu w gardle. Skóra wokół ust kobiety zbieiała – z furii, był  
tego pewny – przypomniał sobie krzyki Girda sprzed kilku minut.

– Ty! – rzuciła głosem przypominającym nieco ryk Girda, choć nie tak  
donośnym.

– Ja? – Wbrew woli wzrok sam powędrował do rękojeści jej słynnego,  
magicznego miecza. Klejnot osadzony w głowicy błyszczał wewnętrznym  
światłem. A każda część metalowego ekwipunku lśniła nawet pod  
ubraniami, osłaniającym go przed światłem południowego słońca. Oczy, w  
które spojrzał, też zdawały się lśnić, rozpalone i gniewne. Co takiego  
zrobił? Rozmawiając z nim, zawsze wydawała się pełna rezerwy, lecz  
spokojna.

– Ty – powtórzyła ciszej – masz w żyłach krew magów.

Luap wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– To dosyć powszechne, pani; gdybyś dobrze się rozejrzała, znalazłabyś w



tej armii mnóstwo bękartów.

Machnięciem dłoni zbyła tę półprawdę.

– Owszem, bękartów tutaj sporo, lecz w niewielu z nich burzy się krew magów.

Zagapił się na nią wstrząśnięty. Zdławił niewypowiedziane pytanie i opanował twarz. Po jej minie poznał, że nie dała się zwieść. A może czytała w myślach. Kiwnęła głową z mocno zaciśniętymi ustami.

– Tak, wiem o tobie. Masz moc światła i wiesz o tym. Mógłbyś być taki, jak ja, gdybyś nie słuchał tego... tego gbura! – Machnęła ręką. Luap poczuł w gardle łaskotanie śmiechu. „Tym gburem” musiał być Gird, cokolwiek zrobił tym razem, by rozwścieczyć panią.

– Możliwe – odrzekł, starając się, by nie wyczuła w jego głosie wesołości.

– Swego czasu też tak myślałem, lecz teraz doprawdy nie mam na to najmniejszej ochoty.

Wsparła pięści na stoliczku i nachyliła się do niego. Czuł zapach jej potu i cebuli z obiadu. Nie umniejszało to w niczym jej piękna, ani mocy.

– To nie ma nic wspólnego z twoją ochotą, jakkolwiek brzmi twe prawdziwe imię. Zostało ci to dane, jak kolor oczu i długość ramienia – nie możesz tego odrzucić. – Milczał, stawiając jej czoła z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć. Pierwsza odwróciła wzrok, lecz nie poruszyła się. Potem wyprostowała się i huknęła pięścią w zwój ze stanem zapasów, gniotąc go. – Nie, jesteś kimś więcej, niż zwykłym bękartem i musisz się nauczyć.

Nagle spowiło ją oślepiające światło, a potem zaczął bić od niej żar, osmalając krawędzie zwojów. Instynktownie sięgnął po moc i ustawił przed sobą tarczę, jednocześnie zgarniając zwoje bezpiecznie za siebie.

– Przestań! – zawołał ze złością i strachem zarazem. Roześmiała się z drwiną, którą pamiętał z dzieciństwa, drwiną kogoś, czyjej mocy nikt jeszcze nie sprostął. Tkanina nad jego głową zajęła się płomieniami niemal niewidocznymi w bijącym od niej blasku i słońcu południa.

– Masz moc, powstrzymaj mnie!

To było wyzwanie, jakiemu nigdy nie spodziewał się stawiać czoła, jakiego przenigdy nie rzuciłby mu Gird. Poczł w sobie przyplływ tej niesamowitej mocy, której dotąd nie śmiał zgłębiać. Skoro jednak zaskoczył Girda, może uda się mu zaskoczyć czarodziejkę, toteż uwolnił moc, pozwalając jej przybrać dowolną formę.

Powstała ognista kula, która pomknęła ku przeciwniczce. Odtrąciła ją ze śmiechem, po chwili jednak zrobiła zdziwioną minę, gdy płomienisty glob ruszył ponownie w jej stronę. Dobyła miecza, błyszczącego równie jasno, jak ona i zamachnęła się na kulę. Luap przyglądałby się z fascynacją, gdyby nie brał w tym udziału. Czł słabą więź z kulą, zupełnie jakby dzierzył grudkę smoły na końcu długiej i giętkiej trzciny.

Wtem blask czarodziejki zniknął z głośnym pyknięciem, jakie wydaje płonące, mokre drewno. Luap zamrugał oczami. Rzuciła za siebie wąski i czarny cień, choć słońce miała nad głową... Uświadomił sobie, że teraz to on świecił, znacznie mocniej od niej. Wpatrywała się w niego ze zdziwieniem, które ustąpiło szacunkowi, a wreszcie podziwowi.

– Ty... – zaczęła zupełnie innym tonem.

– Tak? – Cokolwiek kryło się w jego głosie, podziałało na nią. Poruszyła bezgłośnie ustami. Wreszcie potrząsnęła głową i zdołała wykrztusić:

– Czy wiesz, czyim jesteś synem? – zapytała. Luap milczał; nie zamierzał jej pomagać, jeżeli do tego właśnie zmierzała. Lecz ona powoli pokiwała

głową, jakby potwierdzając coś, w co z trudem mogła uwierzyć. – Króla – dopowiedziała cicho. Spokojnie. – Władasz królewską magią j to nie może być nic innego. I myślę, że o tym wiesz, Luapie. Jakże trafne imię przybrałeś.

– A jeśli nawet? – zapytał, rozluźniając się lekko. Cień za nią rozmył się, jakby jego blask przygasł. Nie umiał powiedzieć – oczy wciąż odmawiały udzielenia odpowiedzi na wszystkie jego pytania.

– Jeżeli jesteś synem starego króla, urodzonym z jego mocą...

– Orzekli, że nie – przerwał jej Luap. – Zostałem odprawiony, jak wszystkie pozbawione mocy bękarty...

Roześmiała się, tym razem ze smutkiem.

– Popełnili błąd, Luapie i od dawna o tym wiesz. Jesteś jego dziedzicem – prawem krwi i mocy – a dowodem jest to, co właśnie się wydarzyło.

Zademonstruj to każdemu ze starej krwi, a odziedziczysz...

– Odziedziczę! – Dawne marzenia powróciły do niego, lecz zaraz porwał je gniew. – Odziedziczę królestwo rozdarte wojną? Odziedziczę sławę mego ojca, dzięki której ludzie z zadowoleniem przyjęli wieść o jego śmierci? Odziedziczę jego metody?

Zniżyła głos, łagodny i kojący, jak miód koi obolałe gardło.

– Myślałeś o tym, Luapie; musiałeś. Był dumnym człowiekiem... i głupim... w pewnym sensie nawet okrutnym. Powinien mieć więcej rozumu i nie odsyłać ciebie. Nikt z nas nie zrobił wszystkiego, co powinien. Ale ty... ty wiesz lepiej. Mógłbyś być...

– Mógłbym być martwy – uciął Luap. Miał ochotę uderzyć ją; wyczuwał jej próby zauroczenia go na równi z palącymi promieniami wiosennego słońca. Wystarczająco trudne było pierwsze przejście przez te wyznania.

Pokręcił głową. – Gdybyś zapytała mnie, pani, dwa lata temu, mógłbym okazać się wystarczająco głupi – byłbym wystarczająco głupi, żeby się zgodzić. To, co uczynił mi ojciec... zemsta, której pragnąłem, moc, której mu zazdrościłem... tak, zgodziłbym się. Może nawet rok temu. Lecz wojna czegoś mnie nauczyła. Ty także.

– Ja! Chcesz powiedzieć, że przeze mnie ty nie... ?

– Nie tylko przez ciebie. Ale widzę teraz to, co rozumie Gird: koszt twych podszeptów, aż do ostatniego martwego dziecka, ostatniej zatrutej studni...

– Nie wszyscy jesteśmy źli!

– Nie. Ale... powiedz mi, pani, co rozgniewało cię tym razem? Co skłoniło cię do spiskowania za plecami Girda?

Odwróciła się od niego. Pozwolił swej mocy popłynąć ku niej i wróciła do niego niechętnie, choć posłusznie – w pełni świadoma źródła przymusu, z którym walczyła. Uwolnił ją i zatoczyła się.

– On... jest idiotą! Tyle wie o rządzeniu, co wioskowy osiłek!

Luap zachichotał.

– Zgodzę się, że to idiota. Lecz jest kimś więcej, niż wioskowym osiłkiem, a jeśli tego nie dostrzegasz, to nie pojęłaś w pełni, kim naprawdę jest.

– Pozwala tym głupim kupcom głądzić i sprzeczać się o rynkowe reguły...

– A co ma zrobić – porozbijać im łby? – Zauważył, że myślała o tym i to

przychylnie. Pokręcił głową. – Pani, Gird jest równie skłonny do utraty opanowania i rozbijania cudzych głów, jak każdy znany mi człowiek.

Skoro pozwala im na sprzeczki i marnowanie czasu, jak to ujęłaś, to znaczy, że ma ku temu powody.

– Twierdzi, że w większym stopniu będą przestrzegać zasad wymyślonych przez siebie, niż danych im przez niego... a mimo to nie pozwala im

ustanowić takich reguł, jakie by chcieli. Upiera się, że muszą dogadać się z rolnikami, co to jest dojrzała śliwka i takie tam nonsensy.

– Te nonsensy są ważne dla hodowców śliwek i tych, którzy płacą za nie dobrą monetą.

– Co sprowadza nas do pieniędzy. Wiesz, że zamierza zebrać i przetopić wszystkie stare monety? Koniec z miedziakami i złotymi koronami.

Zastąpią je monety z wybitym kłosem pszenicy i makiem. Próbowałam wytłumaczyć mu, ile to będzie kosztować: mincerze nie pracują darmo.

Nie słuchał. I prosi mnie o coś, czego nie pojmuje...

– Chce, żebyś porzuciła rozpacz tak samo, jak przekonał do tego mnie.

– Przekonał cię do wyrzeczenia się dziedzictwa.

– Jedno i to samo. Moja rozpacz brała się z bycia zrodzonym z królewskiej krwi i wyrzuconym z dworu, by żyć w świecie wieśniaków. Posiadania królewskiej mocy, której używania mi odmówiono. Skazania, krótko mówiąc, na świat, który wcale mi się nie podobał.

– To coś więcej!

– Prawdę mówiąc, nie. – Luap uśmiechnął się do niej półgębkiem. – Pani, wystarczająco dobrze poznałem wiejskich chłopców, wściekłych, bo ojciec faworyzował brata, bo zarządca był niesprawiedliwy, bo świat nie taki.

Marudni, skwaszeni, zawistni, chowający urazy, obraźliwi i mściwi. Ja też taki byłem, choć kryłem się z tym, uważając siebie za zbyt dobrego, by przyznać się do uczuć, które płonęły w moim sercu. – Zamilkł, żeby sprawdzić, jak to przyjęła. Słuchała go, choć podejrzewała, że czyniła to wyłącznie dlatego, iż okazał się synem króla. Wziął głęboki wdech, mając nadzieję, że nikt im nie przeszkodzi, ani nie podejdzie na tyle blisko, by podsłuchać opowieści o jego przeszłości, o której, na razie, wiedział tylko

Gird. – Kiedy się ożeniłem, pani, kochałem moją żonę tak, jak księżę mógłby kochać pomywaczkę: za jej urodę i umiejętności. Nasze dzieci widziałem w myślach strojne w królewskie szaty i nienawidziłem ich szerokich, chłopskich gęb oraz szorstkich dłoni. Nie jesteś mężatką, nie rozumiesz, co to znaczy z góry przesądzona miłość i stracone lata, kiedy bez trudu mogłem być bogaty. A potem, gdy potęga Girda wzrosła, mój pan – który, doskonale o tym wiedziałem, powinien być co najwyżej dworakiem na moim dworze – nakazał mi dołączyć do armii, zdobyć zaufanie Girda i zdradzić go. Zrobiłbym to dla samej obiecanej nagrody, lecz on nie ufał mi. Uwięził moją żonę i dzieci, zabił mi syna, żeby przekonać o swym zdecydowaniu i trzymał ich jako zakładników. Gdy zabierali je żołnierze, w ich oczach – żony, której nigdy nie kochałem tak, jak mogłem i córki, uważanej przeze mnie za zbyt prostacką – zobaczyłem zaufanie, na jakie wcale sobie nie zasłużyłem. Wtedy je pokochałem, lecz było już za późno. – Stary ból przeszył mu serce, a łzy zmąciły wzrok. Przegnął je mruganiem i ujrzał na twarzy czarodziejki dziwną minę. Miał nadzieję, że nie wyrażała pogardy. Czuł jak rośnie w nim gniew – okazanie przez nią wzgardy doprowadziłoby do eksplozji. Milczała.

– I tak przyszedłem do Girda jako człowiek przygnany do buntowników przez niesprawiedliwość, zamierzając go zdradzić, a on tamtej nocy okazał tyle troski o moje rany, że... nie potrafiłem tego zrobić. Opowiedziałem mu o mojej rodzinie i rozplakał się: łzy jak grochy ściekały mu po twarzy, nos poczerwieniał – nie mogłem w to uwierzyć. – Zaczekał, aż zapytała.

– A potem?

– A potem zginęły, zgodnie z obietnicą mojego pana, a ja nie mogłem nic zrobić. Na rynku w Darrow, na oczach wystraszonego tłumu... Ktoś

opowiedział mi o tym później, nie wiedząc, czyja to była rodzina. A ja... znienawidziłem Girda niemal tak mocno, jak mojego pana, za to, że nic nie zrobił – choć nie mógł nic zrobić. Kiedy odkryłem w sobie moc, pomyślałem o powrocie na przynależne mi miejsce. O czynieniu dobra, byciu królem takim, jakim powinien być monarcha, rządzący krainą, gdzie nikt by nie cierpiał. Marzenia chłopca po otrzymaniu lania. Korony i pałace dla wszystkich, mięso, ale i miód na chlebie...

– Mógłbyś...

– Nie mógłbym. Kiedy wypróbowałem na nim swoją moc, Gird powalił mnie jednym ciosem i miał rację. Wtedy tego nie rozumiałem. Jeśli jednak zastanawiasz się, dlaczego nie dowodzę, to właśnie dlatego. Nie zaufałyby mi. Komendanci nadal patrzą na mnie spode łba, lecz Gird wie, że się zmieniłem. I ty też możesz, jeśli tylko pozbędziesz się tej starej rany, którą tak hołubisz.

– Nie hołubię jej! Moje życie obrócone w ruinę... !

– Tylko, jeżeli tak wybierzesz. Wysłuchaj mnie, pani. Straciłaś coś, lecz któż nie stracił? Liczy się to, co zostało. Ja straciłem żonę i dzieci i to zanim je zabrano, gdyż zaślepiała mnie pycha krwi. Straciłem koronę, jak ty to postrzegasz. Trzymałaś się z dala od wojny i nie widziałaś tego, co ja, ani nie wyciągnęłaś z tego nauki. Moja strata jest równie ważna, jak straty innych, lecz wcale nie ważniejsza. Królewicz, bękart, wdowiec, pozbawiony dzieci przez wojnę, luap w każdym calu: utraciłem, bądź odrzuciłem władzę, bo nie nadaję się do tego.

– I tego właśnie . chcecie z Girdem ode mnie?

Luap wyciągnął ramiona nad głowę, przeciągając się i rozluźniając napięte mięśni grzbietu. Sądząc po tonie, przynajmniej zaczęła o tym myśleć,

utraciwszy część pewności siebie.

– Gird chce, żebyś przestała myśleć o sobie, jako o kimś specjalnym. Ja chciałbym, żebyś zastanowiła się nad owocami wolności – uwolnienia się od przeszłości. Co dobrego przychodzi ci z tego starego gniewu? Co dobrego przyniosłoby któremuś z nas, gdybyś wciągnęła mnie w spisek, mający na celu przeciwdziałanie temu, za co zginęli ci wszyscy mężczyźni i kobiety? Sama wiesz najlepiej, pani, czy nie nadajesz się do dowodzenia w tym samym stopniu, co ja.

Wyraz jej twarzy zmienił się z nadąsanego w zbliżony do szacunku.

– Ja... nigdy nie wątpiłam w moje umiejętności dowódcze. Aż do tej pory...

– A jednak nigdy nie ruszyłaś w pole. A czemu przybyłaś tutaj, do wrogów twego ludu? I czemu zostałaś? .

– Nie jestem pewna. – Spuściła wzrok, unikając jego oczu. – Nie ruszyłam w pole... ponieważ król nie wezwał mnie tak, jak resztę panów. Po zabiciu go myślałam... wiedziałam, że morderczynie króla nie przyjmie nikt z moich. Dlaczego mieliby to zrobić? Złamałam daną mu przysięgę, czemu więc nie przyłączyć się do jego wrogów? Uważałam, że mój uczynek umieścił mnie w ich szeregach.

– I myślałaś, że jak Gird cię przyjmie? Poklepie po głowie i powie, że król źle cię potraktował i zasłużył na zemstę?

Zarumieniła się.

– Nie wiedziałam. Chyba nie myślałam jasno. Czemu zostałam? A dokąd miałam pójść? Wrócić do Tsaia i opowiedzieć się po którejś ze stron sporu? Odejść daleko, gdzie wystraszony wieśniak rozłupałby mi głowę siekierą podczas snu?

Spojrzała mu w oczy z miną, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widział:



szczerej konsternacji z cieniem wesołości.

– Wyruszyłam z odsieczą królowi i zabiłam go. Co mogłabym śmieć zamierzać po czymś takim, żeby nie poszło źle?

## Rozdział 32

Gird miał rację: Tsaia wołała panów od gospodarzy, a jednocześnie chłopów od magów. Wszyscy tamtejsi czciciele okrutnych bogów byli władcami-magami lub ich krewnymi. Kiedy powstały podwórza, do niektórych z nich dołączyli ich własni panowie, jednocząc się przeciwko znienawidzonym i budzącym grozę wrogom. Księżę Marrakai, choć oskarżony o zdradę przez księcia Verrakai, w oczach większości udowodnił swoją lojalność, popierając aspiracje Mahieran do tronu. Różana Czarodziejka, jak nazwał ją Gird, zapewniła go, że pretendent nie ma więcej mocy, niż rzeczny otoczak. Nie był pewny, czy jej wierzyć, ale ufał Arransze, który to potwierdził.

Nie spodziewał się tego, lecz nadal żył i był bohaterem. Wszyscy znali wielkiego, zwalistego mężczyznę w niebieskich barwach (łatwiej było nosić ten kolor; gdy tego nie czynił, ktoś przynosił mu niebieską koszulę „za pamięci”), dosiadającego mocno zbudowanego siwka, który już niemal całkowicie zbielał. Dzieci wybiegały mu naprzeciw, dotrzymując kroku wierzchowcowi i wołając go. Jeśli wiedziano, którędy będzie przejeżdżał, na gałęziach drzew pojawiały się niebieskie wstążki, kobiety wplatały we włosy niebieską przędzę, a w sezonie rzucano przed nim niebieskie kwiatki. Jeżeli pojawiał się w wiosce z zaskoczenia, porzucali narzędzia i zbierali się wokół niego, błagając o błogosławieństwo i zarzucając problemami, które powinien rozwiązać.

Odkrył, że bardziej pragną jego – fizycznego dotyku, obecności, chętnego do słuchania ucha – niż idei, które głosił. Wszyscy mieli lokalnych bohaterów, którzy walczyli z nim pod Grahlinem, na Zielonych Polach, Wzgórzu Czarnej Kości lub pod Jasną Wodą. Najmniejsza nawet zasadzka,

czy bitwa miały swoich bohaterów, którzy wrócili do domów, by na swój sposób opowiedzieć ich historię. Ku niejakiemu zdziwieniu Gird usłyszał, że w jednej bitwie cisnął koniem i jeźdźcem „tak daleko, że nie było słychać odgłosu upadku”, a pewien mężczyzna, który stracił nogę i przeżył (Gird pamiętał, jak łapał go za rękę, błagając o dobicie), przykuśtykał do niego, by uściskać go, poklepać po plecach i pochwalić się dziećmi. Kiedy jednak próbował rozmawiać z nimi o przyszłości, niewielu go słuchało. Byli zajęci pracą i odzyskanym życiem. Wygrali i życie stało się lepsze; nie bali się niczego, prócz powrotu panów i nie potrzebowali niczego, oprócz przyjaźni Girda.

Część ludzi interesowały reformy prawa, które przeprowadził. Kupców, rzemieślników, nawet niektórych gospodarzy – lecz abstrakcyjne pojęcia sprawiedliwości i doskonałej uczciwości ustępowały pola dyskusjom o partykularnych interesach danych grup znacznie częściej, niż Gird miał nadzieję. W końcu, po wielu godzinach, dnia, wręcz miesiącach sporów, jedna grupa zgadzała się na daną zasadę tylko po to, żeby inne grupy, nie uczestniczące w pierwotnej dyskusji, nie zgadzały się jej przestrzegać.

Wówczas wszyscy odwoływali się do Girda, który musiał ferować wyroki. A przecież chciał, by robili to inni.

Większość ludzi rozumiała potrzebę posiadania sił zbrojnych dla ochrony, zarówno lokalnej – przed bandytami – jak i regionalnej, na wypadek najazdu. Lecz niewielu chciało wspierać zakładaną przez Girda organizację podwórzy i farm z odpowiednim systemem szkoleń włościan, komendantów-włościan i komendantów oraz regularną musztrą dla wszystkich, nawet podczas pokoju. – Martwiło go również uczucie, męczące go od przeżycia bitwy na Zielonych Polach. Zapowiedziano mu,

że nie ujrzy pokoju, który przyniesie, a tu proszę: widział go dookoła.

Albo bogowie mylili się – w co nie wierzył – albo źle ich zrozumiał. W co także nie wierzył. A oznaczało to, że otaczający go pokój w jakiś sposób nie był prawdziwy. Coś było nie tak, podobnie jak po Owczarniach Norwalku. Zapytał wówczas, czy była to jego wina, że nie widział prawdziwego pokoju i nie otrzymał odpowiedzi. Teraz zadawał sobie to samo pytanie: czy to była jego wina? Czy nie dopełnił czegoś, co przyniosłoby tej krainie prawdziwy i trwały pokój? Zatrzymał coś, co powinien dać?

Pamięć podsunęła mu popełnione błędy: bitwy, którymi inni chwalili się w jego imieniu, wydawały się mu pełne złych założeń i śmierci, do których doprowadziła jego głupota lub niedbałość. Tamto pijaństwo, które pozostawiło po sobie trwałe ślady; nawet teraz, gdy wszyscy nazywali go Ojcem Girdem, zawsze znajdował się ktoś, kto z łagodnym uśmiechem wyjmował mu kufel ale z rąk, jeśli uznali, że miał już dosyć. Dokonał tego, co sobie postanowił – uwolnił krainę od złych władców – lecz wzdrygał się za każdym razem, gdy podkova siwka stuknęła o czaszkę lub ujrzał białą kość, wyoraną przez kogoś z pola.

Dużo podróżował, gnany nieuchwytnym, acz upartym niepokojem.

Wszędzie widział powrót dobrobytu: gospodarze wracali do spalonych pól, a wyludnione niegdyś wioski na powrót tętniły życiem. Ludzie mieli więcej ciała na kościach, a cudzoziemscy kupcy narzekali na mizerny zarobek, lecz wciąż do nich wracali. Tak samo bogaci rzemieślnicy, którzy uprzednio uznali, że w chłopskim królestwie nikt nie będzie potrzebował ich umiejętności. Nowe monety, na które tak pomstowała czarodziejka, krążyły łatwiej, niż poprzednie. Kiedy Luap po raz pierwszy wspomniał o

czymś, co uważał za problem – o ciągłych nieporozumieniach między dawnymi właścicielami ziem władców-magów a obecnymi najemcami, Gird wykpił go.

– Nie skrzywdzą dzieci – orzekł. – Dorosłych może, ale...

– Rozmawiałem z Jesienną Różą – Luap wymówił to miano bez śladu zakłopotania; Gird nadal uważał je za głupie. Skoro chciała ukryć swe prawdziwe imię, mogła wybrać coś prostszego. Zmieniała się przez te lata, lecz wciąż dostrzegał w niej władczą arogancję. Przypominał sobie pierwszy raz, gdy zaśmiała się z siebie, przyznając, iż mogła być równie śmieszna, jak inni. Chyba wtedy właśnie zaczęła się zmieniać, porzucając żal po martwym królu. Gdy w końcu przestała rozpaczać po utraconej miłości, została – jak przewidywał Arranha – świetnym komendantem. Przyłapał się na błędzeniu myślami – ostatnio zdarzało się mu to coraz częściej. Luap obserwował go cierpliwie. Teraz podjął wątek: – Uważam, że będzie coraz gorzej. Zbyt wielu jest mieszańców, a czasami moc pozostaje w uśpieniu przez pokolenia, by ujawnić się nieoczekiwanie. Poza tym, sam powiedziałeś, że nie wszyscy dorośli byli winni, a jeśli będą chcieli żyć zgodnie z twymi prawami, to będą bezpieczni.

– Tak powiedziałem i tak jest. – Nienawidził, kiedy Luap podchodził do niego z cierpliwością należną dzieciinnemu starcowi; robił się od tego zrzędlawy.

Luap pokręcił głową.

– Jeżeli mieszkają tam, gdzie docierają twoje sądy, to tak. Wielu nie ma takiego szczęścia. Na południu, w pobliżu dawnego dominium Kelaive'a zginął człowiek... – Nie zmieniono nazwy tamtego regionu; Gird postanowił, że trzeba to zrobić. Samo nazwisko Kelaive'a budziło starą

złość. – ... Młodszy syn, który potrafił wyczarować z palców światło i podpalić świeczkę. Ukamienowano go, Girdzie i nikt nie przyznaje się, że miał z tym coś wspólnego. Możesz wpaść we wściekłość i dźgnąć kogoś nożem, albo rozbić mu głowę kamieniem, ale ukamienowanie... To wymaga czasu i wielu ludzi.

– Co według nich uczynił? – Musiał coś zrobić, by rozniecić w sobie gniew.

– Nie mówią, ponieważ nikt nie przyznaje się, że to zrobił. Cob jest tam najwyższym komendantem; znasz jego pragmatyzm. – Zawsze lubił Goba, którego bezpośrednio i rzeczowe podejście do życia nie uległo zmianie nawet pod wpływem wojny. Nadal utykał po zmiążdżeniu stopy pod Grahlinem, lecz nigdy nie narzekał.

– Co mówi Cob?

Luap wyciągnął wiadomość i odczytał ją na głos.

– Powiedz Girdowi, że musi coś zrobić. Może odeśle magów gdzieś indziej.

– Dokąd? Gdzie ludzie zaufają mi na tyle, by ich przyjąć? Ci tutaj nie chcą mieszkać w Tsaia, nie wrócą do Aarenis... i twierdzą, że w Starym Aare nic już nie ma. Poza tym, jeżeli ich odeślę, to tutejsi będą się martwić, że tamci zaczną spiskować. Wystarczająco często słyszę o tym ze wschodu – obawiają się, że napadnie na nich Tsaia. Z czasem wszystko się ułoży. Co rośnie przez lata, nie zwiędnie przez chwilę.

Wrócił do map, zdecydowany przed końcem dnia usunąć z nich imię Kelaive'a. Zostaną stare nazwy jego ludu: Burry, Jagodopłot (w ruinach mieszkały tam teraz cztery rodziny) i Trzy Źródła. Precz z nowomodnymi nazwami panów. Zgadzał się, że część rodzin była niewinna, nie widział

jednak potrzeby honorowania cieszącego się złą sławą imienia miejscem na mapie. Miał niemiłą świadomość, że niektóre podwórza rozsmakowały się w grabieżach i niszczeniu bardziej, niż byłby skłonny to aprobować, lecz był pewny – miał nadzieję – że była to jedynie przesadna reakcja na lata uciemiężenia.

Minął kolejny rok i jeszcze jeden. Przybrał na wadze; ku zachwytowi zgromadzonych jego stary pasek pękł w samym środku procesu. Ktoś pobiegł po pas z niebieskiej skóry. Uparł się, że zapłaci (mimo wszystko, zasiadał tutaj w roli sędziego) i nosił go już zawsze. Nadal wyprawiał się z miasta, zwanego niegdyś Finyatha, a obecnie Fin Panir do wiosek i miasteczek, gnany starym niepokojem. Musiał przyznać, że Luap miał rację w jednym: znacznie więcej czasu zabrało zwykłym ludziom przekonanie się do obecności wśród nich ocalałych władców-magów i ich dzieci. Był pewny, że to w końcu nadejdzie: w pewnym momencie sami zrozumieją, ile tracą, rozpamiętując przeszłość. Mali powiedziała mu wiele lat temu, kiedy gniewał się na Terisa: życie robi się kwaśne od zapamiętywania się w złości.

\* \* \*

Pewnego upalnego popołudnia pracował przy otwartym oknie, gdy dostrzegł ukradkowe ruchy ludzi mających świadomość, że zamierzali zrobić coś złego. Jeden po drugim prześlizgiwali się poniżej, skręcając za róg. Nie poczuł zbytniego zaciekawienia; było za gorąco, a stopy bolały go nawet w pantoflach. Wtem usłyszał przenikliwe krzyki dzieci i czyjś okrzyk: „Powiem Girdowi!”, charakterystyczny dla winowajcy, który gani

drugiego. Westchnął, odepchnął się od biurka, wcisnął stopy w parę największych butów i właśnie schodził na dół, kiedy dotarły do niego złe wieści. „Po drodze na rynek” działo się „coś”, co mu się nie spodoba. Komendant, informowało go bosonogie dziecko, nie mógł sobie z tym poradzić. Po chwili dzieciak czmychnął z uśmiechem, . który równie dobrze mógł znaczyć: „To ja zacząłem”, jak i „Wiem, że sobie poradzisz”. Oba twierdzenia mogły być prawdziwe.

Podążył za zaobserwowanym wcześniej poruszeniem i ujrzał plecy sporej gromady spieszących dokądś ludzi. Dziwne, że z cudzego grzbietu można wyczytać intencje, pomyślał. Równie dobrze jak z twarzy, a może nawet lepiej. Na niższym rynku zobaczył tłum przy zagrodach dla bydła. Ich plecy wyrażały pełne winy zaniepokojenie.

Wyczuł zmianę nastroju tłumy, zanim jeszcze usłyszał narastający pomruk. Tylko nie znowu to samo, pomyślał. Czy ci głupcy niczego nie rozumieją? Czemu znowu zaczynali z tymi bzdurami teraz, kiedy wygrali, a ta złość może prowadzić tylko do ruin?

Stojący w ostatnich szeregach cofnęli się instynktownie przed jego zdecydowanym krokiem, nim jeszcze go rozpoznali. Towarzyszyły mu głosy, które w końcu go wyprzedziły:

– Gird... to Gird... idzie...

Otworzyła się przed nim alejka, prowadząca prosto w serce kłopotów. Zgodnie z oczekiwaniami, stał tam Luap i Jesienna Róża. Trzymała za ramiona chudego, ciemnowłosego chłopaka o zakrwawionej twarzy, w której z trudem widać było oczy: Z rozbitego nosa i rozciętej wargi kapłała krew. Cały dygotał i nic dziwnego. Naprzeciwno stał włościanin z lokalnej farmy, Parik, ssąc kostki dłoni. Bez śladu skruchy rzucił Girdowi gniewne



spojrzenie.

Co dziwne, Luap milczał. Jesienna Róża spojrzała ponad Girdem, co uznałby za obrazę, gdyby nie ostrzeżenie w jej oczach. Wobec czego obejrzał się na Parika i zobaczył w jego oczach pewność siebie, czerpaną z wiedzy, że nie był sam.

– Tak? – wychrypiął Gird. Gardło dolegało mu od Zimowej Biesiady i tamtych fatalnych tańców na śniegu. Przełknął flegmę i czekał na odpowiedź.

– Ten tutaj używał magii – oznajmił Parik wykalkulowanym tonem, zjadliwym, lecz bez nagany. Niedbale zerknął na chłopca, liżąc kłykcie.

– Oskarżasz go o złe użycie mocy? – zapytał spokojnie Gird.

– Nie... wszyscy widzieli. To bachor czarodzieja, który nie powinien tak długo żyć i potrzebuje nauki dobrych manier, jeżeli ma jeszcze pożyć. – Parik demonstracyjnie poprawił przód tuniki.

– I uznałeś, że to twoje zadanie?

– Chciał mnie spalić. – odparł włościanin, jak gdyby wyjaśniał coś szczególnie trudnego nięrozgarniętemu dziecku. – Przypalił mnie, więc zdzieliłem go pięścią. Jak powiadasz, Girdzie, a przynajmniej jak kiedyś mówiłeś, proste środki dla prostych ludzi. – Roześmiał się odrobinę zbyt głośno i odpowiedziały mu nerwowe chichoty.

Gird zamknął oczy, czując nagle takie zmęczenie, że miał ochotę położyć się na ziemi. Powtarzał im i wyjaśniał, dyskutował i krzyczał, czasami rozbijał szczególnie odporne łby, zdarzało się nawet – kiedy już brakowało mu tchu – że przemawiał łagodnie, a oni nic, źli jak zawsze. Źli jak władcy-magowie, tyle że używali pięści, zamiast czarów. Bogowie! – pomyślał, lecz zaraz zdusił resztę modlitwy. Poproś ich o pomoc, a

doczekasz się interwencji, czy to ci się spodoba, czy nie. Otworzył oczy i przekonał się, że wszyscy na niego patrzyli. Musiał dać im odpowiedź, osąd, ale nie mógł.

– A komendant? – zapytał niepewnym głosem i natychmiast dostrzegł reakcję zgromadzonych: jak dzieci na płacz rodziców.

– Nie potrzeba nam komendanta, żeby odróżnić dobro od zła – obwieścił Parik, ośmielony tym, że Gird nie wydał z siebie osławionego ryku. – Tego nas przecież uczyłeś: nie trzeba nam kapłanów, nieuczciwych sędziów, panów... a już zwłaszcza władców-magów...

Gird spojrzał na Luapa: stał poblady i wpatrywał się w niego wzrokiem ostrym jak stal. Ostrzegał przed tym, a on go zlekceważył, posądzając o stronnictwo. Przemówił teraz do niego tonem niedbałej pogawędki, zaskakując zebranych.

– Miałeś rację, a ja się myliłem. Nadal tak uważasz?

Zaskoczony Luap poczerwieniał.

– Ja... tak, Girdzie.

– Nie wszyscy są tacy, jak Parik. – To była jego obrona. Luap z powagą pokiwał głową. Nie miał nadziei na tyle zrozumienia:

– Rozmawiajcie ze mną – wrzasnął Parik. Gird patrzył, jak Jesienna Róża przenosi wzrok na włościanina, jakby biorąc zamach lancą. Parik zbladł, lecz nie ugiął się. – A więc to tak? Ukrywasz swoich nadwornych magów, wykorzystując ich moc do zaczarowania nas?

– CO?! – Tym razem włożył w to całą dawną siłę i Parik cofnął się. Furia wyprostowała Girda na pełną wysokość, pompując siłę do zaciśniętych pięści i pchając go na sztywnych nogach ku włościaninowi. – Nigdy nic nie ukrywam, ani nie ukrywałem. Nie ma już władców-magów, Pariku,

ponieważ to ja poprowadziłem ciebie i pozostałych do walki, która nas od nich uwolniła. Owszem, zostało kilku czarodziejów i zwykłe dzieci, jak ten chłopak... ale nie władcy-magowie. Nie, Pariku.

Parik dał kolejny krok wstecz, kipiąc z wściekłości.

– Ale... ale tamta pani... spojrzała na mnie...

– Ja też na ciebie patrzę, Pariku i widzę osiłka, który byłby równie złym władcą, jak dawni panowie, gdyby tylko otrzymał władzę.

– Ja? Ale ja tylko...

– Ty tylko pobiłeś dwa razy mniejszego do siebie chłopca za używanie magii, jak twierdzisz, ale nie wniosłeś oskarżenia do komendanta...

– Donag nie chce, żeby zwracano mu głowę takimi pierdołami...

– Wobec tego Donag powinien przestać sprawować tę funkcję, gdyż rolą komendanta jest zajmowanie się właśnie „takimi pierdołami” i powstrzymywaniem osiłków twojego pokroju przed obcieraniem sobie pięści o twarze chłopców...

Gird usłyszał pomruk tłumu, wyrażający dezaprobatę i poparcie dla Parika. Może także dla Donaga? Czyżby jeden z jego komendantów wspierał to szaleństwo?

– Użył czarów! – wrzasnął Parik. – Zaatakował mnie ogniem! – A co ty zrobiłeś, he? – Gird omiótł wzrokiem nieprzyjazne twarze, wystraszone i zagubione. – Od czego się zaczęło?

– Od skargi chłopaka Parika – powiedział ktoś cicho, z trudem przebijając się przez szmer tłumu.

Gird obrócił się ku głosowi i odszukał twarz, która do niego pasowała.

– Chłopak Parika? – powtórzył.

Środek tłumu zamilkł. Parik skrzywił się na młodą kobietę, która

przepchnęła się na czoło. Nie była ani piękna, ani brzydka; miała spokojną twarz, jasne oczy i determinację na twarzy. Patrzyła prosto na Girda, jakby obawiając się przenieść wzrok gdzie indziej, a już z pewnością nie na Parika.

– To chłopak Parika, panie... Girdzie. Grali z innymi w patyki – znasz tę grę?

Znał; chłopięca gra, łatwa do ukrycia na widok nadchodzących dorosłych.

– Julya... – zaczął gniewnie Parik, lecz dziewczyna kontynuowała, nie zważając na niego.

– Tamten chłopiec miał zręczne palce – jest uczniem krawca i widziałam, jak radzi sobie z igłą – i wygrał dwa razy z rzędu. Syn Parika oskarżył go o oszukiwanie i nazwał bękartem czarodzieja. Chłopiec zaprzeczył, a syn Parika rzucił się na niego. Parik złapał chłopca i przytrzymał, żeby jego syn mógł go bić. Wtedy właśnie palce chłopca otoczył ogień – chciał uwolnić się z chwytu Parika... – Ucichła.

– Chce ci się kłamać dla syna czarownika, Julyo?! – W głosie Parika zabrzmiały paskudne tony. Dziewczyna poczerwieniała, lecz nie wycofała się.

– Nie chcę kłamać dla ciebie, ani żadnego z twych twardorękiach synów – taka jest prawda. I nie rozumiem, dlaczego ty kręcisz i nie mówisz, co naprawdę się wydarzyło.

– Co tu się dzieje?! – przerwał im nadchodzący Donag. Gird tylko spojrzał na niego, gdy dotarł do nich i Donag natychmiast spokorniał. –

Usłyszałem coś... – zaczął.

– Ja usłyszałem coś jakiś czas temu – przerwał mu Gird. Nie bardzo wiedział, co mówił – w głowie dzwoniło mu, jakby czaszka była

pękniętym dzwonem; coś mąciło mu wzrok. – Jakiś czas temu usłyszałem o kłopotach, o których ty, komendancie Donagu, również powinienes usłyszeć. A potem dowiedziałem się, że nie życzysz sobie słyszeć o tego typu kłopotach. Tak przynajmniej twierdzi Parik.

Szybka wymiana spojrzeń pomiędzy Parikiem a Donagiem potwierdziła obawy Girda. Gniew przydał mu energii do zrobienia z nimi porządku, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Donag go ubiegł.

– Bogowie, próbowaliśmy przez wiele lat! Wciąż nam mówisz, że nie wszyscy byli źli! Wciąż nam mówisz, że dzieci to nie ojcowie. A jednak nadal są wśród nas magowie, rzucający czary na nas i nasze dzieci.

Popatrz na Tsaia: znowu mają króla, z tego samego rodu magów...

– Nie ma mocy – zauważył Gird. – To jego wuj...

– Tak mówi – warknął Donag. – Wszyscy tak mówią. My nie mamy mocy... urodziliśmy się bez tego daru... A potem jakiś pomiot Liarta pali uczciwego włościanina...

– Uczciwego włościanina, który zachowuje się jak tchórz, przytrzymując chłopca dla swojego syna, żeby mógł go bić! Porównaj obrażenia: Parik nie ma nawet śladu oparzenia, a twarz tego chłopca... Na owies i białorzytkę, Donagu, gdyby chłopiec ugryzł Parika – jak każdy, kto chciałby się uwolnić – też utrzymywałbyś, że to magia?

– Mógłby mieć jadowite ukąszenie – mruknął ktoś z tłumu.

– Pomyśl, Donagu! Gdyby chłopiec mógł rzucić na kogoś czar, to czemu nie zauroczył syna Parika – lub samego Parika – żeby zostawili go w spokoju? – Oblicze Donaga nie uległo zmianie; nie myślał, nawet nie słuchał. Inni też nie. Gird spróbował z innej strony. – Przypuśćmy, że ich wygnamy... odeślemy daleko stąd. Czy to was zadowoli? Wypuścimy

chłopca i innych, jemu podobnych.

Parik i Donag jednocześnie otworzyli usta, spojrzeli na siebie i Donag przemówił:

– Jeśli ich wypuścimy, wrócą. Tak samo jak myszy, szczury, czy węże: wypuść je, to rozmnożą się i powrócą groźniejsze. – Gird usłyszał potakujący pomruk tłumu. Chciał im powiedzieć, że to dzieło ich własnego strachu, karmiącego się nimi i przybierającego na sile, lecz nie przyniosłoby to niczego dobrego. Szukał odpowiednich słów, lecz bezskutecznie. Czuł, jak nastrój tłumu pogłębia się – jeden przerażony i rozzłoszczony człowiek wzmacniał strach i złość drugiego, na podobieństwo dzwonu, który wibruje, gdy w pobliżu bije inny.

Nad tłumem zawisł czarny całun nienawiści i lęku, żądzę mordy. Jedni owijali się nim, jak prawdziwym płaszczem z miękkiego jedwabiu, przyzywającym mrok. Inni stali zgarbieni, wystraszeni, niepewni, co było gorsze: gęstniejąca ciemność czy oślepiająca groźba ze strony magów. Luap spojrział na niego spokojnie, niemal jaśniejac. Po raz drugi Gird poczuł, jak w głowie otwiera się mu szczelina, przez którą wpływał głos Luapa, niczym srebrzysta, chłodna woda górskiego strumienia.

– Nie będziemy walczyć – mówił. – Nie złamiemy twojego pokoju...

„Mojego pokoju!” – chciał parsknąć Gird, ale nie mógł. Pokój, podczas którego w mieście wrzało. Nawet pokój Alyanyi nie uciszyłby wzbierającej burzy.

– Mojego pokoju – rozbrzmiało echem w jego głowie. – Czy chcesz mojego pokoju? Czy chcesz sprawiedliwości? – Jak przedtem, nie mógł pomylić tego głosu z żadnym innym.

Z samego środka pustki i cierpienia zakrzyknął – bezgłośnie, gdyż

zasłuchany tłum umilkł – prośbę o pomoc. Błagał o pomoc bogów, którym starał się służyć, których bał się i nie chciał wcześniej o nic prosić.

I znów, jak na Zielonych Polach, coś porwało go z ziemi i zawirował w burzy ognia, kwiatów i wichru wysoko ponad miasteczkiem. Ale tylko na krótką chwilę, po której stanął w tym samym miejscu, lecz nie był już pusty. Przepęłniały go absolutna pewność, światło, mądrość i łagodny spokój, gęsty jak stary miód w plastrze.

Nadal było ciężko. Był pewny, że pęknie mu głowa; usta były za małe, by zaczerpnąć tchu. Z trudem formował słowa, które musiał wypowiedzieć.

Miały niezwykle postaci, nie pasujące do ust, jak gdyby wyrzeźbiono je w pojedyncze kształty, nie przeznaczone dla człowieczej mowy.

Po pierwszych słowach tłum znieruchomiał. Nie słyszał siebie; równoważył wewnętrzne siły. Przyszło mu do głowy, że to właśnie może czuć kobieta podczas porodu: rozciągnięcie ponad wszelką wytrzymałość i rezygnację z kontroli na rzecz nie nazwanych sił. Zalał go potok słów, które musiał jakoś przekazać; ich znaczenia przemykały mu przez głowę szybciej, niż nadążył je łapać. Włosy zjeżyły się mu na nogach i ramionach, a ukłucie podziwu zamieniło się w falę czystego przerażenia i radości tak wymieszanych ze sobą, że nie był w stanie odróżnić jednego od drugiego. To było takie piękne\

Przemawiając, starał się trzymać prosto. Ujrzał, że tłum zmieniał się, jakby ktoś wychlusnął czystą wodę na upačkany błotem chodnik. Nienawiść i strach spływały nieregularnymi falami, pozostawiając część twarzy oczyszczonymi z brzydoty, a inne nadal brudne, lecz przejaśniające się.

Po pierwszej skręcającej erupcji stał się bardziej świadomy tłumowi, własnego głosu i tego, co mówił. Słowa brzmiały dziwnie, lecz wiedział,

co oznaczały, co więcej: w jakiś sposób wiedzieli to również jego słuchacze. Pokój, radość, sprawiedliwość, miłość – żadne z tych pojęć nie umniejszało. pozostałych, tworząc wspólnie zawity, ceremonialny taniec. Ciemna chmura unosiła się coraz wyżej, jak gdyby jego słowa były wypalającymi ją promieniami słońca. Lecz doskonale wiedział, że nie były to jego słowa. Przez usta i umysł Girda wylewały się pokój Alyanyi, sprawiedliwość Najwyższego, moc Tworzenia Sertiga i nazywania Adyana. Wypuszczone na wolność, moce te rozproszyły lęk.

Efekt rozszerzał się poza zgromadzenie na rynku, poza mury miasta, na całą krainę. Światło omywało ją niczym wiosenny deszcz, przepędzając z zalęknionych serc najgorsze obawy i nienawiść. Gird wiedział, że tak się działo, choć nie odważył się spojrzeć, gdyż wysiłek mówienia wymagał wszystkich sił, także tych cudownie mu danych. Pot spływał mu po twarzy, ramionach i żebrach pod koszulą, słowa mocy przybywały, a on je wypowiadał.

Mrok zwinął się, unosząc znad jego krainy, jak poranna mgła unosi się w blasku słońca. Lecz nie przepadł. Wiedział bez niczyich podpowiedzi, że kiedy jego słowa i ich wspomnienie zblakną, mrok powróci. A on nie mógł stać tutaj wiecznie. Gdy tylko o tym pomyślał, powódź mocy osłabła, pozostawiając go pustym, niczym wysuszona słońcem łupina owocu.

– To nie koniec. – Nie wątpił, kto to był. Gdyby mógł zadrzeć, uczyniłby to. To musiał być koniec – co jeszcze mógł zrobić? Nie będzie żył wiecznie. Spojrzał nie tylko swymi śmiertelnymi oczyma i ujrzał, że ciemności zawracają i płyną ku niemu. Zamknął przed nimi umysł, jak wcześniej często zamykał go przed nienawiścią. Nie ogarnie go, nawet teraz, gdy był taki słaby. Lecz nacisk w głowie powiększył się, zmuszając



go do otworzenia się, powstania szczeliny.

– Nie odpychaj tego, lecz przyjmij. Weź to wszystko w siebie i przemień dla nich...

– Nie mogę... – Ale mógł i nie miał innego wyjścia. Obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem tłum, Luapa, wysokie kamienice wokół rynku, nawet dach Holu Najwyższego na tle nieba i wzruszył ramionami, po czym odrzucił czujność.

Spadła na niego ogromna chmura nienawiści i obrzydzenia. Wchłonął ją łapczywie, niczym rybak wciągający na niewielką, chybotliwą łódkę sieć pełną ryb. Bolało. Zapomniał, jak bolesny był strach, jak nienawiść potrafiła żądlić umysł na podobieństwo roju rozwścieczonych os, jak od obrzydzenia drętwiały ścięgna. Narzekał w duchu na odczuwaną pustkę, lecz zarazem uznawał te przepastne głębie umysłu za kojące. Duchowy wiatr miał w nich dosyć miejsca, żeby wiać; zawsze mógł udać się tam w poszukiwaniu spokoju i odpoczynku. A teraz te przestrzenie wypełniały się śmierdzącym, oślizgłym, lepkim i pełzającym paskudztwem.

Zawiść, mściwość, złośliwa plotka, przypominająca kłujący chwast, obżarstwo, rozchichotana rozkosz czerpana z cudzego cierpienia, myśli i lęki bardziej wypaczone i trudniejsze do uchwycenia, niż świetliste słowa, które były dla niego tak bolesne. Czuł się coraz cięższy, jakby wypełniały go kamienie i błoto, przybierał coraz boleśnieszę pozycje, starając się wchłonąć resztę obrzydlistwa. Niczym schludna gosposia, której dom napadli rehotliwi wandalę, starał się chronić zakamarki umysłu, gdzie od dawna przechowywał radosne wspomnienia – i przegrał. Smród i brud znajdowały każdą szczelinę i wypełniały ją. Skrzypiał, a podwaliny umysłu niemal rozpadały się pod ciężarem brzemienia. Co się z nim

stanie?

Wziął wszystko w siebie. Nie ośmielał się otwierać ust, by nie wyciekło z nich coś okropnego. Otaczające go twarze były oszołomione i przerażone – nie miał pojęcia, jak wyglądało jego oblicze, lecz najwyraźniej budziło strach. Przemień – powiedzieli bogowie. Ale jak? Bezkształtna, niesforna masa walczyła, by wyrwać się na wolność, a on ścisnął. Nie czuł kamieni pod kolanami, potem pod dłońmi... Czuł tylko miazdzący ciężar strachu i nienawiści.

\* \* \*

Przez palące łązy Luap ujrzał, jak pospolita twarz Girda uległa przemianie. Niczym okna Najwyższego – pomyślał. Z zewnątrz sprawiały wrażenie ciemnych, dopóki noc nie rozbudzała w nich światła. Blask rozświetlił Girda, aż trudno było nań patrzeć, a z jego ust wydobyły się grzmiące słowa, które wszyscy rozumieli, nawet nie całkiem je słysząc. U jego boku Jesienna Róża z pojaśniałym obliczem wymrukiwała kontrapunkt. Potem zamilkła. Luap czuł, jak rośnie mu serce... Słowa Girda przebudziły wszystkie jego moce. Uzyskał zdolność widzenia, dzięki której dostrzegł cofającą się ciemność i w głębi duszy wiedział dokładnie, co Gird czynił i jaki pędzie tego rezultat.

Nie przetrwa tego. To nie powinien być Gird, który osiągnął wiek, dający mu prawo do odpoczynku. On powinien to zrobić. Kiedy jednak otworzył usta, oniemiał i stracił oddech.

– Masz inne zadania...

Chciał się spierać, lecz z trudem łapał powietrze, a kiedy oprzytomniał,

Gird zamilkł. Widoczna dla nielicznych chmura wisiała nad nimi, prężąc się, niczym szykujące się do ataku widmo. Gird wpatrywał się w nią z mocno zaciśniętymi ustami. A potem... potem jego oczy rozszerzyły się, a szczeka opadła w niemal komicznym zaskoczeniu. Luap znowu spróbował podejść do niego i pomóc, lecz ponownie nie mógł nawet drgnąć. Gird wzruszył ramionami i zmierzył chmurę powątpiewającym spojrzeniem. Patrząc na niego, Luap zastanawiał się, jak opisać to w swych archiwach. W co uwierzą, co okaże się zbyt fantastyczne nawet dla przesądnych, co wywoła kontrowersje, a co przyniesie pokój? Nie miał cienia wątpliwości, że patrzył na śmierć Girda. Mężczyzna był za stary i wyniszczony życiem, by to przetrwać.

– Nikt by tego nie zniósł. – Zatoczył się pod ciężarem odpowiedzi, zastanawiając się jednocześnie, czy Gird też ją usłyszał.

Wtem chmura opadła na Girda, gęstniejąc i stając się widzialna dla wszystkich. Mroczna masa nie miała żadnego określonego kształtu, ani granic. Przygniotła go, aż opadł na kolano, a potem na ziemię. Nie mogli poruszyć się i przyjść mu z pomocą, dopóki nie znieruchomiał na kamieniach z szeroko rozrzuconymi rękoma, a ciemność nie znikła.

Luap wiedział, że Gird umarł, jeszcze zanim do niego dobiegł. Ciało nadal było ciepłe, a szerokie dłonie o poczerwieniałych i opuchniętych kostkach elastyczne i niemal reagujące na uścisk rąk Luapa. Mruganiem oczu przegnał łzy i popatrzył na tłum. Cisi i zadziwieni, mieli puste i ogłupiałe spojrzenia ludzi wyrwanych z głębokiego snu. Kilku płakało.

Lecz powietrze wokół nich było świeże i rześkie, jak w wiosenny poranek po deszczu. W głębi serca, gdzie za wysokimi murami usiłował uwięzić ambicje i zawiść, Luap czuł, że mury runęły i nie pozostało nic, prócz

miłości.

## Epigraf

„Stopniowo coraz lepiej pojmowałem, że linia oddzielająca dobro od zła przebiega nie przez państwa, klasy czy partie polityczne, lecz przez serce każdego człowieka – i poprzez serca wszystkich ludzi.”

– Aleksander Solżenicyn:

Archipelag Gułag